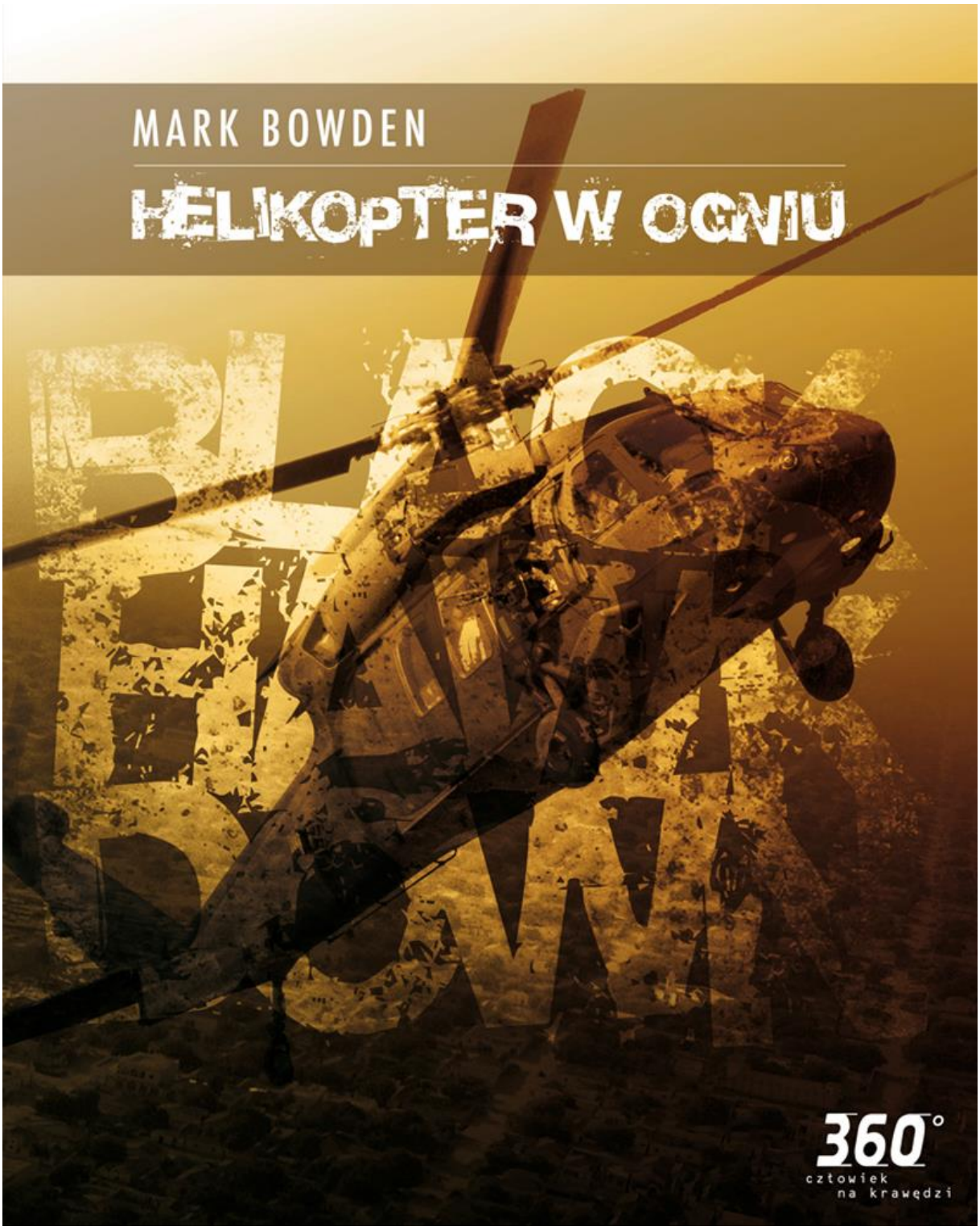
MARK BOWDEN
HELIKOPTER W OGNIU
360°
człowiek na krawędzi

VERBA VOLANT, SCRIPTA MENENT
EX LIBRIS
S**********Z**********

Amerykański pisarz i redaktor w Vanity Fair. Urodzony w St Louis, Missouri, jest absolwentem (1973) Loyola University w stanie Maryland. Podczas pobytu w Loyola został zainspirowany do rozpoczęcia dziennikarskiej kariery przez czytanie książki Toma Wolfe'a "The Electric Kool-Aid test Acid". W 2010 roku w swoim przemówieniu za nagrodę za całokształt twórczości w National Book Awards, Wolfe nazwie Bowdena jednym z dwóch "pisarzy do oglądania" (wraz z Michaelem Lewisem).

Od 1979 do 2003 Bowden był pracownikiem The Philadelphia Inquirer. W kolejnych latach pisał dla The New Yorker, Men's Journal, The Atlantic, Sports Illustrated i Rolling Stone.

Dzięki książce "Helikopter w ogniu" zyskał międzynarodowe uznanie, która w 2001 roku została zekranizowana przez Ridleya Scotta.

Obecnie mieszka w Oxford w stanie Pensylwania. Syn Bowdena, Aaron, jest także pisarzem.

źródło opisu: en.wikipedia.org

źródło zdjęcia: www.mediabistro.com

Opis książki

Kanwa filmu Ridley'a Scotta i międzynarodowy bestseller końca XX wieku, którego polskie wydanie ukazuje się po raz pierwszy prawie 20 lat po wydarzeniach w Mogadiszu. Próba ujęcia adiutantów somalijskiego watażki zakończona strąceniem 2 helikopterów i śmiercią 18 amerykańskich żołnierzy nie jest luźnym rozważaniem nad sensem amerykańskiej interwencji, ale trzymającą w napięciu niemalże stenograficzną relacją z pola bitwy. Książka Marka Bowdena przypomina dokładnie ułożoną grę strategiczną, w której pionkami są elitarne oddziały rangersów i Delta Force, grę rozsypującą się na naszych oczach jak kostki domina. Nieprzypadkowo Bitwa o Mogadiszu, jak nazwały operację wojskową media stanowi klasyczne studium przypadku jak wszystko, co miało pójść dobrze, poszło całkowicie źle. .

Mark Bowden

Helikopter w ogniu

w przekładzie Aleksandry Brożek

WARSZAWA 2011

Przedmowa

SŁAWOMIR PETELICKI

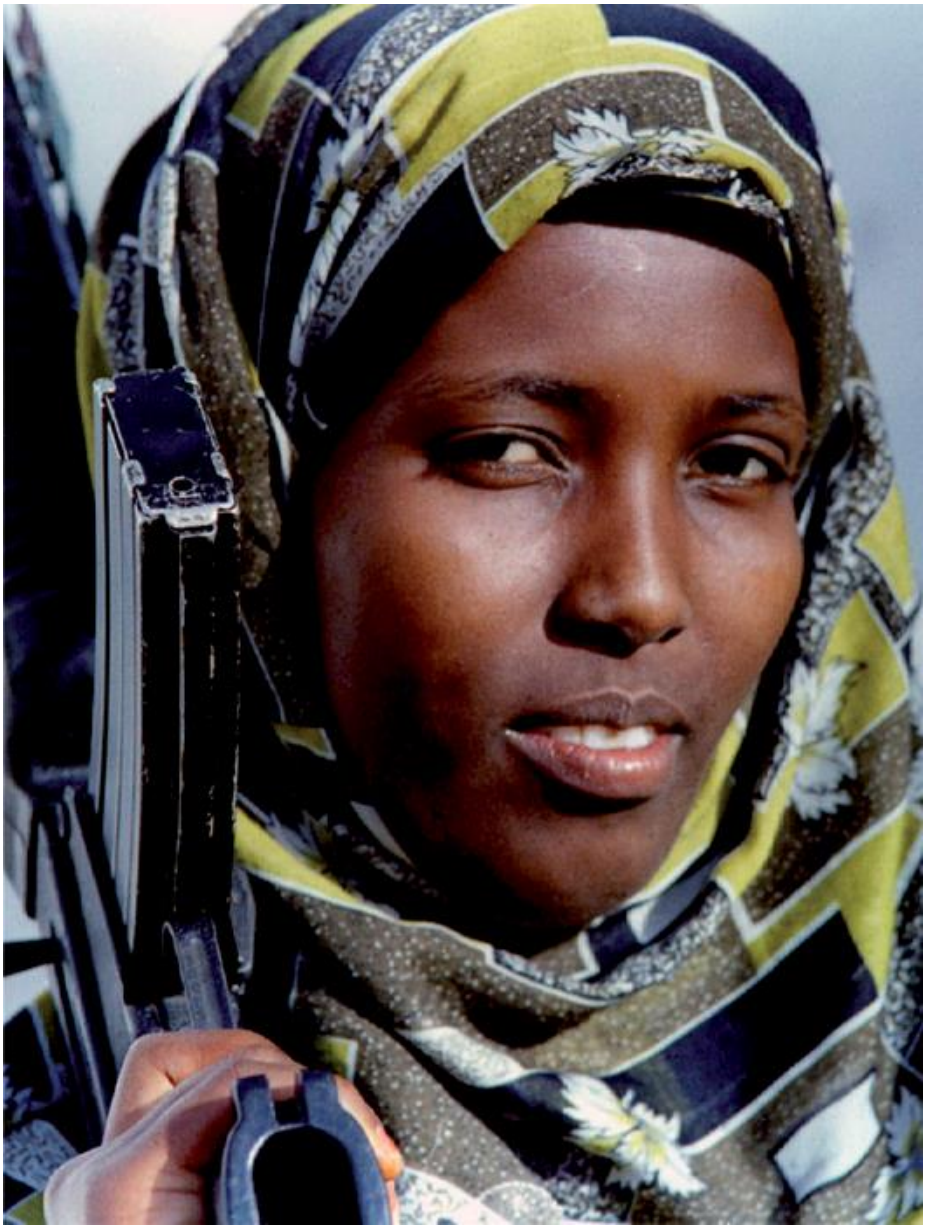

Somalijska dziewczyna z karabinem należącym do modlącego się mężczyzny, Mogadiszu 1993

fot. Dan Eldon/Reuters

„Helikopter w ogniu” to książka niezwykła. Powinien przeczytać ją każdy, kogo interesuje otaczający świat, który jest tak zbudowany, że gdy kończy się jeden konflikt zbrojny, zaraz zaczyna się kolejny albo kilka toczy się równolegle. Są to małe wojny o ograniczonym zasięgu, na które cywilizowane kraje wysyłają swoich najwybitniejszych wojowników, żeby w ich imieniu zabijali złych i ratowali dobrych.

Pierwszego uczestnika operacji „Irene” spotkałem w listopadzie 1994 roku w Port-au-Prince w Republice Haiti, gdzie dowodziłem kontyngentem GROM-u w związku z amerykańską interwencją wojskową. Porównał on Haiti, zwane przez amerykańskich żołnierzy „Piekielną Dziurą”, do Somalii. Tu i tam były kilkusetosobowe bandy i totalny chaos, powiedział. Miał rację! Przekonałem się o tym, gdy po pierwszym miesiącu operacji ośmiu żołnierzy US Army popełniło samobójstwo. Gdy amerykański tygodnik „Newsweek” przedstawił to na pierwszej stronie, rzecznik praw obywatelskich śp. prof. Tadeusz Zieliński zaniepokoił się sytuacją żołnierzy GROM-u. Podziękowałem mu za troskę i wyjaśniłem, że czujemy się znakomicie, ponieważ jest duża różnica pomiędzy operatorami jednostek specjalnych a żołnierzami nawet elitarnych oddziałów wojskowych. „Helikopter w ogniu” – jak żadna inna książka – przedstawia kolosalne różnice w wyszkoleniu i psychice operatorów Delty i innych żołnierzy biorących udział w operacji „Irene”.

Podpułkownika Gary'ego Harrella dowodzącego komandosami Delty w operacji „Irene” poznałem jesienią 1995 r. w stołówce tej ściśle tajnej jednostki. Ówczesny dowódca Delty pułkownik Bernard McCabe przedstawił mi go, mówiąc, że niedawno wrócił do pełni formy po zaleczeniu rany od kuli, która dosięgła go w Somalii w czasie operacji „Irene”. Od razu polubiłem tego potężnie zbudowanego wojownika o uścisku dłoni niedźwiedzia. Ponownie ścisnąłem jego dłoń w 1998 r., kiedy pułkownik Harrell był już dowódcą Delty. Przeprowadziliśmy razem bardzo ważną operację, o której do dziś wie tylko kilka osób. Brał w niej również udział Eric Olson, jako komandor US NAVE SEAL, obecny admirał i głównodowodzący Sił Operacji Specjalnych USA. Czterech komandosów GROM-u otrzymało za tę operację Krzyże Zasługi za Dzielność od Prezydenta RP. Sam zostałem honorowym komandosem US NAVE SEAL, a od Gary'ego otrzymałem piękny nóż bojowy i jego przyjaźń! Jako generał dowodzący operacjami specjalnymi w Dowództwie Centralnym Gary Harrell zawsze wspierał komandosów GROM-u, odwiedzając ich w Iraku i Afganistanie. Ta wspaniała książka, jak mało która, pokazuje żołnierską przyjaźń, która najlepiej sprawdza się na polu walki.

Powinni ją koniecznie przeczytać politycy, którzy – siedząc bezpiecznie w wygodnych fotelach – wysyłają żołnierzy do śmiertelnej walki, nie dając im często należnego wsparcia. Bohaterscy wojownicy w Somalii zginęli przede wszystkim dlatego, że prezydent USA Bill Clinton odmówił im odpowiedniego wsparcia lotniczego. Wystarczył jeden C130 Gunship, który – stawiając ścianę ognia na ziemi – odciąłby dostęp bandytów do zestrzelonych śmigłowców. Nie musieliby pewnie zginąć bohaterscy snajperzy Delty, sierżanci Gary Gordon i Randy Shughart, odznaczeni pośmiertnie najwyższym amerykańskim odznaczeniem Medalem Honoru. Tak jak nie musiałby zginąć bohaterski kapitan Daniel Ambroziński, gdyby na pomoc jego ostrzeliwanemu przez talibów patrolowi przyleciał uzbrojony śmigłowiec MI-17. Helikopter przybył nieuzbrojony, bo minister obrony narodowej nie chciał słuchać próśb dowódcy Wojsk Lądowych.

I tak jak w Mogadiszu bandyci watażki Aidida, tak w Afganistanie talibowie przez 6 godzin bezkarnie ostrzeliwali patrol śp. kapitana Daniela Ambrozińskiego. Trzeba o tym przypominać politykom, którzy niezależnie od tragedii mają niezmiennie dobre samopoczucie. Dlaczego? Chyba dlatego że przeważnie w przeciwieństwie do narażających życie dla ojczyzny żołnierzy brak im odwagi i honoru.

Operacje somalijską i afgańską łączy jeszcze jedna klamra. Amerykańskie śmigłowce w Mogadiszu zestrzelili bojownicy Al-Kaidy, którzy szkolili bandytów Aidida. Części wyposażenia śmigłowców black hawk zniszczonych w czasie operacji „Irene" amerykańscy komandosi Delty znaleźli w pieczarach Tora Bora i być może – choć tego nie wiemy – po 13 latach zabili lub pojmali tych, którzy je zestrzelili.

Sławomir Petelicki (ur. 1946) – generał brygady Wojska Polskiego w stanie spoczynku, twórca i dwukrotny dowódca Jednostki Wojskowej GROM.

Mojej mamie, Ricie Lois Bowden,

oraz w hołdzie pamięci mojego ojca,

Richarda H. Bowdena

Nie ma znaczenia, co ludzie myślą o wojnie, odparł sędzia. Wojna przetrwa. Równie dobrze możecie zapytać ludzi, co myślą o kamieniu. Wojna była zawsze. Zanim nastał człowiek, już czekała na niego. Wojna to rzemiosło najwyższej rangi, czekające na swojego najznamienitszego rzemieślnika.

Cormac Mc Carthy „Krwawy południk”[1]

ATAK

Amerykański śmigłowiec szturmowy Cobra odgania mężczyznę od płonących czołgów Aidada w Mogadiszu, 1993

fot. Reuters

1

Podczas startu śmigłowca Eversmann odmawiał zdrowaśkę. Siedział skulony w fotelu, pomiędzy dwoma mechanikami zajmującymi miejsca z prawej i lewej strony, trzymając kolana długich nóg na wysokości ramion. W helikopterze znajdował się ściśnięty oddział Eversmanna – tuzin mężczyzn w jasnobrązowych, maskujących mundurach polowych i kamizelkach kuloodpornych. Znał ich twarze tak dobrze, że byli dla niego jak bracia. Bardziej doświadczeni członkowie załogi, a wśród nich Eversmann (dwudziestosześcioletni sierżant sztabowy, który miał już za sobą pięcioletni kontrakt) od lat mieszkali i trenowali razem. Niektórzy spotkali się już podczas szkolenia podstawowego, po którym odbyli kurs w szkole spadochronowej, a następnie trening w Szkole Rangersów. Zjeździli wspólnie kawał świata, między innymi Koreę, Tajlandię, Amerykę Środkową.

Znali się od podszewki, nawet lepiej niż większość braci; wspólnie pili, wdawali się w bójki, spali w lesie na gołej ziemi, skakali ze spadochronem, wspinali się na góry, z sercami w gardłach zmagali się z nurtem spienionych rzek, pocili się w piekącym słońcu lub trzęśli z zimna podczas mrozów, wspólnie cierpieli głód i zmagali się ze znużeniem. Mieli zwyczaj nabijać się z dziewczyn kumpli lub śmiać z tych, którzy żadnej nie mieli. W środku nocy wymykali się z bazy w Fort Benning, by ratować kolegów z opresji, kiedy ci spili się do nieprzytomności lub wkurzyli barmana w jakiejś knajpie czy klubie nocnym przy Victory Drive. Przez te wszystkie lata przygotowywali się na taką chwilę jak ta. Tyczkowaty sierżant miał po raz pierwszy objąć dowództwo. Czuł z tego powodu niepokój.

„Módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen”.

Popołudnie, 3 października 1993 roku. Grupa desantowa Eversmanna, Chalk Four, należała do formacji rangersów, która razem z operatorami Delta Force miała wkrótce złożyć niespodziewaną wizytę na zebraniu przywódców klanu Habr Gidr w sercu somalijskiego miasta, Mogadiszu. Klan dowodzony przez watażkę Mohameda Farraha Aidida wszedł w konflikt ze Stanami Zjednoczonymi, a teraz był skazany na klęskę. Dziś należało aresztować dwóch adiutantów Aidida w domu, w którym zaplanowano spotkanie przywódców klanu. Następnie mieli zostać przewiezieni na wyspę na południowym wybrzeżu, nieopodal somalijskiego miasta Kismaju. Tu znajdowało się więzienie, do którego napływała ostatnio coraz większa liczba przywódców wojowniczego ugrupowania. Rola oddziału Eversmanna w tym wypadzie była prosta. Każda z czterech grup desantowych rangersów miała przydzielony fragment kwartału, na którym znajdował się dom stanowiący cel ataku. Żołnierze oddziału Eversmanna mieli opuścić się na linach ze śmigłowca na północno-zachodnim narożniku i zająć pozycję blokującą. Do otoczonej przez rangersów z czterech stron strefy, w której komandosi Delty zamierzali przystąpić do działania, nie miała prawa wcisnąć się nawet mysz.

Wcześniej wiele razy wykonywali podobne zadania zarówno podczas ćwiczeń, jak i w trakcie sześciu poprzednich misji grupy zadaniowej. Ponieważ Eversmann miał wyraźny plan, wiedział, w którą stronę ma skierować oddział, kiedy znajdzie się na ziemi. Tam będą już czekali jego żołnierze; ci, którzy opuszczą śmigłowiec z lewej strony, zbiorą się po lewej stronie ulicy, ci, którzy zjadą z prawej, zgromadzą się po prawej. Następnie rozproszą się w obu kierunkach, podczas gdy sanitariusze i najmłodsi chłopcy zajmą środek. Starszy szeregowy Todd Blackburn, świeżo upieczony absolwent ogólniaka na Florydzie, był jedynym żółtodziobem w śmigłowcu Eversmanna, który nawet jeszcze nie był w Szkole Rangersów. Trzeba będzie mieć na oku jego, a także nieco starszego sierżanta Scotta Galentine'a, który niedawno przyjechał na zastępstwo prosto z Benning i brakowało mu doświadczenia w Mogadiszu. Eversmann czuł ciężar odpowiedzialności za młodych żołnierzy. Tym razem ich życie zależało od niego.

Po zajęciu miejsca z przodu śmigłowca jako dowódca otrzymał nieporęczne słuchawki z mikrofonem, połączone czarnym, grubym przewodem z gniazdkiem w suficie. Zdjął hełm i umieścił słuchawki na uszach.

Jeden z mechaników klepnął go w ramię.

– Matt, nie zapomnij zdjąć tego przed wyjściem – powiedział, wskazując na kabel.

Potem dość długo – chyba godzinę – czekali w helikopterze stojącym na rozgrzanym asfalcie lotniska, wdychając gryzący zapach paliwa. Żołnierze coraz bardziej spoceni pod kamizelkami kuloodpornymi i sprzętem z niepokojem ściskali w rękach broń. Zastanawiali się, czy misja nie zostanie odwołana, zanim zdążą oderwać się od ziemi. Dotychczas często się to zdarzało. Na każdą misję przypadało dwadzieścia fałszywych alarmów. Kiedy przybyli do Mogadiszu pięć tygodni temu, byli tak podekscytowani, że za każdym razem, gdy wchodzili na pokład śmigłowców, radosne okrzyki dobiegały z jednego helikoptera do drugiego. Teraz takie mobilizacje jak dzisiejsza stały się dla nich rutyną i z reguły nie zapowiadały niczego szczególnego[2].

„Irene" to hasło, na które czekała dziś pokaźna grupa żołnierzy zebrana w maszynach, wśród których były cztery dwuosobowe śmigłowce szturmowe AH-6 Little Bird, mogące dolecieć prawie wszędzie. Tym razem, po raz pierwszy, wyposażono je w rakiety. Dwa z nich miały wykonać wstępny przelot nad celem, dwa pozostałe odpowiadały za ubezpieczenie tyłów. Na akcję czekały też cztery helikoptery MH-6 Little Bird z umocowanymi po obu stronach specjalnymi ławkami dla grupy uderzeniowej sił desantowych, oddziału c Delty, ściśle tajnej jednostki do zadań specjalnych w armii. Do wylotu było również gotowych osiem black hawków o charakterystycznym, wydłużonym kształcie. W każdym z nich tłoczyli się żołnierze: w dwóch miały lecieć siły desantowe Delty wraz z ich dowódcami, cztery miały przetransportować rangersów (kompania B, 3. Batalion 75 Pułku Piechoty U.S. Army, w skrócie 75. Pułk Rangersów z Fortu Benning w Georgii), jeden miał przewieźć elitarny oddział poszukiwawczo-ratowniczy CSAR[3], w kolejnym lecieli dowódcy misji – podpułkownik Tom Matthews, który nadzorował pracę pilotów w 160. Pułku Lotnictwa Operacji Specjalnych (ang. SOAR) oraz odpowiedzialny za ludzi na ziemi podpułkownik Delty Gary Harrell. Przed bramą czekał konwój lądowy składający się z dziewięciu szerokich hummerów[4] oraz trzech pięciotonowych ciężarówek. W nich mieli zostać wywiezieni z miejsca akcji schwytani Somalijczycy oraz żołnierze z grup desantowych. W hummerach znajdowali się rangersi, komandosi Delty oraz czterej żołnierze należący do SEAL[5] Team Six, stanowiącej część sił specjalnych marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Razem z helikopterami rozpoznawczymi i samolotami szpiegowskimi w akcji brało udział dziewiętnaście statków powietrznych, dwanaście pojazdów oraz około stu sześćdziesięciu ludzi – potężna armada powietrzna gotowa do natychmiastowego ataku[6].

Wiele wskazywało na to, że dzisiejszy alarm nie okaże się fałszywy. Dowódca grupy zadaniowej rangersów, generał dywizji William F. Garrison, przyszedł ich pożegnać. Nigdy wcześniej tego nie robił. Garrison – wysoki, szczupły mężczyzna w kamuflażu pustynnym, o siwych włosach i z ledwie tlącym się cygarem sterczącym z kącika ust – chodził od jednego śmigłowca do drugiego, a następnie zaglądał do każdego hummera.

– Uważajcie na siebie – radził z silnym teksańskim akcentem.

Nie pominął nikogo.

– Powodzenia.

Każdemu rzucił coś na pożegnanie.

– Bądź ostrożny[7].

Zwiększające obroty silniki wprawiały powietrze w drżenie, krew w żyłach żołnierzy krążyła coraz szybciej. Nareszcie mogli poczuć się jak uniesiona pięść amerykańskiej potęgi militarnej. To było ekscytujące. Biada każdemu, kto stanie im na drodze. Obładowani granatami oraz amunicją do świeżo naoliwionej broni czuli, jak pod kuloodpornymi kamizelkami serca walą im jak młotem. Przepełniała ich nadzieja przemieszana ze strachem. Powtarzali bezgłośnie plan działania, odmawiali modlitwy, sprawdzali broń i ćwiczyli w myślach taktykę, odprawiali żołnierskie rytuały. Robili wszystko, co w jakikolwiek sposób mogło przygotować ich do bitwy. Wiedzieli, że misja może okazać się trudna. Czekał ich zuchwały atak za dnia, natarcie na „Morze Czarne" jak nazywano terytorium klanu Habr Gidr w centrum Mogadiszu stanowiące twierdzę watażki Aidida. Ich celem był kamienny, pobielany wapnem dwupiętrowy dom – nowoczesny, segmentowy budynek z płaskim dachem stojący w jednym z niewielu nieokaleczonych jeszcze przez wojnę skupisk większych zabudowań. Na krajobraz miasta składały się przede wszystkim niezliczone, pokryte blachą rudery. W labiryncie gruntowych dróg okolonych kaktusami mieszkały setki tysięcy członków klanu. Nie było żadnej dokładnej mapy okolicy. Istny Dziki Zachód.

Żołnierze przyglądali się pociskom przeciwpancernym ładowanym na śmigłowce AH-6. Garrison przed żadną z poprzednich misji nie wydał takiego rozkazu, mogło to więc oznaczać kłopoty. Zaopatrzyli się w dodatkową amunicję, wypchali magazynkami i granatami każdą kieszeń uprzęży nośnych. Zostawili manierki, bagnety, noktowizory i wszelkie inne przedmioty stanowiące zbędny balast podczas szybkiego ataku za dnia. Perspektywa trudnej walki nie przerażała ich ani trochę. Jako niezwyciężeni zdobywcy i krwawi mściciele witali niebezpieczeństwo z otwartymi ramionami. Po sześciu tygodniach guzdrania się nareszcie skopią jakiś ważny, somalijski tyłek.

Dokładnie 32 minuty po godzinie piętnastej usłyszeli przez interkom spokojny głos wyraźnie zadowolonego dowódcy oddziału, starszego chorążego Michaela Duranta:

– Pieprzona „Irene".

Powietrzna armada opuściła w końcu nędzne lotnisko i uniosła się w błękitną przestrzeń, gdzie niebo zlewało się z Oceanem Indyjskim. Minęli zaśmieconą łachę białego piasku i pomknęli tuż nad spienionymi grzywami fal, które tworzyły równoległe do brzegu, delikatne grzebienie. Lecieli w zwartym szyku, posuwając się na południowy zachód, wzdłuż linii brzegowej. Po bokach każdego śmigłowca dyndały obute nogi spragnionych akcji żołnierzy, którzy siedzieli na specjalnych, umocowanych z zewnątrz ławeczkach lub w otwartych drzwiach helikopterów.

Mogadiszu, coraz wyraźniejsze na mglistym, pustynnym horyzoncie, w świetle popołudniowego słońca było tak jasne, jakby przysłona ziemskiego obiektywu zacięła się na chwilę. Widziane z odległości stare portowe miasto miało kasztanową barwę; piaszczyste drogi w kolorze ochry, domy kryte hiszpańską dachówką lub pordzewiałą blachą. Jedyne wysokie budowle, które przetrwały lata wojny domowej, to białe, zdobione minarety – islam wciąż pozostawał święty dla wszystkich Somalijczyków. Karłowate drzewka wystawały nieco

ponad niskie dachy, a stojące wśród nich wysokie kamienne mury z wypłowiałymi pozostałościami żółtej, różowej i szarej farby były jak znikające wspomnienie po przedwojennej cywilizacji. Mogadiszu, graniczące z pustynią od zachodu oraz błyszczącymi wodami oceanu od strony wschodniej, mogłoby być sennym nadmorskim kurortem.

Amerykanie nadlecieli od strony oceanu, później skręcili w prawo, na północny wschód i posuwali się wzdłuż zachodniego brzegu miasta. Ich oczom ukazała się przerażająca rzeczywistość, katastrofa miejsca, które stało się stolicą piekła. Miasto wyglądało, jakby dotknęła je śmiertelna choroba. Nieliczne wybrukowane ulice, oszpecone przez góry śmieci, rumowiska oraz zardzewiałe wraki spalonych samochodów, stopniowo obracały się w ruinę. Ocalałe mury i budynki widniejące pośród szarych stert gruzu nosiły ospowate ślady po pociskach. Pochylone pod złowieszczym kątem dawne słupy telefoniczne ze sterczącymi na wszystkie strony resztkami drutów, które dawno temu zostały sprzedane na złom na kwitnącym czarnym rynku, przypominały złowieszcze lalki wudu.

W miejscach publicznych stały klocowate kamienne platformy, pozostałości po rzeźbach z czasów dyktatora Mohameda Siada Barre'a. Obdarto je z wierzchniej warstwy nie z powodu rewolucyjnego ferworu – wandale potrzebowali brązu i miedzi, na których sprzedaży można było co nieco zarobić. Prestiżowe niegdyś budynki – siedziby dawnego rządu oraz uniwersytet – teraz zamieszkiwali uchodźcy. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało splądrowane, łącznie z metalowymi ramami okiennymi, klamkami i zawiasami. Nocą w oknach drugiego i trzeciego piętra dawnego Instytutu Politechniki można było dostrzec ogniska. Każdy skrawek wolnej przestrzeni pokrywała zwarta zabudowa prowizorycznych wiosek w postaci szałasów z patyków przykrytych warstwami szmat oraz chałup kleconych z przypadkowych kawałków drewna i pordzewiałej blachy. Obserwowane z góry osady wzniesione przez pozbawionych domów ludzi przypominały ropiejący wrzód na ciele miasta.

W helikopterze Super Six Seven Eversmann powtarzał w myślach plan. Zanim jego oddział znajdzie się na ulicy, operatorzy Delty rozpoczną obławę na Somalijczyków oraz akcję przejęcia domu, strzelając do każdego, kto będzie na tyle głupi, by stawiać opór. Otrzymali informację, że w budynku stanowiącym cel ataku są dwie grube ryby, ludzie określeni przez grupę zadaniową jako „osobistości najwyższego szczebla" – dwóch najważniejszych adiutantów Aidida. Gdy operatorzy Delty będą wykonywali zadanie, rangersi zajmą się zabezpieczaniem miejsca przed ciekawskimi. Równocześnie do miasta wjedzie konwój składający się z ciężarówek oraz hummerów, który musi dotrzeć do atakowanego budynku. Pojmani Somalijczycy zostaną zapakowani do ciężarówek, po czym grupa desantowa i żołnierze z pozycji blokujących dołączą do konwoju i odjadą, by w to piękne niedzielne popołudnie spędzić jeszcze trochę czasu na plaży. Cała akcja zajmie około godziny.

Z tylnej części śmigłowców black hawk usunięto fotele, aby zrobić miejsce dla rangersów. Część żołnierzy siedziała w otworze drzwiowym, a pozostali przycupnęli na skrzynkach z amunicją bądź na rozłożonych na podłodze kewlarowych osłonach przeciwodłamkowych. Mieli na sobie kamuflaż pustynny, kewlarowe kamizelki, hełmy, a na nałożonych na wierzch uprzężach nośnych około 25 kilogramów sprzętu i

amunicji. Każdy nosił gogle oraz grube skórzane rękawice ochronne. Pod kilkoma warstwami sprzętu nawet najszczuplejsi wyglądali jak roboty o zwalistych i onieśmielających posturach. Za dnia, spędzając czas wolny w hangarze mieszkalnym, z reguły mieli na sobie tylko podkoszulki i szorty w brązowym kolorze. Wówczas większość przypominała typowych pryszczatych nastolatków (średnia wieku w formacji wynosiła dziewiętnaście lat). Byli dumni z otrzymanego statusu rangersów. Uniknęli dzięki niemu większości otępiających, niewiele mających wspólnego z walką ćwiczeń, które doprowadzały do szału niejednego rekruta. Rangersi cały swój czas poświęcali wyłącznie przygotowaniom do wojny. Byli szybsi, sprawniejsi, po prostu najlepsi – ich motto brzmiało: „Rangersi zawsze na czele!". Każdy z nich co najmniej trzy razy starał się o obecny status – najpierw trzeba było dostać się do armii, potem do sił powietrznodesantowych, na koniec do rangersów. Byli śmietanką, najbardziej zmotywowanymi młodymi żołnierzami swego pokolenia. Zostali wybrani, by stanowić żywy przykład ideału armii. W formacji nie było kobiet, czarni należeli do mniejszości (w stuczterdziestoosobowej kompanii było tylko dwóch). Niektórzy rangersi byli zawodowymi żołnierzami. Do tej grupy należał porucznik Larry Perino, który w 1990 roku ukończył West Point. Inni zaliczali się do osób osiągających lepsze od rówieśników wyniki, szukających nowych wyzwań. Jednym z nich był specjalista[8] John Waddell z grupy desantowej Chalk Two, który wstąpił do armii po ukończeniu szkoły średniej w Natchez w stanie Missisipi z najwyższą możliwą średnią ocen. Niektórych można by zakwalifikować do szaleńców, którzy poszukiwali fizycznego wyzwania. Jeszcze inni pobyt w wojsku traktowali jako drogę do samodoskonalenia, gdyż po ukończeniu szkoły nie mogli znaleźć celu w życiu bądź mieli problemy z narkotykami, alkoholem, prawem lub wszystkimi trzema powyższymi naraz. Znali życie lepiej niż większość młodych mężczyzn w ich wieku, którzy wczesną jesienią mieli już za sobą kilka tygodni zimowego semestru na studiach. Niejeden z nich poznał gorzki smak porażki lub był obiektem złego traktowania bądź docinków. Ale nie było wśród nich dekowników. Każdy pracował na to, by być w formacji, i to zapewne ciężej niż przez całe dotychczasowe życie. Ci, którzy mieli awanturniczą przeszłość, byli wobec siebie surowi. Pod przykrywką twardych żołnierzy kryli się szczerzy, przepełnieni patriotyzmem i pełni idealistycznych poglądów młodzi ludzie. Propozycję sloganu reklamowego armii: „Bądź, kimkolwiek możesz być", potraktowali dosłownie.

Reprezentowali wyższy poziom niż zwykli żołnierze. Wyróżniali się też atletycznymi posturami oraz fryzurami na jeża z wygolonymi bokami głów. Rangersi, z właściwym dla amerykańskich żołnierzy zawołaniem Hooah, uważali się za największych zapaleńców w armii. Wielu, o ile czuli się na siłach, starało się dołączyć do sił specjalnych. Niektórzy z nich mogli spróbować sił w Delcie i w ten sposób wstąpić w szeregi cieszących się doskonałą kondycją, idealnie przystosowanych do zadań, tajnych „superżołnierzy", którzy przewodzili dzisiejszej akcji. Tylko najlepsi z nich mogli otrzymać taką szansę i tylko jeden na dziesięciu wstępnie zakwalifikowanych żołnierzy przechodził selekcję. W tej prastarej męskiej hierarchii rangersi byli mniej więcej w połowie drabiny, podczas gdy operatorzy Delty zajmowali szczebel najwyższy.

Rangersi wiedzieli, że najpewniejszą drogą na szczyt jest doświadczenie zdobyte w walce. Dotychczas Mogadiszu droczyło się z nimi. Wojna lada chwila miała się rozpocząć. Nawet nieliczne misje, choć ekscytujące, okazywały się zbyt krótkie. Somalijczycy – określani przez Amerykanów „chuchrakami" lub „zdechlakami" – oddawali w ich kierunku kilka chaotycznych strzałów, które wystarczały, by wzburzyć krew

rangersów i wywołać piekielną kanonadę strzałów w odpowiedzi, jednak na tyle krótką, że nie można było jej nazwać zaciekłą wymianą ognia.

Tymczasem rangersi marzyli o prawdziwej walce. Jeśli czasem któremuś nasuwały się wątpliwości, nie dawał im dojść do głosu. Niejeden na początku bał się wojny, ale z czasem pokonywał strach. Zwłaszcza na szkoleniu rangersów, podczas którego odpadała mniej więcej jedna czwarta kandydatów. Ci, którzy z powodzeniem ukończyli szkolenie i otrzymali naszywkę rangersa, niewątpliwie mogli poszczycić się jednym z największych osiągnięć w życiu. Słabi zostali w tyle. Silni pięli się w górę. Później nadchodziły tygodnie, miesiące, lata nieustannego szkolenia, a oni nie mogli doczekać się wojny. Czuli się jak drużyna piłkarska, która przez lata ćwiczy dwanaście godzin, siedem dni w tygodniu. Byli jak wybitni sportowcy mający za sobą wyczerpujące i niebezpieczne treningi często zakończone siniakami, lecz nie mieli ani jednej okazji, by zagrać prawdziwy mecz.

Czekali na bitwę. Przekazywali sobie naznaczone oślimi uszami książki opisujące wspomnienia żołnierzy, w tym również rangersów, którzy brali udział w konfliktach zbrojnych. Delektowali się przyjacielskim, braterskim tonem tych historii, żałując biednych frajerów, którzy się poddali, lub słabeuszy, którzy w wyniku doznanych obrażeń stali się niepełnosprawni. Zarazem utożsamiali się z odważnymi i walecznymi żołnierzami, którym udało się przetrwać bitwę, nie doznawszy draśnięcia. Przyglądali się starym fotografiom nieodmiennie przedstawiającym ten sam widok: młodych, brudnych i zmęczonych mężczyzn w spodniach od munduru polowego i z identyfikatorami na szyi, którzy pozowali do zdjęcia w jakimś egzotycznym kraju, trzymając ręce na ramionach kolegów. Na zdjęciach tych widzieli siebie w otoczeniu własnych kumpli, walczących we własnej wojnie. To był ten test, jedyny, jaki miał znaczenie.

Sierżant Mike Goodale próbował kiedyś podczas pobytu na przepustce w Illinois wytłumaczyć to matce. Była pielęgniarką i nie mogła zrozumieć jego brawury.

– Po co ktokolwiek miałby chcieć wziąć udział w wojnie? – dociekała.

Goodale zapytał ją, jakby się czuła, gdyby po wszelkich szkoleniach przygotowujących ją do zawodu pielęgniarki, nigdy nie dano jej szansy na pracę w szpitalu. Tłumaczył, że wówczas czułaby się właśnie tak jak on.

– Człowiek chce sprawdzić, czy rzeczywiście nadaje się do tej roboty – wyjaśnił.

Zupełnie jak ci faceci z książek, którzy mogli udowodnić, na co ich stać. A teraz przyszła kolej na następne pokolenie rangersów. Ich pokolenie.

To, że żaden z ludzi czekających dziś w helikopterach nie wiedział o Somalii nawet tyle, by napisać o niej wypracowanie w ogólniaku, nie miało znaczenia. Bez wahania przyjęli szansę, jaką dała im armia. Walczący między sobą watażkowie tak spustoszyli kraj, że ludność umierała z głodu. Kiedy rządy innych państw przekazywały Somalii żywność, watażkowie konfiskowali ją, krwawo tłumiąc próby ich powstrzymania. Cywilizowany świat zatem postanowił pokazać, kto tu rządzi, i zaprosić najbardziej

niegrzecznych chłopców na tej planecie, aby wyrównali rachunki. Dobrze powiedziane. Niewiele rzeczy, które rangersi widzieli od swojego przyjazdu pod koniec sierpnia, mogło zmienić ten punkt widzenia. Mogadiszu przypominało postapokaliptyczny świat z „Mad Maxa" z Melem Gibsonem – świat, w którym rządziły wędrowne gangi uzbrojonych rzezimieszków. Przyjechali tu, aby zgromić najbardziej uciążliwych watażków, przywrócić ład i porządek.

Eversmannowi sama przynależność do rangersów od zawsze sprawiała radość. Nie był pewien, czy ma ochotę brać na swoje barki odpowiedzialność za innych, nawet tymczasowo. Wyróżnienie to dostał z braku innych kandydatów. Poprzedni sierżant został wezwany do domu z powodu choroby w rodzinie, a u faceta, który go zastąpił, ujawniła się epilepsja. Eversmann był następnym starszym stopniem oficerem z kolei. Przyjął zadanie z wahaniem. Tego ranka, pod czas mszy w kantynie modlił się żarliwie za misję.

Kiedy w końcu znaleźli się w górze, Eversmann tryskał energią i czuł, że rozpiera go duma na widok powietrznej armady. To była nowoczesna armia. Nad celem znajdowało się już wsparcie wywiadowcze, które, choć niewielkie w obliczu tego, na co Ameryka mogła sobie pozwolić, składało się z satelitów, osiągających wysoki pułap lotu samolotów szpiegowskich P3 orion oraz trzech helikopterów rozpoznawczych OH-58. Te ostatnie kształtem przypominały zaokrąglone z przodu śmigłowce Little Bird z tą różnicą, że powyżej wirnika głównego miały mniej więcej półtorametrowy kulisty „polip". Śmigłowce rozpoznawcze były wyposażone w kamery wideo oraz sprzęt radiowy, który miał transmitować na żywo przebieg akcji generałowi dywizji Garrisonowi oraz innym starszym oficerom w centrum operacyjnym na plaży. Filmowcy i pisarze mogli wyobrażać sobie szczytowe możliwości wojska Stanów Zjednoczonych, ale to tu miała uderzyć prawdziwa armia – dobrze naoliwiona, doskonale wyposażona maszyna bojowa z końca XX wieku. Najlepsi Amerykanie wybierali się na wojnę, a sierżant Matt Eversmannem był wśród nich[9].

2

Dotarcie do celu zajęło im tylko 3 minuty. W słuchawkach Eversmann miał dostęp do prawie wszystkich używanych częstotliwości, mógł między innymi nasłuchiwać sieć dowodzenia, łączącą dowództwo na ziemi z krążącymi w górze w śmigłowcu dowodzenia i nadzoru Matthewsem i Harrellem oraz z Garrisonem i wyższymi oficerami, którzy pozostali w centrum operacyjnym. Piloci mieli własną linię łączności z odpowiedzialnym za dowodzenie z powietrza Matthewsem, natomiast Delta i rangersi dysponowali osobnymi wewnętrznymi systemami łączności radiowej. Podczas akcji wszelkie inne częstotliwości w mieście były zagłuszane. Po dłuższym okresie zakłóceń Eversmann usłyszał równocześnie opanowane głosy różnych osób – to poszczególne oddziały przygotowywały się do desantu.

Zanim helikoptery black hawk zbliżyły się do miasta od północy, lecące przodem śmigłowce Little Bird znalazły się prawie nad celem. Wciąż jeszcze mogli zrezygnować z misji.

Ich niepokój nagle wzbudziły opony, które palono na ulicy nieopodal celu. Somalijczycy często wzniecali ogień, aby sprowadzić milicję. A jeśli zbliżali się w kierunku pułapki?

– „Te opony palą się już od dłuższego czasu czy dopiero je zapalili, odbiór?”[10] – zapytał pilot śmigłowca Little Bird.

– „Paliły się już, kiedy krążyliśmy tu rano” – odpowiedział pilot któregoś z helikopterów rozpoznawczych.

– „Dwie minuty”. – Eversmann usłyszał w słuchawkach głos pilota Super Six Seyen[11].

Śmigłowce Little Bird ustawiły się w pozycji przygotowującej je do manewru polegającego na nagłym wzniesieniu się w górę, a potem zanurkowaniu bezpośrednio nad domem stanowiącym cel ataku. Dzięki temu podczas lotu w dół ich wyrzutnie przeciwpancerne i karabiny będą skierowane ku dołowi. Jeden po drugim, kolejne jednostki powtarzały hasło oznaczające rozpoczęcie akcji – „Lucy”: Romeo Six Four – pułkownik Harrell, Kilo Six Four – kapitan Scott Miller, dowódca oddziału desantowego Delty, Barber Five One – doświadczony pilot, starszy chorąży Randy Jones w prowadzącym śmigłowcu szturmowym AH-6, Julia Six Four – kapitan Mike Steele, dowódca rangersów na pokładzie śmigłowca Duranta oraz Uniform Six Four – podpułkownik Danny McKnight, który nadzorował konwój przygotowany do ewakuowania wszystkich z miejsca akcji. Kolumna pojazdów była już kilka przecznic od celu.

– „Tutaj Romeo Six Seven do wszystkich jednostek. Lucy, Lucy, Lucy”.

– „Tutaj Kilo Six Four. Zrozumiałem, Lucy”.

– „Tutaj Barber Five One. Zrozumiałem, Lucy”.

– „Julia Six Four. Zrozumiałem, Lucy”.

– „Tutaj Uniform Six Four. Zrozumiałem, Lucy”.

– „Wszystkie jednostki, Lucy”.

Była piętnasta czterdzieści trzy. Dowódcy w centrum operacyjnym zobaczyli na ekranach zatłoczoną dzielnicę Mogadiszu – Bakarę. Ten rejon miasta był w znacznie lepszym stanie niż pozostałe. Charakterystyczny punkt stanowił hotel Olympic, pięciopiętrowy, biały kloc, który wyglądał, jakby powstał z ułożonych na sobie, prostokątnych bloków z kwadratowymi balkonami na każdym piętrze. Przecznicę dalej na południe stał kolejny, bardzo podobny do tego budynek. Oba rzucały cień na skrzyżowania, gdzie trasę Hawlwadig Road przecinały gruntowe uliczki, które w promieniach popołudniowego słońca przybrały rdzawopomarańczową barwę. Na podwórkach i pomiędzy mniejszymi domami rosły drzewa. Cel ataku znajdował się przy Hawlwadig Road, w odległości jednego kwartału od hotelu. Ten dwupiętrowy budynek także przypominał konstrukcję nałożonych na siebie bloków. Miał kształt litery L, płaski dach, a z przodu tylko jedną kondygnację. Po stronie południowej znajdowało się małe podwórko, a długi szereg domów okalał

wysoki kamienny mur. Przed domem, od strony Hawlwadig Road, przechodzili ludzie, jeździły samochody i wozy ciągnięte przez osły. Zwyczajne, niedzielne popołudnie. Cel ataku znajdował się w odległości zaledwie kilku przecznic od centrum najtłoczniejszego targowiska w mieście. Ludzie na dole, przez kilka ostatnich miesięcy przyzwyczajani do dźwięku przelatujących w górze śmigłowców, nie zwrócili uwagi na dwa helikoptery Little Bird, które zbliżały się z północy. W centrum operacyjnym dwa śmigłowce pojawiły się w górnej części ekranu, a następnie ostro skręciły na wschód i zniknęły z pola widzenia.

Żaden helikopter nie oddał strzału[12].

– Minuta – poinformował Eversmanna pilot Super Six Seven.

Tuż po ataku operatorów Delty na budynek rangersi mieli opuścić się na linach ze śmigłowców i utworzyć kordon opasujący cel ataku[13].

Komandosi Delty siedzieli na ławeczkach znajdujących się na zewnątrz zaokrąglonych kadłubów czterech śmigłowców MH-6 Little Bird, przy czym na każdy helikopter przypadało czterech żołnierzy. Nosili czarne obszerne kamizelki kuloodporne oraz plastikowe kaski hokejowe[14], w uszach mieli zatyczki, a pod kaskami zestawy słuchawkowe, dzięki którym utrzymywali ze sobą stały kontakt głosowy. Na ich mundurach nie było insygniów. Zbliżając się do celu, patrzyli w dół na uniesione w górę, przestraszone twarze mijanych ludzi, przyglądali się ich dłoniom, zachowaniu, starając się dociec, co czeka ich w momencie lądowania. Po pojawieniu się śmigłowców Little Bird przestraszony tłum rozproszył się, a samochody oddaliły w różnych kierunkach. Wiatr wywołany przez siłę wirników poderwał kolorowe suknie kobiet, a kilku przechodniów przewrócił. Ci rangersi, którzy wciąż byli w powietrzu, odnieśli wrażenie, jakby ludzie gestami zapraszali ich do lądowania i walki.

Pierwsze dwa śmigłowce Little Bird od razu wylądowały na południe od celu, w wąskiej, pożłobionej koleinami uliczce, podrywając grubą chmurę kurzu, która zupełnie przesłoniła widoczność zarówno pilotom, jak i siedzącym na ławkach żołnierzom. Jeden ze śmigłowców wylądował w miejscu przeznaczonym dla drugiego, tamten więc był zmuszony skręcić ostro w prawo, po czym wykonał szybki obrót w kierunku zachodnim i wylądował bezpośrednio przed celem.

Sierżant Norm Hooten, dowódca załogi czwartego śmigłowca Little Bird, obniżając lot, by zawisnąć w powietrzu, poczuł, że śmigło maszyny zadrasnęło ścianę budynku stanowiącego cel ataku. Stwierdziwszy, że helikopter jest w najniższym możliwym punkcie, Hooten i jego drużyna wykopali na zewnątrz linę i skoczyli, by zjechać w dół. To był najkrótszy fast-roping[15] w historii. Okazało się, że znajdowali się zaledwie 30 centymetrów nad ziemią.

Natychmiast pobiegli w stronę domu. Szturmowanie budynków było specjalnością Delty. Liczyła się przede wszystkim szybkość. Kiedy w wypełnionym po brzegi budynku nagle dały się słyszeć eksplozje, pojawił się dym i błyski ognia, zdezorientowani ludzie w środku wpadli w przerażenie. Zgodnie z logiką większość powinna paść na ziemię lub schować się w zakamarkach. Jeśli komandosi Delty dopadli ich w tym

stanie oszołomienia, niemal każdy wykonywał surowe, proste rozkazy bez szemrania. Rangersi widzieli już chłopaków z Delty podczas kilku operacji i zdążyli zauważyć, że ci poruszali się tak szybko i zdecydowanie, iż trudno było sobie wyobrazić, by komukolwiek mogło przyjść do głowy stawienie im oporu. Ale nawet kilka sekund robiło różnicę. Im więcej czasu atakowani mieli na zorientowanie się w sytuacji, tym trudniej było ich sobie podporządkować.

Pierwsza grupa szturmowa dowodzona przez sierżanta Matta Riersona wylądowała w południowej uliczce, po czym rzuciła na podwórko nieszkodliwe granaty hukowo-błyskowe i po otwarciu metalowej bramy wtargnęła do środka. Ludzie Riersona pokonali kilka schodów z tyłu budynku i natychmiast wbiegli do domu, krzycząc, by wszyscy padli na podłogę. Czteroosobowa grupa Hootena razem z ludźmi dowodzonymi przez sierżanta Paula Howe'a zbliżyła się do zachodniej strony budynku, która znajdowała się tuż przy Hawlwadig Road. Załoga Hootena wpadła do sklepu papierniczego Olympic. Na jego frontowej ścianie wymalowano kolorowe obrazki przedstawiające maszyny do pisania, długopisy, ołówki i inne materiały biurowe. W środku było sześciu czy siedmiu Somalijczyków, którzy natychmiast padli na podłogę i wyciągnęli przed siebie ramiona w odpowiedzi na wykrzyczane rozkazy. Hooten słyszał dobiegające z zewnątrz pojedyncze wystrzały, znacznie częstsze niż podczas wszystkich poprzednich misji. Załoga Howe'a wpadła do budynku obok. Umięśniony sierżant podciął nogi oszołomionemu, stojącemu tuż przed wejściem Somalijczykowi, powalając go na ziemię. Howe omiótł pomieszczenie samopowtarzalnym karabinem CAR-15, czarną bronią o futurystycznym wyglądzie z bagnetem z przodu. Szczególnie ważne było przejęcie natychmiastowej kontroli nad sytuacją. W pomieszczeniu, które okazało się hurtownią, znajdowały tylko worki i jakieś drobiazgi.

Członkowie obu grup wiedzieli, że szukają domu mieszkalnego, szybko więc wycofali się na ulicę. Pobiegli wzdłuż Hawlwadig Road w kierunku południowym i skręcili w lewo, kierując się na podwórze, gdzie dotarła już inna grupa operatorów. Kiedy mijali róg ulicy, w powietrzu wirowało coraz więcej pyłu. Zbliżały się śmigłowce black hawk.

W pierwszym lecieli dowódca Delty odpowiedzialny za dowodzenie akcją oraz grupa wsparcia. Ich helikopter zawisł w powietrzu jeden kwartał od celu, nad Hawlwadig Road, a kapitan Miller oraz inni komandosi z pokładu opuszczali się na linach w dół. Ta grupa, razem z załogą z następnego śmigłowca black hawk, miała stanowić drugą falę żołnierzy atakujących dom. Z tyłu natomiast zbliżały się cztery kolejne helikoptery transportujące rangersów, którzy mieli zająć pozycje po czterech stronach kwartału i utworzyć kordon wokół atakowanego budynku.

Kiedy wyrzucono liny ze śmigłowca Super Six Six, który zatrzymał się w powietrzu nad południowo-zachodnim narożnikiem kwartału, grupa desantowa Chalk Three zaczęła zjeżdżać na linach na ulicę dwójkami, po jednym żołnierzu z każdej strony helikoptera. Każdego rangersa wyskakującego ze śmigłowca mechanik żegnał okrzykiem „Odwagi!". Sięgający właśnie po linę sierżant Keni Thomas pomyślał: „Pieprz się, koleś. To nie ty tam idziesz"[16].

Pilot śmigłowca Super Six Seven zatrzymał maszynę w powietrzu wysoko nad Hawlwadig Road, dwa kwartały od celu, po czym zwrócił się do Eversmanna:

– Przygotujcie się do wyrzucenia lin.

Grupa desantowa Chalk Four, znajdująca się jakieś dwadzieścia metrów nad ziemią, dotychczas jeszcze nie próbowała opuszczać helikoptera metodą szybkiej liny z tej wysokości. Mimo odległości dzielącej ich od podłoża kurz przedostawał się przez otwarte drzwi. Eversmann czekał, aż pozostałych pięć helikopterów black hawk znajdzie się na wytyczonej pozycji. Miał wrażenie, że trwa to niebezpiecznie długo. Nawet wśród ryku silników i hałasu obracających się śmigieł mężczyźni wyraźnie słyszeli odgłosy wystrzałów. Nieruchomy black hawk stanowił łatwy cel. Nylonowe liny o grubości siedmiu i pół centymetra leżały w zwojach tuż przy wyjściu. Specjalista Dave Diemer czekał przy drzwiach po prawej stronie razem z sierżantem Caseyem Joyce'em. Na końcu kolejki, przy drzwiach z lewej strony stał najmłodszy z nich – Blackburn. Kiedy na rozkaz pilota kopnięciem zrzucili liny, jedna z nich spadła na samochód. To kosztowało ich kolejne cenne sekundy. Aby przeciągnąć linę na ziemię, pilot przesunął maszynę nieco do przodu.

– Jesteśmy trochę oddaleni od wyznaczonej pozycji – powiedział do Eversmanna. Znajdowali się przecznicę dalej na północ od przydzielonego im narożnika.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział sierżant przekonany, że na ziemi będzie bezpieczniej.

– Sto metrów od celu – ostrzegł pilot.

Eversmann uniósł kciuk.

Mężczyźni zaczęli wyskakiwać poganiani przez mechaników okrzykami: Dalej! Dalej!

Eversmann miał opuścić śmigłowiec jako ostatni. Kiedy zdjął słuchawki, natychmiast ogłuszył go hałas helikoptera oraz odgłosy eksplozji i strzałów na dole. Podczas misji zawsze nosił zatyczki do uszu, ale dziś zostawił je, wiedząc, że nałoży słuchawki. Zaczepił je o manierkę i sięgnął po gogle. Podekscytowanie wywołało mętlik w jego głowie, wszystkie jego ruchy stały się powolne. Zamierzał nałożyć gogle, a następnie, pomny na słowa mechanika, przed wyjściem zostawić słuchawki na fotelu. Ale cholerny pasek od gogli się urwał. Eversmann przez chwilę majstrował przy nim, ale ponieważ ostatni z jego ludzi opuścił już śmigłowiec, rzucił gogle i wyskoczył, wyrywając kabel od słuchawek z gniazdka w suficie i zabierając je ze sobą.

Nie zdawał sobie sprawy, że są aż tak wysoko. Droga w dół była znacznie dłuższa niż podczas treningów. Siła tarcia sprawiła, że grube, skórzane rękawice sierżanta się podarły. Teraz ten odcinek wydawał mu się dwa razy dłuższy, a ryzyko znacznie większe. Zbliżając się do podłoża, Eversmann dostrzegł coś poprzez kurz kłębiący się pod stopami. Jeden z jego ludzi leżał na plecach w miejscu, gdzie lina dotykała gruntu. Poczuł narastającą rozpacz. „A więc jednego już postrzelili!". Chwycił mocno linę, by uniknąć zderzenia z ciałem kolegi. To był jeden z młodych rangersów. Stopy Eversmanna dotknęły ziemi tuż obok leżącego. Po chwili o ziemię klapnęły skręcone liny wyrzucone przez mechaników z helikoptera. Kiedy black

hawk oddalił się i zrobiło się ciszej, a kurz zaczął opadać, poczuli piżmową woń miasta przypominającą zapach dojrzałego owocu[17].

Blackburn krwawił z nosa i uszu. Sanitariusz szeregowy Mark Good już się nim zajmował. Jedno oko chłopaka było otwarte, drugie zamknięte. Z ust płynęła krew, wydawał z siebie bulgoczący dźwięk. Był nieprzytomny. Good przeszedł szkolenie pierwszej pomocy w nagłych wypadkach, ale tym razem był bezsilny. Miał do czynienia z najpoważniejszym urazem od czasu przyjazdu do Somalii.

Chłopak nie został postrzelony, lecz z jakiegoś powodu nie zdołał złapać liny i spadł z helikoptera prosto na ulicę, dwadzieścia metrów niżej. Niedawno otrzymał nową funkcję pomocnika operatora karabinu maszynowego M60, miał więc przy sobie dużo amunicji i był cięższy niż podczas poprzednich misji i treningów, gdy ćwiczył zjazd metodą szybkiej liny. Prawdopodobnie to przyczyniło się do wypadku. Jednym z powodów mogła też być wyjątkowo duża dziś wysokość czy nawet samo podekscytowanie przed walką. Ranny najwyraźniej miał uszkodzone narządy wewnętrzne. Eversmann odsunął się na chwilę i szybko policzył swój oddział.

Hawlwadig Road miała około 14 metrów szerokości i, podobnie jak w całym Mogadiszu, walały się tu śmieci i gruz. Chmura pyłu przerzedziła się nieco, sierżant zobaczył więc, że jego ludzie, zgodnie z planem, zajęli miejsca przy pobrudzonych błotem ścianach, po obu stronach ulicy. Eversmann i Good zostali sami na środku drogi, przy Blackburnie. Było gorąco, a drobny piasek lepił się do nosa, uszu, a nawet oczu. Wokół świstały kule, ale, na szczęście, strzały Somalijczyków były niecelne. Co ciekawe, fakt, że są pod ostrzałem, nie od razu dotarł do sierżanta. Przelatujące blisko pociski powinny zwrócić uwagę, ale Eversmann był zajęty czym innym, by dostrzec atak. W końcu oprzytomniał. Kule wydawały głośny, kłapiący dźwięk, niczym łamane patyki orzesznika. Eversmann po raz pierwszy był pod ostrzałem. „A więc tak to wygląda". Ponieważ stanowił duży, nieosłonięty cel, postanowił znaleźć schronienie. Razem z Goodem wzięli Blackburna pod pachy, jednocześnie przytrzymując mu głowę, by unieruchomić szyję. Następnie przeciągnęli go na zachód od skrzyżowania i ukryli się za dwoma zaparkowanymi samochodami[18].

Eversmann krzyknął do radiooperatora, szeregowego Jasona Moore'a, by ten wezwał kapitana Mike'a Steele'a przez sieć łączności kompanii. Steele i dwóch poruczników, Larry Perino oraz Jim Lechner, opuścili się z helikoptera z pozostałymi żołnierzami z grupy desantowej Chalk One na południowo-wschodnim rogu wyznaczonego kwartału. Grupa Chalk Four zajmowała narożnik północno-zachodni. Mijały minuty. Moore, który był w znacznej odległości od sierżanta, odkrzyknął, że nie może połączyć się ze Steele'em.

– Jak to, nie możesz się połączyć?

Moore wzruszył ramionami. Ten ustawicznie żujący tytoń rozrabiaka z Prinston w New Jersey miał pod hełmem zestaw słuchawkowy pozwalający na rozmowę bez użycia rąk. Przed wyruszeniem na misję taśmą przymocował włącznik mikrofonu do karabinu. „Zgrabne", pomyślał. Ale kiedy zjeżdżał z helikoptera w dół, przez nieuwagę zahaczył przewodem o linę. Kabel uległ zniszczeniu na skutek siły tarcia. Moore jednak

jeszcze tego nie zauważył i nie miał pojęcia, dlaczego nikt nie reaguje na jego zabiegi o nawiązanie łączności[19].

Eversmann spróbował połączyć się przez krótkofalówkę. Steele nie odpowiadał, ale po kilku próbach usłyszał porucznika Perina. Pamiętając o tym, że to ich pierwsza walka, a on po raz pierwszy objął dowództwo, starał się mówić powoli i wyraźnie. Wyjaśnił, że Blackburn spadł, jest poważnie ranny i trzeba go zabrać z miejsca akcji. Dawał do zrozumienia, że sprawa jest pilna, a równocześnie nie chciał wszczynać paniki.

– Powtórz – odpowiedział Perino.

Głos sierżanta był chwilami ledwie słyszalny. Eversmann powtórzył komunikat. Nastąpiła przerwa. A potem znów usłyszał Perina:

– Powtórz, odbiór.

Eversmann zaczął krzyczeć: „Człowiek jest ranny, musimy go stąd jak najszybciej wydostać!".

– Spokojnie – odpowiedział Perino.

To rozwścieczyło Eversmanna. „Zaraz zdejmie mnie jakiś snajper"[20], pomyślał.

Rozmowa ta poskutkowała przybyciem dwóch sanitariuszy Delty którzy biegli teraz w górę Hawlwadig Road. Sierżanci Kurt Schmid oraz Bart Bullock, bardziej doświadczeni od Gooda, natychmiast zaczęli mu pomagać. Schmid umieścił w gardle Blackburna rurkę, która miała usprawnić oddychanie. Bullock wbił igłę w ramię chłopaka, by podłączyć kroplówkę[21].

Tymczasem strzelanina się nasilała. Oficerowie obserwujący akcję na ekranach w centrum operacyjnym czuli się, jakby włożyli kij w mrowisko. Oglądanie na żywo relacji z bitwy było niesamowitym, a zarazem przerażającym przeżyciem. Kamery w górze filmowały tłumy Somalijczyków, którzy wznosili barykady i podpalali opony, by sprowadzić pomoc. Na ulice wyległy tysiące, przeważnie uzbrojonych, ludzi. Nadbiegali z różnych części miasta w kierunku targowiska w dzielnicy Bakara, gdzie duża grupa krążących w górze helikopterów wyraźnie zaznaczała miejsce walki. Z odległych rejonów miasta nadjeżdżały pojazdy pełne uzbrojonych mężczyzn. Największa grupa zdawała się napływać z północy. Tłum podążał bezpośrednio w kierunku miejsca, gdzie przebywali teraz Eversmann i jego grupa desantowa Chalk Two, która ubezpieczała północno-wschodni narożnik.

Ludzie Eversmanna rozproszyli się i zaczęli strzelać we wszystkich kierunkach, poza miejscem, gdzie stał szturmowany przez Deltę budynek. Po przeciwnej stronie ulicy od opatrujących Blackburna sanitariuszy sierżant Casey Joyce strzelał z M16 w kierunku rosnącego tłumu na północy. Somalijczycy wychodzili grupkami, po dwunastu lub więcej, zza rogów kilka przecznic dalej, inni wypadali nagle z pobliskich uliczek, oddawali strzały i się chowali. Choć bali się uzbrojonych Amerykanów, podchodzili coraz bliżej. Rangersów ograniczały zasady walki, zgodnie z którymi mogli strzelać tylko do osób celujących do nich z broni, jednak przestrzeganie tych zasad nie było możliwe. W ich kierunku padały strzały, a na końcu ulicy widzieli

Somalijczyków z bronią. Niestety, ludzie z karabinami wmieszali się w tłum nieuzbrojonych, wśród których byli kobiety i dzieci. Zachowanie Somalijczyków budziło zdziwienie. Z reguły osoby niebiorące udziału w walce uciekały po usłyszeniu pierwszych strzałów i wybuchów. W Mogadiszu wszyscy przybywali tłumnie w miejsce, w którym pojawił się chaos. Mężczyźni, kobiety, dzieci, nawet osoby starsze i niedołężne. Wszyscy nagle chcieli być świadkami wydarzeń. Rangersi, którzy przyczaili się przy murze po obu stronach ulicy, bezgłośnie błagali gapiów, by się wynieśli.

Nic nie przebiegało zgodnie ze scenariuszem nakreślonym przez Eversmanna. Jego grupa wciąż znajdowała się przecznicę dalej na północ od wyznaczonej pozycji. Wcześniej myślał, że po znalezieniu się na ziemi przebiegną na właściwe miejsce, ale upadek Blackburna oraz nieoczekiwana strzelanina uniemożliwiły to. Czas płatał im figle. Trudno to zrozumieć komuś, kto tam nie był. Wydarzenia następowały w zawrotnym tempie, ale ponieważ szybkość postrzegania Eversmanna zmieniła się, sekundy wydawały się minutami. Nie miał pojęcia, jak długo już tam byli. Dwie minuty? Pięć minut? Dziesięć? Trudno było uwierzyć, że w tak krótkim czasie zapanowało piekło.

Wiedział, że operatorzy Delty się spieszą. Co chwila odwracał się, by sprawdzić, czy zbliża się konwój. Było na to za wcześnie, ale i tak oglądał się z nadzieją, ponieważ pojawienie się konwoju oznaczałoby, że akcja ma się ku końcowi. Obróciwszy się kilkanaście razy, w końcu zobaczył, że zza rogu, jakieś trzy przecznice w dół ulicy, wytacza się hummer prowadzący kolumnę. Co za ulga. „Może chłopaki z Delty już skończyły i będziemy mogli się stąd wynieść”[22], pomyślał.

Schmid, sanitariusz Delty, który właśnie skończył badać Blackburna, był zaniepokojony. Chłopak miał poważny uraz głowy, a z tyłu na szyi wyrósł pokaźny guz. To mogło być złamanie. Schmid spojrzał na Eversmanna.

– Trzeba wynieść go stąd na noszach, sierżancie. Natychmiast. Inaczej umrze[23].

Eversmann znów połączył się z Perinem.

– Słuchaj, jeśli chłopak ma przeżyć, musimy go stąd zabrać. Możesz przysłać tu jakiś transport?

Nie, żaden z hummerów nie mógł do nich podjechać. Eversmann przekazał wiadomość sanitariuszowi Delty.

– Sierżancie, musimy go wywieźć – powtórzył Schmid.

Eversmann wezwał więc dwóch sierżantów ze swojego oddziału, Caseya Joyce’a oraz Jeffa McLaughlina, starając się przekrzyczeć nasilające się odgłosy walki.

– Musicie zanieść Blackburna do pojazdów, które stoją w pobliżu atakowanego domu.

Rozłożyli nosze i ułożyli na nich Blackburna. Zabrało go pięciu mężczyzn: Joyce i McLaughlin szli z przodu, Bullock i Schmid z tyłu, Good biegł obok, trzymając worek z kroplówką podłączoną do ramienia

chłopaka. Biegli pochyleni. McLaughlin nie wierzył, że Blackburn się z tego wykaraska. Leżał na noszach bezwładnie, wciąż krwawiąc z nosa i ust. Mimo nawoływań: „Wytrzymaj! Wytrzymaj!", wyglądało na to, że przestał walczyć o życie. Co chwilę musieli kłaść nosze na ziemi, aby odpowiedzieć ogniem na strzały. Robili kilka kroków, odkładali Blackburna, strzelali, podnosili go, nieśli kilka metrów i znowu kładli.

– Musimy coś zrobić, żeby hummery podjechały do nas – powiedział Schmid. – Jeśli będziemy tak cały czas podnosić i kłaść nosze, zabijemy go.

Joyce zgłosił się na ochotnika i pobiegł ściągnąć któregoś hummera[24].

3

Oficerom w centrum operacyjnym, którzy śledzili przebieg akcji na ekranach i przysłuchiwali się rozmowom w głośnikach, wydawało się, że na razie wszystko przebiega pomyślnie. Centrum operacyjne ulokowano w dwupiętrowym, pobielanym wapnem budynku przylegającym do hangaru w bazie lotniczej grupy zadaniowej rangersów. Po jednej stronie dachu, z którego sterczało tyle anten i drutów, że żołnierze nazywali go „jeżozwierzem", znajdowało się wgniecenie, pamiątka po pocisku z moździerza. Z długiego korytarza na parterze wchodziło się do trzech pomieszczeń, w których starsi oficerowie ze słuchawkami na uszach uważnie obserwowali przebieg misji na ekranach monitorów. Generał dywizji Garrison, żując cygaro, śledził akcję z tylnej części pokoju operacyjnego. Wyświetlane w kolorze obrazy walki pochodziły z kamer samolotu szpiegowskiego orion oraz śmigłowców zwiadowczych. Oficerowie w centrum operacyjnym mogli też prowadzić nasłuch pięciu czy sześciu częstotliwości radiowych. Garrison i jego ludzie prawdopodobnie mieli bardziej aktualne informacje o walce niż jakikolwiek dowódca w historii, ale i tak niewiele mogli zobaczyć czy podsłuchać. Dopóki wszystko przebiegało zgodnie z planem, dopóty decyzje musieli podejmować żołnierze biorący bezpośrednio udział w walce. Zadaniem generała było utrzymanie kontroli nad sytuacją i zaplanowanie kolejnych działań. Gdyby coś było nie tak, mógł skontaktować się ze stacjonującymi w Mogadiszu siłami ONZ. W bazie ONZ czekały oddziały z 10. Dywizji Górskiej – trzy regularne kompanie o różnym stopniu gotowości. Na razie jednak takiej potrzeby nie było. Poza jednym rannym rangersem misja przebiegała pomyślnie. Mniej więcej w tym czasie, gdy przekazano wiadomość o upadku Blackburna, operatorzy Delty poinformowali przez radio, że znaleźli poszukiwanych mężczyzn wewnątrz szturmowanego budynku. Akcja miała skończyć się powodzeniem.

Wysłanie żołnierzy w biały dzień do dzielnicy Bakara zwanej „Czarnym Morzem Aidida" było przedsięwzięciem ryzykownym. Pobliskie targowisko stanowiło centrum świata klanu Habr Gidr. Szturm na budynek znajdujący się tuż obok był policzkiem wymierzonym watażce. Siły ONZ stacjonujące w Mogadiszu, w których skład wchodzili głównie Pakistańczycy, ponieważ oddziały piechoty morskiej U.S. Marines wycofały się w maju, nie wybrałyby się do tej części miasta[25]. Było to jedyne miejsce w całym Mogadiszu, gdzie ludzie Aidida byli w stanie rozpętać zaciekłą walkę w krótkim czasie. Garrison zdawał sobie sprawę z

niebezpieczeństwa. Waszyngton nie przyjąłby do wiadomości wielu strat po stronie amerykańskiej. W notatce napisanej przed zaledwie kilkoma tygodniami Garrison ostrzegał:

„Jeśli podejdziemy w pobliże targowiska w dzielnicy Bakara, niewątpliwie wygramy strzelaninę, ale możemy przegrać wojnę”[26].

Czas akcji też przyczyniał się do zwiększenia ryzyka. Ludzie Garrisona woleli pracować w nocy. Helikopterami kierowali wyborowi piloci z 160. Pułku Lotniczego Operacji Specjalnych (160th SOAR), którzy nazywali siebie Nocnymi Łowcami[27]. Specjalizowali się w lotach w czarną, bezksiężycową noc, kiedy to dzięki noktowizorom mogli poruszać się równie sprawnie jak w środku dnia. Piloci jednostki brali udział prawie w każdej operacji sił lądowych Stanów Zjednoczonych od czasów wojny wietnamskiej. W czasie wolnym od walki doskonalili swoje i tak już znaczne umiejętności. Nie bali się niczego. Potrafili wlecieć w miejsca tak ciasne, że gdyby ktoś spróbował umieścić tam helikopter przy użyciu dźwigu, okazałoby się to niemożliwe. Ciemność sprzyjała operatorom Delty i rangersom, sprawiała, że ich szybkość i precyzja stawały się jeszcze bardziej śmiercionośne[28]. Noc dawała im kolejną przewagę. Wielu Somalijczyków, a zwłaszcza młodzi mężczyźni, którzy krążyli po Mogadiszu w improwizowanych pojazdach bojowych (tak zwanych wozach technicznych wyposażonych w karabiny maszynowe M2[29]) było uzależnionych od czuwaliczki jadalnej, zwanej tutaj khatem. Roślina ta, wyglądem przypominająca nieco rukiew wodną, zawiera pewną ilość amfetaminy. Większość tubylców zaczynała żuć khat około południa, toteż późnym popołudniem byli już pod jej działaniem – czuli się naładowani energią, podenerwowani, zniecierpliwieni, skorzy do czynów. Wieczorem z kolei miłośnicy khatu padali wykończeni. Zatem dzisiejsza misja odbywała się w najgorszym możliwym miejscu w Mogadiszu i w najgorszym możliwym czasie[30].

Mimo to szansa schwytania dwóch najważniejszych ludzi Aidida za jednym zamachem była zbyt kusząca, by ją zmarnować. Trzy poprzednie akcje poszły gładko. Ryzyko było wpisane w ten zawód. W końcu odwagi im nie brakowało, to dzięki niej się tu znaleźli.

Somalijczycy do tej pory byli świadkami sześciu wypadów, zatem mniej więcej wiedzieli, czego się spodziewać. Mimo to grupa operacyjna dołożyła wszelkich starań, by utrzymać tubylców w niepewności. Trzy razy dziennie, bez względu na to, czy mieli przeprowadzić akcję, czy nie, Garrison pakował ludzi do helikopterów i wysyłał nad miasto. Na początku rangersi uwielbiali te podniebne przejażdżki, podczas których, wciśnięci w fotele na tyłach black hawków, wyobrażali sobie, że walczą o życie. Posiadający niezwykłe zdolności Nocni Łowcy nurkowali nisko i szybko, a skręcali tak ostro, że lecący z nimi rangersi czuli się, jakby ich narządy wewnętrzne przesuwały się na jedną stronę ciała. Nieraz przemykali nad ulicą tuż poniżej linii dachów. Wówczas po obu stronach drogi było widać sylwetki ludzi majaczące za chmurą pyłu. Już za moment podrywali się kilkaset metrów w górę tylko po to, by z wrzaskiem pomknąć znowu w dół. Kapral Jamie Smith napisał do rodziny w Long Valley w stanie New Jersey, że loty te były „jak jazda ogromną kolejką górską w wesołym miasteczku!”. Jednak po jakimś czasie nawet one spowszedniały.

Garrison był ostrożny i starał się różnicować taktykę. Zazwyczaj nadlatywali helikopterami i wracali w pojazdach, ale czasem nadjeżdżali samochodami, by wrócić w śmigłowcach, czasem zarówno nadlatywali, jak i oddalali się w helikopterach. Schemat się zmieniał. Poza tym, co najważniejsze, oddziały były naprawdę dobre: doświadczone i świetnie wyszkolone.

Wiele razy byli już o włos od pojmania Aidida, ale nie udało się. Niemniej schwytanie go nie było ich jedynym celem. Podczas sześciu poprzednich misji zaszczepili strach w ludziach kacyka, a w ostatnim czasie zaczęli wyłapywać jego najważniejszych popleczników. Garrison uważał, że radzili sobie świetnie i nie zważał na doniesienia w prasie, kiedy to jego żołnierzy nazwano partaczami. Gdy przez nieuwagę na jednej z pierwszych misji aresztowali grupę pracowników ONZ („pracownicy" zostali przyłapani w zakazanej strefie z towarami zakupionymi na czarnym rynku), gazety ochrzciły ich mianem Keystone Kops, nawiązując do popularnego niegdyś w Stanach serialu o nieudolnych policjantach. Garrison skopiował te artykuły i powiesił w hangarze. To jeszcze bardziej zirytowało chłopaków, ale dla opinii publicznej i urzędników w Waszyngtonie, dla których niezmiernie ważne było to, co mówią w CNN, grupa operacyjna była jedynie bandą frajerów. Zlecono im pozornie łatwe zadanie pojmania somalijskiego hochsztaplera i watażki Mohameda Farraha Aidida lub, gdyby to się miało nie powieść, zlikwidowanie jego organizacji, tymczasem od sześciu tygodni nie odnotowano wyraźnego sukcesu. Waszyngton tracił cierpliwość, a presja stawała się coraz większa[31].

Rankiem Garrison rozmyślał o tym w biurze. To było jak próba odbicia podkręconej piłki z przepaską na oczach. Dysponował siłami wystarczającymi, by napaść na budynek – jakikolwiek budynek – w Mogadiszu w zaledwie kilka minut. To nie było pierwsze lepsze wojsko. Byli szybsi, silniejsi, bardziej inteligentni i bardziej doświadczeni niż jakikolwiek żołnierz na świecie.

Wystarczyło wskazać pierwszy budynek, a żołnierze z Delty przejęliby go tak szybko, że źli faceci w środku leżeliby związani, zanim jeszcze rozległby się huk błyskdymek[32] i zanim dźwięk wyważonych drzwi przebrzmiałby w ich uszach. Mogli załadować całą tę bandę do ciężarówki czy helikoptera, nim milicja z dzielnicy zdążyłaby naciągnąć spodnie. Do tego byli zdolni ludzie Garrisona. Co więcej, często równocześnie robili kolorowe nagranie całej operacji dla celów szkoleniowych i by się pochwalić po powrocie do Pentagonu. Nie mogli jednak przystąpić do działania dopóty, dopóki informatorzy w mieście nie wskażą im tego cholernego budynku.

Przez trzy noce z rzędu szykowali się do ataku na dom, w którym podobno miał pojawić się Aidid, o czym donosili szpiedzy generała. Za każdym razem nie udawało się go znaleźć.

Garrison od pierwszego dnia wiedział, że będzie miał problem z wywiadem. Pierwotny plan przewidywał współpracę z odważnym szpiegiem, Somalijczykiem, który miał dobre kontakty i stał na czele tutejszej siatki operacyjnej CIA. Jego zadaniem było wręczenie Aididowi eleganckiej, ręcznie wykonanej laski z ukrytym nadajnikiem w środku. Plan wydawał się idealny, lecz w pierwszy dzień po przybyciu na miejsce Garrison dowiedział się od dowódcy swoich ludzi, podpułkownika Dave'a McKnighta, że ich najważniejszy

informator strzelił sobie w głowę podczas gry w rosyjską ruletkę – durnej zabawy, popularnej wśród ludzi, którzy zbyt długo wiedli niebezpieczne życie.

– Nie zabił się – relacjonował McKnight. – Ale jesteśmy udupieni.

Współpraca z miejscowymi miała wady.

Mało kto wiedział o tym lepiej niż Garrison, który stanowił żywy obraz wojskowego twardziela. Miał siwe, krótko ostrzyżone włosy, nosił kamuflaż pustynny i ciężkie buty wojskowe, w przewieszonej przez ramię kaburze trzymał pistolet M9, a w kąciku ust nieodłączne cygaro. Wojował od prawie trzydziestu lat, mimo to był jednym z najmniej znanych ważnych oficerów armii amerykańskiej. Przeprowadzał tajne operacje na całym świecie; w Azji, na Bliskim Wschodzie, w Afryce, Ameryce Środkowej i Południowej, na Karaibach. Wszystkie misje miały wspólną cechę – ich powodzenie zależało od współpracy z miejscową ludnością.

Ponadto odpowiedzialny za misję dowódca musiał twardo stąpać po ziemi. Generał był niepoprawnym cynikiem. Wykonywał swoje obowiązki i nie oczekiwał wiele. Jednak dla swoich ludzi był wymagający. Jego szorstka bezpośredniość pasowała do oficera, który rozpoczął karierę jako prosty szeregowiec, a nie jako absolwent akademii wojskowej. Dwukrotnie służył w Wietnamie, angażując się tam w realizację brutalnego, okrytego złą sławą programu Feniks, w którego ramach zlokalizowano i zabito wioskowych przywódców Wietkongu[33]. Przeżycie to mogłoby sprowadzić na ziemię każdego idealistę. Garrison awansował do stopnia generała dywizji bez potrzeby uczestniczenia w życiu politycznym, w którym należało używać wdzięcznych eufemizmów i częstych niedomówień. Jako szczery realista, unikał przepychu i pretensjonalności, które towarzyszyły życiu wojskowych wyższego szczebla. Nieodłącznym elementem żołnierki była walka – zabijanie tych, którzy mogą zabić ciebie. Tu liczyła się umiejętność użycia siły i podstępu w niebezpiecznym świecie. Wojaczka to także życie w brudzie, sranie w lesie, spartańskie warunki, liczne trudności i śmiertelne ryzyko. Krótko mówiąc, paskudna robota. Mimo to niektórzy ją lubili, a nawet poświęcili jej życie. Garrison był jednym z nich. Skwapliwie przyjmował jej okrucieństwo. Mógłby powiedzieć: „Ten człowiek musi umrzeć". Tak po prostu. Niektórzy ludzie musieli umrzeć. Takie były prawa tego świata. Nic nie cieszyło Garrisona bardziej niż dobrze przeprowadzony atak, a jeśli robiło się zbyt gorąco i trzeba było pokazać, kto tu rządzi, wówczas należało rozpętać piekło. Po co ktoś miałby być żołnierzem, jeśli nie cieszyłaby go burząca krew w żyłach, zacięta strzelanina? Jego cieszyła, był fachowcem.

Wzbudzał lojalność i przywiązanie dzięki temu, że potrafił żartować z samego siebie. Gdy snuł jakąś historię – a był wspaniałym gawędziarzem – w puencie często stawiał się w pozycji ofiary. Uwielbiał opowiadać o tym, jak dołożył starań, by wynająć kapelę rockową (wykładając pięć tysięcy dolarów z własnej kieszeni), która miała zapewnić rozrywkę jego podwładnym podczas kilkumiesięcznej misji pokojowej na pustyni Synaj, po czym jakiś nieświadomy sytuacji żołnierz wesoło oznajmił mu, że kapela jest „do dupy". Po opowiedzeniu puenty przesuwał koniec cygara do drugiego kącika ust i uśmiechał się z zażenowaniem. Potrafił żartować z własnych ambicji, co nie było częste w armii. „Jeśli będziecie powtarzać te bzdury – mawiał do swoich oficerów – jak mam kiedykolwiek zostać generałem?". Wspinając się po szczeblach kariery

prowadzącej do JSOC (Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych), przez pewien czas piastował stanowisko dowódcy w Delcie. Kiedy w połowie lat osiemdziesiątych przybył do Bragg jako świeżo awansowany pułkownik, jego wygląd, a dokładniej krótko ostrzyżone włos, wzbudziły podejrzliwość i pogardę wśród chłopaków z Delty, którzy nosili typowe dla cywilów fryzury z włosami podciętymi poniżej uszu, zarost, a nawet bokobrody. Jednak niedługo po objęciu nowego stanowiska Garrison uratował im tyłki. Kilku tajnych „superżołnierzy" zostało przyłapanych na dorabianiu sobie na boku. Pobierali środki finansowe na tajne, międzynarodowe misje zarówno od armii, jak i Departamentu Stanu. W wyniku skandalu cała jednostka mogła zostać rozwiązana, zwłaszcza że i tak wielu starszych oficerów z tradycyjnych oddziałów nią gardziło. Nowy pułkownik z „jeżem" na głowie mógłby zyskać kilka punktów i zwiększyć szanse na awans, publicznie wyrażając oburzenie i wyrzucając winnych. Zamiast tego Garrison położył na szali swoją karierę, stając w obronie jednostki i nakładając karę jedynie na osoby, które dopuściły się największych nadużyć. Wybiegiem tym uratował skórę wielu fachowcom, a jego ludzie nie zapomnieli mu tego. Z czasem jego niefrasobliwy, teksański styl bycia oraz subtelna pewność siebie udzieliły się całej jednostce. Zdarzało się, że chłopcy z przedmieść New Jersey po kilku tygodniach w Delcie zaczynali nosić buty ze spiczastymi czubkami, żuli tytoń i przeciągali głoski jak kowboje.

Garrison przebywał w centrum operacyjnym od pięciu tygodni. Większość czasu spędzał w małym prywatnym biurze obok pokoju operacyjnego, gdzie mógł wyciągnąć długie nogi, oprzeć wysokie buty o blat biurka i odizolować się od wszelkiego hałasu. W przypadku takiej akcji jak ta hałas był jednym z największych problemów. Trudno było odróżnić ważne sygnały od innych dźwięków. W pokoju generała nie było żadnych rzeczy związanych z życiem prywatnym, takich jak zdjęcia rodzinne czy pamiątki. W każdej chwili mógł opuścić budynek i nie pozostawić po sobie żadnych śladów.

Mieli wykonać robotę i zniknąć. Do tego czasu musieli pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Za budynkiem stała przyczepa, w której generał co jakiś czas robił sobie mniej więcej pięciogodzinną drzemkę. Poza tym większość czasu spędzał na stanowisku dowodzenia – opanowany i gotowy na atak.

Tak też było poprzedniej nocy. Najpierw otrzymali informację, że Aidid, którego kryptonim brzmiał „Miś Yogi", jest w dzielnicy nazywanej Morzem Czarnym, na terenie zamkniętym należącym do Sheika Adena Adery. Miejscowy szpieg usłyszał o tym od pracującego tam służącego. Zatem kamery z oriona, starego, dużego samolotu szpiegowskiego z napędem śmigłowym, który niemal bezustannie krążył wysoko nad Mogadiszu, zrobiły zbliżenie obszaru, a niewielkie śmigłowce zwiadowcze wzbiły się nad miasto. Żołnierze założyli na siebie cały sprzęt. Teren Adena Adery był jednym z zaplanowanych wcześniej celów, zatem mobilizacja nie zajęła dużo czasu. Niemniej mogli przystąpić do akcji dopiero wtedy, gdy otrzymają potwierdzenie od informatorów. Tak zadecydował Garrison. Zaliczyli już za dużo kompromitujących wpadek. Generał chciał, by przed rozpoczęciem akcji dwaj somalijscy szpiedzy, którzy wejdą do dzielnicy, rzeczywiście zobaczyli Aidida. Wówczas mieli zostawić przy odpowiednim budynku lampę stroboskopową emitującą światło podczerwone. Udało im się dotrzeć w to miejsce, ale opuścili je, nie wypełniwszy żadnego z zadań. Tłumaczyli później, że było tam aż czterdziestu strażników, więcej niż zwykle. Upierali się, że Aidid znajdował

się w okolicy, zatem rangersi powinni zacząć działać. Garrison nalegał, by jeden z nich wrócił tam ze światłem podczerwonym, znalazł pieprzonego Misia Yogi i zaznaczył to cholerne miejsce. Dopiero teraz powiedzieli, że nie mogą wrócić. Minęła już godzina dwudziesta pierwsza, było ciemno, a bramy zamknięto na noc. Strażnicy zażądaliby hasła, którego szpiedzy nie znali.

Najwyraźniej mieli pecha. Garrison niechętnie odwołał kolejną misję. Piloci zatrzymali silniki helikopterów, a żołnierze zdjęli z siebie sprzęt i wrócili do łóżek.

Wówczas pojawiły się nowe wieści. Ci sami somalijscy szpiedzy donieśli, że Aidid opuścił zamknięty teren w konwoju składającym się z trzech pojazdów z wyłączonymi światłami, które jechały na zachód w stronę hotelu Olympic. Jeden z informatorów śledził konwój, ale niestety stracił go z oczu, kiedy pojazdy skręciły na północ, w stronę ulicy October 21st Road. Informacja wydawała się ważna, jednak dwa śmigłowce OH-58, które nadal krążyły nad miastem, nic nie zauważyły. Dzięki kamerom z noktowizorem obserwowany teren widać było prawie tak wyraźnie, jak w biały dzień, z tą różnicą, że słoneczne światło zastąpiła zielona poświata. Niestety ani załoga helikopterów, ani ludzie przed ekranami w centrum operacyjnym niczego nie dostrzegli!

„W rezultacie można było odczuć zniechęcenie w [miejscowej siatce szpiegowskiej] oraz w grupie operacyjnej" – napisał odręcznie tego ranka Garrison, siedząc przy biurku w centrum operacyjnym. W ten sposób dał upust frustracji, która narastała w nim przez ostatnie czterdzieści trzy dni. Notatka była zaadresowana do generała piechoty morskiej Josepha Hoara, jego dowódcy w CENTCOM-ie[34].

„Zasadniczo członkowie [miejscowej siatki szpiegowskiej] zdają się wierzyć, że raport z drugiej ręki, od osoby, która nie jest członkiem grupy operacyjnej, powinien wystarczyć. Ja tak nie uważam. Ponadto jeśli informacja pochodząca z [miejscowej siatki szpiegowskiej] nie jest zgodna z tym, co widzi załoga naszych helikopterów (obraz rejestrowany przez śmigłowce widzimy w centrum operacyjnym), oczywiste jest, że podejmując decyzję, biorę pod uwagę przede wszystkim to, co widzę, a nie relacje informatorów. Wydarzenia podobne do tych z poprzedniej nocy, kiedy to Zespół 2 utrzymywał, że Aidid właśnie opuścił zamknięty teren w konwoju składającym się z trzech pojazdów, podczas gdy żaden z nas tych pojazdów nie widział, nie wpływają dobrze na nasze morale".

Zbyt wiele razy znaleźli się o włos od porażki. Okresy bezczynności pomiędzy akcjami nazbyt się wydłużały. W ciągu sześciu tygodni wypełnili tylko sześć misji, przy czym większość z nich nie była spektakularnym sukcesem. Po pierwszym ataku, kiedy aresztowali dziewięciu pracowników ONZ w Lig Ligato, urzędnicy w Waszyngtonie rwali włosy z głowy. Przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów Colin Powell powiedział później: „Szlag mnie trafił". Stany Zjednoczone wystosowały publiczne przeprosiny, a pojmanych bezzwłocznie zwolniono.

Grupa szturmowa 14 września zaatakowała dom, który okazał się siedzibą Ahmena Jilao – somalijskiego generała, bliskiego sprzymierzeńca ONZ oraz człowieka przygotowywanego do roli dowódcy planowanych somalijskich sił policyjnych. Zniecierpliwieni żołnierze chcieli w końcu kogoś zaatakować.

Kogokolwiek. Wystarczył więc jeden impuls, by sprowokować ich od ataku. Kiedy jeden z rangersów zgłosił, że widział Aidida w konwoju pojazdów przed ambasadą Włoch, zmobilizowano oddział szturmowy, który aresztował nieźle wystraszonego generała Jilao oraz trzydziestu ośmiu towarzyszących mu ludzi. Znów trzeba było przepraszać. Wszyscy „podejrzani" zostali zwolnieni. W depeszy do urzędników w Waszyngtonie, zawierającej szczegóły tego niefortunnego posunięcia, amerykański delegat Robert Gosende napisał: „Liczymy się ze szkodami, jakie powstały w zaatakowanych budynkach (...). Generał Jilao otrzymał przeprosiny od wszystkich zainteresowanych osób. Nie wiemy, czy osobą, którą mylnie uznano za generała Aidida, był generał Jilao. Trudno byłoby pomylić te dwie osoby. Jilao ma dużo jaśniejszą cerę. Aidid jest szczupły i posiada ostre, podobne do semickich rysy twarzy. Jilao jest raczej przy kości i ma okrągłą twarz (...). Martwimy się, czy informacja o tym wydarzeniu nie przedostanie się do prasy".

Informacja nie znalazła się w mediach, ale w osobom z oficjalnych kręgów grupa zadaniowa znów przypominała nieudolnych policjantów z filmu „Keystone Kops". Nie miało znaczenia, że każda z tych misji, choć piekielnie trudna i niebezpieczna, została mistrzowsko zrealizowana. Ponadto nikt nie został poważnie ranny. Nie doceniono też, że podczas ostatniego wypadu schwytali Osmana Atto, człowieka ze ścisłego kręgu najbliższych współpracowników Aidida, czuwającego nad finansami watażki. Ludzie z Waszyngtonu niecierpliwili się. Kongres chciał, by żołnierze wrócili do domów, a administracja Clintona zamierzała zdjąć Aidida z piedestału i pozbawić go roli człowieka dyktującego warunki w Somalii. Z sierpnia zrobił się wrzesień, po wrześniu przyszedł październik. Każdy kolejny dzień zwłoki oznaczał coraz większe zniecierpliwienie Amerykanów i reszty świata. Wszyscy czekali na obalenie sprawiającego kłopoty watażki z Mogadiszu, człowieka, którego Madeleine K. Albright, ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ, nazwała „zbirem".

Garrison nie mógł pozwolić sobie na kolejne błędy, nawet jeśli ostrożność miała oznaczać zmarnowanie okazji. Wiedział, że zwierzchnicy, a nawet niektórzy z jego ludzi, zarzucali mu niepewność dotyczącą organizacji kolejnych misji. Jednak czego można było się spodziewać przy tak zawodnej siatce wywiadowczej?

„Przed wyruszeniem na akcję z reguły muszą być spełnione następujące warunki: [członek miejscowej siatki szpiegowskiej] informuje, że zauważył Aidida lub jego adiutantów, następnie zdjęcie zrobione z naszego helikoptera podczas wstępnego rozpoznania potwierdza doniesienie szpiega, przy czym raport informatora jest nadal aktualny", napisał Garrison w notatce do Hoara. „Nie ma takiego miejsca w Mogadiszu, gdzie moglibyśmy nie odnieść zwycięstwa w walce. Jednak jest mnóstwo takich, gdzie możemy pójść tylko po to, by się ośmieszyć"[35].

Tymczasem dzisiaj rano, niczym manna z nieba, przyszła wiadomość, że twarde warunki generała zostały spełnione.

W każdy niedzielny poranek członkowie klanu Habr Gidr gromadzili się na drodze Via Lenin, gdzie obrzucali obelgami żołnierzy ONZ i ich amerykańskich goryli. Wśród najważniejszych mówców był dziś Omar Salad, jeden z głównych doradców politycznych Aidida. Członkowie klanu nie zorientowali się jeszcze, że

rangersi chcieli schwytać wszystkich najważniejszych członków gangu Aidida, Salad więc nawet nie próbował się ukrywać.

Był jednym z ludzi określanych przez ONZ jako „osobistości najwyższego szczebla". Po zebraniu widziano, jak jego biała toyota land cruiser oraz kilka innych samochodów odjeżdżają na północ, w stronę targowiska w dzielnicy Bakara. Zaobserwowano, że Salad wchodzi do domu położonego przecznicę na północ od hotelu Olympic. Około trzynastej trzydzieści informację tę potwierdził somalijski szpieg, który połączył się przez radio i doniósł, że Salad spotkał się z Abdim „Qeybdidem" Hassanem Awale, rzekomym ministrem spraw wewnętrznych Aidida. Dwa główne cele! Być może Aidid też tam był, ale – jak zwykle – nikt tak naprawdę go nie widział.

Wysoko w górze orion skierował kamery na okolicę, a śmigłowce rozpoznawcze poleciały nad miasto, nad Morze Czarne, aby obserwować tę samą drogę. Na ekranach telewizyjnych w centrum operacyjnym pojawił się obraz przedstawiający tłum ludzi oraz dużą liczbę samochodów – typowe niedzielne popołudnie na targowisku.

Aby dokładnie oznaczyć miejsce spotkania Salada z Qeybdidem, somalijski informator miał przyjechać przed hotel małym srebrnym sedanem z czerwonymi pasami na drzwiach, a następnie wysiąść i podnieść maskę, udając, że sprawdza, czy wszystko w porządku z silnikiem. Dzięki temu kamery z helikopterów mogłyby go uchwycić. Wówczas miał pojechać na północ i zatrzymać się dokładnie przed domem, gdzie naradzali się przywódcy klanu. Informator wypełnił wszystkie polecenia, lecz manewr z maską wykonał tak szybko, że helikoptery nie zdążyły go uchwycić.

Kazano mu powtórzyć wszystko jeszcze raz. Tym razem miał pojechać prosto pod budynek, w którym trwało spotkanie, wysiąść i otworzyć maskę samochodu. Garrison i jego ludzie oglądali ten krótki spektakl na ekranach. Kamery z helikopterów przekazały wyraźny, kolorowy obraz tego, co działo się na zatłoczonej ulicy. Samochód szpiega wjechał w kadr, poruszając się na północ Hawlwadig Road. Zatrzymał się przed budynkiem obok hotelu. Z auta wysiadł mężczyzna i otworzył maskę. Nie mogło być mowy o pomyłce co do miejsca.

Wieść szybko dotarła do hangaru, rangersi i komandosi Delty zaczęli więc przygotowywać sprzęt. Dowódcy oddziałów spotkali się, by przy użyciu aktualnych fotomap przekazanych przez śmigłowce rozpoznawcze opracować atak. Planowali dokładny przebieg szturmu na budynek oraz miejsca pozycji blokujących rangersów. Kopie planu wręczono każdemu dowódcy grup desantowych, a załogi helikopterów przygotowywały się do wylotu. Garrison miał właśnie rozpocząć akcję, gdy działania zostały wstrzymane.

Szpieg zatrzymał samochód tylko na chwilę. Był na właściwej ulicy, ale stchórzył. Zdenerwowany faktem, że zbliża się do domu, w którym przebywają przywódcy klanu, zatrzymał auto na początku ulicy i tam otworzył maskę. Mało brakowało, a pomimo żmudnych przygotowań Garrisona zaatakowaliby niewłaściwy budynek.

Dowódcy pospieszyli do centrum operacyjnego w celu przegrupowania się. Informator, który miał przymocowany do nogi nadajnik radiowy, został poinstruowany, by objechać cały kwartał, wrócić w to samo miejsce i tym razem stanąć przed właściwym budynkiem. Obserwowali na ekranach samochód po raz kolejny wjeżdżający na Hawlwadig Road. Tym razem minął on hotel Olympic i zatrzymał się przecznicę dalej na północ, po drugiej stronie ulicy. To był ten sam budynek, do którego wchodził Salad widziany wcześniej ze śmigłowców rozpoznawczych.

Była trzecia po południu. Ludzie Garrisona poinformowali generała broni Thomasa Montgomery'ego, zastępcę dowódcy sił ONZ w Somalii (bezpośredniego dowódcę pododdziału szybkiego reagowania należącego do 10. Dywizji Górskiej), że są gotowi do akcji. Wówczas Garrison musiał upewnić się, czy w pobliżu nie znajdują się przedstawiciele misji humanitarnych ONZ lub organizacji charytatywnych (organizacji pozarządowych, NGO) – tego rodzaju zabezpieczenie wprowadzono po pomyłce związanej z aresztowaniem pracowników ONZ podczas ataku na Lig Ligato. Wszystkie samoloty otrzymały zakaz poruszania się w strefie nad celem. Dowódcy 10. Dywizji Górskiej dostali rozkaz, by trzymać ludzi w gotowości. Wywiad zaczął zagłuszać sygnały wszelkich nadajników radiowych i telefonów komórkowych – w Mogadiszu nie istniała stacjonarna sieć telefoniczna.

W ostatniej chwili generał wydał rozkaz, by śmigłowce Little Bird wyposażyć w rakiety[36]. Skłonił go do tego porucznik Jim Lechner, oficer wsparcia ogniowego kompanii rangersów. Lechner wiedział, że jeśli sytuacja na ziemi się skomplikuje, rakiety mogą okazać się bardzo przydatne – na każdym dwójnogu znajdującym się na śmigłowcach AH-6 umieszczono sześć pocisków.

Podczas szybkich przygotowań Lechner po raz kolejny zapytał:

– Bierzemy dziś rakiety?

Garrison odpowiedział:

– „Zrozumiałem"[37].

4

Ali Hassan Mohamed podbiegł do drzwi wejściowych sklepu z hamburgerami i słodyczami należącego do jego ojca, kiedy śmigłowce obniżyły lot i rozpoczęła się strzelanina. Był studentem, wysokim, szczupłym nastolatkiem z wydatnymi kośćmi policzkowymi i rzadką kozią bródką. W godzinach przedpołudniowych studiował język angielski i biznes, popołudniami pracował w sklepie, który znajdował się w górnym odcinku ulicy niedaleko hotelu Olympic. Drzwi wejściowe prowadziły na Hawlwadig Road, po przeciwnej stronie skrzyżowania znajdował się dom Hobdurahmana Yusefa Gallego, który najwyraźniej zaatakowali rangersi.

Ali wyjrzał przez szparę w drzwiach i zobaczył żołnierzy zjeżdżających po linach na ulicę, która biegła na zachód od Hawlwadig Road. Jego sklep stał u zbiegu tych dwóch ulic, tuż obok bramy do rodzinnego domu.

Kiedy stopy Amerykanów dotknęły ziemi, zaczęli strzelać do wszystkiego, co się rusza. Kilku Somalijczyków oddawało strzały w ich kierunku. Żołnierze ci różnili się od tych, którzy przyjeżdżali, by nakarmić głodujących. To byli rangersi, okrutni ludzie w kamizelkach kuloodpornych, obładowani zapasową bronią i amunicją noszonymi na klatce piersiowej. Jeśli pojawiali się nocą, mieli pomalowane twarze, by wyglądać jeszcze groźniej. Mniej więcej dwie przecznice dalej w górę Hawlwadig Road, na lewo od Alego, kolejna grupa rangersów toczyła zaciętą bitwę. Dwóch z nich odciągało na bok drogi żołnierza, który najprawdopodobniej był martwy.

Rangersi z przeciwnej strony ulicy wbiegli na jedno z podwórzy i zaczęli strzelać. Jednocześnie jeden ze śmigłowców obniżył lot i puścił długą serię z broni pokładowej, która zmiotła tę część ulicy, przy której stał dom Alego. Jego młodszy brat, piętnastoletni Abdulahi Hassan Mohamed, padł martwy tuż przy bramie. Wokół jego głowy pojawiła się kałuża krwi. Ali widział całe zdarzenie. Następnie rangersi z podwórza przecięli Hawlwadig Road i pobiegli w stronę domu Hobdurahmana Yusefa Gallego, gdzie zgromadziła się już większość pozostałych żołnierzy.

Ali pobiegł przed siebie. Zatrzymał się na moment przy ciele brata, którego roztrzaskana głowa przypominała rozbity o ziemię melon, po czym co sił w nogach popędził w lewo, w dół ulicy, w kierunku przeciwnym niż dom atakowany przez rangersów, skręcił w lewo, za hotel Olympic. Na ulicach zapanował chaos. Ludzie bezładnie biegali wokół trupów ludzi i ścierwa zwierząt. Niektórzy kierowali się na miejsce, gdzie toczyła się walka, inni uciekali w drugą stronę. Ali dostrzegł nagą kobietę, która biegła, krzycząc i wymachując rękoma. Wszystko to jednak zagłuszał rumor śmigłowców i ciągły odgłos wystrzałów.

Na ulicach pojawiła się milicja Aidida nawołująca mieszkańców przez megafony: Kasoobaxa guryaba oo iska celsa cadowga! („Wyjdźcie na ulicę i brońcie swoich domów!”).

Ali nie był typem wojownika. Różnił się od mooryan, uzbrojonych ludzi, którzy za zapłatę w postaci ryżu i khatu wstępowali w szeregi prywatnych armii bogaczy. Był tylko studentem i sprzedawcą na pół etatu, który dołączył do sąsiedzkiej milicji, by chronić okoliczne sklepy przed mooryan. Ale dzisiaj rangersi zaatakowali jego dzielnicę i zabili mu brata. Wściekły i przerażony przebiegł ulicę za hotelem, skręcił w lewo, przeciął Hawlwadig Road i wpadł do domu przyjaciela Ahmeda, gdzie schował swój karabinek AK-47. Chwycił broń i zwołał kilku przyjaciół. Razem pobiegli pogrążoną w chaosie ulicą za hotel Olympic. Ali opowiedział im o śmierci brata, a następnie poprowadził w stronę swojego domu i sklepu. Pałał żądzą zemsty.

Ukryci za ścianą hotelu oddali pierwsze strzały w stronę rangrów na rogu. Następnie przemieścili się na północ, chowając się za samochodami i budynkami. Ali co chwila wyskakiwał, by wypuścić grad kul w stronę rangersów, po czym natychmiast chował się. Strzelali na zmianę. Czasami wystawiali lufy za róg i naciskali spust, nie patrząc w stronę celu. Żaden z nich nie miał bitewnego doświadczenia.

Rangersi strzelali celniej. Przyjaciel Alego, Adan Warsawe, wychylił się, by oddać strzał, i wtedy oberwał od rangersa kulę w brzuch. Ali i inny przyjaciel, nie bacząc na ostrzał, przeciągnęli rannego w

bezpieczne miejsce, zostawiając za sobą krwawy ślad. Adan wyglądał, jakby znajdował się na granicy życia i śmierci.

Ali pobiegł w stronę następnej ulicy, zostawiając Adana z dwojgiem przyjaciół. Zastrzeli rangersa lub zginie, usiłując to zrobić. Kim są ci Amerykanie, którzy zasypują miasto Alego gradem kul, siejąc śmierć i zniszczenie? Dlaczego to robią?[38]

5

Po sprawdzeniu magazynu przy Hawlwadig Road sierżant Paul Howe wraz z trzema żołnierzami z Delty minął róg ulicy i wszedł do atakowanego budynku przez drzwi od podwórza, po południowej stronie. Wszystkie pozostałe grupy szturmowe były już w środku. Zespół dowodzony przez kumpla Howe'a, Matta Riersona, zdążył już schwytać na parterze dwudziestu czterech Somalijczyków, a wśród nich dwie grube ryby: Omara Salada, cel dzisiejszej misji, oraz Mohameda Hassana Awalego, głównego rzecznika Aidida (a nie Abdi „Qeybdida" Hassana Awalego, jak informowali wcześniej szpiedzy. Niemniej był to przywódca klanowy o tej samej randze).

Pojmani leżeli posłusznie twarzą do ziemi, a zespół Riersona krępował im nadgarstki plastikowymi kajdankami.

Howe zapytał sierżanta Mike'a Foremana, czy ktoś był już na górze.

– Jeszcze nie – odpowiedział Foreman.

Zatem Howe zabrał czterech ludzi na pierwsze piętro.

Jak na somalijskie standardy dom był duży. Przypominał inne budynki w okolicy; pobielane wapnem ściany z pustaków, okna bez szyb. Kiedy stali na szczycie schodów, Howe krzyknął do jednego z żołnierzy, aby rzucił błyskdymkę do pierwszego z pomieszczeń. Gdy granat wybuchł, komandosi wpadli do środka. Tak jak uczono ich na szkoleniu, każdy ubezpieczał inną pozycję ogniową. Wewnątrz znaleźli tylko rzucony na podłogę materac. Kiedy krążyli po pokoju, seria z karabinu maszynowego uderzyła o sufit i ściany, mijając o włos ludzi Howe'a. Wszyscy padli na podłogę. Pociski, które wpadły przez okno po południowo-wschodniej stronie, najwyraźniej pochodziły od rangersów znajdujących się na pozycji blokującej, nieco poniżej linii okna. Któryś z młodych na zewnątrz prawdopodobnie dostrzegł sylwetki ludzi poruszających się w budynku i zaczął strzelać. Najwyraźniej niektórzy nie wiedzieli, który budynek stanowił dzisiaj cel ataku.

Właśnie tego obawiał się Howe. To miała być elitarna piechota armii? Rangersi go rozczarowali. Mimo szumu wokół jednostki widział w nich tylko młodszych, kiepsko wytrenowanych i potencjalnie niebezpiecznych podczas walki żołnierzy, którzy używali bzdurnego zawołania Hoo-ah. Niektórzy z nich niedawno skończyli ogólniak! Podczas treningu odnosił wrażenie, że mają zwyczaj gapić się na niego i jego ludzi, zamiast skoncentrować się na własnych, równie ważnych zadaniach.

Tymczasem to zadanie wymagało poświęceń. Trzeba dać z siebie wszystko, a nawet więcej, ponieważ ceną za błąd często była śmierć. Oto dlaczego Howe i pozostali operatorzy Delty kochali tę pracę. Wyróżniała ich spośród innych. Wojna niewątpliwie była zła, jednak właśnie poprzez wojnę załatwiano sprawy w większości miejsc na naszej planecie. Cywilizowane państwa znały pokojowe sposoby na rozstrzygnięcie sporów, ale by proponowane przez nich rozwiązania zostały wprowadzone w życie, każda zainteresowana strona musiała pójść na ustępstwa. Tutaj, w surowym Trzecim Świecie ludzie nie nauczyli się stosowania kompromisów, a przynajmniej nie nauczą się dopóty, dopóki nie zostanie przelane morze krwi. Zwycięstwo należało do tych, którzy chcieli walczyć i byli gotowi na śmierć. Intelektualiści mogli snuć teorie, ale w prawdziwym świecie władzę wciąż dyktowały lufy karabinu. Jeśli głodujące tłumy Somalijczyków miały dostać jedzenie, należało zmniejszyć wpływy takich ludzi jak Aidid, którym głód był na rękę. Można kierować się sercem i współczuciem, wysyłać ludzi „czyniących dobro", złożyć ręce, modlić się, śpiewać pieśni i wznosić modły do wielkich tego świata, CNN i BBC, ale jedynym sposobem, by nakarmić dzieci, było pokazanie przewagi, pojawienie się z jeszcze większą liczbą broni. W tym prawdziwym świecie nikt nie miał lepszego uzbrojenia niż Amerykanie. Jeśli szczytne ideały miały się ziścić, potrzeba było mężczyzn, którzy będą potrafili do tego doprowadzić. I żołnierze Delty to potrafili. Działali w ukryciu. Nigdy nie wymawiali słowa „Delta". Kiedy ktoś chciał coś powiedzieć o komandosach Delty, mówił „operatorzy" lub „budzący postrach D". Podziwiający operatorów rangersi nazywali ich chłopakami z Delty. Utrzymanie tajemnicy lub przynajmniej zachowanie jej pozorów było ich głównym celem. Pozwalała marzycielom i politykom upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Mogli pozostać na scenie, gdy cała brudna robota była prowadzona za kulisami. Kiedy terrorysta z Trzeciego Świata lub kolumbijski król narkotykowy musiał umrzeć, po czym nagle pojawiała się informacja o jego śmierci, wszyscy mówili o szczęśliwym zbiegu okoliczności! Tymczasem czarni komandosi pozostawali się w cieniu. Gdyby ktoś ich zapytał, jak to zrobili, udawaliby, że nie wiedzą, o co chodzi. Oni nie istnieli, jasne? Ci szlachetni, bezgłośni i niewidzialni żołnierze wykonywali najważniejszą pracę dla Stanów Zjednoczonych, ale nie szukali uznania, sławy czy majątku. Byli współczesnymi rycerzami.

Howe nie skrywał pogardy dla niższych formacji, a nawet całej armii amerykańskiej. Podobnie jak reszta operatorów mógł żyć jak cywil. Kiedy ktoś zapytał komandosa Delty, czym się zajmuje, ten mówił, że jest cywilem. Mimo to rozpoznanie w Fort Bragg ludzi należących do oddziału nie było trudne. Opaleni faceci z naprężonymi bicepsami, szyjami szerokimi jak hydrant przeciwpożarowy i ogromnymi zegarkami Casio kręcili się po barach w okolicach Bragg. Przesiadywali tam, żując tytoń. Zapytani o zawód z reguły odpowiadali, że pracują jako programiści komputerowi w wojskowej agencji kontraktowej. Zwracając się do kolegów, używali ksywek, unikali salutowania i innych zachowań typowych dla żołnierzy. Oficerowie w Delcie traktowali niższych rangą jak równych sobie. Wizytówką jednostki była pogarda dla hierarchii wojskowej. Oni wykraczali poza system stopni. Nosili dłuższe włosy niż żołnierze w tradycyjnych jednostkach. Podczas niektórych misji musieli wyglądać na cywilów, co ułatwiały zwyczajnie ostrzyżone włosy. Zarazem normalna fryzura była dla nich powodem do dumy, jedną z dodatkowych korzyści płynących z przynależności do Delty. Komiks narysowany przez jakiegoś żartownisia przedstawiał typowego operatora Delty ubranego jak do walki, z kaburą biodrową, w której zamiast broni znajdowała się suszarka do włosów. Co roku pozowali do

oficjalnego zdjęcia wojskowego, na którym musieli wyglądać jak rangersi. Nienawidzili tego. Przed przyjazdem na miejsce, gdzie robiono fotografię, kazano im ostrzyc włosy, w związku z czym jeszcze bardziej wyróżniali się spośród innych, gdyż wygolone boki głów były białe jak brzuch żaby. Mieli więcej wolności osobistej i mogli wykazać własną inicjatywę, co było niespotykane w wojsku, zwłaszcza podczas bitwy. Ceną, jaką za to płacili, było balansowanie na krawędzi życia i śmierci oraz fakt, że oczekiwano od nich rzeczy, których nikt nie wymagał od zwykłych żołnierzy.

Howe krytycznie podchodził do wielu kwestii dotyczących regularnej armii. On i pozostali żołnierze z jego jednostki dawali do zrozumienia dowódcy rangersów, kapitanowi Steele'owi, że gotowość jego ludzi pozostawia wiele do życzenia. Nic to nie dało. Steele miał własne sposoby szkolenia żołnierzy, typowe dla tradycyjnej armii. Howe uważał kapitana za człowieka, którego można było nazwać „picuś-glancuś". Według niego ten dobrze zbudowany były gracz pierwszej linii w drużynie futbolowej na uniwersytecie Georgii był aroganckim, niekompetentnym bufonem. Howe także ukończył kurs w Szkole Rangersów i nawet zdobył naszywkę rangersa, ale opuścił formację, kiedy przyjęto go do Delty. Jednym z powodów, dla których pogardzał rangersami, było przekonanie, że to intensywny, systematyczny, wieloetapowy trening robi z ludzi dobrych żołnierzy, a nie głupawa postawa macho uosobiona w zawołaniu Hoo-ah. Ze stu dwudziestu ludzi, z którymi rozpoczynał szkolenie w Delcie (stu dwudziestu zmotywowanych, wyjątkowo dobrych żołnierzy), tylko trzynastu przeszło selekcję. Howe miał masywną posturę zaprawionego atlety i bystry analityczny umysł. Wielu rangersów uważało, że ma w sobie coś przerażającego, a jego pogarda dla ich sposobów szkolenia i walki dodawała kolorów relacjom żołnierzy zamieszkujących wspólny hangar.

A teraz obawy Howe'a, który przypuszczał, że złożone z młodzików oddziały wspierające mogą sprawiać im tylko kłopoty, zostały potwierdzone. Strzelali do własnych ludzi! Howe i jego grupa opuścili pomieszczenie z materacem i ruszyli piętro wyżej, na dach po frontowej stronie domu. Okalał go mniej więcej metrowy, betonowy mur z ozdobnymi pionowymi listwami. Kiedy tylko wbiegli na dach, zobaczyli małą, pomarańczową kulę ognia pochodzącą z lufy karabinka AK-47. Ktoś strzelał do nich z dachu domu położonego przecznicę dalej na północ. Dwóch żołnierzy z oddziału Howe'a, którzy zdążyli się już skryć za murem, odpowiedziało snajperowi ogniem.

Ponownie usłyszeli wystrzał z karabinu maszynowego. W otaczającym dach murze pojawiły się dziury grubości palca. Przyczajony Howe i jego ludzie modlili się, by seria nie przeszła przez otwory lub nie odbiła się rykoszetem od zewnętrznej strony budynku. Strzelający oddał w ich kierunku jeszcze kilka długich serii. Po odgłosie i sile rażenia domyślali się, że strzały były oddawane z karabinu maszynowego M249 zwanego też SAW (Squad Automatic Weapon), tym razem od strony rangersów na pozycji blokującej. Ostrzeliwani rangersi stali się nadgorliwi, więc kiedy zobaczyli grupę uzbrojonych ludzi, otworzyli ogień. Howe był wściekły.

Połączył się przez radio z kapitanem Scottem Millerem, dowódcą Delty, który przebywał na dziedzińcu. Polecił mu natychmiast znaleźć Steele'a i powiedzieć, by jego żołnierze przestali strzelać do swoich![39]

6

Specjalista John Stebbins pobiegł przed siebie, gdy tylko dotknął stopami ziemi. Jeszcze w bazie, przed wejściem do helikoptera, kapitan Steele poklepał go po ramieniu:

– Stebbins, znasz zasady walki?

– Tak, kapitanie. Znam je.

– Dobra. Słuchaj, będę zjeżdżał na linie bezpośrednio za tobą, więc lepiej się nie guzdraj.

Perspektywa, że wielki tyłek dowódcy obładowanego dziś sprzętem bojowym zwali mu się na głowę, dręczyła Stebbinsa przez całą drogę na miejsce. Po opuszczeniu się w dół natychmiast odskoczył od liny i zderzył się z człowiekiem od M60; obaj upadli. Stebbins leżał tak przez chwilę, czekając, aż unoszący się w powietrzu kurz nieco opadnie. Wtedy zobaczył pozostałych członków jego grupy desantowej przy murze, po swojej prawej stronie.

Czuł zarówno strach, jak i podekscytowanie. Nie mógł pozbyć się uczucia, że to, co się dzieje, jest zbyt piękne, by było prawdziwe. W końcu tu był, weteran w kompanii rangersów w wieku lat dwudziestu sześciu, który przez ostatnie cztery lata usiłował wziąć udział w akcji, zrobić coś ciekawego i ważnego, a teraz, po długim okresie gorączkowych starań, znalazł się na polu walki. Johny Stebbins, specjalista od parzenia kawy i papierkowej roboty, uczestniczył w wojnie!

Jego szlak do Mogadiszu rozpoczął się w piekarni w rodzinnej miejscowości o nazwie Ithaca w stanie Nowy Jork. Stebbins był niskim, grubym facetem z jasnymi, niebieskimi oczami, blond włosami oraz cerą tak jasną i piegowatą, że nigdy nie pozostał na niej najmniejszy ślad słońca. Tu w stolicy Somalii jego skóra przybrała jasnoróżowy kolor. Ukończył Uniwersytet Świętego Bonawentury, gdzie zdobył dyplom z telekomunikacji, i liczył na to, że będzie pracował jako dziennikarz radiowy. Rzeczywiście przez jakiś czas pracował, za najniższą stawkę, w kilku niewielkich stacjach radiowych w północnej części stanu Nowy Jork. Kiedy jednak otrzymał ofertę pracy na stanowisku kierownika piekarni, proponowana stawka godzinna była wystarczająco wysoka, by zdusić w zarodku jego raczkującą karierę dziennikarską. Zatem wypiekał bajgle i marzył o przygodzie. Slogan reklamy promującej armię „Bądź, kimkolwiek możesz być", która pojawiała się podczas meczów piłkarskich, bezbłędnie do niego trafiał. Dzięki stypendium programu ROTC[40] Stebbins rozpoczął naukę w Szkole Oficerów Rezerwy, ale w armii było już tylu podporuczników, że po ukończeniu nie udało mu się zaciągnąć do czynnej służby. Kiedy w 1990 roku rozpoczęła się operacja Pustynna Burza, pech chciał, że jego kontrakt wygasł. Ale Stebbins uparł się i koniecznie chciał porzucić kuchenny piec, by trafić do piekła. Zapisał się na listę ochotników do służby w Zatoce Perskiej, ale nigdy nie otrzymał odpowiedzi. Potem ożenił się, na świat przyszło dziecko i nagle pensja otrzymywana w sklepie z bajglami przestała wystarczać na pokrycie wszystkich wydatków. Potrzebował ubezpieczenia zdrowotnego. Pragnął przygody. Armia oferowała obie rzeczy. W końcu zaciągnął się jako szeregowy.

– Co chcesz robić w wojsku? – zapytał go poborowy.

Stebbins odpowiedział:

– Chcę skakać ze spadochronem, dużo strzelać i robić zakupy w sklepie dla żołnierzy.

Raz jeszcze przeszedł szkolenie podstawowe – przedtem ukończył je w Szkole Oficerów Rezerwy. Następnie czekał go program indoktrynacyjny rangersów, w którym musiał wziąć udział aż dwukrotnie, ponieważ doznał obrażenia podczas jednego ze skoków pod koniec pierwszego szkolenia. Po ukończeniu szkoły sądził, że teraz będzie skakał ze spadochronu, trenował, zjeżdżał na linie z helikoptera razem z młodszymi chłopakami. Jednak ktoś z dowództwa wypatrzył jego papiery ukończenia szkoły oraz notkę dotyczącą jego umiejętności pisania na maszynie. Przydzielono mu biurko w pokoju szkoleniowym kompanii Bravo. Stebbins został urzędnikiem.

Powiedzieli mu, że to potrwa tylko sześć miesięcy. Utknął tam na dwa lata. Jako „rangers pokoju szkoleniowego" stał się ofiarą wszelkich pokus pracy biurowej. Gdy inni rangersi chodzili po klifach, skakali na spadochronach i próbowali pobić rekord w marszu przez gęste zarośla, stary Stebby siedział za biurkiem, odpalając jednego papierosa od drugiego, jedząc pączki i wlewając w siebie kawę. Był najbardziej namiętnym kawoszem w kompanii. Koledzy często żartowali: „Specjalista Stebbins obleje wroga gorącą kawą". Kiedy kompania miała zostać wysłana do Somalii, nikt nie był zdziwiony, że brachu Stebby będzie jednym z tych, którzy zostaną w Fort Benning.

– Moja decyzja nie ma pobudek osobistych. – Stebbins i tak wiedział, że w słowach sierżanta kryje się zniewaga. – Po prostu nie możemy cię zabrać. Mamy ograniczoną liczbę miejsc w helikopterze, poza tym jesteś potrzebny tu, na miejscu. Czy można było przekazać bardziej wyraźnie, że kiedy zaczynała się wojna, Stebbins był najmniej cennym rangersem w pułku?

Sytuacja przypominała niepowodzenie z Pustynną Burzą. Ktoś tam na górze nie chciał, by Stebbins poszedł na wojnę. Pomógł przyjaciołom w pakowaniu, a kiedy następnego dnia ogłoszono, że oddział dotarł do Mogadiszu, czuł się jeszcze bardziej opuszczony niż dwa lata wcześniej, gdy oglądał nocne raporty z akcji w Zatoce Perskiej w CNN. Przynajmniej miał towarzystwo. Razem z nim został sierżant Scott Galentine. Przez kilka dni razem szorowali podłogę. Potem przyszedł faks z Somalii.

– Stebby, zbieraj swoje manatki – oznajmił oficer dowodzący. – Jedziesz na wojnę.

Galentine otrzymał tę samą wiadomość. Niektórzy z rangersów odnieśli niewielkie obrażenia w wyniku ataku moździerzowego, dlatego potrzebne było zastępstwo.

W drodze na lotnisko Stebbins zatrzymał się przed domem, by pożegnać się z żoną. Jak można się było spodziewać, była to łzawa scena. Po dotarciu na miejsce okazało się, że wyruszą najwcześniej następnego dnia, miał więc wrócić do domu. Pół godziny po pełnym emocji rozstaniu państwo Stebbinsowie spotkali się znowu. Całą noc obawiał się, że zaraz zadzwoni telefon informujący go o zmianie rozkazów.

Nie zadzwonił. Półtora dnia później razem z Galentine'em stał na pasie startowym w Mogadiszu. Z okazji przylotu mieli zrobić pięćdziesiąt pompek – to był mały rytuał powitalny po przybyciu do strefy działań bojowych. Stebby był podekscytowany. Udało mu się!

Nie było wystarczającej liczby kewlarowych kamizelek (kuloodpornych kamizelek rangersów), dostał więc czarną, workowatą kamizelkę, jaką nosili żołnierze Delty. Czuł się w niej jak żółw. Ostrzeżono go, by nie wychodził bez broni poza teren bazy. Koledzy streścili mu najważniejsze kwestie. Nie musiał bać się moździerzy. Somalijczycy rzadko w cokolwiek trafiali. Grupa miała już za sobą pięć misji i każda była dla żołnierzy jak bułka z masłem. Wpadamy tam całą kupą – mówili – uwijamy się raz dwa, podczas gdy podmuch śmigieł helikopterów praktycznie przegania wszystkich gapiów, a my ubezpieczamy chłopaków z Delty, którzy robią swoje. Naszym zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa. Stebbins dostał też ostrzeżenie, że uzbrojeni Somalijczycy często chowają się za kobietami i dziećmi. Trzeba też uważać na kamienie. Czuł się coraz bardziej podekscytowany.

Wkrótce otrzymał wiadomość. Cieszyli się, że przyjechał, ale tak naprawdę udział w misjach nie będzie należał do jego obowiązków. Miał pozostać w hangarze i wszystkiego pilnować. Zapewnić bezpieczeństwo obiektu. To było konieczne. Ktoś musiał to zrobić.

Kto jak nie on?

Stebbins wyładował złość na ludziach przechodzących przez bramę wejściową. Potraktował obowiązki strażnika nadzwyczaj poważnie i stał się upierdliwy. Każdego Somalijczyka przeszukiwano od stóp do głów przy każdym przejściu przez bramę. Sprawdzał ciężarówki, skrzynie, wozy, zaglądał pod pojazdy i maski. Denerwowało go, że nie mógł znaleźć sposobu na przeszukanie dużych cystern z wodą. Wywiad donosił, że „zdechlaki" przemycają broń ciężką przez granicę z Etiopią. Podobno Etiopczycy kontrolowali wszystkie ciężarówki. Stebbins wątpił w to, by sprawdzali cysterny z wodą. Z tyłu każdej z nich można było umieścić mnóstwo granatników przeciwpancernych.

Udało mu się załatwić udział w lotach profilowych. Z mocno zapiętym pod brodą paskiem przytrzymującym hełm siedział w nurkującym nad miastem śmigłowcu, ciesząc się jak dziecko w wesołym miasteczku. Dzięki temu mógł poczuć się prawie jak żołnierz lecący na akcję, a to, w porównaniu z obsługą ekspresu do kawy w pokoju szkoleniowym w Benning, nie było takie złe.

Tego ranka, kiedy goniec z centrum operacyjnego przybiegł z rozkazem: „Zbieramy się!", jeden z dowódców oddziałów pojawił się z nowiną.

– Stebbins, specjalista Sizemore ma zakażenie łokcia. Przed chwilą był na badaniu. Zastąpisz go.

Razem z szeregowym Brianem Heardem został wyznaczony do obsługi karabinu M60. Stebbins przebiegł przez hangar, zamieniając wielką żółwią skorupę na kamizelkę kewlarową. Wepchnął do kieszeni dodatkową amunicję i wziął kilka granatów. Biorąc przykład z bardziej doświadczonych kolegów, zostawił manierkę (akcja miała potrwać najwyżej godzinę) i dorzucił kilka magazynków M16. Wziął taśmę amunicyjną

na trzysta naboi do M60 i zastanawiał się, czy nie wepchnąć więcej amunicji do torby taktycznej przeznaczonej na gogle i rękawice potrzebne do opuszczenia się na linie. Ostatecznie zdecydował, że musi mieć miejsce na rękawice. Usiłował przemyśleć wszystko jeszcze raz. Starał się zachować spokój. Ale, do cholery, to było takie ekscytujące!

– Gadaj, Steb. Co się dzieje? O czym myślisz? – Szturchnął go sierżant sztabowy Ken Boorn z łóżka obok. Boorn widział, że przyjaciel jest podenerwowany. Kazał mu się uspokoić, nie kombinować. Miał tylko ubezpieczać wyznaczony sektor i w razie potrzeby podać amunicję ludziom obsługującym M60, choć prawdopodobnie nawet nie będą jej potrzebowali.

– Dobra, w porządku – odparł Stebbins.

Czekając na rozkaz wejścia do śmigłowca black hawk, Stebbins stał przy przednich drzwiach hangaru, trzymając w ustach ostatniego papierosa i starając się zapanować nad nerwami. Nareszcie zdarzy się to, na co tyle czasu czekał. Wszyscy wiedzieli, że to najbardziej niebezpieczna część miasta. Możliwe że będzie to ich najtrudniejsza misja, a zarazem jego pierwsza! Czuł się tak, jak przed pierwszym skokiem ze spadochronem w szkole powietrznodesantowej. „Przeżyję to", obiecał sobie. „Nie zginę". Jeden z ludzi z Delty powiedział mu: „Przez pierwszych 10 minut będziesz przerażony jak cholera. Potem wpadniesz w prawdziwą wściekłość, że ci gnoje mają czelność do ciebie strzelać". Stebbins słyszał historie o poprzednich akcjach i o tym, że walczący Somalijczycy po oddaniu pojedynczego strzału uciekali. Nic nie wskazywało na to, by dziś miało zrobić się gorąco. Podczas lotów profilowych ani razu nie zauważyli broni ciężkiej. To będzie drobna, miejska potyczka z użyciem broni ręcznej. „Otaczają mnie faceci, którzy wiedzą, co robią. Wszystko będzie w porządku".

Teraz, gdy poczuł pod stopami ziemię na ulicy przed atakowanym budynkiem, kiedy z oddali dobiegły go strzały, uwierzył, że wszystko działo się naprawdę. Kiedy razem z operatorem M60 podnieśli się z ziemi, pobiegł w stronę muru. Miał wyznaczony narożnik wychodzący na południe, od którego odchodziła cicha uliczka – wąska, okolona zabłoconym murem droga gruntowa, w której z trudem zmieściłby się samochód. Podobnie jak w całym mieście leżały tu rozrzucone śmieci i zardzewiałe kawałki metalu, a spomiędzy nich wystawały kaktusy. Co jakiś czas słyszał w powietrzu charakterystyczny trzask. Domyślał się, że to dobiegający z oddali odgłos wystrzałów. Dziwne – pomyślał – wydawało się, że hałas jest blisko. Może to tylko złudzenie. Usłyszał też świst. W końcu dotarło do niego, że to odgłos lecących w powietrzu kul. Trzask? Kule pędziły tak blisko niego, że słyszał łoskot, kiedy śmigały dookoła[41].

Kapitan Steele, który przebywał nieco w górę ulicy od Stebbinsa, domyślił się, z którego miejsca lecą w ich stronę pociski. Przecznicę dalej na zachód, na dachu hotelu Olympic, najwyższej budowli w okolicy, znajdował się snajper.

Steele ryknął:

– Smith!

W mgnieniu oka pojawił się kapral Jamie Smith, najlepszy strzelec wyborowy w oddziale. Steele pokazał mu snajpera i klepnął w plecy na zachętę. Obaj mężczyźni wystrzelili w kierunku snajpera na dachu. Cel znajdował się daleko, na pewno w odległości większej niż sto dwadzieścia pięć metrów. Nie widzieli, czy udało im się go trafić, ale po ich strzałach Somalijczyk zniknął[42].

Po przeciwnej stronie ulicy, za wywróconą karoserią spalonego samochodu, przykucnęli sierżanci Mike Goodale i Aaron Williamson. Broń podparli o wrak, który, dzięki nasypowi na boku drogi, stał w dogodnym nachyleniu. Za nierówną skarpą z piasku stał kamienny mur, zza którego wyglądały małe kamienne domy – tak prezentowała się większość ulic w mieście. Za murem gdzieniegdzie widać było niskie drzewka, a dalej, w kierunku północnym, pudełkowaty kształt atakowanego dziś domu. Gruba lina, po której zjechali na dół, leżała teraz rozciągnięta na ulicy. Ziemia miała lekko pomarańczowy kolor. Rdzawy pył unosił się nisko w powietrzu, a przybrudzone błotem mury były upstrzone brudnymi pomarańczowymi plamami. Goodale czuł w nosie i ustach kurz pomieszany z zapachem prochu. Słyszał strzały po drugiej stronie kwartału, ale ich narożnik wydawał się spokojny.

Goodale po raz pierwszy poczuł, że jest daleko od domu, i przez chwilę przyczajony za wrakiem zastanawiał się, jak się tu znalazł. Przed wyjazdem do Somalii zaręczył się z dziewczyną o imieniu Kira, którą spotkał jeszcze jako niefrasobliwy student pierwszego roku na uniwersytecie Iowa. By wyrwać się z miejscowości Pekin w stanie Illinois, oboje przenieśli się do jednego z rozrywkowych miasteczek uniwersyteckich na północnym wschodzie. Niestety wkrótce zostali relegowani ze studiów, więc musieli się jakoś ustatkować. Dla Mike'a oznaczało to wstąpienie do wojska, dla Kiry podjęcie pracy w agencji reklamowej. Dopóki Mike był w Benning, widywali się dość często, ale kiedy rangersi wyjechali na szkolenie do Teksasu przed misją w Somalii, Mike i Kira nie widzieli się przez dwa miesiące. To wtedy zdecydowali, że chcą spędzić razem resztę życia. Wczoraj miał pierwszą okazję od opuszczenia Fort Benning, by zadzwonić do domu, lecz niestety połączył się z automatyczną sekretarką. Następna sposobność nadarzy się dziś wieczorem, zostawił więc jej wiadomość, by spodziewała się telefonu. Wiedział, że będzie czekała.

„Kira, kocham cię aż do bólu," napisał do niej tego ranka. „Boję się zadzwonić, bo wiem, że będę przez to bardziej tęsknił. Jednak bardzo chciałbym usłyszeć twój głos".

Somalijczyk znajdujący się niecałe sto metrów w dół ulicy, po ich lewej stronie, wychylił głowę zza muru i puścił serię z karabinka AK-47. Kurz wzbił się w powietrze wokół Goodale'a i Williamsona. Williamson przesunął się na północną stronę karoserii, a Goodale, który był bliżej strzelającego, natychmiast wpadł w panikę, myśląc, że strzały dochodzą z południowej strony. Wybiegł zza samochodu i, podskakując wśród padających dookoła pocisków, próbował znaleźć sobie lepszą kryjówkę. Na próżno. Padł na ziemię za wystającą z drogi rurą. Nie miała więcej niż dwadzieścia centymetrów średnicy, więc czuł się niesłychanie głupio, chowając się za nią, ale było to jedyne schronienie, jakie znalazł. Kiedy strzały ucichły, natychmiast wyskoczył zza rury i dołączył do Williamsona za wrakiem. Zaraz po tym Somalijczyk znów zaczął strzelać.

Goodale zobaczył, jak grad kul uderza o bok samochodu, a jeden z pocisków padających wokół Williamsona odrywa mu czubek palca. Już po chwili twarz Williamsona, który teraz krzyczał i klął równocześnie, była zalana krwią. Goodale pochylił się, sprawdzając, czy twarz kumpla jest cała, a następnie obejrzał jego dłoń.

Pomimo krwi i bólu wydawało się, że rana nie jest poważna, a Williamson jest przede wszystkim wściekły.

– Jeśli jeszcze raz wystawi łeb, zabiję go! – wrzasnął.

Mając jedynie uszkodzony koniuszek palca, Williamson spokojnie wycelował M16 i czekał w bezruchu. Czas dłużył się niemiłosiernie.

Nareszcie mężczyzna w dole drogi się wychylił. Williamson strzelił, a głowa upadającego na ziemię Somalijczyka eksplodowała. Williamson zdrową ręką przybił piątkę z Goodale'em, po czym wznieśli kilka zwycięskich okrzyków.

Po chwili zastrzelili kolejnego Somalijczyka, który wybiegł z jakiejś przecznicy i zaczął uciekać w inną stronę. Kiedy biegł, jego luźna koszula nadęła się z tyłu. Najwyraźniej miał tam schowany AK-47, więc zastrzelili go. Pięciu rangersów wypaliło z broni w tym samym czasie. Mężczyzna leżał na ulicy tylko przecznicę od nich, a Goodale zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście go zabili. Zapytał sanitariusza, czy może to sprawdzić, ale ten tylko pokręcił głową i odparł: „Na pewno nie żyje". Goodale przeraził się. Zabił człowieka lub przynajmniej pomógł go zabić. Nie czuł się z tym najlepiej. Somalijczyk nie celował do niego z broni, a on mimo to wystrzelił, co tak naprawdę niewiele miało wspólnego z obroną konieczną. Jak można było usprawiedliwić to, co się właśnie stało? Patrzył na rozchełstane ubranie leżącego w piachu człowieka i jego makabrycznie wykrzywione ciało spoczywające tam, gdzie dosięgły je kule. Jego życie dobiegło końca. „Czy to było dobre?"[43]

Przy narożniku oddalonym o około 10 metrów na wschód od Goodale'a i Williamsona porucznik Perino obserwował somalijskie dzieci, które podchodziły w pobliże jego ludzi, aby zdradzić ich pozycje strzelcowi ukrytemu dalej za rogiem. Ktoś rzucił błyskdymką i dzieci się rozpierzchły.

– Poruczniku, wracają! – zawołał operator karabinu maszynowego, sierżant Chuck Elliot.

Perino rozmawiał właśnie przez radio z sierżantem Eversmannem na temat Blackburna – rangersa, który wypadł z helikoptera. Przekazywał informacje i pytania Eversmanna kapitanowi Steele'owi, który znajdował się po przeciwnej stronie ulicy. Perino powiedział Eversmannowi, by chwilę poczekał, a następnie wychylił się i puścił serię z M16 w kierunku stóp dzieci. Uciekły.

Chwilę później jakaś kobieta zaczęła czołgać się ulicą w stronę karabinu maszynowego.

– Za kobietą widzę mężczyznę z bronią, którą trzyma pod jej ramieniem – zameldował Elliot.

Perino kazał mu strzelać. Karabin maszynowy M60 wydał z siebie niski dźwięk. Żołnierze nazywali sześćdziesiątkę „świnią”[44].

Mężczyzna i kobieta padli martwi[45].

7

Opuszczając się na linie przy północno-wschodnim rogu wyznaczonego kwartału, specjalista John Waddell starał się poruszać możliwie wolno, by nie wpaść na operatora karabinu maszynowego M60, specjalistę Shawna Nelsona, któremu zazwyczaj zajmowało chwilę wyplątanie z liny siebie i długiej broni. Podczas którejś z misji ćwiczebnych Waddell wpadł na człowieka poniżej, po czym obaj oberwali od żołnierza z tyłu. Waddell przygryzł sobie wtedy język.

Tym razem wszystko poszło dobrze. Waddell stanął obiema stopami na ziemi i pobiegł pod mur po prawej stronie ulicy, dokładnie tak jak rozrysował to wcześniej porucznik Tom DiTomasso. Grupa desantowa Chalk Two była przecznicę na wschód od miejsca, gdzie mieli się pojawić sierżant Eversmann i jego grupa Chalk Four. Porucznik był zaniepokojony, ponieważ dotychczas nigdzie ich nie widział. Udało mu się połączyć przez radio z osaczonym sierżantem – Eversmann wyjaśnił, że desantowali się przecznicę na północ od wyznaczonej pozycji. DiTomasso wysłał ludzi w tamtą stronę, ale ci szybko wrócili i donieśli, że liczna grupa Somalijczyków przemieszcza się w tamtym kierunku.

Biegnąc na pozycję przy północnym murze, Waddell zdziwił się, że sprzęt, broń i amunicja nie spowalniają jego ruchów. Było tego sporo, wszystko ciężkie i nieporęczne, zwłaszcza M249, czyli prestiżowy, przenośny karabin maszynowy, który wyrzucał z siebie siedemset pocisków na minutę. Obładowany tak jak teraz, zwykle miał wrażenie, że siła przyciągania jest dwa razy większa. Tymczasem dziś, biegnąc w stronę muru, ze zdziwieniem stwierdził, że ramiona i nogi, choć jakby odrętwiałe, poruszają się szybko. Doszedł do wniosku, że to dzięki dużej dawce adrenaliny, która uwolniła się do organizmu pod wpływem strachu i ekscytacji. Przyjął to do wiadomości z właściwą sobie obojętnością.

Waddell był typem samotnika, pedantycznym młodym mężczyzną o ciemnych włosach, który wyglądał szczególnie poważnie w typowej dla rangersów fryzurze na jeża. Po miesiącu przebywania w równikowym słońcu miał opaloną tylko twarz, szyję i ramiona. W myśl bzdurnych przepisów nie wolno im było zdejmować koszulek. Był nowy w kompanii strzelców, zaledwie osiemnastoletni, kolejny nabytek z kompanii Bravo. Mimo świetnej średniej ocen po ukończeniu szkoły w Natchez w stanie Missisipi zdecydował, ku przerażeniu rodziców, zapomnieć na razie o studiach i wstąpić do wojska, by skakać ze spadochronem, wspinać się na klify i robić inne szalone rzeczy typowe dla elitarnej jednostki piechoty.

Służba w rangersach spełniała jego oczekiwania, ale zaostrzyła też apetyt na prawdziwą akcję. W Mog większość czasu spędzał na rozmyślaniach i lekturze. Przeczytał mnóstwo tanich powieści sensacyjnych. Jeszcze dziś czytał ostatni rozdział książki Johna Grishama, która naprawdę go zainteresowała. Usadowił się na

jednym z kontenerów, by spokojnie skończyć powieść. Niestety wtedy przyszedł rozkaz, by przygotować się do akcji. Kiedy już siedział w helikopterze gotowy do wylotu, dowiedział się, że misja została odwołana. Zdjął z siebie sprzęt i ubranie, wymknął się z książką na kontener, ale ledwie rozpoczął czytanie, został wezwany ponownie. Wydawało się, że cały świat sprzysiągł się przeciw niemu, by nie skończył tej powieści.

Kiedy wszyscy znaleźli się na dole, a lina została wyrzucona z helikoptera, black hawk oddalił się. Grupa Waddella otrzymała od porucznika rozkaz osłaniania Nelsona, który umieścił „świnię" na dwójnogu na niewielkim wzniesieniu ulicy i rozpoczął stały ostrzał. Ludzie obsługujący karabiny maszynowe w grupie Chalk Two z reguły ściągali na siebie największy ogień[46].

Nelson zaczął strzelać, jeszcze zanim opuścił śmigłowiec. Przez otwarte drzwi zobaczył mężczyznę z AK-47, który wyszedł na środek ulicy i, poprzez chmurę pyłu, wystrzelił w stronę śmigłowca. Nelson oddał sześć strzałów w kierunku napastnika. Z początku nie widział, czy trafił, lecz później zauważył, że mężczyzna leży w tym samym miejscu, gdzie przedtem stał. Pomyślał, że albo sam go trafił, albo zrobili to strzelcy pokładowi helikoptera.

Kiedy Nelson opuszczał się na linie, kule świstały mu koło głowy. Co prawda nie było ich wiele, ale nawet jedna kula lecąca w czyimś kierunku to o jedną za dużo. Wściekł się. Ponieważ trudno było przyhamować, zjeżdżając z przypiętym karabinem, Nelson przewrócił się na dole. Sierżant sztabowy Ed Yurek wybiegł, by pomóc mu wstać, i odprowadził go do muru.

– Człowieku, szybko robi się gorąco – rzucił Nelson.

Ustawił broń blisko środka drogi wychodzącej na zachód. Po jego prawej stronie znajdowała się uliczka, w której widzieli mierzących do nich z broni Somalijczyków. Karabin Nelsona wypłoszył ich. Został tylko jeden. Stary człowiek z nastroszonymi, siwymi włosami, który wydawał się tak przejęty strzelaniem w kierunku zachodnim, że nie spostrzegł wielkiego karabinu po swojej lewej stronie. Był za daleko, by do niego strzelić, ale Nelson zauważył, że mężczyzna zbliża się w jego kierunku. Operator karabinu M60 wiedział, co zamierza stary człowiek. DiTomasso powiadomił, że grupa desantowa Chalk Four jest uwięziona o jedną przecznicę na północny-zachód od nich. Somalijczyk najwyraźniej szukał miejsca, z którego mógłby strzelić do Eversmanna i jego ludzi.

– Strzelaj, strzelaj! – ponaglał go pomocnik.

– Nie, popatrz! Idzie do nas.

I rzeczywiście człowiek z białymi, nastroszonymi włosami przemieszczał się w ich kierunku. Przykucnął za dużym drzewem niecałe 50 metrów od nich, kryjąc się przed rangersami Eversmanna, nieświadomy zagrożenia za lewym ramieniem. Właśnie ładował magazynek, kiedy Nelson wystrzelił w jego kierunku z tuzin kul – tytanowych pocisków podkalibrowych w plastikowych łuskach, zdolnych do przebicia kamizelki kuloodpornej. Nelson widział, jak kule przeszywają starego człowieka, ale ten i tak się podniósł, chwycił broń, a nawet oddał jeden czy dwa strzały w kierunku Nelsona. Osłupiały operator karabinu

maszynowego wystrzelił kolejne pociski w kierunku człowieka, który mimo wszystko zdołał wczołgać się za drzewo. Tym razem już nie odpowiedział ogniem.

– Trafiłeś go – orzekł pomocnik strzelca.

Nelson widział, że człowiek z siwymi włosami nadal rusza się za drzewem. Klęczał i najwyraźniej wciąż żył. Nelson znowu nacisnął spust i puścił długą serię. Pod gradem kul kora odprysnęła od drzewa, a stary człowiek osunął się na ulicę. Leżące na boku ciało starca drżało, najwyraźniej wydawał z siebie ostatnie tchnienie. Nelson zdziwił się, że zabicie człowieka może być takie trudne.

W tym samym czasie Waddell podczołgał się do Nelsona i ostrożnie uniósł głowę. Obaj leżeli płasko na ziemi. Nieopodal dostrzegł ciało Somalijczyka zastrzelonego przez ludzi z helikoptera. Szukając lepszego miejsca do osłaniania Nelsona, Waddell przesunął się w stronę muru po południowej stronie ulicy. Wówczas dostrzegł następnego Somalijczyka wychylającego się zza rogu po zachodniej stronie i celującego w stronę Nelsona, który był zajęty pojedynkiem ze starcem. Waddell strzelił do niego. W książkach czy na filmach, gdy żołnierz strzela do człowieka po raz pierwszy, nachodzi go chwila zadumy. Waddell nie zastanawiał się długo. Po prostu zareagował. Facet upadł, więc nie żyje. Tymczasem Nelson nie widział, jak mężczyzna upada, toteż strzał zaskoczył go. Waddell wskazał mu miejsce, gdzie upadł Somalijczyk, a operator karabinu maszynowego wstał, podniósł swoją długą broń i na wszelki wypadek wpakował kilka kul w ciało mężczyzny. Następnie obaj pobiegli poszukać lepszego schronienia.

Znaleźli je za spalonym samochodem. Wyglądając spod spodu w kierunku północnym, Nelson dojrzał Somalijczyka z bronią leżącego na ulicy, pomiędzy dwoma klęczącymi kobietami. Strzelec trzymał lufę między nogami kobiet, a czworo dzieci na nim siedziało. Mężczyzna osłonięty cywilami cynicznie wykorzystywał uczucia Amerykanów.

– Zobacz, John – zwrócił się do Waddella, który rzucił szybkie spojrzenie zza samochodu.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Waddell.

– Nie dam rady go trafić pod tymi ludźmi.

Nelson rzucił więc granatem hukowo-błyskowym, a cała grupa rozpierzchła się tak szybko, że Somalijczyk zostawił swój karabin na drodze.

Na ulicę padło kilka granatów zrobionych w starym, sowieckim stylu, które wyglądały jak puszki po zupie na drewnianych patykach. Tylko jeden lub dwa wybuchły. Eksplozje nastąpiły na tyle daleko, że żaden z rangersów nie został ranny. Nelson wrzasnął do DiTomassa i wskazał na ceglany mur po wschodniej stronie ulicy.

Patrzył, jak porucznik i trzech innych rangersów przecinają ulicę, by wpaść na parking przez na wpół otwartą bramę. Nim wbiegli na teren parkingu, DiTomasso wrzucił do środka granat. Po chwili udało im się schwytać czterech Somalijczyków, którzy stali na dachach samochodów, strzelając w ich kierunku z karabinów opartych o szczyt muru[47].

Choć ostrzał nie był jeszcze intensywny, sierżant Yurek, dwudziestosześcioletni szorstki i doświadczony żołnierz z wisielczym poczuciem humoru i słabością do zwierząt, był pod wrażeniem. Jako miłośnik kotów miał małe stado tych zwierząt w domu w Georgii, poza tym adoptował miot kociąt, które znalazł w hangarze, tu w Mog. Żołnierze Delty narzekali na piszczące i miauczące w nocy zwierzęta. Zagrozili nawet, że je uciszą, jednak Yurek wstawił się za kotami. Nikt nie mógł ich ruszyć, inaczej miałby z nim do czynienia.

Nie podobała mu się myśl o strzelaniu do kogokolwiek lub czegokolwiek, ale zaakceptował konieczność takiego działania. Kiedy ludzie strzelali w jego kierunku, musiał się bronić. Podczas dotychczasowych misji „zdechlaki" z Mogadiszu oddawały chaotycznie krótką salwę strzałów, by od razu wziąć nogi za pas. Yurkowi było to na rękę. Niemniej dzisiejsza strzelanina już od początku była uporczywa i wzmagała się. Yurek doszedł do wniosku, że w atakowanym domu muszą przebywać naprawdę ważni ludzie. Być może nawet sam Aidid. Żołnierze z grupy Chalk Two strzelali równocześnie w trzech kierunkach – na zachód, wschód, a przede wszystkim na północ. Yurek zdjął snajpera strzelającego z niskiego budynku po północno-wschodniej stronie. W pewnej chwili jeden z sanitariuszy po drugiej stronie ulicy krzyknął, wskazując na lichą blaszaną szopę nieco na wschód od ich pozycji na skrzyżowaniu:

– Hej, w tej szopie są ludzie!

To nie była dobra wiadomość. Yurek przebiegł przez ulicę, a potem razem z sanitariuszem wpadli przez drzwi wejściowe.

O mało nie zdeptał zbitej gromadki przerażonych dzieci i kobiety, która najwyraźniej była ich nauczycielką.

– Wszyscy na podłogę! – wrzasnął, nadal trzymając w ręku uniesioną broń.

Przestraszone dzieci zaczęły płakać. Yurek zorientował się, że musi je uspokoić, nim wpadną w panikę. Tygrys w kociej norze.

– Uspokójcie się – błagał. – Spokój!

Jednak płacz przybierał na sile. Poruszając się powoli i ostrożnie, Yurek pochylił się i położył karabin na podłodze. Gestem przywołał nauczycielkę. Wyglądała na jakieś szesnaście lat.

– Połóż się – powiedział spokojnie. – Połóż się. – Zrobił dodatkowy gest rękoma.

Młoda kobieta zawahała się, ale wykonała jego polecenie.

Yurek wskazał teraz na dzieci, pokazując gestami, by zrobiły to samo. Udało się. Podniósł z ziemi broń i odezwał się do nauczycielki, starannie wymawiając każde słowo tak, jak robią to ludzie, którzy starają się przełamać barierę językową.

– Musicie tu zostać. Cokolwiek zobaczycie czy usłyszycie, zostańcie tu. Nauczycielka pokręciła głową, a Yurek miał nadzieję, że było to przytaknięcie. Wychodząc, polecił sanitariuszowi, by pozostał przy drzwiach szopy i dopilnował, żeby nie wpadł do niej żaden żołnierz[48].

Wyglądając zza samochodu w stronę ulicy odchodzącej od ich skrzyżowania, Nelson zobaczył człowieka z karabinem, jadącego w jego stronę na krowie. Wokół zwierzęcia szło jeszcze ośmiu mężczyzn, niektórzy uzbrojeni, niektórzy bez broni. Była to najdziwniejsza mała armia, jaką Yurek widział. Nie wiedział, czy się śmiać, czy strzelać. Razem z innymi rangersami oddał strzał w kierunku mężczyzn. Człowiek, który przemieszczał się na krowie, spadł na ziemię, pozostali rozpierzchli się. Krowa się zatrzymała.

W tej chwili black hawk obniżył lot nad ulicą i puścił serię z działka pokładowego[49]. Krowa rozpadła się – kawały mięsa wzleciały w powietrze wśród strumieni krwi. Kiedy działko ucichło, a cień helikoptera zniknął, z krowy pozostały tylko parujące kawały mięsa na drodze.

Mimo makabrycznej sceny obecność śmigłowców ze śmiercionośną bronią pokrzepiła żołnierzy na ulicach. Znajdowali się w nieznanym i wrogim mieście, a wokół nich napływający ze wszystkich stron, czyhający na ich życie ludzie z karabinami, świszczące kule, potworne sceny, pył, zapach krwi oraz palonego mięsa przemieszany ze smrodem odchodów, a tymczasem majestatyczny, wielki black hawk z rytmicznie obracającymi się śmigłami oraz bronią o okropnej sile rażenia przypominał im, że są częścią niezwyciężonej armii. Wkrótce się stąd wydostaną i wrócą do domów.

Somalijczycy wciąż napływali tłumnie z północy. Z tej odległości wydawało się, że są ich tysiące. Mniejsze grupy kierowały się na południe, w stronę oddziału Chalk Two. Jedna grupa, mniej więcej piętnastoosobowa, była zaledwie półtorej przecznicy dalej. Nelson starał się celować z karabinu tylko w uzbrojonych, jednak tłum był coraz liczniejszy, a ci, którzy mieli broń, co chwilę strzelali ponad głowami pozostałych. Wiedział, że ma tylko dwa wyjścia; pozwoli im strzelać lub puści serię w tłum. Po chwili zastanowienia wybrał drugie rozwiązanie. Grupa rozpierzchła się, zostawiając na ulicy ciała zabitych, ale natychmiast pojawiła się następna. Wydawało się, że nadchodzą chmarami z północy, tak jakby ktoś ich popędzał. Zbliżali się, od grupy desantowej dzieliło ich już jakieś 20 metrów, niektórzy z nich strzelali. Tym razem Nelson nie miał czasu na przemyślenie sprawy. Odpalił sześćdziesiątkę, pociski skosiły zbliżających się ludzi. Śmigłowiec Little Bird obniżył lot i wyrzucił z siebie płonącą ścianę ognia i ołowiu. Ci, którzy ocaleli, rzucili się do ucieczki. Znajdujący się przed nimi tłum momentalnie zamienił się w krwawą masę zabitych i rannych.

– Cholera, Nelson! – wrzasnął Waddell. – Cholera![50]

8

Przy drzwiach wejściowych do domu stanowiącego cel ataku sierżant sztabowy Jeff Bray, członek zespołu kontroli bojowej, zastrzelił Somalijczyka, który biegł w jego stronę, strzelając z AK-47. Bray należał do czteroosobowej jednostki powietrznych sił specjalnych złożonej z takich jak on ekspertów od nadzorowania komunikacji naziemnej i powietrznej, spadochroniarzy i odważnych sanitariuszy, których zadaniem było wyciąganie z opresji pilotów z zestrzelonych śmigłowców. Inny członek bojowej grupy kontrolnej, sierżant Dan Schilling był w konwoju lądowym. Dwóch spadochroniarzy znajdowało się na pokładzie śmigłowca jednostki poszukiwawczo-ratowniczej, razem z tuzinem rangersów i operatorów Delty. Bray został przydzielony do grupy dowodzenia Delty, która opuściła się na linach ze śmigłowca black hawk przecznicę na zachód od domu stanowiącego cel ataku. Człowiek, którego zabił, biegł w jego kierunku ulicą, strzelając zapamiętale. Co myślał? Jak można być aż tak kiepskim strzelcem?

W atakowanym domu za Brayem grupa szturmowa Delty zbierała pojmanych Somalijczyków. Leżeli na podwórzu, a żołnierze krępowali im nadgarstki. Poza dwoma głównymi celami w grupie znalazł się Abdi Yusef Herse, adiutant Aidida. Złowili więcej rybek, niż można się było spodziewać. Podczas sprawdzania innych pomieszczeń sierżant Paul Howe wpakował kilka kul w komputer na pierwszym piętrze. Sierżant Matt Rierson odpowiadał za doprowadzenie do pojazdów więźniów pojmanych przez jego ludzi. Howe, sierżant Norm Hooten i ich zespoły wróciły na pierwsze piętro, by osłaniać konwój z okien i dachu.

W centrum operacyjnym generał dywizji Garrison i jego ludzie oglądali przebieg akcji przekazywany z kamer lotniczych. Widząc, jak oddział Howe'a wchodzi z powrotem na dach, zrozumieli, że operatorzy Delty zakończyli zadanie. Poza problemem z rangersem, który upadł na ziemię, wszystko szło jak w zegarku. Rangersi utrzymali pozycje blokujące. Była piętnasta pięćdziesiąt. Powrót do bazy rozpocznie się za mniej więcej 10 minut[51].

9

Po poderwaniu się śmigłowców w powietrze hummer sierżanta Jeffa Strueckera oraz reszta konwoju lądowego czekali jeszcze przez kilka minut przed bramą wyjazdową z bazy. Struecker miał poprowadzić do punktu za hotelem Olympic kolumnę dwunastu pojazdów składającą się z dziewięciu hummerów oraz trzech pięciotonowych ciężarówek. Tam poczekają, aż chłopaki z Delty załatwią sprawy.

Struecker, członek sekty odnowy ewangelicznej z Fort Dodge w stanie Iowa, miał największe doświadczenie w poruszaniu się po mieście. Jego udział w inwazji na Panamę pozwolił mu mieć świadomość, że już widział Trzeci Świat. Jednak na pobyt w Somalii nie był przygotowany. Wszędzie walały się śmieci. Tubylcy mieli niezrozumiały dla niego zwyczaj palenia różnych przedmiotów: opon, śmieci, nawozu, co wywoływało ciężki, gryzący zapach. Struecker uważał, że tubylcy lenili się. Patrzyli, jak świat przecieka obok

ich obskurnych, okrągłych chat oraz blaszanych chałup; kobiety ze złotymi zębami ubrane w jasne, kolorowe suknie, starzy mężczyźni w luźnych, bawełnianych spódnicach oraz znoszonych plastikowych sandałach. Ci, którzy mieli na sobie zachodnie ubrania, nosili rzeczy przypominające dary z Armii Zbawienia z lat siedemdziesiątych. Mężczyźni, zatrzymywani nieraz i przeszukiwani przez rangersów, w tylnej kieszeni spodni chowali zwitek khatu. Ich uśmiech ujawniał poplamione od żucia zielska pomarańczowe plamy na zębach, wywołując wrażenie groźnych czy obłąkanych. Struecker uważał to za odrażające. Życie tubylców wydawało mu się bez sensu. Ich skrajna nędza wprawiała go w osłupienie.

W niektórych częściach miasta organizacje charytatywne każdego dnia rozdawały pożywienie. Rangersi zostali uprzedzeni, by nie jeździć tam w godzinach rozdzielania żywności. Pewnego dnia Struecker znalazł się na tyle blisko, by zrozumieć powód tego ostrzeżenia. Nie było tam tysięcy, lecz dziesiątki tysięcy czekających na dary ludzi, którzy oblegali punkty z żywnością. Nie wyglądali na głodujących. Niektórzy Somalijczycy łowili ryby, ale większość najwyraźniej zapomniała, co to praca. Z reguły byli przyjaźnie nastawieni do rangersów. Kobiety i dzieci podchodziły do ich samochodów z uśmiechem i wyciągniętymi rękami. Czasem jednak w niektórych kwartałach miasta mężczyźni grozili im pięściami. Wielu żołnierzy rzucało dzieciom pakowane, gotowe do spożycia posiłki. Wszystkim było żal dzieci, dorosłymi pogardzali.

Trudno dociec, co sprowadziło żołnierzy USA w takie miejsce. Jednak Struecker miał tylko dwadzieścia cztery lata, poza tym jako żołnierz nie czuł się upoważniony do zadawania pytań. Jego dzisiejsze zadanie polegało na dotarciu do Hawlwadig Road, załadowaniu pojmanych Somalijczyków, sił szturmowych i blokujących, a następnie zabraniu ich do bazy. Bezpośrednio za nim podążał drugi hummer z jego zespołu prowadzony przez sierżanta Danny'ego Mitchella. Następny z kolei był samochód, w którym siedzieli operatorzy Delty i oddział SEAL – ich zadaniem było udać się do atakowanego budynku, by wesprzeć znajdującą się już tam grupę szturmową. Za tym samochodem jechał jeszcze jeden hummer, trzy ciężarówki, pięć hummerów, włączając w to samochód z dowodzącym konwojem podpułkownikiem Dannym McKnightem. Kierowcą w hummerze wiozącym Strueckera był starszy szeregowy Jeremy Kerr. Z tyłu siedzieli: obsługujący karabin maszynowy sierżant Dominick Pilla, ulubieniec kompanii starszy szeregowy Brad Paulson, który obsługiwał karabin maszynowy kaliber .50 w wieżyczce na dachu samochodu, oraz specjalista Tim Moynihan, pomocnik strzelca[52].

Dom Pilla był dużym, silnym facetem z akcentem z New Jersey. Kiedy o czymś opowiadał, żywo gestykulował. Jako urodzony komik uwielbiał robić kawały. W papierosach kolegów umieszczał małe ładunki, które wybuchały po wypaleniu połowy papierosa z głośnym „bum"! Inni robiący takie psikusy mogli być irytujący, ale nie Pilla. Wszyscy śmiali się razem z nim. Najsłynniejsze były krótkie skecze, w których razem z Nelsonem przedrzeźniali oficerów dowodzących. Stały się one hitem, a Nelson i Pilla byli często proszeni o powtórzenie występu. Ulubionym była parodia zachowań „trenera" Steele'a.

Podobnie jak każdy surowy oficer dowodzący Steele miał skomplikowane relacje z podwładnymi. Szanowali go, ale czasem wkurzał ich nie na żarty. Steele grał w drużynie futbolu amerykańskiego trenowanej przez Vince'a Dooleya, jako zawodnik linii ataku na narodowych mistrzostwach w 1980 roku. Dla

trzydziestodwuletniego oficera przygoda z futbolem była ważnym doświadczeniem. Niektórych żołnierzy irytował jego ostentacyjny religijny zapał i zamiłowanie do wprowadzania w życie futbolowych metafor. Miał zwyczaj nazywać dużych facetów w plutonie „obrońcami", a niskich i chudych „skrzydłowymi" lub „biegaczami". Uwielbiał ustawiać żołnierzy w kole, by podali sobie ręce w środku, tak jak robią to zawodnicy przed meczem. Cytował przemowy słynnych trenerów NHL. Cechowała go zagorzała pobożność. Zatrzymywał żołnierzy, by zapytać: „Synu, chodzisz do kościoła, prawda?". Niektórzy uważali, że to przesada. Nigdy nie nazywali go „trenerem" w jego obecności, z wyjątkiem skeczy, podczas których wszystkie chwyty były dozwolone.

Nelson był scenarzystą, a Pilla gwiazdą. Choć był wysoki i miał posturę kulturysty, potrzebował kilku warstw dodatkowej bielizny, aby dorównać masą ciała Steele'owi. Czasem klecili prowizoryczny kask w barwach drużyny Buldogów, po czym Pilla – urodzony komik – mógł rozpocząć występ. Skecz zaczynał się od Pilli/Steele'a, który ćwiczy w biurze blok i szarżowanie, mając małe wypadki. Steele zazwyczaj także się przyjaźnie śmiał ze skeczu. Jednak w którymś ze skeczy Nelson i Pilla, być może niepotrzebnie, zrobili sobie rubaszny żart i zasugerowali, że pomiędzy kapitanem a jego oddanym zastępcą, porucznikiem Perinem, jest coś więcej niż służbowe relacje. Widownia śmiała się do rozpuku, ale „trener" tym razem nie. Później ochrzanił Nelsona i Pillę za, jak to ujął, „przedstawienie alternatywnego stylu życia". Jego tyrada była tak zabawna, że Nelson i Pilla uznali ją za doskonały temat następnego skeczu[53].

Struecker i pozostali żołnierze z kolumny tak zaplanowali godzinę odjazdu, by nie wyjechać zza hotelu Olympic wcześniej, niż grupa szturmowa rozpocznie atak. Patrzyli na okazałą grupę helikopterów wznoszącą się nad ocean, a kiedy piloci śmigłowców donieśli, że skręcili nad ląd, wyjechali z bazy. Dowodzący konwojem Struecker skręcił w złą ulicę. Po wcześniejszym obejrzeniu fotomapy był przekonany, że zna trasę na pamięć, ale gdy wjechali do miasta, stracił orientację. Wszystkie ulice wyglądały tak samo, nie było też znaków ułatwiających znalezienie właściwej drogi. Jechali szybko; najpierw przez Via Gesira w kierunku północno-wschodnim, w stronę ronda K-4, później na północ przez Via Lenin w stronę podium służącego niegdyś do przeglądu wojska. W tym miejscu skręcili w National Street w kierunku wschodnim, a następnie na północ, w ulicę równoległą do Hawlwadig Road. Jednak wtedy Struecker zauważył, że reszta konwoju, poza Mitchellem, pojechała prosto.

– Cholera, gdzie jesteście? – dobiegł przez radio głos sierżanta Boba Gallaghera.

– Jedziemy – odpowiedział Struecker. – Skręciliśmy w złą ulicę, ale jesteśmy w drodze.

Nieco zakłopotany Struecker zdołał poprowadzić dwa pojazdy, swój i Mitchella, z powrotem przez labirynt budynków, aby dołączyć do reszty konwoju przy hotelu[54].

Zanim pojazdy dojechały do punktu, gdzie miały oczekiwać na żołnierzy i więźniów, sygnalista SEAL John Gay, siedzący z tyłu w trzecim hummerze, usłyszał strzał i poczuł silne uderzenie w prawe biodro. Oszołomiony, czując ból, krzyknął, że jest ranny. Siedzący obok Gaya starszy sierżant sztabowy Delty Tim „Griz" Martin wyskoczył z samochodu i obszedł go, by obejrzeć postrzał. Pozostali także wysiedli i ukryli się

za samochodami. Martin rozerwał spodnie Gaya i obejrzał biodro, a następnie pocieszył go, że pocisk uderzył w nóż Randalla[55]. Ostrze zostało roztrzaskane, ale nóż zmienił kierunek kuli. Martin wyjął kilka zakrwawionych kawałków metalu z biodra Gaya i szybko zabandażował ranę. Gay wykuśtykał z pojazdu, schował się i zaczął strzelać w stronę Somalijczyków[56].

Struecker otrzymał rozkaz ewakuacji Blackburna, rangersa, który wypadł z helikoptera. Sierżant Joyce sprowadził pomoc. Hummer oddziału SEAL, prowadzony przez starszego sierżanta sztabowego Chucka Essweina, podjechał w górę Hawlwadig Road, a rannego zapakowano do środka przez tylne drzwi. Do samochodu weszło też dwóch sanitariuszy. Sierżant Delty John Macejunas zajął miejsce pasażera z przodu, obok Essweina. Samochód prowadzony przez Strueckera, wyposażony w karabin maszynowy kaliber .50, miał jechać przodem, a pojazd Mitchella z granatnikiem automatycznym Mk19 osłaniać tyły.

– Tutaj Uniform Six Four. – McKnight połączył się przez radio ze śmigłowcem dowodzenia. – Mam nagły wypadek. Odeślę trzy samochody, w tym jeden z rannym.

Struecker zwrócił się do McKnighta:

– Odwiozę go w 5 minut.

Podpułkownik odpowiedział, że reszta wkrótce dołączy. Misja była prawie zakończona.

Trzy samochody ruszyły szybko w stronę bazy. Ulice ożyły. Co chwila następował wybuch, w stronę pojazdów padały liczne strzały. Tym razem Struecker pamiętał trasę. Wybrał najprostszą możliwą drogę. Po minięciu kilku przecznic był już na National Street. Teraz można było jechać prosto, potem w dół do ronda K-4, na którym skręcą w stronę plaży.

Jednak sytuacja zaczęła się pogarszać. Na ulicach rosły barykady. Taranowali je lub objeżdżali dookoła. Jeden z sanitariuszy, szeregowy Good, trzymał worek z kroplówką Blackburna jedną ręka, a drugą strzelał z karabinu CAR-15. Na dachu pojazdu Strueckera strzelec z wieżyczki, Paulson, z zapamiętaniem obracał karabin M2 to w lewo, to w prawo, aby trafić Somalijczyków strzelających w nich z dachów po obu stronach ulicy. Zatem Struecker pouczył operatora M60 Pillę, by skoncentrował się na prawej stronie, zostawiając lewą Paulsonowi. Nie chcieli jechać zbyt szybko, ponieważ uciążliwa jazda po drodze z wybojami mogłaby zaszkodzić Blackburnowi.

Pilla oberwał, kiedy skręcili w National Street. Zginął na miejscu. Gdy kula trafiła go w czoło, tył głowy eksplodował. Ciało Pilli padło bezwładnie na kolana Moynihana, który, obryzgany krwią, fragmentami czaszki i kawałkami mózgu, wrzasnął z przerażeniem:

– Pilla oberwał!

W tej chwili połączył się z nimi przez radio sierżant Gallagher.

– „Jak idzie?”

Struecker zignorował radio i krzyknął przez ramię do Moynihana:

– Uspokój się! Co z nim? – Nie widział, co się dzieje z tyłu.

– Nie żyje! – Moynihan był wściekły.

– Skąd wiesz, że nie żyje? Jesteś sanitariuszem?

Struecker rzucił szybkie spojrzenie na zbryzgany krwią tył pojazdu. Pilla leżał na kolanach Moynihana.

– Dostał w głowę! Nie żyje! – wrzasnął Moynihan.

– Uspokój się – błagał Struecker. – Dopóki nie znajdziemy się w bazie, musimy walczyć.

Do diabła z ostrożną jazdą. Struecker kazał kierowcy dodać gazu i miał nadzieję, że Esswein za nimi nadąża. Zobaczył lecący nad ulicą pocisk z granatnika. Wydawało się, że całe miasto do nich strzela.

Wtedy znów usłyszeli głos Gallaghera.

– „Jak idzie?"

– Nie chcę o tym mówić.

Odpowiedź nie spodobała się Gallagherowi.

– „Macie jakichś rannych?"

– Tak, jednego.

Struecker nie chciał mówić nic więcej. Z tego, co wiedział, dotychczas żaden z ich ludzi nie zginął, więc nie chciał podawać takiej informacji przez radio. Zdawał sobie sprawę, że mogą ich usłyszeć zarówno operatorzy na polu walki, jak i załogi wszystkich śmigłowców. Operatorzy radiowi na ziemi monitorowali wszystkie pasma. Podczas bitwy ludzie chłoną informacje niczym gąbka wodę. Są spragnieni nowin nawet bardziej niż wody. W odróżnieniu od innych Struecker był już na wojnie, w Panamie i Zatoce Perskiej, wiedział więc, że żołnierze walczą lepiej, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem. Jeśli coś pójdzie nie tak i ludzie wpadną w panikę, trudno będzie odzyskać kontrolę nad przebiegiem akcji. Tak było teraz z Moynihanem. Podczas walki panika była jak wirus, i to śmiertelny.

– „Kto to jest i jaki jest jego stan?" – Gallagher nalegał.

– To Pilla.

– „Jaki jest jego stan?"

Struecker przez chwilę nic nie mówił, zmagając się z samym sobą, po czym z wahaniem odpowiedział:

– Nie żyje.

Kiedy przebrzmiały te słowa, umilkły wszelkie rozmowy w radiu. Nastąpiły długie sekundy ciszy[57].

10

Ali Husajn pilnował apteki Labadhagal Bulal położonej na południe od miejsca strzelaniny.

Wszedł na schody prowadzące do sklepu i zobaczył wielu uzbrojonych mężczyzn biegnących w kierunku, z którego dochodziły odgłosy walki. Niektórzy z nich należeli do milicji Aidida, inni byli sąsiadami Alego, którzy chwycili za własne karabiny.

Husajn chciał zobaczyć, co się dzieje, ale bał się, że podczas jego nieobecności ktoś ukradnie mu towar. Stał i słuchał, jak odgłosy wystrzałów coraz bardziej zbliżają się do jego ulicy.

Potem pojawiły się trzy rozpędzone samochody amerykańskiej armii. Z wielkich karabinów na dachu padały strzały. Wskoczył do sklepu i zatrzasnął metalowe drzwi, zanim kule się od nich odbiły. Padł na podłogę przy bocznej ścianie, wiedząc, że było to najbezpieczniejsze miejsce w budynku. Po chwili przez okna wpadły pociski z pędzących przed sklepem samochodów.

Pojazdy niebawem zniknęły za rogiem, a strzelanina ucichła[58].

11

Niewielki konwój wyjechał na główną drogę. Strzały na chwilę ustały, w oddali błyszczał ocean. Jednak kiedy zbliżyli się w okolice portu, okazało się, że na ulicę wyległy tysiące Somalijczyków. Struecker zamarł. Nie byli już pod ciężkim ostrzałem, ale jak trzy samochody mają się przedrzeć przez tłum?

Kierowca znacznie zwolnił, a kiedy wjechali w rzesze gapiów, cały czas trzymał wciśnięty klakson. Struecker nakazał mu nie zatrzymywać się, a sam rzucił przed siebie granaty hukowo-błyskowe, które wypłoszyły część ludzi. Równocześnie polecił żołnierzowi obsługującemu karabin maszynowy, by otworzył ogień nad głowami tłumu, za którymi już było widać ocean.

Struecker starał się namierzyć przez radio sanitariuszy. Gdy ta próba się nie powiodła, połączył się z siecią dowództwa.

– Potrzebuję lekarza. Natychmiast.

Strzały z wielkiego karabinu przepędziły większość ludzi, pojazdy więc znów przyspieszyły. Jadący w pierwszym samochodzie żołnierze mieli wrażenie, że hummer przejechał kilka osób. Struecker jednak nie obejrzał się, by to sprawdzić. Nagle na drodze wyrosła tocząca się powoli ciężarówka, pikap wypełniony ludźmi siedzącymi na platformie bagażowej bądź stojącymi z tyłu. Nic nie wskazywało, by miała usunąć się z drogi, nie było też miejsca, by ominąć ciężarówkę, więc Struecker kazał kierowcy staranować ją. Mężczyzna,

którego noga wystawała z tyłu pikapa, krzyknął z bólu, kiedy uderzył w nią przeciskający się hummer. Znowu mieli wolną drogę.

Struecker ponownie połączył się przez radio:

– Czy przy bramie może czekać na nas lekarz, odbiór?

Wjeżdżając na teren bazy, poczuli ulgę i potworne zmęczenie. Zarazem ogarnęły ich wątpliwości. A może zasłużyli na słowa krytyki? Kilku rangersów było rannych. Pilla nie żył. Tak czy inaczej, przynajmniej dla nich, było już po wszystkim.

Zakrwawieni ludzie Strueckera wypakowali się z samochodów. Wyglądali na oszołomionych. Strueckera przeraził widok bazy. Spodziewał się, że zastanie tu spokój i bezpieczeństwo. Zamiast tego wszyscy biegali gorączkowo tam i z powrotem.

Z głośnika dobiegł głos dowódcy krzyczącego na kogoś: „Obserwuj, co się dzieje i słuchaj moich rozkazów!".

Coś się wydarzyło.

Pojawiła się ekipa medyczna. Jeden z lekarzy zbliżył się i zaczął odwracać Pillę.

– Nim się nie przejmuj – powiedział Struecker. – Nie żyje.

Lekarz oddalił się w stronę pojazdu Essweina, by zająć się Blackburnem. Struecker zawołał jednego z przechodzących sanitariuszy:

– W moim samochodzie jest trup. Musicie go wynieść. Sierżant przyglądał się, jak wyciągają Pillę z tyłu samochodu. Brakowało mu czubka głowy. Twarz była biała, zniekształcona i spuchnięta. Wyglądała okropnie. To już nie był Pilla[59].

12

Szeregowy Clay Othic ustrzelił kurczaka. Właśnie mieli odjechać z więźniami, kiedy na Hawlwadig Road wybuchło piekło. Ludzie biegali we wszystkich kierunkach, mężczyźni strzelali do żołnierzy z karabinków AK-47, pociski z granatników przelatywały w powietrzu, zostawiając za sobą smugę dymu, a następnie wybuchały z głośnym hukiem. Pośrodku tego bałaganu znalazło się spanikowane stado kurczaków, które przybiegło prosto pod karabin Othica. Jeden z ptaków zamienił się w chmurę piór, kiedy Othic wypalił do niego z pięćdziesiątki. „Mały Łowca" upolował kolejną zdobycz.

Othic był najmniejszym facetem w kompanii. Wyglądał mniej więcej na trzynaście lat. W związku z tym (zgodnie ze standardową procedurą operacyjną) przyznano mu największą broń (karabin maszynowy Browninga M2, kaliber .50, określany też jako Ma-Deuce), umocowaną na wieżyczce strzeleckiej na dachu

hummera. Othic stał się sławny w jednostce po tym, jak gwizdnął hummera generała Garrisona. Wieżyczka w samochodzie Othica wciąż się zacinała, dlatego sierżant kazał mu zamienić pojazd na któryś z „tamtych", jak powiedział, wskazując na parking. Othic, niewiele się zastanawiając, wziął pierwszy lepszy wóz – najczyściejszy, jaki udało mu się znaleźć. Na szczęście samochód został odstawiony na miejsce, zanim generał zdążył się zorientować.

Nazywali go „Małym Łowcą". Podczas przepustki żołnierze zazwyczaj spędzali czas w barach w Auburn i Atlancie, tymczasem on, wiejski chłopak z Missouri, miał zwyczaj zaszywać się w lesie wokół Fort Benning. Podczas sezonu łowieckiego wychodził do lasu ze strzelbą, by wrócić z dzikim indykiem lub sarną, które patroszył w koszarach i przynosił do kantyny. Miał rzadką zdolność do odnajdowania radości w każdej sytuacji. Lubił nawet stać na warcie, podczas której najbardziej interesującą rzeczą mogła być konfiskata filmu z aparatu ryzykantów ignorujących znak zakazu robienia zdjęć. Miał całą kolekcję rozwiniętych klisz wiszących na drucie kolczastym otaczającym jednostkę, które wyglądały jak brązowa lameta.

Othic miał w plecaku niewielki dziennik, w którym zapisywał doświadczenia z pobytu w Mogadiszu. Każdy wpis dedykował swoim rodzicom, ponieważ po powrocie do domu zamierzał wręczyć im pamiętnik. Po konfiskacie kliszy napisał następujący fragment, zapożyczając pewne elementy ze „Star Treka":

„Dziennik pokładowy, data gwiezdna 3 września 1993 roku, godzina 17.00. Właśnie zszedłem z warty, która okazała się całkiem interesująca. Skonfiskowaliśmy jedną taśmę wideo i trzy klisze w ciągu zaledwie dwóch godzin. Ludziom nie wolno robić zdjęć naszych gratów i są nieźle wkurzeni, kiedy zabieramy im filmy. Dziwne to trochę, bo stoi wiele znaków zakazu, ale ludzie i tak próbują być sprytniejsi. Frajerzy!".

Othic lubił pisać, więc fakt, że nie dostawał wielu listów, był dla niego szczególnie irytujący. Nie miał dziewczyny, z którą mógłby korespondować, więc nie dostawał tylu listów co inni. Faceci bez dziewczyn czuli się tak opuszczeni, że chcieli czytać listy, które ich kumple otrzymali od narzeczonych. Nie wszystkie były pozytywne. Sierżant Raleigh Cash, facet z Oregonu, podczas pobytu w Mogadiszu dostał od dziewczyny przygnębiający list pożegnalny. Wysłała mu też pudełko po butach wypełnione jego rzeczami. W środku były płyty, kasety, zdjęcia i inne pamiątki po zakończonym związku, straszne śmietnisko, które zobaczyli wszyscy jego kompani. Wyśmiali Casha bezlitośnie, ale dzięki temu było mu łatwiej znieść rozstanie. Jednak nawet taki list od kobiety był lepszy od braku jakichkolwiek wieści. Specjalista Eric Spalding, facet z Missouri, najlepszy kumpel Othica, dał mu do przeczytania kilka listów od dziewczyny. To było miłe, ale Othic poczuł się żałośnie. Zaczął nawet myśleć o namówieniu siostry, by napisała do niego przepełniony erotyzmem list, tylko po to, by miał się czym pochwalić.

On i Spalding zostali dobrymi kumplami. Po powrocie zamierzali pojechać do Missouri w pikapie Othica. Jego ojciec pracował jako agent w Urzędzie Imigracji i Naturalizacji. Othic zamierzał poszukać tam pracy po opuszczeniu armii. Powiedział Spaldingowi, że ojciec może pomóc w znalezieniu roboty także i jemu. Oboje mieli nadzieję na powrót do Missouri przed końcem jesiennego sezonu na sarny.

Zazdrościli chłopakom z Delty. Rangersi przez cały okres pobytu w Mogadiszu spędzali wolny czas na strzelnicy, na warcie, brali udział w dziesięciokilometrowych biegach, podczas gdy operatorzy Delty naprawdę mieli ubaw. Przykładem może być sprawa gołębi. Kiedy żołnierze po raz pierwszy pojawili się w hangarze, królowały tam gołębie, które zanieczyszczały wszystko dookoła. Pewnego dnia człowiek z Delty został trafiony gołębią kupą, kiedy siedział na łóżku i czyścił broń. Elitarna jednostka wypowiedziała ptakom wojnę. Zamówili śrutówki. Ptaki nie miały szans, pozostały po nich zakrwawione pióra. Żołnierze z Delty najwyraźniej umieli zorganizować sobie czas. Każdy z nich miał wykonane na zamówienie pukawki, na przykład z ręcznie gwintowanymi lufami. Czasami pożyczali sobie śmigłowiec black hawk, by, krzycząc z uciechy, upolować dziką świnię, pawiana, antylopę lub gazelę w somalijskim buszu. Z dziczyzny robili później poczęstunek, chwalili się rogami upolowanych zwierząt. Nazywali to „realistycznym treningiem". Jeden z nich, Brad Hallings, przechadzał się dumnie po całym hangarze z naszyjnikiem z zębów dzika. Mały, przysadzisty Earl Fillmore przykleił sobie do hełmu kły dzika, a następnie chodził w nim dookoła niczym mongolski watażka.

Dla Othica i Spaldinga nie było w pobliżu prawdziwej dziczyzny, znaleźli więc sobie inny cel. Spalding, jako strzelec wyborowy, większość nocy siedział w kucki na dachu, obserwując miasto przy użyciu noktowizora poprzez znajdującą się w ścianie dziurę wielkości dużego grejpfruta. Othic dotrzymywał mu towarzystwa, gawędzili dla zabicia czasu. Ukryci w górze, jako jedyni mogli przyjrzeć się z bliska szczurom, które zawsze dreptały po krokwiach. Mogadiszu było rajem dla szczurów – śmieci nie wywożono regularnie. Othic i Spalding zrobili pomysłowe wnyki z dwóch pustych butelek po wodzie mineralnej, kilku przewodów od pułapek minowych oraz zapakowanych posiłków. Othic zarejestrował ten sukces w dzienniku:

„(...) Dobra wiadomość, Wielcy Biali Łowcy (ja i Spalding) złapaliśmy starego, paskudnego szczura do jednej z naszych pułapek (właściwie ta pułapka była zrobiona przez Spaldinga, ale to wspólna operacja). Wszyscy pogratulowali nam schwytania szczura".

Othic najbardziej pragnął, jeszcze mocniej niż powrotu do domu, większej liczby misji. Przyjechali tu, by walczyć. Na początku było kilka akcji, ale pod koniec września dowódcy zwolnili tempo. Othic napisał:

„Godzina 18.30. Kolejny dzień bez misji, a ja jestem coraz bardziej wkurzony. Co prawda byliśmy na strzelnicy, ale to dla nas żadne pocieszenie. Ćwiczyliśmy też wysadzanie różnych obiektów. Powoli staję się mistrzem w przygotowywaniu ładunków wybuchowych i systemów odpalania (...). Jutro przychodzi poczta (odpukać!). Wiem, że moje wpisy stają się coraz nudniejsze, ale tu się nic nowego nie dzieje. To trochę niebezpieczne, gdyż może prowadzić do rozluźnienia dyscypliny. Ciężko jest zachować czujność, jeśli wpada się w rutynę".

W nocy 25 września „chuchraki" zestrzeliły śmigłowiec black hawk należący do 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Po upadku maszyna zajęła się ogniem. Trzech członków załogi zginęło na miejscu, natomiast dwóch pilotów zdołało uciec. Prowadzili wymianę ognia z atakującymi ich uzbrojonymi Somalijczykami, dopóki kilku przyjaznych tubylców nie wywiozło ich stamtąd własnym środkiem lokomocji.

Tamtej nocy Othic miał wartę.

„Kiedy o drugiej w nocy stałem na warcie, ja i drugi żołnierz zobaczyliśmy płonącą, spadającą pomarańczową kulę, a zaraz potem potężny wybuch, po którym nastąpiła eksplozja wtórna", napisał. „Dziś opuszczono do połowy flagę na maszcie, by uczcić śmierć trzech pilotów 101. Dywizji Powietrznodesantowej. Ich helikopter zestrzelono przy użyciu granatnika przeciwpancernego. (...) Później odbyła się ceremonia w hołdzie dla naszych zmarłych kolegów. Patrząc na ich trumny wysyłane samolotem w ostatnią drogę do domu, przypomnieliśmy sobie o swojej śmiertelności".

Osiem dni później Othic na wieżyczce hummera wyposażonej w karabin kaliber .50 nie miał czasu, by zastanawiać się nad własną śmiertelnością. Czekał przy narożniku kwartału, gdzie stał atakowany budynek. Słuchał narastającego odgłosu wystrzałów i miał ochotę włączyć się do walki ze swoim wielkim karabinem. Ponieważ jego samochód był ostatni w kolumnie pojazdów, miał za zadanie ubezpieczać tyły. Jego największym dzisiejszym zmartwieniem było to, że może przegapić strzelaninę. Wtedy konwój ruszył. Kiedy wjechali w Hawlwadig Road, Othic z nudów ustrzelił kurczaka.

Na ulicy panowało zamieszanie, toteż Othic miał trudności z orientacją. Ponieważ wielu ludzi na drodze było nieuzbrojonych, na początku starał się zachować ostrożność. Najpierw zastrzelił uzbrojonego Somalijczyka stojącego przy wejściu do hotelu, kawałek dalej następnego. Mężczyzna zatrzymał się na środku ulicy i obejrzał przez ramię, natychmiast napotykając wzrok Othica. Kule z pięćdziesiątki, która mogła zrobić dziury wielkości ludzkiej głowy w ścianie z pustaków, rozerwały go na strzępy. Aby unieszkodliwić leżącą teraz na ulicy broń mężczyzny, Othic oddał kilka strzałów w jej kierunku. Dalej, w kierunku południowym, zobaczył ludzi wyciągających opony i śmieci w celu zbudowania ulicznej blokady. Obrócił wieżyczkę i puścił kilka serii w ich kierunku. Uciekli.

Strzały padały teraz z każdej strony. Othic był zdezorientowany. Kule świstały mu koło uszu, w powietrzu latały granaty przeciwpancerne; każdy odpalony RPG wyrzucał chmurę dymu, potem następował błysk, a ślad po wystrzelonym pocisku zaznaczała łukowata smuga. Wokół wieżyczki zgromadziły się łuski po wystrzelonych nabojach. Kula wystrzelona przez któregoś z Somalijczyków uderzyła w leżące łuski, a jedna z nich odskoczyła i skaleczyła Othicowi twarz. Tuż po tym dwa pociski uderzyły w leżące obok niego pudła z amunicją. Przestraszył się. Ktoś w niego celował! Zaczął strzelać na oślep. Przypomniał sobie powiedzenie rangersów: „Kiedy zaczynają się poważne problemy, twardziele biorą się za strzelanie"[60].

Kumpel Othica z Missouri, Eric Spalding, był w jednej z jadących w konwoju pięciotonowych ciężarówek. Na podłodze leżały worki z piaskiem. Siedzący na miejscu pasażera Spalding uważał, że najlepszą obroną jest szybki atak, zaczął więc strzelać, gdy tylko konwój wyjechał zza rogu, za którym miał znajdować się budynek stanowiący cel ataku. Na początku zastrzelił człowieka z bronią na schodach hotelu Olympic. Następne cele wpadały mu pod muszkę tak szybko, że z trudem nadążał naciskać spust. Nie było czasu na zastanawianie się, co się dzieje. Ostrzał rozpoczął się szybko i stawał się coraz bardziej intensywny[61].

Sierżant John Burns, jadący w hummerze obok ciężarówki Spaldinga, z początku nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Tak jak pozostali rangersi spodziewał się, że, podobnie jak podczas poprzednich

misji, spotkają tylko kilku uzbrojonych Somalijczyków, którzy po oddaniu kilku niecelnych strzałów uciekną w popłochu. Kiedy więc zobaczył mężczyznę stojącego za grupą kobiet, który wycelował w ich kierunku granatnik przeciwpancerny, Burns wyskoczył z samochodu, by rzucić się w pogoń za Somalijczykiem. Potknąwszy się o krawędź drzwi, padł na ziemię twarzą do dołu. Podniósł się i pobiegł za człowiekiem trzymającym granatnik. W końcu mógł wziąć go na muszkę. Przyklęknął i wystrzelił. Mężczyzna upadł, a Burns w zapamiętaniu podbiegł do rannego, chwycił go za koszulę i zaczął ciągnąć w kierunku samochodu. Miał dołączyć do pozostałych więźniów. Dopiero teraz zorientował się, jak wiele strzałów pada w ich kierunku. Z przerażeniem zauważył dziesięciu uzbrojonych Somalijczyków wychodzących zza hotelu.

Burns pojął, że bierze udział w naprawdę zażartej walce. Puścił koszulę rannego mężczyzny i pobiegł z powrotem do hummera. Schowani w samochodzie żołnierze obserwowali jego wyczyn ze zdumieniem[62], równocześnie odpowiadając ogniem na strzały nieprzyjaciela.

W hummerze z tyłu szeregowy Ed Kallman poczuł przypływ adrenaliny, kiedy wyjechał zza rogu prosto w środek walki. Wstąpił do wojska, bo był spragniony silnych przeżyć. Znudzony dotychczasowym życiem i szkołą średnią w Gainesville na Florydzie postanowił poszukać przygody. Nowy żołnierz na początku ze strachem myśli o przyszłej walce, jednak stopniowo, po długim okresie treningów i surowej dyscyplinie, każdy rangers pokonuje lęk i nie może się doczekać prawdziwej akcji. Dzisiaj się udało. Byli na wojnie. Siedzący za kółkiem Kallman potrzebował chwili, by uświadomić sobie, że obrazy widziane przez przednią szybę to nie film. Z początku poczuł dziką, chłopięcą radość. Kątem oka zobaczył wystrzelony z granatnika pocisk, który przemknął obok jego samochodu i uderzył w jedną z ciężarówek z przodu. Kiedy dym nieco opadł, ujrzał sierżanta sztabowego Dave'a Wilsona, jednego z dwóch czarnoskórych żołnierzy w kompanii rangersów. Wilson leżał przy ścianie domu, obok ciężarówki, ze sztywno wyciągniętymi przed siebie zakrwawionymi nogami. Kallman był przerażony. Jeden z jego ludzi oberwał! Chwycił mocno kierownicę i skoncentrował wzrok na samochodzie przed nim. Nagle zapragnął znów jechać przed siebie[63].

Ze swojej wieżyczki w hummerze Othic dostrzegł błysk granatnika przeciwpancernego. Skierował w tę stronę karabin kaliber .50 i wystrzelił serię pocisków, kosząc grupę stojącą przed facetem z granatnikiem.

Nagle coś uderzyło go w ramię, jakby kijem bejsbolowym. Usłyszał głośne chrupnięcie, poczuł podmuch, a kiedy spojrzał w dół, zobaczył dziurę w ramieniu. Miał złamaną kość.

– Jestem ranny! Jestem ranny! – krzyczał.

Z zapamiętaniem strzelał nieprzerwanie przez dobrą minutę, trafiając drzewa, budynki i wszystkich, którzy stali na linii ognia, dopóki sierżant Lorenco Ruiz nie przejął jego miejsca na wieżyczce[64].

13

Oddział Eversmanna cały czas zmagał się z trudnościami. Blackburn wypadł z helikoptera, byli za daleko od celu, a teraz zostali otoczeni i nie mieli jak przemieścić się we właściwe miejsce. Z pięciu żołnierzy, których odesłał z Blackburnem na noszach, żaden jeszcze nie wrócił.

Nagle raniono sierżanta Galentine'a. Galentine pochodził z miasta Xenia, w stanie Ohio. Po ukończeniu szkoły przez sześć miesięcy obsługiwał prasę w fabryce wyrobów gumowych, zanim zdecydował, że chciałby w życiu robić coś więcej. Zaciągnął się do wojska w dniu wybuchu wojny w Zatoce Perskiej, która skończyła się, nim przeszedł etap szkolenia podstawowego. Od tego czasu czekał na szansę wzięcia udziału w prawdziwej walce. Kiedy dowiedział się, że razem ze Stebbinsem muszą zostać w bazie, czuł się zdruzgotany. Jednak udało mu się. Nareszcie tu był. W środku bitwy. Wywołało to na nim dziwne wrażenie. Kręciło mu się w głowie. On i jego kumpel, specjalista Jim Telscher, schowali się pomiędzy dwoma samochodami. Wokół nich kule orały piach. Twarz Telschera, który podczas opuszczania helikoptera uderzył się własną strzelbą, spływała krwią. Pociski rozbiły szyby w obu pojazdach, przedziurawiły opony. Galentine i Telscher siedzieli za tylnymi zderzakami, robiąc do siebie głupie miny.

Galentine nie czuł strachu. Nie do końca przyjął do wiadomości fakt, że może zginąć. Bez ceregieli skierował swój karabin M16 w stronę człowieka w dole ulicy, celując w środek tułowia, i oddał kilka strzałów. Mężczyzna upadł. To było jak ćwiczenia na strzelnicy, tylko trochę zabawniejsze.

Kiedy w ich kierunku zaczęły padać strzały z innej strony, razem z Telscherem wybiegli na ulicę. Tam Galentine stanął oko w oko z somalijską kobietą, która nieszczęśliwie postanowiła przebiec na drugą stronę akurat w tym samym momencie co oni. Teraz z przerażeniem wpatrywała się w Galentinea, równocześnie próbując otworzyć drzwi budynku i schować się w środku. Kierując się pierwszym odruchem, o mało do niej nie strzelił, ale udało mu się powstrzymać. Oczy kobiety były szeroko otwarte. Przestraszył się. To nie była gra. Mało brakowało, a zabiłby bezbronną kobietę. W końcu otworzyła drzwi i weszła do środka.

Następnie schronił się za kolejnym samochodem na głównej ulicy. Na ramieniu trzymał karabin, którego pasek wisiał luźno przewieszony przez ramię. Nieprzebrane tłumy gnały w kierunku Galentine'a i pozostałych. Raz po raz strzelał do któregoś ze zbliżających się ludzi. W pewnej chwili poczuł uderzenie, a później ból w lewej dłoni, którą trzymał broń. Uderzenie było tak silne, że karabin obrócił się. Właśnie miał go poprawić, gdy zauważył, że jego kciuk opadł na przedramię, a z dłonią łączył go już tylko pas skóry.

Uniósł kciuk i przycisnął go z powrotem do dłoni.

– Wszystko w porządku Scotty? Nic ci nie jest? – zapytał Telscher.

Eversmann widział, jak M16 obraca się, a z dłoni Galentinea pryska karminowa ciecz. Zobaczył, jak Galentine ogląda rękę, a następnie patrzy na niego z przeciwnej strony ulicy.

– Nie przebiegaj przez ulicę! – wrzasnął Eversmann. Na ulicy trwała zacięta wymiana ognia. – Nie przebiegaj na drugą stronę!

Galentine słyszał sierżanta, ale i tak zaczął biec. Z niewyjaśnionego powodu wydawało mu się, że przy wysokim sierżancie po przeciwnej stronie ulicy będzie bezpieczny. Biegł co sił w nogach, ale wydawało się, że jak we śnie porusza się w miejscu. Nogi miał ciężkie, jakby bezwładne, a jeśli wokół niego latały kule, nie widział ani nie słyszał ich. Kiedy zostało mu tylko kilka metrów, skoczył, przekoziołkował i doturlał się do ściany, przy której znajdował się Eversmann.

Sierżant nieprzerwanie zmagał się z nadciągającym tłumem. Nieco dalej za nim, przed budynkiem, który był celem dzisiejszego ataku, stały dwa hummery. Kiedy spojrzał w górę ulicy, miał wrażenie, że pędzi na nich połowa Mogadiszu. Mężczyźni wypadali na drogę, by wystrzelić serię z AK-47, i kryli się z powrotem. Widział charakterystyczne błyski i świst wystrzeliwanych w ich stronę granatów, które wypuszczały słup dymu, po czym wybuchały z potężnym błyskiem ognia i przeciągłym grzmotem. Omiotła ich fala gorącego powietrza po wybuchu po przeciwnej stronie, po którym poczuli drażniący zapach w nosie, a w ustach posmak prochu. Pociski lecące w ich kierunku uszkadzały ściany budynków i wzbijały w powietrze masę kurzu. Żołnierze mieli wrażenie, że zbliża się do nich ogromna fala hałasu i energii. Jeden ze śmigłowców black hawk przeleciał w górze, więc Eversmann stanął i wyciągnął rękę w stronę atakujących go ludzi. Przed oczami przemknął mu siedzący z tyłu strzelec pokładowy, a już po chwili ujrzał strumienie ognia wyrzucane z działka w górze ulicy. Na chwilę odgłosy strzelania ucichły. „Oto, co potrafią nasze chłopaki”.

Po lewej od Eversmanna, na ziemi leżał szeregowy Anton Berendsen, który strzelał w kierunku wschodnim z M203, granatnika podwieszanego do lufy M16. Tam, zza blaszanych, pordzewiałych bud co chwilę wypadał Somalijczyk, by wystrzelić kilka kul w stronę żołnierzy. Sekundy po tym, jak dołączył do nich Galentine, Berendsen złapał się za rękę.

– O mój Boże, oberwałem – jęknął. Podniósł wzrok na Eversmanna.

Berendsen padł pod ścianę obok Galentine’a. Jedna ręka zwisała bezwładnie, natomiast drugą sprawną ręką zaczął wyskubywać z twarzy niewielkie fragmenty tynku.

Eversmann przykucnął przy mężczyznach. Najpierw zwrócił się do Berendsena, który wciąż wyglądał na zaabsorbowanego walką i patrzył teraz w dół ulicy, na wschód.

– Ber, powiedz, gdzie cię boli – spytał Eversmann.

– Chyba mam kulkę w ręce.

Berendsen zaczął manewrować sprawną ręką przy zamku granatnika. Nie mógł go otworzyć jedną dłonią. Eversmann niecierpliwie zrobił to za niego.

– Tam po prawej jest jeden – powiedział Berendsen.

Eversmann był zbyt zajęty opatrywaniem rany, by spojrzeć. Kiedy próbował podnieść kamizelkę Berendsena i rozpiąć koszulę, by ocenić ranę, szeregowy wystrzelił z M203 jedną ręką. Sierżant odwrócił się i spojrzał przed siebie. Uświadomił sobie, że sam powinien był wystrzelić serię, zamiast dopuścić do tego, by Berendsen strzelał jedną ręką. Patrzył, jak pocisk wielkości pięści wiruje w powietrzu i leci w stronę oddalonej o jakieś czterdzieści metrów chaty. Usłyszał huk i zobaczył błysk, a następnie dym unoszący się nad zgliszczami wysadzonego budynku. Strzały dobiegające z tego miejsca ucichły. Rana Berendsena nie wyglądała poważnie. Eversmann zwrócił się w stronę Galentine'a, który miał szeroko otwarte oczy, jakby pozostawał w szoku. Kciuk zwisał mu z dłoni.

Sierżant chwycił go i umieścił na dłoni Galentinea.

– Scott, trzymaj mocno – polecił. – Chwyć z całej siły i nie puszczaj.

Galentine chwycił kciuk pozostałymi palcami.

– Trzymaj. Wszystko będzie w porządku.

Przybiegł sanitariusz, by opatrzyć ranę. Gdy zobaczył uszkodzony kciuk, opatrunek upadł mu na ulicę. Galentine sprawną ręką sięgnął do apteczki sanitariusza, wyjął świeży opatrunek i podał mu go. Zraniona dłoń piekła.

– Sierżancie Galentine, wszystko będzie w porządku – pocieszył go siedzący obok, zakrwawiony Berendsen.

Teraz Eversmann miał do dyspozycji tylko specjalistę Dave'a Diemera, operatora ręcznego karabinu maszynowego, zwróconego na wschód. Diemer miał robić za trzech, więc sierżant podszedł, by mu pomóc. Podniósł M16, wypatrzył w dole ulicy uzbrojonego Somalijczyka i puścił w jego kierunku serię. Nagle zdał sobie sprawę, że był to jego pierwszy strzał od momentu, kiedy pojawili się na ziemi.

Eversmann stwierdził, że co prawda zrobiło się gorąco, ale jeszcze nie było tak źle. Starał się zachować spokój i pamiętać o tym, co się dzieje. Przyklęknął za samochodem obok Diemera. Trzech rangersów było rannych, w tym jeden ciężko, ale udało mu się go stąd wydostać. Życie Galentine'a ani Berendsena nie było zagrożone.

Gdzieś pękła szyba, a kawałki szkła spadły na niego i Diemera. Jakiś Somalijczyk wybiegł na środek ulicy zaledwie kilka metrów od nich i strzelił w samochód. Diemer padł na ziemię za tylnym kołem, po stronie pasażera i puścił w jego kierunku serię. Somalijczyka odrzuciło do tyłu, po czym padł bezwładnie na ziemię. Wyglądał teraz jak zmięta sterta ubrań.

Eversmann połączył się przez radio z porucznikiem Perinem i zawiadomił go, że ma więcej rannych, ale żaden z nich nie wymaga natychmiastowej ewakuacji.

– Sierżancie Eversmann – zawołał Telschera z drugiej strony ulicy – Snodgrass oberwał.

Specjalista Kevin Snodgrass, operator karabinu maszynowego ukryty za samochodem, został ranny, kiedy któryś z pocisków odbił się rykoszetem od karoserii lub drogi. Eversmann zobaczył, że Telscher schyla się nad Snodgrassem, który na szczęście nie krzyczał. Nie wyglądało też na to, że potrzebuje natychmiastowej pomocy.

Wtedy Diemer szturchnął go w ramię.

– Sierżancie?

Eversmann odwrócił się ze znużeniem. Diemer wyglądał na spanikowanego.

– Chyba właśnie widziałem spadający śmigłowiec[65].

HELIKOPTER W OGNIU

Somalia, 1993

fot. Paul Watson/Toronto Star, Nagroda Pulitzera

1

Mohamed Hassan Farah usłyszał nadciągające z północy helikoptery, które, jak zwykle, z hukiem leciały nisko. Śmigłowce z reguły pojawiały się w nocy. Wówczas słychać było tylko niski, dudniący dźwięk wirników, natomiast majaczące w górze sylwetki maszyn mogli dostrzec tylko mieszkańcy kwartałów położonych bezpośrednio pod nimi. Helikoptery często zawisały tak nisko, że hałas obracających się łopat wirników stawał się nie do zniesienia, a wywoływany przez nie podmuch wyrywał drzewa z piaszczystego podłoża i zdzierał z domów blaszane dachy, które ze zgrzytem wzlatywały w powietrze. Niewyraźne zarysy czarnych maszyn na tle ciemnego nieba przywodziły na myśl śmierć.

Tym razem było inaczej. Śmigłowce pojawiły się w dzień, po południu. Kiedy Farah usłyszał dźwięk zbliżających się maszyn, ogarnęły go równocześnie złość i strach. Na zewnątrz ujrzał nad głową rozpędzone helikoptery, które poruszały drzewami i wprawiały w drżenie blaszane dachy. Od razu rozpoznał rangersów – tylko oni mieli zwyczaj trzymać nogi na zewnątrz śmigłowca. Naliczył około dwunastu maszyn, które jednak leciały tak szybko, że nie był w stanie określić dokładnie ich liczby. Sucha miękka ziemia drżała pod jego obutymi w sandały stopami.

Do tej pory nie zagoiły się rany, które odniósł, kiedy Amerykanie w helikopterach zaatakowali ich trzy miesiące wcześniej, dwunastego lipca, jeszcze zanim przybyli tu rangersi. Farah wraz z wieloma innymi członkami klanu cieszył się, gdy w grudniu zeszłego roku przybyły tu siły ONZ. Mieli nadzieję, że w kraju wreszcie zapanuje stabilizacja. Niestety z czasem pokojowej misji zaczęły towarzyszyć nienawiść i przelew krwi. Farah przypuszczał, iż do użycia przemocy skłonił Amerykanów sekretarz generalny ONZ Boutros Boutros-Ghali, który od dawna pozostawał wrogiem klanu Habr Gidr[66] oraz jego przywódcy generała Mohameda Farraha Aidida. Przypuszczał, że Boutros-Ghali zamierzał przywrócić do władzy konkurencyjny klan – Darod. Wojna pomiędzy klanem Habr Gidr a Stanami Zjednoczonymi rozpoczęła się dwunastego lipca.

Tego ranka siedemnaście amerykańskich śmigłowców należących do sił szybkiego reagowania okrążyło dom Abdiego Hassana Awalego, nazywanego także Qeybdidem. W środku, w dużym pokoju na pierwszym piętrze, przebywało blisko stu członków klanu; intelektualiści, przywódcy milicji i starszyzna. Zebrali się, by przedyskutować pilną sprawę. Od czterech tygodni Habr Gidr był obiektem ataków ONZ po tym, jak w zasadzce zorganizowanej przez członków klanu zginęło dwudziestu czterech pakistańskich żołnierzy.

Teraz Habr Gidr musiał stawić czoło trudnościom. Somalijczycy należący do klanu byli do tego przyzwyczajeni. Od dawna rywalizowali z Darodem, klanem byłego dyktatora, Mohameda Siada Barre'a, którego krwawe rządy trwały dwadzieścia lat. Boutros-Ghali zwalczał rewolucyjne siły Aidida już jako egipski dyplomata. Kiedy w 1991 roku obalono Barre'a, ludziom z Habr Gidr nie udało się skonsolidować władzy politycznej. Teraz Boutros-Ghali znów wystąpił przeciwko nim, tym razem mając do dyspozycji siły pokojowe ONZ. Przynajmniej tak postrzegali to członkowie klanu. Dlatego żyli, jak przez wszystkie minione lata, ukrywając się przed ludźmi u władzy, czekając na właściwy moment i sposobność do ataku.

Pamiętnego lipcowego dnia przywódcy zebrali się, aby przedyskutować pokojową inicjatywę Jonathana Howe'a, emerytowanego amerykańskiego admirała, który wówczas przewodził misji ONZ w Mogadiszu. Mężczyźni w średnim wieku usiedli na matach pośrodku pokoju. Starsi, a wśród nich przywódcy religijni, byli sędziowie i profesorowie, zajęli miejsca na krzesłach lub ustawionych w kole sofach. Znaleźli się tu też poeta Moallim Soyan i najstarszy, przeszło dziewięćdziesięcioletni przywódca Sheik Haji Mohamed Iman Aden. Za starszymi stali najmłodsi mężczyźni. Niektórzy z obecnych byli ubrani w stylu zachodnim, ale większość nosiła tradycyjne somalijskie maa-awis, czyli zawijane spódnice.

Zebrani byli najlepiej wykształconymi członkami klanu. Od czasu, gdy w pozbawionej rządu Somalii zapanował chaos, intelektualiści nie mieli pola do popisu. Dlatego dzisiejsze spotkanie było tak ważne – dawało Somalii nadzieję powrotu na właściwą drogę. Sam Aidid nie stawił się na spotkanie. Przebywał w ukryciu, od kiedy ONZ zaczęła przeszukiwać i równać z ziemią budynki na jego terenie. Byli natomiast Qeybdid i kilku bliskich doradców Aidida – konserwatystów, ludzi z krwią na rękach. Niektórzy z nich odpowiadali za ataki na siły ONZ, włączając w to masakrę Pakistańczyków. Wśród zebranych pojawiły się też osoby o bardziej umiarkowanych poglądach uważające się za realistów. Sprawowanie władzy w zrujnowanej Somalii nie było możliwe bez przyjaznych kontaktów z resztą świata. Wielu członków Habr Gidr było zwolennikami kapitalizmu, ludźmi interesu gotowymi wznowić przepływ pomocy międzynarodowej oraz kontakty handlowe z Ameryką i Europą. Przeszkadzali im w tym obstrukcjoniści i coraz bardziej niebezpieczna gra Aidida droczącego się z ONZ. Kilkoro ludzi w domu Abdiego było gotowych opowiedzieć się za pokojem, choć mieli niewielkie szanse na przeforsowanie swojej opinii wśród napiętej atmosfery, jaka panowała w Mogadiszu.

Farah, gadatliwy łysiejący mężczyzna po trzydziestce, należał do osób o umiarkowanych poglądach, który pragnął, aby w jego kraju przywrócono względną normalność. Uważał, że pokojowe stosunki z innymi narodami mogą pomóc Somalii. Farah kształcił się w Niemczech. Jako inżynier wierzył, że zrujnowane Mogadiszu może podnieść się z popiołów. Chciał poświęcić resztę życia niezwykle ważnej i przynoszącej zyski odbudowie. Był też przekonany, że człowiekiem, który zasługiwał na to, by rządzić krajem (jedynym, dzięki któremu miałby szansę na lukratywne kontrakty budowlane), był Aidid. Przedstawiciele ONZ zamierzali traktować wszystkie klany i ich przywódców jednakowo, ale oni nie byli sobie równi.

Farah zajął miejsce pośród innych młodych mężczyzn, jednak w przeciwieństwie do nich nie stał, lecz przyklęknął pomiędzy dwoma kanapami, co prawdopodobnie uratowało mu życie.

Pocisk TOW o masie około szesnastu kilogramów jest w stanie przebić pancerz czołgu. Pośrodku i z tyłu ma stabilizatory z przymocowanymi miedzianymi przewodami grubości ludzkiego włosa, dzięki którym możliwe jest sterowanie pociskiem podczas lotu i precyzyjne naprowadzenie go na cel. Wewnątrz wystającej sondy znajduje się mały ładunek kumulacyjny, dzięki któremu w momencie uderzenia pocisk wyrzuca strumień plazmy – stopionej miedzi – która przepala zewnętrzną warstwę celu, podczas gdy pocisk z ładunkiem przedostają się do środka. Eksplozja, podczas której ostre fragmenty metalu są wyrzucane na wszystkie strony, jest na tyle silna, że może rozerwać na kawałki każdego, kto znajdzie się w pobliżu.

Farah zobaczył błysk, a równocześnie usłyszał potężny huk. Ledwo zdążył wstać i zrobić krok do przodu, rozległ się świst drugiego pocisku, któremu towarzyszyła kolejna silna eksplozja. Upadł na podłogę. Pokój wypełnił gęsty dym. Próbował się ruszyć, lecz przejście tarasowała mu krwawa, wysoka na pół metra sterta składająca się z martwych ludzi i poszarpanych fragmentów ciał. Wśród ofiar był najstarszy z zebranych, Sheik Haji Iman. Przerażony Farah poprzez chmurę dymu dostrzegł, że Qeybdid, choć poparzony i cały we krwi, wciąż stoi na nogach w samym środku jatki.

Znajdujący się po drugiej stronie pokoju Abdullahi Ossoble Barre był oszołomiony. Odniósł wrażenie, że ludzie stojący najbliżej miejsca, w którym eksplodował pocisk, po prostu wyparowali. Gdy tylko doszedł do siebie, zaczął szukać syna.

Ci, którzy uniknęli śmierci przy pierwszym wybuchu, zaczęli gorączkowo, po omacku szukać drzwi. Wówczas nastąpiła kolejna eksplozja. W powietrzu unosił się czarny dym, zapach prochu, krwi i spalonego mięsa. Kiedy Farah odnalazł schody, podniósł się, lecz gdy zszedł stopień niżej, eksplodował trzeci pocisk, który zrównał z ziemią klatkę schodową. Farah spadł na parter. Oszołomiony usiadł, sprawdzając, czy ma jakieś skaleczenia lub złamane kości. Na przedramieniu znalazł spore, krwawiące rozcięcie. Poczuł w tym miejscu piekący ból. Na plecach miał kilka ran powstałych wskutek uderzenia odłamkami pocisku. Podczołgał się kawałek do przodu. Powyżej rozległa się jeszcze jedna eksplozja. A potem następna i następna. Ogółem odpalono szesnaście pocisków.

Wciąż uwięziony na górze Barre odnalazł syna pod stertą zmasakrowanych ciał. Na szczęście przeżył. Barre zaczął odciągać trupy, które rozpadały się na kawałki. Po chwili zmagań udało mu się wyciągnąć ledwie przytomnego syna za nogi. Wówczas usłyszeli, jak Amerykanie, którzy wysiedli z helikopterów, przystępują do ataku na dom. Obaj położyli się wśród zakrwawionych ludzkich szczątków i udawali martwych.

Farah doczołgał się w końcu do drzwi wyjściowych. Ujrzał jednego z członków klanu wybiegającego z budynku. Za nim, na niebie, widniała chmara helikopterów – głównie Cobry oraz śmigłowce black hawk. Z działek umieszczonych na ich pokładach wydobywały się czerwone strumienie ognia. Mężczyźni (kilku krwawiło z uszu i ust), którzy razem z Farahem stali teraz przy drzwiach, musieli podjąć szybką decyzję: albo pozostaną w płonącym domu, albo stawią czoło śmigłowcom.

– Wybiegnijmy wszyscy razem – odezwał się jeden z nich. – Niektórzy z nas zginą, ale część przeżyje.

Od tego czasu minęły trzy miesiące, więc rany Faraha prawie się zagoiły. Przelatujące teraz nad nim z rykiem amerykańskie helikoptery przypomniały o tamtym bólu, zaskoczeniu i strachu. Ich widok przepełnił wściekłością Faraha i jego przyjaciół. Co innego interwencja obcych państw w sprawie głodujących czy nawet pomoc ONZ w utworzeniu pokojowego rządu w Somalii, a co innego wysyłanie rangersów, by zabić lub porwać lokalnych przywódców. Tego już za wiele[67].

Kiedy Bashir Haji Yusuf usłyszał nadlatujące helikoptery, w jego domu trwało fadikudirir – tradycyjne popołudniowe spotkanie przyjaciół, wypełnione dyskusją i żartami. Rozmawiał z zebranymi mężczyznami,

odpoczywał i żuł khat. Dziś zastanawiali się nad „sytuacją". Dyskusja ta nie miała większego sensu, gdyż bez rządu, sądów, prawa czy uniwersytetu prawnicy w Mogadiszu mieli związane ręce, ale Yusuf nigdy nie przyjmował do wiadomości tego argumentu.

Wyszli zobaczyć, co się dzieje. Yusuf także zauważył dyndające nogi rangersów. Pogardzali tymi żołnierzami, którzy ostatnio nieustannie krążyli w śmigłowcach nad miastem. Helikoptery przylatywały grupami o każdej porze dnia i nocy, nurkując tak nisko, że niszczyły całą okolicę, przewracały stragany na targowisku, płoszyły bydło, zdzierały kolorowe suknie z kobiet. Niektórym z nich silny podmuch wyrywał z rąk niemowlęta. Podczas któregoś z ataków jedna z matek, której ręce były skrępowane plastikowymi kajdankami, krzyczała jak oszalała przez pół godziny. W końcu pojawił się tłumacz, który wyjaśnił, że podmuch wywołany przez pracę wirników lądujących śmigłowców wyrwał jej z rąk niemowlę. Mieszkańcy skarżyli się, że piloci celowo obniżali lot nad znajdującymi się na otwartym powietrzu prysznicami i toaletami. Helikoptery black hawk często zatrzymywały się w powietrzu tuż nad ruchliwymi skrzyżowaniami, powodując zamęt. Tłum pod pozostającym w zawisie helikopterem krztusił się kurzem i spalinami. Mieszkańcy Mogadiszu czuli się dręczeni i prześladowani[68].

Yusuf był rozczarowany Amerykanami. Kształcił się w Stanach Zjednoczonych, miał tam więc wielu przyjaciół. Najbardziej dręczyła go świadomość, że Amerykanie mieli dobre intencje. Wiedział, że zdaniem jego przyjaciół z Karoliny Południowej, gdzie niegdyś studiował, misja w Somalii ma na celu zatrzymanie przelewu krwi i walkę z głodem. Nie mieli pojęcia, co ich żołnierze tak naprawdę robili w jego mieście. W jaki sposób krwawe napaści rangersów miały poprawić sytuację, która była skomplikowana od kiedy sięgał pamięcią. Wojna domowa zniszczyła wszelkie pozory starego porządku rzeczy. W nowej, pogrążonej w chaosie Somalii zmieniające się sojusze i spory pomiędzy klanami były jak wzory rysowane przez wiatr na piasku. Sam Yusuf czasem nie do końca wiedział, co się dzieje. Zatem jak Amerykanie, nawet mając do dyspozycji śmigłowce, naprowadzaną laserowo broń oraz oddziały szturmowe rangersów, zamierzali poprawić byt mieszkańców Somalii? Czy myśleli, że aresztowanie Aidida załatwi sprawę? Próbowali obalić klan, najstarszą i najbardziej skuteczną organizację utworzoną przez człowieka. Czy nie zdawali sobie sprawy, że każdy aresztowany przywódca miał synów, braci, kuzynów i bratanków, którzy mogli zająć jego miejsce? Trudności jedynie zwiększały determinację członków klanu. Nawet gdyby Habr Gidr został w jakikolwiek sposób zniszczony czy osłabiony, czy nie skłoniłoby to ludzi do utworzenia kolejnego, jeszcze silniejszego klanu? A może Amerykanie spodziewali się, że w Somalii nagle zakwitnie pełnoprawna demokracja jeffersońska?

Yusuf zdawał sobie sprawę, że żółć wylewana przez radiostację Aidida i informacje o tym, iż rzekomo ONZ ze Stanami Zjednoczonymi zamierzają skolonizować Somalię i spalić Koran, to bzdura, jednak kilka miesięcy po ataku na dom Abdiego podobnie jak inni pałał gniewem na myśl o amerykańskim wojsku. Po tym, jak grupa inżynierów z 10. Dywizji Górskiej została zaatakowana przez bandę Somalijczyków, czyli dziewiętnastego września, śmigłowce Cobra należące do sił szybkiego reagowania ostrzelały tłum gapiów z działek pokładowych oraz pociskami TOW, zabijając prawie setkę ludzi. Złowieszcza obecność śmigłowców w

mieście stawała się coraz bardziej uciążliwa. Yusuf pamiętał, jak pewnej nocy leżał w łóżku z ciężarną żoną, kiedy nadleciały black hawki. Jeden z nich zawisł bezpośrednio nad jego domem. Hałas był ogłuszający, ściany się trzęsły, a Yusuf, podobnie jak pozostali mieszkańcy, obawiał się, że podmuch zerwie dach. Żona chwyciła go za rękę, położyła ją na swoim brzuchu i, przekrzykując łoskot śmigieł, zapytała:

– Czujesz?

Poczuł kopnięcie syna, który, wydawało się, że wierzga w jej łonie ze strachu.

Yusuf, prawnik mówiący płynnie po angielsku, razem z grupką innych mieszkańców Mogadiszu złożył skargę w bazie ONZ. W odpowiedzi usłyszał, że nie mogą nic zrobić z rangersami, gdyż jednostka ta nie podlega dowództwu ONZ. Wkrótce zaczęto obwiniać rangersów o śmierć każdej osoby, która zginęła w wyniku walk. Somalijczycy gorzko żartowali, że Amerykanie pojawili się z jedzeniem, by utuczyć ich przed rzezią.

Yusuf zobaczył, że helikoptery zwolniły 2 kilometry na północ, nad targowiskiem w dzielnicy Bakara. Obecność żołnierzy w tym rejonie zapowiadała kłopoty. Śmigłowce zatoczyły koło nad hotelem Olympic. Natychmiast usłyszał odgłosy wystrzałów[69].

2

Prawie wszyscy rangersi widzieli upadek Super Six One.

Obsługujący M249 specjalista John Waddell z jednej z czterech grup desantowych, Chalk Two, miał chwilę przerwy. Strzały na północno-wschodnim narożniku nieco ucichły. Słyszał odgłosy walki dochodzące z innych pozycji wokół kwartału, ale po tym, jak Nelson skosił tłum Somalijczyków z karabinu maszynowego M60, w najbliższej okolicy zrobiło się znacznie spokojniej. Waddell usłyszał, jak porucznik DiTomasso ogłasza przez radio, że przygotowują się do wejścia do samochodów. Oznaczało to, że operatorzy Delty już wykonali zadanie. Wróci do hangaru na godzinę lub dwie przed zachodem słońca, będzie więc mógł jeszcze usiąść spokojnie w słonecznym miejscu na kontenerze i dokończyć powieść Grishama.

Nagle usłyszał eksplozję w górze. Kiedy podniósł głowę, zobaczył black hawka, który skręcił się w powietrzu pod dziwnym kątem.

– Hej, helikopter spada! – krzyknął jeden z ludzi po przeciwnej stronie ulicy.

Nelson wrzeszczał:

– Trafili śmigłowiec! Trafili śmigłowiec!

Nelson dokładnie widział, co się stało, ponieważ trafiony black hawk znajdował się bezpośrednio nad nim. Najpierw ujrzał błysk granatnika przeciwpancernego, potem smugę dymu wyrzucanego przez lecący

granat, a zaraz po tym uderzenie granatu w ogon Super Six One. Usłyszeli grzmot; belka ogonowa śmigłowca pękła z głośnym trzaskiem, któremu towarzyszył błysk. Wirnik ogonowy zatrzymał się z przenikliwym zgrzytem, po którym nastąpił urywany warkot. Helikopter jeszcze chwilę leciał przed siebie, po czym kadłub zatrząsł się i zaczął obracać wokół własnej osi. Najpierw powoli, później coraz szybciej[70].

3

Ray Dowdy poczuł szarpnięcie. Nie było bardzo silne, ale wystarczyło, by podskoczył. Siedział w kokpicie strzelca pokładowego w lewej części Super Six One. Jego zadaniem była obsługa działka pokładowego. Dowdy dbał o stan techniczny śmigłowców wojskowych i latał nimi przez jedną trzecią część dotychczasowego życia. Doskonale znał się na black hawkach, a uderzenie, które nastąpiło przed chwilą, nie wydawało się zbyt groźne.

Prawdopodobnie trafił w nich granat przeciwpancerny. Kiedy tylko operatorzy Delty rozpoczęli akcję, w powietrzu pojawiły się smugi gęstego dymu. Granaty przeciwpancerne stanowiły duże zagrożenie. Tydzień wcześniej black hawk należący do sił szybkiego reagowania został zestrzelony przy użyciu tej właśnie broni – w momencie uderzenia od razu zajął się ogniem. Wydarzenie to dało wszystkim do myślenia mimo faktu, że poprzednich sześć misji przebiegło pomyślnie. Niektórzy piloci zaczęli domagać się większej swobody podejmowania decyzji podczas lotu, jednak dowódcy wymagali od nich, by trzymali się schematu.

Starszy chorąży Cliff Wolcott, pilot Super Six One, nie miał w zwyczaju się skarżyć. Ponieważ cechował go niewzruszony spokój oraz wygląd gwiazdy rocka, koledzy nadali mu przezwisko „Elvis". Na drzwiach kokpitu znajdował się rysunek przedstawiający Presleya z umieszczonym poniżej napisem „Velvet Elvis"[71]. Wolcott był popularny wśród załogi – to jego śmigłowiec brał udział, bez pozwolenia dowódców, w kilku wypadach na safari z powietrza, kiedy to najpierw zabili osiemdziesięciokilogramowego guźca (Wolcott pomógł schować mięso przed dowódcami), a potem wrócili po kolejny tuzin, by zorganizować barbecue niespodziankę dla całej grupy operacyjnej. Podczas tego polowania strzelali tak zaciekle, że jeden ze snajperów zrobił dziurę w wirniku śmigłowca. Wolcott wziął winę na siebie, zresztą kara nie była taka straszna. Poczęstunek z pieczonego mięsa zdobył im sympatię żołnierzy, którzy od ponad miesiąca żywili się gotowymi, pakowanymi posiłkami i produktami z bufetu. Wolcott przywiózł osiemdziesięciokilogramową antylopę kudu, którą sam ustrzelił ze śmigłowca. Należał do pilotów, którzy nieraz mawiają, że chcieliby się zamienić na miejsca z mechanikami pełniącymi też funkcję strzelców pokładowych: „Ja tylko kieruję helikopterem, a wy, chłopaki, bawicie się w najlepsze".

Jego wyczyny stały się legendą. Brał udział w tajnych misjach podczas wojny w Zatoce Perskiej; wlatywał daleko nad terytorium wroga, setki kilometrów poza linie nieprzyjaciela, tankował podczas lotu i obserwował siły Saddama Husajna, szukając pocisków Scud.

W momencie uderzenia Super Six One krążył nisko nad celem ze zmienną prędkością od 90 do 130 kilometrów na godzinę, starając się za każdym razem przelatywać nad innymi ulicami.

Dwóch mechaników – Dowdy i sierżant sztabowy Charlie Warren – znajdowało się w tylnej części śmigłowca, podobnie jak czterej snajperzy Delty, którzy siedzieli na skrzynkach z amunicją. Byli pochłonięci strzelaniem do ludzi w dole. Mechanicy mieli do dyspozycji działka pokładowe M134 Minigun, a komandosi Delty posługiwali się specjalnymi karabinami snajperskimi. Na początku strzelali tylko do uzbrojonych Somalijczyków, którzy przemieszczali się w kierunku celu, kiedy jednak walka na ulicy stała się zażarta, zaczęli strzelać do każdego uzbrojonego. Ponieważ wielu mężczyzn z karabinami chowało się w tłumie, Dowdy już wkrótce zaczął kosić rzesze „zdechlaków".

Czuł się usprawiedliwiony. Kiedy przed kilkoma dniami rozbił się black hawk należący do sił szybkiego reagowania, tłum Somalijczyków okaleczył ciała martwych mechaników. Dzisiejsza misja była pierwszą od tamtego wydarzenia, a Dowdy, także mechanik, chciał wziąć odwet za śmierć kolegów. Tak jak obiecał to sobie wcześniej, za każdym razem, gdy trafił tubylca, krzyczał głośno nazwisko jednego z tych, którzy zginęli w rozbitym helikopterze. Żołnierze Delty spoglądali na niego co chwilę, zastanawiając się, o co mu chodzi. Dowdy nie przebierał w celach, zakładając, że ktokolwiek podąża w kierunku walk, nie niesie tam kwiatów.

Jednego z Somalijczyków zabił w wyjątkowo widowiskowy sposób. Pierwszy pocisk trafił w lewy pośladek, drugi w tułów. Okaleczony mężczyzna biegł jeszcze chwilę, po czym zachwiał się, upuścił broń i upadł na ulicę.

– Niezły strzał, Ray – pochwalił go przez interkom Wolcott z kabiny pilota.

Zużywszy chyba z tysiąc nabojów, Dowdy sięgnął po więcej amunicji, która leżała po prawej stronie śmigłowca, tam gdzie siedział Warren.

– Hej, widzę typa z granatnikiem przeciwpancernym – ostrzegł Warren. – Jest na godzinie piątej i przesuwa się na szóstą.

Ponieważ helikopter zataczał obecnie koło w lewo, człowiek z granatnikiem miał się lada chwila pojawić po stronie Dowdy'ego.

Nie mógł go dostrzec.

– Widziałeś go przy jakimś konkretnym budynku lub innym obiekcie?

Warren właśnie otworzył usta, by odpowiedzieć, kiedy poczuli wstrząs. Przez sekundę lub dwie Dowdy nie zaprzątał sobie tym głowy, ale kiedy śmigłowiec zaczął się obracać, zrozumiał, że mają kłopoty. Chwycił mocno fotel i zajrzał do kokpitu. Wiedział, że procedura awaryjna na wypadek uszkodzenia wirnika ogonowego nakazuje przyciągnąć dźwignie sterowania i wyłączyć silnik. To spowalniało ruch obrotowy śmigieł, przez który helikopter mógł zacząć się obracać wokół własnej osi w kierunku przeciwnym do ruchu wirnika.

Usłyszał, jak Elvis pyta drugiego pilota, starszego chorążego sztabowego Donovana „Bulla” Brileya:

– Stary, przyciągniesz w końcu te dźwignie?

Wolcott powiedział te słowa z typowej dla siebie przekory. Briley już dawno zajął się przyciąganiem dźwigni. Szarpnął nimi tak mocno, że śmigłowiec zatrząsł się ponownie.

Ruch obrotowy nie ustał, a drugi obrót był bardziej gwałtowny. Od uderzenia minęło zaledwie kilka sekund, ale Dowdy’emu wydawało się, że znacznie więcej.

Elvis wykonał ostatnie połączenie radiowe:

– „Six One spada”.

Dowdy i Warren krzyknęli do siedzących z tyłu operatorów Delty, by padli na ziemię i chwycili się czegoś mocno. Fotele mechaników mogły nieco zamortyzować uderzenie, ale snajperzy nie mieli żadnej ochrony, groziło im złamanie kręgosłupa. Zeskoczyli więc ze skrzynek z amunicją i położyli się płasko na podłodze. W ten sposób siła uderzenia rozkładała się równomiernie. Helikopter obracał się coraz szybciej, wszyscy więc chwycili się mocno tego, co mieli pod ręką. Sierżant Jim Smith złapał się poręczy za fotelem Warrena. Siła odśrodkowa wyrzuciła jego nogi poza drzwi. Poczuł rozdzierający ból w ręce, ale trzymał się dalej.

Dowdy spojrzał w dół i zauważył, że wcale nie zapiął pasów.

Helikopter zaczepił o dach domu, obrócił się w powietrzu, trzasnął o ziemię przednią częścią kadłuba i przechylił się na lewą stronę[72].

4

Osłupiały Nelson wpatrywał się w spadający śmigłowiec.

– O Boże, chłopaki, patrzcie na to! – wrzasnął. – Patrzcie.

Waddell wysapał:

– O Jezu. – Starał się odwrócić wzrok od spadającej maszyny. Musiał pilnować narożnika.

– Po prostu spadł! Rozbił się! – krzyczał Nelson.

– Co się stało? – zawołał porucznik DiTomasso, który nadbiegł po tym, jak usłyszał krzyki.

– Jeden z helikopterów właśnie runął na ziemię! – wołał Nelson. – Musimy tam biec. Natychmiast!

Wiadomość szybko rozeszła się przez radio, spanikowane głosy przekazywały straszną nowinę. Nikt już nie próbował zachować pozorów opanowania i udawać, że „wszystko jest pod kontrolą”. W głosach żołnierzy pobrzmiewały zaskoczenie i strach:

– „Black hawk rozbił się! Black hawk spadł na ziemię!”.

– „Black hawk rozbił się w mieście! Six One!”.

– „Trafili go granatnikiem!”.

– „Six One na ziemi!”.

– „Śmigłowiec na ziemi, na północny wschód od celu. Musicie się tam dostać i zabezpieczyć miejsce upadku!”.

– „Zrozumiałem, śmigłowiec na ziemi!”.

Nie była to zwykła katastrofa helikoptera. Do żołnierzy dotarło, że nie są niezniszczalni. Śmigłowce black hawk i Little Bird stanowiły atut w tym zapomnianym przez Boga świecie. Wielkie maszyny utrzymywały wściekły tłum na dystans. Ich widok liczył się bardziej niż znajdujące się na pokładzie karabiny i działka. Niemożliwe, żeby Somalijczycy mogli którąś z nich zestrzelić!

A jednak stało się. Widzieli, jak śmigłowiec obraca się i spada. Widzieli trzymającego się jedną ręką operatora Delty, którego stopy wystawały na zewnątrz[73].

5

Spadający Super Six One zahaczył o dach budynku, w którym mieszkał Abdiaziz Ali Aden, nastoletni Somalijczyk o czarnej, lśniącej skórze i gęstych, grubych włosach. Miał dziesięcioro rodzeństwa, z których troje już opuściło rodzinny dom znajdujący się w odległości sześciu przecznic od targowiska Bakara. Dziś, w niedzielne popołudnie, większość z nich drzemała lub odpoczywała po obiedzie, schroniwszy się w budynku przed palącym słońcem.

Aden usłyszał zbliżające się helikoptery. Leciały tak nisko, że stojące na środku podwórza drzewo zostało wyrwane z korzeniami. Po zachodniej stronie, nieopodal Hawlwadig Road – szerokiej ulicy, przy której stał hotel Olympic – rozległy się strzały. To było jakieś trzy przecznice dalej, więc ruszył biegiem w tym kierunku. Przeciął Marehan Road, a następnie Wadigley Road, starając się trzymać północnej strony drogi. Niebo przesłaniał czarny dym. W pobliżu hotelu rozlegały się liczne strzały. W górze krążyły śmigłowce, z których większość wyrzucała z siebie strumienie ognia. Przebiegł dwie przecznice, trzymając głowę w dole, starając się być blisko muru, kiedy na ulicy pojawiły się ciężarówki i hummery Amerykanów z karabinami maszynowymi ostrzeliwującymi wszystko dokoła.

Rangersi mieli na sobie kamizelki kuloodporne, hełmy i gogle. Dla Adena żadna część ich ciała nie przypominała ludzkiej. Wyglądali jak wojownicy przyszłości z amerykańskiego filmu science fiction. Ludzie biegali jak szaleni, próbując znaleźć jakieś schronienie. Do ciężarówek pakowano skutych plastikowymi kajdankami Somalijczyków. Na ulicy leżeli martwi ludzie, a nawet osioł, który spoczywał na boku wciąż przyczepiony do dyszla wywróconego teraz wozu.

Ten widok przeraził Adena, który natychmiast popędził z powrotem w stronę domu. Nad jego głową, na wysokości dachów, z ogromnym hukiem przelatywał właśnie helikopter. Podmuch wywołany przez maszynę wzbił w powietrze morze piasku, jak podczas gwałtownej burzy. Wśród tumanów pyłu Aden dojrzał członka milicji, który przyklęknął na jednym kolanie z granatnikiem w dłoni.

Poczekał, aż helikopter minie go, a następnie uniósł broń i wystrzelił w kierunku ogona. Aden ujrzał błysk granatnika i pędzący pocisk, który uderzył w tył śmigłowca, uszkadzając mu ogon. Maszyna zaczęła się obracać. Była tak blisko, że Aden widział pilota, który starał się zapanować nad sterami. Następnie maszyna pochyliła się nieco w stronę Adena i z głośnym zgrzytem uderzyła w dach jego domu. Na koniec z hukiem trzasnęła bokiem kadłuba o ulicę, a nad rozbitym wrakiem uniosła się gęsta chmura pyłu.

Aden pospiesznie ruszył w stronę domu w obawie, że spadający śmigłowiec mógł zabić jego rodzinę. Znalazł rodziców, braci i siostry uwięzionych pod olbrzymim fragmentem blachy. W momencie katastrofy stali przy frontowej, zachodniej ścianie domu. Spadająca maszyna strąciła na nich kawałek dachu, ale nikomu nic poważnego się nie stało. Aden minął potężny kadłub leżącego teraz na boku, odwróconego do niego dolną częścią helikoptera i pomógł rodzinie uwolnić się spod blachy. W obawie, że rozbity śmigłowiec eksploduje, przecięli Marehan Road – szeroką, pooraną koleinami ulicę – i pobiegli do oddalonego o trzy przecznice domu przyjaciela.

Minęło kilka minut, a eksplozja nie nastąpiła. Aden wrócił, by pilnować domu, ponieważ w Mogadiszu do pustego niestrzeżonego budynku od razu wkraczają szabrownicy. Wszedł frontowymi drzwiami i zatrzymał się na podwórzu przy wyrwanym drzewie. Z muru, w który uderzył spadający śmigłowiec, została tylko sterta kamieni i tynku. Aden ujrzał amerykańskiego żołnierza, który wydostał się z wraku, a zaraz za nim następnego z M16. Natychmiast odwrócił się i pobiegł w kierunku zielonego volkswagena zaparkowanego przy murze na tej samej ulicy. Wpełzł pod niego i zwinął się w kłębek.

Kiedy żołnierz z karabinem mijał róg, zauważył Adena. Zlustrował go uważnie, zapewne w poszukiwaniu broni, i pobiegł dalej. Zatrzymał się przy masce samochodu tak blisko, że Aden mógłby dotknąć jego butów, a następnie wycelował w stronę zbliżającego się Somalijczyka uzbrojonego w M16. Dwaj mężczyźni wypalili jednocześnie, jednak żaden z nich nie trafił. Ponieważ broń Somalijczyka zacięła się, Amerykanin podbiegł w jego kierunku i strzelił jeszcze raz. Kula trafiła mężczyznę w czoło. Wtedy żołnierz podszedł bliżej i oddał jeszcze trzy strzały w stronę leżącego.

W tym momencie z niewielkiej uliczki za domem wybiegła otyła Somalijka. Niemal wpadła na żołnierza, a ten, przestraszony, nacisnął spust. Kobieta upadła twarzą do dołu, jak worek, nie zdążywszy nawet wyciągnąć przed siebie rąk.

Pojawiło się więcej uzbrojonych Somalijczyków. Zaczęli strzelać w stronę Amerykanina, który teraz przyklęknął i odpowiedział ogniem w ich kierunku, sam jednak też zdążył oberwać.

Coraz więcej ludzi wychodziło z ukrycia i zbliżało się do miejsca katastrofy. Nagle w Marehan Road w ogłuszającym ryku wylądował jeden z mniejszych helikopterów, przeganiając tłum. W powietrzu wirowała taka ilość pyłu, że Aden nie mógł złapać tchu. Strzelanina się nasiliła.

Jeden z pilotów wychylił się z kokpitu i skierował karabin w stronę wzniesienia na biegnącej z południa ulicy. Inny pobiegł w kierunku rozbitego śmigłowca. Częstotliwość strzałów wzrosła. Ryk silników helikoptera i huk wystrzałów zlały się. Pociski odbijały się od karoserii starego samochodu. Aden skulił się i marzył o tym, by znaleźć się gdzie indziej[74].

6

Dzięki kamerom z trzech śmigłowców rozpoznawczych Garrison i jego ludzie w centrum operacyjnym zobaczyli na ekranach, w kolorze, dokładny obraz katastrofy. Widzieli, jak black hawk Wolcotta leci początkowo bez zakłóceń, mimo że z jego wirnika ogonowego wydobywały się kłęby dymu. Patrzyli na obracającą się wokół własnej osi maszynę, która po dwóch wolnych obrotach zgodnie z ruchem wskazówek zegara runęła w dół. Kiedy zadarty w górę przód kadłuba zahaczył o kamienny budynek, główny wirnik połamał się, a jego łopaty wzleciały w powietrze. Odwrócony bokiem do dołu wrak rozbitego helikoptera spoczął w wąskiej uliczce tuż przy kamiennym murze. Wkrótce zniknął w tumanach kurzu.

Nikt nie miał czasu na zastanawianie się nad konsekwencjami upadku, ale przerażenie obserwujących katastrofę oficerów wiązało się nie tylko z tragedią ludzi na pokładzie.

Byli w kropce. Jedynym sposobem na odzyskanie przewagi było zwiększenie liczby żołnierzy na miejscu wypadku, ale to wymagało czasu, odpowiednich manewrów i ofiar. Tymczasem w rozbitym śmigłowcu byli już zabici i ranni. Gdyby helikopter Elvisa zajął się ogniem, generał zgodnie z planem wycofałby ludzi z miejsca akcji, razem ze schwytanymi Somalijczykami. Za jakiś czas przeprowadziliby następną misję w celu odzyskania ciał oraz zniszczenia wraku helikoptera. Dowódcy wojskowi nie chcieli, by wróg miał dostęp do sprzętu i wyposażenia śmigłowca.

Jednak zobaczywszy, że niektórzy z żołnierzy wydostali się z wraku, a wokół rozbitego śmigłowca rozpętała się walka, Garrison poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Ponieważ byli przygotowani na taką ewentualność, kolejne posunięcie polegało na wysłaniu na miejsce, gdzie dotąd krążył Super Six One, następnego śmigłowca black hawk, natomiast w okolice wraku miał przylecieć helikopter oddziału

poszukiwawczo-ratowniczego po rozbitków. Piętnastu przeszkolonych ludzi mogło zapewnić pierwszą pomoc oraz ochronę tym, którzy przeżyli kata strofę, jednak musieli zrobić to szybko, gdyż dłuższe utrzymanie pozycji było niemożliwe. Tłumy Somalijczyków nadciągały ze wszystkich stron. W zabezpieczenie miejsca wypadku musieliby się zaangażować wszyscy żołnierze biorący udział w akcji. Powodzenie misji zależało od szybkości działania. Należało zaskoczyć wroga, zrobić swoje i błyskawicznie się oddalić. Tymczasem utknęli w miejscu. Wszystkie siły znajdujące się wokół zaatakowanego dziś domu, włącznie z ludźmi z konwoju, musiały jak najszybciej dotrzeć do rozbitego śmigłowca, zanim otoczy go milicja Aidida. W przeciwnym razie nie będzie już ratunku ani dla rozbitków, ani dla ratowników z oddziału poszukiwawczo-ratowniczego. Członkowie elitarnych formacji Delta Force i U.S. Rangers będą dziś mieli okazję pokazać, co potrafią.

Trudno sobie wyobrazić, by stu pięćdziesięciu żołnierzy z innych jednostek, uwięzionych w obcym mieście i oblężonych przez uzbrojony motłoch, miało szanse na przetrwanie. Znajdowali się w oku cyklonu. Na obrazie przekazywanym przez śmigłowce rozpoznawcze unosiły się wysokie słupy czarnego dymu z opon palonych wokół ulic, gdzie toczyła się walka. Tysiące uzbrojonych Somalijczyków z różnych części miasta nadciągały w tak oznaczone miejsca. Wznoszono barykady i kopano rowy w poprzek ulicy, które miały zatrzymać kolumnę pojazdów. Na ulicach wokół domu, w którym aresztowano członków klanu, roiło się od ludzi. Pętla powoli się zacieśniała.

Potrzebne było natychmiastowe wsparcie, wezwano więc siły 10. Dywizji Górskiej. Zapowiadała się zaciekła walka[75].

7

– Ruszajmy się – rzucił Nelson do porucznika DiTomassa. – Musimy natychmiast tam iść.

Z północno-wschodniego narożnika, na którym znajdowała się pozycja grupy desantowej Chalk Two, Nelson mógł łatwo ustalić miejsce katastrofy śmigłowca. Widział tłumy Somalijczyków zmierzające w tamtym kierunku.

– Nie, zostajemy – odparł porucznik.

– Widzisz ten tłum? – spytał Nelson, który w zdenerwowaniu zapomniał, że mówi do żołnierza starszego stopniem.

– Nie ruszaj się z miejsca – rozkazał DiTomasso.

– Idę – odpowiedział Nelson.

W oknie po przeciwnej stronie ulicy pojawiła się lufa, a zaraz po tym Nelson zauważył dwóch biegnących ulicą somalijskich chłopców. Jeden z nich trzymał coś w dłoni. Nelson przyklęknął i wystrzelił z

M60. Obaj chłopcy upadli. Okazało się, że w ręku leżącego teraz na ziemi chłopca był tylko kij. Ten, który ocalał, podniósł się z trudem i pokuśtykał przed siebie w poszukiwaniu schronienia.

Specjalista Waddell także chciał jak najszybciej znaleźć się na miejscu wypadku. Podobnie jak inni słyszał, w jaki sposób Somalijczycy zbezcześcili zwłoki załogi poprzedniego rozbitego black hawka. Kiedy rozmawiali o tym w bazie, postanowili, że coś takiego nie przydarzy się ich żołnierzom z ich jednostki.

DiTomasso zatrzymał Nelsona i połączył się przez radio z kapitanem Steele'em.

– Wiem, gdzie spadli. Idziemy tam – powiedział.

– Nie, poczekaj – odparł Steele. Rozumiał ich motywy, ale gdyby żołnierze z Chalk Two opuścili pozycję, kordon zostałby przerwany. Próbował połączyć się z siecią dowództwa, ale linie były przeciążone.

Odczekał piętnaście sekund.

– Musimy tam iść! – Nelson teraz już wrzeszczał na DiTomassa. – Natychmiast!

Gdy tylko ruszyli z miejsca, oddzwonił Steele.

– Dobrze, idźcie tam – zwrócił się do DiTomassa. – Ale ktoś musi zostać.

DiTomasso krzyknął do Nelsona:

– Dobra, chodźmy tam!

Zostawiając połowę ludzi na pozycji, porucznik razem z innymi rangersami popędził za Nelsonem w dół ulicy. Po drodze minął sierżanta Yurka.

– Trzymajcie pozycję – rzucił do niego.

Ośmiu rangersów biegło truchtem. DiTomasso dogonił Nelsona, który znajdował się na przodzie, ściskając w dłoni M60. Za nimi był Waddell zaopatrzony w M249. Cały czas trzymali broń gotową do strzału. Mimo że czający się w oknach i drzwiach Somalijczycy nieprzerwanie do nich strzelali, nikt nie został ranny. W drodze do położonego dalej na wschód miejsca katastrofy Nelson dwukrotnie zatrzymał się, aby puścić serię z karabinu w tłum podążający w kierunku rozbitego helikoptera. Somalijczycy przemieszczali się ulicą położoną o przecznicę na północ, równoległą do tej, którą biegli żołnierze.

Kiedy trzy przecznice dalej skręcili za róg ulicy, znaleźli się na szerokiej, piaszczystej drodze prostopadłej do tej, na której rozbił się Super Six One. Zdumiony Nelson ujrzał helikopter Little Bird, który właśnie przed nimi wylądował. Ulica była tak wąska, że łopaty wirnika znalazły się w odległości zaledwie kilku centymetrów od kamiennych ścian[76].

Siedzący za sterami śmigłowca Little Bird Star Four One starsi chorążowie sztabowi Keith Jones i Karl Maier wypatrzyli rozbitego black hawka kilka minut po katastrofie. Widząc, że maszyna ma roztrzaskany przód, stwierdzili, że Elvis i Briley prawdopodobnie nie żyją. Jones zobaczył przy murze jednego z żołnierzy, sierżanta sztabowego Daniela Buscha, który krwawił. Wokół niego leżało kilku martwych Somalijczyków.

Lądowanie na szerokim skrzyżowaniu w pobliżu Buscha byłoby łatwiejsze, ale Jones nie chciał stać się łatwym celem dla zbliżających się z czterech stron nieprzyjaciół. Manewrował więc śmigłowcem tak, by zmieścić się pomiędzy dwoma kamiennymi domami, a następnie posadził helikopter na ziemi. W momencie lądowania piloci poczuli, że maszyna lekko odchyliła się do tyłu.

„Chuchraki" zaatakowały ich, gdy tylko śmigłowiec znalazł się na ziemi. Piloci odpowiedzieli ogniem z pistoletów. Wtedy sierżant Delty Smith, drugi żołnierz widziany przez Abdiaziza Alego Adena (pierwszym był Busch), ten, który wcześniej trzymał się jedną ręką poręczy w spadającym śmigłowcu, wyszedł z wraku i podszedł do okna Jonesa.

Przekrzykując harmider, oznajmił Jonesowi: „Potrzebuję pomocy". Jedna z jego rąk zwisała bezwładnie. Jones wyskoczył i odprowadził Smitha z powrotem w kierunku skrzyżowania. Przy sterach został Maier, który miał ich osłaniać[77] i jednocześnie pilnować śmigłowca.

Nagle przed śmigłowcem pojawił się DiTomasso z grupą innych żołnierzy. Maier o mało nie zabił porucznika. Kiedy pilot opuścił broń, przestraszony DiTomasso postukał kilkakrotnie w swój hełm, dając tym samym do zrozumienia, że chce zapytać o liczbę ofiar.

Maier odpowiedział gestem mówiącym, że na razie nic nie wie.

Nelson i pozostali rangersi zbiegli w dół ulicy, schylając się pod śmigłami helikoptera Little Bird. Zobaczyli opartego o mur Buscha z dużą raną postrzałową brzucha. Snajper Delty trzymał na kolanach M249, a przed nim na ziemi leżał pistolet kaliber .45. W pobliżu zauważyli też dwa ciała Somalijczyków. Busch, żarliwy chrześcijanin, przed wyjazdem do Somalii powiedział matce:

– Dobrego żołnierza, chrześcijanina, dzieli od nieba tylko rzut beretem. Nelson znał go jako żołnierza, który pokonywał w scrabble wszystkich nowych. Jeden biedak przegrał z nim czterdzieści jeden razy. A teraz Busch siedział w kałuży krwi z bladą, nieobecną twarzą.

Jeden z leżących obok Somalijczyków jeszcze żył, więc Nelson dobił go, a następnie położył się płasko, wykorzystując ciała zabitych jako osłonę. Podniósł i schował do kieszeni należący do Buscha pistolet kaliber .45. Wrak śmigłowca znajdował się na prawo od niego, po przeciwnej stronie szerokiej ulicy. Somalijczycy, którzy usiłowali dostać się do rozbitej maszyny, uciekli na widok wybiegających zza rogu rangersów[78].

Jones i Smith zaczęli ciągnąć bezwładne ciało Buscha w stronę śmigłowca Little Bird, a pozostali żołnierze rozdzielili się, by osłaniać miejsce katastrofy. Jones pomógł Smithowi wejść do niewielkiego kokpitu,

po czym położył mu Buscha na kolanach. Smith objął ramionami rannego snajpera Delty, a Jones przystąpił do udzielenia pierwszej pomocy.

Pocisk trafił Buscha w brzuch, tuż pod kamizelką kuloodporną. Oczy rannego były wywrócone poszarzałymi białkami do góry. Jones zdawał sobie sprawę, że niewiele już może dla niego zrobić. Wrócił więc na fotel pilota. Przez radio usłyszał Matthewsa ze śmigłowca dowodzenia i nadzoru.

– „Four One, opuść miejsce wypadku. Natychmiast".

Jones chwycił dźwignię i rzucił do Maiera:

– Lecimy.

Odpowiedział na rozkaz:

– „Four One opuszcza miejsce wypadku"[79].

9

Wśród jednostajnego warkotu śmigieł i szmeru gorączkowych rozmów w słuchawkach starszy chorąży Mike Durant usłyszał głos Cliffa:

– „Six One spada".

Tak po prostu. Głos Elvisa był nienaturalnie spokojny i obojętny.

Durant oraz drugi pilot, starszy chorąży Ray Frank, krążyli w Super Six Four nad jałowym obszarem na północ od Mogadiszu. Pilotowali taki sam śmigłowiec jak ten, w którym leciał Elvis. Z tyłu siedziało dwóch mechaników, sierżant sztabowy Bill Cleveland oraz sierżant Tommie Field, cały czas gotowych do użycia swojej bezgłośnej broni. Od lat z zaangażowaniem przygotowywali się do bitwy, tymczasem dziś utknęli nad tym cichym, piaszczystym i opustoszałym terenem. Krążyli po elipsie nad miejscem oddalonym 4 minuty lotu od miejsca akcji.

Cień śmigłowca powoli przesuwał się po płaskim, niezamieszkanym obszarze. Na północ od ulicy October 21st nagle kończyły się zabudowania. W krajobrazie przeważały karłowate drzewka rosnące na spalonej piaszczystej ziemi. Aż po horyzont rozciągał się ocean piasku, na którym widniały niskie cierniste krzewy, kaktusy, kozy i wielbłądy.

Durant pomyślał o kumplach – Elvisie i Brileyu – doświadczonych, zaprawionych w walce żołnierzach. Nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek z kolorowego motłochu w dole byłby w stanie ich zestrzelić. „Bull" Briley brał udział w wielu akcjach, poczynając od Korei, a kończąc na inwazji na Panamę. Durant przypomniał sobie wściekłość Brileya poprzedniej nocy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy mógł zadzwonić do domu i połączył się z cholerną automatyczną sekretarką. Czy to nie byłoby straszne, gdyby...

Durant kontynuował kołowanie nad pustkowiem. Przy każdym zwrocie na zachód miał wrażenie, że leci w stronę słońca.

Upadek śmigłowca w Mogadiszu był groźny, ale niekoniecznie katastrofalny w skutkach. Przygotowywali się na taką ewentualność od czasu przybycia do bazy. Co ciekawe, korzystali przy tym właśnie z helikoptera Elvisa. Rozbicie się maszyny nie wydało się im szczególnie wstrząsające. Przynajmniej nie pilotom, którzy zdawali sobie sprawę z ryzyka lepiej niż pozostali. Większość rangersów to byli młodzi chłopcy, którzy dorastali w przekonaniu, że ich kraj jest największym mocarstwem na Ziemi. Nowoczesne, technologicznie zaawansowane helikoptery stanowiły dla nich symbol ogromnej potęgi militarnej, której niestraszne było śmietnisko Trzeciego Świata takie jak Mogadiszu.

Mitu tego nie obaliło zestrzelenie pierwszego black hawka tydzień wcześniej. Wszyscy wmawiali sobie, że helikopter został trafiony przez przypadek. Granaty przeciwpancerne służyły do walki na ziemi. Strzelanie z nich w obiekty znajdujące się w powietrzu było trudne i tak niebezpieczne, że graniczyło z próbą samobójczą. Gwałtowna siła odrzutu mogła zabić napastnika, podczas gdy granat wzleciałby ze świstem tylko na wysokość około trzystu metrów, zostawiając za sobą charakterystyczną smugę dymu, która zdradzała pozycję strzelca. Nawet jeśli nie zabiłaby go siła odrzutu, z pewnością zrobiłby to jeden z ludzi w śmigłowcu. Według wszelkich praw logiki granatniki były bezużyteczne w walce przeciw latającym blisko ziemi, szybkim helikopterom Little Bird. Za to śmigłowce black hawk były niemal niezniszczalne i nawet gdy spadał na nie grad kul, mogły nadal lecieć prosto bez najmniejszej zmiany kursu. Zaprojektowano je tak, aby utrzymały się w powietrzu bez względu na okoliczności.

Dlatego większość żołnierzy przerzucanych na miejsce desantu helikopterami uważała, że zestrzelenie black hawka może nastąpić w jednym przypadku na milion. Za to piloci byli większymi realistami. Po katastrofie pierwszego helikoptera w powietrzu fruwało coraz więcej granatów przeciwpancernych. Niebo przecinały łukowate smugi dymu, tu i ówdzie następowały gwałtowne wybuchy. Nagle okazało się, że zestrzelenie śmigłowca nie było już niemożliwe, lecz całkiem prawdopodobne. Ziściły się ich najgorsze koszmary. Nie zniechęciło to oczywiście ani Duranta, ani innych pilotów. Ryzyko było wkalkulowane w ich pracę. Nocni Łowcy z 160. Pułku Lotnictwa Operacji Specjalnych przywieźli żołnierzy elitarnych formacji armii Stanów Zjednoczonych w jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na naszej planecie.

Ciemnowłosy Durant był mężczyzną krępym i niskim, ale wysportowanym. Często stawał w rozkroku, wyprostowany jak struna, jakby chciał sprowokować kogoś do próby przewrócenia go. Wyglądał na bardziej wypoczętego niż żołnierze w hangarze. Durant znalazł sobie miejsce do spania w małej przyczepie za centrum operacyjnym, która służyła jako prowizoryczna kuchnia. Wszyscy piloci nocowali w przyczepach. W porównaniu do warunków w hangarze był to prawdziwy luksus. Garrison uważał, że dobre samopoczucie pilotów to sprawa priorytetowa; podczas lotu wymagano od nich precyzji i czujności, odpowiadali za załogę i nowoczesne, warte kilka milionów dolarów maszyny. Durant urządził się jeszcze lepiej od innych – jego przyczepa była wyposażona w klimatyzację. Jedynym utrudnieniem było to, że rano musiał złożyć łóżko i posprzątać pomieszczenie przed przyjściem kucharzy, jednak wysiłek ten był wart zachodu.

Durant należał do Nocnych Łowców od dawna, brał udział w nocnych misjach podczas wojny w Zatoce Perskiej oraz inwazji na Panamę, posiadał duże doświadczenie w lotach na niedużej wysokości. Pochodził z Berlina w stanie New Hampshire, gdzie zasłynął jako dowcipniś i sportowiec (grał w futbol i hokeja). Z wiekiem oraz dzięki zdobytemu doświadczeniu zmienił się. Mieszkał w Tennessee, niedaleko granicy z Kentucky, blisko bazy Nocnych Łowców w Fort Campbell. Wielu jego sąsiadów nie wiedziało, czym się zajmuje, a rodzina często nie miała pojęcia, gdzie przebywa.

Trudno było na bieżąco się we wszystkim orientować. Kiedy Durant nie brał udziału w poważnej misji, takiej jak ta, przygotowywał się do podobnej akcji, szkoląc umiejętności w dowolnym miejscu globu. Trening był sprawą priorytetową dla Nocnych Łowców. Ćwiczyli wszystko, nawet celowo przygotowaną katastrofę śmigłowca. Po zakończeniu danej serii udawali się w kolejne miejsce, gdzie rozpoczynali następny trening. I tak w kółko. Po licznych treningach byli w stanie poruszać się po labiryncie elektronicznych urządzeń niemal instynktownie.

W dniu, w którym jednostka Duranta została wysłana do Somalii, żołnierze otrzymali informację o wyjeździe zaledwie dwie godziny wcześniej. Zdążył pojechać na 15 minut do domu, aby pożegnać się z żoną i rocznym synkiem Joeyem. Lorrie nie protestowała, mimo że za trzy dni miały być pierwsze urodziny ich syna, a nazajutrz przyjeżdżali na tydzień do miasta rodzice Mike'a. Co gorsza, za siedem dni musiała wrócić do pracy w szkole, a ich dom był tylko w połowie skończony (przy czym Durant był podwykonawcą). Bez słowa skargi pomogła mu w pakowaniu. Choć na pierwszy rzut oka nie było tego widać, Durant był skłonny do wzruszeń. Doskonale nadawał się na członka formacji lotniczej złożonej z oddanych krajowi, zawsze gotowych do akcji zapaleńców, jednak mając rocznego synka, który niedawno zaczął raczkować, czuł się bardziej związany z rodziną niż z pilotami z jednostki. Wśród Nocnych Łowców zdarzali się faceci, którzy obnosili się z tym, jak ciężko jest im rozstać się z rodziną, a w głębi duszy żyli tylko dla misji i czuli się w swoim żywiole dopiero wtedy, gdy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Durant nie należał do nich. Przeżywał rozstanie z Lorrie i ich małym synkiem, było mu smutno, że ominie go tak długo wyczekiwane przyjęcie urodzinowe oraz spotkanie z rodzicami. Zadzwonił do nich i powiedział, że jest mu przykro. Nie wolno mu było wyjawić, dokąd jedzie. Nie miał nawet czasu na sporządzenie listy rzeczy, którymi należało się zająć w nowym domu (później wyśle ją e-mailem z Mogadiszu, przekraczając w ten sposób dozwolony rozmiar załącznika). Durant zatrzymał się w drzwiach wyjściowych z torbą podróżną, pocałował na pożegnanie Lorrie i pojechał na wojnę. Nawet pożegnania miał dopracowane do perfekcji.

Po zestrzeleniu śmigłowca Elvisa Durant spodziewał się trzech następujących po sobie zdarzeń. Siły lądowe zaczną przemieszczać się w kierunku katastrofy. Super Six Eight – śmigłowiec oddziału poszukiwawczo-ratowniczego – jeden z black hawków, które wyczekiwały w gotowości, tak jak maszyna Duranta, otrzymał rozkaz przerzucenia na miejsce wypadku sanitariuszy oraz snajperów. Super Six Four Duranta będzie natomiast musiał zająć miejsce rozbitego śmigłowca i osłaniać ludzi przeprowadzających akcję.

Na razie czekali, kołując na wyznaczonych wcześniej pozycjach. Złamanie rozkazu podczas misji, w którą zaangażowana była tak duża liczba śmigłowców, mogłoby okazać się bardziej niebezpieczne od działań

wroga. Durant uważał, że najtrudniejszą część dzisiejszej akcji ma już za sobą. Udało mu się dostarczyć na miejsce piętnastoosobową grupę desantową Chalk One. Aby tego dokonać, musiał obniżyć lot nad gęstą chmurą pyłu, zawisnąć na wysokości dachów, unikając jednocześnie zahaczenia o słupy czy kable. Kiedy grupa desantowa opuszczała się na ziemię, jego zadaniem było dopilnowanie, by maszyna pozostała w bezruchu. Pył kłębiący się pod helikopterem utrudniał widoczność, trzymał więc pozycję, żywiąc nadzieję, że żaden z pozostałych śmigłowców nie zboczy z kursu. Skomplikowane misje z reguły planowano tak dokładnie, jak ruchy tancerzy w balecie – każda pomyłka oznaczała śmiertelne niebezpieczeństwo. Nawet na treningach często zdarzały się wypadki podczas tego rodzaju manewrów, które były trudniejsze niż unikanie pocisków wystrzelonych z granatnika czy krótkiej broni. Durant przerzucił grupę Chalk One bez żadnych zakłóceń. Teraz pójdzie już z górki.

Nic jednak nie miało być łatwe[80].

10

Admirał Jonathan Howe domyślił się, że w Mogadiszu coś poszło niezgodnie z planem, kiedy kontrolerzy lotu z bazy ONZ kazali mu polecieć okrężną drogą nad oceanem, a następnie czekać na podejście do lądowania.

Howe wracał ze spotkań w Dżibuti i Addis Abebie, które były częścią jego planu pokojowego rozwiązania problemu Aidida. Kiedy znaleźli się nad lądem, Howe dostrzegł stojące w bazie grupy zadaniowej śmigłowce, w których uzupełniano paliwo i zapasy amunicji. Po wylądowaniu połączył się z szefem sztabu. Dowiedział się o desancie rangersów i zestrzelonym helikopterze. Adiutant poinformował go, że w mieście trwa zaciekła walka, toteż Howe będzie przez pewien czas uwięziony na lotnisku.

Howe był szczupłym, siwowłosym mężczyzną o bladej cerze, która podczas siedmiu miesięcy pobytu w Mogadiszu nawet się nie zaróżowiła. Żołnierze żartowali, że to przez wiele lat spędzonych na pokładzie okrętów podwodnych. Jego niezwykła kariera w marynarce obejmowała też dowodzenie wszelkiego rodzaju okrętami nadwodnymi, poczynając od pancerników, kończąc na lotniskowcach. W każdym razie z jakiegoś powodu był odporny na działanie promieni słonecznych, nawet w Somalii. Na propagandowych ulotkach Aidida nazywano go „zwierzem”, jednak jego spokojny i dyplomatyczny styl bycia zadawał kłam temu przezwisku. Wcześniej pracował jako zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta Busha i pomagał we wprowadzeniu do Białego Domu administracji Clintona, kiedy to zrobił tak dobre wrażenie na nowej administracji, że powierzono mu karkołomne zadanie nadzorowania jeszcze trudniejszej zmiany rządu w Somalii. Choć zaczął już cieszyć się wygodną emeryturą na Florydzie, zgodził się przyjąć nowe obowiązki. Jako najważniejszy człowiek Boutrosa-Ghalego w Mogadiszu, Howe sprawnie przewodził misji ONZ.

Zadanie nie było proste. Howe od miesięcy spał na łóżku polowym w biurze na parterze rozpadającego się budynku ambasady amerykańskiej. Przez jakiś czas miał do dyspozycji domek kryty blachą, ale regularny ostrzał zmusił zarówno jego, jak i pozostałych cywilów z terenu ambasady do skorzystania z osłony zapewnianej przez kamienne ściany głównego budynku. W środku nie było toalet, a na zewnątrz stało tylko kilka szaletów, więc mężczyźni często nosili ze sobą plastikowe butelki. Trzy razy dziennie otrzymywali posiłek w kafeterii na terenie ambasady. Artykuł w „Washington Post", w którym zasugerowano, że pracownicy ONZ mieli luksusowe warunki, wywołał gorzki śmiech.

Howe odegrał kluczową rolę w sprowadzeniu rangersów do Mogadiszu. Z takim zapałem naciskał przyjaciół w Białym Domu i Pentagonie, by dali mu do dyspozycji siły, dzięki którym będzie mógł rozwiązać problem Aidida, że w Waszyngtonie zaczęli mówić o nim „Jonathan Ahab"[81]. Wierzył, że zlikwidowanie watażki – nie zabicie, lecz aresztowanie i osądzenie jako zbrodniarza wojennego – zatrzyma falę nienawiści między klanami, która doprowadziła do anarchii, głodu i wojny.

Kiedy przyjechał tu osiem miesięcy wcześniej, wygląd miasta zaskoczył go. Mogadiszu stało się dzikim miejscem; wszystkie budynki nosiły ślady po pociskach, nic nie działało zgodnie z przeznaczeniem, wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało zrabowane, nikt o nic nie dbał. Somalia nie była strefą zero, gorzej – można ją było nazwać strefą minus jeden. Nie istniały żadne środki pozwalające na poprawę. O opłakanej sytuacji w kraju świadczyła też ogromna liczba ludzi okaleczonych przez miny lądowe. Wszędzie można było zobaczyć mężczyzn, kobiety i dzieci poruszające się przy użyciu kul. Interwencja ONZ zatrzymała falę głodu, ale dokąd zmierzała współczesna Somalia? Wysiłki, by stworzyć rząd koalicyjny w kraju, gdzie nieustannie trwały spory między klanami, nie przyniosły efektu. Dziewięciu na dziesięciu tubylców było bezrobotnych, a większość z tych, którzy wykonywali jakąkolwiek pracę, została zatrudniona przez ONZ lub Stany Zjednoczone. Z punktu widzenia admirała walki frakcyjne nie tylko nie miały racjonalnego uzasadnienia, ale też były pozbawione sensu. Gardził ludźmi za nie odpowiedzialnymi, takimi jak Aidid, Ali Mahdi i inni watażkowie. Niemniej, jeśli Somalia miała stanąć na nogi, współpraca z nimi była konieczna.

Howe szybko zrozumiał, że Aidid oraz jego Somalijskie Przymierze Narodowe (SNA)[82], polityczno-militarne skrzydło Habr Gidr, nie ma zamiaru dzielić się z nikim wpływami. Klan Aidida, który dwa lata wcześniej stanowił trzon obrony dyktatora Barre'a, doszedł do wniosku, że przyszedł czas na przejęcie władzy. Prawo do rządzenia krajem zdobył, sięgając po najstarszą walutę władców – krew. Ali Mahdi i kilku innych przywódców mniej ważnych ugrupowań z entuzjazmem podchodziło do planów dotyczących utworzenia aparatu rządowego. Dlaczego mieliby się nie zgodzić? ONZ oferowała im wpływy, jakich nigdy nie udałoby im się uzyskać w drodze walk z klanem Aidida.

Watażkowie zaprzestali działań zbrojnych, gdy do Somalii przybyły siły UNITAF (połączone siły zadaniowe liczące trzydzieści osiem tysięcy żołnierzy) wspierane przez U.S. Marines oraz 10. Dywizję Górską. Kiedy jednak czwartego maja wycofał się ostatni oddział marines, a 10. Dywizja Górska miała wspierać akcję tylko jako siły szybkiego reagowania, zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami sytuacja się pogorszyła. Do rzezi dwudziestu czterech Pakistańczyków doszło piątego czerwca. Następnego dnia ONZ ogłosiła SNA frakcją

wyjętą spod prawa. Aidid został oficjalnie wykluczony z procesu odbudowy kraju. W ciągu kilku następnych tygodni Howe wyznaczył nagrodę za głowę Aidida w wysokości 25 000 dolarów, a śmigłowce bojowe zrównały z ziemią radio Habr Gidr w Mogadiszu. Równocześnie siły ONZ wtargnęły na teren zamknięty watażki. Na próżno. Habr Gidr poczuł się urażony marną kwotą oferowaną za głowę ich przywódcy. W odpowiedzi wyznaczono milion dolarów nagrody za pojmanie „zwierza" Howe'a. Radio Mogadiszu nadal nadawało audycje propagandowe przy użyciu przenośnej anteny, a stary chytry „generał" zaszył się w zakamarkach miasta.

Aidid nie zamierzał się poddać. Codziennie moździerze z jego południowej twierdzy wystrzeliwały pociski w stronę terenów ONZ. Somalijscy pracownicy misji byli terroryzowani i zabijani. Watażka okazał się godnym przeciwnikiem. Imię „Aidid" oznacza „ten, który nie daruje urazy". Uczył się we Włoszech oraz Związku Radzieckim, następnie zajmował stanowisko szefa sztabu, a za rządów Siada Barre'a został ambasadorem Somalii w Indiach. Później jednak przyczynił się do obalenia dyktatora. Aidid był szczupłym, wątłym mężczyzną o semickich rysach twarzy, miał wysokie czoło i małe czarne oczy. Potrafił być czarujący, ale bywał też bezlitosny. Howe był przekonany, że Aidid ma dwie osobowości. Jednego dnia był ciepłym, uśmiechniętym, nowoczesnym i wykształconym mężczyzną, mówiącym biegle kilkoma językami, miał otwarty umysł i poczucie humoru. Czternaścioro dzieci Aidida mieszkało w Ameryce (syn o imieniu Husajn służył w rezerwie marines i przyjechał do Somalii z siłami UNITAF-u podczas grudniowej interwencji). Aidid, światowiec, dawał nadzieję na szybką poprawę sytuacji. Tymczasem już następnego dnia, bez konkretnego powodu, w czarnych oczach Aidida można było ujrzeć jedynie wściekłość. Czasem nawet jego najbliżsi adiutanci woleli trzymać się z daleka. To był Aidid, syn pasterza wielbłądów. Człowiek, który osiągnął sukces w chytry i bezwzględny sposób, pozbywając się tych, którzy mu przeszkadzali, mordując nawet własnych ludzi. Howe dysponował dowodami na to, że pomocnicy Aidida organizowali demonstrację, a następnie strzelali do własnych zwolenników, aby oskarżyć ONZ o ludobójstwo. Aidid, chcąc zwalczyć inne klany, doprowadził do klęski głodowej, zlecając porywanie i rekwirowanie dostaw z żywnością. Watażka wiedział też, jak ważna jest siła zastraszenia – zamordowanych pakistańskich żołnierzy wypatroszono i obdarto ze skóry.

Oburzony Howe postanowił, że trzeba natychmiast zatrzymać Aidida. Admirał miał własny sposób na załatwianie spraw. Nie był krzykaczem. Kiedy postawił sobie jakiś cel, do końca trzymał się wytyczonego planu. Wiele osób, które od dawna zajmowały się sprawami Afryki, uważało, że to nieodpowiedni sposób na rozwiązywanie problemów w tej części świata. Somalijscy watażkowie potrafili walczyć między sobą jednego dnia, by stać się dobrymi przyjaciółmi następnego. Howe był jednak nieugięty. Jeśli brakowało środków do obalenia Aidida, mógł je zdobyć. Miał przyjaciół; ludzi wysoko postawionych, którzy byli mu coś winni, ludzi, którzy namówili go do przyjazdu tutaj. Wśród nich byli między innymi: Anthony Lake, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego administracji Clintona, Madeleine Albright, emisariuszka USA przy ONZ, nieposkromiona zwolenniczka nowego porządku świata. Po obaleniu Saddama Husajna oraz po upadku Związku Radzieckiego wielu polityków, dyplomatów i dziennikarzy żywiło szczere nadzieje, że w nowym tysiącleciu na całym świecie zapanują kapitalizm i wolny rynek. Niezrównane Stany Zjednoczone mogły naprawić zło tego świata, nakarmić głodujących, zaprowadzić demokrację. Generałowie za to, a zwłaszcza

odchodzący przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów Colin Powell, potrzebowali uzasadnienia śmierci amerykańskich żołnierzy. Howe znalazł kilku sprzymierzeńców w rządzie, lecz spotkał się też ze zdecydowanym sprzeciwem ze strony wyższych oficerów w Pentagonie.

Kiedy Waszyngton odmówił mu przysłania w czerwcu oddziałów Delty, rozpoczął bezowocne próby schwytania Aidida przy użyciu dostępnych na miejscu sił. Aby uniknąć zranienia niewinnych ludzi, zarządzono, aby podczas pierwszych misji najpierw nad miastem krążyły helikoptery, z których informowano przez głośniki, że ONZ planuje przeprowadzenie akcji w mieście. Wielu Somalijczykom ten gest wydał się śmieszny. Po wydaniu ostrzeżenia, siedemnastego lipca międzynarodowe siły zaatakowały zabudowania należące do Aidida. Żołnierze z Włoch, Francji, Maroka i Pakistanu przeszukiwali domy jeden po drugim, a teren został otoczony kordonem złożonym z Francuzów i Marokańczyków. Aidid wymknął się bez trudu[83]. Według powtarzanej potem na ulicach historii zawinięty w prześcieradła watażka, udając trupa, wyjechał na wozie ciągniętym przez osła, tuż przed nosami żołnierzy ONZ. Siły pokojowe nie tylko nie były w stanie schwytać Aidida, ale również zrobiły z niego bohatera narodowego[84].

Decyzja o ataku na dom Abdiego dwunastego lipca była wyrazem rosnącej frustracji przedstawicieli sił ONZ. Po zasadzce na Pakistańczyków klan zintensyfikował ataki przy użyciu moździerzy i karabinów. Turecki dowódca sił ONZ generał Cevik Bir oraz jego zastępca, generał dywizji amerykańskiej armii Thomas Montgomery, nie chcieli już cackać się z Somalijczykami. Nadszedł czas na atak bez ostrzeżenia, na odrąbanie głowy Somalijskiego Przymierza Narodowego. Przywódcy klanu regularnie spotykali się w domu Abdiego. Plan przewidywał, że miejsce zostanie okrążone przez śmigłowce, które ostrzelają je z pocisków TOW oraz działek, a następnie oddziały szturmowe wtargną do domu, aby aresztować tych, którzy przeżyją.

Howe sprzeciwiał się temu projektowi. Dlaczego – pytał – żołnierze nie mogą po prostu otoczyć miejsca i nakazać zebranym w domu ludziom, by się poddali? Albo czy nie lepiej będzie wtargnąć do budynku i aresztować zebranych? Powiedziano mu, że oznaczałoby to zbyt duże ryzyko dla sił ONZ. Żadna ze znajdujących się na miejscu jednostek nie była w stanie utworzyć „pokojowego" kordonu, zatem ostrzeżenie znajdujących się w budynku Somalijczyków oznaczałoby porażkę. Najważniejsi przywódcy uciekliby tak, jak zrobił to wcześniej Aidid. Siły ONZ nie miały możliwości przeprowadzenia błyskawicznego ataku – to była taktyka Delty. Kiedy Pentagon oraz Biały Dom zaakceptowali plany dotyczące przebiegu akcji, Howe ustąpił[85].

Liczba Somalijczyków zabitych podczas tego ataku nie była jednoznaczna. Mohamed Hassan Farah, Abdullahi Ossoble Barre, Qeybdid i inni obecni w budynku tego dnia mówili o siedemdziesięciu trzech zabitych, włącznie z kobietami i dziećmi przebywającymi na parterze. Mówili o setkach rannych. Według raportów, które Howe otrzymał po ataku, było tylko dwudziestu zabitych, i byli to mężczyźni. Jak podawał Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża, zginęły pięćdziesiąt cztery osoby, rannych było dwieście pięćdziesiąt. Niemniej dyskusja na temat liczby zabitych wkrótce zeszła na drugi plan, kiedy to rozjuszony tłum Somalijczyków zlinczował czterech zachodnich dziennikarzy, którzy udali się do domu Abdiego, aby zdać relację z wydarzeń feralnego dnia.

Śmierć reporterów zwróciła opinię publiczną przeciwko Somalijczykom. Jednak po niespodziewanym ataku na dom Abdiego zaskoczonych mieszkańców Mogadiszu ogarnęła wściekłość. Masakra umocniła pozycję Aidida i nadwerężyła opinię ONZ jako organizacji humanitarnej. Somalijczycy, którzy wcześniej nie popierali watażki, ponieważ jego poglądy wydawały im się nazbyt skrajne, teraz wstąpili w szeregi jego zwolenników. Z punktu widzenia członków Habr Gidr ONZ, a zwłaszcza Stany Zjednoczone wypowiedziały Somalii wojnę.

Howe nalegał na sprowadzenie oddziałów Delty. Uważał, że byłby to najprostszy sposób na rozwiązanie problemu. W czerwcu piloci z oddziału Nocnych Łowców oraz oficerowie Delty opracowali w Fort Bragg plan przeprowadzenia akcji z udziałem jedynie dwudziestu żołnierzy, którzy mieliby ukradkiem przybyć do kraju i wykorzystać w akcji śmigłowce oraz sprzęt sił szybkiego reagowania. Ludzie z wywiadu namierzyli Aidida, który nadal udzielał publicznych wystąpień i poruszał się po Mogadiszu z rzucającą się w oczy eskortą uzbrojonych pojazdów. Jednak Waszyngton nie dał zielonego światła ani w lipcu, ani przez większą część sierpnia.

Starania Howe'a odniosły skutek dopiero pod koniec sierpnia, kiedy to zdalnie sterowane miny lądowe zabiły czterech amerykańskich żołnierzy, a już dwa tygodnie później kolejne raniły siedmiu innych. Prezydent Clinton, który wówczas przebywał na urlopie w Martha's Vineyard, wydał zgodę na wyjazd Delty. Aidid stał się najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Somalii[86].

Siły zadaniowe rangersów przybyły dwudziestego trzeciego sierpnia z zadaniem przeprowadzenia trzyfazowej misji. Pierwszy etap miał zakończyć się trzydziestego dnia miesiąca i obejmował przygotowanie wojsk do akcji. W drugiej fazie, kończącej się siódmego września, mieliby skoncentrować się na znalezieniu i schwytaniu Aidida. Już teraz dowództwo podejrzewało, że wysiłki te mogą okazać się daremne, gdyż wieści o przybyciu rangersów rozeszły się szybko, a watażka z pewnością się ukrył. W trzeciej fazie należało rozbić sieć przywódców klanu. To było najważniejsze zadanie rangersów. Jeśli ludzie z Delty nie byliby w stanie schwytać watażki, celem rangersów było rozgromienie jego organizacji[87].

Howe początkowo zakładał, że do Somalii przyjedzie niewielki oddział tajnych komandosów, więc kiedy pojawiła się grupa zadaniowa składająca się z czterystu pięćdziesięciu żołnierzy, był zachwycony. Ze spokojem przymknął oko na błędy, jakie przytrafiły im się na samym początku. Nadszedł wrzesień. Pomimo pewnych trudności wojska osiągały kolejne sukcesy. Szczególnie zadowolony poczuł się, kiedy dwudziestego pierwszego września udało im się napaść na konwój[88], w którym jechał Osman Atto, doradca Aidida – jego człowiek od finansów i broni. Aresztowanego poplecznika watażki umieszczono w więzieniu położonym na wyspie na południu kraju, nieopodal portowego miasta Kismaju. Na otoczonym drutem kolczastym terenie stały małe namioty, w których przetrzymywano wielu innych członków Somalijskiego Przymierza Narodowego[89].

Aidid zdawał sobie sprawę, że sytuacja staje się coraz groźniejsza. Jeden z przywódców Habr Gidr, który współpracował z wojskiem USA, powiedział: „Jest [Aidid] podenerwowany. Atmosfera jest bardzo napięta".[90] Pod koniec sierpnia somalijski watażka wystosował list do byłego prezydenta Jimmy'ego Cartera, prosząc go o wstawienie się w jego sprawie u prezydenta Clintona. Aidid domagał się niezależnej komisji „złożonej ze znanych na całym świecie mężów stanu, uczonych i prawników pochodzących z różnych krajów". Komisja miałaby zbadać zarzuty, jakoby przywódca klanu ponosił odpowiedzialność za incydent z piątego czerwca – Aidid utrzymywał, że rozruchy były wynikiem samodzielnego działania mieszkańców Mogadiszu, którzy bali się, że siły ONZ zaatakują budynek rozgłośni radiowej. Apelował też o rozwiązanie dla obecnych relacji pomiędzy siłami klanu a ONZ.

Carter dostarczył wiadomość do Białego Domu. Clinton przyjaźnie odniósł się do otrzymanej propozycji i poczynił wysiłki w celu pokojowego rozwiązania sytuacji. Departament Stanu rozpoczął ciche przygotowania do zaangażowania w cały proces Etiopii i Erytrei. Prowadzono działania na rzecz natychmiastowego zawieszenia broni, przy czym Aidid miał opuścić Somalię i do czasu przeprowadzenia międzynarodowego dochodzenia pozostawać poza granicami kraju. Tym samym rozpoczął się kolejny etap na drodze rozpoczętych jeszcze w listopadzie rozmów prowadzących do utworzenia aparatu państwowego. Howe, za pośrednictwem niektórych starszych członków Habr Gidr, których również zaniepokoiły ostatnie wydarzenia w Mogadiszu, badał sytuację w mieście. Zarówno on, jak i jego poplecznicy z Waszyngtonu uważali, że nagła gotowość Aidida do współpracy wynikała z obecności sił Garrisona.[91]

Celem przyjazdu Howe'a w ten weekend były kolejne działania pokojowe. Podczas długiego lotu nad suchym, pustynnym terenem, patrząc na przesuwający się po wydmach cień samolotu, rozmyślał o tym, że ONZ nareszcie może negocjować warunki, stojąc na silnej pozycji.

* * *

W niedzielę po południu, po prawie godzinie kołowania nad oceanem samolot nareszcie otrzymał pozwolenie na lądowanie w bazie rangersów. Howe wiedział, że w mieście trwają walki, ale zdał sobie sprawę z powagi sytuacji dopiero, gdy wieczorem dotarł do bazy ONZ. Generał Montgomery organizował właśnie potężny, wielonarodowy konwój, który miał pospieszyć z odsieczą uwięzionym rangersom oraz pilotom z zestrzelonych śmigłowców.

Howe niewiele mógł zrobić w tej sytuacji, więc pozostało mu przyglądać się akcji z boku. Za to Montgomery miał pełne ręce roboty. Malezyjczycy i Pakistańczycy, którzy posiadali niezbędne wyposażenie, nie chcieli przystąpić do akcji w dzielnicy Bakara. To były te same wojska, które wycofały się z ulic miasta po wyjeździe marines. Byli chętni do pomocy, ale wzdragali się przed myślą wysłania opancerzonych pojazdów w środek przypominającej mrowisko, gęsto zaludnionej dzielnicy. Wobec tłumów wypełniających wąskie uliczki nawet opancerzone wozy byłyby bezradne.

Włosi, których lojalność podawano w wątpliwość od czasu rozpoczęcia operacji, byli chętni do pomocy. Gotowość zgłosili też Hindusi, którzy dysponowali własnymi czołgami i mogli wykorzystać je w walce.

Ponieważ zaangażowanie w akcję Włochów i Hindusów mogłoby potrwać dłużej, Montgomery naciskał na siły z Malezji i Pakistanu.

Howe nie mógł mu pomóc, ale zastanawiał się, co by było, gdyby taka zdecydowana międzynarodowa reakcja nastąpiła, tak jak nalegał, po masakrze piątego czerwca. Tak czy inaczej cieszył się, że przynajmniej ma ona miejsce teraz. Szkoda, że siły zadaniowe otrzymały cios, ale kiedy tylko rana się zagoiła, być może ludzie z Waszyngtonu zechcą raz na zawsze pozbyć się watażki-karierowicza[92].

11

Wśród zatrudnionych na terenie ambasady amerykańskiej Somalijczyków rozeszła się wieść, że w mieście trwa większa akcja. Abdi Karim Mohamud pracował jako sekretarz w Brown & Root, jednej z firm usługowych współpracujących z międzynarodowymi siłami militarnymi. Kiedy obalono rząd Barre'a, był dwudziestojednoletnim studentem college'u. Od tego czasu uczył się sam. Abdi nosił okulary w drucianych oprawkach, mówił płynnie po angielsku, chodził w schludnie wyprasowanych jasnobłękitnych koszulach. Promieniowała od niego aura serdeczności i zapału do pracy, dzięki której powierzano mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Bystry Abdi był też oczami i uszami klanu.

Kiedy rozpoczęła się misja humanitarna ONZ, przepełniała go nadzieja. Dzięki organizacji dostał pracę, poza tym istniały szanse, że siły pokojowe zrobią coś dobrego dla kraju. Widząc jednak, że przybysze atakują klan i generała Aidida, a liczba zabitych przez międzynarodowe wojska wciąż rośnie, uznał interwencję ONZ za nieusprawiedliwioną inwazję na jego kraj. W dniu ataku na dom Abdiego, dwunastego lipca, widział ofiary bombardowania, które przyniesiono na teren ambasady. Oszołomieni członkowie starszyzny klanu byli cali we krwi i potrzebowali pomocy lekarskiej. Zamiast tego Amerykanie zrobili im zdjęcia, przesłuchali i wtrącili do więzienia. Abdi nie zrezygnował wówczas z pracy, lecz miał ku temu pewne powody.

Dziś usłyszał strzały nad miastem oraz odgłosy walk w dzielnicy Bakara.

Somalijscy pracownicy firmy Brown & Root zostali odesłani do domów.

– Coś musiało się stać – powiedział ktoś do Abdiego.

Abdi mieszkał z rodziną w okolicy pomiędzy targowiskiem a rondem K-4, na północ od bazy rangersów. Rozklekotane, przepełnione mikrobusy, które Amerykanie nazywali „klingońskimi"[93] (ukłon w stronę „Star Treka") nadal kursowały na Via Lenin. Hałas wystrzałów nasilił się, niebo zakryły lecące nisko, tuż nad dachami, helikoptery, które zataczały koła nad terenem wokół targowiska. Kiedy biegł w stronę domu, nad jego głową świstały kule. W końcu dotarł na miejsce. W domu zastał ojca, dwóch braci i siostrę, którzy ukryli się na podwórzu na tyłach budynku. Stali z plecami przyciśniętymi do betonowego muru. Zawsze chowali się tu przed pociskami.

Abdi miał wrażenie, że na niebie znajdują się setki helikopterów. Strzały nie ustawały ani na chwilę, a pociski zdawały się latać we wszystkich kierunkach. W gęsto zamieszkanej dzielnicy milicja Aidida strzelała do Amerykanów z różnych miejsc, a nie tylko z jednego wybranego punktu. Walki rozgorzały w całej okolicy. Mimo piekielnego hałasu i zamieszania Abdi po chwili zauważył, że zaczyna przyzwyczajać się do odgłosów wystrzałów. Zresztą wydawało się, że cała akcja ma miejsce w górze, wysoko ponad jego głową. Przez mniej więcej godzinę czekał z rodziną przy ścianie na dziedzińcu, aż w końcu zaczął się niecierpliwić. Wszedł do domu, wyglądał przez okna, a w końcu odważył się zaryzykować i wyszedł na ulicę.

Niektórzy sąsiedzi mówili, że rangersi schwytali Aidida. Wielu zmierzało w stronę miejsca, z którego dobiegały odgłosy walki. Abdi też chciał zobaczyć, co się dzieje, toteż pobiegł w tym samym kierunku. Kilka przecznic od hotelu Olympic mieszkali jego krewni. Zapewne czegoś dowie się od nich. Biorąc pod uwagę liczbę pocisków i wybuchów, wydawało się niemożliwe, aby nikt w okolicy targowiska nie został ranny.

Im bardziej zbliżał się do bitwy, tym większe zamieszanie panowało na ulicy. Dookoła leżały ciała mężczyzn, kobiet i dzieci. W jednej z uliczek Abdi zobaczył rannego w nogę amerykańskiego żołnierza, który leżał na ziemi, usiłując się ukryć. Kiedy tuż przed Abdim nagle pojawiła się kobieta, żołnierz wystrzelił, trafiając ją, jednak Somalijka zdołała pobiec dalej. Abdi szybko minął róg, wbiegając na ulicę, gdzie właśnie zanurkował jeden ze śmigłowców Little Bird. Abdi przywarł mocno do kamiennego muru. Kule z helikoptera wyryły linię w poprzek ulicy i przeleciały nad jego głową. Pojawiła się myśl, że ta ryzykowna wycieczka nie była dobrym pomysłem. Śmigłowiec oddalił się, a grupa uzbrojonych Somalijczyków zbliżyła się do narożnika, by znaleźć dogodne miejsce do trafienia Amerykanina.

Abdi pobiegł do domu przyjaciela, który na szczęście otworzył mu drzwi. Następnie położyli się na podłodze razem z innymi[94].

12

Kilka minut przed zestrzeleniem Super Six One rangersi oraz operatorzy Delty, którzy aresztowali osoby biorące udział w zebraniu, przygotowywali się do powrotu do bazy. Dzisiejsza akcja trwała dłużej, niż powinna. Najpierw pojawił się problem z Blackburnem – rangersem, który wypadł z helikoptera. Trzy hummery z konwoju musiały wrócić do bazy, by odwieźć rannego. W drodze zginął sierżant Pilla. Po oddaleniu się trzech pojazdów reszta konwoju stała bezczynnie w miejscu.

Każdy żołnierz nieraz słyszał bardziej doświadczonych kolegów mówiących o „mgle wojennej". Podczas strzelaniny panował zazwyczaj taki chaos, że walczący przestawali orientować się, gdzie jest wróg i jakimi siłami dysponuje. Wszyscy byli dziś oszołomieni, widząc, jak trudno im wykonać najprostsze czynności. Sierżant sztabowy Dan Schilling, członek zespołu kontroli bojowej sił powietrznych, który dziś jechał w samochodzie prowadzącym konwój, w końcu zniecierpliwił się i wyszedł sprawdzić, co opóźnia akcję. Okazało się, że ludzie z Delty pilnowali więźniów, wypatrując sygnału od żołnierzy z konwoju. Tymczasem konwój

czekał, aż operatorzy Delty pojawią się na ulicy. Schilling kilkakrotnie pokonał trasę pomiędzy konwojem a budynkiem, gdzie czekali komandosi z więźniami, i w końcu akcja posunęła się naprzód.

Schilling był małomównym facetem z południowej Kalifornii o szczupłej, wysportowanej budowie ciała. Ten były rezerwista osiem lat wcześniej zaryzykował utratę stopnia, a także stawki zaszeregowania, aby dołączyć do sił powietrznych i sprawdzić, czy uda mu się przejść rygorystyczną selekcję kandydatów do zespołu kontroli bojowej. Był to jeden z najszybszych sposobów na dostanie się do oddziałów biorących udział w operacjach specjalnych. Poza tym zajęcie to brzmiało ciekawie. Ludzie z zespołu kontroli bojowej są wysyłani w najbardziej niebezpieczne miejsca. Ich zadaniem jest wskazanie dokładnego miejsca ataku z powietrza. Ponieważ wymagało to ścisłej współpracy pomiędzy siłami na lądzie i w powietrzu, Schillingowi przydzielono miejsce w pojeździe dowódcy konwoju, podpułkownika Danny'ego McKnighta. Właśnie o takiej przygodzie marzył Schilling. Ten trzydziestoletni żołnierz od sześciu lat brał udział w operacjach specjalnych i można było powiedzieć, że w pełni zasłużył na bonus za niebezpieczną pracę. Przez chwilę przyglądał się pracy komandosów, którzy ładowali do ciężarówek skrępowanych plastikowymi kajdankami Somalijczyków. Pozostała część sił szturmowych pobiegła pieszo w stronę rozbitego helikoptera. Z każdą minutą konwój był coraz bardziej narażony na atak, a liczba nadciągających bojówek Aidida się zwiększała. Zbliżał się uzbrojony tłum, a siła ognia narastała z każdą chwilą. Na początku zakładali, że schwytanie członków klanu potrwa maksymalnie pół godziny. Gdyby udało im się załatwić wszystko w tym czasie, prawdopodobnie nikomu nic by się nie stało. Schilling zerknął na zegarek. Byli tu już 37 minut.

Po tym, jak spadł Super Six One, wszystko się zmieniło. Otrzymali rozkaz, aby natychmiast udać się na miejsce katastrofy.

W prawie każdym pojeździe byli ranni. W powietrzu pełnym gęstego dymu czuć było zapach prochu i spalenizny, a zarówno na głównej drodze, jak i w przecinających ją uliczkach leżały zwłoki lub fragmenty ciał Somalijczyków, powywracane wozy oraz płonące, zgniecione wraki samochodów. Jedna z należących do konwoju ciężarówek także zajęła się ogniem. Uderzył w nią pocisk z granatnika przeciwpancernego, a potem jeszcze granat termiczny. W pobielonych wapnem ścianach zbudowanego z pustaków hotelu Olympic i sąsiadujących z nim budynków znajdowały się wielkie dziury po pociskach. Kule zniszczyły też drzewa, a ziemia w wielu miejscach przesiąkła krwią i przybrała brązowy kolor. Hałas był ogłuszający, jednak rósł na tyle równomiernie, że mężczyźni mogli się do niego przyzwyczaić. Głośny trzask lub odpryśnięcie dużego fragmentu kamiennego muru zaalarmowałby ich, ale sam odgłos strzałów nie robił już na nikim wrażenia. Poruszali się ostrożnie, lecz huk wystrzałów nikogo nie przerażał. Osobą, która zdawała się w ogóle nie zważać na niebezpieczeństwo, był McKnight. Chodził wyprostowany jakby nigdy nic, podczas gdy inni czaili się i szukali osłony. Wkrótce zaczął machać dłonią do rangersów w pojazdach.

– „Tu Uniform Six Four – odezwał się McKnight. – Jestem gotowy na wycofa... – urwał w pół słowa. – Załadowałem wszystko, co miałem wziąć, i jestem gotowy, by udać się na miejsce katastrofy, odbiór".

– „Przyjąłem, jedźcie tam – odpowiedział mu ze śmigłowca dowodzenia i nadzoru podpułkownik Gary Harrell, dowódca oddziału Delty. – Ulice są raczej bezpieczne. Doniesiono nam o ogniu snajperskim na północ od rozbitego helikoptera".

– „Przyjąłem. Odjeżdżamy stąd i będziemy kierować się na wschód, prosto do miejsca katastrofy, odbiór".

Zadanie wydawało się łatwe. Dwie przecznice na północ, potem dwie na wschód. Konwój składający się teraz z sześciu hummerów i dwóch ciężarówek z platformami ruszył przed siebie. Ciężarówki jechały w środku, pomiędzy trzema hummerami z przodu i trzema z tyłu. Na ich dachach naklejono pomarańczowe panele fluorescencyjne, dzięki którym śmigłowce rozpoznawcze mogły szybciej je znaleźć. Helikoptery miały stać się teraz oczami konwoju i poprowadzić go przez miasto.

Wkrótce miał się rozpocząć najbardziej krwawy etap bitwy[95].

13

Pilot Super Six Four Mike Durant, lecąc na południe, w kierunku przydzielonego mu rejonu wyczekiwania, zobaczył helikopter Little Bird unoszący się nad miejscem katastrofy. Przed sobą widział jasną ścianę frontową hotelu Olympic, jednego z najwyższych budynków w mieście, który stał naprzeciwko domu stanowiącego cel ataku. W oddali majaczył ciemniejący już o tej porze, zielony Ocean Indyjski. Nad dachami domów wokół hotelu unosił się dym, dzięki któremu od razu było widać, w której części miasta trwają walki. Helikoptery black hawk oraz Little Bird, niczym drapieżne owady, latały w ciemnych oparach, gwałtownie obniżając lot i wyrzucając strumienie ognia w stronę uczestniczących w bitwie ludzi.

Jak się tego spodziewał, wkrótce usłyszał w radiu głos wzywający śmigłowiec black hawk oddziału poszukiwawczo-ratowniczego, po czym zobaczył, jak Super Six Eight zmienia kierunek lotu i odlatuje na południe.

Duranta też za chwilę wezwano. Odezwał się do niego podpułkownik Matthews ze śmigłowca dowodzenia:

– „Super Six Four, tutaj Alpha Five One, odbiór".

– „Tutaj Super Six Four. Słucham".

– „Zrozumiałem. Six Four, dołącz do Six Two".

– „Six Four w drodze".

Lecąc nisko nad miastem, wśród kłębów dymu i kurzu za przednią szybą rozpędzonego helikoptera Durant dostrzegł kilka scen toczącej się walki. Regularny kwadrat, który wyrysowano na mapie podczas

planowania akcji, przeszedł już do historii. Trudno było zorientować się w trwającej w dole walce. Widział rejon, w którym spadł śmigłowiec Elvisa – zwartą zabudowę małych kamiennych domów z blaszanymi dachami pociętą pasmami prostych, gruntowych uliczek i szerokich, prostopadłych dróg. Rozbity black hawk znajdował się jednak gdzieś w wąskiej alejce schowany między domami, więc Durant nie mógł go dojrzeć. Przez chwilę widział jedną z niewielkich kolumn rangersów, którzy – przyczajeni i z karabinami gotowymi do strzału – biegli ulicą, odpowiadając ogniem uzbrojonym i spieszącym w tym samym kierunku Somalijczykom. Durant kliknął przełącznik w kokpicie, by naładować broń mechaników – dwa sześciolufowe działka pokładowe kaliber 7,62 milimetra, które mogły wyrzucić z siebie cztery tysiące pocisków na minutę, jednak uprzedził ich, by nie otwierali ognia, dopóki nie upewnią się, że nie trafią swoich. Durant zajął miejsce na okręgu, po którym krążył wcześniej Elvis, po przeciwnej stronie od Super Six Two, black hawka pilotowanego przez starszego chorążego Mike'a Goffenę oraz kapitana Jima Yacone'a. Starał się zsynchronizować z nimi lot.

– „Six Four, podaj lokalizację". – To był Goffena.

– „Jesteśmy mniej więcej 4 kilometry na północ od was".

– „Six Four, pilnujcie zachodniej strony".

– „Zrozumiałem".

Chodziło o to, by krążący nisko lotniczy patrol bojowy zataczał duże koło nad miejscem walki. Durant usłyszał przez radio, że wróg trafił śmigłowiec oddziału poszukiwawczo-ratowniczego, ale ratownikom udało się opuścić na ziemię, a maszyna nadal była sprawna. Goffena i Yacone informowali przez radio strzelców w śmigłowcu Duranta, gdzie znajdują się cele. Strzelcy w Super Six Four mieli ograniczoną widoczność. Fotel Duranta znajdował się po prawej stronie kadłuba. Śmigłowiec krążył w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i pozostawał w lekkim nachyleniu na lewą stronę, zatem strzelcy przez większość czasu widzieli tylko niebo. To doprowadzało ich do szaleństwa. Nawet kiedy pilot w końcu wyrównał lot, maszyna leciała tak szybko i nisko, że obrazy przelatujące w dolnej szybie „bańki" kadłuba były niewyraźne i rozmazane. Pod nogami pilota przemykały drzewa, blaszane dachy, płonące samochody i opony. Wszędzie biegali rangersi i Somalijczycy. Durant nie wiedział, czy ktoś strzela w kierunku śmigłowca, gdyż wśród ryku silników i przy odgłosach dochodzących z włączonego radia nie był w stanie tego usłyszeć. Zakładał jednak, że zapewne lecą w ich stronę pociski. Somalijczycy trafili już dwa helikoptery. Nasłuchując, czy o kadłub uderzają kule, starał się co chwilę zmieniać prędkość i wysokość tak, aby black hawk stał się trudnym celem.

Przy czwartym czy piątym okrążeniu, kiedy w końcu zaczął orientować się w sytuacji na dole, poczuł, że coś ciężkiego uderzyło w helikopter. Miał wrażenie, jakby jadąc szybko samochodem, wjechał nagle na próg zwalniający[96].

14

Sierżanci Jeff McLaughlin i Casey Joyce dostarczyli do konwoju rannego Blackburna. Szeregowy miał zostać zabrany do bazy w niewielkiej kolumnie pojazdów. Tymczasem sierżanci ruszyli przez Hawlwadig Road

na północ, by dołączyć do swojej grupy Chalk Four. Nie zaszli daleko. W dole ulicy jakiś Somalijczyk wyskoczył zza rogu, by wystrzelić do nich, i od razu dać nura z powrotem, zanim zdążyli odpowiedzieć ogniem. McLaughlin osłaniał ulicę, żeby Joyce mógł przebiec na drugą stronę, a następnie obaj, każdy po swojej stronie, przyklękli na jednym kolanie, czekając, aż atakujący ich pojawi się znowu. Z pewnej odległości każdy uzbrojony Somalijczyk wyglądał tak samo; czarny chudy człowiek z rozczochranymi, zakurzonymi włosami ubrany w długie workowate spodnie oraz luźną, za dużą koszulę. Podczas walki mieszkańcy Mogadiszu z reguły oddawali chaotyczny strzał i chowali się, jednak niektórzy walczyli bardziej zapamiętale; biegli w stronę Amerykanów, cały czas strzelając w ich kierunku, po czym zazwyczaj ginęli pod gradem kul. Ten był jednak sprytny. Wychylał się, prędko strzelał i od razu znikał za rogiem. McLaughlin starał się go uprzedzić. Kiedy tylko pojawiała się głowa strzelca, sierżant oddawał starannie wymierzony strzał, jednak Somalijczyk za każdym razem się chował.

McLaughlin postanowił go dopaść. Czekał oparty na jednym kolanie, starając się trzymać M16 możliwie nieruchomo, rysując w myślach tarczę w miejscu, gdzie na krótko pojawiała się głowa atakującego. Pot zalewał mu oczy. Zaabsorbowany bezowocnym pojedynkiem stracił poczucie czasu i miejsca, więc przestraszył się, kiedy rozległ się głos drugiego sierżanta:

– Hej, Mac! Chodź!

Zbliżał się do nich konwój, który podobnie jak oni podążał w kierunku północnym. Wyglądało na to, że są już w nim wszyscy poza McLaughlinem. Joyce też zdążył już wsiąść do któregoś z pojazdów. McLaughlin podbiegł do hummera. W samochodzie nie było już miejsca dla kolejnego pasażera.

– Wskakuj na maskę! – krzyknął jeden z mężczyzn w środku.

McLaughlin już podniósł jedną nogę, kiedy nagle uświadomił sobie, że to nie byłby dobry pomysł. Pojazdy przyciągały kule. Byłby na samochodzie niczym tarcza na ulicach, na których rozpętało się już piekło. Już samo przebywanie tu było niebezpieczne, nie mówiąc o usadowieniu się na hummerze, niczym podany na tacy kąsek. Okrążył samochód i otworzył drzwi z drugiej strony. Kazał posunąć się szeregowemu Tory'emu Carlsonowi, po czym wgramolił się na siedzenie przy włazie i wystawił M16 przez tylne okno z prawej strony[97].

Około stu metrów dalej konwój napotkał uszczuplony, nękany ostrzałem oddział sierżanta Eversmanna. Po upadku Blackburna grupa desantowa została osaczona przez nieprzyjaciela. Rangersi z Chalk Four widzieli kraksę Super Six One. Eversmann, jeśli wspiął się wystarczająco wysoko, widział rozbity helikopter po stronie wschodniej, w jednej z odchodzących od skrzyżowania uliczek. Kapitan Steele nakazał sierżantowi przez radio, by jego grupa udała się na pieszo na miejsce katastrofy.

– Zrozumiałem – odpowiedział Eversmann, w duchu myśląc: „Tak, jasne". Istniała niewielka szansa na to, że uda im się gdziekolwiek przedostać. W oddali, przy wraku, widział żołnierzy w kamizelkach kuloodpornych i hełmach, miał więc świadomość, że część Amerykanów jest już na miejscu. Poinstruował

pozostałych, aby nie strzelali w tamtym kierunku. W tej chwili tylko czterech czy pięciu żołnierzy z jego grupy było zdolnych do walki.

Konwój pojawił się jakby w odpowiedzi na modlitwę, jaką sierżant odmawiał jeszcze podczas startu. Przy wieżyczce hummera, w którym jechał McKnight, Eversmann zobaczył sierżanta Mike'a Pringle'a, który strzelał z M2, a głowę trzymał tak nisko, że można było powiedzieć, że spogląda spod karabinu, a nie zza niego. Mimo powagi sytuacji na twarzy Eversmanna pojawił się uśmiech.

– Sierżancie, wskakuj! – krzyknął McKnight. – Jedziemy na miejsce katastrofy.

– Kapitan Steele kazał nam iść pieszo. To tam w dole – wskazał Eversmann.

– Wiem – odparł Mc Knight. – Wskakuj. Jedziemy tam[98].

Schilling zapewnił osłonę ogniową, podczas gdy sierżant wraz z pozostałymi przecięli drogę i wskoczyli do przepełnionych pojazdów. Najpierw załadowali rannych, dosłownie kładąc ich na głowach kolegów, a następnie sami wcisnęli się do środka. Eversmann został sam na ulicy. McKnight kazał mu się pospieszyć. Sierżant liczył jeszcze w pamięci żołnierzy ze swojej grupy. Gdzieś zapodziali się McLaughlin, Joyce oraz sanitariusze, których wysłał z Blackburnem, jednak nie było ich tu na skrzyżowaniu ani dalej na ulicy. Kolumna ruszyła. Nie pozostało mu nic innego, jak wskoczyć do ostatniego pojazdu. Leżał teraz na czyjejś głowie, twarzą do góry, i patrzył w niebo oraz celujących w nich Somalijczyków. Stanowił idealny cel, zwłaszcza że nie mógł odpowiedzieć ogniem. „Mogę zarobić kulkę i nawet nie jestem w stanie w żaden sposób temu zapobiec". Choć czuł się bezsilny, cieszył się, że dołączył do większej grupy, a przede wszystkim z opuszczenia tamtego skrzyżowania. Skoro byli razem i zmierzali przed siebie, oznaczało to, że zbliża się koniec akcji. Jeszcze kilka przecznic i dotrą na miejsce katastrofy. Wówczas znajdzie sobie bezpieczniejsze miejsce w samochodzie.

Kiedy Eversmann ładował ludzi, Schilling zaczął zbierać wciąż leżące na środku drogi liny desantowe. Wcześniej ćwiczono ich, aby nie zostawiali na miejscu akcji grubych na około siedem centymetrów lin desantowych służących do opuszczania się metodą fast-rope, gdyż armia nie miała ich za wiele. Dlatego Schilling chwycił jedną z lin, nie zważając na latające wokół kule. Lina była ciężka, więc spocony i wybrudzony Schilling poprosił Johna Gaya, członka oddziału SEAL, by pomógł mu z drugą. Gay, który cały czas odpowiadał z ukrycia ogniem na strzały, tylko spojrzał na niego zaskoczeniem i wrzasnął:

– Pieprzyć cholerne liny!

Schilling właśnie zdał sobie sprawę, że ryzykował życie dla kawałka nylonowego plecionego sznura. Wrócił do samochodu, zastanawiając się, co mu odbiło. Kiedy konwój ruszył ponownie, ostrzał się nasilił. Pociski odbijały się z brzękiem od opancerzonych pojazdów, nad którymi co kilka minut pojawiała się łukowata smuga dymu pozostawiona przez przelatujący granat przeciwpancerny. Schilling zwrócił uwagę na osła przywiązanego do drzewa oliwnego. Zwierzę stało nieruchomo, nie zważając na wojenną zawieruchę.

Widział osła już wcześniej, kiedy tylko się tu pojawili. Wtedy pomyślał, że zwierzę w końcu zostanie zranione. Odjeżdżając, spojrzał na nie jeszcze raz. Osioł nadal był cały i stał w miejscu niewzruszony.[99]

Nikt poza ludźmi z pierwszego samochodu nie znał celu podróży. Wielu żołnierzy nie wiedziało o tym, że zestrzelono śmigłowiec. Należał do nich Eric Spalding. Siedział na miejscu pasażera w szoferce drugiej ciężarówki, w której przewożono więźniów. Kiedy konwój ruszył, pomyślał, że już po wszystkim. Misja skończyła się. Są w drodze do domu. Za kierownicą siedział specjalista John Maddox. Przednia szyba była podniesiona tak, aby Schilling mógł strzelać w kierunku jazdy.

Wysunął M16 przez okno ciężarówki. Choć był wyszkolonym snajperem, na ulicy znajdowało się teraz za dużo strzelających w jego kierunku ludzi, by miał czas dokładnie wycelować do każdego z nich. Dzisiaj w Mogadiszu świętowano dzień „zabij Amerykanina". Wydawało się, że każdy mężczyzna, każda kobieta, a nawet dzieci, chcą ich unicestwić. Somalijczycy strzelali z ulicy, okien i dachów. Spaldingowi skończyły się naboje, więc wymieniając magazynek karabinu jedną ręką, drugą chwycił pistolet M9. Marzył, by w końcu się stąd wynieść. Kiedy kolumna skręciła w prawo, zaniepokoił się. „Skoro misja już zakończona, dlaczego nie wracamy do bazy?". Nie było czasu, by kogokolwiek o to zapytać.

Minęli dwie przecznice, jadąc w kierunku wschodnim, a następnie znów skręcili w prawo. Stracili z oczu żołnierzy, którzy biegli na miejsce wypadku. Konwój jechał teraz na północ, zbliżając się do National Street – utwardzonej drogi, którą tu przyjechali. Znajdowali się w okolicy położonej bezpośrednio za domem, w którym aresztowano dziś członków Habr Gidr. A przynajmniej tak wydawało się Spaldingowi. Wiele ulic w Mogadiszu wyglądało tak samo – nierówne, poprzecinane gruntowymi uliczkami pomarańczowe drogi z głębokimi koleinami, na których leżały niebezpieczne dla kierowców sterty gruzu. Okalały je niechlujnie otynkowane, kamienne mury i niskie drzewa oliwne. Dla konwoju najniebezpieczniejsze były skrzyżowania. Za każdym razem, gdy ciężarówka zbliżała się do przecznicy, Spalding kładł się nisko, przyciskając bok do nagrzanego samochodu, i strzelał nieprzerwanie przez cały czas przejazdu przez skrzyżowanie. Słyszeli tylko dźwięk karabinów maszynowych i hałas pocisków odbijających się od boków i dachu ciężarówki.

Nagle przy oknie kierowcy pojawiła się kobieta w rozwianej fioletowej sukni. Maddox, który trzymał pistolet oparty o lewe ramię, strzelał do wszystkiego, co się rusza.

– Nie strzelaj! – krzyknął Spalding. – Ona trzyma dziecko!

Kobieta gwałtownie odwróciła się. Jedną ręką trzymając niemowlę, drugą wymierzyła w ich kierunku z pistoletu. Spalding natychmiast wystrzelił. Zanim upadła, w jej stronę poleciały jeszcze cztery kule. Miał nadzieję, że nie trafił niemowlęcia. Nie mógł tego sprawdzić, bo ciężarówka cały czas była w ruchu. Obawiał się jednak, że musiał je trafić. Kobieta trzymała dziecko przed sobą. „Dlaczego matka robi takie rzeczy z dzieckiem na ręku?". Spalding nie mógł się z tym pogodzić. Być może chciała uciec, po drodze wpadła na ciężarówkę i pod wpływem paniki podniosła broń.

Nie było czasu, aby się teraz nad tym zastanawiać[100].

15

Kiedy granat uderzył w śmigłowiec Mike'a Duranta, Mike Goffena, pilot innego black hawka, leciał za nim. Super Six Four stracił fragment wirnika ogonowego. Goffena widział, jak z helikoptera wypływa paliwo, tworząc w powietrzu delikatną mgiełkę. Mechanizm jednak najwyraźniej pozostał sprawny, silniki działały.

– „Six Four, wszystko w porządku?" – zapytał Goffena.

Black hawk jest ciężki. Śmigłowiec Duranta ważył w tej chwili około siedmiu ton, a wirnik ogonowy znajdował się daleko od fotela pilota. Kiedy padło pytanie, Durant nie wiedział, co się stało. Goffena wyjaśnił mu, informując też o uszkodzeniach ogona przez granat przeciwpancerny.

– Zrozumiałem – usłyszał w odpowiedzi opanowany głos Duranta.

Z początku wydawało się, że maszyna jest sprawna. Szybko sprawdził instrumenty w kokpicie – wszystkie odczyty były prawidłowe. Siedzący z tyłu mechanicy Cleveland i Field też byli cali. Po chwili zaskoczenia Durant poczuł ulgę. Wszystko było w porządku. Goffena powiedział mu, że stracił całe paliwo i część skrzyni biegów z części ogonowej. Na szczęście black hawk był solidny, a zaprojektowano go tak, żeby w razie potrzeby mógł przez jakiś czas lecieć bez paliwa, nie zmieniając kursu. Dowodzący z powietrza Matthews także widział, co się stało. Polecił Durantowi, aby wrócił na ziemię. Pilot opuścił elipsę, po której krążył, i skierował się prosto do oddalonej 4 minuty lotu na południowy zachód bazy. Już ją widział w oddali, na wybrzeżu. Zauważył też, że mniej więcej w połowie drogi znajduje się zielona, otwarta przestrzeń, na której mógłby w razie potrzeby wylądować. Śmigłowiec jednak był sprawny.

Goffena leciał za Durantem niecałe 2 kilometry. Kiedy nabrał pewności, że Super Six Four doleci do bazy, zaczął zawracać w stronę miasta. Zaledwie rozpoczął ten manewr, od helikoptera Duranta oderwał się wirnik ogonowy, a także skrzynia biegów oraz mniej więcej metrowej długości statecznik pionowy, który rozpadł się w powietrzu.

Durant i drugi pilot, Ray Frank, poczuli wibracje kadłuba i usłyszeli narastające, agonalne wycie pozbawionej oleju skrzyni biegów, po którym rozległ się huk rozpadających się części. Po tym, jak od maszyny odpadła połowa ogona, środek ciężkości nagle przesunął się do przodu. Helikopter zaczął obracać się wokół własnej osi. Durant i Frank, którzy latali już od dziesięciu lat, zareagowali instynktownie. Aby kadłub zaczął obracać się w lewo, wystarczyło lekko przycisnąć lewy pedał. Nagle Durant zdał sobie sprawę, że jego lewy pedał jest już wciśnięty do końca, a mimo to helikopter obraca się szybko w prawo – skoro stracili wirnik ogonowy, nie można było w ten sposób zatrzymać ruchu obrotowego. Durant nie przypuszczał, że mogą obracać się tak szybko. Przed oczami przemykały mu niewyraźne plamy. Błękitne niebo i brązowa ziemia widoczne w przedniej szybie zlewały się w jeden obraz.

Durant starał się wyrównać lot, razem z drugim pilotem przełączali przyrządy pilotażowe. Dźwignie wyłączające zasilanie silników znajdowały się na suficie kokpitu. Frank, z trudem przeciwstawiając się potężnej sile odśrodkowej, uniósł ramiona i przyciągnął jedną z dźwigni do końca, a drugą do połowy. W ten sposób wyłączył jeden silnik. Durant krzyczał teraz przez radio:

– „Spadamy! Spadamy! Raaaaaaay!".

Nagle spadający ruchem spiralnym helikopter zwolnił i tuż przed zderzeniem z ziemią jego nos podniósł się do góry. Czy to na skutek działań Duranta i Franka, czy też dzięki jakiemuś aerodynamicznemu zjawisku, śmigłowiec wyrównał lot. Ponieważ obroty stały się o połowę wolniejsze, a maszyna ustawiła się w miarę prosto, black hawk zdołał wylądować. Choć było to trudne awaryjne lądowanie, maszyna osiadła płasko.

To było bardzo ważne, gdyż dawało ludziom w środku szanse na przeżycie[101].

16

Yousuf Dahir Mo'alim stał blisko człowieka, który wypalił z granatnika. Mo'alim ulokował się za drzewem w uliczce, która przebiegała za hotelem Bar Bakin – białym, kamiennym budynkiem położonym nieco na południe od hotelu Olympic. Schował się za drzewem, które miało osłonić go przed przelatującym w górze śmigłowcem. W tym samym czasie jeden z jego ludzi z dwudziestoszścioosobowego oddziału milicji, który niedawno wybiegł z pobliskiego osiedla Hawlawadigli, przyklęknął na jedno kolano pośrodku ulicy i skierował w górę rosyjską broń przeciwczołgową. Granatnik wyposażono w metalową tuleję, zespawaną z tyłu pod takim kątem, aby siła odrzutu nie zraniła strzelca.

– Jak nie trafisz, ja strzelam po tobie! – krzyknął Mo'alim.

Obaj byli doświadczeni w walce. Pracowali jako najemnicy, jednak dziś strzelali do Amerykanów bez wynagrodzenia. Ojciec Mo'alima zginął w 1984 roku podczas wojny między Somalią a Etiopią. Piętnastoletni wówczas Mo'alim musiał go zastąpić. Wyrósł na chudego jak szkielet młodego mężczyznę o zapadniętych policzkach i wąskiej brodzie, na której rosła rzadka kozia bródka. Miał dziś na sobie za dużą koszulę i workowate spodnie. W przeszłości przez dwa lata walczył w szeregach armii Siada Barre'a, kiedy jednak zmieniły się idee zapoczątkowanej przez dyktatora rewolucji, opuścił siły rządzącego i dołączył do bojówek Aidida. Dotychczas brał udział w wielu rozruchach ulicznych, ale żaden nie był tak poważny jak dzisiejszy.

Mo'alim jakiś czas temu utworzył nieregularny oddział najemnej milicji w wiosce położonej nieopodal targowiska w dzielnicy Bakara. Zamieszkiwana przez nich okolica była labiryntem krętych uliczek gruntowych, na których rosły kaktusy, a ludzie znaleźli schronienie w byle jakich szałasach i krytych blachą budach. Jako członkowie klanu Habr Gidr przede wszystkim działali na rzecz Aidida. Bronili wioski przed bandami grasujących w okolicy młodych zbirów. Zapewniali ochronę każdemu, kto im zapłacił, włączając w to także ONZ i inne organizacje międzynarodowe. Czasem sami rabowali domy lub dostarczaną żywność. Ludzi

takich jak Mo'alim i jego oddział nazywano mooryan lub po prostu bandytami. Żyli zgodnie z prawem silniejszego, rzadko rozstając się z bronią. Posługiwali się głównie karabinami M16 oraz rosyjskimi karabinkami AK-47, które można było kupić na targowisku za milion somalijskich szylingów, czyli około dwustu dolarów. Dysponowali też różnego rodzaju bronią przeciwpancerną: od ręcznego granatnika z II wojny światowej do celnych granatników przeciwpancernych rosyjskiej produkcji. Za swoje usługi otrzymywali ryż lub khat – dość niebezpieczny narkotyk. Mooryan nazywano też dai-dai lub quick-quick ze względu na ich skoczny krok i nerwowe tiki. Nieustraszeni podczas walki, zazwyczaj umierali młodo. Od pewnego czasu wszyscy najemnicy mieli wspólnego wroga. Wykorzystując podobieństwo słów „rangers" i „revengers"[102], nazywali siebie mścicielami.

Zdawali sobie sprawę, że najlepszym sposobem na uzyskanie przewagi nad Amerykanami jest zestrzelenie śmigłowca. Helikoptery były symbolem potęgi ONZ i bezsilności Somalijczyków. Kiedy rangersi przybyli do Mog, wydawali się niezwyciężeni. Śmigłowców black hawk i Little Bird nie można było zestrzelić przy użyciu broni krótkiej, a właśnie taką przede wszystkim dysponowali Somalijczycy. Maszyny rangersów mogły ich bezkarnie razić, strzelając z odległości. Rangersi pojawiali się znienacka, opuszczali się z helikopterów na ziemię, brali zakładników i znikali, zanim ktokolwiek zdążył zebrać potrzebne posiłki. Jeśli przybywali drogą lądową, mieli do dyspozycji szybkie pojazdy opancerzone. Niemniej sposób, w jaki walczy wróg, zawsze ujawnia jego słabości. Ludzie Aidida od razu poznali słaby punkt rangersów – nie chcieli umierać.

Somalijczycy słynęli z brawurowych, niemal samobójczych ataków. Nie przerażały ich strzały. Ci wychowani w klanach ludzie, którzy nosili imiona ojców i dziadów, odważnie stawali do walki. Cechowały ich spryt i zaciekłość. Wycofanie się, nawet w obliczu przeważających sił wroga, było objawem tchórzostwa. Prawdziwy mężczyzna nigdy nie zawaha się zginąć za klan.

Aby pokonać rangersów, należało zmusić ich do bezpośredniej walki, co mogło być możliwe dzięki zestrzeleniu helikoptera. Z powodu fałszywego poczucia przewagi oraz ze względu na strach przed śmiercią Amerykanie byli gotowi zrobić wszystko, by chronić swoich kolegów. Świadczyło to o odwadze, ale jednocześnie o lekkomyślności. Aidid i jego doradcy wiedzieli, że jeśli zestrzelą helikopter, reszta rangersów pospieszy załodze z pomocą. Utworzą kordon wokół miejsca katastrofy i będą czekali na posiłki. Prawdopodobnie nie uda się ich pokonać, ale możliwe będzie znaczące osłabienie amerykańskich sił; ranienie lub zabicie części rangersów.

Milicja Aidida otrzymała fachowe rady dotyczące możliwości zestrzelenia helikoptera od przybyłych nielegalnie z Sudanu oddziałów islamskich fundamentalistów. Mieli doświadczenie zdobyte podczas walki z rosyjskimi helikopterami w Afganistanie. Postanowili wykorzystać wszystkie posiadane granatniki przeciwpancerne, które stanowiły ich najsilniejszą broń po tym, jak latem czołgi i broń ciężka Aidida zostały ostrzelane z powietrza. Korzystanie z granatów przeciwpancernych nie było proste. Trafienie ruchomego obiektu stanowiło dużą trudność, natomiast granat mógł eksplodować tylko po uderzeniu w cel. Z tego powodu detonatory zastąpiono zapalnikami czasowymi, dzięki czemu pocisk wybuchał sam w powietrzu i mógł

uszkodzić helikopter, nawet jeśli nie doszło do bezpośredniego kontaktu. Fundamentaliści powiedzieli im też, że najsłabszym elementem śmigłowca jest wirnik ogonowy. Nauczyli ich, że należy poczekać, aż maszyna minie strzelca, a następnie wycelować do niej z tyłu. Kierowanie granatnika w górę było niebezpieczne i niewygodne, a dla osób strzelających z dachu mogło oznaczać pewną śmierć. Piloci od razu widzieli uzbrojonych mężczyzn na dachach i z reguły nie dawali im nawet szansy na podniesienie broni. Bojówkarze Aidida opracowali sposoby bezpiecznego strzelania z ziemi. Wykopali głębokie dziury w gruntowych drogach. Leżący na wznak strzelec umieszczał koniec granatnika w dziurze. Czasami operatorzy granatników ścinali małe drzewa, które również umieszczali we wgłębieniu, a następnie przykrywali się zieloną szmatą i schowani pod materiałem oraz drzewem czekali, aż nadleci śmigłowiec.

Pierwszy black hawk, którego udało im się trafić, rozbił się wczesnym rankiem dwudziestego piątego września, kiedy było jeszcze ciemno. Choć śmigłowiec nie brał udziału w operacji rangersów, sukces dodał im otuchy. Gdy rangersi zaatakują po raz kolejny, ludzie Aidida będą gotowi. Wystarczy, że trafią jeden śmigłowiec.

Kiedy trzeciego października Mo'alim usłyszał nadlatujące nisko helikoptery, chwycił M16 i zebrał swoich ludzi. Udali się na północ; podzieleni na mniejsze, siedmio- i ośmioosobowe grupki pobiegli przez National Street, a następnie drogami za hotelem Olympic, wybierając te okolice, które znali najlepiej. Na niebie roiło się od helikopterów. Małe grupy Mo'alima starały się trzymać razem, przedzierając się przez tłum ludzi także podążających w tamtym kierunku. Wiedzieli, że jeśli będą otoczeni nieuzbrojonymi cywilami, Amerykanie prawdopodobnie nie strzelą, nawet jeśli ich zauważą. Na ramionach przewiesili ręczniki i prześcieradła, które miały zasłonić karabiny maszynowe trzymane sztywno przy boku. Poza nimi na miejsce toczącej się walki zmierzało pospiesznie wiele innych band milicji.

Grupa Mo'alima spotkała pierwszych rangersów na skrzyżowaniu na południe od hotelu. Kiedy podkradli się, aby strzelić do siedzących w hummerze Amerykanów, pojawił się helikopter, który otworzył ogień i zabił najstarszego członka grupy Mo'alima, korpulentnego człowieka w średnim wieku, któremu nadano przydomek „Alkohol". Mo'alim ściągnął jego bezwładne ciało z ulicy. Oddział przegrupował się przecznicę dalej, za hotelem Bar Bakin.

Tam właśnie zobaczyli, że spada pierwszy śmigłowiec. Nie posiadali się z radości. Dalej brnęli przed siebie, strzelając – tylko dwie przecznice dzieliły ich od rangersów. Znajdowali się nieco na południe od atakowanego dziś przez Amerykanów budynku, kiedy członek grupy Mo'alima przyklęknął na ulicy, wycelował w następny przelatujący helikopter i wypalił. Granat uderzył w wirnik ogonowy. W wyniku eksplozji odpadło kilka kawałków metalu. Przez następnych kilka minut nic się nie wydarzyło.

Mo'alimowi wydawało się, że śmigłowiec spada wyjątkowo powoli. Przez moment leciał tak, jakby w ogóle nie został uszkodzony, a następnie gwałtownie odwrócił się przodem do dołu i zaczął się kręcić wokół własnej osi. Spadł w okolicy Wadigley, gęsto zamieszkanej dzielnicy na południe od Bakary. Widząc upadek helikoptera, tłum wydał z siebie okrzyk radości. Ludzie wokół Mo'alima nagle zmienili kierunek. Przed chwilą

wszyscy biegli w kierunku północnym, w miejsce katastrofy pierwszego śmigłowca. Teraz tłum ruszył na południe. Pobiegł razem z nimi, mijając po drodze swoją dzielnicę Hawlwadigli. Jako doświadczony żołnierz pomachał w górze bronią i krzyknął:

– Odsuńcie się! Stać! W środku nadal są żołnierze, którzy mogą strzelać!

Niektórzy go posłuchali, zatrzymując się za Mo'alimem i jego ludźmi. Inni pobiegli przed siebie.[103] Ali Husajn, do którego należała apteka położona w pobliżu miejsca katastrofy, zobaczył wielu sąsiadów z bronią w dłoniach biegnących w kierunku rozbitej maszyny. Złapał za ramię przyjaciela Alego Mohameda Cawalego, właściciela pobliskiej restauracji. Cawale trzymał karabin. Husajn chwycił go za oba ramiona.

– Nie idź tam, to niebezpieczne! – krzyknął.

Jednak zapach krwi już wisiał w powietrzu. Cawale uwolnił się z uścisku Husajna i dołączył do biegnącego tłumu[104].

17

W normalnych okolicznościach konwój znajdujący się tak blisko miejsca katastrofy ruszyłby co prędzej w tę stronę, rozjeżdżając i zabijając wszystkich na drodze. Dziś jednak, mimo tak dużego wsparcia z powietrza, grupa zadaniowa rangersów miała przekonać się, że czasem zbyt duża ilość informacji może okazać się zgubna dla żołnierzy na polu walki.

Harrell i Matthews z krążącego wysoko śmigłowca dowodzenia i nadzoru widzieli uzbrojoną grupę piętnastu osób biegnących szybko ulicą równoległą do tej, którą podążał konwój. Biegnący Somalijczycy utrzymywali to samo tempo co samochody, które musiały zwolnić na każdym skrzyżowaniu. Kierowcy czekali, aż pojazdy z przodu miną bezpiecznie przecznicę, z której leciał w jego kierunku grad kul, a następnie dodawali gazu i pędem jechali na drugą stronę. Gdyby cała kolumna utknęła pośrodku skrzyżowania, byłoby to niebezpieczne. Za każdym razem, gdy konwój stawał w miejscu, uzbrojone bandy miały czas na to, by podbiec do następnej ulicy i przygotować się do zmasowanego ostrzału każdego przejeżdżającego pojazdu. Pomiędzy samochodami robiły się coraz większe przerwy. Harrell i Matthews, którzy obserwowali wszystko z góry, widzieli blokady drogowe oraz miejsca, gdzie gromady Somalijczyków czekały, by z zaskoczenia zaatakować zbliżające się pojazdy. Dlatego starali się pokierować konwój trasą, na której można było ominąć wszystkie zasadzki[105].

Pojawił się jeszcze jeden problem. Mniej więcej trzysta metrów nad helikopterem dowodzenia i nadzoru krążył orion, samolot szpiegowski marynarki. Umieszczone na nim kamery kontrolowały okolicę, przesyłając wyraźny obraz przedstawiający kłopotliwe położenie konwoju. Piloci oriona byli jednak ograniczeni, gdyż nie mieli możliwości bezpośredniego kontaktu z konwojem. Ich wskazówki odbierał dowódca w centrum operacyjnym, który następnie łączył się przez radio z Harrellem, a ten przekazywał sugestie pilotów samolotu

żołnierzom z konwoju. W ten sposób wiadomości docierały z irytującym opóźnieniem. Piloci oriona widzieli prostą drogę do miejsca wypadku, więc mogliby po prostu powiedzieć: „Skręcajcie w lewo". Zanim jednak dane polecenie dotarło do McKnighta w pierwszym hummerze, było już za późno. Postępując zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, konwój skręcał w nieprawidłową ulicę. Dowódcy znajdujący się albo w śmigłowcach krążących wysoko nad miastem, albo przed ekranami w centrum operacyjnym, nie słyszeli krzyków rannych ludzi ani wystrzałów czy eksplozji. Z góry wydawało się, że konwój jedzie spokojnie. Sam obraz walki nie oddawał całej grozy sytuacji[106].

Bezbronny Eversmann, który wciąż leżał na wznak, poczuł, że pojazd skręca w prawo i oddala się od pozycji blokującej. Tego się właśnie spodziewał. Miejsce katastrofy było oddalone zaledwie o kilka przecznic. Kiedy jednak hummer po raz drugi skręcił w prawo, sierżant się zaniepokoił. Dlaczego jechali na południe? W Mogadiszu łatwo można było stracić orientację. Ulice nie zostały wyrysowane na schludnym szkicu urbanisty. Drogi pozornie prowadzące w dane miejsce były tak zakrzywione, że dochodziło się nimi do innego punktu. Konwój skręcił jeszcze kilkakrotnie. Wkrótce miejsce katastrofy, które Eversmann widział wcześniej ze swojego skrzyżowania na Hawlwadig Road, pozostało gdzieś w tyle, w środku plątaniny ulic[107].

Kiedy konwój jechał na południe, rozbił się helikopter Duranta. McKnight siedzący w pierwszym hummerze usłyszał przez radio podpułkownika Harrella.

– „Danny, następny black hawk spadł na południe od hotelu Olympic. Trafili go granatnikiem przeciwpancernym. Musisz zabrać wszystkich na miejsce katastrofy. Potrzebujemy też pomocy oddziału szybkiego reagowania, odbiór".

– „Tu Uniform. Zrozumiałem. Rozbity śmigłowiec na południe od hotelu Olympic. Zrobię rozpoznanie i zobaczę, co możemy zrobić".

– „Spróbujemy ściągnąć oddział szybkiego reagowania, który wam pomoże. Spróbuj zabrać wszystkich z rozbitego helikoptera [Super Six One], a potem pojedźcie zabezpieczyć drugiego black hawka, odbiór".

To nie było łatwe zadanie. McKnight miał zabrać konwój, w którym jechali także więźniowie i ranni żołnierze, na miejsce katastrofy. Tam mieli przegrupować się. Już teraz w przepełnionych hummerach i ciężarówkach brakowało miejsca. Tymczasem według najnowszego planu konwój powinien zabrać każdego po drodze i jechać na południe, na miejsce, gdzie spadł drugi śmigłowiec, przy czym droga wcale nie miała być mniej niebezpieczna niż dotychczas. Chcąc nie chcąc, jechali dalej[108].

Silny ostrzał i rosnąca liczba rannych obniżyły morale żołnierzy w konwoju. Niektórzy mężczyźni z samochodu, którym jechał Eversmann, choć tylko lekko ranni, poczuli się tak, jakby po odniesieniu ran ich rola się skończyła. Inni jęczeli lub krzyczeli z bólu. Tymczasem droga do bazy miała być długa.

Sytuacja ta rozwścieczyła sierżanta Matta Riersona, dowódcę oddziału Delty, który kierował dziś akcją aresztowania więźniów. Grupa Riersona wraz ze schwytanymi Somalijczykami jechała w drugiej ciężarówce. Sierżant nie miał pojęcia, dokąd zmierza konwój. Według standardowej procedury operacyjnej każdy pojazd w

konwoju powinien znać cel. Dzięki temu, gdyby pierwszy samochód w kolumnie został trafiony lub gdyby skręcił w złą ulicę, pozostali wiedzieliby, co mają robić. Jednak McKnight, podpułkownik przyzwyczajony bardziej do dowodzenia batalionem niż grupą pojazdów, nikogo nie poinformował dokąd jadą! Rierson widział, jak niedoświadczeni rangersi za kierownicą hummerów zatrzymują się za skrzyżowaniem, blokując drogę samochodom z tyłu i narażając je na przebywanie w krzyżowym ogniu. Za każdym razem, gdy pojazdy stawały, Rierson przebiegał do następnego pojazdu z przodu. Miał zamiar dotrzeć do dowódcy, by dowiedzieć się, co się dzieje[109].

Kiedy mijali tył domu, w którym aresztowano dziś więźniów, jeden z granatów przeciwpancernych uderzył trzeciego hummera w kolumnie, do którego wcisnął się McLaughlin. Szeregowy Carlson usłyszał dźwięk wystrzału z granatnika, po którym nastąpił oślepiający błysk i ogłuszający hałas! Wnętrze samochodu wypełniło się dymem. Gogle, które Carlson zaczepił wcześniej na czubku hełmu, zerwał podmuch eksplozji.

Granat rozerwał stalową karoserię pojazdu przy korku wlewu paliwa i wybuchł wewnątrz, zdmuchując trzech mężczyzn siedzących z tyłu samochodu na ulicę. Siła eksplozji oderwała rączki od karabinu McLaughlina i pokaleczyła odłamkami pocisku jego lewe przedramię. Nie czuł bólu, lecz pewne odrętwienie. Zaczekał, aż dym nieco opadnie, i obejrzał rękę. Miał pękniętą kość przedramienia, uszkodzone ścięgna i złamaną jedną z kości śródręcza, ale nie krwawił zbyt mocno i wciąż mógł strzelać.

Carslon wstrzymał oddech, czekając, aż opadnie czarna chmura dymu, a dzwonienie w uszach nieco osłabnie. Równocześnie starał się wymacać dłońmi mokre plamy na ubraniu. Lewa ręka krwawiła. Odłamki przebiły ją w kilku miejscach. Paliły mu się buty. Skrzynka z amunicją do M2 zajęła się ogniem. Usłyszał, że inni każą mu ją wykopać. Zrobił to, a następnie pochylił się i uderzeniami dłoni zgasił płomienie na nogach.

Dwóch z trzech mężczyzn wyrzuconych z tylnego siedzenia przez siłę wybuchu było ciężko rannych. Jednym z nich był starszy sierżant sztabowy Tim „Griz" Martin, który przyjął na siebie główną siłę eksplozji. Granat przebił dziurę wielkości piłki nożnej w karoserii hummera, przeleciał przez worki z piaskiem, Martina, a na koniec przebił skrzynkę z amunicją. Eksplozja oderwała dolną część ciała Martina i kawałek uda szeregowca Adalberta Rodrigueza, który wskutek wybuchu znalazł się dziesięć metrów od samochodu. Jego nogi zmieniły się w krwawą masę. Starał się podnieść, kiedy zobaczył, że w jego kierunku jedzie pięciotonowa ciężarówka. Jej kierowca, chwilowo oślepiony przez wybuch kolejnego granatu szeregowy Maddox, nie zauważył leżącego na drodze żołnierza i przejechał po nim[110].

Konwój zatrzymał się, aby ci, którzy ocaleli, mogli zebrać rannych. Sanitariusze starali się pomóc Rodriguezowi i Martinowi, ale obaj wyglądali na umierających. Poszkodowanych załadowano do samochodów, a pozostali rangersi wybiegli na ulicę, by osłaniać konwój podczas przejazdu. W jednej z uliczek specjalista Aaron Hand oraz sierżant Casey Joyce wzięli udział w zaciekłej strzelaninie. Każdy z nich zajmował pozycję po przeciwnej stronie drogi. Spalding, który siedział w ciężarówce, zobaczył, jak pociski dziurawią ścianę nad głową Handa.

Hand strzelał w dół ulicy i był zbyt zajęty, by zauważyć, że ktoś celuje do niego z innego miejsca. Spalding krzyknął, aby wrócił do pojazdu, ale w hałasie nic nie było słychać. Z miejsca, gdzie stał Spalding, wyglądało na to, że Hand na pewno zostanie postrzelony. Popełniał błędy. Walczył z zapałem, ale nie znalazł sobie żadnej osłony, a kiedy zmieniał magazynki, jego plecy pozostawały nieosłonięte. Spalding wiedział, że powinien mu pomóc, ale, aby zabrać go z ulicy i wciągnąć do samochodu, musiałby przebiec na drugą stronę, a w powietrzu latały kule. Zawahał się. „Do cholery, nie uda mi się do niego dotrzeć". Kiedy zmagał się z myślami, przybiegł John Gay z oddziału SEAL, który nadal kulał po tym, jak fragmenty roztrzaskanego przez pocisk z AK-47 noża skaleczyły mu biodro. Wystrzelił kilkakrotnie w stronę nieprzyjaciół i pomógł Handowi wrócić do konwoju.

Po przeciwnej stronie drogi Joyce, który przykląkł na jednym kolanie z twarzą zwróconą w kierunku północnym, radził sobie trochę lepiej. Znalazł osłonę i odpowiadał na ogień metodycznie, tak jak go uczono. Nagle w oknie za nim, powyżej, pojawiła się lufa, z której oddano szybki strzał. Carlson to widział, lecz nie miał ani chwili, by ostrzec Joyce'a, poza tym ten i tak by go nie usłyszał. Nastąpił huk, z lufy wydobył się strumień ognia, a sierżant upadł twarzą w piach.

W odpowiedzi natychmiast rozległy się strzały z karabinu maszynowego M2. Pociski podziurawiły ścianę wokół okna, z którego jeszcze przed chwilą wystawała lufa, a sierżant Jim Telscher, ignorując kule, podbiegł do Joyce'a, chwycił go za koszulę i kamizelkę, po czym, nie zwalniając kroku, zaciągnął go do pojazdu.

Skóra Joyce'a poszarzała, a szeroko otwarte oczy były wywrócone białkami na wierzch. Dostał w górną część pleców. W tym miejscu nowe kamizelki kewlarowe nie miały zabezpieczającej płyty. Kula przebiła mu serce, przeszła przez tułów i zatrzymała się na przedniej części kamizelki. Umieścili rannego w tylnej części hummera, w którym jechał Gay. Natychmiast zaczął go opatrywać sanitariusz Delty. Trzymając worek z kroplówką w jednej dłoni, krzyczał histerycznie:

– Musimy zawieźć go do bazy! Jeśli się nie pospieszymy, wkrótce umrze![111]

Konwój znów ruszył naprzód, skręcając dwukrotnie w lewo, najpierw na wschód, a potem na północ. Jechali w górę ulicy oddaleni tylko o jedną przecznicę na zachód od miejsca katastrofy. Aby się tam dostać, musieli minąć dwie przecznice, jadąc w kierunku północnym, a potem skręcić w prawo. Jednak strzały nie słabły. Podpułkownika McKnighta z pierwszego hummera pociski trafiły w prawe ramię i w szyję.

Na tyłach konwoju jechał sierżant Lorenzo Ruiz, niski bokser z El Paso, prawdziwy twardziel, który przejął po szeregowym Clayu Othicu miejsce przy karabinie M2 po tym, jak ten został ranny w ramię. Nagle osunął się bezwładnie na kolana siedzących w hummerze mężczyzn.

– Dostał! Dostał! – krzyczał kierowca, który pędził gorączkowo za kolumną samochodów. Pozbawiony strzelca karabin kręcił się dookoła w pustej wieżyczce.

– Łapcie pięćdziesiątkę! – wrzasnął jeden z sierżantów. – Szybko łapcie pięćdziesiątkę!

Ściśnięci w samochodzie i dodatkowo przygnieceni przez Ruiza żołnierze nie mieli jak przedostać się do wieżyczki, więc specjalista Dave Ritchie wysiadł i wszedł na nią od wewnątrz. Nie mógł opuścić się niżej, ponieważ otwór blokował bezwładny Ruiz. Dlatego pochylił się do przodu, a kiedy ruszyli, zaczął strzelać, równocześnie obracając wielki karabin to w lewo, to w prawo. Trzymał się go kurczowo, aby siła odrzutu nie wyrzuciła go na ulicę.

Żołnierze w środku odsunęli Ruiza, aby Ritchie mógł zmieścić się w wieżyczce. Sierżant sztabowy John Burns ściągnął z rannego kamizelkę i koszulę.

– Trafili mnie! Trafili! – wysapał Ruiz i natychmiast zakrztusił się krwią.

Burns znalazł ranę wlotową, która znajdowała się pod prawym ramieniem Ruiza, ale nie mógł znaleźć rany wylotowej. Oparli go o radio, a sanitariusz Delty przystąpił do opatrywania żołnierza. Ruiz był w szoku. Podobnie jak wielu innych mężczyzn z konwoju wyjął wcześniej ceramiczną płytę z kamizelki przeciw odłamkowej.

Obsadzający wieżyczkę hummera kapral Jim Cavaco raz po raz wyrzucał pociski o średnicy 40 milimetrów z przypominającego wyglądem karabin granatnika Mk 19 prosto w okna budynku, z którego padały strzały w kierunku konwoju. Z precyzją wyrzucał jeden granat za drugim w okna na pierwszym piętrze: Bum!... Bum!... Bum!... Bum!

Spalding krzyczał do niego z drugiej ciężarówki:

– Tak! Rozwal ich, Vaco!

Nagle zobaczył, że jego przyjaciel osuwa się i pochyla do przodu. Cavaco dostał w tył głowy i zginął na miejscu. Konwój ponownie zatrzymał się, a Spalding wyskoczył na ulicę, aby pomóc odsunąć Cavacę od wieżyczki. Zanieśli go na tył ciężarówki Spaldinga, gdzie w pośpiechu rzucili ciało na nogi jednego z rannych rangersów, który wrzasnął z bólu[112].

Siła ostrzału była porażająca, lecz Somalijczycy nadal biegali we wszystkich kierunkach. Siedzący w pierwszym hummerze Schilling ze zdumieniem obserwował przemykających drogą ludzi. „Co za pomysł, żeby biegać po ulicy, kiedy wokół latają pociski?”. Zauważył, że granaty rzucane w dół ulicy powstrzymują snajperów od wystawiania broni przez okno. Starał się oszczędzać amunicję, strzelając tylko do tych Somalijczyków, którzy byli najbliżej. Kiedy skończyły mu się naboje, ranny żołnierz z tyłu wyciągnął kilka magazynków ze swojej kieszeni[113].

18

Nagle usłyszeli przez radio pełne nadziei pytanie z helikoptera dowodzenia. Najwyraźniej nikt tam w górze nie zdawał sobie sprawy z opłakanej sytuacji, w jakiej znalazł się konwój.

– „Uniform Six Four, czy zabraliście kogoś z rozbitego śmigłowca, odbiór?”.

– „Jeszcze nie nawiązaliśmy z nimi kontaktu – odpowiedział McKnight. – Wielu ludzi jest rannych, włączając w to mnie, odbiór”.

– „Zrozumiałem. Chcę, żebyście postarali się dotrzeć do miejsca, gdzie rozbił się pierwszy helikopter, i umocnić pozycję. Kiedy zabierzecie stamtąd ludzi, spróbujecie przedostać się do drugiego rozbitego śmigłowca, a następnie wycofacie się, odbiór”.

Oczywiście było to niemożliwe, ale McKnight nie zamierzał się poddać.

– „Zrozumiałem. Czy mogę dostać jakieś... Muszę znać odległość i mieć wskazówki, jak dojechać tam z miejsca, w którym jestem teraz, odbiór”.

Przez pewien czas nikt nie odpowiadał. Prowadzono przez radio rozmowy dotyczące wypadku Duranta. W końcu dowódca McKnighta odezwał się i poprosił o informację, ilu rangersów z grupy Eversmanna dołączyło do konwoju. McKnight zignorował polecenie i zapytał ponownie:

– „Romeo Six Four [Harrell], tu Uniform Six Four. Gdzie jestem? Jak daleko jesteśmy od miejsca katastrofy, odbiór?”.

– „Zaczekaj. Teraz widzę was dobrze. Danny, czy nadal znajdujecie się na głównej, utwardzonej drodze?”.

– „Jestem na jednej z bocznych dróg prowadzących do National Street”.

Harrell musiał coś źle zrozumieć. Dał mu wskazówki, jak wyjechać z Hawlwadig Road, z miejsca przed budynkiem stanowiącym cel dzisiejszego ataku.

– „Musicie skręcić na wschód. Kiedy miniecie trzy przecznice, jadąc prosto, skręćcie w kierunku północnym, odbiór”.

– „Rozumiem. Mam stąd jechać trzy przecznice na wschód, a później skręcić na północ, odbiór”.

– „Zgadza się. To jest trasa z utwardzonej drogi, na której znajduje się hotel Olympic, odbiór”.

Jednak McKnight był już trzy przecznice na wschód od tego miejsca.

– „Jestem na utwardzonej drodze na wschód od hotelu Olympic. A więc muszę zawrócić i pojechać na północ?”.

– „Nie. Znajdziesz ich około trzech przecznic na wschód, jedno skrzyżowanie na północ od budynku numer jeden [budynku stanowiącego cel ataku], odbiór”[114].

W przedostatnim hummerze Ruiz walczył o życie, natomiast sierżant Burns nie mógł się połączyć przez radio z McKnightem. Pobiegł więc, bał się, że młody Teksańczyk umrze, jeśli nie znajdzie się natychmiast w bazie. Burns zauważył, że odgłos wystrzałów, od którego bolały go uszy, wydawał się teraz przytłumiony, odległy. Najwyraźniej już do niego przywykł. Zbliżając się do początku kolumny, zobaczył, jak w tylnej części zatłoczonego hummera sanitariusz gorączkowo opatrywał Joyce'a, który leżał blady i cały we krwi. Był już prawie przy pierwszym samochodzie, kiedy złapał go jeden z operatorów Delty.

– Dostałeś.

– Nie, nie dostałem.

Burns nic nie czuł, ale kiedy żołnierz Delty wsunął dłoń pod jego kamizelkę przy prawym ramieniu, sierżant poczuł silne ukłucie bólu.

– Masz problem z oddychaniem? – zapytał operator Delty.

– Nie.

– Ucisk w klatce piersiowej?

– Czuję się dobrze – odparł Burns. – Nawet nie wiedziałem, że mnie trafili.

– Uważaj na to.

Burns dotarł do McKnighta, który także był ranny, a teraz rozmawiał przez radio. Przekazał więc wiadomość o sytuacji Ruiza sierżantowi Bobowi Gallagherowi. Burns uważał, że jeden lub dwa hummery powinny odjechać z Ruizem, tak jak wcześniej zrobiono z Blackburnem. Jednak Gallagher zdawał sobie sprawę, że konwój nie może stracić już żadnego pojazdu. Potrzebowali każdego człowieka, każdego karabinu. Na miejscu pierwszej katastrofy czekało na nich około stu wrogo nastawionych ludzi i zapewne tyle samo przy drugim rozbitym śmigłowcu. Gallagher już teraz pluł sobie w brodę, że wysłał trzy samochody z Blackburnem. Mając świadomość, iż może to oznaczać śmierć Ruiza, powiedział Burnsowi, że żaden pojazd nie może opuścić kolumny.

– Musimy dostać się do miejsca katastrofy i skonsolidować siły – odpowiedział.

Oburzony Burns udał się w drogę powrotną do swojego pojazdu. Zdążył przejść kilka kroków, kiedy konwój ponownie ruszył z miejsca. Szybko wskoczył na tył któregoś hummera. Samochód był już przepełniony, a wnętrze było śliskie i lepiło się od krwi. Ze strony leżących jeden na drugim rangersów dobiegały jęki, a opatrywany wciąż przez sanitariusza Joyce wyglądał na martwego. Sierżant Galentine krzyczał:

– Odstrzelili mi kciuk! Odstrzelili mi kciuk!

Burns pożałował, że znalazł się w tym hummerze[115].

Nadal kierowali się na północ. Niektórzy byli już na granicy załamania nerwowego. W tym samym samochodzie, w którym siedział Burns, szeregowy Jason Moore zauważył, że jego kumple chowaj ą głowy za workami z piaskiem. Byli wśród nich najwięksi mądrale w jednostce. Krzepki chłopak z Princeton w New Jersey, Moore, był przerażony i spocony. Na nieogoloną brodę wyciekło mu trochę tytoniu do żucia zmieszanego ze śliną. Jeden z granatów przeciwpancernych przeleciał nad samochodem i wybuchł z ogłuszającym hukiem przy murze obok. Dookoła latały kule. Moore z trudem oparł się chęci położenia się na podłodze. „Tak czy inaczej mnie trafią", pomyślał.

Doszedł do wniosku, że jeśli będzie kontynuował strzelanie, to przynajmniej zostanie ranny, broniąc siebie i innych chłopaków. To był dla niego decydujący moment. Przez chwilę, mimo chaosu wokół, miał jasny umysł. Zginie w walce i nie dopuści już do siebie myśli o ukrywaniu się[116].

Szeregowy Carlson, wkrótce po postrzeleniu Joyce'a, sam poczuł nagłe uderzenie, a następnie przenikliwy ból w prawym kolanie. To było takie uczucie, jakby ktoś przyłożył nóż do kolana, a następnie wbił go młotem. Spojrzał w dół. Spodnie szybko nasiąkały krwią. Odmówił modlitwę, a równocześnie nie przerywał strzelania. Po raz pierwszy w życiu czuł się tak przerażony. Przyszło mu nawet do głowy, że mógłby umrzeć ze strachu. Serce waliło mu w piersi, a oddychanie przychodziło z trudem. Głowę miał pełną huku wystrzałów i eksplozji, przed oczami obrazy przedstawiające kolegów, którzy padają jeden po drugim, oraz tryskającą wszędzie gęstą krew o wilgotnym, jakby metalicznym zapachu. Pomyślał: „To nie dla mnie". Aż nagle, kiedy przerażenie sięgnęło szczytu, poczuł, że w niewytłumaczalny sposób jego emocje opadły. W jednej chwili paraliżowały go strach i ból, a już za chwilę przestał martwić się o własną skórę.

Później przypomni sobie to wydarzenie i najlepszym wytłumaczeniem, jakie przyjdzie mu do głowy, będzie, że jego życie przestało być wówczas ważne. Liczyli się kumple, jego bracia – ich zdrowie i życie. Towarzyszący mu ludzie, choć niektórych znał dopiero od kilku miesięcy, stali się ważniejsi niż jego życie. Podobnie było wcześniej z Telscherem, który wybiegł na drogę, by zabrać Joyce'a. Carlson zrozumiał teraz zachowanie kolegi, pojął, że jego czyn był zarówno bohaterski, jak i zwyczajny. Na swój sposób wiedział, że Telscher nie podjął świadomej decyzji, tak jak on sam nie wybrał tego, by się nie bać. Uczucie to przyszło samo, jakby przekroczył dziwną granicę. A teraz musiał walczyć, mając świadomość, że inni go potrzebują[117].

Kierowca drugiego z trzech hummerów za ciężarówkami, szeregowy Ed Kallman, był zdumiony i przerażony tym, co widział. Drzewa stojące przy drodze zaczęły eksplodować jedno po drugim, tak jakby umieszczono w nich ładunki wybuchowe, a teraz detonowano je w pięciosekundowych odstępach. Być może ktoś z ciężkim działem systematycznie wysadzał sięgające pierwszego piętra drzewa, obawiając się, że kryją się za nimi snajperzy. Niemniej widok eksplodujących kolejno drzew wydał mu się osobliwy.

Kallman, który godzinę wcześniej ucieszył się na wieść, że po raz pierwszy weźmie udział w walce, teraz odczuwał tylko przyprawiający o mdłości strach. Dotychczas ani on, ani nikt inny w jego samochodzie nie

został ranny, ale wydawało się, że to tylko kwestia czasu. Z przerażeniem patrzył na nękany przez wroga konwój. Wstąpił do armii największego mocarstwa na świecie. Skoro byli w tarapatach, czy nie powinien zjawić się tu ktoś silniejszy? Gdzie były posiłki? Nie wydawało mu się w porządku, że tak małą grupką musieli zmagać się z wrogiem na wąskich gruntowych uliczkach, zakrwawieni i umierający! To nie powinno było się wydarzyć. Widział jak mężczyźni, których lubił i szanował, wyją z bólu, leżąc na ulicy z ranami postrzałowymi, w których widać było wielkie, purpurowe strzępy błyszczących mięśni. Patrzył na krwawiących, błąkających się pośród dymu, oszołomionych i nie do końca przytomnych ludzi w porwanych ubraniach. To byli amerykańscy żołnierze. Ci, którzy nie byli ranni, pobrudzili się krwią innych. Młody Kallman był nowy w jednostce. Jeśli wróg zdołał zranić bardziej doświadczonych żołnierzy, on też wkrótce dostanie kulkę. W niezrozumiały sposób zaskoczenie okazało się silniejsze od strachu. Wciąż powtarzał w myślach: „To nie powinno się dziać".

W końcu przyszła kolej na Kallmana. Kiedy zwolnił przed kolejnym skrzyżowaniem, wyjrzał przez otwarte okno po lewej stronie i zobaczył zbliżającą się do niego smugę dymu. Wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka. Wiedział, że to granat przeciwpancerny, który zaraz go uderzy. Tak też się stało. Kiedy odzyskał przytomność, leżał na prawym boku, na przednim fotelu. Dzwoniło mu w uszach. Otworzył oczy i zobaczył radio pod deską rozdzielczą. Usiadł, po czym wcisnął gaz do dechy. Konwój był już daleko i właśnie skręcał w lewo. Kallman przyspieszył, by go dogonić.

Kiedy później udało mu się obejrzeć samochód, zobaczył, że granat uderzył w drzwi hummera, pozostawiając głębokie wgniecenie i dziurę. On i inni żołnierze w środku ocaleli najwyraźniej dzięki kuloodpornemu szklanemu panelowi na drzwiach. Główną siłę granatu przyjęła zewnętrzna warstwa karoserii, a szklana bariera za nią była wystarczająco gruba, by go zatrzymać. Lewa ręka Kallmana zaczęła puchnąć i zmieniać kolor, ale poza tym nic mu nie dolegało[118].

* * *

Dopóki konwój pozostawał w ruchu, Dan Schilling był nieco spokojniejszy. Jednak kolumna posuwała się powoli, centymetr za centymetrem, co chwila przystając, ruszając, przystając i ruszając. Za każdym razem, gdy się zatrzymywali, siła ostrzału się zwiększała. Padało wtedy w ich stronę tyle kul, że wyglądało to jakby piaskowano mury po obu stronach ulicy. Otaczało ich tak wielu wrogów, że trudno było stwierdzić, kogo pierwszego należy wziąć na muszkę. Siedzący w wieżyczce Pringle wystrzelił serię w kierunku grupy uzbrojonych Somalijczyków. Schilling ujrzał, jak jeden z nich, wysoki, chudy mężczyzna w jasnożółtej koszuli i z AK-47 w dłoni, rozpada się na części. Gdy dosięgły go kule, na żółtej koszuli pojawiły się głębokie, czerwone dziury. Najpierw odpadła ręka, potem eksplodowały głowa i klatka piersiowa. Pozostali Somalijczycy rozdzielili się i pobiegli za róg następnego budynku. Schilling domyślał się, że będą tam czekać na konwój z przygotowaną do strzału bronią.

Kiedy jego hummer dojechał do przecznicy, okazało się, że mężczyźni są tak blisko, że Schilling nie musi nawet korzystać z przyrządu celowniczego. Pierwszy trafiony Somalijczyk stał w odległości zaledwie

kilku metrów. Przyklęknął w dziwnej pozycji, a na jego twarzy malował się grymas bólu. Możliwe że Pringle zdążył go wcześniej trafić. Schilling strzelił mu jeszcze dwa razy w klatkę piersiową. W tym samym momencie poczuł uderzenie i tępy ból w prawej stopie. Kiedy samochody minęły skrzyżowanie, Schilling obejrzał but. Dwie kule trafiły w drzwi. Jedna z nich zniszczyła zewnętrzną warstwę blachy i zatrzymała się na kuloodpornej szybie za nią. Druga uderzyła niżej, przebiła drzwi, wpadając do środka. Drzwi zaprojektowano tak, aby zatrzymały kulę o średnicy 7,62 milimetra wystrzeloną z karabinka AK-47. Okazało się, że przebiły je oba pociski; pierwszy zatrzymał się na kuloodpornej szybie, a drugi przebił drzwi i uderzył w but Schillinga. Na szczęście metal na tyle spowolnił prędkość lotu pocisku, że ten nie przebił buta.

Pringle zamontował drzwi dopiero dzisiaj. Podczas sześciu poprzednich misji jeździli bez nich. Schilling miał mieszane uczucia. Cieszył się z dodatkowej ochrony, ale teraz żołnierze mieli mniejszą swobodę ruchów. Tego ranka nie mógł otworzyć okna. Postanowił więc zdemontować nowo założone drzwi, ale Pringle zatrzymał go:

– Hej, dopiero co je założyłem! – krzyknął.

Schilling pokazał mu zablokowane okno, ale Pringle chwycił młotek i stukał w nie dopóty, dopóki nie opadło na dół. Teraz Schilling cieszył się, że nie pozbyli się drzwi, lecz mimo wszystko nie czuł się już bezpieczny, skoro obie kule przebiły karoserię samochodu.

Minęli jeszcze około dziewięciu skrzyżowań, nadal jadąc w kierunku północnym, do ulicy Armed Forces Road, jednej z kilku głównych, utwardzonych dróg w Mogadiszu. Bez zatrzymywania minęli miejsce oddalone jedynie o przecznicę na zachód od rozbitego śmigłowca. Dowódcy w powietrzu polecili im skręcić w prawo, ale boczne uliczki wydawały się Schillingowi za wąskie. Podobnie uważali pozostali żołnierze jadący w pierwszym hummerze. Gdyby z powodu zatoru konwój musiał stanąć, prawdopodobnie wszyscy by zginęli. Pojechali więc przed siebie. Kilku żołnierzy zobaczyło rozbitego black hawka przecznicę w prawo od głównej ulicy. Ponieważ jednak nikt nie powiedział im, że to jest cel, do którego muszą dotrzeć, wielu z nich myślało, że jadą prosto do bazy. Po wjechaniu w Armed Forces Street konwój zatrzymał się ponownie.

Schilling starał się zagłuszyć myśl, że ich wysiłki są daremne. McKnight, którego ramię i szyja krwawiły, wyglądał na oszołomionego i przytłoczonego sytuacją. Chwilowo utracił właściwą mu stanowczość. Schilling mruknął do siebie: „Będziemy jeździć w kółko, dopóki nas, kurwa, nie zabiją”.

Widząc, że McKnight jest w kropce, postanowił działać sam. Korzystając z częstotliwości, na której porozumiewali się piloci helikopterów, pominął black hawka dowodzenia i nadzoru, aby połączyć się ze śmigłowcami rozpoznawczymi, które krążyły nad miastem o pułap wyżej. Koordynowanie komunikacji pomiędzy maszynami w górze a siłami lądowymi było specjalnością Schillinga. Poprosił ludzi z helikopterów rozpoznawczych, aby naprowadzili go na miejsce katastrofy. Chętnie udzielili mu wskazówek – miał poprowadzić konwój ulicą Armed Forces Road w kierunku zachodnim, a potem skręcić w lewo. McKnight zgodził się, aby Schilling poprowadził konwój, kolumna pojazdów więc ponownie ruszyła przed siebie.

Skręcili w lewo, zjeżdżając z Armed Forces, minęli około siedmiu skrzyżowań pod intensywnym ostrzałem z obu stron, aż w końcu Schilling zobaczył przed sobą tlące się szczątki pięciotonowej ciężarówki, którą podpalili przed zaatakowanym dziś budynkiem. Zatem zatoczyli pełne koło. Schilling zapomniał powiedzieć pilotom ze śmigłowców rozpoznawczych, o które miejsce katastrofy mu chodzi. Zapewne piloci widzieli rozpaczliwą sytuację przy helikopterze Duranta, gdzie tłum Somalijczyków okrążył niechroniony przez nikogo wrak, i postanowili posłać konwój właśnie tam. Schilling zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy ponownie zobaczył zaatakowany dziś budynek oraz hotel Olympic.

– Skierowali nas do drugiego miejsca katastrofy – odezwał się do McKnighta.

Podpułkownika interesowały jednak tylko otrzymane rozkazy. Uporczywie powtarzał, że mieli jechać do pierwszego rozbitego śmigłowca.

W sieci dowodzenia ich dywagacje brzmiały jak rozmowy bohaterów czarnej komedii. Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, ponieważ z bazy wysłano następny konwój, który miał dotrzeć do rozbitego śmigłowca Duranta.

– „Danny, myślę, że pojechaliście za daleko, szukając miejsca drugiej katastrofy. Wydaje się, że jesteście jakieś cztery kwartały na zachód i pięć na południe od tego miejsca, odbiór".

– „Romeo Six Four [Harrell], tu Uniform Six Four [McKnight]. Podajcie mi prawidłową trasę, prawidłową!".

– „Uniform Six Four, tu Romeo Six Four. Musicie minąć około czterech skrzyżowań, jadąc w kierunku południowym, a potem skręcić na wschód. Na południu zobaczycie zielony dym unoszący się nad miejscem katastrofy. Jedźcie cały czas na południe".

Wtem na linii dowództwa wtrącił się kolejny głos:

– „Przestańcie udzielać im wskazówek!... Rozmawiacie z drugim konwojem!".

– „Tu Uniform Six Four, jesteśmy znów przed hotelem Olympic".

– „Uniform Six Four, tu Romeo Six Four. Musicie skręcić na wschód".

Konwój wykonał więc zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Dopiero co z trudem przejechali przez ulicę, na której czaili się Somalijczycy strzelający zaciekle w ich kierunku, a teraz mieli tam wrócić. Żołnierze w samochodach z tyłu nie mogli tego zrozumieć. To szaleństwo! Wydawało się, że konwój z własnej woli jedzie na pewną śmierć.

Sytuacja pogorszyła się tak bardzo, że Harrell w śmigłowcu dowodzenia i nadzoru zastanawiał się, czy nie powinni uwolnić więźniów, choć byli oni nagrodą za udział w misji i głównym celem, dla którego wzięli udział w tej jatce. Połączył się z pieszymi oddziałami Delty, które właśnie zbliżały się do miejsca pierwszej katastrofy:

– „Kiedy połączycie się z jednostką Uniform, pozbądźcie się cennego towaru. Spróbujemy sprowadzić większe siły na miejsce drugiej katastrofy”.

Głosy z różnych helikopterów usiłujących naprowadzić McKnighta na właściwą trasę, odzwierciedlały frustrację, jaka towarzyszyła jego bezowocnym próbom znalezienia właściwej drogi.

– „Uniform Six Four, tu Romeo Six Four. Skręć w następną po prawej. Następna po prawej! Uliczka! Uliczka!”.

– „Właśnie przegapili zakręt”.

– „Uniform, skręćcie w kolejną po prawej”.

– „Pamiętajcie, że są pod silnym ostrzałem”.

– „Uniform Six Four, tu Romeo Six Four”.

– „Do cholery, zatrzymajcie się! Stójcie!”.

– „Zakręt w prawo! W prawo! Jesteście pod ostrzałem! Pospieszcie się!”.

W tym zamieszaniu żołnierze z pędzącego konwoju widzieli dziwne rzeczy. Minęli starą kobietę niosącą dwie reklamówki na artykuły spożywcze, spokojnie idącą ulicą wśród przelatujących pocisków. Kiedy samochody zbliżyły się do niej, położyła delikatnie torby na ziemi, zatkała sobie uszy palcami i poszła dalej. Gdy kilka minut później jechali w przeciwnym kierunku, zobaczyli tę samą kobietę. Znów miała w rękach siatki, znów je położyła, zatkała sobie uszy i odeszła, jak przedtem.

Na każdym skrzyżowaniu Somalijczycy stali w szeregu po obu stronach drogi, strzelając do każdego przejeżdżającego pojazdu. Ponieważ zajęli pozycje po obu stronach ulicy, każda kula, która nie trafiła w pędzący samochód, niemal na pewno raniła jednego z mężczyzn naprzeciwko. Sierżant Eversmann, który znalazł już sobie nieco bezpieczniejsze miejsce z tyłu hummera, obserwował to ze zdumieniem. Cóż za strategia! Ci ludzie najwyraźniej nie przejmowali się nawet własnym życiem! Po prostu im nie zależało!

Z każdą przecznicą mieszkańcy miasta coraz bardziej uszczuplali siły konwoju. Żadne miejsce nie było bezpieczne. W powietrzu latały gorące odłamki metalu. Żołnierze raz po raz słyszeli okropny, kłapiący dźwięk wdzierającego się w ciało pocisku i krzyki rannych. Widząc rozerwane ciała i blade twarze kumpli, najsilniejsi ludzie w jednostce z trudem hamowali rozpacz. Należeli do elitarnej formacji Stanów Zjednoczonych, a teraz mieli umrzeć tu, zdziesiątkowani przez wściekły motłoch. Ich plany na przyszłość miały zniknąć wraz z zachodzącym słońcem.

Schilling wciąż nie dowierzał w to, co się działo. Zarazem obwiniał się, że to przez niego konwój pojechał złą drogą i znalazł się w tym piekle. Oszołomiony panującym wokół zamieszaniem starał się przekonać samego siebie, że to, co się dzieje dookoła, to nie sen. Wciąż mruczał pod nosem: „Będziemy jeździć w kółko, dopóki nas, kurwa, nie zabiją”[119].

20

Spalding siedział przy drzwiach, na miejscu pasażera w pierwszej ciężarówce, z karabinem wysuniętym na zewnątrz, odwrócony tak, aby łatwiej mu było strzelać. Nagle wystraszył go błysk światła na wysokości stóp. Wyglądał jak promień laserowy, który przeniknął przez drzwi i dosięgnął jego prawej nogi. To kula przebiła stalową karoserię oraz opuszczone okno i wraz z kawałkami szkła i stali wbiła mu się nogę tuż nad kolanem. Za kulą podążył snop światła wpadający przez przedziurawione drzwi. Spalding zawył z bólu.

– Co się dzieje? Dostałeś? – krzyknął Maddox.

– Tak!

Zaraz pojawił się następny promień, tym razem coś uderzyło go w lewą nogę, ale nie czuł bólu. Kiedy chwycił lewe biodro, spomiędzy palców wytrysnęła krew. Był zdumiony i przestraszony. Zdziwiło go światło, które w dziwny sposób przenikało przez drzwi. Nadal nie bolało. Postanowił nie patrzeć w dół.

Nagle Maddox wrzasnął:

– Nie widzę! Nic nie widzę!

Hełm kierowcy przekrzywił się, a okulary przesunęły mu się na bok.

– Włóż okulary, baranie – poradził Spalding.

Maddox dostał w tył głowy. Hełm, w który trafiła kula, uratował mu życie, jednak uderzenie było tak silne, że oślepł na jakiś czas. Ciężarówka jechała przed siebie niekontrolowana przez nikogo, a ranny w obie nogi Spalding nie był w stanie przejąć miejsca za kierownicą.

Nie mogli się też zatrzymać w samym środku bitwy, więc Spaldingowi nie pozostało nic innego, jak dawać wciąż trzymającemu ręce na kierownicy Maddoxowi wskazówki dotyczące dalszej jazdy.

– Skręć w lewo! W lewo! Teraz!

– Przyspiesz!

– Zwolnij!

Ciężarówka jechała wężykiem, raz po raz uderzając o budynki z jednej i drugiej strony ulicy. W końcu przejechała jakiegoś Somalijczyka o kulach.

– Co to było? – zapytał Maddox.

– Nic takiego. Po prostu kogoś rozjechaliśmy.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Nie czuli już ani żalu, ani strachu. Wciąż się śmiali, gdy Maddox zatrzymał pojazd.

Sierżant Delty Mike Foreman zeskoczył z tylnej części ciężarówki i podbiegł do drzwi kierowcy. Po ich otwarciu zobaczył zbryzganą krwią szoferkę.

– O kurwa! – krzyknął.

Maddox osunął się obok Spaldinga, który teraz zaczął przyglądać się swoim ranom. W lewym kolanie widniała okrągła dziura, brakowało za to rany wylotowej. Najwyraźniej kula rozpadła się przy kontakcie z drzwiami i szybą, a w kolano uderzyła tylko osłona pocisku, która spłaszczyła się na rzepce i zatrzymała pod skórą, przy stawie. Pozostałości po kuli rozprysły się pod kolanem. Miejsce to cały czas krwawiło, Spalding więc wyprostował nogi, kładąc je na tablicy rozdzielczej, i przycisnął opatrunek polowy do jednej z ran. Oparł karabin na brzegu okna, zmienił magazynek, a gdy Foreman ruszył do przodu, znów zaczął strzelać do wszystkiego, co się rusza[120].

Aby zrobić miejsce dla coraz większej liczby ofiar w tylnej części hummera, szeregowy Clay Othic, którego postrzelono w rękę na początku walki, wyskoczył z tyłu pojazdu i ruszył w stronę drugiej ciężarówki. Jeden z jadących nią mężczyzn wyciągnął dłoń, aby pomóc mu wejść do środka, ale Othic nie był w stanie złapać się czegokolwiek zranioną ręką. Po kilku nieudanych próbach obiegł ciężarówkę dookoła, a specjalista Aaron Hand wyszedł z szoferki i pomógł mu wcisnąć się na miejsce pomiędzy nim a prowadzącym samochód szeregowym Richardem Kowalewskim – chudym, małomównym facetem z Teksasu, którego nazywali „Alfabet", gdyż mieli problem z wymówieniem jego nazwiska.

Kowalewski, który niedawno dołączył do jednostki, był bardzo cichym człowiekiem. Niedawno poznał dziewczynę, z którą chciał się ożenić, więc zamierzał opuścić pułk, kiedy za kilka miesięcy skończy się okres jego służby. Sierżant starał się go przekonać, żeby nie odchodził. Kilka minut po tym, jak Othic wśliznął się obok niego, Kowalewskiego trafiono w rękę. Siła strzału wcisnęła go w fotel. Zerknął na ranę i znów wyprostował się za kierownicą.

– Alfabet, zmienić cię? – zapytał Othic.

– Nie, wszystko w porządku.

Othic starał się założyć opatrunek uciskowy na rękę kierowcy, co utrudniała ciasnota w szoferce, kiedy uderzył w nich granat przeciwpancerny. Nadleciał z lewej, rozcinając lewą rękę Kowalewskiego i trafiając go w pierś. Nie wybuchł – ponadpółmetrowy pocisk utknął w klatce piersiowej Kowalewskiego. Stateczniki granatu wystawały po lewej stronie, poniżej miejsca, gdzie przedtem była ręka, a czubek sterczał po prawej stronie ciała. Kowalewski stracił przytomność, ale wciąż żył.

Pozbawiony kierowcy samochód uderzył w jadącą z przodu ciężarówkę. W jej szoferce siedzieli Foreman, Maddox i Spalding, a z tyłu jechali więźniowie. Siła zderzenia rzuciła Spaldinga na drzwi, a cały samochód przechylił się w stronę muru.

Ogłuszony Othic oprzytomniał i zobaczył potrząsającego nim specjalistę Handa, który wrzeszczał, że ma uciekać.

– Samochód się pali! – krzyczał Hand.

Szoferkę wypełniał czarny dym. Othic dostrzegł, że z piersi Alfabeta wystaje coś, co wygląda jak bezpiecznik granatu. Pocisk w klatce piersiowej żołnierza nie eksplodował, ale wybuchło coś innego. Być może była to błyskdymka, którą Kowalewski trzymał w kamizelce, lub paliwo z granatu przeciwpancernego. Hand wyskoczył z samochodu. Othic chciał wyciągnąć Kowalewskiego, ale zabrakło mu sił – kiedy pociągnął ubranie rannego, okazało się, że przywarło do podziurawionego tułowia. Wyszedł z samochodu i zauważył, że zarówno on, jak i Hand stracili hełmy. Karabin Handa był roztrzaskany. Poruszali się jak odrętwiali, a równocześnie jakby trochę beztrosko. Otarli się o śmierć, która dosięgła Kowalewskiego, a im ściągnęła z głów hełmy i pozostawiła właściwie bez uszczerbku. Hand nie słyszał nic na lewe ucho, ale to wszystko. Znaleźli hełmy w dole ulicy – najwyraźniej siła wybuchu wyrzuciła je przez okno.

Hand znalazł też fragment ręki Kowalewskiego – lewą dłoń i kawałek nadgarstka. Podniósł ją i pobiegł w stronę hummera, gdzie żołnierze Delty umieścili szeregowego. Włożył szczątki ręki do kieszeni spodni śmiertelnie rannego mężczyzny.

Wciąż oszołomiony Othic wpełzł do hummera. Kiedy samochód ruszył, lewą, sprawną jeszcze dłonią zaczął badać podłogę w poszukiwaniu kul, które inni musieli wyrzucić, kiedy zaciął im się magazynek. Othic podał im je z powrotem[121].

W wielu pojazdach zaczęło brakować amunicji. Wystrzelano już tysiące pocisków. Trzech z dwudziestu czterech somalijskich więźniów nie żyło, a jeden był ranny. Platformy wciąż sprawnych ciężarówek były we krwi. Na podłogach i wewnętrznych ściankach znajdowały się przyklejone ludzkie wnętrzności. Jadący na przodzie hummer McKnighta miał dwie przebite opony w kołach po prawej stronie. Samochody te przystosowano do jazdy bez powietrza w oponach, jednak wówczas poruszały się dużo wolniej. Drugi hummer w kolumnie był już prawie niesprawny. Ciągnął za sobą oś koła, a pięciotonowa ciężarówka z tyłu praktycznie pchała go do przodu. To była ta sama ciężarówka, którą trafił granat znajdujący się teraz w tułowiu Kowalewskiego. W trzecim hummerze w kolumnie, który należał do oddziału SEAL, trzy opony były pozbawione powietrza i tak dziurawe, że wyglądem przypominały gąbki. Ranny w obie nogi Howard Wasdin trzymał stopy nad tablicą rozdzielczą, na masce samochodu. Niektóre hummery dymiły, a zupełnie pozbawiony powietrza w oponach pojazd Carlsona miał w boku wielką dziurę po uderzeniu granatu[122].

Kiedy granat przeciwpancerny uderzył Kowalewskiego w szoferce pierwszej ciężarówki, wszyscy musieli się zatrzymać. Wśród hałasu i zamieszania nikt z jadącego na przodzie samochodu McKnighta tego nie

zauważył. Pojechali dalej ulicą Armed Forces Road, poruszając się z prędkością około 50 kilometrów na godzinę. Helikoptery rozpoznawcze podawały wskazówki, gdzie mają skręcić (przedtem konwój po raz drugi minął rozbity śmigłowiec, tym razem przejeżdżając ulicą oddaloną od niego o przecznicę na wschód, na próżno szukając ulicy, w którą mogliby skręcić w lewo. Wrak znajdował się teraz siedem przecznic z tyłu). Kiedy dotarli do Armed Forces Road, Schilling zdziwił się, że jest pusta. Skręcili w prawo i przejechali zaledwie około 40 metrów, planując kolejny skręt w prawo, w ulicę, która miała doprowadzić ich do rozbitego helikoptera. Wówczas po prawej stronie samochodu Schilling zauważył Somalijczyka mierzącego do nich z granatnika przeciwpancernego.

– Granatnik! Granatnik! – krzyknął.

Wielki karabin na wieżyczce milczał. Schilling odwrócił się, aby sprawdzić, dlaczego Pringle nie strzela, i zobaczył, że ten bierze nową skrzynkę amunicji. Pringle uniósł ręce, by zakryć sobie głowę.

– Jedź! – wrzasnął Schilling do szeregowego Joego Harosky'ego.

Kierowca jednak, zamiast minąć szybko skrzyżowanie, skręcił, kierując się prosto na człowieka z granatnikiem. Wszystko to trwało sekundy. Granat został wystrzelony, a Schilling zobaczył słup dymu i usłyszał odległy huk granatu pędzącego w ich stronę. Zamarł z przerażenia. Nawet nie zdążył podnieść broni. Granat przeleciał ze świstem tuż obok drzwi po lewej stronie.

– Do tyłu! Cofnij się! – krzyczał.

Schilling wystrzelił kilka kul, a Pringle na górze otworzył ogień z M2. W końcu oczyścili ulicę z nieprzyjaciół. Schilling odwrócił się, sprawdzając, czy przypadkiem nie uderzyli w samochód za nimi. Dopiero teraz odkrył, że są sami. Harosky wycofał się w Armed Forces Road, gdzie skręcił w prawo i pojechał w kierunku zachodnim. Dostrzegli resztę kolumny tam, gdzie ją zostawili. Samochody stały zwrócone na północ, jakby bojąc się wyjechać na główną drogę.

McKnight, który nic nie powiedział od czasu, gdy zawrócili przy hotelu Olympic, najwyraźniej poczuł się lepiej. Wysiadł z hummera i naradzał się z Gallagherem, stojąc przed maską samochodu. Gallagher był wściekły. Kiedy rozmawiał z McKnightem, oberwał pociskiem i przewrócił się na ulicę, zaraz przy stopach Schillinga. Czerwony, pulsujący strumień krwi pryskał z ramienia. Schilling po raz pierwszy widział tak jasną, szkarłatną krew. Kula musiała uszkodzić tętnicę. Przycisnął palce do rany, z której tryskała krew, i sięgnął do kieszeni po opatrunek. Opatrzył Gallaghera najlepiej, jak potrafił, owijając mu ramię specjalną chłonną gazą pomocną przy tamowaniu krwawienia i zabandażował je mocno. Podczas pobytu jednostki w Somalii ratownicy medyczni przeszkolili wszystkich żołnierzy w zakresie opatrywania ran w warunkach polowych. Do treningu wykorzystywano żywe kozy. Strzelali do nich, a następnie kursanci mieli je opatrywać, dzięki czemu mogli zdobyć niezbędną praktykę, ćwicząc na prawdziwych ranach. Doświadczenie to okazało się dziś przydatne. Gallagher wrócił do pojazdu, ale Schilling zatrzymał jego broń. Potrzebował amunicji.

Krążyli tu już 45 minut. McKnight był gotowy zrezygnować. W konwoju było teraz więcej zabitych i rannych niż na miejscu pierwszego rozbitego śmigłowca. Połączył się z Harrellem.

– „Romeo Six Four, tu Uniform Six Four. Większość pojazdów wkrótce nie będzie zdolna do użytku. Dużo ludzi jest rannych. Dotarcie do rozbitego helikoptera będzie wyjątkowo trudne. Jesteśmy uziemieni".

Harrell obstawał przy swoim.

– „Uniform Six Four, tu Romeo Six Four. Danny, naprawdę musicie wrócić na miejsce katastrofy śmigłowca. Wiem, że skręciliście w lewo w Armed Forces [Road], jaki jest stan waszych sił?".

Jednak McKnight i jego ludzie mieli dosyć.

– „Tu Uniform Six Four. Mam tu wiele ofiar, pojazdy wkrótce będą niesprawne. Muszę jak najszybciej zabrać stąd rannych"[123].

Czekała ich długa droga.

Ruszyli, a wiadomość o powrocie do bazy dodała wszystkim otuchy. Być może niektórzy z nich przeżyją dzisiejszy dzień.

Przejechali Via Lenin, czteropasmową ulicę z pasem pośrodku, którą mieli dojechać do ronda K-4, a potem prosto do bazy. Spalding zaczął tracić czucie w koniuszkach palców. Spanikował po raz pierwszy od początku krwawej potyczki. Pomyślał, że pewnie doznał szoku. Zobaczył małego, niespełna pięcioletniego somalijskiego chłopca, który trzymał na wysokości biodra karabinek AK-47 i strzelał z niego zaciekle w ich stronę. Z lufy wydobywały się jasne błyski. Ktoś strzelił do chłopca. Kiedy się przewracał, jego nogi uniosły się w powietrze tak, jakby poślizgnął się na kamykach. Chłopiec padł płasko na plecy. Cała scena wyglądała jak we śnie lub na filmie puszczonym w zwolnionym tempie. Prowadzący samochód człowiek Delty, Foreman, był doskonałym strzelcem. Jedną ręką trzymał broń, a drugą kierownicę samochodu. Spalding widział, jak zastrzelił trzech Somalijczyków, ani na chwilę nie zwalniając. Był pod wrażeniem.

Poczuł, że dłonie kurczą mu się, jak osobie z porażeniem mózgowym.

– Słuchaj, wynośmy się stąd – rzucił. – Nie jest ze mną dobrze.

– Trzymasz się całkiem nieźle – odparł Foreman.

Teraz na prowadzeniu był hummer Johna Gaya z oddziału SEAL. Samochód nosił liczne ślady po kulach, dymił i jechał coraz wolniej, poruszając się tylko na trzech pozbawionych powietrza kołach. W środku było ośmiu rannych rangersów oraz ciało Joyce'a, a na masce leżały zakrwawione nogi Wasdina (który teraz dodatkowo został postrzelony w lewą stopę). Wasdin jęczał: „Zabierzcie mnie stąd!". Somalijczycy wyciągnęli na ulicę dwa wielkie zbiorniki z benzyną, śmieci, meble oraz inne odpadki i podpalili je. Bojąc się zatrzymać hummera w obawie, że później nie zadziała bieg wsteczny, uderzyli w płonącą zaporę, przejeżdżając przez górę

śmieci i niemal wywracając się. Szeroki, mocny pojazd zdołał jednak pokonać przeszkodę bez szwanku i pojechał dalej. Kolumna pojazdów podążyła za nim.

Była siedemnasta czterdzieści. Walczyli na ulicy od ponad godziny. Z około siedemdziesięciu pięciu ludzi w konwoju (zarówno żołnierzy, jak i więźniów) prawie połowa miała rany postrzałowe lub dostała odłamkiem. Osiem osób nie żyło lub było bliskich śmierci. Zbliżali się do ronda K-4 przygotowani na kolejną zasadzkę[124].

W POTRZASKU

Mężczyzna z rekinem w drodze na targ w Mogadiszu

fot. Farah Abdi Warsameh/AP, Nagroda na World Press Photo

1

Zbyt wiele rzeczy działo się w tym samym czasie. Co gorsza, sprawy układały się coraz bardziej niepomyślnie. Grupa zadaniowa rangersów od dwóch godzin uczestniczyła w misji, która miała potrwać tylko godzinę. Generał dywizji Garrison oraz jego ludzie zgromadzeni w centrum operacyjnym na lotnisku śledzili akcję na ekranach telewizyjnych i słuchali połączeń radiowych, między innymi rozmów Harrella i Matthewsa z krążącego nad terenem walk śmigłowca dowodzenia i nadzoru. Zdali sobie sprawę, że wydarzenia wymknęły im się spod kontroli.

Brakowało im odpowiedniej liczby ludzi, tymczasem załoga rozbitego śmigłowca Duranta mogła lada chwila paść ofiarą miejscowych. Większość żołnierzy, którzy brali udział w ataku, czyli około stu

sześćdziesięciu operatorów i rangersów, albo znajdowała się w mozolnie posuwającym się do przodu konwoju, albo biegła ulicą gdzieś pomiędzy zaatakowanym dziś domem a miejscem katastrofy pierwszego śmigłowca. Mało kto nie został dotąd ranny. Stanowili część jednej z największych potęg militarnych na świecie, lecz teraz pozostali bez dodatkowych posiłków z zewnątrz, uwięzieni z dala od bazy, zmuszeni, by walczyć o życie na ulicach miasta z tysiącami wściekłych, dobrze uzbrojonych Somalijczyków. Pełna kompania 10. Dywizji Górskiej (czyli stu pięćdziesięciu żołnierzy) przybyła do bazy grupy zadaniowej rangersów i poczyniła wysiłki, aby dotrzeć do miejsca, gdzie rozbił się śmigłowiec Duranta. Spotkali się jednak z tymi samymi problemami co inne pojazdy, które usiłowały przedrzeć się przez śmiertelne pułapki i blokady uliczne, jakie przygotowali mieszkańcy miasta.

Dwie kolejne kompanie 10. Dywizji Górskiej były już w drodze, a oddziały Pakistańczyków i Malezyjczyków należące do sił ONZ zgodziły się udostępnić czołgi i transportery opancerzone. Niemniej zorganizowanie zaplecza logistycznego wielonarodowego, śpieszącego z odsieczą konwoju to żmudne i długie zadanie. Tymczasem za dwie godziny miało zrobić się ciemno[125].

Mężczyźni walczący o życie w mieście nie wiedzieli, jak wygląda ogólny obraz sytuacji. Desperacko bronili swoich pozycji, cały czas żywiąc nadzieję, że za kilka minut zjawi się pomoc.

Niedługo przed zestrzeleniem helikoptera Duranta jedyna dostępna powietrznodesantowa grupa ratownicza opuściła się na linach w miejscu pierwszej katastrofy oddalonym zaledwie o kilka przecznic od budynku stanowiącego cel dzisiejszego ataku. Nadlecieli w śmigłowcu black hawk Super Six Eight. Sierżant Tim Wilkinson siedział wraz z dwoma mechanikami w tylnej części helikoptera, kiedy wśród żołnierzy zaczęła krążyć biała tablica, na której wielkimi, czarnymi literami napisano: „Zestrzelono 61”. Po przeczytaniu złej wiadomości każdy z nich poczuł przypływ adrenaliny. Nadszedł czas, aby wkroczyli do akcji.

W skład oddziału wchodzili żołnierze z różnych jednostek. Ćwiczyli razem od kilku miesięcy. Wilkinson był jednym z dwóch ratowników medycznych sił powietrznych na pokładzie, na którym było też pięciu żołnierzy Delty i siedmiu rangersów. Kiedy tego lata powstały pierwsze plany dotyczące dzisiejszej misji, czternastoosobowy oddział rozpoczął trening przygotowujący ich do akcji, podczas której trzeba dotrzeć do rozbitego śmigłowca. Ćwiczyli zarówno w Fort Bragg, jak i tu na miejscu, w Mogadiszu. Każdy zdawał sobie sprawę, że podczas jednej z misji wróg może zestrzelić helikopter, jednak prawdopodobieństwo takiej sytuacji wydawało się na tyle małe, że początkowo oddział poszukiwawczo-ratowniczy nie miał brać udziału w misjach. Choć po późniejszej interwencji Garrisona to się zmieniło, wielu dowódców nadal było przekonanych, że utrzymywanie śmigłowca oddziału poszukiwawczo-ratowniczego to niepotrzebny luksus. Za zbytek uważano też wielkie pudła ze sprzętem medycznym i lekarstwami, które chirurg Delty major Rob Marsh od ośmiu lat uparcie kazał ściągać w różne miejsca na świecie. Żołnierze byli niechętni wobec podobnych środków zapobiegawczych (kolejnym przykładem może być przyklejanie informacji z grupą krwi do buta przez wybierających się na akcję operatorów Delty), ponieważ uważali je za niepomyślną wróżbę. Nikt nie chciał ściągnąć na siebie pecha, z drugiej strony rozsądek podpowiadał, że należy przygotować się na najgorsze.

Podczas sześciu poprzednich misji śmigłowiec oddziału poszukiwawczo-ratowniczego krążył nad miastem przez godzinę, po czym wracał do bazy.

Dla Wilkinsona i innych żołnierzy sił powietrznych praca w oddziałach poszukiwawczo-ratowniczych przypominała uprawianie sportów ekstremalnych. Podstawowym zadaniem ratowników była pomoc pilotom rozbitych helikopterów i samolotów. Do takiej katastrofy mogło dojść wszędzie: na środku oceanu, na szczycie góry, w zamarzniętej tundrze, w środku zatłoczonego miasta. Dumą jednostki było motto: „Wszędzie i o każdej porze". Trenowali wspinanie się na klify, poruszanie się po pustyni, skakanie z samolotów na dużej wysokości, często nad terenem wroga, szukanie zagubionych i rannych lotników, których należało opatrzyć i zabrać do domu. Ich trening przewidywał przekraczanie przyjętych granic ludzkich możliwości. W latach osiemdziesiątych, kiedy Wilkinson rozpoczął szkolenie jako dwudziestopięcioletni, żądny przygód awanturnik, zdarzało się, że żołnierze ginęli podczas kursu na ratownika medycznego. Wilkinson zdecydował się porzucić spokojną karierę inżyniera elektryka dla bardziej ekscytującego zajęcia. Jego koszmarem było ćwiczenie w wodzie o nazwie „przejście" wykonywane w bazie szkoleniowej sił specjalnych SCUBA. Kursantów obciążano zbiornikami wypełnionymi wodą i wrzucano do głębokiego basenu. Wstrzymując oddech, musieli przejść pod wodą 25 metrów aż do drugiego końca basenu, bez możliwości wynurzenia się i nabrania powietrza. Niedopuszczenie do utraty przytomności i pokonanie dystansu było dla Wilkinsona wystarczającym wyzwaniem, jednak trenerzy dodatkowo utrudniali mu zadanie, celowo go zatrzymując, popychając w tył, dezorientując, ściągając maskę i płetwy, przewracając, wpychając na innych kursantów. Wszystko to miało na celu symulację przepychanki podczas prawdziwej, śmiertelnie niebezpiecznej i bezładnej akcji w wodzie. Jeśli ktoś zemdlał lub wpadł w panikę, oblewał egzamin. Ci, którym udało się przedostać na drugą stronę basenu, mieli tylko trzydzieści sekund na złapanie oddechu przed powrotem do wody i próbą dotarcia z powrotem na brzeg, z którego wyruszyli. Wszystko to powtarzano w nieskończoność. Wielu z tych, którzy zaliczyli test, i tak rezygnowało. Ćwiczenie to było tylko jednym z całej serii sadystycznych zadań. Żołnierze, którym udało się je wszystkie wykonać i którzy potem przez wiele lat brali udział w akcjach ratowniczych, stawali się odważnymi, zatwardziałymi ryzykantami. Jednak w świecie sił specjalnych ludzi z „niebieskich koszul" i tak uważano za zniewieściałych. Operatorzy Delty nazywali ich komandosami „błyskawicznymi", ponieważ powszechnie wierzono, że ścieżka kariery ratownika medycznego sił powietrznych to droga na skróty do świata sił specjalnych. Można było zaryzykować stwierdzenie, że w porównaniu z większością innych jednostek przed członkami sił powietrznych stawia się najmniejsze wymagania fizyczne. Niektórzy operatorzy Delty uważali, że uczestnictwo w misji oddziału poszukiwawczo-ratowniczego i czterech komandosów SEAL jest rezultatem wewnętrznej rywalizacji. Misja była operacją „połączoną". Każdy chciał mieć szansę udziału w wojnie. Co prawda nie każdy w hangarze był na tyle małostkowy, by myśleć w ten właśnie sposób, jednak podobne opinie pojawiały się na tyle często, aby Wilkinson zdążył zauważyć podczas kilku tygodni pobytu w bazie szczególny stosunek do członków jego jednostki. Niemniej każdy z nich przyzwyczaił się już, że niektórzy uważają obecność oddziału poszukiwawczo-ratowniczego za niepotrzebną formalność.

Kiedy grupa desantowa podawała sobie tabliczkę, Wilkinson natychmiast zapragnął dowiedzieć się czegoś więcej. Gdzie spadł Six One? Czy płonął? Ilu ludzi znajdowało się na pokładzie? Dla niego akcje

ratownicze były nie tylko niebezpiecznym (istniało ryzyko postrzału), fizycznym wyzwaniem, lecz także okazją do wykorzystania potencjału umysłowego. Ludzkie życie zależało od tego, jak on poprowadzi akcję. Miał ze sobą dwie ciężkie torby – w jednej znajdował się sprzęt medyczny, w drugiej narzędzia przydatne przy rozcinaniu kadłuba helikoptera i uwalnianiu uwięzionych w środku ludzi. Podczas treningu nauczyli się korzystać z narzędzi i radzić sobie ze stresem. Reszta była improwizacją.

Dwudziestodwuletni specjalista Rob Phipps, „Phippster", był najmłodszym rangersem na pokładzie. Dla bardziej doświadczonych żołnierzy udział w bitwie oznaczał ponurą konieczność, część ich pracy. Ocenili ryzyko i z różnych powodów zaakceptowali je. Za to dla Phippsa perspektywa udziału w walce była kusząca. Krew krążyła mu coraz szybciej, a zmysły się wyostrzyły. Czuł się jak po zażyciu narkotyków. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Jako nastolatek (dorastał w Detroit) był prawdziwym rozrabiaką: pił, imprezował, łamał wszelkie zasady, nieraz tracił nad sobą kontrolę. W formacji rangersów jego odwaga, żywiołowość i śmiałość stały się atutem. Takie cechy charakteru żołnierzy decydowały o sile jednostki. Podczas bitwy rangersi mogli robić to, co zakazane. Mogli – a nawet musieli – zabijać. Nikt nie mówił im tego wprost, ale tak właśnie było. Phipps nie uważał siebie za krwiożerczego potwora, ale podczas szkolenia przygotowywano go na taką chwilę jak dzisiejsza, a on nie mógł się jej doczekać. Wyposażono go w karabin CAR-15 o szybkostrzelności sześciuset pocisków na minutę, dzięki któremu będzie mógł dziś sprawdzić w praktyce zdobytą umiejętność strzelania do celu. W pewnym sensie nie do końca wierzył w to, że rzeczywiście każą mu dziś strzelać do ludzi. Cały czas musiał sobie powtarzać: „To dzieje się naprawdę!". Po raz pierwszy w życiu czuł się równocześnie przestraszony i podekscytowany[126].

Kiedy pilot Dan Jollata krzyknął: „Minuta!", żołnierze sprawdzili broń, załadowali magazynki, przekazali sobie wiadomości od mechaników lub innych osób przy drzwiach, które widziały, co się dzieje na dole. Pojawili się nad rozbitym śmigłowcem Wolcotta dokładnie 8 minut po katastrofie. Jollata nadleciał z północy, a następnie zawisł około dziesięciu metrów nad ulicą. Little Bird, który przyleciał wcześniej po dwóch rannych operatorów Delty, wylądował na Marehan Road, ale black hawk był na to za duży.

Znajdujący się w środku helikoptera Wilkinson nie widział, co się dzieje na zewnątrz, stosował się więc do wskazówek dowódcy zespołu, starszego sierżanta sztabowego Scotta Falesa. Kiedy ich oczy spotkały się, skinęli sobie głową. Czas działać. Na sygnał Jollaty wykopano liny, a żołnierze zaczęli opuszczać się na dół. Kiedy przyszła kolej na Wilkinsona, zauważył, że na pokładzie zostały torby z zestawem niezbędnych narzędzi. Należało je wyrzucić na początku, więc teraz razem z Falesem poczekali, aż nikogo nie będzie na linie, i wykopali je sami. Jeszcze raz rozejrzeli się dookoła pustego już teraz wnętrza śmigłowca i skoczyli w dół.

Opóźnienie miało swoje konsekwencje. Podczas gdy Jollata trzymał helikopter w zawisie przez kilka dodatkowych sekund, na lewo od kadłuba wybuchł granat przeciwpancerny. Śmigłowiec zatrząsł się jak bokser, który przyjął prawy sierpowy. Jollata instynktownie poderwał maszynę do góry i przesunął w bok.

– „Odlatuję. Chyba dostałem" – poinformował przez radio. W tej samej chwili potwierdził to krążący w pobliżu Little Bird:

– „Oberwałeś”.

– „Pocisk uderzył za silnikiem”.

– „Z maszyny unosi się dym”.

– „Mamy ludzi na linach!” – krzyknął jeden z mechaników.

Jollata słyszał, że łopatki wirnika, podziurawione podczas wybuchu przez metalowe odłamki, wydają gwiżdżący odgłos. Śmigłowiec kiwał się na boki. Eksplozja uszkodziła obudowę wirnika, a system chłodzenia silnika został zniszczony. Zarówno pierwszy odruch, jak i doświadczenie zdobyte podczas szkolenia podpowiadały pilotowi, że powinien szybko odlecieć, jednak Jollata ponownie zawisł nieco niżej na kilka sekund, aby Wilkinson i Fales mogli dotrzeć bezpiecznie na ziemię.

Wiszący na linie Wilkinson usłyszał w górze wybuch, ale był zbyt zajęty oceną wysokości, aby zauważyć ruch śmigłowca. Wpatrując się w burą chmurę pyłu pod nim, nie zwrócił uwagi, że helikopter drgnął i przesunął się w przód i do góry. Dopiero później dowiedział się, że opanowanie Jollaty uratowało mu życie.

– „Lepiej szybko gdzieś wyląduj – poradził pilot jednego z helikopterów w górze. – Masz wielką dziurę w kadłubie”.

– „Wszystkie systemy działają prawidłowo, poza dziwnym gwizdem w wirniku. Myślę, że dolecę z powrotem na lotnisko” – odparł Jollata.

– „Z wirnika wydobywa się czarny dym. Powinieneś posadzić maszynę w okolicach New Port. Natychmiast ląduj”.

– „Niech Six Eight robi, co uważa – odezwał się Matthews ze śmigłowca dowodzenia i nadzoru. – Wygląda w porządku”.

Kiedy Wilkinson i Fales znaleźli się na ziemi, Super Six Eight powoli i jakby z trudem poleciał w stronę bazy, zostawiając nad miastem wąską, szarą smugę dymu. Siedzący w kokpicie Jollata robił wszystko, by utrzymać go w powietrzu. Wysiłki pilota przypominały jazdę ciężarówką po tafli lodu. Black hawk mógł przez jakiś czas lecieć bez paliwa, ale utrata systemu chłodzącego groziła spaleniem skrzyni biegów. Jollata zaczął rozglądać się za otwartą przestrzenią w pobliżu portu.

– Widzę lądowisko. Wszystkie systemy działają prawidłowo. Spada ciśnienie w skrzyni biegów.

Masywny black hawk nadal leciał przed siebie. Minął otwartą przestrzeń i prześlizgnął się nad ogrodzeniem bazy. Posadzenie maszyny w tych warunkach oznaczało dla Jollaty nie lada wyzwanie. Wiedział, że śmigłowiec nie utrzyma się w zawisie, polecił więc siedzącym z tyłu mechanikom przygotować się na twarde lądowanie. Wezwał przez radio służby ratownicze, by czekały na nich na ziemi, i uderzył helikopterem o podłoże, wykonując szybki zwrot przy prędkości około 120 kilometrów na godzinę. Udało mu się postawić śmigłowiec na kołach. Poczuli wstrząs, ale black hawk pozostał nietknięty i utrzymał pozycję pionową[127].

2

Po znalezieniu się na ziemi Wilkinson od razu usłyszał świst przelatujących dookoła kul. Było gorąco, a chmura pyłu przesłaniała widoczność. Podbiegł do muru po prawej stronie ulicy i czekał, aż opadnie pył.

Trzymał niewielką apteczkę i karabin CAR-15. Poza tym miał przy sobie radio, manierkę, amunicję i przypiętą do boku broń. Ciało chroniła kuloodporna kamizelka, a na głowie, zamiast kewlarowego hełmu noszonego przez większość żołnierzy, miał lekki, plastikowy kask hokejowy typowy dla operatorów Delty. Podczas specjalnych zadań, jakie otrzymywali komandosi, głowa była narażona przede wszystkim na różnego rodzaju uderzenia, a dopiero w drugiej kolejności na postrzał czy zranienie odłamkiem. Wilkinson wolał mały kask, ponieważ mógł do niego przyczepić na rzep latarkę.

W przedniej części kamizelki Wilkinsona znajdowała się ciężka ceramiczna płyta. Choć tego nie czuł, razem z całym sprzętem ważył o połowę więcej niż zwykle (bez ubrania jego waga wynosiła około 90 kilogramów). W śmigłowcu oddziału poszukiwawczo-ratowniczego wiele razy dyskutowano na temat plusów i minusów noszenia kamizelek z płytami ceramicznymi, które niestety były bardzo ciężkie i sięgały aż pod brodę siedzącym w helikopterze żołnierzom. Ponieważ oddział spędzał większość czasu właśnie w pozycji siedzącej, żołnierze skłaniali się ku temu, aby z nich zrezygnować. Sama kewlarowa powłoka była w stanie zatrzymać odłamek, a nawet kulę o średnicy 9 milimetrów. Wilkinson zakładał jednak, że Somalijczycy dysponują przede wszystkim karabinkami AK-47, których pociski mogą przebić kewlarową osłonę, zatem postanowił pomęczyć się i pozostawił płytę ceramiczną z przodu. Natomiast w myśl zasady: „Nigdy nie odwracaj się do wroga plecami", wyjął tylną osłonę.

Tymczasem dzisiaj, na skrzyżowaniu gruntowych dróg, przy których stały kamienne domy, wróg najwyraźniej strzelał ze wszystkich stron. Wilkinson nadal nic nie widział. Zdjął grube skórzane rękawice do fast-rope i przyczepił je do kamizelki, czekając, aż chmura pyłu przerzedzi się na tyle, by mógł ocenić swoje położenie.

Opuścili się na Marehan Road, szeroką drogę położoną przy miejscu katastrofy, na wschód od rozbitego śmigłowca, jednak na razie Wilkinson nie widział nigdzie wraku Super Six One. W porównaniu do innych dzielnic Mogadiszu ta wyglądała na dość zamożną. Szeroką, wiodącą z północy na południe ulicę przecinały pod kątem prostym wąskie alejki. Z pewnością Super Six One znajdował się w jednej z nich. Dookoła stały parterowe i jednopiętrowe domy z białego, szarobrązowego lub różowawego kamienia, które miały blaszane dachy i małe wewnętrzne podwórka. Niektóre budynki otynkowano i pomalowano, ale i tak każdy dom „ozdabiały" plamy burego błota. Poza nielicznymi wyjątkami, nawet w przypadku domów z pustaków, ściany były nierówne, a zaprawę murarską położono tak niedbale, że wyglądały jak przypadkowo ułożona kupka kamieni. Już na pierwszy rzut oka widać, że większości budynków w okolicy nie stawiali profesjonalni murarze. Na podwórkach i na ulicy rosły niskie drzewka.

Zobaczył kilku członków swojego oddziału zmierzających na zachód, w górę wąskiej drogi. Torby ze sprzętem i liny desantowe nadal leżały pośrodku Marehan Road, tuż obok długiego fragmentu jednego z roztrzaskanych śmigieł Super Six One. Podczas uderzenia o ziemię kawałki łopat wirnika zostały wyrzucone kilka ulic dalej. Nie zważając na latające wokół pociski, Wilkinson wybiegł na drogę i chwycił obie torby. Kiedy minął róg ulicy, zobaczył wrak helikoptera, który wydał mu się zaskakująco duży. Żołnierze często widzieli black hawki w powietrzu lub na wielkiej płycie lotniska, ale helikopter spoczywający w wąskiej uliczce przedstawiał opłakany widok. Przypominał leżącego na lewym boku, na brzegu morza, przebitego harpunem wieloryba. Belka ogonowa w kształcie litery T była powyginana. Dookoła leżały fragmenty śmigieł i silnika częściowo przykryte kamieniami oraz kawałkami tynku. Na przedniej części śmigłowca, obok drzwi do kokpitu po prawej stronie maszyny (znajdujących się teraz na górze) widniał prymitywny rysunek przedstawiający Indianina z haczykowatym nosem i piórem na głowie, pod którym znajdował się napis: „Siedzący Byk". Wilkinson przypomniał sobie, że „Bull"[128] Briley był drugim pilotem Six One.

Na miejscu rozpoczęła się już akcja ratunkowa. Operatorzy Delty i rangersi z oddziału poszukiwawczo-ratowniczego oraz część ludzi z grupy desantowej Chalk Two, którzy przybiegli tu od strony zaatakowanego dziś budynku, stworzyli kordon dookoła wraku i pilnowali, aby nikt nie podszedł do śmigłowca. Roztrzaskany nos maszyny był skierowany na wschód. Na uliczce znajdowało się kilku zabitych Somalijczyków, do których co chwila podbiegały kobiety i dzieci, aby zabrać broń lub ściągnąć z drogi trupy[129].

Sierżant Fales starał się zajrzeć do środka maszyny, kiedy poczuł, że coś szarpnęło go za lewą nogawkę. Zaraz potem pojawił się ból tak silny, jakby ktoś dźgnął go pogrzebaczem w mięsień łydki. Fales, postawny mężczyzna o szerokiej twarzy, który walczył w Panamie oraz podczas wojny w Zatoce Perskiej, poczuł nie tylko ból, ale także złość. Przez lata szkoleń czekał na taką chwilę, tymczasem zaledwie 3 minuty po tym, jak opuścił się na ziemię, postrzelono go. Jak miał wykonać zadanie i poprowadzić akcję ratunkową z wielką, krwawą raną w nodze?

Zeskoczył z wraku z wyrazem rozczarowania na twarzy. Kiedy kuśtykał w stronę ogona helikoptera, dogonili go Wilkinson oraz sierżant Delty Bob Mabry, który chwycił go pod ramię.

– Co się stało? – zapytał Wilkinson.

– Postrzelili mnie.

– Co?

– Postrzelili mnie. Jakiś pieprzony sukinsyn mnie trafił.

Fales i Mabry przykucnęli po południowej stronie uliczki, w dziurze, jaka powstała, gdy spadający black hawk uderzył o mur. Mabry rozciął nożyczkami spodnie Falesa i zobaczył, że kula przeszła przez mięsień łydki i przednią część nogi. Najwyraźniej nie zniszczyła żadnej z kości. W ranie widać było strzępy tkanki mięśniowej. Takie okaleczenie bywało bolesne, ale Fales, nie licząc silnego ukłucia zaraz po strzale, nic nie czuł. Zapewne zadziałał środek znieczulający, jakim była uwolniona pod wpływem strachu adrenalina. Mabry

wepchnął poszarpaną tkankę mięśniową do rany, przyłożył gazę i założył opatrunek polowy. Potem obaj poczołgali się z powrotem na ulicę, by schować się na niewielkiej, osłoniętej przestrzeni, jaka powstała pomiędzy kadłubem śmigłowca a jego zgiętym teraz ogonem[130].

Ponieważ jego partner został ranny, Wilkinson stał się bardziej uważny. Wcześniej sądził, że wróg zacznie ich atakować dopiero po kilku minutach. Podczas poprzednich akcji mijało od 10 do 20 minut, zanim Somalijczycy zdołali się zebrać i zaatakować Amerykanów. Tym razem było inaczej. Liczyła się każda sekunda. Kiedy oddział ratunkowy zbliżał się do miejsca katastrofy, nadeszła informacja, że główna część sił szturmowych wyruszyła samochodami spod domu stanowiącego cel ataku i będzie tu lada chwila. Trzeba było wydostać ze śmigłowca zabitych i rannych, udzielić niezbędnej pierwszej pomocy i położyć na noszach żołnierzy, którzy odnieśli najcięższe obrażenia, jeszcze zanim pojawi się konwój. Teraz zadanie będzie dużo trudniejsze, skoro postrzelono dowódcę zespołu.

Wilkinson zbliżył się do helikoptera, gdzie natknął się na snajpera Delty, sierżanta Jamesa McMahona, który był na pokładzie Super Six One w momencie katastrofy. McMahon znajdował się na górnej teraz części śmigłowca i usiłował wyciągnąć za sobą „Bulla" Brileya. Na spuchniętej twarzy McMahona widniały liczne rozcięcia, a skóra przybrała siny odcień. Wyglądał, jakby nałożył na twarz maskę potwora. Natomiast Briley najwyraźniej nie żył. Kiedy black hawk uderzył o ziemię, fragment metalu wbił mu się pod brodą, rozcinając pod kątem głowę. Wydobycie go nie sprawiło im większego problemu, gdyż był przypięty do fotela, który teraz znajdował się na górze. Wilkinson pomógł McMahonowi wyciągnąć Brileya, a następnie podać ciało innym żołnierzom. McMahon ponownie wszedł do kokpitu, aby sprawdzić stan Elvisa.

– Nie żyje – powiedział do Wilkinsona.

Ratownik wolał sprawdzić to sam, więc poradził McMahonowi, aby podszedł do kogoś, kto opatrzy mu twarz, a sam wszedł do kokpitu.

W środku panowała cisza. Ponieważ helikopter nie zapalił się, wewnątrz nie było dymu. Wilkinson zdziwił się, że wnętrze śmigłowca pozostało niemal nienaruszone. Wszelki sprzęt i inne elementy, które nie były przypięte, leżały teraz po lewej stronie kadłuba, za oparciem fotela pilota. Zapach benzyny unosił się w powietrzu, a w różnych miejscach ciekły płyny. Podstawił palec pod jedną z kapiących cieczy, powąchał i posmakował ją. Nie było to paliwo, lecz prawdopodobnie któryś z płynów hydraulicznych. Przez szerokie drzwi po prawej stronie, która teraz stała się sufitem, wpadało światło słoneczne.

Przez cały czas oglądał wnętrze śmigłowca, wisząc do góry nogami w otworze drzwiowym. Sięgnął w dół, aby sprawdzić, czy wyczuje puls Wolcotta. Niestety Elvis nie żył. Obaj piloci przyjęli na siebie główną siłę uderzenia, ale Wolcott miał o tyle gorzej, że śmigłowiec upadł na ziemię jego stroną. Blacha kadłuba zmiażdżyła mu dolną część ciała, teraz zablokowaną pod urządzeniami sterowniczymi. Górna połowa tułowia wciąż znajdującego się w fotelu pilota pozostała nietknięta. Wilkinson spróbował wsunąć dłoń pomiędzy urządzenia sterownicze a nogi Wolcotta, jednak okazało się to niemożliwe. Wszedł więc do kokpitu i podczołgał się za fotel pilota, aby sprawdzić, czy uda się go odciągnąć lub odchylić w tył. Niestety ten sposób

wyciągnięcia zwłok nie miał być łatwiejszy. Wówczas wyszedł na zewnątrz i począł odgarniać szczątki maszyny oraz gruz z ziemi przy lewym boku helikoptera, mając nadzieję, że być może uda się wyjąć pilota przez dziurę, która mogła powstać w kadłubie w momencie katastrofy. Ciężki black hawk jednak uderzył o ziemię z taką siłą, że wbił się głęboko w podłoże. Okazało się, że wydostanie zwłok Wolcotta nie będzie łatwe[131].

3

Niedługo przed tym, jak rangersi opuścili się na linach w pobliżu rozbitego śmigłowca, Abdiaziz Ali Aden wyskoczył szybko spod zielonego volkswagena i rzucił się do ucieczki. Ten szczupły somalijski nastolatek z gęstą czupryną widział, jak helikopter zaczepił o dach jego domu, a potem runął na ulicę. Chłopak pomógł rodzinie znaleźć bezpieczniejsze miejsce i wrócił, aby bronić domu przed szabrownikami. W ten sposób znalazł się w centrum walki.

Zauważył, że jeden z Amerykanów, którzy opuścili wiszący nad ulicą helikopter, podnosi karabin M16 leżący obok człowieka, którego dopiero co postrzelono. Kiedy żołnierz ruszył w stronę Adena, ten wpadł w panikę, wypełzł spod samochodu i popędził z powrotem do domu, zatrzaskując za sobą drzwi. Wbiegł do niewielkiej spiżarni na przodzie budynku, w której znajdowały się dwa okna. Jedno z nich wychodziło na ulicę, gdzie leżał wrak, a drugie na Marehan Road, gdzie z helikoptera opuszczali się kolejni rangersi. Wkrótce na skrzyżowaniu i odchodzącej od niego ulicy zaroiło się od Amerykanów. Odgłos strzelaniny przybrał na sile. Ściany domu zbudowano z dużych kamieni, zatem schronienie Adena, choć położone tak blisko miejsca walk, było bezpieczne.

Aden obserwował amerykańskich żołnierzy z pośpiechem penetrujących wrak. Wyciągnęli pilota, na którego przeraźliwie bladej twarzy znajdowało się straszliwe i głębokie rozcięcie. Człowiek na pewno nie żył, więc położyli jego ciało przy ogonie maszyny. Dwóch rangersów umieściło wielki karabin na dachu fiata stojącego w poprzek ulicy. Aden pomyślał, że wygląda to dość śmiesznie – niewielki samochód zmienił się w wóz bojowy. Jeden z żołnierzy wpełzł do dziury ze śmieciami. Rodzina i sąsiedzi Adena składowali śmieci w wykopanych w tym celu dziurach lub rowach przed domem. Wrzucali tam odpadki, a kiedy otwór był pełen, podpalali je. Tymczasem żołnierz dosłownie zakopał się w śmieciach, spod których wystawała mu tylko głowa i karabin. Amerykanin otworzył ogień i ani na chwilę nie przestawał strzelać[132].

4

Sierżant Al Lamb ucieszył się, kiedy znalazł dziurę w ziemi. Nie obchodziło go, czym jest wypełniona. W stronę Amerykanów leciały kule z różnych kierunków i nie było wiadomo, za czym się schować. Somalijczycy wystawiali karabinki AK-47 znad szczytu muru. Lamb, mijając po drodze śmigłowiec, doszedł do końca ulicy razem z sierżantem Delty Markiem Beldą i pełnym zapału młodym Robem Phippsem[133].

Phipps opuścił się z helikoptera razem ze specjalistą Johnem Belmanem, po czym obaj natychmiast wpadli do budynku obok, aby nie przebywać na ulicy. Wpadli na kobietę w turbanie, ubraną w purpurową kraciastą suknię. Somalijka, której brakowało przedniego zęba, krzyknęła. Phipps zobaczył pięcioro czy sześcioro małych dzieci, które ukryły się pod łóżkiem. Kobieta padła na kolana, uniosła ręce do góry i błagała ich o coś w nieznanym im języku. Rangersi wycofali się i wybiegli na ulicę, gdzie zobaczyli ogon helikoptera. Stał tam sierżant McMahon ze spuchniętą, posiniaczoną twarzą, który krzyczał do nich:

– Dwanaście! Dwanaście!

Chciał przez to powiedzieć, że potrzebna jest osłona ogniowa na godzinie dwunastej.

Phipps ustawił się przy kamiennym murze, blisko którego spadł śmigłowiec. Około sześciu metrów przed nim ulicę przecinała kolejna piaszczysta droga. Po obu jej stronach stały kamienne mury, zza których wystawały kępy drzew. Mniej więcej od połowy drogi do skrzyżowania aż do miejsca, gdzie leżał wrak, na ulicy rosły kaktusy. Phipps, dzięki przesłaniającym go kaktusom oraz leżącemu na ziemi helikopterowi, pozostawał niewidoczny dla nieprzyjaciół, którzy mogli pojawić się z tyłu. Starał się nie podchodzić do rogu ulicy, aby nie ujawnić swojej pozycji i nie narazić się na strzały. Przez jakiś czas był tam sam. W końcu poczuł się nieco niepewnie, wyciągnął więc podręczne radio, połączył się z sierżantem Lambem i poprosił o pomoc. Wówczas pojawił się sierżant Steven Lycopolus, który przyczaił się po drugiej stronie ulicy, tuż przy wyrwie, jaką spadający black hawk zrobił w murze po południowej stronie. Plecy osłaniała mu kupa kamieni i fragmenty tynku pochodzące ze zniszczonego betonowego muru. Głównym celem Amerykanów było teraz zlikwidowanie snajperów po wschodniej stronie, którzy intensywnie ostrzeliwali ulicę, i niedopuszczenie, aby któryś ze „zdechlaków” zbliżył się do wraku. Wkrótce Somalijczycy postanowili spróbować szczęścia. Najpierw w kierunku wraku zaczął skradać się mężczyzna z AK-47 w ręku, w luźnej, białej bawełnianej koszuli, workowatych spodniach i sandałach, który powoli, mierząc z broni, szedł w ich kierunku. Phipps strzelił do niego, Somalijczyk upadł na ulicę. Następnie wybiegł w ich kierunku kolejny mężczyzna, który chciał zabrać broń zabitego. Phipps zastrzelił go. A potem jeszcze jednego. Później do Phippsa i Lycopolusa dołączyli Lamb, Belda i specjalista Gregg Gould. Belda przyszedł do Phippsa, Gould wsparł Lycopolusa, natomiast Lamb schował się w dziurze.

Rangersi z grupy desantowej Chalk Two, którzy pojawili się tu pierwsi, zajęli pozycję na godzinie szóstej. Rozproszyli się tak, aby osłaniać wszystkie cztery strony dużego skrzyżowania na zachód od miejsca katastrofy. Natomiast pięciu żołnierzy na godzinie dwunastej starało się bronić pozycji najlepiej, jak potrafili, osłaniając nieco mniejsze skrzyżowanie po stronie wschodniej. Trzymali się blisko helikoptera. Lamb czuł, że jeśli jego ludzie przejdą na drugą stronę skrzyżowania, mogą zostać odcięci od pozostałych.

Wydawało się, że większość strzałów padających w ich kierunku pochodziła z kępy drzew znajdującej się około 20 metrów dalej, za wysokim murem po drugiej stronie skrzyżowania, dokładnie przy jego południowo-wschodnim rogu. Pociski zostawiały ślady w kamiennym murze i ryły dziury w ziemi wokół Phippsa, który słyszał, jak dziurawią metalowy kadłub black hawka.

Lycopolus i Gould byli najbliżej muru, zaczęli więc przerzucać przez niego granaty, które eksplodowały jeden za drugim. Strzelanie jednak nie ustało. Wówczas Belda zaczął strzelać z karabinu M249 w kierunku drzew, podczas gdy Phipps podrzucił Lycopolusowi własne granaty. Kiedy sierżant sztabowy wyrzucił pierwszy z nich, poczekał, aż ten wybuchnie, a następnie rzucił drugim. Tym razem eksplozja nie nastąpiła. Zamiast tego kilka sekund później na ich stronę ulicy spadło coś, co wyglądało na ten sam granat, który ktoś odrzucił z powrotem. Albo Lycopolus nie wyjął zawleczki z ostatniego granatu, jaki przerzucił przez mur, albo pocisk okazał się felerny, a Somalijczycy za murem mieli własny amerykański granat.

Phipps padł na ziemię, a kilka głosów zawołało równocześnie: „Granat!". Kiedy poczuł siłę wybuchu, miał wrażenie, że ktoś przyłożył mu pięścią w brzuch. Na chwilę zabrakło mu tchu. Wydawało mu się, że się pali, dzwoniło w uszach, kłuło w nosie, a w ustach pozostał gorzki, metaliczny posmak. Nawet kiedy zniknęła kula ognia, która zajęła ulicę w momencie eksplozji, Phipps nadal czuł, że pieką go nogi i plecy. Doznał poważnych poparzeń. Jego twarz była osmolona i zaczynała puchnąć, podobnie jak oczy, które miał teraz zamknięte. Kiedy doszedł do siebie, podniósł głowę i spojrzał za ramię. Gould także oberwał i krwawił teraz z pośladków. Któryś z Somalijczyków wbiegł na drogę i podniósł AK-47 leżący na stosie martwych i rannych ludzi. Kiedy wymierzył w stronę żołnierzy, jeden z operatorów Delty znajdujących się przy wyrwie w ścianie z tyłu powalił go na ziemię szybką serią. Głowa mężczyzny rozpadła się.

Operator pomachał do Phippsa, krzycząc:

– Chodź tutaj! Szybko!

Phipps starał się wstać, ale lewa noga odmówiła mu posłuszeństwa. Spróbował ponownie i znowu upadł.

– Tutaj! – krzyczał operator Delty.

Phipps zaczął się czołgać. Zranione miejsca piekły go nieznośnie, a lewa noga była niesprawna. Kiedy zbliżył się do operatora Delty wystarczająco blisko, ten chwycił w dłonie jego twarz, a następnie przyciągnął go do pozostałych.

Phipps spanikował.

– Do diabła! Trafili mnie! Trafili!

– Wszystko w porządku – zapewnił go operator Delty. – Nic ci nie będzie.

Rozdarł mu spodnie i założył opatrunek polowy.

Phippsowi podcięto skrzydła. Jego udział w walce się skończył[134].

Około 2 kilometrów dalej na południowy zachód pilotowany przez Mike'a Goffenę i Jima Yacone'a black hawk krążył nad miejscem, gdzie rozbił się śmigłowiec Duranta. Załoga Super Six Four miała szczęście. W tej części miasta nie brakowało kamiennych domów i innych solidnych budynków, ale w miejscu, gdzie Durant oraz drugi pilot Ray Frank spadli na ziemię, stały tylko niechlujne chałupy i blaszane budy. Nawet zahaczywszy o którąś z tych wątłych konstrukcji, black hawk nie odwróciłby się do góry nogami. Było to bardzo ważne, gdyż kiedy śmigłowiec lądował w pozycji pionowej, jego amortyzatory działały prawidłowo i maszyna mogła wytrzymać nawet dość silne zderzenie z ziemią. Tak też się stało.

Załoga drugiego rozbitego śmigłowca miała jednak mniej szczęścia pod innymi względami. Oddział poszukiwawczo-ratowniczy udzielał już pomocy ofiarom pierwszej katastrofy. Nikt nie spodziewał się, że dwa helikoptery spadną na ziemię prawie równocześnie. Durant, drugi pilot Ray Frank oraz reszta załogi musieli teraz czekać na pomoc ze strony sił lądowych. Czas działał na ich niekorzyść, a z każdą minutą robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Goffena i Yacone, którzy obserwowali sytuację z góry, już teraz widzieli wylewający się na pobliskie ulice i ścieżki, zmierzający w stronę rozbitego śmigłowca tłum Somalijczyków.

Na pomoc wezwano kompanię sił szybkiego reagowania (2. Batalion, 14. Pułku Piechoty, 10. Dywizji Górskiej). Pod dowództwem podpułkownika Billa Davida stu pięćdziesięciu żołnierzy w dziewięciu dwuipółtonowych ciężarówkach oraz dwunastu hummerach zmierzało w kierunku bazy rangersów. Jechali okrężną drogą, aby ominąć teren miasta. Nikt nie wiedział dokładnie, jak można dotrzeć do helikoptera Duranta. Na ekranach w centrum operacyjnym było go widać bardzo wyraźnie, ale obraz ten nie był pomocny w precyzyjnym określeniu miejsca katastrofy. Nie czekając, aż do bazy dotrą siły szybkiego reagowania, Garrison zorganizował konwój ratunkowy złożony ze wszystkich w miarę sprawnych żołnierzy w bazie. W pierwszych pojazdach mieli jechać rangersi i operatorzy Delty, którzy brali udział w ewakuacji szeregowego Blackburna, a za nimi żołnierze na co dzień stanowiący personel pomocniczy, czyli rusznikarze, kucharze, ludzie od amunicji, specjaliści do spraw łączności, włączając w to kontrolera ruchu lotniczego, który sam zgłosił się do udziału w walce.

Nawet wiedząc, że ten zorganizowany naprędce konwój opuszcza już bazę, piloci mieli świadomość, że pomoc dla załogi śmigłowca Duranta nie zdoła dotrzeć wystarczająco szybko. Tłum przepełnionych agresją wściekłych Somalijczyków mógł napaść na załogę z rozbitego Super Six Four już za kilka minut.

Goffena i Yacone w Super Six Two oraz dwa helikoptery Little Bird starali się trzymać motłoch z daleka. Na pokładzie Super Six Two, poza dwoma mechanikami pełniącymi też funkcję strzelców pokładowych, znajdowali się trzej snajperzy Delty; sierżant Randy Shughart, starszy sierżant sztabowy Gary Gordon i sierżant Brad Hallings. Widząc zbliżających się Somalijczyków, operatorzy Delty powiedzieli pilotom, że będzie im łatwiej pomóc w walce z napastnikami, jeśli znajdą się na ziemi. Mogliby powstrzymać tłum do czasu, aż pojawi się wsparcie lądowe. Yacone poprosił o pozwolenie na desant snajperów.

– Zaczekajcie, nie wiemy nawet, czy ktoś przeżył – odpowiedział im pułkownik Matthews siedzący razem z Harrellem w śmigłowcu dowodzenia i nadzoru.

Ponieważ załoga rozbitego helikoptera nie odzywała się przez radio, Goffena przeleciał nisko nad wrakiem. Udało mu się zauważyć Duranta, który siedział w kokpicie i usiłował ściągnąć z nóg fragment blaszanego dachu. Zatem pilot był żywy. Tymczasem Yacone dostrzegł, że Ray Frank także się rusza. Przelecieli na tyle nisko, że widać było sfrustrowany wyraz twarzy przyjaciela. Kilka lat temu Frank przeżył katastrofę śmigłowca spowodowaną uszkodzeniem wirnika ogonowego. Miało to miejsce podczas jednej z misji szkoleniowych. Zginęło wówczas wielu znajdujących się na pokładzie żołnierzy, a Frank miał złamaną nogę i zmiażdżone kręgi. Od tego czasu brał udział w przedłużającym się sporze prawnym dotyczącym tego wydarzenia. Goffena pomyślał, że Frank wygląda, jakby mu wypisano na twarzy słowa: „Cholera, nie mogę uwierzyć, że znowu mnie to spotkało!". W tylnej części helikoptera widać było jakiś ruch. Możliwe że przeżył też Bill Cleveland albo Tommy Field, a może nawet obaj.

Yacone poinformował Matthewsa, że trzy osoby przeżyły upadek. Pułkownik polecił im, aby wstrzymali się z desantem.

Zatem Shughart, Gordon, Hallings i mechanicy w Super Six Two robili co w ich mocy, atakując napastników z powietrza. Celów było mnóstwo, w tym przede wszystkim osoby z granatnikami przeciwpancernymi, których zachowanie sugerowało, że dwukrotny sukces w zestrzeleniu helikoptera ośmielił ich jeszcze bardziej. Lecąc nisko, Goffena natarł na tłum, a podmuch wywołany przez pracę wirnika popchnął ludzi do tyłu, odsłaniając ukrytych, stabilnie trzymających swoje pozycje strzelców. Dzięki temu udało się ich unieszkodliwić. Niestety, kiedy tylko snajperzy zabili kilku Somalijczyków z granatnikami, ich broń chwytali następni.

Goffena zauważył też, że obniżając lot nad tłumem, naraża maszynę na postrzał. Razem z Yaconeem słyszeli kule odbijające się od metalowych ścian kadłuba. Co jakiś czas widzieli nad sobą lub z przodu charakterystyczny łuk, a pociski uderzały o łopaty wirnika, wyrzucając snopy iskier i tworząc jasną linię przed kokpitem helikoptera. Goffena przyspieszył i starał się trzymać południowej strony, gdzie ostrzał zdawał się być nieco słabszy. To jednak także wiązało się z ryzykiem – obok, po południowej stronie, znajdowała się dzielnica nazywana Villa Somalia, zamieszkana przez wielu członków milicji Aidida.

Połączyli się przez radio z dowództwem, domagając się natychmiastowej pomocy.

– „Alpha Five One [Matthews], tu Super Six Two [Yacone]. Potrzebne wsparcie przy zabezpieczeniu drugiego miejsca katastrofy".

Kilkakrotnie powiedziano im, że pomoc nadejdzie lada chwila.

Jeden z pilotów śmigłowca Little Bird poinformował:

– „Musimy opuścić na ziemię kilku ludzi z sił naziemnych, inaczej nie uda nam się ochronić wraku. Na pokładzie jest za mało załogi".

– „Zrozumiałem, zaczekajcie. Pracujemy nad tym... W porządku, tu Adam Six Four [Garrison], niewielka grupa rangersów wyjedzie za chwilę z bazy i będzie kierować się do miejsca drugiej katastrofy. Ktoś musi nimi pokierować"[135].

6

Dale Sizemore[136] słuchał komunikujących się przez radio żołnierzy i wychodził z siebie. Pozostali rangersi, jego kumple, których traktował jak braci, utknęli na polu walki i znajdowali się pod ostrzałem. Słyszał okrzyki bólu i strachu atakowanych żołnierzy. Trwała bitwa, do której przygotowywali się przez wiele lat, a on siedział przy radiu z pieprzonym gipsem na ramieniu!

Kilka dni wcześniej Sizemore doznał kontuzji łokcia podczas głupawych zabaw w hangarze. Oficerowie z grupy zadaniowej mieli rozegrać mecz siatkówki ze wszystkimi podoficerami, jednak jeszcze przed rozgrywką niżsi rangą żołnierze zastawili pułapkę na dowódców. Przykuli ich do noszy plastikowymi kajdankami oraz mocną taśmą klejącą, a następnie zanieśli na boisko, gdzie oblali ich wodą i poniżali na różne sposoby. Niektórzy stawiali opór. Dowódca rangersów Steele wszczął bójkę godną byłego gracza drużyny futbolowej reprezentującej Georgię na narodowych mistrzostwach. Jeszcze trudniej było obezwładnić kilku oficerów Delty. Sizemore był pierwszym, który uderzył podpułkownika Harrella. Miał wrażenie, że uderzył w mur. Sizemore był umięśniony, a jego nogi przypominały pale. W szkole średniej ćwiczył zapasy i był w tym całkiem niezły. Harrell jednak powalił go na beton jak boksera wagi muszej. Podczas upadku Sizemore uderzył się w łokieć, ale nie zwrócił na to większej uwagi. W końcu udało mu się skrępować Harrella z pomocą pięciu innych rangersów. Następnego dnia, podczas lotu profilowego nad miastem, Sizemore znów uderzył w coś łokciem. Wtedy zauważył, że jest miękki i nabrzmiały.

Kiedy dwa dni po tych wygłupach, w piątek wczesnym rankiem obudził się na łóżku pod moskitierą, jego łokieć był spuchnięty i bolał tak bardzo, że Sizemore nie mógł zasnąć. Połknął cztery tabletki przeciwbólowe i resztę nocy drzemał na siedząco. O świcie śmigłowiec zabrał go do szpitala przy starej ambasadzie amerykańskiej. Stwierdzono lipodystrofię i zapalenie kaletki maziowej, po czym wykonano dziesięciocentymetrowe nacięcie w celu osuszenia stawu.

Sizemore był zdruzgotany. Już drugi dzień z kolei siedział na szpitalnym łóżku, patrząc, jak wstaje jasny afrykański ranek, i myśląc o tym, jak bardzo będzie mu brakowało tego miejsca. Po raz pierwszy znalazł się w strefie walk i był tym zachwycony. Ten dobrze zbudowany, jasnowłosy strzelec M249 z Illinois wytatuował sobie na wydatnym mięśniu lewego ramienia obie istniejące odznaki rangersów. Kumple byli dla niego jak rodzina.

A hangar? W hangarze można było mieć niezły ubaw. Nadal codziennie odbywali trening fizyczny, stali na warcie i wykonywali inne zadania, jednak od kiedy znaleźli się w Mogadiszu, nawet zwyczajowe idiotyzmy, jakimi musieli zajmować się żołnierze regularnej armii, nie wypełniały całego wolnego czasu. Często więc grali w siatkówkę, a pusty magazyn z betonowymi ścianami i wysokim sufitem okazał się doskonałym miejscem do ping-ponga. Gdy grali Rumuni, piłka latała w powietrzu pod tak niesamowitymi kątami, jakby miała własną inteligencję. Grywali też w remika (cwany, mały szeregowy Othic wygrał kiedyś kilka rozgrywek z rzędu), godzinami grali w planszówki takie jak scrabble, ryzyko czy stratego. Kiedy nie trenowali lub nie zajmowali się dopracowywaniem szczegółów związanych z walką, wypełniali czas czytaniem książek, grą na konsoli, oglądaniem filmów, pisaniem listów do domu lub kręcili się bez celu. Sizemore lubił stawać w przejściu za głównym hangarem i cieszyć się orzeźwiającą, oceaniczną bryzą. Zakładał wtedy na uszy słuchawki i odpływał myślami na mniej więcej godzinę. Mieli tu nawet plażę. Co prawda w oceanie roiło się od rekinów[137], ale plaża to plaża. Biorąc pod uwagę unoszący się w powietrzu kurz i piasek oraz ograniczony dostęp do pryszniców (mogli się kąpać co kilka dni), bliskość plaży była prawdziwą atrakcją, przynajmniej w porównaniu ze standardami, do jakich przyzwyczaili się rangersi.

Wszyscy inni poza rangersami uważali, że warunki w bazie są surowe. Każdy miał przydzieloną prostokątną przestrzeń o wielkości mniej więcej 10 metrów kwadratowych. W myśl niepisanego protokołu, jaki w związku z tym powstał, trzeba było zapytać o pozwolenie przed wejściem na teren kolegi. Na rogach każdego łóżka znajdowały się wąskie drewniane pręty, na których wieszano moskitiery chroniące żołnierzy przed żarłocznymi somalijskimi komarami. Hangar był brudny, a w środku można było wyczuć specyficzny, piżmowy odór typowy dla krajów Trzeciego Świata. Pas startowy, na którym stały wszystkie helikoptery, znajdował się tuż za wielkimi drzwiami na przodzie budynku, więc do środka dostawał się zapach słonego oceanicznego powietrza zmieszany ze słodkim aromatem oleju i paliwa. Żołnierze musieli owijać karabiny, aby nie dostał się do nich piasek ani pył, który osiadał na wszystkim. Blaszany dach z licznymi, pokaźnymi dziurami, przeciekał w kilku miejscach. Podczas deszczu woda wlewała się do środka z różnych stron. Niektóre jednostki zaznaczały swój teren workami z piaskiem, w związku z czym hangar zmieniał się w swoisty labirynt, co nadawało temu miejscu domową atmosferę. Żołnierze z sił powietrznych zbudowali na tyłach coś w rodzaju pomysłowej przebieralni. Na rynnach przy tylnej ścianie wisiała amerykańska flaga, a obok niej domowej roboty plakat przestawiający 3. Batalion, dumę 75. Pułku. Najbliżej drzwi miały łóżka załogi helikopterów, w rogu po lewej stronie od wejścia znajdowały się kwatery operatorów Delty, natomiast reszta hangaru należała do rangersów – kumpli Sizemore'a. Jego łóżko znajdowało się pośrodku budynku, blisko tylnej ściany. Czasem kładł buty na plecaku i przyglądał się szczurom biegającym w zawiłej plątaninie rynien nad jego głową lub patrzył, jak jastrzębie, których gniazdo z pisklętami znajdowało się na drzewie, nurkują nisko, by ostrymi pazurami chwytać w locie gołębie.

A czy mogło być coś fajniejszego od mieszkania z operatorami Delty nazywanymi „strasznymi D"? Byli śmietanką armii, a na dodatek potrafili o siebie zadbać. Podczas osiemnastogodzinnego lotu na pokładzie wielkiego samolotu C-141 Starlifter „błękitne koszule" sił powietrznych kazały wszystkim pozostać na swoich miejscach. Twardziele z Delty po prostu ich olali i zaraz po starcie rozwinęli termiczne karimaty (błyszcząca,

metalowa podłoga samolotu robi się lodowata na dużej wysokości), włożyli ocieplane poncho, włożyli sobie zatyczki do uszu, zasłonili oczy przepaskami, połknęli „niebieskie bombowce" (valium w tabletkach) i poszli spać[138]. Żołnierze Delta Force znali różne sztuczki, jak na przykład oklejanie taśmą zawleczek od granatów, aby zapobiec ich wypadnięciu lub przypadkowemu zaczepieniu o inny sprzęt. Kiedy szli na bitwę, na kolana nakładali ochraniacze, dzięki którym mogli szybko klęknąć i przyłożyć broń do strzału, a potem pozostać w tej pozycji tak długo, jak to konieczne. Podczas upału nie wkładali na siebie całego ekwipunku. Mieli na sobie koszulki, szorty i klapki, przy czym niektórzy z nich chodzili nawet bez koszulek. Każdy nosił okulary przeciwsłoneczne. Jeśli nie było im dane wyspać się w nocy, rano trochę dłużej zostawali w łóżkach. Idąc na misję, brali ze sobą tylko tę broń, która wydawała się niezbędna, pozostawiając resztę. Każdy z nich miał przynajmniej rangę sierżanta, ale stopnie wojskowe nic dla nich nie znaczyły. Zarówno oficerowie, jak i żołnierze niżsi rangą zwracali się do siebie po imieniu lub używając różnych przezwisk. Podczas szkolenia uczono ich samodzielności. Podejmując decyzje, mieli kierować się zdobytym doświadczeniem, a nie podręcznikowymi zasadami. Znali broń, taktykę i cele lepiej niż inni żołnierze i, ogólnie rzecz biorąc, byli panami własnego życia, co było czymś wyjątkowym w amerykańskiej armii.

Niektórzy operatorzy, na przykład blondyn Norm Hooten, krępy Earl Fillmore lub masywnej budowy Paul Howe, brali udział w treningach rangersów, przekazując im cenne wskazówki związane z tym, jak zabijać i siać zniszczenie. Hooten pokazał specjaliście Dave'owi Diemerowi lepszy sposób strzelania z biodra karabinem M249 i poprosił jednego z rusznikarzy Delty, aby dorobił specjalną rączkę, która ułatwi strzelanie. Niektórym dawali specjalnie w tym celu uszyte czarne, płócienne worki, do których można było wrzucić M249. Chroniło to bęben amunicyjny (który często ulegał uszkodzeniom podczas desantu) karabinu trzymanego przez opuszczającego się na linie żołnierza. Cennych wskazówek było wiele. Dwudziestoośmioletni Fillmore, jeden z najmłodszych członków Delty, pokazał im, jak można silnym kopnięciem, które zaburzało krążenie w tętnicy udowej, sprawić, że wróg padnie nieprzytomny. Howe pokazał im techniki szukania osłony na terenie miejskim oraz sposoby przejmowania pomieszczeń. To było ekstra.

Inny żołnierz Delty Dan Busch w przeszłości kilka lat należał do rangersów. Potem stał się niezwykle tajemniczy. Żołnierze, którzy znali go wcześniej, uważali, że Busch bardzo się zmienił. Teraz zwracano się do niego „Dan", a nie „sierżancie Busch". Kilku ludzi z kompanii Bravo znało go jako złośnika i raptusa. Ten porywczy mężczyzna zmienił się w cichego, spokojnego, religijnego człowieka – był zupełnie inną osobą. Dużo czasu spędzał, czyszcząc broń na łóżku lub ogrywając nowych w scrabble.

Niektórzy z jednostki stali się już legendą, na przykład doświadczony Tim Martin o luzackim stylu bycia i ciętym dowcipie. Martin miał na twarzy duże, czerwone znamię. Nadano mu przydomek „Griz"[139], który bardzo do niego pasował. Griz był po czterdziestce i dotąd brał udział w prawie każdym konflikcie zbrojnym (zarówno oficjalnym, jak i tajnym) od czasu wojny wietnamskiej. Służył w armii od przeszło dwudziestu lat. Nic nie mogło go speszyć ani ogłupić. W domu czekała na niego żona i trzy córki. W przyszłym roku planował przejście na emeryturę i otwarcie własnego biznesu. Najciekawszym jednak człowiekiem z Delty był „Mace". John Macejunas to były rangers znany z wesołego, bezpretensjonalnego stylu bycia. Miał

jasną czuprynę i brązową opaleniznę, które nadawały mu wygląd surfera. Mace nie był tak krzepki, jak inni, ale jego budowa ciała nadawała nowe znaczenie słowom „trzymać formę". Miał na sobie tak niewiele tłuszczu, że jego umięśnione ciało wyglądało jak żywy przykład męskiej muskulatury. W przeciwieństwie do niefrasobliwego Griza Mace pracował nad sobą na pełnych obrotach. Ćwiczył tak dużo, robiąc pompki, brzuszki, podnoszenie nóg, podciąganie na drążku oraz męcząc się na różne inne wymyślone przez siebie sposoby, że rangersi patrzyli na niego jak na mutanta. Nawet w żołnierzach ze swojej jednostki Mace budził podziw i wprawiał ich w zdumienie. Mówiono, że niczego się nie bał[140].

Rangersi nigdy wcześniej nie mieli okazji poznać się lepiej z operatorami Delty, mimo że zdarzyło im się raz czy dwa razem ćwiczyć. Przebywanie z nimi było jak nieustające lekcje udzielane przez najlepszych ekspertów w tym biznesie.

Największym problemem związanym z mieszkaniem w hangarze był oczywiście brak kobiet. W pobliżu znajdowały się co prawda przedstawicielki płci przeciwnej, ale były to głównie pielęgniarki, które pracowały w innej części bazy lub na terenie bazy ONZ. Chłopakom było ciężko. Nie brakowało im czasopism pornograficznych, a wielu rangersów traktowało masturbację niezwykle swobodnie. Większość z nich była dyskretna, ale niektórzy zachowywali się wulgarnie i bezczelnie. Potrafili na przykład stanąć przy łóżku i krzyknąć: „Zaraz wytrzepię sobie wacka". Specjalista John Collett, strzelec M249, wcale się nie krępował i miał zwyczaj przechwalać się swoim repertuarem, opisując nowe wymyślone przez siebie techniki onanistyczne: „Człowieku, szkoda, że mnie nie widziałeś zeszłej nocy. Bez kitu, z trudem łapałem oddech!"[141]. Poza tym wymyślał przeróżne niesamowite miejsca do brandzlowania się. Collett twierdził, że któregoś razu zafundował sobie „konia w locie", czyli masturbował się, wisząc na otwartym spadochronie. To było żałosne. Kiedy jeden z ratowników medycznych dostał pocztą nadmuchiwaną lalkę[142], prawie nikt się z tego nie śmiał. Żołnierze zmuszeni tłumić podniecenie byli zdolni do jeszcze bardziej szczeniackich i głupkowatych zachowań niż zazwyczaj. Kapral Jim Cavaco pewnej nocy chodził po hangarze, trzymając penisa na nylonowym sznurku, który chwycił delikatnie w dwa palce. Mówił wszystkim: „Zabieram kumpla na spacer".

Często grali w ryzyko, czyli planszową grę, w której oznaczone różnymi kolorami wojska walczyły o panowanie nad światem. Ciągnąca się godzinami rozgrywka była bardzo czasochłonna, więc pomagała walczyć z nudą. Szeregowy Jeff Young, wysoki, jasnowłosy radiooperator z wielkimi okularami zaczepionymi na zbyt małym w stosunku do pociągłej twarzy nosie pochodził z północnej części stanu Nowy Jork. Young dorastał, grając w ryzyko z pięcioma braćmi, toteż był tak dobry, że inni koledzy tworzyli koalicje, aby łatwiej im było wykluczyć go z gry. Young oraz sierżant Mike Goodale pożyczyli grę od operatorów Delty niedługo po przybyciu do Somalii i grali w nią tak często, że oddział Delty musiał zamówić sobie nową. Young i Goodale ustawiali planszę blisko swoich półek. Z reguły gromadziła się wokół niej grupa tych samych żołnierzy. Przy planszy wszyscy zapominali o stopniach wojskowych: szeregowi, sierżanci, a nawet oficerowie. Dokuczali sobie nawzajem i wrzeszczeli jeden na drugiego tak, jak zazwyczaj robi to paczka kumpli.

Nawet z nocnego ataku moździerzowego można było robić sobie żarty. Somalijczycy ostrzeliwali otoczony płotem teren bazy. Odgłos spadających pocisków przypominał rumor walącej się sterty pustych puszek. Na początku hałas irytował i straszył żołnierzy. Słysząc huk, padali na ziemię lub szukali schronienia. Somalijczycy mieli jednak tak kiepskiego cela, że mało kiedy w coś trafiali, więc po jakimś czasie żołnierze, rzucając się na ziemię, wydawali z siebie radosne okrzyki. Ktoś, prawdopodobnie Dom Pilla, odkrył, że jeśli podniosło się dużą pokrywę od chłodziarki do wody sodowej, a następnie puściło ją, wydawała ten sam dźwięk, co spadający pocisk z moździerza. Kilka razy udało mu się nabrać w ten sposób żołnierzy, którzy padali na ziemię ze strachu. Już wkrótce, słysząc wystrzały z moździerza, żołnierze nawet nie kłopotali się, aby się schylić. Wydawali tylko wesołe okrzyki. Pewnej nocy pocisk uderzył w hangar tak blisko Sizemore'a, że ten zobaczył iskry ze szrapnela, który odbił się od ściany. Wszyscy klaskali i gwizdali. Po drugiej stronie drogi[143] wystraszeni, nieprzyzwyczajeni do warunków bitewnych ludzie z personelu medycznego trzymali się za ręce i śpiewali pieśni religijne, tymczasem rozbawieni rangersi krzyczeli wesoło jak szaleńcy. Chłopaki z hangaru wymyśliły nawet totolotka. Za dolca można było kupić określony, dziesięciominutowy okres – ten, kto zapłacił za przedział czasowy, w którym rozległ się odgłos upadającego pocisku z moździerza, zgarniał całą pulę. Zatem po wesołym okrzyku następującym po uderzeniu pocisku wszyscy biegli zobaczyć listę z imionami, aby sprawdzić, kto wygrał. Nikt nie określił jednak, kto otrzymałby nagrodę, gdyby pocisk trafił zwycięzcę.

W pokoju telewizyjnym znajdowały się trzy telewizory oraz trzy magnetowidy. Żołnierze zazwyczaj zbierali się tutaj, aby obejrzeć CNN[144]. Czasem oglądali akcję, w której uczestniczyli. Kiedy po pierwszej misji żołnierze wrócili do bazy z zakutymi w kajdanki Somalijczykami, ze zdziwieniem zobaczyli siebie na ekranach, zanim jeszcze zdążyli rozebrać się i zdjąć sprzęt. Ich tajna akcja została nagrana z pewnej odległości przy użyciu kamer ze światłem podczerwonym. Żaden z nich nigdy nie rozmawiał z reporterami, toteż śmiali się głośno, wręcz ryczeli ze śmiechu, słysząc, jak bardzo media przekręcały fakty dotyczące ich misji.

Siły zbrojne miały też do dyspozycji dwa kanały radiowe. Na jednym z nich prawie cały czas leciała muzyka country, natomiast na drugim istniał podział na muzykę „białą", czyli głównie rock klasyczny oraz „czarną", czyli rap. Rangersi, którzy w przeciwieństwie do stacjonujących po drugiej stronie miasta żołnierzy z 10. Dywizji Górskiej byli prawie wszyscy biali, mieli niezły ubaw z dedykacji przed kawałkami w czasie, kiedy puszczano „czarną" muzykę: „Joł, bracia i siostry, teraz dla was zajefajny kawałek, płyta dla Reginy z zapasów numer 271 od Dope Gangsta z trzydziestej trzeciej. Peace!"[145]. Wieczorem często oglądali filmy[146], więc szybko skończył im się przysłany w pudłach zapas taśm wideo. Były to głównie typowe, stare filmy akcji. Któregoś razu zorganizowali sobie festiwal filmowy z Jamesem Bondem i przez cały tydzień każdego dnia oglądali inny film z tej serii. Z nielicznych nowszych filmów mieli między innymi „Ostatniego Mohikanina". Pewnego wieczoru grupa żołnierzy obejrzała go dwukrotnie, a kiedy leciały napisy po drugiej projekcji, przyszedł kapitan Steele i oświadczył, że tego filmu jeszcze nie widział. Przewinęli więc taśmę do początku i obejrzeli po raz trzeci.

Dni, kiedy nie jechali na żadną misję, wypełniał trening, co też im się podobało. Musieli udać się na pustynię na północ od miasta, gdzie wysadzali różne rzeczy, ćwiczyli rzucanie granatami, wystrzeliwanie rakiet i doskonalili umiejętność posługiwania się różnymi karabinami automatycznymi. Na wydmach wokół Mogadiszu mieli do dyspozycji więcej zabawek i amunicji niż zwykle podczas treningów u siebie w kraju. W gorącym słońcu pustyni, ubrani w kamuflaż oraz kapelusze z opadającym rondem, czuli się jak banda przerośniętych dzieciaków, które bawią się w żołnierzy, używając prawdziwych kul i granatów. Właśnie dlatego służba w rangersach była taka fajna. Prawdziwe żołnierskie życie. Porządny „hardkor". O wiele ciekawszy sposób na spędzenie czasu niż studiowanie. Sizemore i inni zakwaterowani w hangarze żołnierze brali udział w prawdziwej przygodzie. Znaleźli się w Afryce, a nie za biurkiem, kasą sklepową czy w ławce szkolnej, gdzie można było tępym wzrokiem gapić się przez okno na inne zabudowania uniwersyteckiego kampusu. Do ich zajęć należało skakanie ze spadochronem, opuszczanie się z helikopterów metodą szybkiej liny czy doskonalenie techniki zjeżdżania na linie w dół klifu[147], a wszystkie te rzeczy przygotowywały ich do ważnych misji, na przykład takich jak schwytanie krwawego watażki w stolicy egzotycznego kraju Trzeciego Świata.

Sizemore namówił lekarza, aby pozwolił mu spędzić ostatni dzień przed wyjazdem w hangarze, wśród chłopaków z jego jednostki. Właśnie zaczął pakować w szpitalu rzeczy, które miał wziąć do śmigłowca, kiedy do szpitala przywieziono dwóch rannych – ich hummer wjechał w mieście na zdalnie sterowaną minę. Jeden z poszkodowanych, człowiek z 10. Dywizji Górskiej, miał się całkiem dobrze, ale somalijsko-amerykańskiego tłumacza dosłownie rozerwało na pół. Stracił dolną część ciała, a jego wnętrzności leżały obok, na dostawianym łóżku na kółkach.

Sizemore widział coś takiego pierwszy raz w życiu. Jedna ręka mężczyzny była wykręcona i zwisała z łóżka, bujając się na skrawku mięsa, który łączył ją z tułowiem. Kim byli ci ludzie? Dlaczego sądzili, że coś takiego ujdzie im płazem?

Kiedy wrócił do hangaru, żołnierze przygotowywali się do misji. Sizemore kipiał ze złości i rozczarowania. Wszyscy mówili, że podczas dzisiejszej akcji może być naprawdę gorąco. A co, jeśli mieli rację? Okaże się, że przejechał kawał świata, aby przegapić najlepszą akcję? Zamiast niego wysyłali specjalistę Stebbinsa, który pracował jako urzędnik w pokoju szkoleniowym. Stebbinsa! Sizemore nie mógł uwierzyć, że ma takiego pecha.

W hangarze było nerwowo. Nawet sierżant Lorenzo Ruiz, bokser, czuł się niepewnie. Lo zazwyczaj nie przejmował się niczym.

– Mam złe przeczucie, Dale – powiedział.

Ruiz i Sizemore trzymali się razem. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, ale z jakiegoś powodu polubili się od razu, kiedy spotkali się kilka lat wcześniej. Ruiz był twardym facetem z El Paso w Teksasie, w przeszłości ćwiczył boks amatorski, a do armii zaciągnął się, gdy sędzia dał mu do wyboru więzienie albo wojsko. W pułku rangersów Ruiz uporządkował swoje życie. Teraz miał żonę i małą córeczkę. Sizemore natomiast był dużym

facetem z przedmieścia o wyglądzie kobieciarza. Kumple przezwali go „Adonisem” – miał pełne wargi, duże, niebieskie oczy i szerokie ramiona. Jednak to Ruiz był prawdziwym romantykiem. Kiedy pił w barze z przyjaciółmi, w jednej chwili miał doskonały humor, a już za moment ocierał łzy, pociągał nosem i z meksykańskim akcentem mówił: „Kofam was, chłopaki”. Ruiz był przesądny, ale walczył z przeczuciem, że w Somalii spotka go śmierć. Sizemore w ogóle nie wierzył w przesądy, ale aby poprawić humor kumplowi, zawarł z nim umowę. Obaj napisali listy, które miały zostać wysłane do ich rodzin tylko w razie ich śmierci. Następnie zamienili się nimi – tak było bezpieczniej. Sizemore zaadresował list do mamy, ojczyma i ciotki. Napisał im głównie o tym, że ich kocha. Ruiz napisał żonie, że ją kocha, i polecił bratu Jorgemu, aby zaopiekował się matką i babcią. Obaj napisali, że jeśli nie żyją, to przynajmniej zginęli, robiąc to, o czym marzyli. Nie było potrzeby pisać nic więcej. Tego popołudnia, kiedy Ruiz szykował sprzęt do misji na „Morzu Czarnym”, przypomniał Sizemore’owi o liście.

– Zamknij się, Lo – odparł Sizemore. – Za kilka minut będziesz z powrotem.

A teraz Ruiz znajdował się w samym środku piekła, które rozpętało się w mieście – Sizemore jeszcze nie wiedział o tym, że jego kumpel został śmiertelnie ranny. Zastanawiał się, gdzie jest Ruiz, i jak radzą sobie Goodale i Nelson. Martwił się o Stebbinsa i Jesusa. Stebby dotychczas zajmował się parzeniem im kawy! Dzisiaj Sizemore, prawdopodobnie najlepszy strzelec M249, musiał zostać w bazie, podczas gdy facet od papierkowej roboty brał udział w jego bitwie. Sizemore warował przy radiu przed centrum operacyjnym razem z kilkoma innymi żołnierzami, których ominęła misja, ponieważ niedługo przed tym, jak pojawiła się wiadomość o akcji, wyjechali z bazy po wodę. Ich hummery stały teraz zaparkowane w półokręgu tuż przed otwartymi, przednimi drzwiami hangaru, gotowe do wyjazdu, gdyby zaszła taka potrzeba.

Na specjalistę Steve’a Andersona dobiegające z radia głosy działały inaczej niż na pozostałych. Przerażały go. Anderson tak bardzo chciał być żołnierzem, że nie wyjawił, że cierpi na ciężką astmę, kiedy zaciągał się do wojska. Wszędzie nosił ze sobą inhalator. Już pierwszego dnia szkolenia podstawowego ostrzeżono ich surowo, że posiadanie jakichkolwiek leków zostanie uznane za kontrabandę, więc jeśli ktoś zostanie przyłapany na ich posiadaniu, znajdzie się w czarnej dupie. Potem po koszarach krążyło pudełko, do którego w ramach amnestii mogli jeszcze wrzucić zakazane rzeczy. Anderson spanikował i wrzucił tam swój inhalator, jednak trzy czy cztery dni później złapał go tak ciężki atak astmy, że musiał przyznać się do choroby, po czym odesłano go do szpitala. Następnego dnia, podczas ćwiczeń sierżant poinformował Sizemore’a i resztę plutonu, że Anderson nie żyje.

Miesiąc później Sizemore zauważył tego wysokiego, chudego „ducha” w szkole sił powietrznych wykonującego swoje obowiązki w kuchni. Przeszedł obok i na wszelki wypadek przetarł jeszcze oczy. Anderson nie tylko przeżył atak astmy, ale ktoś z dowództwa docenił jego determinację i pozwolił mu zostać i zatrzymać inhalator.

Teraz jednak, stojąc w obliczu zbliżającej się bitwy, Andersonowi udzieliła się panika, jaką słyszał w dobiegających z radia okrzykach. Każdy mówił dwa razy więcej niż zwykle, tak jakby za wszelką cenę chciał

pozostać w kontakcie, jakby łączność radiowa była sposobem na zapobieżenie katastrofie. Anderson nie pokazał niczego po sobie, ale cały się trząsł. Czuł zimne poty, a żołądek podchodził mu do gardła. „Czy naprawdę muszę tam jechać?". Do czasu dzisiejszej misji nikt nie został poważnie ranny. Każda akcja była jak zabawa. Kiedy z megafonu dobiegał głos nawołujący: „Szykujcie się!", za każdym razem myślał: „Fajnie, coś się dzieje". Podobnie czuli inni żołnierze. Ale nie dzisiaj[148].

Prawdziwy horror zaczął się, kiedy do bazy wjechał rozpędzony, składający się z trzech pojazdów konwój Strueckera. Każdy z samochodów nosił liczne ślady po pociskach. Sanitariusze wynieśli połamanego szeregowca Blackburna, rangersa, który wypadł z helikoptera na ulicę. Specjalista Brad Thomas, który wyszedł z jednego z hummerów, miał czerwone oczy. Kiedy zobaczył Andersona, oznajmił zdławionym głosem: „Pilla nie żyje". Thomas płakał, więc Anderson sam miał ochotę się rozpłakać. Strach był wręcz namacalny. Anderson cieszył się, że znajduje się w bezpiecznym miejscu. Wstydził się tego, ale nic nie mógł poradzić.

Nie był sam. Po wyładowaniu ciała Pilli oraz rannego Blackburna konwój otrzymał rozkaz szybkiego powrotu. Spadł drugi black hawk, helikopter Duranta, więc należało bronić go przed zbliżającym się tłumem Somalijczyków. Przebywający w bazie żołnierze przez radio dowiedzieli się o śmierci kolejnego kumpla, Caseya Joyce'a. Mace oraz ludzie z oddziału SEAL, którzy przynieśli Blackburna, zdążyli już uzupełnić amunicję i czekali gotowi do wyjazdu. Anderson nie zauważył, aby którykolwiek z nich się wahał. Młodsi rangersi natomiast wyglądali na przestraszonych.

Brad Thomas nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Był na plaży z Joyce'em i Pillą, kiedy wezwano ich do udziału w misji. Thomas, Joyce, Pilla, Nelson i kilku innych chłopaków trzymało się razem. Cała grupka była nieco starsza od pozostałych rangersów, zarazem mieli też większe doświadczenie. Zarówno Joyce, jak i Thomas byli żonaci. Thomas przed wstąpieniem do armii przez kilka lat chodził do college'u, gdzie uczył się gry na gitarze klasycznej. Tych kilku żołnierzy było mniej porywczych, a kiedy w grę wchodziło ryzyko, byli chętni do walki, ale nie palili się do akcji tak bardzo jak inni.

Thomas widział śmierć kumpla – Pilli. Podczas gorączkowej jazdy do bazy obawiał się, że jego też zabiją. Po powrocie poczuł niesamowitą ulgę. Sądził, że misja została zakończona. Rozpętało się prawdziwe piekło, więc pozostali żołnierze też zjawią się tu lada chwila. Dla niego było już po wszystkim.

Zatem kiedy podszedł do nich Struecker, który nakazał uzupełnić broń i amunicję, ponieważ zaraz mieli ruszać z powrotem, Thomas nie dowierzał. Czy to możliwe, że mieli tam wrócić? Przecież ledwie uszli z życiem. Całe pieprzone miasto uwzięło się, żeby ich zabić!

Struecker także poczuł, że serce staje mu w gardle. Wszystkie pojazdy z jego konwoju zostały ostrzelane. Ostatni z nich był wewnątrz zbryzgany krwią i kawałkami mózgu Pilli. Kiedy wyciągano z samochodu zwłoki, Pilla nie przypominał siebie. Brakowało mu czubka głowy, a twarz była groteskowo spuchnięta i zniekształcona. Podwładni Strueckera wyglądali na zdenerwowanych.

Mace, poważny operator Delty, odciągnął Strueckera na bok.

– Sierżancie, musisz wyczyścić samochód. Inaczej twoi żołnierze jeszcze bardziej się zdenerwują.

Struecker podszedł do oddziału.

– Słuchajcie, nikt was do niczego nie zmusza. Jeżeli nie będę miał innego wyjścia, posprzątam to sam. Ale musimy wyczyścić wóz, ponieważ zaraz jedziemy tam z powrotem. Reszta niech uzupełni sprzęt i amunicję.

Struecker zapytał strzelca obsługującego pięćdziesiątkę:

– Pomożesz mi posprzątać? Nie musisz, jeśli nie chcesz.

Razem poszli po wiadra z wodą i za pomocą gąbek ścierali krew oraz zdrapywali resztki mózgu przyklejone do wnętrza pojazdu[149]. Obserwujący wszystko Sizemore poczuł, że przepełnia go gniew.

– Jadę tam z wami, chłopaki – powiedział.

– Nie możesz, jesteś kontuzjowany – odparł sierżant Raleigh Cash. To on był odpowiedzialny za oddział, który pojechał wcześniej po wodę.

Sizemore nie kłócił się z nim. Miał na sobie tylko spodenki gimnastyczne i koszulkę, a cały sprzęt leżał zapakowany. Następnego dnia miał lecieć do domu. Pobiegł do hangaru, wciągnął na siebie spodnie i koszulę, chwycił sprzęt; znalazł o trzy rozmiary za dużą kamizelkę kuloodporną oraz za luźny hełm, który sterczał mu na głowie jak miska. Zabrał karabin M249, w kieszenie wepchnął magazynki i wrócił do konwoju, biegnąc w rozwiązanych butach i rozpiętej koszuli. Wszedł do hummera, w którym siedział Cash.

– Jadę – rzucił.

– Nie możesz jechać tam z gipsem na łokciu.

– Pozbędę się go.

Sizemore znowu pobiegł do hangaru, gdzie znalazł parę nożyczek. Przeciął gips i ściągnął go z ręki. Następnie wrócił do samochodu.

Cash tylko pokręcił głową.

Anderson podziwiał zapał Sizemore'a, a zarazem poczuł jeszcze większy wstyd. Założył sprzęt, bo mu kazano, ale czuł się zażenowany. Nie wiedział, czy bardziej powinien się wstydzić strachu, czy tego, że wykonuje rozkazy. Nie mógł uwierzyć, że może być aż tak bierny. Pojedzie ryzykować życie na ulicach Mogadiszu nie z powodu poczucia solidarności czy zapału do walki, ale dlatego że nie śmiał odmówić. Nie dał po sobie poznać, że wcale nie chce tam jechać[150].

Nie każdy był tak bierny. Brad Thomas odciągnął Strueckera na stronę.

– Stary, wiesz, że naprawdę nie chcę tam wracać.

Sierżant spodziewał się i obawiał takich reakcji już wcześniej. Sam czuł się niewyraźnie na myśl o powrocie do miasta. Słowa Thomasa wyraziły to, o czym myśleli wszyscy. Jak mógł zmusić żołnierzy do powrotu w sam środek walk, zwłaszcza tych, którzy dopiero co przeszli przez piekło, wracając do bazy? Sierżant wiedział, że ludzie będą go teraz obserwować, jak poradzi sobie z sytuacją. Struecker był wzorcowym rangersem – silnym, skromnym i posłusznym. Przestrzegał wszelkich przepisów. Przypominał wzorowego ucznia w klasie. Oficerowie przepadali za nim, co oznaczało, że przynajmniej kilku żołnierzy patrzyło na niego z lekką zazdrością. W obliczu sprzeciwu Thomasa spodziewali się, że wybuchnie gniewem.

Zamiast tego Struecker odciągnął żołnierza na bok i porozmawiał z nim jak facet z facetem. Nie podnosił głosu, starał się go uspokoić. Thomas jednak był spokojny; Struecker patrzył na człowieka, który doszedł do wniosku, że właśnie przeszedł wszystko, na co było go stać. Thomas ożenił się kilka miesięcy wcześniej. Nigdy nie należał do przechwalających się odwagą żołnierzy w pułku. Podjął perfekcyjnie racjonalną decyzję. Nie chciał wracać na pewną śmierć. Strzelało do nich całe miasto. Jak daleko uda im się dotrzeć? Chociaż cena za wycofanie się była wysoka, zwłaszcza w przypadku rangersa, Struecker widział, że Thomas podjął już ostateczną decyzję.

– Słuchaj – powiedział Struecker. – Wiem, jak się czujesz. Ja też jestem żonaty. Nie uważam cię za tchórza. Wiem, że się boisz. Sam boję się jak cholera. Nigdy wcześniej nie znalazłem się w takiej sytuacji. Ale musimy tam jechać. To nasza praca. Różnica pomiędzy byciem tchórzem a bohaterem nie polega na tym, czy się boisz, ale na tym, jak się zachowasz w obliczu strachu.

Thomasowi nie spodobała się ta odpowiedź. Odszedł w milczeniu. Kiedy jednak wsiadali do samochodów, Struecker zauważył, że Thomas wszedł do pojazdu razem z innymi[151].

7

– Pojedziecie przodem i będziecie nas prowadzić – powiedział do Strueckera porucznik Larry Moore. – Za dwoma waszymi samochodami pojadą trzy pięciotonowe ciężarówki, a konwój zamkną dwa nasze pojazdy. Miejsce katastrofy znajduje się w tej okolicy – dodał, wskazując na mapie obszar pomiędzy rondem K-4 a budynkiem, w którym aresztowano dziś więźniów. – Nie wiemy dokładnie gdzie. Będziemy kontaktować się na tym kanale. Poza tym będzie nas naprowadzał pilot jednego ze śmigłowców w górze.

– Dobra – odrzekł Struecker.

Do rozmowy wtrącił się jeden z urzędników kompanii, sierżant Mark Warner.

– Sierżancie, czy ja też mogę jechać?

– Masz broń i amunicję?

– Tak.

– W takim razie wskakuj na tylne siedzenie[152].

W pozostałych pojazdach konwoju także zgromadzili się ochotnicy. Specjalista Peter Squeglia, rusznikarz kompanii, wciągnął na siebie strój bojowy i wspiął się do ciężarówki. Kilka dni wcześniej uszkodził sobie kostkę, grając w rugby na piasku z kilkoma chłopakami z Nowej Zelandii, więc przydzielono mu wartę w hangarze. Chora kostka nie mogła być wymówką do pozostania w bazie w takiej sytuacji, jak dzisiejsza. Zatem siedział z karabinem M16 wysuniętym przez okno po stronie pasażera w pięciotonowej ciężarówce, zastanawiając się, w co się wpakował. Kiedy ktoś decydował się zostać rangersem, oznaczało to przede wszystkim gotowość do wzięcia udziału w walce, jednak w obecnych czasach nikt tak naprawdę nie spodziewał się, że stanie w obliczu konieczności udowodnienia swojego męstwa. Squeglia bardziej wierzył w możliwość wzięcia udziału w bitwie niż pozostali rangersi, ale nigdy nie miał ku temu okazji. Odrzucały go też przechwałki, z jakimi spotkał się podczas ostatnich tygodni. Ostrzegał przyjaciół: „To poważna sprawa. Prawdopodobnie podczas jednej z misji któryś z nas zginie". Słysząc to, śmiali się z niego. Dziś zabito już co najmniej jedną osobę – widział wyładowywane z samochodu ciało Pilli. A on, Squeglia, znalazł się w samym środku tego piekła. Jego kumple w Stanach w ciepłe niedzielne popołudnie oglądali mecz futbolu w telewizji, a potem szli do barów w Newport w stanie Rhode Island, aby podrywać tam dziewczyny. Tymczasem bystry, dwudziestopięcioletni Peter Squeglia trzymał w ręku karabin i wybierał się na ulice Mogadiszu, gdzie niemal cała miejscowa ludność będzie próbowała go zabić. Ciężarówka ruszyła[153].

Wyjeżdżający przez wschodnią bramę Struecker czekał na wskazówki śmigłowca nadzoru i dowodzenia:

– „Musicie skręcić w lewo, a potem na pierwszym skrzyżowaniu drugi raz w lewo" – poinformował go głos z black hawka.

Struecker skręcił w lewo, w Tanzania Street. Kiedy zbliżali się do skrzyżowania, trafili w krzyżowy ogień. Nie oddalili się od bramy prowadzącej do bazy o więcej niż 80 metrów[154].

W hummerze za Strueckerem sierżant Raleigh Cash wrzasnął:

– Lewa strona!

Strzelec na wieżyczce odwrócił się w lewo, gdzie stało pięciu Somalijczyków z bronią przygotowaną do strzału. Cash, który siedział na miejscu pasażera z przodu, usłyszał wystrzały oraz świst kul, które przeleciały niedaleko jego głowy. Wiedział, że ten charakterystyczny świst, podobny do dźwięku, jaki wydaje drut na słupie telefonicznym, kiedy trąci się go patykiem, oznacza, że kula minęła kogoś tylko o włos. Żołnierze odpowiedzieli na strzały zaciekłym ogniem[155].

W innym jadącym na tyłach konwoju hummerze jechał Steve Anderson, który nieszczególnie czuł zapał do walki. Kiedy usłyszał strzały, serce stanęło mu w gardle. Zaraz potem zdał sobie sprawę, że do jego uszu dobiegł przede wszystkim huk broni rangersów. Każdy uzbrojony Somalijczyk narażał się na śmiertelny ostrzał

z przerażającej broni Amerykanów; trzech karabinów M2 zamontowanych po jednym na każdym z trzech hummerów oraz karabinów M249 i M16, którymi dysponowali żołnierze w ciężarówkach.

Anderson postanowił wystrzelić z M249, ale broń zacięła się. Kilkakrotnie pociągnął za rączkę napinającą, mając nadzieję, że w ten sposób odblokuje karabin, jednak bezskutecznie. Chwycił więc M16 kierowcy i szukał celu za oknem samochodu. Zanim udało mu się kogoś namierzyć, zobaczył uzbrojonego Somalijczyka, który wpadł do drzwi któregoś z budynków, zanim Anderson zdążył do niego wystrzelić[156].

Pojazdy znajdujące się w przedniej części konwoju ściągały na siebie największy ogień. Nad hummerem Strueckera przeleciał granat przeciwpancerny. Lecąc, zahaczył nieco o dach, więc usłyszeli przenikliwy zgrzyt metalu o metal. Granat wybuchł po drugiej stronie ulicy, tuż przy betonowym murze, a siła wybuchu postawiła na chwilę szeroki samochód na dwóch kołach. Ponieważ w kierunku pojazdów padały strzały z kilku karabinków AK-47, strzelec przy pięćdziesiątce otworzył ogień w ich kierunku. Sierżant zdał sobie sprawę, że Somalijczycy nigdy nie uczyli się, jak należy przygotować zasadzkę. Prawidłowo powinni pozwolić na przejazd pierwszego pojazdu i otworzyć ogień w kierunku środka kolumny. Nieuzbrojone ciężarówki z platformami, na których jechali urzędnicy, kucharze i inni ochotnicy, stanowiły duży i łatwy cel. Tymczasem „chuchraki" otwierały ogień w kierunku pierwszych pojazdów, więc konwój miał szansę się jeszcze wycofać, gdyby sytuacja okazała się zbyt niebezpieczna.

Struecker krzyknął do kierowcy, aby włączył wsteczny bieg. Ludzie w pojazdach z tyłu na pewno zorientują się, o co chodzi. Kiedy hummer uderzył w samochód z tyłu, jego kierowca zrobił to samo i wjechał na ciężarówkę za sobą. W końcu informacja dotarła do wszystkich.

– Musicie znaleźć nam inną drogę! – krzyknął Struecker do dowódców w helikopterze nad nimi.

– „Zawróćcie na ulicę, z której przyjechaliście i skręćcie w prawo zamiast w lewo. Stamtąd też dojedziecie na miejsce".

Kolumna wróciła więc do bramy, po czym skręciła w prawo. Na końcu ulicy widać było dużą blokadę uliczną. Choć większość strzelających do nich ludzi stanowili amatorzy, z pewnością było wśród nich też kilku doświadczonych weteranów. Blokada uliczna widoczna w oddali nie wyglądała na skleconą naprędce konstrukcję. Somalijczycy najwyraźniej przewidzieli, jaką trasę może obrać konwój, który wyjedzie z bazy rangersów, i utworzyli barykady, na które składały się: piasek, śmieci, meble, wraki pojazdów, kawałki betonu, przewody i wszelkie inne rzeczy, jakie znalazły się pod ręką. Duże kłęby dymu z płonących na barykadzie opon wzlatywały w ciemniejące już teraz niebo. Struecker czuł gryzący zapach palonej gumy. Żołnierze w konwoju wiedzieli, że Super Six Four znajdował się gdzieś przed nimi, w odległości nie większej niż 2 kilometry.[157]

Durant powiedział później, że słyszał dźwięk wystrzałów z M2, który prawie na pewno dochodził z samochodu Strueckera. Pilot wierzył, że pomoc jest już na wyciągnięcie ręki, jednak konwój nie był w stanie podjechać bliżej. Za blokadą uliczną, pomiędzy miejscem, w którym się znaleźli, a rozbitym śmigłowcem

znajdował się betonowy mur, który okalał getto składające się z bud oddzielonych od siebie przez wąskie ścieżki. Struecker wiedział, że hummery mogą pokonać barykadę, ale nie było szans na to, że zrobią to jadące za nimi ciężarówki. A nawet gdyby się to udało, żaden z pojazdów nie przejedzie przez betonowy mur.

– „Widzicie dym z palonych opon? Właśnie tam znajduje się rozbity śmigłowiec. Jakieś sto metrów dalej".

– Musisz znaleźć nam inną trasę – odpowiedział Struecker.

– „Nie ma innej trasy".

– Musisz nam coś znaleźć. Wymyśl, jak mamy tam dotrzeć.

– „Jedyna alternatywa to objechanie całego miasta dookoła i wjazd od innej strony".

– Dobrze, tak zrobimy.

Struecker wiedział, że liczy się każda minuta. Durant wraz z resztą załogi nie mogli długo czekać. Pięciotonowe ciężarówki zawracały w wąskiej uliczce niezwykle wolno. Wydawało się, że trwa to bez końca, a i tak kierowcy nie cackali się, uderzając co chwilę w mur i nadwerężając skrzynie biegów. Kiedy ciężarówki starały się zawrócić, większość żołnierzy wysiadła, aby bronić konwoju pieszo. Sierżant Cash, który przyklęknął na jednym kolanie, poczuł nagle uderzenie w klatkę piersiową, które omal nie przewróciło go na ziemię. Miał wrażenie, że ktoś walnął go pięścią blisko ramienia. Włożył dłoń pod koszulę, szukając śladów krwi, jednak wszystko było w porządku. Pocisk odbił się od płyty w kamizelce, rozdzierając przy okazji paski uprzęży nośnej, która teraz wisiała na kilku nitkach[158].

Squeglia zobaczył, że kula odbiła się od bocznego lusterka ciężarówki po stronie kierowcy, więc wystawił swój M16 przez okno po tamtej stronie i odpowiedział ogniem. Sizemore strzelał prawie do wszystkiego, dając upust wściekłości, natomiast Anderson trzymał głowę nisko i wybierał sobie cele. Kilka razy wystrzelił, ale przypuszczał, że nikogo nie trafił.

Kiedy ostatecznie wszystkie pojazdy obróciły się w odpowiednim kierunku, konwój wyjechał szybko ulicą opasującą miasto od strony południowo-zachodniej. Co jakiś czas ktoś strzelał do nich z AK-47. Mijając jedno ze wzgórz, zobaczyli leżący w niewielkiej dolince śmigłowiec Duranta. Będzie trudno tam dojechać[159].

8

Goffena i Yacone widzieli ze swojego black hawka, że każdy z dwóch konwojów ma kłopoty. Poturbowany konwój podpułkownika McKnighta jechał z powrotem w kierunku ronda K-4, oddalając się od obu rozbitych helikopterów, a spiesząca z pomocą kolumna pojazdów, w których jechali kucharze i ochotnicy, wcale nie zbliżała się do celu.

Po raz kolejny poprosili o pozwolenie na wysadzenie ze śmigłowca snajperów Delty. Tym razem tylko dwóch, ponieważ sierżant Brad Hallings objął jedno z działek Super Six Two po tym, jak raniono mechanika. Brad był teraz potrzebny na pokładzie.

Kapitan Yacone odwrócił się w fotelu, aby przedyskutować sytuację z dwoma operatorami Delty. Przekrzykując huk silników śmigłowca i wystrzały, oznajmił:

– Robi się coraz bardziej gorąco, chłopaki. Drugi konwój znalazł się pod silnym ostrzałem i wygląda na to, że nie zdoła dojechać do miejsca drugiej katastrofy. Mike i ja znaleźliśmy oddalone od dwudziestu pięciu to pięćdziesięciu metrów od wraku miejsce, gdzie możecie się desantować. W okolicy znajduje się dużo chałup i bud. Ukryjecie się i poczekacie na samochody albo wyciągniecie rannych na otwartą przestrzeń, z której będziemy mogli was zabrać.

Zarówno Shughart, jak i Gordon potwierdzili chęć opuszczenia się na dół[160].

Harrell w śmigłowcu dowodzenia zastanawiał się nad ich prośbą. Zadanie było ryzykowne, być może nawet niemożliwe do zrealizowania. Jednocześnie dwóch dobrze uzbrojonych komandosów mogłoby powstrzymać nieokiełznany tłum – Shughart i Gordon byli specjalistami od zabijania, a zarazem posiadali umiejętność przetrwania w najgorszej sytuacji. Ci poważni żołnierze zawodowi potrafili dostrzec szansę tam, gdzie inni widzieli tylko niebezpieczeństwo. Podobnie jak inni operatorzy Delty umieli zachować spokój i skuteczność nawet w przypadku największego niebezpieczeństwa. Wciąż trenowali, żyjąc dla takich chwil, jak dzisiejsza. Jeśli istniała jakakolwiek szansa na przetrwanie, ci dwaj wierzyli, że sobie poradzą.

Siedzący obok siebie w śmigłowcu Harrell i Matthews zastanawiali się, jaką podjąć decyzję. Cały oddział ratunkowy znajdował się już na ziemi, na miejscu pierwszej katastrofy, więc nie będzie w stanie dostatecznie szybko dotrzeć do Duranta i reszty załogi. Opuszczenie na ziemię Shugharta i Gordona jednak niemal na pewno oznaczało skazanie ich na śmierć. Matthews natychmiast ściszył dźwięk w radiu swoim i Harrella.

– Słuchaj, to twoi ludzie – zwrócił się do niego. – I jedyni, jacy nam pozostali. Co proponujesz?

– A jaką mamy alternatywę? – zapytał Harrell.

– Możemy ściągnąć ich na ziemię lub nie, ale z tego, co widzę, nikt inny nie zbliża się do miejsca katastrofy.

– Włącz ich do akcji.

Jeśli istniała jakakolwiek szansa na uratowanie załogi rozbitego helikoptera, należało ją wykorzystać[161].

Kiedy mechanik Goffeny, starszy sierżant sztabowy Mason Hall, przekazał im, że będą skakać na ziemię, Gordon uśmiechnął się i z entuzjazmem uniósł kciuk[162].

Za jedną z chałup znajdowała się niewielka, otwarta przestrzeń otoczona płotem i osłonięta przez gruzy, którą ostatecznie można było wykorzystać jako miejsce do desantu. Goffena obniżył nad nim lot tak, aby przewrócić płot i pozbyć się części śmieci. Nadal nie było miejsca do wylądowania, więc zawisł mniej więcej na wysokości półtora metra, a Shughart i Gordon skoczyli w dół.

Shughart od razu zaplątał się w linę, która łączyła go ze śmigłowcem, musiał więc ją odciąć. Szukając osłony, Gordon przewrócił się. Shughart za to stał, pokazując gestami rąk, że nie wie, w którą stronę mają się udać. Skacząc z helikoptera, stracili orientację, teraz przystanęli na chwilę, starając się rozeznać w okolicy. Goffena obniżył lot, wychylił się przez drzwi i wskazał im kierunek[163]. Jeden z mechaników rzucił w tamtą stronę granatem dymnym.

Gordon i Shughart unieśli kciuki i ruszyli we wskazanym kierunku.

9

Ponad 2 kilometry dalej na północny wschód znajdowała się pozycja blokująca dowodzonej przez sierżanta Eda Yurka grupy Chalk Two. Sytuacja w tym miejscu nieco się uspokoiła. Po wejściu do małej somalijskiej szkoły i przekonaniu nauczycielki z dziećmi do położenia się na podłodze sierżant stał się odpowiedzialny za pozostałych na miejscu członków grupy, podczas gdy porucznik DiTomasso oraz ośmiu innych rangersów pobiegło w dół ulicy, aby pomóc załodze pierwszego rozbitego śmigłowca. Yurek widział przejeżdżający konwój. Kiedy walka przeniosła się do oddalonego o trzy przecznice na wschód miejsca katastrofy, na narożniku Yurka zrobiło się tak cicho, że sierżant poczuł się zdezorientowany. Ponieważ porucznik i operator radiowy opuścili to skrzyżowanie, nie miał kontaktu z siecią dowodzenia. Zastanawiał się, czy przypadkiem o nich nie zapomniano.

Połączył się z DiTomassem przez radio:

– Poruczniku, co się dzieje?

– „Musicie do mnie jakoś dotrzeć”.

– Rozumiem. Gdzie jesteś?

– „Wejdźcie w dużą ulicę trzy przecznice na wschód, a potem skręćcie w lewo. Wówczas trzeba przejść około dwustu metrów. Niemożliwe, żebyście zabłądzili”.

– Zrozumiałem.

To była zarówno dobra, jak i zła wiadomość. Nareszcie oswoili się z przydzielonym im skrawkiem miasta. Wiedzieli, z jakich miejsc mogą paść w ich kierunku strzały, zorientowali się, które miejsca są niebezpieczne, a które mogą służyć jako skuteczna osłona. Dzieci w niewielkiej szkole były cicho jak myszy pod miotłą. Yurek pilnował ich. Znajdując się pośrodku niebezpiecznego miasta, w którym latały kule i granaty

przeciwpancerne, nie miał wcale ochoty opuścić miejsca, które wydawało się w miarę spokojne. Dookoła miejsca katastrofy słychać było liczne wystrzały. Czekał ich bieg ulicami bez żadnej osłony. DiTomasso i inni pokonujący wcześniej ten dystans żołnierze mogli przynajmniej zaskoczyć wroga. Natomiast oddział Yurka miał pokonać tę samą trasę jako drugi. „Chuchraki" z pewnością już na nich czekały.

– Chłopaki, chodźcie. Musimy iść! – poinformował z wahaniem żołnierzy.

Zaczęli się więc przemieszczać na wschód, w dół ulicy. Szli szybko z bronią przygotowaną do strzału, w szeregu rozciągniętym po południowej stronie ulicy. Trzymali się w odległości kilku kroków od kamiennych murów. Pierwszy, naturalny odruch nakazywał biec jak najbliżej muru. Jego bliskość dawała zawsze pewne poczucie bezpieczeństwa. Jednak jeden z operatorów Delty, sierżant Paul Howe, odradzał im to. Kule z reguły lecą blisko ścian. Wróg często koncentruje się na strzelaniu w dół ulicy. Wówczas mury po obu stronach pełnią rolę komina. Czasem pociski, które odbiły się od ścian, leciały kolejnych 100 metrów. Przebywanie blisko muru było zatem bardziej niebezpieczne niż stanie na środku drogi.

Na skrzyżowaniach zatrzymywali się i osłaniali się nawzajem. Kiedy Yurek biegł na drugą stronę, jego ludzie strzelali w kierunkach północnym i południowym. Następnie sierżant pomagał osłonić następnego żołnierza i tak dalej. Przemieszczali się skokami.

Nie minęło wiele czasu, nim rozpętała się strzelanina. Somalijczycy pojawiali się w oknach i drzwiach lub wyskakiwali zza rogu, aby wyrzucić strumień pocisków z karabinów automatycznych. Większość z nich stanowili amatorzy. Silny odrzut broni oraz zachowanie strzelców sugerowały, że niewielu zdoła kogokolwiek trafić. Yurek domyślał się, że mężczyźni ci strzelali, bo nie chcieli stracić twarzy wobec pozostałych członków swojej grupy. Wyrzucali serię kul, trzymając głowę odwróconą w innym kierunku i zamknięte oczy, po czym puszczali broń i uciekali. Yurek nawet nie kłopotał się za bardzo odpowiadaniem na te strzały. Niektórzy ze strzelców pojawiających się w oknach mieli jednak inną taktykę; starannie wybierali cel, zależało im, aby trafić. Yurek podejrzewał, że należą do milicji Aidida. Z reguły na czterech czy pięciu strzelających do nich mężczyzn przypadał jeden bojówkarz watażki.

Yurek i jego żołnierze niezmiennie strzelali pierwsi. Podczas długich i nudnych tygodni poprzedzających dzisiejszą misję trenowali prawie codziennie. Nalegał na to kapitan Steele. Posiadali niezliczone pokłady amunicji przeznaczone do wykorzystania podczas treningu, więc podczas każdej sesji szkoleniowej na pustyni ustawiali cele w różnych odległościach. Atakujący wróg pojawia się niespodziewanie. Podczas treningów wykorzystywali ruchome tarcze w różnych kolorach i kształtach. Trzeba było na przykład strzelać, zobaczywszy niebieski trójkąt, ale powstrzymać się, kiedy pojawiał się zielony kwadrat. Dziś Yurek czuł, że trening ten okazał się przydatny. Kiedy biegł z pozostałymi ulicą, kilkakrotnie doszło do wymiany ognia. Zastrzelił człowieka stojącego w drzwiach budynku oddalonego o zaledwie 3 metry. Okurzony mężczyzna w brązowych, workowatych spodniach i lekką niebieską koszulą z bawełny oraz rozwianą czupryną wyszedł na ulicę i wycelował w ich kierunku z AK-47. Ponieważ nie wystrzelił od razu, zginął na miejscu.

Yurek napotkał wzrok Somalijczyka na ułamek sekundy przed tym, jak pociągnął za spust. Człowiek upadł na drogę, zanim zdążył wystrzelić. Yurek po raz drugi w życiu kogoś zabił[164].

Specjalista Lance Twombly wypalił w kierunku innego Somalijczyka z trzymanego na biodrze karabinu M249. Mężczyzna wyszedł nagle zza rogu i zaczął strzelać w ich kierunku z AK-47. Pomiędzy nim a rangersem było nie więcej jak 15 metrów i obaj wystrzelili jednocześnie. Twombly widział, jak jego kule (musiało ich być ze czterdzieści) zostawiają ślady w murze i piasku wokół Somalijczyka, jednak żadna z nich nie trafiła w cel. Podobnie pociski mężczyzny nie trafiły Lance'a. Somalijczyk uciekł, a Twombly dalej szedł do przodu, przeklinając pod nosem i nie mogąc sobie darować, że spudłował[165].

Yurek nie mógł uwierzyć, że udało im się minąć trzy przecznice, a jeszcze żaden z jego ludzi nie został ranny. Jednak nie było ani chwili na odpoczynek. Na skrzyżowaniu z główną ulicą spojrzał w dół wzgórza i zobaczył Waddella opartego o ścianę po tej samej stronie drogi. Naprzeciwko Waddella, na przeciwległym rogu, za dużym drzewem przy samochodzie znajdowali się Nelson i sierżant Alan Barton, który opuścił się wcześniej na dół ze śmigłowca oddziału poszukiwawczo-ratowniczego. Twombly pobiegł w dół ulicy po stronie tych dwóch żołnierzy, przeciął skrzyżowanie i przykucnął obok sześćdziesiątki Nelsona z karabinem M249. Przy samochodzie leżały płasko dwa ciała Somalijczyków. Po przeciwnej stronie ulicy, po przekątnej od Waddella, stał mały, zielony volkswagen, za którym przykucnęli DiTomasso oraz ludzie z oddziału poszukiwawczo-ratowniczego.

Yurek przebiegł przez drogę i dołączył do DiTomassa za samochodem. Kiedy biegł przez ulicę, po prawej stronie zobaczył rozbity helikopter. Gdy tylko dostał się za auto, volkswagen zaczął kiwać się na boki pod naporem wielkich pocisków, które musiały pochodzić z naprawdę silnej broni, gdyż przebijały na wylot blachę karoserii. Wszyscy padli na ziemię. Yurek nie miał pojęcia, skąd lecą pociski.

– Nelson! Nelson, co to takiego? – wrzasnął do kolegi po drugiej stronie ulicy.

– To broń ciężka! – krzyknął Nelson.

Yurek i DiTomasso spojrzeli na siebie, wywracając oczami.

– Gdzie? – zapytał jeszcze Yurek.

Nelson wskazał miejsce w górze ulicy, a Yurek wychylił się ostrożnie zza samochodu. Na ulicy leżało trzech martwych Somalijczyków. Yurek wstał i położył ciała jedno na drugim, dzięki czemu powstała dodatkowa osłona pozwalająca mu podczołgać się kilka metrów dalej z lewej strony. Zobaczył dwóch Somalijczyków, którzy leżeli na ziemi w górze ulicy, na północ od niego. Przed sobą mieli duży, ustawiony na trójnogu karabin, który pozwalał im kontrolować ulicę. Na pewno nie widzieli ukrytego za drzewem po drugiej stronie drogi Nelsona, który głupio zrobił, ujawniając swoją pozycję.

Yurek dysponował jednostrzałowym granatnikiem przeciwpancernym (LAW), który miał przypięty na plecach podczas każdej misji, w jakiej brał udział w ciągu kilku ostatnich tygodni. Była to lekka (ważyła około

2 kilogramów), przenośna, plastikowa wyrzutnia. Odpiął ją i oparł na samochodzie, celując za pomocą rozkładanego celownika. Ocenił, że cel znajduje się mniej więcej 200 metrów od niego. Granat wyleciał, wyrzucając strumień dymu, i pomknął w stronę celu. Yurek zobaczył błysk i usłyszał donośny huk eksplozji. Karabin nieprzyjaciela uniósł się w powietrze.

Kiedy Yurek przyjmował od kumpli gratulacje, ponownie rozległ się tępy odgłos wystrzałów. Najwyraźniej granat wybuchł w pobliżu karabinu, wyrzucił go w powietrze, wzniecając chmurę kurzu, ale nie eksplodował na tyle blisko, aby go zniszczyć. Nie udało się też unieszkodliwić strzelających, którzy teraz dla odmiany klęczeli z ustawioną na nowo bronią. Yurek podniósł inną wyrzutnię, która leżała porzucona na ulicy – była zgnieciona. Nie mógł rozsunąć tuby. Załadował więc nabój o średnicy 40 milimetrów do granatnika M203 podwieszonego do karabinu M16. Tym razem strzał okazał się celniejszy; wielki pocisk z M203 popędził ruchem spiralnym w kierunku celu i uderzył dokładnie w sam środek. Dwóch Somalijczyków zostało odrzuconych na prawą i lewą stronę ulicy. Yurek stwierdził, że broń z pewnością została zniszczona. Kiedy opadł dym, zobaczył leżący pomiędzy dwoma mężczyznami karabin. Nie pojawił się nikt, kto chciałby to podnieść, jednak Yurek i pozostali mieli na niego oko aż do zapadnięcia zmroku[166].

10

Barton i Nelson znajdowali się za drzewem, na północno-wschodnim narożniku dużego skrzyżowania położonego bezpośrednio na zachód od rozbitego śmigłowca. Przy drzewie zaparkowano nieduży samochód marki Fiat. Możliwe że kierowca specjalnie stanął tak, aby korek wlotu paliwa pozostawał schowany za pniem drzewa, dzięki czemu czujni i pomysłowi złodzieje z Mogadiszu nie mogli spuścić mu rurką benzyny. Nelson oparł karabin M60 na dachu samochodu, a z boku wisiały taśmy nabojowe. Obok dwóch martwych leżących na ulicy Somalijczyków widniały dwie czerwonobrązowe kałuże krwi.

– Gorzej już nie może być – odezwał się Barton.

Nagle przy murze naprzeciwko z oślepiającym błyskiem i rozdzierającym płuca podmuchem wybuchł granat przeciwpancerny. Barton i Nelson roześmiali się. Śmiech, który przychodził im z łatwością, był jak balsam – nie pozwalał im wpaść w panikę. Śmieszne było to, że w tak ciężkich warunkach wciąż mogli zachowywać się normalnie. Jeśli byli w stanie się śmiać, to znaczy, że wszystko z nimi w porządku. Zupełnie nie spodziewali się, że w Mogadiszu mogą znaleźć się w środku tak zaciekłej strzelaniny. Nikt nie przypuszczał, że tutejsi mieszkańcy potrafią walczyć. Nelson zastanawiał się, gdzie są i jak sobie radzą jego przyjaciele – Casey Joyce, Dom Pilla i Kevin Snodgrass.

W powietrzu zaroiło się od granatów przeciwpancernych. Nadlatywały z północy, uderzały o ściany kamiennych budynków, eksplodowały przy murach. Wyglądało to, jakby ktoś rzucał w ich kierunku ognistymi kulami.

– Do diabła, Twombly, to jest takie nierzeczywiste – odezwał się Nelson.

Schował się za betonową pochylnią o wysokości niespełna metra, która znajdowała się pomiędzy drzewem a murem. Kiedy majstrował przy swoim M60, jakiś Somalijczyk wychylił się zza blaszanej budy oddalonej mniej więcej 3 metry od niego i wystrzelił w kierunku Nelsona i Twombly'ego. Nelson zrozumiał, że nie żyje. Kule przeleciały mu między nogami i o włos od twarzy. Twombly podniósł go z ziemi.

Nelson zobaczył, że Twombly porusza ustami. Wydawało się, że pytał:

– Wszystko w porządku?

– Nie wiem.

Twombly wystrzelił z M249, stojąc niecały metr od Nelsona. Z tej odległości Nelson poczuł na policzkach i nosie gorący podmuch z lufy, a odgłos wystrzału na chwilę go oślepił. Omal nie popękały mu bębenki, a teraz nie przestawało mu dzwonić w uszach.

– Bolało – poskarżył się Nelson. – Nic nie słyszę ani nie widzę. Nigdy więcej nie strzelaj z tej pieprzonej broni tak blisko mnie!

Ledwie to powiedział, strzelił do nich kolejny Somalijczyk, a Twombly odpowiedział mu ogniem z M249 znajdującego się teraz bezpośrednio nad głową Nelsona, który ogłuchł na kilka dobrych godzin[167].

11

Sierżant Paul Howe oraz trzej inni żołnierze oddziału Delty nadal znajdowali się na dachu budynku stanowiącego cel ataku, kiedy zobaczyli oddział poszukiwawczo-ratowniczy opuszczający się na ziemię ze śmigłowca black hawk około pół kilometra dalej na północny wschód. Widzieli, jak granatnik przeciwpancerny uderza w helikopter, podczas gdy na linach nadal wisieli ludzie. W zdumieniu przyglądali się, jak pilot utrzymał w zawisie trafiony śmigłowiec, czekając, aż wszyscy znajdą się na ziemi. Howe domyślił się, że coś musiało się wydarzyć, ale nie wiedział, dlaczego pojawił się tu oddział poszukiwawczo-ratowniczy. Nie miał dostępu do sieci dowodzenia, a poza tym byli zbyt pochłonięci akcją wewnątrz budynku, aby zauważyć, że zestrzelono black hawka.

Poznał całą historię dopiero od dowódcy Delty kapitana Scotta Millera, który zawołał go na zewnątrz.

– Musimy się tam przedostać i zabezpieczyć wrak – oznajmił Miller. Wytłumaczył, że konwój, do którego ładowano właśnie przed budynkiem somalijskich więźniów, podjedzie do miejsca katastrofy. Reszta żołnierzy musi dostać się tam pieszo. Dowodzona przez kapitana Steele'a grupa desantowa rangersów Chalk One znajdzie się tam pierwsza. Za nimi będą operatorzy Delty oraz grupa Chalk Three z południowego narożnika, dowodzona przez sierżanta Seana Watsona.

Howe zdawał sobie sprawę, że na ulicy trwa strzelanina, a sytuacja robi się coraz trudniejsza. Myśl o próbie przedostania się pieszo do miejsca, gdzie widział opuszczający się ze śmigłowca oddział poszukiwawczo-ratowniczy, nie była zachęcająca. W duchu powiedział sobie: „Będzie niezła zabawa"[168].

Kapitan Steele zobaczył operatorów, którzy wypadli z podwórza i biegli w jego kierunku, czyli na wschód. Dla dowódcy rangersów była to nowa sytuacja. Często ćwiczył ze swoim oddziałem, jak zapewnić Delcie ochronę, ale rangersi i operatorzy Delty nigdy nie mieszali się podczas walki. Każdy miał własną sieć dowodzenia, częstotliwości radiowe, a przede wszystkim inne sposoby rozwiązywania problemów. A teraz kazano im przedostać się razem do miejsca, gdzie leżał zestrzelony helikopter. Steele i Miller naradzili się krótko co do przebiegu akcji i uzgodnili, że rangersi będą na przodzie i z tyłu, a Delta w środku[169].

Kolumna ta składająca się z około osiemdziesięciu żołnierzy wyruszyła pieszo w stronę wraku tylko kilka minut po tym, jak pechowy konwój podpułkownika McKnighta wyruszył spod budynku, w którym aresztowano dziś więźniów. Podczas gdy konwój błądził po mieście pod ciężkim ostrzałem, tracąc nadzieję na przedostanie się do wraku, spadł śmigłowiec Duranta. W tym samym czasie piesze oddziały Delty i rangersów zmagały się z trudnościami na drodze do miejsca pierwszej katastrofy.

Przebiegli zaledwie jedną przecznicę, kiedy postrzelono sierżanta Aarona Williamsona. Już wcześniej kula oderwała mu koniuszek palca, ale mimo to walczył dalej. Kiedy porucznik Perino usłyszał krzyk, odwrócił się i zobaczył Williamsona, który zwijał się z bólu na ulicy, krzycząc i trzymając się za nogę.

– Mam tu rannego. – Steele połączył się przez radio z Perinem.

– Zabierzcie go i ruszajcie dalej – odparł Steele.

Kiedy Howe i jego oddział mijali Williamsona, wokół niego stało pięciu nachylonych rangersów.

– Ruszajcie dalej i zostawcie go sanitariuszom! – krzyknął do nich Howe.

Zaniesiono rannego w górę ulicy, gdzie stał hummer z konwoju, który miał lada chwila wyruszyć do miejsca katastrofy[170].

Stebbins, urzędnik kompanii, który brał dziś udział w pierwszej prawdziwej misji, znalazł się na przodzie. Jego pozycja blokująca znajdowała się na południowo-wschodnim narożniku, więc teraz jego grupa zmierzała na wschód. Biegł truchtem zgięty w pół, starając się zachować ostrożność i zgodnie z zaleceniami chłopaków z Delty nie zbliżać się za bardzo do muru. Co kilka metrów znajdowało się wejście na dziedziniec któregoś z budynków. Kiedy Stebbins mijał jedno z nich, ze środka wypadł Somalijczyk. Stebbins natychmiast wystrzelił, gdyż człowiek wystraszył go. Zadziałał instynktownie. Wystrzelił dwie kule. Trafiony usiadł na ziemi, położył dłonie na klatce piersiowej i wyglądał na zdziwionego, po czym opadł bezwładnie do przodu, zaczął się kołysać i jęczeć. Był to dobrze zbudowany człowiek z krótkimi włosami ubrany w jasnoniebieską koszulę w nieco dyskotekowym stylu, która miała długie rękawy i szeroki kołnierzyk. Somalijczycy z reguły byli brudni i nosili niechlujne ubrania, ale ten wyglądał całkiem przyzwoicie i czysto. Nosił sztruksowe spodnie

zapięte paskiem z dużą klamrą z odlewanego metalu. Wydawało się, że nie pasuje do tego miejsca. A Stebbins strzelił do niego jakby nigdy nic. Po raz pierwszy w życiu oddał strzał w stronę człowieka.

Wszystko to trwało sekundy, ale Stebbinsowi wydawało się, że minęło o wiele więcej czasu. Już celował do Somalijczyka ponownie, kiedy szeregowy Carlos Rodriguez zabrał mu broń.

– Nie marnuj na niego pocisków, Stebby – powiedział. – Po prostu biegnij przed siebie[171].

Steele, który na szerokich plecach niósł radio, czuł, że zostaje coraz bardziej w tyle za porucznikiem Perinem i resztą grupy Chalk One. Żołnierze mieli biec w pewnym rozproszeniu i zapewnić osłonę ogniową dla przecinających pojedynczo skrzyżowanie ludzi. Niestety, ku rozpaczy Steele'a, niemal natychmiast cała kolumna się rozpadła. Żołnierze Delty zignorowali rozkazy związane z ustawieniem się w szyku i po prostu biegli przed siebie. Podczas treningów uczono ich samodzielnego myślenia i niezależności, dlatego dziś działali według własnego uznania. Każdy z operatorów miał mały odbiornik radiowy w uchu pod plastikowym, hokejowym kaskiem (Steele nazywał je kaskami do jazdy na deskorolce) oraz mikrofon przymocowany w pobliżu ust. Pozostawali więc w kontakcie z innymi członkami oddziału. Jeśli radio przestało działać lub kiedy robiło się zbyt głośno, tak jak w tej chwili, operatorzy Delty komunikowali się za pomocą rąk. Rangersi Steele'a byli natomiast zależni od rozkazów wykrzyczanych przez oficerów lub dowódców oddziałów. Poza tym byli młodsi, mniej doświadczeni, a przez to byli dziś naprawdę przerażeni. W zamieszaniu niektórzy, zamiast zostać przy swoim oddziale, pobiegli za ludźmi z Delty. Steele widział, jak oddział rozprasza się, zanim kolumna zdążyła minąć dwie przecznice.

Był to jeden z problemów, z jakimi często miał do czynienia, kiedy musiał współpracować z Deltą. Od kiedy rangersi przebywali w hangarze razem z elitarnymi komandosami, postawa oraz zwyczaje operatorów zaczęły wywierać na nich wpływ. Nie trzeba było długo czekać na to, by nastoletni żołnierze zaczęli nosić okulary przeciwsłoneczne i koszule z podwiniętymi rękawami. Szeregowi stali na warcie w krótkich spodenkach, przepisowych brązowych koszulkach, kamizelach kuloodpornych i hełmach. Młodsi żołnierze wykazywali coraz większe poirytowanie pozbawioną sensu służbistością i dyscypliną w formacji rangersów[172].

Kiedy Steele wprowadzał rygorystyczne reguły, wielu rangersów sądziło, że ich dowódca czuje się zagrożony obecnością Delty. Barczysty kapitan należał niegdyś do drużyny futbolowej, w której grał na linii ataku. Jeszcze rok przed misją, kiedy chodził wśród podwładnych, wyglądał jak pomrukujący Jowisz wśród poddanych – świadomy swojej wyższości i męskości. Pewnego razu specjalista Dave Diemer pokonał wszystkich chętnych zmierzyć się z nim w siłowaniu się na rękę, ale na koniec przyszedł Steele i okazał się lepszy. Pokonany Diemer jęczał, że kapitan oszukiwał. Steele robił wrażenie człowieka, który bez mrugnięcia okiem mógłby zabić gołymi rękami, gdyby nie jego przywiązanie do dyscypliny oraz oddanie Jezusowi. Stał wyprostowany nawet, kiedy starsi podoficerowie uważali, że stanie na baczność nie jest konieczne. Pewnego razu w Ford Bragg kazał obudzić ludzi o północy za to, że po wykańczającej misji treningowej poszli spać, nie wyczyściwszy najpierw broni (na co pozwolili im sierżanci). Steele był wyjątkowo twardy, ale na szczycie

łańcucha pokarmowego stali operatorzy Delty. Większość z nich była podoficerami. Żołnierze Delty nie tylko samą swoją obecnością sprawili, że tradycyjne przejawy szorstkiego i męskiego stylu bycia wyszły z mody, lecz również otwarcie, a zarazem pogodnie okazywali krytyczny stosunek do funkcji Steele'a[173].

Pogarda ta była wzajemna. Steele miał świadomość, że operatorzy wykonywali przydzielone im zadania wyjątkowo dobrze, ale nigdy nie wpadał w zachwyt nad nimi. Nie mógł zaakceptować ich pogardliwego stosunku do dyscypliny rangersów, a także stylu bycia bardziej przypominającego życie cywilów niż żołnierzy. Z pewnością zachęcanie podwładnych do wykorzystania podczas walki własnej inicjatywy i umiejętności samodzielnego myślenia to dobry pomysł, jednak fakt, że niektórzy komandosi z Delty tak bardzo odeszli od przyjętych w wojsku norm, wydawał mu się niezdrowy. Czasem robili się komicznie aroganccy. Na przykład kiedy otrzymali listę potencjalnych celów ataku, podzielili je pomiędzy poszczególne oddziały, z których każdy miał przygotować własny plan ataku. Ponieważ we wszystko byli zaangażowani też ludzie Steele'a, kapitan brał udział w spotkaniu, na którym prezentowano poszczególne plany. Steele był przyzwyczajony do spotkań, podczas których żołnierze słuchali, robili notatki i zadawali pytania tylko po to, aby upewnić się, że dobrze zrozumieli cały plan, a następnie salutowali dowódcy i wychodzili. Podczas spotkania chłopaków z Delty panowała wolnoamerykanka. Po tym, jak jedna z grup przedstawiła swój plan, ktoś zawsze rzucił jakąś uwagę: „Dlaczego tak? To najgłupszy pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem", która prowokowała innych do riposty brzmiącej na przykład: „Odpieprz się". Wkrótce większość obradujących krzyczała na siebie nawzajem. Steele miał wówczas wrażenie, że zaraz rzucą się na siebie, aby rozstrzygnąć spór przy użyciu ciosów kung-fu.

Potrafił sobie wyobrazić, co by było, gdyby podobne zasady wprowadzić w kompanii rangersów. Niektórzy z jego ludzi byli jeszcze chłopcami. Kapitan podejrzewał, że większość z nich przed wstąpieniem do wojska spędzała dni, zalegając na kanapie przed telewizorem i oglądając MTV z paczką chipsów w dłoni. Z reguły po szkoleniu podstawowym oraz następującym po nim szkoleniu rangersów stawali się dobrymi żołnierzami, jednak przeciętny szeregowy z kompanii Bravo wciąż miał przed sobą długą drogę do tego, by stać się zawodowym żołnierzem. Zatem dyscyplina w formacji rangersów miała uzasadnienie[174].

Łatwo można było się domyślić, dlaczego rangersi nie przepadali za Steele'em, a z podziwem patrzyli na chłopaków z Delty. Większość z nich nie myślała o przyczynach, dla których wprowadzono dyscyplinę, a u źródeł nieporozumień widzieli konflikt osobowości.

Tak się stało na przykład w sytuacji, kiedy Steele i jego ludzie stali w kolejce w kantynie, a kapitan zauważył, że karabin sierżanta Delty Norma Hootena jest odbezpieczony. Według zasad w formacji rangersów każda broń, obojętnie czy naładowana czy nie, nie mogła być odbezpieczona na terenie bazy. Zalecenie to było niezwykle ważne i stanowiło podstawową regułę związaną z bezpiecznym posługiwaniem się bronią.

Steele klepnął więc w ramię jasnowłosego operatora i zwrócił mu uwagę.

Hooten podniósł palec wskazujący i powiedział:

– To mój sposób na zapewnienie bezpieczeństwa.

Mówiąc to, wprawił Steele'a w zakłopotanie w obecności jego podwładnych.

Teraz natomiast doszło do komplikacji, których Steele tak się obawiał i to w momencie, kiedy zachowanie dyscypliny było najważniejsze. W tej chwili i tak nie mógł nic na to poradzić. Podczas gdy jego ludzie mijali go szybko i bezładnie, Steele znalazł się mniej więcej w połowie grupy. To nic, wyrównają szyki przy rozbitym śmigłowcu. O ile go znajdą. Nikt nie był pewien, gdzie dokładnie leży wrak[175].

Howe z oddziałem Delty szybko znalazł się na przodzie. Widział, jak kule ryją dziury w ziemi i odbijają się od ścian, zostawiając ślady w betonowych murach. Zachowanie formacji było jego najmniejszym zmartwieniem. Ulica, którą biegli, stała się strefą śmierci. Aby przeżyć, należało ruszać się tak szybko, jak człowiek, któremu palą się włosy. Przyszedł czas, żeby dać przykład innym. Celem żołnierzy było przedostanie się do zestrzelonego helikoptera. Liczyła się każda sekunda. Jeśli nie uda im się połączyć z siłami w miejscu katastrofy, zamiast jednej silnej grupy, będą dwie słabe. A zamiast jednego szczelnego kordonu potrzebne będą dwa. Poruszali się więc szybko, a zarazem cwanie. Biegnąc przed siebie, Howe cały czas poruszał się tak, aby jego plecy były odwrócone do muru. Poza tym starał się nie marnować kul. Znajdowali się na polu bitwy, otoczeni przez wroga, zatem wykorzystując ściany jako osłonę, mogli mieć nadzieję, że chociaż jedna strona jest bezpieczna. Przed każdym skrzyżowaniem cały oddział przystawał, aby rozejrzeć się dookoła i przysłuchać odgłosom z ulicy. Czy kule odbijają się od ścian? Czy może ryją piach na ulicy? Czy strzały padają z prawej, czy lewej strony? Wszystkie informacje zdobyte podczas szkoleń oraz posiadana wiedza praktyczna mogły dziś uratować im życie. Czy pociski pochodziły z karabinu maszynowego, czy z karabinków AK? Magazynek AK-47 mieści tylko dwadzieścia pięć do trzydziestu pocisków, zatem można poczekać na przerwę pomiędzy strzałami i przebiec ulicę w czasie, gdy „zdechlak" będzie przeładowywał broń. Przede wszystkim nie można było się zatrzymywać. Trafienie ruchomego celu należy do najtrudniej – szych wyzwań.

Howe i jego zespół trenowali razem od lat, walczyli w Panamie i innych miejscach, więc dziś byli zdecydowani i pewni siebie. Howe uważał, że jego żołnierze doskonale sprawdzają się w sytuacjach takich jak dzisiejsza. Nauczono ich, jak radzić sobie z natłokiem myśli. Potrafili skoncentrować się na najważniejszych w danej chwili informacjach. Howe umiał zignorować odgłos wystrzału z karabinu lub gwizd przelatującego pocisku. Jak zwykle ktoś do niego strzelał, niecelnie zresztą. Prędzej zwróciłby uwagę na paczkę chipsów, która przyleciałaby zza muru. Kiedy biegli wzdłuż ulicy, ich myśli były jasno sprecyzowane: po zlokalizowaniu wroga schować się, strzelić i iść dalej, a później znów rozglądać się za niebezpieczeństwem. Pozostawanie w ruchu było najważniejsze. Przy tak silnym ostrzale zatrzymanie się w miejscu i pozwolenie na to, by nieprzyjaciel przygwoździł ich ogniem, mogło oznaczać śmierć[176].

Rangersi także robili, co mogli, by przedostać się przez kolejne skrzyżowania. Stebbins i szeregowy Brian Heard z sześćdziesiątką także nadążali za wszystkimi. Starali się pozostawać jak najbliżej żołnierzy Delty przekonani, że ci najlepiej wiedzą, jak nie dać się zabić. Stebbins cały czas powtarzał sobie w duchu: „Jest niebezpiecznie, ale uda się nam. Wszystko gra". Przed każdym skrzyżowaniem przyklękał i strzelał w kierunku wroga, podczas gdy człowiek przed nim biegł szybko na drugą stronę. Następnie żołnierz za nim klepał go w

ramię, co oznaczało, że będzie go osłaniał, a Stebbins biegł przed siebie z zamkniętymi oczami, modląc się i pędząc ile sił w nogach[177].

Sierżant Goodale, ten sam, który pewnego razu tłumaczył matce, dlaczego nie może doczekać się walki, dziś był przerażony. Kiedy czekał na swoją kolej na przedostanie się na drugą stronę ulicy, jeden z operatorów Delty klepnął go w ramię. Goodale rozpoznał go; to był niski i krępy sierżant Earl Fillmore – przyzwoity facet. Fillmore zapewne widział przerażenie na twarzy Goodale'a, ponieważ zapytał go:

– Wszystko w porządku?

– Tak w porządku.

Fillmore puścił do niego oko i powiedział:

– Wszystko gra, już prawie jesteśmy na miejscu.

To uspokoiło Goodale'a. Wierzył Fillmore'owi.

Zanim grupa pokonała trzy przecznice, oddział Howe'a wysunął się na prowadzenie. Poza tym byli tam: Stebbins, Heard, Goodale, Perino, kapral Jamie Smith i kilku innych rangersów. Główna ulica się skończyła, więc skręcili w lewo w Marehan Road. Szeroka ulica wznosiła się nieco, przed nimi widniało małe wzgórze, za którym droga znów opadała w dół. Nie wiedząc, co czeka ich za wzniesieniem, zawahali się. Na dole, po południowej stronie, widzieli „chuchraków" biegających we wszystkich kierunkach. Natomiast po północnej stronie, za pagórkiem, wznosił się czarny dym prawdopodobnie oznaczający miejsce wypadku. Brakowało im jeszcze około 200 metrów.

Na skrzyżowaniu padał grad latających we wszystkich kierunkach pocisków; strzelano z karabinów automatycznych i granatników przeciwpancernych. Howe poczuł, że mogą tu zaraz utknąć, a wróg zmiecie ich w proch. Dlatego krzyknął w tył do kapitana Millera: „Biegnijcie za mną!" i dał nura w lewo. Pobiegli za nim Stebbins i kilku innych rangersów, natomiast Perino, Goodale, Smith wraz z innymi dołączyli do oddziału Hootena po drugiej stronie i zaczęli przemieszczać się w dół ulicy wzdłuż muru po prawej stronie. Zaraz za nimi była grupa operatorów Delty pod dowództwem sierżanta Johna Boswella.

Przy murze w pobliżu Howe'a i jego ludzi wybuchł granat przeciwpancerny. Howe poczuł napór ciśnienia w uszach i klatce piersiowej, po czym upadł na jedno kolano. Niewielki odłamek skaleczył lewy bok jednego z jego żołnierzy. Howe z całej siły kopnął drzwi do jednoizbowego domu po lewej stronie. Komandosi Delty nauczyli poruszać się tak, jakby to oni rządzili światem. Każdy dom był ich domem. Jeśli potrzebowali osłony, wyważali drzwi. Każdy, kto spróbowałby się temu przeciwstawić, zginąłby na miejscu. Zasady były proste. W środku nikogo nie było. Złapali oddech i przeładowali broń. Bieganie ze sprzętem było wyczerpujące. Noszenie kamizelek kuloodpornych przypominało chodzenie w piance do sportów wodnych. Pocili się obficie i z trudem łapali oddech. Howe wyciągnął nóż, aby przeciąć koszulę rannego kolegi i obejrzeć ranę. Na plecach znajdowała się niewielka dziura otoczona sinym, opuchniętym okręgiem o średnicy mniej

więcej 5 centymetrów. Rana prawie nie krwawiła, ale spuchła tak bardzo, że otwór zasklepił się.

– Na razie możesz chodzić – zawyrokował Howe, po czym wyszli z budynku i pobiegli dalej.

Biegnący przed Perinem w górę ulicy Goodale zobaczył przed sobą znajome kamuflaże pustynne i ucieszył się w duchu. „Udało im się!". Kiedy dołączą do reszty, pojawi się konwój, który zabierze wszystkich z tego piekła. Słońce było już nisko nad horyzontem. Goodale obiecał wcześniej narzeczonej, Kirze, że dziś wieczorem do niej zadzwoni. Musiał zatem wrócić na czas.

Goodale biegł za sierżantem Chuckiem Elliotem, który przykucnął na rogu pierwszego skrzyżowania na wzniesieniu i strzelał w kierunku wschodnim. Goodale skierował broń w dół Marehan Road. Zauważył, że Howe i jego oddział biegną ukryci w cieniu po drugiej stronie ulicy. Tymczasem zachodzące słońce jasno oświetlało stronę, na której znajdował się Goodale. Ponieważ znaleźli się na wzniesieniu, mógł strzelać nad głowami kolegów do widocznych za wzgórzem Somalijczyków, znajdujących się o jakieś trzy czy cztery przecznice dalej. Odległość była duża, ale nie widział przed sobą żadnego innego celu. Zdał sobie sprawę, że nikt nie strzelał w lewo, w stronę ulicy po zachodniej stronie. Kiedy próbował spojrzeć w tamtym kierunku, oślepiało go zachodzące słońce. Mimo wszystko przymrużył oczy i odwrócił się, aby wystrzelić kilka pocisków. Nagle poczuł rozdzierający ból. Prawa noga odmówiła mu posłuszeństwa, więc przewrócił się w tył, prosto na Perina.

– Au! – krzyknął.

Kula uderzyła w prawe udo i przeleciała na drugą stronę nogi, zostawiając wielką ranę wylotową w prawym pośladku. Natychmiast przypomniał sobie zasłyszaną historię o facecie z 10. Dywizji Górskiej, który tydzień wcześniej stracił dłoń, kiedy pocisk zdetonował niesiony przez niego jednostrzałowy granatnik przeciwpancerny. Goodale postanowił zdjąć swój granatnik z ramienia.

Perino nie miał pojęcia, co robi Goodale.

– Dostałeś? – zapytał.

– Prosto w tyłek.

Goodale zrzucił z siebie granatnik i krzyknął do Elliota:

– Masz tu granatnik przeciwpancerny.

Elliot posłusznie podniósł broń z ziemi.

Perino znów połączył się przez radio ze Steele'em, który w tej chwili podążał śladem kolumny.

– Kapitanie, mam następnego rannego.

– Zabierzcie go i idźcie dalej – nalegał Steele.

Zamiast tego Perino razem z kilkoma innymi rangersami z grupy Chalk One przebiegli na drugą stronę skrzyżowania, zostawiając Goodale'a z sierżantem Bartem Bullockiem, tym samym sanitariuszem Delty, który wcześniej pomagał w opatrywaniu rangersa Todda Blackburna po jego upadku z black hawka. Zarówno Bullock, jak i sanitariusz Kurt Schmid dołączyli ponownie do oddziałów Delty w domu stanowiącym cel ataku po tym, jak Blackburn pojechał do bazy w składającym się z trzech pojazdów konwoju, w którym zginął Pilla. Schmid znajdował się teraz przecznicę dalej na północ, razem z Perinem i innymi rangersami. Goodale położył się ponownie na ziemi, a Bullock zaczął go opatrywać.

– Wypadasz z gry – powiedział Bullock. – Ale nic ci nie jest. Wszystko w porządku.

Goodale był zniesmaczony. „Gra skończona". Czuł się tak, jak zawodnik, który doznał urazu podczas meczu piłki nożnej i zostaje wyniesiony z boiska – rozczarowany. Poczuł też ulgę, że nie bierze już udziału w walce, która robiła się coraz bardziej zacięta. Ściągnął hełm. Już za chwilę zobaczył granat przeciwpancerny lecący nie dalej niż w odległości 2 metrów od niego, który wybuchł z ogromnym hukiem około 6 metrów dalej. Włożył hełm z powrotem na głowę. Zdecydowanie gra nie skończyła się jeszcze.

– Musimy zejść z ulicy – zdecydował Bullock.

Zaciągnął Goodale'a na małe podwórko, gdzie podbiegł do nich oddział Delty prowadzony przez sierżanta Hootena. Goodale zapytał Bullocka o swoją manierkę, która znajdowała się w sprzęcie zdjętym z niego przez sanitariusza. Bullock przeszukał torbę Goodale'a i zauważył w niej dziurę po kuli, która przeleciała przez jego ciało. W manierce wciąż była woda.

– Przyda ci się – rzucił Bullock.

Ponieważ jego żołnierze znaleźli się teraz na tyłach kolumny, nadrzędnym celem kapitana Steele'a było skonsolidowanie sił rangersów i przywrócenie porządku. Liczył się czas. Steele dowiedział się, że konwój prawdopodobnie dotrze do miejsca katastrofy śmigłowca przed jego oddziałem. Właśnie usłyszał przez radio, że spadł następny black hawk (Duranta), co oznaczało, że muszą się pospieszyć. Harrell znajdujący się w helikopterze dowodzenia i nadzoru wyjaśnił:

– „Skonsolidujemy siły przy wraku leżącym dalej na północ, zabierzemy stamtąd wszystkich ludzi i ruszymy na południe, odbiór".

Steele dowodził około sześćdziesięcioma żołnierzami, kiedy ostatni raz widział pojazdy, tymczasem teraz nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje z jego ludźmi. Znalazłszy się na skrzyżowaniu na szczycie wzniesienia, przebiegł na prawą stronę ulicy razem z porucznikiem Jamesem Lechnerem i kilkoma innymi rangersami. Sierżant Watson oraz pozostali żołnierze z grupy Chalk Three byli ostatnimi, którzy minęli róg.

Steele pokonał niewielkie wzniesienie i zaczął biec w dół wzgórza. Gdy znalazł się mniej więcej 10 metrów dalej, nastąpił nagły wybuch. Padł na ziemię. Leżał teraz na brzuchu, trzymając szeroką twarz bezpośrednio na piaszczystym podłożu. Podobnie zrobili jego podwładni; po lewej leżał radiooperator sierżant

Chris Atwater, na lewo od Atwatera znajdował się porucznik Lechner, zastępca Steele'a. Atwater i Steele, dwaj dobrze zbudowani mężczyźni, próbowali ukryć się za drzewem, którego pień miał co najwyżej 30 centymetrów szerokości.

Mniej więcej trzy kroki od nich na prawo, w metalowej bramie prowadzącej na podwórze, na które wcześniej Bullock wciągnął Goodale'a, stał Hooten, dowódca oddziału Delty. Steele patrzył na kolejną grupę operatorów, którzy biegli ulicą przed nim. Chciał za nimi pobiec, ale w pewnym momencie jeden z nich – Fillmore – zaczął się przewracać. Mały kask poderwał się do góry, a z czoła operatora trysnęła krew. Z pewnością była to śmiertelna rana – Fillmore upadł na ziemię.

Inny operator chwycił go i starał się odciągnąć w wąską uliczkę. Wówczas sam dostał pociskiem w szyję.

Steele poczuł całą powagę ich położenia. Klamka zapadła[178] – pomyślał.

12

Mohamed Sheik Ali prędko przemierzał znaną mu okolicę. Ali walczył na tych ulicach już od dziesięciu lat, od czasu, kiedy skończył czternaście lat i stał się członkiem armii Siada Barre'a. Poruszał się głównie wśród tłumu, przebiegając szybko od jednej kryjówki do drugiej, z reguły trzymając się z dala od nieprzyjaciela, dzięki czemu stanowił trudny cel. Co jakiś czas jednak podchodził na tyle blisko, żeby wypalić w stronę żołnierzy kilka dobrze wymierzonych pocisków z AK-47. Amerykanie, którym udało się go dostrzec, widzieli niskiego, brudnego mężczyznę z burzą włosów na głowie i zębami pokrytymi brązowopomarańczowymi plamami od żucia khatu oraz szeroko otwartymi – na skutek działania narkotyku i adrenaliny – oczami.

Sheik Ali był wyćwiczonym strzelcem, zabójcą, człowiekiem, który walczył najpierw dla dyktatora, a później przeciwko niemu, na koniec zaś stał się płatnym zabójcą. Większość Somalijczyków uważała, że Sheik Ali i inni jemu podobni są jak zaraza. Bali się ich i pogardzali nimi. Teraz jednak, kiedy potrzebni byli ludzie do walki z rangersami, tacy jak on okazali się przydatni. Dla niego Amerykanie byli po prostu następnymi wrogami, których należało zastrzelić, wrogami, którzy wcale nie wyróżniali się szczególną odwagą. Ali pomyślał, że gdyby nie helikoptery pomagające rangersom z powietrza, otoczenie ich byłoby niezwykle proste. On i jego ludzie mogliby zabić żołnierzy gołymi rękami.

Na razie cieszył się walką. Żadnej ze stron nie było dane nawet 15 minut odpoczynku. Ludzie w czarnych kamizelkach, którzy pojawili się tu razem z rangersami, byli szczególnie bezwzględni w zabijaniu. Amerykanie nieproszeni wtargnęli do jego domu w dzielnicy Bakara, więc teraz miał zamiar ich za to ukarać. Sheik Ali wierzył przekazywanym przez rozgłośnię radiową Aidida oraz drukowanym na ulotkach Somalijskiego Przymierza Narodowego informacjom, jakoby Amerykanie chcieli nawrócić wszystkich Somalijczyków na chrześcijaństwo i zmienić ich w niewolników.

Kiedy zobaczył spadający helikopter, ucieszył się i zaczął biec w jego kierunku. W przeciwieństwie do większości ludzi na ulicy nie biegł bezpośrednio w kierunku rozbitej maszyny. Zdawał sobie sprawę, że wokół miejsca katastrofy pojawi się wielu uzbrojonych mężczyzn, poza tym na pewno będą w tę stronę podążać rangersi. Dotarcie tam nie będzie łatwe.

Sheik Ali był członkiem nieregularnych oddziałów milicji, które teraz przedzierały się przez tłum w kierunku miejsca katastrofy i zaczęły tworzyć kordon w okolicach rozbitego śmigłowca. Biegł ulicą równoległą do tej, którą poruszali się rangersi. Przy każdym rogu zatrzymywał się, czekał chwilę i strzelał do żołnierzy, którzy przebiegali przez ulicę. Potem pędził do następnej przecznicy i powtarzał wszystko od początku. Nie miał na sobie ciężkiej kamizelki kuloodpornej i sprzętu, nikt też nie strzelał do niego ze wszystkich stron, więc mógł poruszać się szybciej i swobodniej od rangersów. Kiedy dotarł do blokady opasującej miejsce katastrofy, napotkał tam walczących z Amerykanami Somalijczyków takich jak on, a także wielu gapiów, w tym kobiety i dzieci, które padały pod kulami żołnierzy strzelających do wszystkiego, co się rusza.

Sheik Ali wraz z kilkoma ludźmi z jego bandy położyli się za drzewem i strzelali do Amerykanów zbiegających ze wzgórza w stronę ulicy, na której leżał roztrzaskany helikopter. Zobaczył postrzelonego w głowę żołnierza, jednego z tych, którzy nosili czarne kamizelki i małe kaski. Jego towarzysz próbował go odciągnąć w bezpieczne miejsce, ale on też otrzymał postrzał. Ktoś trafił go w szyję.

Potem Sheik Ali i pozostali pobiegli dalej. Okrążyli okolicę, gdzie leżał śmigłowiec, i podczołgali się z powrotem w stronę Marehan Road. Ali znalazł drzewo, za którym położył się płasko na brzuchu. Po jego stronie ulicy, mniej więcej dwie przecznice dalej, znajdowali się Amerykanie, którzy skorzystali z osłony, jaką dały im samochód, drzewo i mur. Na tym samym skrzyżowaniu, po drugiej stronie ulicy, było ich jeszcze więcej. Pomiędzy nimi a Alim znajdowało się więcej walczących, przede wszystkim szaleńcy, którzy nie wiedzieli, jak należy zachować się podczas bitwy. Czekał więc w ukryciu na sposobność oddania celnego strzału.

Po dwóch godzinach strzelania w stronę Amerykanów Ali zobaczył, że postrzelono jego kompana, Abdikadira Alego Nura. Kule wystrzelone z karabinu M60 przez Amerykanina znajdującego się w dole ulicy niemal rozdarły lewą część ciała Nura. Za to Ali dostał w twarz odłamkiem pocisku z M203, który wybuchł w pobliżu.

Pomógł zanieść rannego przyjaciela do szpitala[179].

13

Szeregowy David Floyd zawsze uważał, że proch ma słodki zapach. Przypominał mu dom. Floyd pochodził z Karoliny Południowej. Jako chłopiec – czyli nie tak dawno, teraz miał dopiero osiemnaście lat – podczas polowań, na które chodził z ojcem, zbierał z ziemi łuski po nabojach tylko po to, by wdychać ich zapach.

Dziś w powietrzu unosiła się taka sama woń, która tym razem oznaczała coś zupełnie innego. Wraz z pozostałymi biegł ulicą pośród latających wokół pocisków. Podążając za grupą chłopaków z Delty, minął róg ulicy, a następnie znalazł sobie pierwszą lepszą osłonę. Wsunął się za kawałek blachy, gdzie pozostał przez chwilę, z niedowierzaniem spoglądając na południową stronę ulicy.

Poruszanie się przychodziło mu z trudem. Jakaś część Floyda chciała zwinąć się w kłębek i schować. Wiedział, że zaprzestanie walki byłoby samobójstwem, ale trudno było przezwyciężyć strach. Z przerażenia mógłby zsikać się w portki. „Naprawdę tu jestem" – pomyślał. Wszystko dokoła wyglądało jak film z tą różnicą tylko, że tym razem było prawdziwe, a on znalazł się w samym środku akcji. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę bierze udział w walce, że strzelają do niego i chcą go zabić. „Zginę na tej brudnej afrykańskiej uliczce". Zbyt wiele się działo, żeby rozmyślać o takich rzeczach, ale Floydowi przyszło to do głowy mimochodem: nagle wyobraził sobie, jak późnym, letnim, niedzielnym rankiem jego rodzice siadają do śniadania, nie mając najmniejszego pojęcia, że ich ukochany syn David walczy o życie tysiące kilometrów dalej, w tym mieście szaleńców, o którym nigdy nie słyszeli i które wcale ich nie obchodziło. „Co ja, do diabła, tutaj robię?". Obecność chłopaków z Delty pomagała mu powstrzymać takie negatywne myśli, a zarazem zachęcała do zaciekłej walki. Należało wykorzystać każdy pocisk i granat, a także wprowadzić w życie to, czego uczyli się podczas treningów. Floyd był wściekły. Widział, jak ginie jeden z jego braci – rangersów. Widział, jak upada Williamson, i to doprowadzało go do szału. Równocześnie miał ochotę schować się gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie. Przeważyła jednak zwierzęca wręcz wściekłość. „Sami się o to prosiliście, gnoje. Dostaniecie to, co się wam należy".

Nagle zobaczył, że postrzelono Fillmore'a. To nie miało się wydarzyć. Przecież te chłopaki wiedziały, jak nie dać się zabić. „o kuuurwa". Jeśli giną ludzie z Delty, jakie szanse na przeżycie ma szeregowy David Floyd[180]?

Stał przy murze po zachodniej stronie ulicy, strzelając z zapałem w kierunku południowym, w dół ulicy Marehan Road. Zdawał sobie sprawę, że blachy, za którymi się ukrył, nie są wcale dobrą osłoną. Na samym środku ulicy specjalista John Collett wczołgał się za garb na drodze, gdzie, strzelając z M249, zapewniał dodatkową osłonę ogniową po południowej stronie. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się sierżant Watson razem z kolejną grupą rangersów.[181]

Watson dowodził żołnierzami z właściwym sobie wisielczym humorem. Kiedy grad kul uderzył w ścianę bezpośrednio nad jego głową, odwrócił się, wytrzeszczył komicznie oczy i powiedział: „Oj, to jest do dupy!" takim tonem, że wszyscy się uśmiechnęli. Watson prezentował postawę mówiącą: „Dobra, wpieprzyliśmy się w bagno, ale co z tego?"[182].

Sierżant Keni Thomas znajdował się najbliżej Fillmore'a, kiedy ten został postrzelony.

– Wezwij ewakuację medyczną! – krzyknął Hooten.

Thomas pobiegł w stronę Watsona, który usłyszał tylko drugą połowę jego słów. Watson nie widział szans na wyniesienie Fillmore'a, ale nie miał serca, by powiedzieć o tym Thomasowi.

– Idź zapytać kapitana – poradził.

Thomas pobiegł do Steele'a, zbliżył się na tyle, na ile to było możliwe, i krzyknął:

– Mamy rannego w głowę. Trzeba go stąd wydostać!

Steele polecił mu gestem poczekać chwilę, ponieważ właśnie rozmawiał przez radio. Następnie odpowiedział:

– Czy to jeden z naszych?

Czy nie wszyscy byli „nasi"?

– To człowiek z Delty – odparł Thomas.

Thomas był zrozpaczony. Po raz pierwszy zobaczył kogoś postrzelonego w głowę.

– Uspokój się – poradził mu Watson, kiedy Thomas wrócił na miejsce. Sierżant powiedział, że być może rannego będzie można przewieźć w samochodzie. Tylko gdzie się podział ten cholerny konwój? Kiedy ruszali w drogę do rozbitego śmigłowca, pojazdy znajdowały się na ulicy, zaraz za nimi.

Thomas wrócił do Hootena.

– Śmigłowiec nie może tu przylecieć, ale może przyjedzie jakiś hummer.

– W porządku – odparł Hooten. – On i tak nie żyje.

Thomas czuł się dziwnie odrętwiały. Zirytowało go pytanie kapitana Steele'a: „Czy to jeden z naszych?". Poza tym czuł gorzki smak niepowodzenia.[183]

Collettowi przypadło do gustu miejsce pośrodku Marehan Road. Co prawda nie wyglądało bezpiecznie i żołnierze po obu stronach ulicy myśleli, że oszalał. Collett jednak, obserwując przelatujące mu nad głową kule, ocenił, że garb na drodze stanowi doskonałą osłonę. Zauważył, że nieprzyjaciel trafiał żołnierzy, którzy pozostawali w ruchu. Z miejsca, w którym się znalazł, można było strzelać do wroga pod wygodnym kątem, jednak mieściła się tu tylko jedna osoba. Kiedy szeregowy George Siegler zaczął czołgać się w jego stronę, Collett krzyknął: „Siegler, zawracaj!". Siegler nie próbował się z nim spierać, lecz obrócił się i prędko poczołgał w stronę muru[184].

Pociski przebijały dziury w blaszanym schronieniu Floyda. Ponieważ słońce było już nisko, po tym jak usłyszał trzask towarzyszący przebijaniu blachy, od razu pojawiły się snopy światła, które przedostały się przez przebite kulami otwory. Floyd czuł się, jakby strzelano do niego z broni laserowej. Wtedy zobaczył, że trafiono szeregowego Petera Neathery'ego, który znajdował się po drugiej stronie ulicy. Neathery leżał na ziemi, strzelając z karabinu M60, kiedy nagle krzyknął i zaczął turlać się po ulicy, ściskając prawą rękę. Szeregowy

Vince Errico przejął po nim karabin, ale już za kilka sekund wydał z siebie przeraźliwy okrzyk. On także otrzymał postrzał w prawą rękę. Zarówno Neathery, jak i Errico leżeli teraz, jęcząc z bólu. Najwyraźniej prawa strona muru przy skrzyżowaniu skupiała największy ogień nieprzyjaciela. W tym miejscu zginął Fillmore, a kilku innych zostało rannych. Ktokolwiek znalazł się po tej stronie ulicy, sam prosił się o kulkę.

Pocisk, który dosięgnął Neathery'ego, rozerwał mu biceps. Dookoła było mnóstwo krwi. Kiedy sanitariusz Richard Strous cierpliwie opatrywał mu ranę, Neathery spojrzał w górę, na Thomasa:

– Do cholery, sierżancie, mam nadzieję, że wyślą mnie przez to do domu.

– Boli? – zapytał Thomas.

– Jak diabli! Ale nic mi nie jest. Chyba uwierzę w Boga.

– To dobrze – odparł Thomas. – On też w ciebie wierzy.

Thomas przejął karabin M60. Wpatrywał się w miejsce po zachodniej stronie, rozpaczliwie usiłując dojrzeć strzelca, który wziął ich sobie na cel. Szukali go też wzrokiem Floyd i specjalista Melvin DeJesus, którzy zajmowali dogodną pozycję w cieniu. Floyd utracił wszelką nadzieję. „Zginiemy tu". Nagle na ulicę przed nimi spadł pojedynczy nabój. Musiał się stoczyć z blaszanego dachu domu, przy którym się obecnie znajdowali. Ktokolwiek był na górze, mógł bez trudu trafić żołnierzy przy oświetlonej słońcem wschodniej ścianie. Floyd wstał. Nie był oczywiście na tyle wysoki, aby zobaczyć, kto jest na dachu, ale mógł dosięgnąć wroga przy użyciu M249. Skierował broń równolegle do szczytu dachu i wystrzelił długą serię. Usłyszeli głośny łomot i okrzyk. Strzały padające z dachu ustały.

Tymczasem ktoś inny strzelał z podwórza po południowej stronie. Thomas zużył już całą amunicję do M60, zdążył też wrzucić granat na podwórze, a Floyd i DeJesus cały czas strzelali w tym kierunku, lecz nie przyniosło to żadnego skutku. Za niskim kamiennym murem, za którym rosły krzewy, widzieli błyski z luf.

– Użyj granatnika przeciwpancernego! – wrzasnął Floyd.

Thomas miał na plecach przenośną wyrzutnię LAW, która była tak lekka, że często o niej zapominał, zwłaszcza że rzadko była potrzebna.

Odwrócił się i spojrzał na Floyda z lekkim zdziwieniem.

– Wyrzutnia! LAW! Masz ją na plecach! – Floyd wskazał na ramię Thomasa.

Brwi Thomasa uniosły się w teatralny sposób, tak jakby chciał powiedzieć: „Faktycznie!".

Odpiął z ramienia tubę, rozciągnął ją, rozkładając tym samym przyrząd celowniczy. Wyrzucony pocisk zamienił podwórze w wielką kulę ognia. Sierżant Watson zobaczył, jak Thomas, którego kilka minut wcześniej tak przygnębiła śmierć Fillmore'a, teraz raduje się z powodu strzału. „Uporał się już ze zmartwieniem". Watson poczuł się podbudowany, widząc zdecydowanie i upór kolegów[185].

* * *

Specjalista Mike Kurth pomagał w bandażowaniu rany Errica, kiedy nagle zobaczył granat, który upadł i potoczył się tuż obok niego. Najpierw dostrzegł smugę dymu, a następnie leżący na ziemi pocisk w kształcie ananasa. Granat zatrzymał się niedaleko garbu, za którym ukrył się Collett.

– Granat! – kilku żołnierzy krzyknęło równocześnie.

Kurth, Errico, Neathery i sanitariusz Strous rzucili się na piasek i starali się jak najszybciej odturlać w przeciwnym do pocisku kierunku. Szeregowy Jeff Young wyciągnął rękę, aby odciągnąć Strousa, ale wybuch wyrwał mu go z dłoni.

W momencie eksplozji Kurth poczuł, że coś cisnęło nim mocno o ziemię, a przez ciało przeszła fala gorąca. Nastąpił silny błysk. Znalazł się w idealnym miejscu, gdyż siła wybuchu minęła go. Poczuł ją, a w ustach pozostał gorzki smak po chemicznej reakcji, jaka zachodzi podczas zapłonu, ale kiedy w gorączkowych chwilach zaraz po wybuchu spróbował poruszyć kończynami, okazało się, że wszystko jest na swoim miejscu. Inni żołnierze na pewno nie mieli tyle szczęścia. Collett z pewnością był martwy. Kurth podniósł się z wahaniem, jeszcze zanim opadł dym.

– Strous, wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak.

– Neathery?

– Żyję.

– Errico?

– Jestem.

– Young.

– Wszystko gra.

Wywołanie Colletta zostawił sobie na koniec.

– W porządku, stary. Nic mi nie jest – odpowiedział Collett. Garb na drodze skierował siłę wybuchu w inną stronę.

Strous dostał odłamkiem w nogę, a Youngowi wbił się w but mały kawałek pocisku, ale poza tym wszyscy byli cali i zdrowi[186].

W dole, po słonecznej stronie ulicy, tuż za blaszaną budą wystającą zza któregoś z domów wciąż leżeli kapitan Steele, jego zastępca Lechner i radiooperator Atwater. Około 3 metrów na prawo od Steele'a, w wejściu na podwórze stał sierżant Hooten. Wyglądało na to, że chce przyciągnąć uwagę kapitana.

Floyd zobaczył, że zza rogu po jego stronie ulicy wystaje lufa M16 skierowana w stronę dwóch oficerów oddziału rangersów[187].

14

Hooten usiłował powiedzieć Steele'owi, że zatrzymał się w nieodpowiednim miejscu, w którym dopiero co zginął Fillmore i postrzelono innych żołnierzy Delty[188].

Steele pokazał mu dłonią, że ma poczekać. Właśnie rozmawiał przez radio. Zastanawiał się, gdzie podział się nieszczęsny konwój. W tym samym czasie, gdy rangersi Steele'a oraz operatorzy Delty biegli ulicami, starając się dotrzeć do miejsca katastrofy, konwój zabłądził, a w pojazdach przybywało rannych. Steele nie miał o tym pojęcia. Myślał, że jeśli kolumna pojazdów wyruszyła spod domu, w którym aresztowano więźniów, równocześnie z żołnierzami biegnącymi na miejsce pieszo, to samochody powinny się tu pojawić lada chwila. Wraz z kilkoma ze swoich ludzi tkwił tu od około 10 minut. Jeśli pojawią się pojazdy, wsiądą do nich i wyniosą się z tego piekła[189].

Lechner i Atwater, którzy znaleźli się za kapitanem, starali się zapewnić osłonę ogniową. Na początku mieli pewne problemy, gdyż sygnał z radia UHF Atwatera był zagłuszany przez fale radiowe z lampy sygnałowej leżącego przecznicę dalej rozbitego helikoptera. W końcu Lechner zdołał się połączyć z jednym ze śmigłowców szturmowych Little Bird przez radio FM. Pilot, starszy chorąży Hal Wade, powiedział Lechnerowi, aby on i pozostali zaznaczyli swoją pozycję dużymi, pomarańczowymi panelami. Lechner przekazał tę wiadomość innym.

Kiedy umieszczono na drodze panele, helikopter Wade'a z rykiem obniżył lot nad Marehan Road, tuż nad dachami budynków. Collett schował głowę pod siebie. Kiedy śmigłowiec przelatywał nad ulicą, z obu stron padły w jego kierunku liczne strzały, ale Wade nie otworzył jeszcze ognia. Sprowokował wroga, aby przekonać się, gdzie znajdują się Amerykanie. Następnie poderwał maszynę do góry, odwrócił się i znów przeleciał nad ulicą. Znów w jego kierunku poleciały kule wystrzelone z wydającej stukoczący dźwięk broni nieprzyjaciela, jednak Wade ponownie wstrzymał ogień. Dopiero teraz zyskał dokładny obraz tego, gdzie znajdują się żołnierze. Kiedy Little Bird ponownie obniżył lot nad drogą, ze wszystkich działek pokładowych wydobywały się potężne błyski[190].

Zaraz po pierwszym przelocie śmigłowca jakiś pocisk uderzył blisko Steele'a i poderwał piasek, który wpadł mu do oka. Lechner odwrócił się w lewo. Sądził, że kula pochodzi z przeciwnej strony ulicy, jednak Steele przeturlał się w prawo i zerknął na znajdującą się za nim blaszaną ścianę. Strzał rozległ się na tyle głośno, że musiał pochodzić stamtąd. Na początku pomyślał, że jeden z rannych rangersów za nim strzela przez ścianę. Kontynuował turlanie się po ziemi, co nie było proste z przymocowanym do pleców radiem.

Nagle w blaszanej ścianie pojawiły się z hałasem jeszcze dwie dziury, kurz wzbił się w powietrze, a Lechner wrzasnął.

Poczuł jakby smagnięcie, a potem miażdżący podmuch. Miał wrażenie, że w dolną część nogi uderzyło kowadło. Ból był nie do zniesienia. Chwycił za udo i spojrzał w dół, na ziejącą ranę. Kula rozerwała piszczel i wyleciała w okolicach kostki, kalecząc stopę.

Łącznie wystrzelono trzy pociski. Steele i Atwater odturlali się, kiedy usłyszeli pierwszy, ale Lechner pozostał na miejscu. Steele był jeszcze w ruchu, kiedy usłyszał krzyk Lechnera. Potem pojawiły się następne strzały. Stojący w wejściu na podwórze Hooten dziko gestykulował, machając w kierunku Steele'a. Pomiędzy nim a Lechnerem znajdował się jeszcze Atwater, poza tym brama była blisko, więc Steele wstał i pobiegł w jej kierunku. Postawny kapitan potknął się o próg i bezładnie wpadł na podwórze. Za nim wskoczył Atwater.

Zobaczywszy go samego, Steele wrzasnął:

– Musimy zabrać Lechnera!

Wstał, aby wrócić po rannego, ale wtem zobaczył, że Bullock, który wybiegł na ulicę, aby im pomóc, ciągnie wyjącego porucznika z poharataną nogą[191].

Steele chwycił mikrofon radia Atwatera. Jego wykrzyczane, z trudem wymawiane słowa, które kontrastowały z opanowanymi, chłodnymi głosami pilotów oraz dowódców w powietrzu, oddawały dramat, jaki panował na ziemi.

– „Romeo Six Four, tu Juliet Six Four. Jesteśmy pod silnym ostrzałem z broni krótkiej. Potrzebujemy natychmiastowej odsieczy, a następnie musimy się stąd wydostać".

Harrell odpowiedział spokojnie, ale wykazywał pewne oznaki zniecierpliwienia.

– „Tu Romeo Six Four. Rozumiem, że trzeba was stamtąd zabrać. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby dotarł do was konwój, odbiór".

Steele odpowiedział ze znużeniem.

– „Zrozumiałem. Przyjmijcie do wiadomości, że właśnie został ranny jeden z dowódców [Lechner], mamy tu też więcej ofiar, odbiór"[192].

Sierżant Goodale, którego wcześniej ktoś wciągnął na to samo podwórko po tym, jak trafiono go w udo i pośladek, usłyszał wycie Lechnera. To był przeraźliwy dźwięk. Goodale po raz pierwszy w życiu słyszał, żeby istota ludzka wydawała z siebie tak okropne wycie. Dziwnym trafem jego rana nie bolała tak mocno. Lechner wyglądał strasznie. Krzyczał, kiedy wciągali go do środka. Goodale pomógł ściągnąć z niego radio. Kilka minut wcześniej Goodale połączył się z Lechnerem, żeby powiedzieć mu, że jest ranny i nie będzie mógł dalej wzywać wsparcia z powietrza. To dlatego Lechner dzwonił do Wade'a. A teraz porucznik krzyczał w męczarniach. Jego udo wyglądało dobrze, ale część nogi od kolana w dół w groteskowy sposób wykrzywiła się na bok. Twarz porucznika była niemal przezroczysta. Goodale przestraszył się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył,

że pod nogą Lechnera pojawiła się powiększająca się kałuża krwi, która wypływała z rany tak szybko, jak woda wylewana z dzbanka[193].

15

Mniej więcej w tym samym czasie, około 3 kilometrów dalej na południowy zachód pilot Super Six Four, Mike Durant, odzyskał przytomność. Jego black hawk osiadł na dachach skleconych z blachy i szmat bud w jakiejś nędznej wiosce. Durant poczuł, że coś jest nie tak z jego prawą nogą. Razem z drugim pilotem, Rayem Frankiem, byli przez kilka minut nieprzytomni – Durant nie miał pewności, ile dokładnie minęło czasu. Siedział prosto, nieco pochylony w prawo. Przednia szyba była roztrzaskana, a nad głową Duranta znajdował się wielki kawał blachy. Co niezwykłe, black hawk wydawał się nienaruszony. Łopaty wirnika nie powyginały się. Umocowany na amortyzatorach fotel pilota znalazł się na podłodze i pochylił nieco w prawo. Durant zdał sobie sprawę, że powodem uszkodzenia fotela był fakt, że kiedy uderzyli w ziemię, maszyna nadal znajdowała się w ruchu obrotowym. Nagły wstrząs połączony z działaniem siły odśrodkowej sprawił, że fotel przechylił się w prawo. Natomiast połączenie siły uderzenia z naporem brzegu fotela na nogę sprawiło, że doszło do złamania kości udowej[194].

Black hawk przygniótł lichą chałupę. Nikogo w niej nie było, jednak w następnej chacie znajdowała się dwuletnia dziewczynka, Howa Hassan, która teraz leżała nieprzytomna i krwawiła. Kawałek metalu, który oderwał się od spadającego helikoptera, wyżłobił głęboką ranę w jej czole. Na twarz i nogi jej matki, Bint Abraham Hassan, wylało się coś gorącego, zapewne paliwo, które dotkliwie ją poparzyło[195].

Oszołomieni piloci sprawdzali nawzajem swój stan. Frank miał złamaną lewą kość piszczelową.

Durant zrobił kilka rzeczy, których sensu nie mógł później zrozumieć. Zdjął hełm oraz rękawiczki, a także zegarek. Przed lotem zawsze zdejmował obrączkę ślubną, ponieważ istniało ryzyko, że zahaczy nią o nit lub przełącznik. Zazwyczaj wkładał obrączkę na pasek zegarka i tam trzymał ją przez cały lot. Teraz jednak zdjął zegarek, ściągnął obrączkę z paska i oba przedmioty położył na desce rozdzielczej.

Następnie podniósł nieduży, niemiecki pistolet maszynowy MP5 kaliber 9 milimetrów. Piloci nazywali te pistolety „pukawkami na zdechlaka”.

Frank próbował wytłumaczyć mu, co stało się w momencie upadku.

– Nie byłem w stanie wyłączyć ich do końca – powiedział, opisując to, jak usiłował dosięgnąć i przełączyć dźwignie zasilania, podczas gdy śmigłowiec szybko spadał w dół. Powiedział, że ponownie doznał kontuzji kręgosłupa. Po raz pierwszy stało się to podczas podobnego upadku śmigłowca kilka lat wcześniej. Duranta także bolały plecy. Obaj doszli do wniosku, że muszą mieć złamane kręgi. Wszystko to nastąpiło w pierwszych chwilach po odzyskaniu przytomności.

Durant zorientował się, że ze złamaną nogą i uszkodzonym kręgosłupem nie będzie mógł wyjść z helikoptera. Odsunął od siebie kawałek blaszanego dachu i postanowił bronić pozycji przez przednią szybę.

Wyglądało na to, że znaleźli się na kawałku otwartej przestrzeni pomiędzy chatami. Przed nimi stała buda sklecona z kilku nieregularnych kawałków blachy falistej, a obok niej znajdowała się wąska gruntowa droga. Nieopodal stała cienka ściana, najwyraźniej część kolejnego domostwa. Durant przypomniał sobie później, że kiedy po raz ostatni widział Franka, ten siedział w drzwiach naprzeciwko i miał zamiar wyjść na zewnątrz.

Wówczas nadeszli Shughart i Gordon. Pojawili się tak nagle, że Durant przestraszył się. Albo znów na chwilę stracił przytomność, albo rzeczywiście dotarcie na miejsce zajęło im wyjątkowo mało czasu. Nie znał zbyt dobrze żadnego z operatorów Delty, ale był w stanie rozpoznać ich twarze. Ich widok sprawił, że poczuł wyjątkową ulgę. Było już po wszystkim. Myślał, że przybyli tu z oddziałem ratunkowym. Właśnie miał sięgnąć po radio i wezwać pomoc, ale teraz, kiedy ratownicy byli już przy nim, nie było to konieczne. Shughart i Gordon byli wyjątkowo spokojni. Wokół słychać było strzały pochodzące głównie z przelatujących w górze śmigłowców. Operatorzy Delty delikatnie wynieśli Duranta ze śmigłowca. Jeden z nich trzymał nogi, a drugi tułów pilota, po czym powoli, jak gdyby mieli do dyspozycji wieczność, położyli go na boku przy drzewie. Nie czuł szczególnie silnego bólu. Za plecami miał kadłub helikoptera, a po lewej stronie mur, który przebiegał za ogonem maszyny. Durant był więc w idealnej pozycji, by osłaniać prawą stronę śmigłowca.

Widział, że to mechanicy najbardziej odczuli główną siłę uderzenia. Z tyłu nie było takich amortyzatorów, jakie mieli on i Frank. Zobaczył, że operatorzy wynoszą z kadłuba Billa Clevelanda, którego spodnie były całe we krwi. Bill mówił coś, lecz jego słowa nie miały większego sensu.

Następnie operatorzy Delty przeszli na drugą stronę śmigłowca, aby pomóc Fieldowi. Durant nie widział ich stóp po drugiej stronie helikoptera, ponieważ podwozie maszyny zostało uszkodzone podczas lądowania. Kadłub helikoptera leżał bezpośrednio na ziemi. Pomyślał, że pewnie ratownicy zabezpieczają miejsce katastrofy, równocześnie szukając miejsca, z którego mogliby ich stąd zabrać. Być może rozglądali się za lądowiskiem dla następnego śmigłowca, do którego załadują rannych. „Zdechlaki" zaczęły już wystawiać głowy zza rogu budynku po tej stronie helikoptera, gdzie znajdował się Durant. Na razie widział tylko jedną lub dwie osoby. Wystrzelił w ich stronę kilka kul, więc schowali się z powrotem. Ponieważ broń ciągle mu się zacinała, często musiał wyrzucić któryś z pocisków, aby możliwe było wystrzelenie następnego. Po drugiej stronie kadłuba słyszał coraz więcej strzałów. Jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że oprócz dwóch chłopaków z Delty, nie było tu nikogo – żadnej ekipy ratunkowej[196].

16

Kiedy Mo'alim dotarł w okolicę, gdzie rozbił się drugi helikopter, na ścieżkach prowadzących do wraku leżały już stosy ciał. Śmigłowce strzelały do ludzi z powietrza i, tak jak Mo'alim się tego spodziewał, wokół rozbitej maszyny znajdowali się Amerykanie zdolni do walki.

Pozostała tylko jedna bezpośrednia droga do wraku. Mo'alim wiedział, że była osłaniana. Nieustannie starał się powstrzymywać tłum, lecz ludzie byli wzburzeni i zagniewani. Szczupły, brodaty przywódca milicji

przykucnął za murem i czekał, aż dogoni go reszta jego ludzi. Wówczas będą mogli przeprowadzić zorganizowany atak[197].

17

Za każdym razem, kiedy Mike Goffena przelatywał nad wrakiem w Super Six Two, tłum otaczający rozbity śmigłowiec robił się coraz większy. Shughart i Gordon ustawili załogę śmigłowca tak, że razem z nią otaczali teraz rozbitą maszynę. Najwyraźniej nie zdecydowali przenieść załogi na otwarty teren. Utknęli w miejscu w oczekiwaniu na pomoc. Goffena słyszał przez radio o problemach, z jakimi spotkały się spieszące z odsieczą oddziały.

Stukanie dziurawiących kadłub pocisków przybrało na sile, a śmigłowiec leciał wśród regularnie wystrzeliwanych w powietrze granatów przeciwpancernych. Ponieważ na ziemi znalazły się już dwa black hawki, inni piloci ostrzegali go.

– „Dwieście metrów za tobą właśnie nastąpił wybuch".

– „Super Six Two, przeleciał pod wami granat przeciwpancerny".

Goffena był jednak zbyt przejęty trudną sytuacją ludzi przy wraku i pochłonięty próbami znalezienia dla nich pomocy.

– Robi się tu naprawdę gorąco – nawoływał przez radio. – Musimy zabrać stąd naszych ludzi!

– „Zrozumiałem, Six Two, jak wygląda sytuacja?".

– W moim kierunku regularnie wystrzeliwane są granaty przeciwpancerne, a tłum zbliża się do rozbitków.

Yacone nadal starał się o wsparcie ogniowe z mniejszych śmigłowców szturmowych, kierując je tam, gdzie stało najwięcej ludzi. Matthews w black hawku dowodzenia i nadzoru nie był zachwycony tym, co widział w dole. W powietrzu co chwila pojawiały się smugi dymu z granatów przeciwpancernych wystrzeliwanych przez kogoś z zacieśniającego koło wokół wraku tłumu. Nad ludźmi krążyły śmigłowce Little Bird, których piloci próbowali zdjąć wroga za pomocą M16.

– „Dajcie sobie spokój z tym gównem – zawołał Matthews. – Inaczej sami znajdziecie się na ziemi".

Nadszedł najtrudniejszy moment bitwy. W dwóch różnych miejscach leżały rozbite śmigłowce. Oddział ratowniczy dotarł do pierwszego z nich, pilotowanego przez Cliffa Wolcotta. Tam też skierowano wszystkie siły szturmowe i pierwszy konwój. Drugi, pospiesznie zebrany konwój, który wyjechał z bazy rangersów, nie zajechał daleko. Błądził wokół miejsca katastrofy, ale nie przedostał się wystarczająco blisko. Ludzie przy

pierwszym rozbitym śmigłowcu mogli się bronić, ale Durant, nawet mając do dyspozycji dwóch operatorów Delty, którzy opuścili się do niego z helikoptera, nie mógł przetrwać długo bez pomocy z zewnątrz.

Goffena zrobił koło nisko nad zestrzelonym śmigłowcem Duranta. Za każdym razem, kiedy leciał w kierunku zachodnim, oślepiało go słońce. Pragnął, aby szybko zaszło. Podobnie jak inni Nocni Łowcy najlepiej się czuł podczas lotów nocnych. W ciemności, dzięki nowoczesnym urządzeniom piloci oraz pozostała załoga śmigłowców, w przeciwieństwie do wroga, widzieli okolicę. Gdyby zapadł zmrok, a black hawk Goffeny razem ze śmigłowcami Little Bird utrzymaliby motłoch w ryzach, żołnierze przy wraku mieliby szanse przeżycia.

Tłum zajął już wszelkie ścieżki prowadzące do głównej ulicy. Za każdym razem, gdy Goffena obniżał lot, część ludzi rozpraszała się, ale wracali na swoje miejsca tuż za nim. Wyglądało to, jak odgarnianie wody ręką. Widział granaty przeciwpancerne, które śmigały teraz wokół helikoptera. Zauważył też, że jeden z operatorów Delty został ranny.

– Tutaj Six Two – połączył się przez radio. – Jednostka naziemna przy drugim miejscu katastrofy nie jest osłaniana. Na ziemi znajduje się tylko jeden zdolny do walki człowiek.

Za kilka sekund Yacone zaapelował po raz kolejny.

– Czy jakieś jednostki zmierzają obecnie w kierunku miejsca drugiej katastrofy?

– „Nie, w tej chwili nie”.

Goffena cały czas zataczał koła i kiedy po raz kolejny leciał w stronę zachodzącego słońca, poczuł, że helikopter zatrząsł się tak mocno, jakby wpadł na niego pociąg towarowy. Nastąpiło naprawdę silne uderzenie. Jak gdyby całe niebo zwaliło się na śmigłowiec. Maszyna skręciła ostro w prawo, lecąc z prędkością około 200 kilometrów na godzinę mniej więcej dziesięć metrów nad dachami. Następną rzeczą, jaką zapamiętał Goffena, było, że śmigłowiec wyrównał jakoś lot. Pilot zobaczył przed sobą coś, co przypominało duży kawałek łopaty wirnika, lecz kiedy się jej przyjrzał, okazało się, że to pęknięcie przedniej szyby. Przez chwilę nie był pewny, czy nadal leci, czy znajduje się na ziemi. Ekrany w kokpicie nie działały, a wokół panowała cisza. Nagle do jego uszu dotarło zawodzenie i pikanie wszystkich systemów alarmowych helikoptera, które wydawało się coraz głośniejsze, jakby ktoś podkręcał dźwięk (później zrozumiał, że wybuch granatu przeciwpancernego ogłuszył go na chwilę, więc to nie dźwięk był coraz głośniejszy, lecz on stopniowo odzyskiwał słuch). Alarmy informowały go o tym, że silniki nie działają, a wirniki stanęły... mimo wszystko nadal lecieli przed siebie.

Goffena zdał sobie sprawę, że granat uderzył w prawą stronę kadłuba, nie wiedział jednak czy z przodu, czy z tyłu. Nie wiedział też, czy ludzie z tyłu przeżyli (mechanicy – sierżanci Paul Shannon i Mason Hall nie ucierpieli w wyniku wybuchu, ale noga snajpera Delty – sierżanta Brada Hallingsa – była prawie całkowicie oderwana, na dodatek tkwiły w niej liczne odłamki). Kapitan Yacone, drugi pilot, zwisał bezwładnie w fotelu z głową zwieszoną w dół. Goffena nie wiedział, czy Yacone nie żyje, czy jest tylko ranny. Helikopter niewątpliwie nadal leciał przed siebie, ale Goffena był na tyle przytomny, by zdawać sobie sprawę, że wkrótce

się rozbiją. Wcześniej ćwiczył podobne sytuacje na symulatorze. Nadal byli w powietrzu, ale szybko zbliżali się do ziemi.

W dole dostrzegł ulicę, a właściwie uliczkę. Gdyby udało mu się utrzymać kurs, mogliby w niej wylądować. Była tak wąska, że prawdopodobnie podczas lądowania oderwałyby się łopaty wirnika, ale dzięki temu nie uderzyliby o ziemię z całym impetem. Trzymać maszynę prosto. Zobaczył dość wytrzymałe budynki stojące po lewej stronie ulicy, która okazała się całkiem szeroka, jednak po prawej stał rząd słupów. Pomyślał, że nie uda mu się wyminąć słupów, ale może jeśli uderzy w nie tylko z prawej, łopaty wirnika po prostu oderwą się. Kiedy Goffena zobaczył słupy w oknie z prawej strony, a maszynę dzieliło od nich już tylko około 6 metrów, Yacone odzyskał przytomność i krzyknął przez radio, że spadają, po czym podał współrzędne. Przygotowali się na uderzenie, a Goffena instynktownie pociągnął za drążek sterowy, aby utrzymać w górze dziób helikoptera i ze zdziwieniem zauważył, że maszyna nadal działa! Helikopter wcale nie był do niczego! Ster wysokości nadal był sprawny, przynajmniej na tyle, żeby pilot mógł utrzymać śmigłowiec w powietrzu. Minęli ulicę ze słupami i polecieli dalej. Goffena utrzymywał przód helikoptera w górze, ale nie miał pojęcia, jak długo uda im się pozostać w powietrzu. Czy silniki działały prawidłowo? Jak długo będzie miał kontrolę nad śmigłowcem? Helikopter jednak nadal leciał w miarę równo, a silniki działały. Ulica poniżej nagle skończyła się, a Goffena zobaczył w oddali znajome budynki nowego portu. Teren naszych! Śmigłowiec leciał coraz wolniej i stopniowo tracił wysokość. Pilot przeleciał nisko nad ogrodzeniem i podszedł do lądowania. Dotknęli podłoża, lecąc z prędkością niespełna 30 kilometrów na godzinę. Goffena już miał pogratulować sobie wzorowego lądowania, kiedy helikopter, zamiast zwolnić i zatrzymać się, przechylił się na prawą stronę. Rozległ się zgrzyt miażdżonego metalu. Prawa strona podwozia oderwała się, a śmigłowiec wpadł w poślizg. Goffena przestraszył się, że maszyna przewróci się, ale już za chwilę helikopter stanął i można było wyłączyć silniki.

Wychodząc z kokpitu, aby sprawdzić, czy nikomu z tyłu nic się nie stało, zobaczył zbliżający się do nich, znajomy kształt hummera[198].

18

Mike Durant nadal był przekonany, że wszystko jest pod kontrolą. Złamana noga nie bolała go. Leżał na plecach, przy małym drzewie, oparty o torbę z narzędziami. W rękach trzymał broń, z której strzelał do „zdechlaków", którzy co jakiś czas wychylali głowę zza rogu. Pomiędzy ścianą po lewej stronie a ogonem śmigłowca było tylko około pięciu metrów otwartej przestrzeni. Durant pomyślał, że koleś z Delty znalazł mu naprawdę dobre miejsce.

Cały czas słyszał strzały dobiegające zza helikoptera. Wiedział, że drugi pilot, Ray Frank, został ranny, ale przeżył. W śmigłowcu znajdowało się wcześniej także dwóch operatorów Delty i mechanik Tommy Field. Zastanawiał się, czy z Tommym wszystko w porządku. Doszedł do wniosku, że po drugiej stronie helikoptera

znajduje się co najmniej czterech żołnierzy, nie licząc ludzi z ekipy ratunkowej. Pojawienie się samochodów, które ich stąd zabiorą, było już tylko kwestią czasu.

Następnie usłyszał, że jeden z operatorów – Gary Gordon – krzyczy, że go postrzelono. To był krótki okrzyk bólu i złości. Durant później nie słyszał już Gordona.

Drugi operator – Randy Shughart – przybiegł na stronę śmigłowca, gdzie leżał pilot.

– Czy na pokładzie jest jakaś broń? – zapytał.

Była. Mechanicy mieli karabiny M16. Durant powiedział Shughartowi, gdzie trzymano broń, a ten wszedł do helikoptera, poszperał i wrócił z dwoma karabinami. Wręczył Durantowi karabin Gordona, załadowany i gotowy do strzału CAR-15.

– Jaka jest częstotliwość, na której mogę wezwać wsparcie? – zapytał.

Dopiero teraz Durant zdał sobie sprawę, że są otoczeni przez nieprzyjaciela. Pilot poczuł, jak ze strachu ścisnęło go w dołku. Jeśli Shughart pytał go, jak ma nawiązać kontakt, to znaczy, że wraz z drugim operatorem pojawili się tu sami jako dwuosobowa ekipa ratunkowa. Co gorsza, Gordon właśnie został postrzelony!

Wyjaśnił Shughartowi standardową procedurę związaną z obsługą radia. Należało skorzystać z kanału Bravo. Słuchał, jak Shughart łączy się i wzywa pomocy.

– Potrzebujemy tu wsparcia – wołał Randy.

Powiedziano mu, że siły szybkiego reagowania są już w drodze. Wtedy Shughart życzył Durantowi powodzenia, wziął karabiny i poszedł z nimi na drugą stronę śmigłowca.

Durant poczuł przypływ paniki. Musiał powstrzymać „chuchraków". Usłyszał ich rozmowy za blaszaną ścianą, więc wystrzelił w jej kierunku. Przestraszył się, gdy karabin wyrzucił całą serię pocisków – do tej pory Durant oddawał pojedyncze strzały. Głosy za ścianą ucichły. Za chwilę dwóch Somalijczyków próbowało wspiąć się na przednią część helikoptera. Wystrzelił w ich kierunku, więc zeskoczyli. Nie widział, czy udało mu się któregoś trafić.

Za chwilę Durant wystrzelił do mężczyzny, który próbował wspiąć się na dzielącą ich ścianę. Już za moment następny wyczołgał się zza rogu. Trzymał w rękach broń. Pilot zastrzelił go.

Potem po drugiej stronie śmigłowca rozległa się zaciekła, trwająca około 2 minut kanonada. Wśród zgiełku Durant usłyszał, jak Shughart krzyknął z bólu. Potem strzały ucichły.

Zmartwieni dowódcy w górze obserwowali miejsce katastrofy.

– „Czy macie obraz z miejsca katastrofy numer dwa?".

– „Miejscowa ludność zajęła teren, na którym leży śmigłowiec".

– „Miejscowa?”.

– „Tak jest, odbiór”.

W radiu zapadła cisza.

Duranta ogarnęło przerażenie. Usłyszał okrzyki wściekłego motłochu. W miejscu, gdzie rozbił się helikopter, spadło dużo gruzu i śmieci. Teraz słychać było, jak tłum przesuwa je z głośnym rumorem. Miał wrażenie, że w jego stronę zmierza rozwścieczona bestia. Nikt już nie strzelał. Najwyraźniej pozostali nie żyli. Durant wiedział, że rozgniewany tłum Somalijczyków był zdolny do strasznych, makabrycznych rzeczy. Oto, co go wkrótce czekało. Skończyła mu się amunicja w karabinie, ale wciąż miał pistolet przypięty do boku. Nie kłopotał się jednak, by po niego sięgać.

Po co? Już i tak było po wszystkim. Już po nim.

Zza helikoptera wyjrzał człowiek. Wyglądało na to, że przestraszył się, widząc Duranta. Krzyknął do innych i wkrótce przybiegło więcej Somalijczyków. Przyszedł czas, aby umrzeć. Durant położył na piersiach broń z opróżnionym magazynkiem, złożył na niej dłonie i odwrócił oczy ku niebu[199].

19

Hassan Yassin Abokoi otrzymał postrzał w kostkę z działka jednego ze śmigłowców, kiedy stał wśród ludzi zgromadzonych wokół miejsca katastrofy. Teraz siedział pod drzewem, patrząc na to, co działo się dokoła. Kostka najpierw spuchła, a teraz zdrętwiała. Z rany cały czas ciekła krew. Hassan nienawidził helikopterów. Tego samego dnia działko ze śmigłowca odstrzeliło głowę jego wujka, dosłownie zdmuchując ją spomiędzy ramion, tak jakby nigdy jej tam nie było. Kim byli ci Amerykanie, którzy ściągnęli na nich ogień i śmierć? Kim byli ci ludzie, którzy najpierw ich karmili, a potem zaczęli mordować? Chciał zabić wszystkich żołnierzy, którzy spadli tu dziś z nieba, ale nie mógł wstać.

Z miejsca, w którym siedział, Abokoi widział, jak tłum zbliża się do Amerykanów. Tylko jeden z nich nadal żył. Krzyczał i machał rękami, podczas gdy ludzie chwycili go za nogi i zaczęli odciągać od helikoptera, rozdzierając mu równocześnie ubranie. Widział, jak jego sąsiedzi tną nożami ciała Amerykanów i odrywają kończyny. Później zobaczył ludzi, którzy biegali i paradowali z częściami ciał żołnierzy[200].

* * *

Kiedy Mo’alim obiegł dookoła ogon helikoptera, zdziwił się, znalazłszy jeszcze jednego Amerykanina – pilota. Żołnierz nie strzelał. Umieścił broń na klatce piersiowej i położył na niej dłonie. Tłum przemknął obok Mo’alima i dotarł do pilota. Ludzie zaczęli go bić i kopać. Nagle brodaty bojownik zdecydował się chronić Amerykanina. Chwycił pilota za rękę i wystrzelił w powietrze, krzycząc do ludzi, by się cofnęli.

Jeden z jego ludzi uderzył pilota mocno kolbą karabinu, ale Mo'alim odepchnął go. Pilot był ranny i nie mógł już walczyć. Rangersi od miesięcy łapali Somalijczyków, których następnie zamykali w więzieniu. Chętnie wymienią więźniów, być może nawet wszystkich, na jednego żołnierza. Żywy pilot był wart więcej niż martwy. Mo'alim nakazał swoim ludziom utworzyć koło wokół pilota, aby uchronić go przed spragnionym zemsty tłumem. Kilku ludzi z bandy Mo'alima schyliło się nad Durantem i zaczęło zdzierać z niego ubranie. Pilot miał przypięty do boku pistolet i nóż, obawiali się też, że może mieć inną ukrytą broń. Somalijczycy wiedzieli, że Amerykanie noszą w ubraniu ukryte nadajniki, dzięki którym helikoptery mogą ich znaleźć, więc ściągnęli z pilota wszystkie warstwy[201].

20

Kiedy zbliżył się do niego motłoch, Durant wpatrywał się w niebo. Ludzie krzyczeli coś w niezrozumiałym języku. Jeden z mężczyzn uderzył go w twarz kolbą karabinu, łamiąc nos i kość wokół oka. Jedni ciągnęli go za ramiona i nogi, inni zdzierali z niego ubranie. Nie wiedzieli, jak odpiąć plastikowe zatrzaski, które trzymały sprzęt, więc pilot schylił się i sam je odpiął. Poddał się napastnikom. Zerwali z niego buty, kamizelkę i koszulę. Któryś z mężczyzn rozpiął mu spodnie, ale kiedy zobaczył, że Durant nie ma pod spodem bielizny (w równikowej temperaturze tak było wygodniej), zapiął rozporek z powrotem. Zostawili mu też brązową koszulkę. W tym samym czasie wciąż kopano go i bito. Młody mężczyzna schylił się i chwycił zieloną kartę identyfikacyjną, którą Durant nosił na szyi. Uderzył nią w twarz pilota i krzyknął: „Ranger, ranger, ty umrzeć Somalia!".

Nagle ktoś sypnął mu w twarz piaskiem, który wpadł mu do ust. Zawiązali mu na głowie jakąś szmatę czy ręcznik i unieśli w powietrze, częściowo niosąc, a częściowo ciągnąc po ziemi. Poczuł, że koniec złamanej kości udowej przebija skórę w tylnej części nogi i wysuwa się na zewnątrz. Ze wszystkich stron padały w jego kierunku ciosy, kopano go, bito pięściami i kolbami. Nie widział, dokąd go zabierają. Czuł, że otacza go ogromna fala gniewu i nienawiści. Ktoś, prawdopodobnie kobieta, chwycił go za penisa i jądra, a potem mocno szarpnął.

Półprzytomny ze strachu Durant nagle opuścił ciało. Nie znajdował się już pośrodku tłumu, lecz był jego częścią, a być może uniósł się ponad niego. Obserwował atakujących go ludzi. W pewien sposób znalazł się obok. Nie czuł ani bólu, ani strachu, a w końcu stracił świadomość[202].

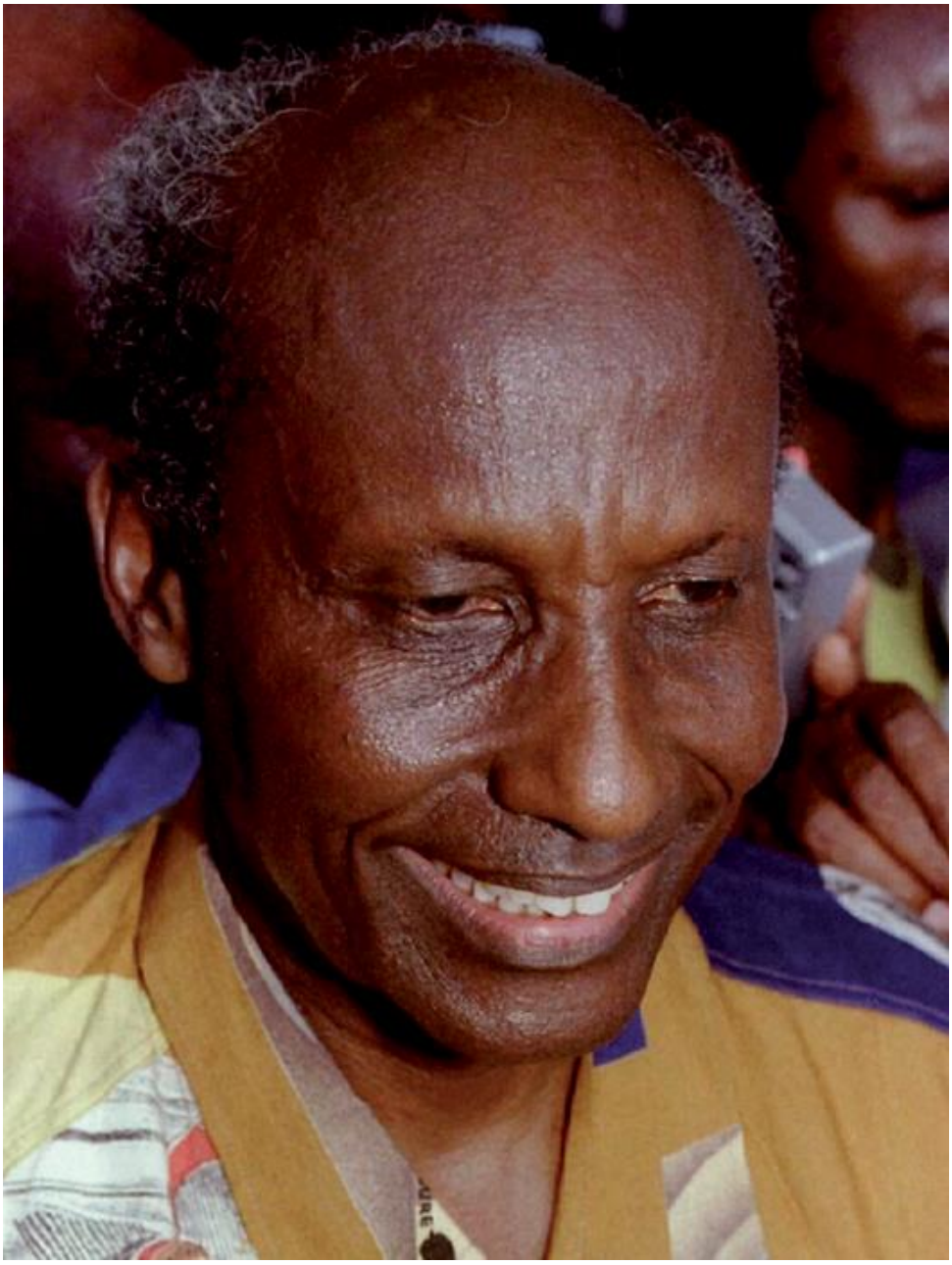

Mohamed Farah Aidid, 1993

fot. Stephen Dupont/Reuters

1

Ratownik medyczny sił powietrznych Tim Wilkinson ponownie wszedł do wraku, aby ocenić możliwość wydobycia ciała Cliffa Wolcotta. Być może istniał jakiś sposób, którego nie zauważył wcześniej, a który pozwoliłby na odciągnięcie fotela do tyłu, a tym samym uzyskanie przestrzeni potrzebnej na wyciągnięcie zwłok. Niestety, jego starania okazały się bezskuteczne.

Wyszedł na zewnątrz. Dookoła rozlegał się przeraźliwy huk wystrzałów z karabinów automatycznych. Przyklęknął na wraku i przez drzwi na prawym boku zajrzał do środka, do tylnej części maszyny. Wiedział, że część załogi została ewakuowana już wcześniej przez żołnierzy ze śmigłowca Little Bird, który wylądował w pobliżu zaraz po katastrofie. Rozglądał się więc przede wszystkim za sprzętem czy bronią, które należałoby zabrać lub zniszczyć ze względu na ich tajność. Ratowników medycznych sił powietrznych uczy się, jak szybko skasować banki pamięci w sprzęcie elektronicznym, który mógłby zawierać poufne informacje. Wszystkie nieumocowane urządzenia pokładowe i sprzęt leżały po lewej stronie kadłuba, która stała się teraz podłogą.

Na stercie rupieci Wilkinson zauważył fragment kamuflażu pustynnego.

– Myślę, że ktoś tam jest – poinformował sierżanta Boba Mabry'ego, sanitariusza Delty z oddziału poszukiwawczo-ratowniczego.

Wilkinson schylił się i zobaczył fragment ręki oraz rękawicę. Krzyknął w stronę leżącego i zobaczył, że palec dłoni w rękawicy poruszył się. Ponownie wszedł do wraku i zaczął ściągać z zagrzebanego pod sprzętem człowieka szczątki uszkodzonego helikoptera i inne przedmioty. Pod spodem znajdował się drugi z mechaników – Ray Dowdy – zajmujący miejsce strzelca przy lewych drzwiach śmigłowca. Część jego fotela została wyrwana z zawiasów podczas uderzenia, jednak reszta pozostała na swoim miejscu. Kiedy Wilkinson uwolnił leżącą pod stertą śmieci rękę Dowdy'ego, ten sam zaczął pomagać w odgarnianiu przywalających go rzeczy. Mimo to nic nie mówił – był tylko częściowo przytomny.

Mabry wśliznął się pod wrak i bezskutecznie próbował przeczołgać się do środka przez drzwi z lewej strony maszyny. W końcu poddał się i wszedł górą akurat w momencie, kiedy Wilkinsonowi udało się uwolnić Dowdy'ego. Kiedy wszyscy trzej stali wewnątrz helikoptera, nagle uderzył o niego grad pocisków. Kule przebiły powłokę kadłuba, a Mabry z Wilkinsonem mimowolnie wzdrygnęli się, słysząc świst pocisków i zgrzyt niszczonej blachy. Wokół nich w powietrzu unosiły się kawałki metalu, plastiku, papieru i materiału, które wyglądały jak padający śnieg. Nagle wszystko ucichło. Na początku Wilkinson nie pamiętał nic z tego, co się stało. Wiedział tylko, że nadal żyje. Sprawdził, czy któryś z pocisków nie trafił go, i odkrył ranę na twarzy oraz ręku. Miał uczucie, jakby ktoś spoliczkował go lub uderzył pięścią w brodę. Każdemu się oberwało; Mabry dostał w dłoń, a Dowdy stracił koniuszki dwóch palców.

Mechanik w osłupieniu przyglądał się zakrwawionej ręce.

Wilkinson położył dłoń na krwawiących palcach Dowdy'ego i powiedział:

– Dobra, uciekajmy stąd!

Mabry rozerwał leżące na podłodze kewlarowe panele i oparł je o ten bok śmigłowca, przez który dopiero co przeleciały kule. Zamiast ryzykować postrzał, wychodząc górą, przekopali wyjście w miękkim piasku przy tylnym rogu lewych drzwi śmigłowca i wypchnęli przez nie Dowdy'ego.

Następnie dwaj ratownicy ponownie weszli do środka. Wilkinson szukał sprzętu, który należałoby zniszczyć, a Mabry zabrał kewlarowe panele, które postanowił ustawić wokół ogona śmigłowca, gdzie znajdował się tymczasowy punkt zbiórki rannych. Strzelano do nich głównie od strony ulicy. Ratownicy spodziewali się, że za chwilę pojawi się konwój.

Ranny sierżant Fales był tak zajęty strzelaniem, że nie zauważył kewlarowej osłony. Na jego łydce znajdował się opatrunek uciskowy, a do ramienia miał podłączoną kroplówkę. Mimo to, leżąc przy uszkodzonej belce ogonowej, wypatrywał wroga i strzelał.

Wilkinson wyjrzał do niego ze śmigłowca:

– Scott, dlaczego nie schowasz się za kewlarem?

Fales wyglądał na zaskoczonego. Strzelanina pochłonęła go do tego stopnia, że nie zauważył stojącej za nim kewlarowej osłony.

– Dobry pomysł – odpowiedział.

Pociski jeden za drugim przebijały uszkodzoną belkę ogonową.

Wilkinson przypomniał sobie film ze Steve'em Martinem pod tytułem „Szajbus". W jednej ze scen niezbyt bystry główny bohater nie zdaje sobie sprawy, że ktoś do niego strzela i ze zdziwieniem przygląda się dziurom po pociskach, które pojawiają się w stojących w rzędzie puszkach oleju. Ratownik krzyknął kwestię z filmu:

– Oni nienawidzą puszek! Trzymaj się z dala od puszek!

Wilkinson i Fales roześmiali się.

Wilkinson ściągnął w bezpieczne miejsce jeszcze kilku rannych, a następnie wszedł do kokpitu, korzystając z wejścia wykopanego pod wrakiem i jeszcze raz sprawdził, czy jest jakiś sposób na wyciągnięcie ciała Wolcotta. Nic z tego[203].

2

Granat pojawił się znikąd. Był to pocisk w rosyjskim stylu przypominający zaczepioną na patyku puszkę zupy. Odbił się od samochodu, uderzył w hełm specjalisty Jasona Colemana i radio, a potem spadł na ziemię.

Wciąż ogłuszony z powodu wystrzelonej w samą porę serii z karabinu maszynowego Nelson ściągnął M60 z dachu samochodu, po czym padł z nim na ziemię. To samo zrobili żołnierze po obu stronach skrzyżowania. Leżeli tak przez mniej więcej minutę, kryjąc się przed wybuchem. Eksplozja nie nastąpiła.

– Pewnie niewypał – zawyrokował porucznik DiTomasso.

Trzydzieści sekund później następny granat potoczył się w stronę otwartej przestrzeni pomiędzy samochodem a drzewem. Nelson znowu ściągnął broń z samochodu, po czym odturlał się z nią od granatu. Wszyscy ponownie przygotowali się na wybuch, ale drugi granat także nie eksplodował. Nelson pomyślał, że pewnie ostatni raz mieli takiego farta. Razem z Bartonem czołgali się z powrotem w stronę samochodu, kiedy trzeci granat spadł pomiędzy nich. Nelson odwrócił hełm w stronę pocisku i zasłonił się trzymaną w rękach bronią. Był pewien, że tym razem wybuchnie. Otworzył usta i zamknął oczy. Ciężko dysząc, czekał na nieuniknione. Granat zasyczał. Nelson pozostawał w tej pozycji przez dobrych 20 sekund, zanim odważył się podnieść głowę i spojrzeć na Bartona.

– Niewypał – powiedział Barton.

Yurek chwycił pocisk i wyrzucił go na ulicę.

Ktoś kupił sobie całą partię wadliwych granatów. Wilkinson znalazł później jeszcze trzy czy cztery niewypały wewnątrz rozbitego śmigłowca.[204]

Amerykanie zajmujący pozycje wokół zestrzelonego black hawka Wolcotta utworzyli teraz kordon w kształcie litery L, z dłuższym jej końcem skierowanym na południe. Grupa około trzydziestu żołnierzy zgromadziła się na ulicy przy wraku, po północnej stronie litery L. Kiedy dowiedzieli się, że konwój zabłądził i dotrze do nich z opóźnieniem, zaczęli przekładać rannych przez dziurę, jaką spadający śmigłowiec zrobił w domu Abdiaziza Alego Adena (który nadal ukrywał się w pokoju na tyłach domu). Bezpośrednio na zachód od ulicy (na zgięciu litery L) znajdowała się Marehan Road, na której zajęli pozycje Nelson, Yurek, Barton i Twombly. Znajdowali się dokładnie na północno-zachodnim narożniku skrzyżowania. Na wschodniej stronie natomiast, czyli najbliżej śmigłowca, przebywali DiTomasso, Coleman, Belman i kapitan Delty Bill Coultrop razem z radiooperatorem. Reszta sił naziemnych rozciągnęła się na wznoszącej się w kierunku południowym Marehan Road. Tworzyli więc dłuższą kreseczkę litery L. Steele i kilkunastu rangersów, razem z trzema oddziałami Delty (łącznie około trzydziestu żołnierzy) zebrali się na podwórzu po wschodniej stronie Marehan Road, w połowie drogi do następnego skrzyżowania na południu. Od reszty żołnierzy oddzielała ich szeroka ulica, po której pokonaniu musieliby jeszcze minąć jedno skrzyżowanie i kilka budynków. Oddział sierżanta Delty Howe'a razem z grupą rangersów, w której znalazł się także specjalista Stebbins, pokonał szeroką ulicę, a teraz przemieszczał się wzdłuż zachodniego muru, w kierunku pozycji Nelsona. Za nimi podążała grupa dowodzenia Delty z kapitanem Millerem na czele. Porucznik Perino także przebiegł przez ulicę, a teraz kierował się w dół wzgórza, idąc blisko muru po wschodniej stronie drogi razem z kapralem Smithem, sierżantem Chuckiem Elliotem oraz kilkoma innymi żołnierzami.

Kiedy Howe zbliżył się do pozycji Nelsona, odniósł wrażenie, że rangersi zamiast walczyć schowali się. Dwóch jego ludzi dotarło na drugą stronę ulicy, aby powiedzieć rangersom, że mają zacząć strzelać. Tymczasem Nelson i pozostali po prostu nie doszli jeszcze do siebie po tym, jak rzucono w ich kierunku trzy wadliwe granaty. Kule zostawiały ślady na murach dokoła, ale ciężko było ocenić, skąd padają strzały. Żołnierze z oddziału Howe'a pomogli Nelsonowi i reszcie zaplanować skuteczne pole ostrzału, a Stebbinsa razem z szeregowym Brianem Heardem umieścili z karabinem na południowym rogu tego samego skrzyżowania, nakazując im strzelać w kierunku zachodnim.

Kapitan Miller, biegnąc za radiooperatorem i kilkoma innymi ludźmi ze swojej grupy, dogonił oddział Howe'a. Wśród nich był też sierżant sztabowy Jeff Bray – członek zespołu kontroli bojowej sił powietrznych. Ponieważ skrzyżowanie znajdowało się pod silnym ostrzałem, Howe zdecydował, że powinni się schować. Po jego stronie ulicy, pomiędzy dwoma budynkami znajdowała się prowadząca na podwórze metalowa brama. Składała się z dwóch otwieranych do wewnątrz skrzydeł. Sierżantowi przeszło przez myśl wysadzenie jej, jednak w pobliżu znajdowało się wielu żołnierzy, którzy nie mieli się gdzie schować i mogliby zostać ranni na skutek eksplozji. Zatem krzepki sierżant razem z Brayem zaczęli napierać na bramę. Skrzydło po stronie Braya puściło pierwsze.

– Idź za mną, na wypadek gdyby mnie postrzelili – rzucił Howe.

Dał nura na podwórze, po czym szybko zrewidował okalający je dom, biegnąc z jednego pomieszczenia do drugiego. Szukał ludzi. Zawsze w takich sytuacjach najpierw patrzył na dłonie. W ten sposób mógł szybko zorientować się, czy nikt nie jest uzbrojony. Dłonie ludzi, których tu znalazł, były jednak puste. Należały do mężczyzny, kobiety i gromadki ich dzieci. Siedmioosobowa rodzina była najwyraźniej przerażona. Howe stanął w wejściu, prawą ręką mierząc do nich z broni, a lewą starając się skłonić ich do wyjścia z pokoju. Po chwili wyszli powoli z pomieszczenia, kurczowo trzymając się jeden drugiego. Skrępowana plastikowymi kajdankami rodzina miała pozostać w jednym z mniejszych pomieszczeń.

Howe rozejrzał się teraz nieco uważniej. W tej dzielnicy Mogadiszu na każdym kwartale znajdowały się głównie parterowe, kamienne domy stawiane wokół otwartego placu lub dziedzińca o nieregularnym kształcie. Howe znalazł się na niewielkim podwórzu o długości równej dwóm ustawionym w poprzek samochodom. Na południe od niego widać było jednopiętrowy dom, a po północnej stronie stał parterowy budynek. Howe doszedł do wniosku, że jest to najbezpieczniejsze miejsce w okolicy. Wyższy z budynków mógł osłonić ich zarówno przed pociskami, jak i przed wystrzeliwanymi w ich kierunku granatami przeciwpancernymi. Na zachodnim krańcu stała służąca za magazyn szopa. Howe powoli oglądał cały teren: zrewidował pomieszczenia, szukając okien, z których mogliby strzelać w kierunku zachodnim. Znalazł ich kilka, ale z żadnego z nich nie można było obserwować ulicy pod dogodnym kątem. Droga po północnej stronie (ta sama, na której o przecznicę dalej rozbił się helikopter) była za wąska; z okna widać było tylko mniej więcej piętnastometrowy odcinek muru i równoległy do niego pusty fragment ulicy. Kiedy Howe wrócił na dziedziniec, zobaczył, że kapitan Miller i inni zaczęli już układać na wolnej przestrzeni poszkodowanych

żołnierzy. Miejsce miało posłużyć jako stanowisko dowodzenia, a zarazem punkt zbiórki rannych przez resztę wieczoru oraz w nocy.

Kiedy zobaczył go jeden ze starszych sierżantów sztabowych, którzy byli tu razem z Millerem, polecił mu wrócić na ulicę i pomóc reszcie oddziału. Rozkaz ten zdenerwował Howe'a. W tej chwili czuł się faktycznym dowódcą, który rozglądał się, walczył, myślał za innych. Dzięki znalezieniu bezpiecznego miejsca dowódcy będą mieli czas, by złapać oddech i przemyśleć strategię. Znajdowali się w ciężkim położeniu, ale ich sytuacja nie była krytyczna. Następnym krokiem będzie szukanie sposobów na umocnienie pozycji, zwiększenie powierzchni kontrolowanego obszaru, znalezienie innych budynków, które będzie można przejąć, lub lepszych miejsc do ostrzału wroga. Tymczasem sierżant, któremu powierzono dowodzenie całą grupą, nie wiedział, co robić dalej.

Howe miał budowę zawodowego zapaśnika, ale jego głównym atutem była umiejętność analitycznego myślenia. Często utrudniało mu to relacje ze zwierzchnikami. Denerwował go szczególnie fakt, że w armii nieraz przydzielano dowództwo w szalenie przypadkowy sposób, powierzając odpowiedzialność za innych niedoświadczonym i słabo wykwalifikowanym żołnierzom. Sam Howe był tylko sierżantem, którego na dodatek nie interesowały stopnie wojskowe, ale potrafił doskonale ocenić sytuację, lepiej niż większość pozostałych żołnierzy. Po tym, jak wybrano go do Delty, poznał, a wkrótce poślubił, córkę pułkownika Charliego A. Beckwitha, założyciela i pierwszego dowódcy jednostki. Spotkali się w barze nieopodal Fort Bragg. Kiedy powiedział jej, że jest cywilem, Connie Beckwith, która sama była wcześniej oficerem armii, skinęła znacząco głową.

– Słuchaj – powiedziała. – Wiem, dla kogo pracujesz, więc nie udawaj. To mój ojciec stworzył tę jednostkę.

Aby udowodnić, kim jest, musiała pokazać mu prawo jazdy.

Howe nigdy nie miał jednak ambicji, aby zostać pełnoprawnym dowódcą. Zależało mu natomiast, aby oficerowie brali pod uwagę jego rady i równocześnie pozwalali mu na pewną swobodę. Błędy dowodzących niejednokrotnie przerażały go.

Przykładem mogła być organizacja rozlokowania w Mogadiszu, którą przeprowadzono dość bezmyślnie. Wielkie drzwi stojącego w bazie hangaru nie zamykały się, więc „zdechlaki" mogły bez trudu zajrzeć do środka o każdej porze dnia i nocy. Ponieważ miasto leżało na łagodnie wznoszącym się terenie, Somalijczycy, którzy mieli trochę cierpliwości i posiadali lornetki, mogli obserwować stopień gotowości żołnierzy w bazie. Za każdym razem, gdy Amerykanie zakładali na siebie sprzęt i przygotowywali się do misji, wieść o tym docierała do Mogadiszu, zanim jeszcze żołnierze zdążyli znaleźć się na pokładzie helikopterów. Co gorsza, Włosi (niektórzy z nich otwarcie popierali mieszkańców swojej byłej kolonii) podczas każdego startu helikopterów nadawali sygnały w kierunku miasta, korzystając z przednich świateł samochodów. Nikt nie miał odwagi, żeby coś z tym zrobić.

Pozostawała jeszcze kwestia ostrzału z moździerzy. Dla generała dywizji Garrisona moździerze były zaledwie niewielkim utrapieniem. Podczas porannych ataków miał zwyczaj przechadzać się jakby nigdy nic z cygarem między zębami, śmiejąc się z żołnierzy, którzy padali na ziemię i kryli się przed pociskami. „Gówniane moździerze" – mawiał. Miał poniekąd rację, ale Howe uważał, że jeśli „chuchraki" któregoś dnia zorganizują się i zdołają trafić hangar kilkoma pociskami równocześnie, Amerykanom przyjdzie zapłacić wysoką cenę. Zastanawiał się, czy blaszany dach jest wystarczająco gruby, aby pocisk wybuchł w momencie uderzenia o budynek. Wówczas do środka wpadłyby tylko fragmenty metalu oraz odłamki. Gdyby jednak pocisk przebił dach i wleciał do środka, eksplodowałby na betonowej podłodze wypełnionego ludźmi budynku. Pytanie to chodziło mu po głowie prawie codziennie, kiedy kładł się spać. Kolejną rzeczą było marne zabezpieczenie obiektu. Podczas posiłku wszyscy żołnierze stali jeden za drugim przed wejściem do kantyny, którą od drogi biegnącej za bazą dzieliła tylko cienka metalowa ściana. Gdyby o odpowiedniej porze dnia postawić na ulicy przy ścianie samochód z bombą, mogłoby zginąć kilkudziesięciu żołnierzy.

Howe nie ukrywał krytycznego stosunku do takich niedociągnięć. Teraz więc, otrzymawszy bezsensowny rozkaz podczas największej bitwy, w jakiej zdarzyło mu się brać udział, poczuł wściekłość. Zaczął zbierać amunicję, granaty i jednostrzałowe granatniki przeciwpancerne od rannych rangersów na podwórzu. Wydawało mu się, że większość żołnierzy nie zdaje sobie sprawy z dramatyzmu sytuacji. W pewien sposób wypierali to ze świadomości. Nadal byli przekonani, że ich siły są przeważające i że są panami sytuacji, mimo tego, iż los najwyraźniej przestał się do nich uśmiechać. Zostali otoczeni przez mających znaczną przewagę liczebną nieprzyjaciół. Pomysł, aby w tej sytuacji trzymać się nadal reguł potyczki, był niedorzeczny.

– Będziesz rzucał granatami? – zapytał starszy sierżant sztabowy, widząc, jak Howe upycha zebrane granaty do każdej możliwej kieszeni w kamizelce.

– Nie płacą nam za przyniesienie ich z powrotem – odparł Howe.

Trwała wojna. Zabawa polegała na tym, żeby zabić albo zostać zabitym. Wściekły, wyszedł na ulicę i rozejrzał się w poszukiwaniu Somalijczyków, do których mógłby zacząć strzelać.

Zauważył jednego z rangersów, Nelsona, który otworzył ogień w kierunku okna w budynku, który Howe dopiero co drobiazgowo przeszukał. Ponieważ kule leciały ze wszystkich stron, Nelson, zobaczywszy ruch w oknie, wystrzelił kilka pocisków w jego kierunku.

– Co ty wyprawiasz? – wrzasnął Howe z drugiej strony ulicy.

Nelson nie słyszał go, ale domyślił się treści pytania, więc odpowiedział:

– Widziałem tam kogoś w oknie.

– Nie pierdol! W środku są nasi!

Nelson dopiero po dłuższym czasie zrozumiał, co chciał mu przekazać machający rękoma Howe. Przeraził się. Nikt nie powiedział mu, że operatorzy Delty przejęli ten budynek, ale i tak strzelanie do niezidentyfikowanego celu było grzechem ciężkim.

Wściekły Howe wyładowywał gniew na rangersach. Uważał, że nie walczą z należytym zapałem. Kiedy zobaczył, że Nelson, Yurek i kilku innych żołnierzy stara się wyszukiwać uzbrojonych Somalijczyków pośród tłumu na drugim skraju budynku, który znajdował się po ich stronie ulicy, przerzucił granat nad dachem domu. Rzut był godny uwagi, jednak granat nie wybuchł. Zatem Howe rzucił następnym, który eksplodował w samym środku zgromadzonego tłumu. Następnie zauważył, że rangersi starają się trafić snajpera, który wypadł zza szopy oddalonej o przecznicę na północ, strzelił do nich i schował się z powrotem. Sierżant Delty przerzucił jeden z granatów zaczepnych o wielkości piłki golfowej nad pozycją rangersów. Pocisk wybuchł za szopą, ale strzelec nie pojawił się. Zatem Howe chwycił jednostrzałowy granatnik przeciwpancerny i cisnął nim w stronę rangersów po drugiej stronie ulicy. Broń wylądowała na ręce leżącego na brzuchu specjalisty Lance'a Twombly'ego, który znajdował w odległości niecałych dwóch metrów od muru na rogu skrzyżowania. Wyrzutnia posiniaczyła mu przedramię. Wkurzony Twombly skoczył na równe nogi i odwrócił się w stronę Howe'a, który ryknął:

– Zastrzel skurwysyna!

Klęczący na jednym kolanie Howe strzelał i przeklinał równocześnie. Wszystko go dziś wkurzało: cholerni Somalijczycy, jego przełożeni i ci idioci rangersi... a nawet jego broń. Wziął na muszkę trzech Somalijczyków, którzy przebiegali przez ulicę dwie przecznice dalej na północ. Tak jak uczono go tego podczas niezliczonych godzin spędzonych na treningu, wymierzył do nich za pomocą celownika, a następnie wystrzelił, celując w miejsce metr czy dwa przed nimi. Wyrzucił dwie czy trzy kule, szybko przesuwając karabin przy każdym strzale. Był doświadczonym snajperem, więc sądził, że ich trafił, jednak nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością, ponieważ udało im się przebiec ulicę i zniknąć za rogiem. Wkurzyło go to. Miał najbardziej zaawansowany technologicznie karabin piechoty na świecie CAR-15, z którego strzelał nowoczesnymi pociskami kaliber 5,56 milimetra z zieloną końcówką z wolframowym, karbidowym penetratorem. Te od niedawna używane przez armię pociski mogły przebić dziurę w metalu, dlatego często przelatywały przez cel na wylot. Kiedy Somalijczycy znajdowali się wystarczająco blisko, widział, gdzie dokładnie trafiały pociski, gdyż w miejscu uderzenia koszule „chuderlaków" unosiły się, tak jakby ktoś uszczypnął materiał. Strzelanie zielonymi pociskami przypominało przekłuwanie człowieka szpikulcem do lodu. Kula przebijała małą, równą dziurę, więc, o ile nie trafiła w serce lub kręgosłup, ofiara biegła dalej. Howe miał wrażenie, że trzeba trafić nimi człowieka pięć czy sześć razy, żeby w ogóle zwrócić jego uwagę. Nieraz robili sobie żarty z Randy'ego Shugharta, który nie chciał korzystać z nowoczesnego karabinu i najnowszej amunicji, a zamiast tego używał M14 z pociskami kaliber 7,62 milimetra, które nie przelatywały na wylot, jak te z zieloną końcówką. Karabiny takie produkowano w czasach wojny wietnamskiej. Kiedy Howe patrzył dziś na biegnących Somalijczyków, dotarło do niego, że Randy był najbardziej cwanym żołnierzem w jednostce. Być może jego karabin był cięższy, bardziej nieporęczny od innych i miał większy odrzut, ale można nim było

powalić gnojka na ziemię jedną kulą. A podczas walki nieraz zdarza się, że żołnierzowi zostaje tylko jedna kula. Kiedy ktoś strzela, to chce widzieć, jak cel upada na ziemię, a nie zastanawiać się przez kolejnych pięć godzin, czy trafił, czy może wróg czai się gdzieś w zaroślach.

Howe znajdował się w dobrym miejscu. Co prawda nie miał osłony ani przed, ani za sobą, ale przy zachodniej stronie muru, na południe od niego, co dwadzieścia kroków znajdowało się drzewo. Nikt z tamtej strony nie mógł go więc zobaczyć. Natomiast od północy zasłaniało go duże drzewo rosnące blisko pozycji Nelsona, Twombly'ego i pozostałych rangersów po drugiej stronie ulicy. Dobrze zbudowany sierżant Delty mógł więc przyklęknąć w odległości dwóch metrów od muru i bezkarnie celować do Somalijczyków na północy. Tak bywa podczas bitwy. Niektóre miejsca są bezpieczniejsze od innych. Hooten leżał na wzgórzu z twarzą w piasku, a wokół niego świstały kule. Kiedy zobaczył przecinający skrzyżowanie oddział Howe'a, pomyślał: „Jak oni to robią?". Ponieważ istniały różne kąty widoczności, jedna osoba mogła walczyć na stojąco bez większego problemu, podczas gdy zaledwie kilka metrów dalej ostrzał był tak nieznośny, że nie pozostawało nic innego, jak ukryć się i pozostać pod osłoną. Howe zdał sobie sprawę, że trafił we wspomnianą bezpieczną strefę. Strzelał rozważnie, starając się oszczędzać amunicję.

Kiedy zobaczył, że Perino, Smith i Elliot czołgają się w kierunku podobnej pozycji po drugiej stronie ulicy, dotarło do niego, że chcą iść za jego przykładem. Tylko że po ich stronie nie było drzew, które ukryłyby ich przed wrogiem.

Szybko krzyknął w ich kierunku, ale pośród huku wystrzałów nikt go nie słyszał[205].

3

Perino i jego żołnierze poszli dalej w dół ulicy i dotarli do niewielkiej blaszanej szopy, która wyglądała jak weranda wystająca z szarej kamiennej ściany w nieregularnym kształcie. Znajdowali się teraz zaledwie dziesięć metrów od ulicy, na której leżał Super Six One. Dwudziestoczteroletni Perino, który w 1990 roku ukończył West Point, nie był dużo starszy od rangersów, którymi dowodził. Razem z nimi wyprzedził kapitana Steele'a i większość innych żołnierzy. Po tym, jak raniono Goodale'a, przedarli się przez ostatnie skrzyżowanie dzielące ich od miejsca katastrofy. Następnie oczyścili pierwsze podwórko, jakie znajdowało się na kwartale za skrzyżowaniem, po czym Perino poprowadził kilku ludzi z powrotem na Marehan Road. Wiedział, że niewiele go dzieli od porucznika DiTomassa i oddziału poszukiwawczo-ratowniczego, do których mieli dotrzeć. Szopa znajdowała się w odległości tylko kilku kroków od wejścia na podwórze.

Sierżant Elliot był już po drugiej stronie szopy. Kapral Smith przyczaił się za nią, a Perino stał kilka kroków za Smithem. W ich kierunku leciało tyle pocisków, że nie do końca wiedzieli, co się dzieje. Wydawało się, że kule nadlatują ze wszystkich stron. Kawałki kamienia odpryskiwały od muru nad głową Perina i stukały o jego hełm. Pod drugiej stronie ulicy zobaczył Somalijczyka z karabinem. Stał mniej więcej 20 metrów od miejsca, gdzie znajdowali się Nelson i inni, ale pozostawał dla nich niewidoczny, gdyż zasłaniało go drzewo, za

którym się ukryli. Perino zobaczył błysk u wylotu lufy i był pewien, że Somalijczyk był jedną ze strzelających w ich kierunku osób. Unieszkodliwienie go za pomocą karabinu mogłoby być trudne, ale Smith miał granatnik podwieszany do M16, więc mógł wystrzelić granat na tyle blisko Somalijczyka, aby go zranić. Chciał podejść do Smitha i klepnąć go w ramię – w hałasie mogli rozmawiać tylko stojąc blisko siebie – kiedy nagle o ściany szopy uderzył grad kul. Porucznik klęczał na jednym kolanie. Któryś z pocisków uderzył w ziemię pomiędzy jego nogami[206].

Nelson widział, jak Smith otrzymał postrzał. Krzepki kapral biegł szybko w dół ulicy i przyklęknął, aby strzelić, kiedy dosięgła go kula. Większość żołnierzy przy narożniku słyszała to – ciężkie, nieprzyjemne plaśnięcie. Na początku Smith sprawiał wrażenie zdziwionego. Przewrócił się na bok, a potem zaskoczonym głosem, tak jakby komentował wydarzenie dotyczące kogoś innego, powiedział: „Trafili mnie!"[207].

Z miejsca, gdzie był Nelson, nie wydawało się, by rana była poważna. Perino pomógł mu przesunąć się bliżej muru. Teraz Smith krzyczał już głośniej: „Trafili mnie! Trafili mnie!".

Słysząc głos Smitha, porucznik był pewien, że ten odczuwa silny ból. Kiedy postrzelono Goodale'a, ranny na początku prawie nic nie czuł, ale rana Smitha była inna. Kapral zwijał się z bólu, poza tym postrzał był niebezpieczny. Perino założył opatrunek polowy, ale krew nadal tryskała dokoła.

– Mam tu silnie krwawiącą ranę! – krzyknął Perino do żołnierzy po drugiej stronie ulicy.

Sanitariusz Delty sierżant Kurt Schmid przybiegł z drugiej strony Marehan Road. Razem wciągnęli Smitha na podwórze.

Schmid rozdarł spodnie na nodze rannego. Kiedy zdjął opatrunek polowy, z rany zaczęła tryskać jasnoczerwona krew. Nie wyglądało to najlepiej.

Młody żołnierz odezwał się do Perina:

– Człowieku, to naprawdę boli.

Porucznik wrócił na ulicę i podczołgał się z powrotem do Elliota.

– Gdzie jest Smith? – spytał Elliot.

– Oberwał.

– Cholera.

Wkrótce zobaczyli, jak sierżant Ken Boorn otrzymuje postrzał w stopę. Po chwili szeregowy Rodriguez odturlał się z krzykiem od karabinu maszynowego. Krwawił obficie i trzymał się za krocze. Nie czuł bólu, ale kiedy położył dłoń na ranie, krew trysnęła spomiędzy palców – miał wrażenie, że w miejscu genitaliów pozostała krwawa papka. Krzyknął ze strachu. Był ósmym rannym rangersem w jedenastoosobowej, dowodzonej przez Perina grupie desantowej Chalk One.

Na północnym krańcu tego samego kwartału nastąpiła potężna eksplozja, która powaliła na ziemię Stebbinsa. Nelson, który widział wszystko z przeciwnej strony ulicy, zobaczył, jak granat przeciwpancerny uderza w ścianę nad Stebbinsem i Heardem. Nastąpił oślepiający, czerwony błysk, a na skutek wybuchu na ziemię spadł duży, ponad metrowej długości fragment ściany. W wąskiej ulicy wywołany eksplozją wstrząs był wyjątkowo silny. Nelson poczuł ból w uszach. Wielka chmura pyłu przesłoniła widoczność, ale udało mu się dostrzec (to samo widzieli Perino i Elliot po drugiej stronie), że Stebbins i Heard leżą płasko na plecach. „Już po nich" – pomyślał Nelson. Ale Stebbins poruszył się i zaczął powoli podnosić się z ziemi, kaszląc i przecierając oczy. Był cały pokryty białym pyłem.

– Na ziemię, Stebbins! – wrzasnął Heard. Zatem jemu też nic się nie stało.

Coraz więcej pocisków uderzało w ścianę za Perinem i Elliotem. Kule nadlatywały seriami, śmigały pomiędzy nimi, świstały nad głowami, rozcinając blaszaną ścianę szopy z przenikliwym zgrzytem. Pociski uderzały o ziemię, wzbijając tumany kurzu wzdłuż całej ulicy. Tak jak przewidział wcześniej Howe, ich pozycja nie była zbyt korzystna.

– Poruczniku, myślę, że powinniśmy ukryć się na tamtym podwórzu – odezwał się Elliot.

– Tak sądzisz? – odparł Perino.

Elliot chwycił go za ramię i obaj dali nura na podwórze, gdzie Schmid gorączkowo starał się pomóc Smithowi.

Kapral Smith był przerażony. Dokuczał mu dotkliwy ból. Sanitariusz najpierw starał się opanować krwawienie przy pomocy bezpośredniego ucisku na ranę. Niestety bezskutecznie, co gorsza ból stał się jeszcze bardziej przeszywający. Jasnoczerwona krew nadal tryskała z rany w nodze Smitha. Sanitariusz wepchnął do niej bandaż i zawinął nogę, po czym sprawdził, czy kapral nie odniósł innych obrażeń.

– Boli cię coś jeszcze? – zapytał.

– Nie wiem.

Schmid rozejrzał się za raną wylotową, ale niczego nie znalazł.

Sanitariusz miał trzydzieści dwa lata. Był synem zawodowego żołnierza, ale poprzysiągł sobie, że nigdy nie wstąpi do wojska. Jednak już rok po skończeniu szkoły średniej zaciągnął się do sił specjalnych. Chciał zostać sanitariuszem, ponieważ dałoby mu to dobre perspektywy zawodowe już po odejściu z armii. Podczas szkolenia radził sobie bardzo dobrze, stopniowo poszerzał swoją wiedzę. Obecnie posiadał kwalifikacje równe każdemu asystentowi lekarza, a pod pewnym względami wiedział nawet więcej. Podczas szkolenia pracował w izbie przyjęć w szpitalu w San Diego. Zdarzyło mu się nawet przeprowadzić prosty zabieg na sali operacyjnej pod kontrolą lekarza. Z pewnością posiadał wystarczające kwalifikacje, by wiedzieć, że jeśli Jamie Smith nie przestanie krwawić, może być z nim źle.

Domyślał się, gdzie jest kula. Przebiła udo Smitha i przeszła przez ciało w kierunku miednicy. Rana postrzałowa, w przypadku której pocisk znajdzie się w okolicach miednicy, jest bardzo niebezpieczna. W dolnej części brzucha tętnica główna dzieli się na dwie tętnice biodrowe, zewnętrzną i wewnętrzną. Tętnica biodrowa wewnętrzna, wychodząc z miednicy, przechodzi w tętnicę udową, która dzieli się na tętnice zewnętrzne i głębokie uda, które rozprowadzają krew w dolnej części ciała. Pocisk najwyraźniej przebił jedną z tętnic udowych. Schmid uciskał podbrzusze Smitha tuż nad miednicą tam, gdzie znajduje się rozwidlenie tętnic. Cały czas tłumaczył rannemu, co robi. Tymczasem zdążył mu podać dwa worki z kroplówką przy użyciu igieł o średnicy 1,6 milimetra, przy czym dosłownie ściskał torebki z płynem, aby jak najszybciej uzupełnić ilość płynu w ciele rannego. Na podwórzu powstała kałuża wypełniona gęstą, matową krwią, która tryskała z rany Smitha.

Sanitariusz pocieszał się tym, że wkrótce miało pojawić się wsparcie. Istniał jeszcze jeden sposób pomocy rannemu. Można było zastosować transfuzję krwi, co jednak było bardzo ryzykowne. Rzadko zdarzało się, aby ktoś przeprowadzał transfuzję na polu walki. Wiązało się to z dużym niebezpieczeństwem. Sanitariusze mieli przy sobie płyn do infuzji, ale nie nosili krwi. Gdyby Schmid chciał podać krew Smithowi, musiałby znaleźć kogoś z tą samą grupą krwi i przeprowadzić transfuzję bezpośrednią, po której mogłyby jednak wystąpić powikłania. Organizm Smitha mógł odrzucić przetoczoną krew. Schmid postanowił nie ryzykować. Konwój miał dotrzeć tu niedługo. Ranny rangers potrzebował przede wszystkim natychmiastowej pomocy lekarza[208].

Perino połączył się z kapitanem Steele'em.

– Kapitanie, nie przedrzemy się dalej. Mamy tylu rannych, że brakuje ludzi do ich niesienia.

– Musicie dalej przeć naprzód – odparł Steele.

– Nie możemy – stwierdził Perino. – Proszę o pozwolenie na zajęcie budynku.

Steele odpowiedział, że mają dalej starać się dotrzeć do wraku. W zasadzie znajdowali się tylko piętnaście metrów od żołnierzy z oddziału porucznika DiTomassa oraz ludzi z oddziału poszukiwawczo-ratowniczego, ale Perino nie miał o tym pojęcia. Połączył się z DiTomassem przez radio.

– Tom, gdzie jesteście?

DiTomasso próbował wytłumaczyć, gdzie się znajduje, opisując charakterystyczne elementy na ulicy.

– Nic nie widzę – odparł Perino. – Jestem na podwórzu.

DiTomasso wystrzelił w górę czerwony granat dymny. Perino zobaczył czerwoną smugę dymu na tle ciemniejącego nieba. Patrząc na unoszący się w powietrzu dym, wywnioskował, że dzieli ich jakieś pięćdziesiąt metrów. W strefie ostrzału była to bardzo duża odległość. Steele nalegał, aby Perino dołączył do ludzi DiTomassa.

– Potrzebują waszej pomocy – powiedział.

– Kapitanie, razem ze mną zostało nam tylko trzech żołnierzy. Jak moglibyśmy mu pomóc?

W końcu Steele ustąpił.

– Zrozumiałem. Zajmijcie budynek i umocnijcie pozycję[209].

Schmid nadal rozpaczliwie tamował krwawienie z rany Smitha. Poprosił o pomoc Perina, którego zadaniem było uciskanie rany, aby sanitariusz miał wolne ręce. Perino wepchnął dwa palce bezpośrednio do rany. Weszły głęboko, aż po knykcie. Smith wrzasnął z bólu, a na porucznika trysnęła krew. Perino przełknął ślinę i jeszcze mocniej przycisnął dłonie. Kręciło mu się w głowie. Rana nie przestawała krwawić.

– Cholera! Cholera! Już po mnie! – krzyczał Smith. Wiedział, że to krwawienie tętnicze.

Sanitariusz starał się go uspokoić. Jedynym sposobem na zatrzymanie krwawienia było znalezienie uszkodzonej tętnicy udowej i zaciśnięcie jej. Inaczej ich wysiłki przypominały próbę zatrzymania wody płynącej pod ciśnieniem z węża pożarniczego poprzez położenie na nim materaca. Schmid poprosił rannego, aby leżał spokojnie.

– Będzie bolało – poinformował go przepraszającym tonem. – Zadam ci jeszcze więcej bólu, ale jest to konieczne, jeśli mam ci pomóc.

– Daj mi morfinę! – domagał się Smith. Nadal był pełen energii i wiedział, co się dzieje.

– Nie mogę – odpowiedział Schmid. Morfina mogłaby zabić człowieka w tym stanie. Po utracie tak dużej ilości krwi jego ciśnienie tętnicze było niebezpiecznie niskie. Morfina jeszcze bardziej spowolniłaby bicie serca i oddech, a była to ostatnia rzecz, której pragnął teraz sanitariusz.

Młody rangers ryknął z bólu, kiedy Schmid włożył obie ręce do rany i otworzył ją. Starał się nie myśleć o tym, że tuż pod jego dłońmi znajdują się zakończenia żywych komórek nerwowych, lecz nie było to łatwe. Czuł więź emocjonalną łączącą go ze Smithem. Razem siedzieli w tym bagnie. Aby uratować życie młodego rangersa, należało jednak patrzeć na niego jak na nieożywiony przedmiot, zepsutą maszynę, która wymaga naprawy. Schmid dalej szukał tętnicy. Wiedział, że jeśli jej nie znajdzie, Smith prawdopodobnie umrze. Przetrząsnął okolice górnej części uda, sięgając aż do miednicy i rozdzielając warstwy skóry, tłuszczu, mięśni oraz naczynia krwionośne. Szukanie tętnicy utrudniała zalewająca wszystko krew. Schmid przypuszczał, że przerwana tętnica cofnęła się w górę, aż do podbrzusza Smitha. W końcu zaprzestał poszukiwań. U Smitha pojawiły się objawy wstrząsu. Jedynym możliwym rozwiązaniem było jeszcze rozcięcie podbrzusza, znalezienie w nim przerwanej tętnicy i założenie klamry. Rozwiązanie to groziło jednak jeszcze większą utratą krwi. Za każdym razem, kiedy sanitariusz badał ranę, krwawienie nasilało się. Wszystko dokoła, razem ze Schmidem i Perinem, było w posoce. Nie mogli uwierzyć, że Smith jeszcze się nie wykrwawił.

– To naprawdę boli – powtarzał ranny. – Strasznie boli.

Tym razem każde słowo wymawiał z trudem, a jego ruchy stały się powolne i ociężałe. Był w szoku.

Schmid wychodził z siebie. Wlał w młodego rangersa sześć litrów płynu i kończyły mu się worki z kroplówką. Próbował już wszystkiego, co w jego mocy. Ogarnęły go złość i frustracja. Poczuł, że musi się na chwilę oddalić. Zawołał innych żołnierzy, którzy mieli uciskać ranę, a sam odszedł, żeby porozmawiać z Perinem. Obaj byli cali we krwi Smitha.

– Jeśli go stąd natychmiast nie zabierzemy, na pewno umrze – zawyrokował Schmid[210].

Porucznik ponownie połączył się ze Steele'em.

– Kapitanie, musimy ewakuować rannego. Może zabrałby go Little Bird lub cokolwiek innego. Trzeba go bezzwłocznie zabrać z pola walki.

Steele przekazał tę wiadomość przez sieć dowodzenia. Przedostanie się do miejsca, gdzie się znajdowali, mogło być trudne. Zbliżała się siedemnasta i robiło się ciemno. Wszystkie pojazdy wróciły do bazy. Steele dowiedział się, że pomoc nie pojawi się jeszcze przez jakiś czas. Wysłanie następnego helikoptera w tę okolicę nie wchodziło w rachubę.

Kapitan ponownie połączył się z Perinem, informując go, że na razie Smith musi jakoś wytrzymać[211].

4

Stebbins trząsł się ze strachu. Ponieważ otaczali go przyjaciele, nadal brnął przed siebie, ale to wszystko, na co było go stać. Można być przygotowanym na obrazy, dźwięki i zapachy wojny, ale nie sposób się przygotować na jej największe okropności: krwawą jatkę, rozdzierające serce krzyki oraz uczucie, że śmierć dyszy do ucha i zagląda przez ramię. Balansowali na krawędzi – wszystko wskazywało, że sytuacja wkrótce wymknie im się spod kontroli. Czy do tego tak usilnie dążył przez ostatnie lata? Pewien stary sierżant powiedział mu kiedyś: „Kiedy wybucha wojna, żołnierz chce jak najszybciej wziąć w niej udział, lecz gdy znajdzie się już na polu walki, jedyną rzeczą, jakiej pragnie, jest powrót do domu".

Seria pocisków przeleciała koło Stebbinsa i uderzyła w M60 Hearda. Karabin nie nadawał się już do użytku, więc Heard wyciągnął pistolet M9 i ponownie zaczął strzelać w stronę nieprzyjaciela. Stebbins, mrużąc oczy, spojrzał w dół ulicy, w stronę zachodzącego słońca. Zobaczył dziesiątki Somalijczyków w białych koszulach, którzy grupami wybiegali na ulicę, aby wystrzelić serię w kierunku Amerykanów, po czym szybko chowali się. Zza prawego ramienia dobiegało stukanie – to ratownicy usiłowali wydostać ciało Wolcotta z wraku znajdującego się nieco dalej, po drugiej stronie ulicy. Niebo nad głową robiło się coraz ciemniejsze, a konwój nie pojawiał się. Co prawda widzieli kilka pojazdów, które jechały ulicą o kilka przecznic na zachód, ale od tego czasu minęła już godzina. Gdzie się podziały?

Każdy obawiał się nadciągającej ciemności. Amerykańscy żołnierze mieli zawsze znaczącą przewagę dzięki technice noktowizyjnej. Dziś jednak noktowizory pozostały w hangarze. Urządzenia te nie były ciężkie, ważyły mniej niż pół kilo, ale kiedy nie były potrzebne, wisiały na szyi, co było bardzo niewygodne, zwłaszcza że łatwo można było je zniszczyć. Wyruszając na misję za dnia, żołnierze, niewiele się zastanawiając, zostawili je w bazie. Tymczasem teraz zbliżała się noc, a wszyscy byli spragnieni i zmęczeni. Niejeden został ranny. Ponadto kończyła im się amunicja i nie mieli ze sobą jednej z najbardziej użytecznych nowinek technologicznych. Stebbins, który dotąd pracował jako urzędnik kompanii, przyglądał się wielkiej, pomarańczowej kuli, która zachodziła za budynkami i wyobrażał sobie świeżo zaparzoną kawę, która gdzieś na niego czekała[212].

Helikoptery Little Bird na tyle panowały nad sytuację, że mogły regularnie puszczać serie w kierunku wroga. Załogi robiły wszystko, aby utrzymać w ryzach tłum Somalijczyków. Niewielkie śmigłowce obniżały lot prawie do samej ziemi, przelatywały pomiędzy budynkami, a mechanicy cały czas strzelali z działek pokładowych. Widok był niesamowity. Wystrzeliwane rakiety trzęsły ziemią w chwili wybuchu. Twombly właśnie podziwiał jedną z takich akcji, kiedy sierżant Barton powiedział mu, że piloci proszą o położenie na drodze większej liczby znaków określających pozycje Amerykanów.

– Weź to – powiedział Barton, który trzymał w ręku pomarańczowy fluorescencyjny trójkąt. – I rzuć tam, na ulicę – dodał, wskazując na środek drogi.

Twombly nie chciał nigdzie iść. Nad ulicą latało zbyt wiele pocisków. Samo wyjście z ukrycia graniczyłoby z samobójstwem, nie mówiąc już o wybieganiu na środek ulicy. Przemknęło mu przez myśl, by nie usłuchać rozkazu Bartona, jednak prędko odrzucił taki pomysł. Jeśli tam nie pójdzie, to będzie to musiał zrobić ktoś inny. To nie byłoby w porządku. Z własnej woli został rangersem, więc nie mógł wycofać się teraz, kiedy zrobiło się niebezpiecznie. Chwycił ze złością pomarańczowy trójkąt, przebiegł kilka kroków i rzucił go na środek ulicy. Następnie szybko schował się z powrotem.

– To nic nie da – krzyknął Barton. Wytłumaczył mu, że podmuch wywołany przez pracę wirników helikopterów, które obniżą lot, by otworzyć ogień do nieprzyjaciela, zdmuchnie znak z drogi.

– Musisz go zabezpieczyć, umocować kamieniem.

Twombly, teraz już wściekły, a zarazem przerażony, schylił głowę i po raz kolejny wybiegł na ulicę.

Nelson pamiętał później, że czuł się naprawdę wzruszony odwagą przyjaciela. Kiedy Twombly pojawił się na drodze po raz drugi, w jego stronę poleciało tyle pocisków, że w poderwanym przez nie z ulicy kurzu stał się zupełnie niewidoczny dla Nelsona, który pomyślał: „Właśnie widziałem go po raz ostatni”. Ale już kilka sekund później wielki chłop z New Hampshire, ciężko tupiąc i klnąc obficie, przybiegł z powrotem – nawet go nie drasnęli[213].

Zza muru, potykając się, wyszedł stary człowiek, który zaczął zaciekle strzelać z AK-47. Rangersi ze wszystkich trzech narożników wzięli na muszkę wątłego starca, który miał długą, gęstą brodę, a na głowie

burzę siwych włosów. Po obu stronach ust widniały zielonkawe plamy – zapewne od żucia khatu. Najwyraźniej był pijany lub na haju, gdyż zupełnie nie wiedział, co się dzieje. Wystrzelone przez niego pociski uderzyły tak daleko od celu, że obserwujący go w osłupieniu rangersi zaczęli się śmiać. Potykający się starzec wykonał obrót i wystrzelił kule w kierunku ściany, daleko od kogokolwiek. W końcu Twombly położył go długą serią z M249.

Walka przedłużała się, a oni widzieli wiele dziwnych rzeczy. Podczas zaciekłej strzelaniny szeregowy David Floyd zobaczył szarego gołębia, który wylądował pośrodku Marehan Road. Ptak nonszalancko pogrzebał w piasku i podreptał kilka metrów w górę ulicy, jakby nieświadomy panującego wokół szaleństwa. W końcu odleciał, a Floyd tęsknie popatrzył za nim. Na skrzyżowaniu pojawił się też osioł, który ciągnął wóz w górę wzniesienia, mijając miejsce, gdzie ostrzał był najbardziej intensywny (niedaleko zginął Fillmore). Zwierzę przeszło przez skrzyżowanie nie doznawszy żadnej szkody, a za kilka minut truchcikiem znów przebiegło to miejsce, najwyraźniej speszone i zdezorientowane. Widok był komiczny. Nikt nie mógł uwierzyć w to, że osioł nawet nie został draśnięty. Ed Yurek obserwował zwierzę z mieszanką żalu i zdziwienia. „Bóg kocha tego osła”[214]. Bliżej rozbitego helikoptera na ulicę co chwilę wybiegała kobieta, krzycząc i wskazując na budynek na południowo-wschodnim narożniku, w którym ukryto wielu rannych. Nikt do niej nie strzelił, bo była nieuzbrojona. Za każdym razem jednak, kiedy chowała się na chwilę, we wskazanym przez nią kierunku leciał grad pocisków. Kiedy kobieta dwukrotnie powtórzyła swój manewr, operator Delty schowany za ogonem Super Six One powiedział:

– Jeśli ta suka jeszcze raz tu wróci, zabiję ją.

Kapitan Coultrop skinął głową w geście przyzwolenia. Rzeczywiście wróciła, więc żołnierz zastrzelił ją[215].

Później pojawiła się potężna kobieta w błękitnym turbanie. Nadbiegła z przeciwnej strony ulicy. Jej grube ręce dźwigały ciężki kosz, a biało-niebieska suknia wydęła się z tyłu. Wszyscy rangersi na skrzyżowaniu wystrzelili równocześnie: Twombly, Nelson, Yurek i Stebbins. Wycelował też do niej Howe stojący nieco bardziej w górę ulicy. Kobieta zachwiała się, ale dalej szła przed siebie. Wkrótce dosięgło ją więcej pocisków, więc upadła, a z jej koszyka wypadły granaty przeciwpancerne. Wystrzały ucichły. Somalijkę trafiło dużo kul; przez dłuższą chwilę leżała w bezruchu na ziemi, ciężko dysząc. Potem podniosła się, chwyciła jeden z granatów i na czworakach próbowała iść dalej. Tym razem wystrzelona przez rangersów potężna seria pocisków dosłownie rozerwała jej ciało. Masywny granat z M203 oderwał jej nogę, więc kobieta padła bezwładnie na ziemię. Za chwilę znów zaczęła się ruszać. Kolejna potężna salwa pocisków rozczłonkowała jej ciało. Widok był przerażający, ale niektórzy z rangersów zaczęli się śmiać. Dla Nelsona kobieta nie wyglądała już jak istota ludzka, lecz jak monstrualna, krwawiąca kupa mięsa nasuwająca na myśl filmy grozy. Kiedy spojrzał w to miejsce później, niedługo przed zmierzchem, na ulicy pozostała wielka kałuża krwi, w której leżały resztki odzieży i koszyk, ale po okaleczonym ciele kobiety oraz po granatach nie pozostało ani śladu[216].

Zachodzące słońce schowało się za budynkami, a na ulicę padł cień, dzięki czemu Stebbinsowi i Heardowi łatwiej było wypatrzyć w oknach i drzwiach budynków strzelających do nich Somalijczyków. Ich pozycję zdradzał błyskający z luf ogień. Stebbins strzelał ostrożnie, starając się oszczędzać amunicję. Heard korzystał teraz z M16. Ogłuszony przez huk karabinu klepnął Stebbinsa w ramię i krzyknął:

– Steb, na wypadek gdybym nie przeżył, powiem ci to teraz: wykonałeś kawał dobrej roboty.

Nagle ziemia wokół nich zadrżała. Stebbins usłyszał rozdzierający uszy dźwięk pocisków uderzających w ścianę ich narożnika: „Bach! Bach! Bach!", a widoczność przesłonił mu dym. Mur, który stanowił ich osłonę od ponad godziny, zaczął się rozpadać. Mierzył do nich ktoś z bronią ciężką. Po pierwszej druzgocącej serii Stebbins wyszedł na ulicę i odpowiedział ogniem, mierząc w kierunku okna, w którym dostrzegł błysk wystrzału. Zaraz potem schował się znowu za róg budynku, przyklęknął i metodycznie strzelał w to samo miejsce.

„Bach! Bach! Bach!". W stronę narożnika poleciały trzy następne rozdzierające uszy serie. Stebbinsa odrzuciło do tyłu; upadł na pośladki, jakby ktoś pociągnął za przywiązany do niego sznur. Nie czuł bólu, ale brakowało mu tchu. Potężne eksplozje oraz sposób, w jaki padł na ziemię, sprawiły, że oszołomiony Stebbins nie mógł złapać powietrza. Znowu był cały biały od tynku zdartego przez kule ze ściany. Czuł wściekłość. „Ten skurwysyn o mało mnie nie zabił!" – pomyślał.

– Wszystko w porządku, Stebby? Nic ci nie jest? – zapytał Heard.

– Wszystko gra, Brian. Gotowy do działania.

Rozjuszony Stebbins wstał i, przeklinając, na czym świat stoi, wyszedł na ulicę, gdzie ponownie otworzył ogień w kierunku okna.

Sierżant Howe, dowódca oddziału Delty, który stał nieco dalej w górę ulicy, obserwował go ze zdumieniem. Nie mógł uwierzyć, że rangers nie potrafił znaleźć sobie lepszej osłony. Nelson za to miał wrażenie, że ktoś przełączył Stebbinsowi jakiś pstryczek. Już drugi raz w ciągu ostatniej godziny był pewien, że przyjaciel nie żyje, jednak ten pozbierał się jakby nigdy nic. Spokojny urzędnik zmienił się w dzikie zwierzę. Rzucał się wściekle dokoła, strzelał jak szaleniec. Nelson, Twombly, Barton i Yurek strzelali teraz w to samo okno. Nagle rozległ się głośny świst, po którym nastąpiła ogłuszająca eksplozja, a Stebbins i Heard krzyknęli, znikając w kuli ognia[217].

Już po Brianie i Stebbym – pomyśleli pozostali.

Leżący na plecach Stebbins po raz drugi dzisiaj odzyskał przytomność. Czuł się tak samo jak poprzednim razem; jak gdyby ktoś uderzył go w splot słoneczny. Kiedy gwałtownie nabrał powietrza, poczuł w ustach pył, a w nosie zapach dymu. Poprzez wirujący tuman pyłu dostrzegł dwie chmury na ciemniejącym niebie. Nagle widok przesłonił mu Heard.

– Wszystko w porządku, Stebby? Nic ci nie jest?

– Tak, Brian. Wszystko gra – odezwał się Stebbins. – Daj mi tylko chwilę tu poleżeć.

– Dobra.

Tym razem, kiedy zaczął zbierać myśli, odezwał się zdrowy rozsądek. Potrzebowali pomocy w utrzymaniu pozycji. Ostatni wybuch jeszcze bardziej uszkodził ścianę przy narożniku. Stebbins domyślił się, że musiały uderzyć go w klatkę piersiową oderwane od ściany kamienie, które były na tyle duże, by go przewrócić, ale nie uszkodziły kamizelki przeciwodłamkowej ani nie zraniły go za bardzo. „Chuchraki" ustawiły broń załogową, z którą nie poradzi sobie karabinek M16. Podnosząc się, po drugiej stronie ulicy usłyszał Bartona, który wzywał pomoc przez radio. Za chwilę do jego uszu dotarł jeszcze jeden głos. Za Stebbinsem, w oknie stojącego na rogu ulicy budynku (to było to samo okno, w które wcześniej omyłkowo strzelił Nelson) stał operator Delty. Jego głos brzmiał beztrosko, rzucił od niechcenia, niczym surfer:

– Hej stary, skąd strzela ten koleś?

Stebbins wskazał na okno.

– Dobra, mamy ich. Schowajcie głowy.

Snajper Delty wystrzelił z wnętrza budynku trzy pociski z granatnika M203, które uderzyły prosto w okno pomieszczenia, gdzie przebywali Somalijczycy. Budynkiem wstrząsnęła potężna eksplozja. Stebbins podejrzewał, że jeden z granatów wysadził w powietrze zapasy amunicji. Oślepiający błysk, który zajął cały parter, i donośny huk sugerowały, że wybuchło coś więcej niż granat z M203. Potem w budynku zrobiło się ciemno, a z okna wydobywał się czarny dym.

Zapadła cisza. Stebbins, Heard i żołnierze po drugiej stronie ulicy głośno gratulowali operatorowi Delty z powodu godnego podziwu strzału. Stebbins, który przyklęknął kawałek za zniszczoną ścianą, patrzył na światła migoczące w oddali. Przypomniał sobie, że są w środku wielkiego miasta. W niektórych dzielnicach życie toczyło się jak co dzień. Za hotelem Olympic, obok którego dziś opuścili się na ulicę, widać było palące się ogniska. Wydawało się, że od momentu, kiedy jego stopy dotknęły ziemi, minęły całe wieki. Przemknęło mu przez myśl, że być może skoro zrobiło się ciemno, „chuchraki" rozejdą się do domów, a on i jego kumple wrócą do hangaru stwierdziwszy, że na dziś już koniec zabawy. Czyż nie byłoby miło?

Dalej, po drugiej stronie skrzyżowania ktoś krzyknął, że wszyscy mają wycofać się i ukryć bliżej śmigłowca. Zapadała ciemność, więc żołnierze szukali schronienia. Jeden po drugim przebiegali przez skrzyżowanie. Stebbins i Heard czekali na swoją kolej. Strzały ucichły, więc Stebbins pomyślał: „Dobra, największa jatka za nami".

Zaraz po tym usłyszał głośny świst, a kiedy odwrócił się, zobaczył coś, co wyglądało jak pędzący w stronę jego głowy kamień. Padł na ziemię, zasłaniając się hełmem przed pociskiem. Już za moment zniknął w kuli ognia.

5

Sierżant Fales, ranny ratownik medyczny sił powietrznych, odebrał wezwanie o pomoc medyczną. Potrzebowali natychmiast kogoś, kto mógłby opatrzyć szeregowego Rodrigueza po drugiej stronie szerokiego skrzyżowania, na zachód od zestrzelonego śmigłowca. Poszkodowany krwawił mocno z rany w okolicy genitaliów. Żołnierze wycofywali się teraz do różnych punktów zbiórki rannych. Sanitariusz Kurt Smith znajdował się na podwórzu w górze ulicy i zajmował się kapralem Smithem. Po drugiej stronie Marehan Road nikt nie posiadał kwalifikacji do opatrzenia poważnego postrzału Rodrigueza. Fales siedział za kewlarowymi płytami opartymi o ogon śmigłowca, trzymając przed sobą pospiesznie zabandażowaną nogę.

Kiedy spojrzał na opatrującego innego rannego Tima Wilkinsona, zachciało mu się śmiać. Obaj sanitariusze sił powietrznych od pewnego czasu narzekali, że podczas pobytu w Somalii nie załapią się na udział w prawdziwej walce. Teraz nad ich głowami śmigały kule. Wilkinson przed chwilą klepnął Falesa w ramię i powiedział:

– Powinieneś uważać, o czym marzysz.

Wilkinson nadal był przekonany, że niedługo nadjedzie konwój (uszkodzone pojazdy z rannymi żołnierzami już dawno wróciły do bazy). Wiedział, że dopóki nie pojawią się ciężarówki, jego obowiązkiem jest opatrywanie ran i umieszczanie na noszach ciężko poturbowanych, aby w ten sposób przygotować ich do transportu. Kiedy jakiś czas temu postanowił położyć na noszach Falesa, sierżant wzdragał się.

– Znasz zasady. Kładź się – nalegał Wilkinson.

Fales z wahaniem ułożył się na noszach i pozwolił się przypiąć. Mijały kolejne kwadranse, a pojazdy nie pojawiały się, więc sierżant sam się uwolnił z krępujących go pasów, ponownie sięgnął po broń i zaczął strzelać. Naraz usłyszał okrzyk z drugiego końca ulicy.

– Potrzebujemy sanitariusza, Wilky.

Przelatujące kule i granaty przeciwpancerne utworzyły śmiertelnie niebezpieczną przeszkodę pomiędzy rozbitym śmigłowcem a żołnierzami znajdującymi się po przeciwnej stronie ulicy. Wilkinson spakował apteczkę i zbliżył się do skrzyżowania, przy którym zatrzymał się na moment. Powinien czuć strach, ale udało mu się zagłuszyć wszelkie emocje już wówczas, gdy pociski przedziurawiły kadłub helikoptera, w którym znajdował się z dwoma innymi żołnierzami. Przestał martwić się o kule i skupił na swoich zadaniach, które były na tyle absorbujące, że mógł nie myśleć za wiele o niczym innym. Uwijał się szybko, wiedząc, ile jest do zrobienia. Liczba rannych przekraczała możliwości jednego sanitariusza. Ponieważ najwyraźniej nie mógł myśleć jednocześnie o dwóch rzeczach, pracy i strachu, skoncentrował się na pierwszej z nich. A teraz odwrócił się w stronę przyjaciela i rozmyślnie, śmiertelnie poważnym, scenicznym głosem powiedział:

– Osłaniaj mnie.

Potem schylił głowę i ruszył przed siebie. Wydawało się, że biegnie w miejscu, na próżno starając się dotrzeć na drugą stronę szerokiej ulicy, na której raptem pojawiło się jeszcze więcej kul. Kumple będą później żartowali, że nikt go nie trafił, bo Wilkinson był tak powolny, że Somalijczycy źle ocenili jego tempo i celowali przed nim. Sanitariusz za to miał wrażenie, że przeniósł się na drugą stronę samą siłą woli. Kiedy znalazł się na podwórzu, na którym stworzono stanowisko dowodzenia Delty, począł pospiesznie oceniać stan rannych, dzieląc ich w zależności od stopnia doznanych obrażeń. Od razu było widać, że Rodriguez pierwszy potrzebuje pomocy. Mocno krwawił i był nieźle wystraszony. Wilkinson starał się go uspokoić.

Sanitariusz rozciął mundur Rodrigueza, aby ocenić ranę. Pocisk trafił w pośladek, przeszył na wylot miednicę, odrywając jedno z jąder, i wyleciał na wysokości uda. Przede wszystkim należało zatamować krwawienie. Wilkinson zatkał ziejącą ranę wylotową opatrunkami polowymi oraz gazą, a następnie mocno zawinął bandażem elastycznym. Następnie wsunął na nogi i pośladki Rodrigueza gumowe, pneumatyczne spodnie, które napompował powietrzem, aby zwiększyć ucisk na ranę. Krwawienie ustąpiło. Podał rannemu morfinę, a następnie podłączył kroplówkę, aby uzupełnić płyny i doprowadzić szeregowego do stabilnego stanu. Wkrótce jednak zużył wszystkie worki z płynem infuzyjnym.

Połączył się przez radio z Falesem:

– Macie jeszcze płyn do kroplówki?

Mieli. Wilkinson powiedział, żeby włożyli worki do torby i rzucili jak najdalej w jego kierunku. Patrząc, jak po drugiej stronie ulicy żołnierze przygotowują się, by rzucić mu worki, nagle zdał sobie sprawę, że to nie jest najlepszy pomysł. Krzyknął, żeby się powstrzymali. Gdyby worki wypadły z torby lub zostały uszkodzone przez pociski, straciliby cenne płyny. Jeśli worki wypadłyby z torby pośrodku Marehan Road, musiałby je pozbierać. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie zaryzykować i przebiec przez ulicę jeszcze dwa razy, niż utknąć pośrodku.

Ponownie ruszył w stronę przeciwległego krańca drogi. Chociaż znów wszyscy odnieśli wrażenie, że porusza się wolno jak żółw, dotarł na miejsce nawet niedraśnięty. Mężczyźni z pozycji wokół skrzyżowania, którzy przykucnęli w ukryciu, byli zdumieni odwagą ratownika. Wilkinson poinformował Falesa, że tym razem zostanie po drugiej stronie. Stan Rodrigueza był krytyczny. Należało go natychmiast ewakuować. Musiał się nim zająć dopóty, dopóki nie pojawi się transport. Zatem, trzymając w rękach worki z płynem, schyliwszy głowę, po raz trzeci pokonał tę samą trasę. Znów nic mu się nie stało.

Kiedy wpadł na podwórze, jeden z operatorów Delty powiedział mu:

– Człowieku, Bóg naprawdę kocha sanitariuszy.

Szybko zapadał zmierzch. Wilkinson zlecił kilku żołnierzom, aby pomogli mu przenieść Rodrigueza i resztę rannych do pomieszczenia na tyłach domu. Dowiedział się już, że konwój, który jechał im na odsiecz, musiał zawrócić. Wszystko wskazywało więc na to, że spędzą tu noc.

Wilkinson odnalazł kapitana Millera.

– Jeden z rannych jest w stanie krytycznym – powiedział mu. – Należy go ewakuować. Inni mogą poczekać, ale ten musi wrócić do bazy.

Miller rzucił mu spojrzenie mówiące: „Utknęliśmy w tym bagnie, co mogę na to poradzić?”[218].

6

Specjalista Stebbins zacisnął oczy, ale i tak w momencie wybuchu granatu zobaczył czerwone światło. Poczuł palące gorąco płomieni, a potem wpadł w odrętwienie.

Śmierdziało spalonymi włosami, pyłem i gorącym kordytem. Stebbins przeturlał się i zderzył z Heardem, po czym obaj usiedli, patrząc na siebie szeroko otwartymi oczami.

– Nic ci nie jest? – zapytał po dłuższej chwili Heard.

– Nie, ale nie wiem, gdzie jest mój karabin.

Stebbins przeczołgał się z powrotem na pozycję, gdzie znalazł roztrzaskaną broń. Lufa była cała, ale eksplozja oderwała rączkę. Pył nadal unosił się w powietrzu, wpadał do nosa, oczu i ust. Stebbins poczuł smak krwi na języku. Doszedł do wniosku, że pewnie ugryzł się w wargę.

Potrzebował broni. Postanowił pójść na podwórze, na którym ukryli się operatorzy Delty i pożyczyć karabin od jednego z rannych. Podniósł się więc, ale od razu upadł na ziemię. Wstał, zrobił jeden krok i znowu się przewrócił. Nie miał czucia w lewej nodze, a stopa był odrętwiała. Po drugim upadku zdecydował się iść, ciągnąc nogę za sobą. Kiedy doszedł na podwórze, w wejściu stał Heard, który mówił do jednego z operatorów:

– Mój kumpel Steb tam został.

Stebbins położył dłoń na ramieniu Hearda.

– Nic mi nie jest, Brian.

Wilkinson chwycił Stebbinsa, który wyglądał jak straszydło, cały w piasku, pokryty prochem i pyłem, w nadpalonych spodniach i z krwawiącymi ranami na nodze. Był półprzytomny i wydawało się, że jeszcze nie zauważył ran.

– Dajcie mi chwilę posiedzieć – powiedział Stebbins. – Zaraz mi przejdzie.

Sanitariusz pomógł mu dokuśtykać do pomieszczenia z tyłu, w którym znajdowali się inni ranni. W ciemnym pokoju Stebbins poczuł zapach krwi, szczyn i potu. Kiedy na zewnątrz wybuchł granat przeciwpancerny, dom na moment zajął się ogniem, więc przestrzeń od sufitu aż do połowy wysokości ściany wypełniał czarny dym. Wszyscy siedzieli nisko, czekając, aż dym wyleci przez otwarte okna. Na kanapie

znajdowała się trzyosobowa grupka przestraszonych Somalijczyków. W kącie leżał podłączony do kroplówki Rodriguez, który jęczał i miał krótki, świszczący oddech. Miał na sobie dziwaczne, nadmuchiwane spodnie. „Cholera, odstrzelili mu kutasa" – pomyślał Stebbins.

Tymczasem Heard kłócił się z sanitariuszem:

– Mam tylko zadrapanie na nadgarstku, nic mi nie jest. Zabandażuje się i mogę wracać.

Somalijczycy przenieśli się na podłogę, a Wilkinson pomógł Stebbinsowi siąść na kanapie, po czym zaczął przecinać jego lewy but wielkimi nożycami.

– Nie przecinaj mi buta! – zdziwił się Stebbins. – Dlaczego to robisz?

Wilkinson zsunął mu but z nogi. Zrobił to bardzo powoli i delikatnie, przy okazji ściągając skarpetkę. Kiedy Stebbins zobaczył, że w jego stopie znajduje się kawałek metalu o wielkości piłki golfowej, był wstrząśnięty. Dopiero teraz dotarło do niego, że został ranny. Popatrzył na nadpalone spodnie, a kiedy na nogę padł biały snop trzymanego przez sanitariusza światła, uświadomił sobie, że poczerniałe płaty to jego skóra! Nie czuł bólu, tylko odrętwienie. Podczas eksplozji ogień od razu dokonał kauteryzacji powstałych w momencie wybuchu ran. Stebbins zobaczył, że ma poparzone całe ciało od pasa w dół.

Jeden z operatorów Delty wsunął głowę przez drzwi i wskazał na białe światło.

– Musisz zgasić ten reflektor – powiedział. – Na zewnątrz jest już ciemno, więc musimy zachowywać się taktownie.

Stebbinsa rozbawiło słowo „taktownie", ale zaraz zastanowił się nad tym chwilę: taktownie, takt, taktyka – to miało sens.

Wilkinson zgasił białe światło i wyciągnął czerwoną latarkę.

Stebbins wsunął dłoń do „nadupnika"[219], aby wyciągnąć paczkę papierosów, ale okazało się, że spaliła się podczas eksplozji. Wilkinson owinął stopę Stebbinsa:

– Jesteś wyłączony z walki – oznajmił. – Na razie czujesz tylko odrętwienie, ale to minie i pojawi się ból. Mogę dać ci tylko percocet[220]. – Wręczył Stebbinsowi tabletkę oraz kubek z jodowaną wodą. Dał mu też karabin: – Masz tu broń, możesz pilnować tego okna.

– Dobra.

– Jako pracownik ochrony zdrowia muszę cię jednak ostrzec, że narkotyki i broń palna to niezbyt szczęśliwe połączenie.

Stebbins tylko skinął głową i uśmiechnął się.

Zza okna, od strony ulicy, cały czas dochodziły do niego różne dźwięki. Nikogo tam jednak nie było. To mózg płatał mu figle. Raz czy dwa krzyknął z przestrachu i wystrzelił kilka kul do czegoś za oknem, ale okazało się, że to tylko cienie.

Wystrzały Stebbinsa i sporadyczne wybuchy granatów przeciwpancernych za ścianą wybudziły Rodrigueza z morfinowego snu. Śmiał się i krzyczał w stronę okna, nabijając się z niecelności Somalijczyków. Choć jego rana była poważna, nie czuł bólu, tylko niewygodę. Gumowe spodnie opinały jego ciało niczym imadło. Raz czy dwa poprosił Wilkinsona o zmniejszenie ucisku, ale sanitariusz nie zgodził się.

Do Stebbinsa przyszedł operator Delty zapytać, skąd wystrzelono granat, który go zranił. Stebbins nie był tego pewien.

– Z zachodu, z dołu ulicy – odpowiedział.

Jednak w momencie wybuchu patrzył właśnie na zachód, tymczasem obrażenia miał z tyłu.

– Nie, ze wschodu – poprawił się. – Ale nie od strony śmigłowca, tylko z ulicy.

W końcu został sam. W porwanych na strzępy spodniach, ściskając karabin, słuchał miarowego oddechu Rodrigueza i narzekań Somalijki, która w obcym mu języku skarżyła się na za ciasne kajdanki na rękach męża. Nagle poczuł, że musi oddać mocz. Nie miał gdzie się oddalić, więc nasikał tam, gdzie siedział. Co za ulga. Popatrzył na somalijską rodzinę i posłał im słaby uśmiech.

– Przepraszam za tapczan – powiedział[221].

7

Szeregowy David Floyd, który wciąż znajdował się na oddalonej o półtorej przecznicy drodze, strzelał do wszystkiego, co się ruszało. Z początku wzdragał się przed strzelaniem w kierunku mas napływających tłumnie w dół ulicy, ale po tym, jak zobaczył śmierć Fillmore'a z Delty, a także postrzelenie porucznika Lechnera i trzech czy czterech innych kumpli, celował do każdego. Wszystko wokół niego eksplodowało, więc strzelanie wydawało się jedyną możliwą reakcją z jego strony. Bez względu jednak na to, ile pocisków on i specjalista Melvin DeJesus wystrzelili w stronę Marehan Road, tłumy podchodziły coraz bliżej. Specjalista John Collett, który nadal leżał w niewielkim wgłębieniu na ulicy, także strzelał zaciekle w stronę wroga. Znajdowali się w najdalej wysuniętym na zachód krańcu kordonu wokół rozbitego helikoptera i nie miał pojęcia, co się dzieje przy wraku ani na innych pozycjach bronionych przez Amerykanów. Za każdym razem, gdy Floyd trafił kogoś z M249, ofiara trzęsła się, jakby poraził ją prąd, stawiała jeden lub dwa kroki i przewracała się na ulicę.

Nagle poczuł, że trafił go pocisk lub łuska. Floyd podskoczył, a potem schylił się, szukając rany, równocześnie starając się nie spuszczać wzroku z drogi przed sobą. Jego spodnie były rozdarte od krocza aż do buta, ale pocisk nawet go nie drasnął. Kula przebiła za to blaszaną ścianę.

– Łooooo! – krzyknął, spoglądając na DeJesusa. Czuł równocześnie ulgę i strach.

Dzwoniło mu w uszach, ale z jakiegoś powodu nadal wszystko słyszał. Tymczasem DeJesus zaczynał wariować. Robił się coraz bardziej nerwowy, w końcu powiedział, że nie może już dłużej tu zostać. Musiał się ruszyć. Od dłuższego czasu czuli się w miarę bezpiecznie za blaszaną ścianą szopy skrytej w cieniu po zachodniej stronie ulicy. Teraz, kiedy zrobiło się ciemno, DeJesus miał już dość tego schronienia. Nie schylał się już, tylko stał, podskakując w miejscu. Powiedział, że musi coś zrobić. Miał złe przeczucie i chciał przenieść się gdzieś indziej. Natychmiast!

Floyd miał ochotę uderzyć go w twarz.

– Posadź dupę na ziemi! – wrzeszczał.

Po drugiej stronie Marehan Road inni żołnierze machali w ich kierunku, chcąc, aby schowali się na podwórzu razem z nimi. Kapitan Steele na razie zrezygnował z prób dołączenia do poruczników Perina i DiTomassa, którzy znajdowali się przecznicę dalej. Chciał, aby wszyscy żołnierze z południowego krańca kordonu zebrali się na podwórzu. Przebywały tam już trzy oddziały Delty oraz grupa zgromadzonych na niewielkiej przestrzeni rannych. Wśród nich byli Neathery i Errico – obaj z ranami postrzałowymi mięśnia dwugłowego ramienia – oraz Lechner, który nadal wył z bólu z powodu roztrzaskanego podudzia. Goodale wciąż rozmawiał przez radio, podczas gdy sanitariusz opatrywał mu ranę wylotową w pośladku. Podwórze stanowiło spokojną przystań, ale, aby do niej dotrzeć, należało pokonać nieprzebytą zatokę – szeroką ulicę, za którą znaleźli się Floyd, DeJesus i inni żołnierze z grupy desantowej Chalk Three.

Jeden po drugim zaczęli przebiegać przez ulicę. Pierwszy był szeregowy George Siegler. Po nim z ukrycia pośrodku drogi wyskoczył Collett, który pobiegł w kierunku bramy. Następny był Jeff Young. Kiedy pędził, wysoko unosząc nogi, wielkie okulary podskakiwały mu na nosie. Podczas gdy inni żołnierze przebiegali kolejno przez ulicę, Floyd i DeJesus, który uspokoił się już, strzelali w kierunku południowym, aby zapewnić osłonę ogniową. W końcu zostali sami.

– Przebiegniesz na drugą stronę ulicy – powiedział Floyd do kumpla.

DeJesus skinął głową.

– Ale pamiętaj: kiedy znajdziesz się po drugiej stronie, nie wchodź na podwórze, dobra? Odwróć się i zacznij strzelać, bo ja będę biegł po tobie. Jasne?

DeJesus znów skinął głową. Floyd nie był pewien, czy wszystko do niego dotarło.

Kiedy DeJesus biegł przez ulicę, Floyd wystrzelił chyba z pięćdziesiąt pocisków. Przyjaciel nie zapomniał o nim. Zbliżywszy się do wejścia na podwórze, DeJesus odwrócił się, przyklęknął na jedno kolano i wypuścił serię pocisków. Biegnąc, Floyd miał wrażenie, że ma nogi z ołowiu. Podarte spodnie trzepotały jak spódnica, a ponieważ nie miał na sobie bielizny, czuł się nieosłonięty także w sensie dosłownym. Wydawało mu się, że biegnie w miejscu, a wejście na podwórze oddala się, zamiast być coraz bliżej.

Aż w końcu mu się udało[222].

8

Mniej więcej godzinę wcześniej do bazy lotniczej rangersów po drugiej stronie miasta dotarły pojazdy wypełnione rannymi oraz zabitymi z zagubionego konwoju. Dla majora Roba Marsha była to katastrofa, której spodziewał się od dawna, choć zarazem miał nadzieję, że nigdy do niej nie dojdzie. Wstąpił do wojska w 1976 roku i został sanitariuszem sił specjalnych. Następnie rozpoczął naukę w szkole medycznej na Uniwersytecie Virginia. Jego ojciec, John Marsh, był wówczas sekretarzem sił zbrojnych. Marsh pracował w Teksasie jako lekarz medycyny lotniczej, kiedy spotkał Garrisona. Od razu się polubili. Kilka lat później Garrison, który był wówczas dowódcą Delty, zaproponował Marshowi stanowisko lekarza jednostki, niewątpliwie mając na uwadze jego koneksje rodzinne. Marsh odmówił, obawiając się, że oferta ma więcej wspólnego z jego ojcem niż zdobytymi kwalifikacjami medycznymi. Kiedy jednak rok później Garrison ponowił propozycję, zgodził się. Od tego czasu, czyli od ośmiu lat, pracował jako lekarz jednostki.

Jedną z innowacji Marsha, z której był niezwykle dumny, były cztery duże, długie na metr dwadzieścia i szerokie na sześćdziesiąt centymetrów skrzynie, wypełnione workami z płynem infuzyjnym, gazą, bandażami, wazeliną, igłami, cewnikami do drenażu klatki piersiowej i wszelkimi innymi przedmiotami niezbędnymi podczas wstępnego opatrywania ran. Zamiast tylko wrzucić sprzęt do skrzyń, Marsh i jego podwładni włożyli do każdej z nich piętnaście toreb z zamknięciem strunowym: w dziesięciu z nich znajdowały się przedmioty potrzebne przy lekkich ranach, a w pięciu wyposażenie niezbędne go opatrzenia poważnych uszkodzeń ciała. Oceniwszy ranę, należało chwycić odpowiednią paczkę. Marsh podpatrzył pomysł od brytyjskich sił specjalnych podczas wojny o Falklandy. Ludzie z Delty taszczyli już te skrzynie od lat, ale nie zawsze byli z tego powodu szczęśliwi. Oficerowie skarżyli się, że zajmują one dużo miejsca na paletach i niejeden chciał się ich pozbyć. Marsh zauważył, że wśród oficerów, którzy interweniowali, aby zachować skrzynie, byli żołnierze z doświadczeniem na polu walki, tacy jak Garrison. Dziś potrzebowali ich po raz pierwszy.

Marsh kręcił się po centrum operacyjnym od momentu, kiedy podczas dzisiejszej akcji pojawiły się problemy. Garrison z początku żuł niezapalone cygaro, słuchając i obserwując przebieg misji z końca pokoju. Nie chciał w nic ingerować. Niektórzy wyżsi dowódcy lubili decydować niemalże o każdym pojedynczym strzale, ale Garrison miał inne zwyczaje. Po rozlokowaniu w obecnej bazie wygłosił krótkie przemówienie, podczas którego oznajmił, że po raz pierwszy w swojej karierze powierzono mu dowództwo nad żołnierzami, którzy tego nie potrzebują. Uważał, że jego podwładni doskonale wiedzą, co mają robić. Powiedział im, że jego

zadaniem jest zapewnienie im wsparcia i niewchodzenie w drogę. Kiedy jednak sytuacja zaczęła się komplikować, Garrison przeniósł się bliżej ekranów.

Marsh musiał wyjść z centrum dowodzenia, aby zająć się szeregowym Blackburnem, który na szczęście nie skręcił karku, wypadając z helikoptera, jak się tego obawiał sanitariusz. Młody rangers miał uraz głowy i szyi oraz kilka złamanych kości. Marsh właśnie się nim zajmował, kiedy otrzymał wiadomość, że na terenie miasta rozbił się black hawk. Wrócił do centrum operacyjnego, aby zobaczyć to na ekranach. W środku panowała wrzawa, zdenerwowani dowódcy wpatrywali się w monitory. Garrison był w pełni zaangażowany w działania w mieście. Wszystko działo się w zawrotnym tempie.

Postawiono na nogi pracowników szpitala polowego przy ambasadzie amerykańskiej, aby byli gotowi na przyjęcie rannych. Dowódcy zastanawiali się, czy nie wysłać ludzi od razu tam, ale ostatecznie doszli do wniosku, że lepiej ich najpierw opatrzyć w namiocie Marsha. Major był już przygotowany. Miał dwóch chirurgów, pielęgniarkę anestezjologiczną i dwóch asystentów lekarzy. Pielęgniarki z przylegającego do bazy polowego punktu opieki medycznej także zgłosiły chęć pomocy. Przed namiotem wyznaczono miejsce selekcji rannych. Osoby wymagające natychmiastowego opatrzenia miały być bezzwłocznie wnoszone do środka. Żołnierze lekko ranni mieli czekać z tyłu, poza namiotem. Natomiast umierającym, którym nie można było już pomóc, wyznaczono osobne miejsce przy sanitarce, z dala od innych rannych. Marsh zarządził, że zmarli będą umieszczani w ambulansie jednostki. W środku było chłodno, więc zwłoki nie były wystawione na działanie promieni słonecznych. Poza tym nie leżałyby na widoku. W środku czekało już jedno ciało – Pilli.

Kiedy konwój przybył do bazy, przedstawiał widok przypominający scenę z jakiegoś makabrycznego, średniowiecznego malowidła. W otwartych pięciotonowych ciężarówkach znajdowała się krwawiąca masa krzyczących i jęczących mężczyzn. Griz Martin siedział przy jednej ze ścian, trzymając w rękach własne wnętrzności. Miał połamane nogi i był półprzytomny. W większości przypadków w trakcie walki nie było nawet czasu na zabandażowanie ran. Marsh miał tylko kilka sekund na ocenę stanu rannych żołnierzy zabieranych na noszach z samochodów. Szeregowy Adalberto Rodriguez, który nie tylko był ofiarą wybuchu, ale też najechała na niego ciężarówka, został zabrany do namiotu. Sierżant Delty, któremu odstrzelono lewą łydkę, czekał z tyłu. Do środka zabrano też sierżanta Ruiza z ziejącą raną w klatce piersiowej. Niektórzy ranni rangersi były oszołomieni. Chodzili po miejscu, gdzie segregowano rannych, i bełkotali coś ze złością. Marsh zauważył, że nadal mieli przy sobie broń. Poprosił kapelana, aby się nimi zajął.

Sanitariusz Delty sierżant Don Hutchinson zapytał Marsha o Griza. Hutch i Griz trzymali się blisko.

– Źle z nim.

Kilku innych operatorów Delty przyszło, aby towarzyszyć półprzytomnemu Grizowi. Marsh ocenił, że jego obrażenia są śmiertelne. Praktycznie brakowało mu środkowego odcinka ciała, a kiedy Marsh próbował go odwrócić, zobaczył, że brakuje mu tylnej części miednicy. Griz znajdował się pomiędzy trzecią a czwartą fazą wstrząsu. Jego skóra przybrała ziemistoblady odcień. Co oczywiste, stracił ogromną ilość krwi. Niewiarygodne, że wciąż żył. Co prawda był ledwie przytomny, ale kiedy lekarz chwycił jego dłoń, Griz uścisnął ją niezwykle

silnie, mocniej niż ktokolwiek uścisnął w przeszłości dłoń Marsha. Powinien zakwalifikować go do umierających i wysłać w okolice sanitarki, ale ponieważ żołnierze z całej jednostki naciskali na niego, prosząc, żeby coś zrobił, Marsh przystąpił do udzielenia pomocy rannemu. Miał pewność, że to nie ma sensu, jednak kumple Griza nalegali, aby mu pomógł.

Marsh wysłał do namiotu także szeregowego Kowalewskiego, kierowcę rangersów, w którego tułowiu znajdował się niewybuch granatu przeciwpancernego. Zdumiewające było to, że ranny wciąż przejawiał oznaki życia. W środku kapitan Bruce Adams, chirurg ogólny, zbadał okaleczone ciało żołnierza i był zszokowany tym, co zobaczył. Brakowało lewej ręki, która, ku przerażeniu pielęgniarki, znalazła się w kieszeni spodni – tam, gdzie włożył ją wcześniej specjalista Hand. Podczas gdy Adams starał się przywrócić oddech Kowalewskiego, pielęgniarka zdejmowała z rannego ubranie. Znaleźli ranę wlotową na boku klatki piersiowej, a kiedy Adams podniósł płat skóry pod prawą pachą, zobaczyli smukły koniec przedniej części granatu[223].

Marsh przyszedł, by szybko jeszcze raz ocenić stan żołnierza, i zwrócił się do Adamsa:

– Ten człowiek jest umierający. Nie trać na niego więcej czasu.

Sierżant Randy Rymes, specjalista od uzbrojenia, został wyznaczony do wyniesienia bliskiego śmierci żołnierza na tyły. Rymes zauważył, że w piersi Kowalewskiego znajduje się niewypał – kumpel stał się żywą bombą. Detonator znajdował się na samym koniuszku, tuż pod prawą ręką rannego. Zamiast więc umieścić go w pobliżu sanitarki, Rymes razem z innym żołnierzem zbudowali prowizoryczny bunkier z worków piasku i umieścili Kowalewskiego w środku. Następnie Rymes położył się na brzuchu przy utworzonej osłonie, sięgnął pod pachę rannego i delikatnie usunął końcówkę granatu.

W tym samym czasie dowódcy w centrum operacyjnym z przerażeniem obserwowali, jak triumfujący Somalijczycy zajmują miejsce katastrofy drugiego śmigłowca Duranta. Cały czas odbierali gorączkowe wezwania o przesłanie helikoptera w celu ewakuacji Smitha i Carlosa Rodrigueza z okolic pierwszego wraku. W mieście utknęło dziewięćdziesięciu dziewięciu żołnierzy i żadne siły nie spieszyły im na odsiecz. Wiedzieli, że wysłanie następnego black hawka, który miałby zabrać dwóch ciężko rannych rangersów, byłoby lekkomyślne. Okolica była pod silniejszym ostrzałem, niż jakakolwiek inna dzielnica Mogadiszu, a Somalijczykom udało się zestrzelić już cztery śmigłowce. Niektórzy piloci Garrisona byli gotowi spróbować szczęścia, jednak ryzykowanie życia wielu ludzi w celu uratowania dwóch nie miało sensu.

Aż do dzisiejszego dnia naiwnie wierzyli, że somalijski watażka, Aidid, nie ma poparcia wśród ludności. Tymczasem dzisiejsza walka zmieniła się w powszechne powstanie. Wydawało się, że każdy mieszkaniec miasta nagle zapragnął zabić Amerykanów. Wszędzie stały płonące blokady uliczne. Widać było, że Aidid i członkowie jego klanu długo szykowali się na ten moment. W miejscu drugiej katastrofy widocznym na ekranie umieszczonym wysoko ponad głowami dowódców nie było śladu po Shugharcie, Gordonie, Durancie i załodze Super Six Two. Ściągały tu gęstniejące tłumy kłębiących się wokół wraku, wzburzonych „zdechlaków". Na chwilę zabłysnął promyk nadziei, kiedy śmigłowce rozpoznawcze w górze odebrały sygnał z nadajników naprowadzających, które znajdowały się w kombinezonach Duranta i drugiego pilota Raya Franka.

Wkrótce jednak okazało się, że nadajniki zostały zdarte z pilotów przez sprytną milicję Aidida. Somalijczycy nieśli kombinezony, klucząc ulicami miasta, aby zmylić radary pokładowe.

Nikt szczególnie nie martwił się żołnierzami znajdującymi się wokół pierwszego miejsca katastrofy. Było to dziewięćdziesięciu dziewięciu najtwardszych facetów na świecie – doskonale wytrenowanych, świetnie uzbrojonych i dobrych jak cholera. Zawładnęli tutejszą dzielnicą i nikt nie ich mógł wygonić, a już na pewno nie nieuzbrojone bandy z Mogadiszu[224].

Chyba że skończyłaby im się amunicja lub gdyby pokonało ich odwodnienie. Niedługo przed zmierzchem śmigłowiec dowodzenia i nadzoru zaczął wzywać pomoc:

– „Potrzebne nowe zapasy, płyn do kroplówki, amunicja i woda. Oczywiście trzeba je dostarczyć jak najszybciej. Chłopakom kończą się kule".

– „Romeo Six Four [Harrell], tu Adam Six Four [Garrison]. Czy mamy przesłać to wszystko śmigłowcem?".

– „Tak, jeśli to możliwe, załadujcie zapasy do śmigłowca i zawieźcie do wysuniętego na północ miejsca katastrofy. Kończy im się amunicja, worki z płynem do kroplówki i woda, odbiór".

Niewielu rangersów wzięło ze sobą napełnione manierki. Żołnierze od kilku godzin biegali i walczyli w nieznośnym upale. Jeśli mieli przetrwać noc, potrzeba było im czegoś więcej niż umiejętności i woli walki. Zatem Garrison zdecydował się wysłać następnego black hawka, mimo że groziło to pogorszeniem sytuacji. Załoga mogła zrzucić wodę, amunicję i artykuły medyczne, a gdyby okazało się to możliwe, wylądować i zabrać dwóch ciężko rannych rangersów. Prawie wszyscy oficerowie w centrum operacyjnym byli przekonani, że śmigłowiec zostanie zestrzelony w locie. Najprawdopodobniej będzie musiał lądować awaryjnie na Marehan Road. Tak czy inaczej, ludzie na ziemi dostaną amunicję i wodę.

Black hawk Super Six Six, pilotowany przez starszych chorążych sztabowych Stana Wooda i Gary'ego Fullera, obniżył lot nad szeroką, pogrążoną teraz w ciemnościach ulicą około godziny dziewiętnastej. Na cel nakierowały go lampy stroboskopowe na podczerwień umieszczone na południe od wraku. Kiedy helikopter zbliżał się do ziemi, wokół pozycji rangersów znów rozległy się wystrzały z broni maszynowej i świst granatów. Żołnierze na podwórzach oraz w domach byli przerażeni, słysząc, jak blisko ich pozycji słychać odgłosy wystrzałów. Czasami dobiegały one zza ściany. Podmuch wirnika helikoptera wzbił w powietrze kłębiącą się chmurę piasku.

Maszyna pozostała w zawisie około 30 sekund. Według sierżanta Howe'a trwało to dwadzieścia osiem sekund za długo. Kiedy black hawk z ogłuszającym rykiem zawisł nad kwartałem, Howe wstrzymał oddech w obawie, że śmigłowiec na nich spadnie. Sierżant Delty Alex Szigedi, który tego popołudnia przeżył jazdę w zagubionym konwoju, razem z innym operatorem uwijał się szybko, wyrzucając z tyłu śmigłowca torby z wodą, amunicją i workami z płynem infuzyjnym.[225] W stronę helikoptera leciały pociski. Jeden z nich trafił Szigediego w twarz. Kule zrobiły dziury w łopatkach wirnika i silniku, z którego zaczęły wyciekać różne

płyny. Inny przebił skrzynię biegów. Mimo wszystko Super Six Six nadal unosił się w powietrzu. Kiedy poderwał się w górę i odleciał, z budynków wypadli żołnierze, aby uzupełnić zapasy.

W centrum operacyjnym rozległ się spokojny głos Wooda:

– „Uzupełnianie zapasów zakończone".

Zdani na własne siły, uwięzieni w mieście żołnierze otrzymali środki, by przetrwać noc[226].

9

Walki trwały teraz głównie wokół trzech kwartałów dzielnicy mieszkalnej Mogadiszu. Na terenie kwartału położonego bezpośrednio na południe od miejsca katastrofy żołnierze zajęli pozycje w dwóch miejscach. Oddział poszukiwawczo-ratowniczy i grupa desantowa porucznika DiTomassa, Chalk Two (łącznie około trzydziestu trzech żołnierzy) przeszli przez mur uszkodzony wcześniej przez spadający Super Six One. Następnie zajęli sąsiadujące pomieszczenia oraz podwórza położone dalej na południe. Abdiaziz Ali Aden nadal pozostawał w ukryciu w pomieszczeniu na tyłach domu. Porucznik Perino poprowadził ludzi na podwórze w tym samym kwartale, korzystając z wejścia po wschodniej stronie Marehan Road. Razem z ośmioma innymi żołnierzami zgromadzili się w miejscu, gdzie sierżant Schmid nadal starał się uratować gasnące już powoli życie kaprala Smitha. Perino nadal nie był pewien, gdzie leży rozbity helikopter ani jak daleko znajduje się oddział DiTomassa, mimo że dzieliło ich zaledwie kilka metrów. Kapitan Miller wraz z grupą podlegających mu operatorów Delty oraz kilkoma rannymi rangersami przebywali na sprawdzonym wcześniej przez Howe'a podwórzu po zachodniej stronie Marehan Road. Dwudziestu pięciu ludzi Millera rozproszyło się, zajmując różne wychodzące na podwórze pomieszczenia. Trzeci zajęty przez Amerykanów kwartał znajdował się po tej samej stronie ulicy, co pozycja Perina, ale dzieliła go od niej szeroka droga. Schronili się tu wcześniej kapitan Steele i trzy oddziały Delty – utknęli tu, nie mogąc przedostać się do wraku.

Niezgrabne rozłożenie sił było kłopotliwe. Piloci śmigłowców Little Bird, którzy cały czas krążyli nad okolicą, by ostrzeliwać pozycje wroga, mieli problem z ustaleniem, gdzie znajdują się Amerykanie, a gdzie wrogowie. Podpułkownik Harrell połączył się przez radio z kapitanem Millerem:

– „Scotty, czy możecie skupić wszystkich na możliwie niewielkim obszarze? Kłopot polega na tym, że w tej chwili wszyscy są rozproszeni i ciężko jest nam określić cel. Zaznaczcie też swoje położenie. Musimy wiedzieć dokładnie, gdzie jesteście. Uda wam się to zrobić, odbiór?".

Miller wyjaśnił, że Steele nie był chętny do opuszczenia obecnej pozycji – on i oddziały Delty zostali uwięzieni na tym samym podwórzu z powodu ciężkiego ostrzału.

– „Zrozumiałem, wiem, że nie jest wam łatwo i robicie, co w waszej mocy, ale spróbujcie zebrać wszystkich w jednym miejscu, a potem wyznaczyć jedną osobę do kontaktu z dowództwem".

Miller przekazał polecenie dowódcom oddziałów osaczonych przez wroga w tym samym miejscu co Steele[227]. Następnie, tuż przed zmierzchem, nakazał sierżantowi Howe'owi przedostać się przez Marehan Road na podwórze naprzeciwko, co ułatwiłoby im kontrolę nad ulicą. Howe uważał, że to kiepski pomysł. Manewr ten nie umacniał wcale ich pozycji. Wcześniej kilkakrotnie był przed dłuższy czas na ulicy i miał już własny plan działania. Steele i pozostali żołnierze z najbardziej wysuniętego na południe końca litery L powinni dołączyć do reszty. Dzięki temu siły nie byłyby rozproszone i łatwiej byłoby im umocnić pozycję, a helikoptery Little Bird prowadziłyby ostrzał wokół jednego, wyraźnie określonego kwartału. Następnie mogliby utworzyć silne, zazębiające się pozycje ogniowe na każdym z kluczowych skrzyżowań – po obu stronach wraku i na południowym krańcu kwartału. Kiedy Howe rozglądał się wcześniej na zewnątrz, zauważył trzy budynki, które można by przejąć, dzięki czemu zwiększyłby się ich zasięg ostrzału. Jednopiętrowy dom na północno-zachodnim narożniku skrzyżowania położonego najbliżej ogona rozbitego śmigłowca mógłby zostać wykorzystany jako platforma strzelnicza, co umożliwiłoby zepchnięcie somalijskich snajperów kilka przecznic dalej na północ. Dla Howe'a taki scenariusz działań był oczywisty, więc dziwił się, że dowódcy jeszcze o tym nie pomyśleli. Zamiast tego (przynajmniej tak widział to Howe) pozostawali bierni wobec otaczającego ich wroga. Wpadli za nim na podwórze, po czym po prostu już tam zostali, podobnie jak Steele, który teraz skrył się na bezsensownej pozycji na południu. Podczas szkolenia, w jakim brał udział Howe, zawsze podkreślano, że przeżycie zależy od aktywności żołnierzy. Należało nie tylko umacniać pozycję, ale też przeć naprzód i walczyć o lepsze położenie.

Howe wiedział jednak, że nie ma sensu się kłócić. On i trzej żołnierze z jego oddziału przebiegli przez ulicę dwójkami, wpadli przez drzwi wejściowe do dwuizbowego domu naprzeciwko i upewnili się, że nie czai się tam żaden nieprzyjaciel. Dom był pusty. Przez zakratowane okno z tyłu Howe zobaczył oddział Perina. Jeden z ludzi Howe'a wyrwał kraty i zwyczajnie przebił lichą, kamienną ścianę, tym samym robiąc przejście na podwórze. Perino i Schmid przypięli do prowizorycznych noszy umierającego kaprala Smitha, a potem podali go przez okno znajdującym się w środku żołnierzom. Tutaj byli osłonięci od granatów, które Somalijczycy przerzucali przez mury.

Howe uważał jednak, że jego pozycja jest do chrzanu. Stojąc w drzwiach, widział tylko rogi ulic po północnej i południowej stronie. Nie dość, że nie mógł zwiększyć zasięgu ostrzału, to jeszcze jego widoczność była ograniczona do około dwudziestu metrów w obu kierunkach!

Słuchając wykrzykiwanych przez radio pytań i rozkazów, Howe miał wrażenie, że niektórzy z dowodzących są zagubieni. Zbyt wiele się działo. Ich twarze mówiły mu, że są przeciążeni napływającymi zewsząd informacjami; można było niemal wyobrazić sobie mgłę przesuwającą się przed ich oczami. Po prostu zamknęli się w sobie i stali się zupełnie bierni.

Na przykład osławieni rangersi. Niektórzy z nich nadal walczyli na ulicy, ale nikt nie powiedział im, co mają robić, a z pewnością nie mieli o tym pojęcia. Reszta zaszyła się w pomieszczeniach na tyłach domu razem z ich dowódcą kapitanem Steele'em i czekała na rozwój wydarzeń. Howe przypuszczał, że ukrywa się tam więcej niż dwa tuziny zdolnych do walki żołnierzy, którzy dysponują kilkoma ciężkimi karabinami

maszynowymi. Co, do diabła, oni tam robili? Howe, Miller i dowódcy w powietrzu zgadzali się w jednej kwestii; Steele i jego rangersi powinni zebrać rannych i przenieść się pięćdziesiąt pieprzonych metrów w dół ulicy, aby połączyć się z innymi i przystąpić do walki! Steele jednak ani drgnął. Jak gdyby rangersi uważali, że chłopaki z Delty są starszymi braćmi, przy których nic im się nie stanie.

Kiedy na niebie pojawił się księżyc, strzelanina nieco ucichła. Księżycowa poświata rzucała na ulicę delikatne cienie. Pociski smugowe i rakiety wystrzeliwane ze śmigłowców Little Bird rozświetlały niebo, a serie z działek pokładowych uderzały o metalowe dachy, wydając taki dźwięk, jakby ktoś stukał w puste metalowe wiadro. Na ulicy wciąż leżały ciała Somalijczyków. Howe zauważył, że „chuchraki" wyjątkowo dobrze radziły sobie ze zbieraniem z drogi zabitych i rannych. Zwłoki nie pozostawały długo na drodze z wyjątkiem tych, które leżały na samym jej środku. Tak samo było z bronią. Leżące na ulicy karabiny, o ile nie zostały zniszczone, szybko znikały. Howe, chcąc nie chcąc, czuł podziw dla umiejętności Somalijczyków; byli przebiegłymi ulicznymi wojownikami wykazującymi się dużym zdyscyplinowaniem, którzy brak zaawansowanej technologicznie broni nadrabiali zaangażowaniem. Świetnie potrafili się też kryć. Kiedy strzelali, widać było tylko głowę strzelca i lufę. Po zapadnięciu ciemności amatorzy poszli do domów; ogień osłabł, ale strzały były bardziej celne.

Niedługo po wschodzie księżyca Howe'a przestraszyły głosy dobiegające zza rogu ulicy położonego na północ od bramy. W pobliżu tego miejsca zostali wcześniej zranieni Stebbins i Heard. Na początku pomyślał, że to rangersi. Kto inny byłby na tyle głupi, żeby rozmawiać głośno na ulicy? Ale na zewnątrz nie było już żadnych rangersów. Wyciągnął zatyczkę z ucha i natężył słuch. Głosy pochodziły od dyskutujących Somalijczyków. Prawdopodobnie wszechogarniający hałas eksplozji ogłuszył ich wcześniej i nie zdawali sobie sprawy, jak głośno rozmawiają. Czasami żołnierze potrzebowali aż dwóch dni, aby odzyskać w pełni słuch po bitwie. Kiedy Somalijczycy okrążali róg, jeden z operatorów Delty z przeciwnej strony ulicy puścił snop białego światła na pierwszego z nich. Człowiek wytrzeszczył oczy szeroko, wyglądał jak wystraszony szop w kuble na śmieci. Karabin Howe'a stał oparty o futrynę drzwi. Wymierzył więc do drugiego Somalijczyka i otworzył ogień z broni automatycznej, płynnym ruchem kierując ogień w stronę trzeciego. Wszyscy trzej padli na ziemię. Dwóch mężczyzn z trudem podniosło się na nogi i uciekło za róg, ciągnąc za sobą trzeciego.

Howe i pozostali operatorzy pozwolili im odejść. Nie chcieli ujawnić swoich pozycji kolejnymi błyskami z luf. Howe ponownie przeklinał w duchu pociski kaliber 5,56 milimetra. Jeśli powalał ludzi na ziemię, to chciał, aby na niej pozostali[228].

10

Kiedy Steele i jego ludzie wpadli na podwórze, wokół panował niesamowity harmider. Hałas był nie do zniesienia: wybuchy granatów, wystrzały, ryk helikopterów i głosy z urządzeń radiowych mieszały się z krzykami, płaczem, jękami i nawoływaniem żołnierzy. W dodatku wielu usiłowało przekrzyczeć gwar, a każdy

uważał, że jego problem jest pilniejszy od innych. W powietrzu unosił się dym, proch oraz kurz. Z rozszarpanej prawej nogi nieszczęsnego, wyjącego z bólu porucznika Lechnera płynęła rzeka krwi.

Podwórze było długie na mniej więcej pięć metrów i szerokie na sześć. Na prawo od wejścia znajdowały się dwa pomieszczenia, a kolejne dwa po lewej stronie. Z tyłu był kryty dachem ganek oddzielony od otwartej przestrzeni pośrodku kwartału ozdobną, betonową kratownicą. Pierwsze pomieszczenie po lewej było po brzegi wypełnione oponami. W drugim po prawej zatrzymano mieszkającą tam somalijską rodzinę. Zostali przeszukani, skuci plastikowymi kajdankami, po czym posadzono ich w kącie. Z tyłu, za betonowym przepierzeniem Steele umieścił pięciu rannych żołnierzy; dwaj z nich, Goodale i Lechner, nie mogli chodzić. Sanitariusze zajmowali się Lechnerem. Z siłami Steele'a wymieszały się trzy oddziały Delty. Żaden z nich nie podlegał kapitanowi, co jeszcze bardziej gmatwało sytuację[229].

W pewnym momencie operatorzy zaczęli rozważać postawienie ciężkiego karabinu maszynowego na ulicy, zaraz przy wyjściu z podwórza. Żaden z nich go jednak nie posiadał. Specjalista Collett niespokojnie słuchał ich dyskusji. Jako strzelec M249 i jedyna osoba obsługująca karabin maszynowy, która nie została jeszcze ranna, Collett wiedział, że jeśli ktokolwiek zostanie wysłany na zewnątrz, będzie to on. Ponad godzinę spędził przyczajony za kamieniem pośrodku Marehan Road, a teraz, kiedy w końcu znalazł się w bezpiecznym miejscu, powrót na pole walki był ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Wyszedłby, gdyby mu kazali, niemniej na myśl o powrocie na ulicę poczuł strach.

– Nikogo nie poślę na zewnątrz – powiedział im Steele.

Collett odetchnął z ulgą[230].

Steele krzyknął do jednego ze swoich sierżantów, Seana Watsona, aby sprawdził, czy w domu znajdują się jakieś tylne drzwi. Biorąc pod uwagę liczbę pocisków wystrzeliwanych na ulicy, bezpieczniej by było, aby potem opuścili to miejsce inną drogą. Watson poinformował go, że nie ma tylnych drzwi[231].

Miał łączność radiową z porucznikami Perinem i DiTomassem, ale nie był pewien, jak daleko od niego znajdują się ich oddziały. DiTomasso przez kilka minut podawał kapitanowi przez radio dane dotyczące jego pozycji, ale ponieważ obaj nadeszli z innych kierunków i żaden z nich nie znał okolicy, rozmowa ta na nic się nie zdała. Steele czuł się, jak podczas zabawy w dziecięcą grę, w której kilka osób odwraca się tyłem do tablicy i rysuje obrazek zgodnie ze wskazówkami nauczyciela. Zabawa polega na tym, że każdy z rysunków okazuje się zupełnie inny. Steele był w rzeczywistości nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od Perina, którego od DiTomassa dzieliła tylko mniej więcej dwudziestocentymetrowa, wewnętrzna ściana. Równie dobrze jednak mogłyby dzielić ich całe kilometry.

Steele z desperacją starał się dociec, gdzie są wszyscy jego ludzie. Obawiał się, że być może jeden lub kilku z nich zgubiło się w tym zamieszaniu i pozostało z tyłu. Zupełnie zaginął ślad po sierżancie Eversmannie i grupie desantowej Chalk Four. Ostatnio, kiedy miał z nimi kontakt, rozkazał im biec pieszo na miejsce katastrofy. Nie miał pojęcia, że po drodze zabrały ich pojazdy z konwoju ani że przeszli przez piekło, zanim

udało im się wrócić do bazy, gdzie się teraz znajdowali. Perino i DiTomasso poinformowali go, którzy żołnierze są z nimi, dodatkowo Perino widział Rodrigueza i Borena zabieranych do punktu zbiórki rannych po drugiej stronie Marehan Road. Ale gdzie byli Stebbins i Heard? Steele nie miał bezpośredniego połączenia radiowego z kapitanem Millerem, więc poprosił o przekazanie informacji za pośrednictwem śmigłowca dowodzenia i nadzoru.

– „Kilo Six Four [Miller], tu Romeo Six Four [Harrell]. Steele prosi o informacje na temat rangersów Stebbinsa i Hearda. Podejrzewa, że są z wami. Czy możesz to potwierdzić, odbiór?".

Po chwili Harrell znów połączył się ze Steele'em:

– „Juliet, mam odpowiedź twierdzącą. Obydwaj rangersi są z nimi, odbiór"[232].

To była dobra wiadomość. Nikt jednak nie miał pojęcia, gdzie zawieruszyła się grupa Eversmanna. Steele właśnie zastanawiał się nad następnym posunięciem, kiedy połączył się z nim Perino w sprawie Smitha. Kapitan wiedział, że prośba o sprowadzenie helikoptera nie ma sensu, ale nie chciał odmawiać porucznikowi, który był cały we krwi Smitha i patrzył, jak jego życie gaśnie.

– Poproszę o helikopter, ale myślę, że będzie strasznie ciężko go tu sprowadzić.

– Na zewnątrz jest naprawdę duże skrzyżowanie, na którym mogliby wylądować.

Steele połączył się z siecią dowództwa.

– „Romeo Six Four, tu Juliet Six Four. Jeden z rannych wymaga natychmiastowej ewakuacji, jego stan jest krytyczny, może umrzeć".

Odpowiedź nadeszła kilka minut później.

– „Zrozumiałem. Naciskamy na siły szybkiego reagowania, aby pojawiły się tam jak najszybciej. Wątpię, żebyśmy mogli wysłać tam śmigłowiec, który zabierze rannego, odbiór".

Sanitariusz Kurt Schmid przekazał prośbę o dostarczenie krwi, podając grupę Smitha z jego identyfikatora. Po tym, jak black hawk dostarczył zapasy i odleciał, Schmid podszedł do dowódcy Delty, Paula Howe'a i zapytał:

– Przysłali krew?

– Nie – odpowiedział Howe.

Schmid doszedł do wniosku, że zapasy krwi musiały zostać uszczuplone po tym, jak do bazy dotarli ranni z zagubionego konwoju. Wcześniej słyszał przez radio, że lekarze w bazie pobierają krew od dawców, aby sprostać nagłemu zapotrzebowaniu.

Wciąż starał się pomóc Smithowi, chociaż jego wysiłki wydawały się już nie mieć sensu. Na jego prośbę Perino i inni żołnierze na zmianę uciskali podbrzusze Smitha, aby zapewnić nacisk na jego tętnicę

udową. Sanitariusz w końcu ustąpił i podał Smithowi kroplówkę z morfiną. Krzyki kaprala ucichły. Wciąż był przytomny, ale jego twarz była blada i nieobecna. Zaczął przygotowywać się na moment śmierci. Perino zauważył, że chociaż Smith był teraz cichy i słaby, wciąż pozostało mu tyle świadomości, aby się bać. Opowiadał o swojej rodzinie. Ojciec, także rangers, służył w Wietnamie, gdzie podczas walki stracił nogę. Młodszy brat Mike także zamierzał zaciągnąć się do wojska i wstąpić do szkoły rangersów. Podobnie było z bratem bliźniakiem Mike'a – Mattem. Dorastając, Jamie nie pragnął niczego innego. Kiedy chodził do szkoły średniej w New Jersey, radził sobie akurat na tyle dobrze, aby przejść z klasy do klasy i otrzymać dyplom na zakończenie nauki. Poza tym jeszcze w szkole grał w futbol i lacrosse[233]. Nie interesowały go książki ani nauka – wiedział, co chce robić w życiu i nic nie mogło go od tego odwieść. Nawet przerażające opowieści ojca Jamesa seniora, który starał się go przestraszyć, opowiadając ze szczegółami o okropieństwach, jakie widział i jakich doświadczył w Wietnamie. Trzy lata wcześniej podczas szkolenia podstawowego Smith napisał do ojca: „Dzisiaj, wracając z lunchu, zobaczyłem na terenie kompanii dwóch rangersów. Moim marzeniem, tym, co najbardziej mnie kręci, jest być jednym z tych żołnierzy w wyblakłych mundurach maskujących i czarnych beretach".

Smith poprosił sanitariusza, aby pożegnał od niego rodziców i resztę rodziny, mówiąc, że myślał o nich w chwili śmierci oraz że ich kochał. Modlili się.

– Trzymaj się – powiedział Schmid do umierającego kaprala. – Czynimy starania, aby cię stąd zabrać. Robię wszystko, co w mojej mocy.

Z dala od Smitha sanitariusz wciąż naglił Perina:

– Potrzebujemy pomocy, on tego nie przeżyje.

Ale co znaczyła jedna paląca potrzeba w obliczu piekła, jakie panowało dokoła? W dostarczonych zapasach znajdowały się worki z płynem infuzyjnym, więc Schmid wpompował kilka z nich w Smitha. Chłopak stracił już jednak zbyt wiele krwi. Potrzebował opieki lekarskiej w szpitalu. O ile w ogóle można jeszcze było mu pomóc. Ledwie trzymał się przy życiu[234].

Kiedy na niebie pojawił się księżyc, Steele pluł sobie w brodę, że kazał swoim ludziom zostawić w bazie noktowizory. Ten jeden raz nieelastyczny, sztywno trzymający się reguł robot-rangers postanowił pozwolić na odstąpienie od przepisów z oczywistej, jakby się mogło wydawać, przyczyny. A teraz musieli walczyć o życie w ciemnościach, pozbawieni technologicznego wynalazku, który dawałby im znaczącą przewagę nad wrogiem. Czy istniał bardziej namacalny przykład tego, dlaczego należy trzymać się procedury[235]?

Pozostawienie noktowizorów w bazie wydawało się tak naturalne, że sierżant Goodale wyśmiał nawet szeregowego Jeffa Younga, który zapytał go o przyczynę tego zarządzenia, kiedy przygotowywali się do wyjazdu:

– Young, zastanów się. Która godzina?

– Około trzeciej.

– Ile trwały nasze poprzednie misje?

– Około dwóch godzin.

– Czy o piątej jest jeszcze widno?

– Tak.

– Więc po co chcesz brać noktowizor?[236]

Steele czuł się zażenowany głupotą własnej decyzji. Za godzinę lub dwie będzie ciemno jak w dupie. Szybko sprawdził jeszcze, czy na pewno żaden ze zgromadzonych na podwórzu żołnierzy nie ma ze sobą noktowizora. Nikt nie miał. Za półotwartą, metalową bramą prowadzącą na ulicę wydawało się ciemno jak w jaskini. Stojąc w drugim pomieszczeniu na północno-wschodnim krańcu podwórza (prawdopodobnie służącym za kuchnię), Steele widział, jak światło księżyca odbija się od wystawionych przed drzwi luf, nadając im niebieskawy odcień. Wywołał każdego z czuwających żołnierzy pojedynczo, aby upewnić się, że nie przysnęli[237].

Miller nie był pewien, co się dzieje na kwartale kawałek dalej. Kiedy po raz pierwszy poprosił Steele'a, by razem z pozostałymi przeniósł się o przecznicę bliżej, Steele nie zgodził się, nie chciał też rozmawiać bezpośrednio z Millerem, korzystając z zestawu słuchawkowego operatora Delty. Na stanowisku dowodzenia Delty nie było wiadomo, co jest nie tak ze Steele'em. Martwili się, że być może kapitan został ranny. Wcześniej kapitan rangersów zgłosił przez radio, że trafiono jednego z dowódców, ale nikt nie miał pewności, czy miał na myśli siebie (tymczasem Steele mówił o Lechnerze). Miller przekazał prośbę do Steele'a, aby ten przerzucił część wojska bliżej nich. Jeśli nie chciał pokonywać skrzyżowania, być może mógłby przynajmniej dotrzeć na róg budynku przy ich kwartale, gdzie jego ludzie mogliby osłaniać południowe skrzyżowanie[238]. Dowódca rangersów słyszał ponaglenia ze śmigłowca dowodzenia, aby skonsolidować siły na mniejszym obszarze i dzięki temu ułatwić ostrzał helikopterom Little Bird. Myśl o wyjściu ze względnie bezpiecznego, umocnionego podwórza z powrotem na ulicę wydawała się przerażająca. Niemniej po prośbie przełożonych ze śmigłowca dowodzenia Smith zgodził się.

Połączył się przez radio z Perinem i poprosił o wyrzucenie niebieskiego świetlika na ulicę przed wejściem na zajmowane podwórze.

– Przyjąłem, gotowe – odpowiedział porucznik.

Steele wyjrzał na chwilę na ulicę i zdziwił się, jak blisko znajdowało się światło. Wystarczyło pobiec mały kawałek w górę ulicy.

Połączył się znów przez radio z Harrellem:

– W porządku. Hooah.

Następnie podszedł do sierżanta Watsona i polecił mu przygotować się do manewru. Watson kategorycznie odmówił:

– Nie, nie, kapitanie – zaprzeczył. – Nie ma mowy.

Watson uważał, że sam pomysł jest szaleństwem. Możliwe że w momencie, gdy przestąpią próg, posypie się na nich grad kul i granatów. Mieli pięciu rannych, a dwóch z nich (Lechnera i Goodale'a) trzeba było nieść. Ponieważ musieli poruszać się szybko, do każdych noszy potrzebnych było czterech ludzi. Każda grupka stanowiłaby doskonały cel dla somalijskich snajperów. Co było nie tak z ich obecną pozycją? Strzelanina ucichła, a jeśli będą chcieli zająć kolejne podwórze, znów rozpęta się piekło. Jeżeli zostaną tu, gdzie są, kontrolowany przez nich obszar będzie większy. Po co więc się ruszać?

Rangersi z niepokojem przysłuchiwali się dyskusji. Każdy z nich był po stronie Watsona. Szeregowy Floyd pomyślał, że Steele chyba zwariował, skoro przyszło mu do głowy ruszanie się gdzieś. Oczywiście Goodale także nie czuł entuzjazmu na myśl o wycieczce na noszach. Zmiana pozycji była niepotrzebna i niebezpieczna. Po co mieli prosić się o kłopoty, skoro mieli ich już w nadmiarze? Steele nabrał głęboko powietrza i zastanowił się jeszcze raz.

– Myślę, że masz rację – przyznał Watsonowi.

Krótko naradził się z operatorami Delty na podwórzu, a potem połączył się z Harrellem.

– W tej chwili nie jesteśmy w stanie się ruszyć, choćby ze względu na rannych[239].

Wiadomość ta zdenerwowała kapitana Millera. Nikt nie wyjaśnił im, kto ma dowodzić ludźmi na ziemi. Gdyby część żołnierzy Steele'a przeniosła się na kraniec kwartału, łatwiej byłoby im osłaniać szeroką drogę, jaka dzieliła ich od reszty sił. Harrell odmówił wydania takiego rozkazu Steele'owi:

– „Jeśli będziecie podzieleni, nie będę mógł was wspierać – powiedział do Steele'a. – Ale to ty jesteś na ziemi i sam musisz podjąć decyzję".

Steele podjął decyzję i na tym stanęło. Kiedy jeden z operatorów ponownie chciał pożyczyć kapitanowi zestaw słuchawkowy, aby porozmawiał z Millerem bezpośrednio, ale ten tylko machnął ręką. Zatem dwie grupy utknęły na swoich pozycjach, a ich dowódcy nie rozmawiali ze sobą.

Skoro Steele nie zamierzał się ruszyć, Miller postanowił przynajmniej przerzucić własnych ludzi. Kiedy ludzie z Delty zaczęli przygotowywać się do opuszczenia dziedzińca, Steele wkurzył się. Po ich wyjściu liczba zdolnych do walki żołnierzy na jego pozycji zmniejszy się o ponad połowę. Czuł, że to głupie i przypuszczał, że poprzez ten ruch Miller chciał powiedzieć: „Pieprz się" do Steele'a i jego żołnierzy. Nie zrobił jednak nic, aby go powstrzymać.

Operatorzy ustawili się na podwórzu w szeregu. Kiedy pierwsza, czteroosobowa grupa wybiegła w noc, cała okolica ożyła. Hałas był taki, jakby całe Mogadiszu nagle z wściekłością zerwało się na nogi. W ciągu kilku sekund czterech chłopaków z Delty wpadło równocześnie z powrotem na podwórze, potykając się o ten sam metalowy próg, o który wcześniej zahaczył Steele. Przewrócili się na ziemię, tworząc bezładną masę. Ich lufy stukały o siebie, kiedy próbowali się wyplątać jeden z drugiego.

Czując ulgę, że nikt nie został ranny, Steele patrzył na nich z umiarkowaną satysfakcją:[240]

– „Kapitanie, musimy zabrać stąd Smitha, jego stan pogarsza się". – Perino po raz kolejny połączył się z nim przez radio.

– Zrozumiałem – odparł Steele.

Choć wiedział, że wzywanie pomocy nie ma sensu, czując spoczywającą na nim odpowiedzialność za Smitha, postanowił przynajmniej spróbować. Jeszcze raz połączył się z siecią dowodzenia. Zadzwonił do Harrella:

– Romeo Six Four, tu Juliet Six Four. Mam tu umierającego. Bezpośrednio na zewnątrz znajduje się duże skrzyżowanie, odpowiednie do lądowania.

– „Czy możecie je oznaczyć? Zmieści się na nim black hawk?".

Steele odpowiedział twierdząco. Przez kilka chwil czekał na decyzję. Kiedy znów usłyszał głos Harrella, brzmiała w nim nutka irytacji:

– „Wysłaliśmy tam wcześniej black hawka z zapasami, który został uszkodzony i nie nadaje się do użytku. Myślę, że jeśli poleci tam jeszcze jeden MH [MH-60, black hawk], zostanie zestrzelony, odbiór".

– Tu Juliet Six Four, zrozumiałem. Jaki jest przewidywany czas przyjazdu opancerzonych wozów?

Przez kilka minut nikt nie odpowiadał. Steele połączył się sam, choć wiedział, że może za bardzo naciska.

– Romeo, tu Juliet.

– „Słucham".

– Czy znacie przewidywany czas przyjazdu pojazdów?

– „Pracuję nad tym, czekaj".

Tym razem irytacja Harrella była wyraźnie słyszalna.

Potem Steele usłyszał Harrella, który rozmawiał z centrum operacyjnym.

– „Mamy tu dwóch ciężko rannych chłopaków [stan Carlosa Rodrigueza także był krytyczny], którzy umrą, jeśli nie zostaną ewakuowani. Uważam, że wysłanie śmigłowca jest zbyt niebezpieczne. Czy możecie podać przewidywany czas przyjazdu naziemnych sił szybkiego reagowania, odbiór?".

A kilka minut później:

– „Jeśli siły szybkiego reagowania nie dotrą tam wkrótce, liczba poległych w akcji będzie większa od otrzymanej wcześniej liczby rannych w akcji. Przekaż jednej gwiazdce [generał brygady Greg Gile, dowódca 10. Dywizji Górskiej], że jego ludzie mają się pospieszyć!"[241].

Mimo ciężkiej sytuacji Smitha i Rodrigueza z perspektywy dowódców wysyłanie ludzi w sam środek walki nie miało sensu. Wszędzie znajdowały się blokady uliczne oraz zastawione przez nieprzyjaciela pułapki, z powodu których musiały zawrócić wysłane wcześniej konwoje. Dowódcy byli pewni, że następny także nie będzie miał szans. Trzeba było posłać znaczne siły, setki mężczyzn z jadącymi na czele czołgami Pakistańczyków i transporterami opancerzonymi Malezyjczyków. Zebranie i zorganizowanie takich sił wymagało czasu. Harrell usłyszał, że pojazdy wyruszą najszybciej za godzinę (w rzeczywistości wyjechały za trzy)[242]. Przekazał tę informację:

– „Wjadą do miasta za około godzinę. Choć nie sądzę, żeby w godzinę zdołali do was dotrzeć".

Steele powiedział, że godzina to za długo. Matthews wyjaśnił:

– „Przyjąłem. Chciałbym posłać tam helikopter, ale boję się, że jeśli to zrobię, będziemy mieli na ziemi kolejną maszynę, odbiór".

Nikt nie chciał spisać na straty dwóch młodych żołnierzy. W centrum operacyjnym generałowie jeszcze raz rozważali możliwość posłania śmigłowca, który zabrałby Smitha i Rodrigueza. Piloci byli gotowi na podjęcie ryzyka[243]. Ponownie zapytano Millera i Steele'a, czy są w stanie odpowiednio zabezpieczyć strefę lądowania, aby black hawk mógł wylądować i odlecieć bezpiecznie. Perino skonsultował to z sierżantem Howe'em, który powiedział, że śmigłowiec może wylądować, ale na pewno nie uda mu się odlecieć.

Zapytano też o zdanie kapitana Millera na stanowisku dowodzenia Delty:

– „Chętnie spróbujemy zabezpieczyć strefę lądowania, ale granaty przeciwpancerne latają wszędzie. Naprawdę ciężko będzie wylądować, a potem bezpiecznie odlecieć. Obawiam się, że to się zakończy utratą kolejnego śmigłowca".

Harrell przekazał pesymistyczne rokowania:

– „Musicie robić, co w waszej mocy, by utrzymać przy życiu tych dwóch rannych. Pozostaje nam tylko trzymać kciuki, aby siły szybkiego reagowania dotarły na czas".

Steele ze smutkiem przekazał tę wieść Perinowi:

– Po prostu jest zbyt niebezpiecznie – powiedział[244].

Wkrótce u Smitha zauważono objawy hiperwentylacji, a następnie zatrzymanie akcji serca. Sanitariusz Schmid rozpoczął intensywną akcję reanimacyjną. Zastosował sztuczne oddychanie i masaż serca, a kiedy seria wdechów i ucisków nie przynosiła efektu, wstrzyknął bezpośrednio do serca rangersa lek pobudzający krążenie. Żaden z zabiegów resuscytacyjnych nie pomógł. Smith odszedł[245].

Harrell nadal naciskał dowódców, aby przysłali naziemne siły ratownicze.

– „Mamy tu żołnierzy, którzy umrą, jeśli ich stąd nie zabierzemy, a ja nie mogę wysłać śmigłowca, odbiór".

Około dwudziestej Perino połączył się znów ze Steele'em:

– „Kapitanie, ewakuacja już nie jest konieczna. Za późno".

Steele przekazał wiadomość przez sieć dowodzenia:

– „Jeden z ciężko rannych dołączył właśnie do poległych w walce"[246].

Sanitariusz Schmid był zdruzgotany śmiercią Smitha. Pod jego dłońmi kapral z całkowicie przytomnego, silnego rangersa skarżącego się: „Jestem ranny", zmienił się w trupa.

Schmid był głównym sanitariuszem na tej pozycji, a na jego pomoc czekało wielu żołnierzy, więc nie miał czasu na rozmyślania, ale obraz przedłużającej się agonii Smitha oraz jego śmierć nękały go później przez wiele lat. Wciąż wybrudzony krwią zmarłego, zabrał się do opatrywania innych. Czuł się wycieńczony, przygnębiony i pokonany. Czy to on zawinił? A może powinien był znaleźć dawcę i spróbować przeprowadzić transfuzję bezpośrednią na samym początku, kiedy jeszcze myślał, że pomoc nadejdzie lada chwila? Jeszcze raz prześledził w myślach każdą decyzję podjętą podczas opatrywania rany Smitha, ponownie rozpatrując każdy krok i obwiniając się za każdą czynność, która okazała się niepotrzebna lub przez którą stracił czas.

W końcu postanowił pogodzić się z tym, co się stało. Schmid był przekonany, że gdyby zabrano Smitha do bazy, kapral przeżyłby. Nie miał co do tego pewności, ale takie było jego wewnętrzne przeczucie[247].

Steele także czuł się wstrząśnięty wiadomością o tym, że Smith nie żyje. Jak dotąd nie wiedział nic o śmierci Pilli ani żołnierzy, którzy zginęli, jadąc w zagubionym konwoju: Cavace, Kowalewskim i Joysie. Widział, jak zastrzelili Fillmore'a, ale Smith należał do jego podwładnych. Po raz pierwszy stracił własnego żołnierza. Dla Steele'a wszyscy podwładni należeli do niego, a nie do armii czy pułku. Do niego. To on był odpowiedzialny za ich szkolenie, za dowodzenie nimi i utrzymanie ich przy życiu. A teraz będzie musiał wysłać jednego z nich do domu. Czyjś ukochany syn wróci w przystrojonej flagą trumnie. Poszedł poszukać sierżanta Watsona i cicho przekazał mu wiadomość. Obaj zdecydowali na razie nie mówić nic pozostałym[248].

* * *

Goodale był w wyjątkowo dobrym nastroju, jak na kogoś z dodatkową dziurą w tyłku. Chwalił się wszystkim naokoło przebitą przez pocisk manierką. Kula przeszła przez udo i wyleciała przez prawy pośladek, pozostawiając w nim brzydką ranę, która jednak nie była bolesna. Miejsce rany wylotowej wydawało się mało poważne. Kiedy na podwórze wpadł zadyszany Floyd, który został wezwany z ulicy razem z pozostałymi żołnierzami, i zobaczył sanitariusza pakującego gazę do rany Goodale'a, zażartował: „Lubisz od tyłu Goodale, co?". W tym samym pomieszczeniu znajdował się Errico, celowniczy karabinu maszynowego, który oberwał, kiedy strzelał do Somalijczyków. Pociski zraniły mu oba mięśnie dwugłowe ramienia. Poza tym był tu też Neathery, który dostał w ramię, po tym, jak przejął po Erricu miejsce przy karabinie. Neathery był zrozpaczony; kula uszkodziła mięsień zarówno dwugłowy, jak i trójgłowy, więc zupełnie nie mógł poruszyć prawą ręką.

Jeden z rannych żołnierzy płakał i powoli tracił nad sobą kontrolę:

– Zginiemy tu wszyscy! – powtarzał. – Nigdy nie wrócimy do domu.

– Zamknij się – uciszył go sierżant Randy Ramaglia. Żołnierz zamilkł.

W najgorszym stanie był Lechner, podłączony teraz do kroplówki z morfiną. Kiedy sierżant Ramaglia wszedł po raz pierwszy do tego pomieszczenia, pod nogami plusnęła ciepła ciecz – zdał sobie sprawę, że to krew Lechnera. W całym pokoju było czuć zapach krwi; silną, piżmową woń z nutką metalicznego aromatu przypominającego zapach miedzi – żaden z nich później go nie zapomniał.

W pewnym momencie pojawił się Watson, który szukał dodatkowej amunicji. Wykorzystali już połowę zabranych pocisków.

– Mam kilka błyskdymek, jeśli chcesz – odezwał się Goodale.

– Nie, Goodale. Nie chcę błyskdymek – odpowiedział Watson nieco szyderczym tonem. – Straszenie się skończyło. Zaczęło się zabijanie.

Podobnie jak pozostali Goodale denerwował się, że konwój z siłami ratunkowymi tak długo się nie pojawia. Zapytał Steele'a o przewidywany czas przybycia konwoju, a kapitan podał mu go. Kiedy jednak pojazdy nie pojawiły się, Goodale zapytał znowu, a Steele podał mu kolejną spodziewaną godzinę ich przybycia. Ta jednak także minęła.

– Atwater – krzyknął Goodale do radiooperatora Steele'a. – Słuchaj, obiecałem narzeczonej, że zadzwonię dziś wieczorem, więc jeśli tego nie zrobię, naprawdę będę miał kłopoty. Musimy się stąd wydostać.

Atwater posłał mu bolesny uśmiech.

– Hej, gnoje, uciszcie się tam! – dobiegł ich głos operatora Delty. – Wystarczy, że wrzucą wam granat przeciwpancerny przez okno z tyłu i będziecie udupieni.

Wkrótce rozeszła się wieść o śmierci Smitha.

– Kapral Smith? Co się stało Smithowi? – zapytał Goodale.

– Nie żyje.

Wiadomość ta była prawdziwym ciosem dla Goodale'a. On i Smith trzymali się bardzo blisko. Obaj uchodzili za mądrali i cwaniaków, którzy zawsze byli gotowi rzucić jakąś kąśliwą uwagę, przy czym Smith był prawdziwym geniuszem. Ciągle rozbawiał chłopaków. Niedługo przed dzisiejszą misją Smith wyznał Goodale'owi: „Mam dziewczynę, którą chyba chcę poślubić". Przeprowadzili obszerną dyskusję na temat zakupu pierścionka. Goodale miał już doświadczenie, ponieważ kupował wcześniej pierścionek dla Kiry. Wyznanie Smitha zbliżyło ich do siebie. Czuli, że wkroczyli już w poważniejszy etap dorastania niż otaczające ich napuszone, młode samce. W hangarze spędzali razem dużo czasu, grając w ryzyko lub po prostu pierdzieląc o głupotach. „Smithy nie żyje?"[249].

Szeregowy George Siegler pilnował znalezionych w budynku Somalijczyków. Zagoniono ich do pokoju na tyłach domu. W pomieszczeniu, które okazało się sypialnią, znajdowało się łóżko i stolik nocny. Siegler, żołnierz o twarzy dziecka, który nie wyglądał na więcej niż piętnaście lat, mierzył teraz z karabinu M16 do dwóch kobiet, mężczyzny i czworga dzieci. Dorośli klęczeli, a ich nadgarstki skrępowano plastikowymi kajdankami. Tylko najmłodsza kobieta miała wolne ręce; była w zaawansowanej ciąży, a na rękach trzymała niemowlę. Płacząc, dawała Sieglerowi do zrozumienia, że jest spragniona, więc dał jej swoją manierkę. Na początku dzieci płakały. Najstarsze z nich miały od sześciu do dziesięciu lat. Najmłodsze było jeszcze niemowlęciem. Po pewnym czasie dzieci przestały płakać. Uspokoiła się też ciężarna kobieta po tym, jak dał jej wodę. Siegler nie znał jej języka, ale miał nadzieję, że zrozumiała, iż nikt nie chce jej zrobić krzywdy[250].

Z nastaniem nocy robiło się coraz ciszej. Nie zapalali żadnych świateł, więc w stronę podwórza nie leciały już pociski. Wcześniej kule wpadały przez otwartą bramę i robiły wielkie dziury w betonowej kratownicy na tyłach dziedzińca, ale teraz wszystko ucichło. Specjalista Kurth po kilku godzinach zmienił Sieglera na warcie przy więźniach. Czuł pragnienie i zalewał go pot. Wcześniej, jeszcze przed wyruszeniem na misję, chciało mu się lać, ale stwierdził, że wytrzyma, w końcu mieli wrócić za jakąś godzinę. Potem był zmuszony położyć się na boku na ulicy za blaszaną budą i sikać w tej pozycji, podczas gdy wokoło latały kule. Pomyślał wówczas: „Mam za swoje".

Przerażające doświadczenia dzisiejszego dnia podziałały na Kurtha w dziwny, niezrozumiały dla niego sposób. Kiedy wcześniej leżał na ulicy schowany za kamieniem, który nie był wcale wystarczająco duży, by zapewnić mu osłonę, różne rzeczy przychodziły mu do głowy. Najpierw pomyślał o tym, aby odejść z wojska. Później, kiedy kule świstały mu nad głową i podrywały w powietrze grudki piasku, przemyślał to jeszcze raz. „Nie mogę opuścić armii. Nigdzie indziej nie doświadczę tego, co tutaj". I z miejsca, tam gdzie leżał, postanowił zaciągnąć się do wojska na następne cztery lata.

Z każdą godziną robiło się coraz ciszej, zbliżała się noc. Co chwilę przychodziły meldunki o sytuacji bojowej od żołnierza, który monitorował wszelkie połączenia radiowe. Konwój miał dotrzeć za niespełna pół godziny. Już czterdzieści pięć minut później dowiedzieli się, że „konwój będzie za godzinę". Z oddali

dobiegały odgłosy zaciekłej strzelaniny – siły ratunkowe w końcu wyruszyły w ich kierunku. Kurthowi zaschło w gardle. Wszyscy żołnierze byli spragnieni. W ustach czuli kurz i proch, a ich języki były spuchnięte i lepkie. Nic na tym świecie nie smakowałoby teraz lepiej niż butelka zimnej wody. Kiedy raz na jakiś czas Little Bird z rykiem obniżał lot nad ulicą, rozlegały się odgłosy zajadłej strzelaniny oraz głośne wybuchy, a pociski z działek śmigłowców stukały o blaszane dachy i spadały na podwórze. A później znowu zrobiło się cicho. Kurth słyszał własny oddech oraz równomierne, nieco przyspieszone bicie własnego serca[251].

11

Specjalista Waddell nie wszedł do środka z pozostałymi. Kiedy zrobiło się ciemno i wszyscy żołnierze schronili się na podwórzu, porucznik DiTomasso powiedział mu, że ma zabezpieczyć zachodnią stronę dziury, którą przebił spadający black hawk. Waddell, leżąc za kupą gruzu, wyglądał na ulicę zza ogona zestrzelonego helikoptera. Skulony po drugiej stronie wyrwy sierżant Barton skierował karabin na wschód od śmigłowca.

Jeszcze po południu Waddella przerażała myśl, że być może nie uda im się wydostać stąd przed nastaniem ciemności. Jednak kiedy zapadał zmierzch, czekał z utęsknieniem, kiedy w końcu zajdzie słońce. Wydawało się, że trwa to bez końca. Zdał sobie sprawę, że kiedy zrobi się ciemno, strzelanina osłabnie, więc będą mogli złapać oddech. Patrzył, jak śmigłowce Little Bird wyrzucają z rykiem serie pocisków w stronę zachodniej strony ulicy, podczas gdy spadał na niego grad pustych łusek. Rakiety wystrzeliwane przez helikoptery dosłownie trzęsły ziemią. Wydawały taki dźwięk, jak rozpinane zapięcie na rzep, po czym następował błysk oraz olbrzymi huk. Cieszyli się, że śmigłowce strzelają tak blisko. Właśnie tu ich potrzebowali. Jak najbliżej.

Jeden z operatorów Delty zdjął z siebie sprzęt i wszedł do rozbitego śmigłowca, aby poszukać amunicji do M249 dla Waddella i Bartona. Znalazł też noktowizor, który dał Waddellowi. Dzięki urządzeniu Waddell widział teraz wszystko, co działo się na zachód od dużego skrzyżowania. Mógł też korzystać z iluminatora laserowego. Teraz czuł się o wiele lepiej. Mały, zielony fiat stojący po drugiej stronie skrzyżowania, który przez dłuższy czas służył jako osłona dla Nelsona, Bartona, Yurka i Twombly'ego, nosił liczne dziury po pociskach. Waddell kilkakrotnie słyszał przez radio, że wkrótce zostanie przysłana kolumna pojazdów z odsieczą. Mieli przybyć tu za 20 minut. Godzinę później usłyszał, że będą za czterdzieści minut. Wkrótce zaczęli sobie z tego żartować. „Już są w drodze", krzyczeli żołnierze i wybuchali śmiechem. Kiedy pokaźna kolumna z czołgami, transporterami, ciężarówkami i hummerami faktycznie wyruszyła w stronę miasta, co nastąpiło jakieś pół godziny przed północą, słychać ich było już w odległości kilku kilometrów. Ludzie z konwoju albo wdali się w zaciekłą walkę, albo po prostu ostrzeliwali wszystko, co było po drodze. Waddell mógł z łatwością śledzić trasę konwoju, wsłuchując się w odgłos wystrzałów oraz patrząc na poświatę, jaką dawały wyrzucane pociski. Nie myślał wcale o niebezpieczeństwie ani o tym, że wróg może przejąć ich pozycję i ich zabić. Rozmyślał o głupstwach; następnego dnia czekał go test sprawności fizycznej i zastanawiał się, czy po powrocie do bazy każą mu do niego podejść. Zapytał o to Bartona:

– Sierżancie, czy jutro będę musiał podejść do testu sprawności fizycznej?

Barton tylko potrząsnął głową.

Waddell przypomniał sobie o powieści Grishama, którą czytał przed wyjazdem na akcję. Wciąż nie miał jak jej skończyć. Czy nie okaże się prawdziwym pechowcem, jeśli go zabiją i nie będzie mógł przeczytać kilku ostatnich stron?

Co mniej więcej pół godziny Barton wywoływał go cicho:

– Wszystko w porządku?

A jeśli w oczekiwanym czasie Waddell nie usłyszał wołania, sam się odzywał:

– Sierżancie, czy wszystko gra? – Tak jakby któryś z nich miał zasnąć. W środku nocy strzelanie ustąpiło i przez pewien okres helikoptery nie prowadziły ostrzału, więc zrobiło się naprawdę spokojnie. Wtedy właśnie usłyszał w oddali spieszącą im z odsieczą kolumnę. Waddell był jednym z rangersów, którzy wzięli ze sobą napełnioną manierkę zamiast dodatkowych zapasów amunicji. Teraz podzielił się nią z innymi – pili łapczywie[252].

* * *

„Kiedy się u diabła stąd wyniesiemy?", zastanawiał się Phipps. Siedział w małym, zadymionym i zakurzonym pomieszczeniu na tyłach domu razem z resztą rannych. Budynek przylegał do ulicy z zestrzelonym śmigłowcem. Phipps, który czuł ból w plecach i prawej łydce pokaleczonej odłamkami granatu, słuchał dobiegających z zewnątrz odgłosów strzelaniny i wybuchów, zastanawiając się, kiedy jakiś „chuchrak" z dzikim błyskiem w oczach wpadnie do środka i go zabije. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Towarzyszył mu specjalista Gregg Gould ze zranionymi przez odłamki pośladkami. Gould wyglądał groteskowo, leżąc z zabandażowanym tyłkiem w górze i plotąc nieustannie o swojej dziewczynie – o tym, jak za nią tęskni i nie może się doczekać, kiedy ją zobaczy po powrocie do domu... dołowało to Phippsa, tym bardziej że on sam nie miał dziewczyny.

– Wszystko będzie dobrze. Jak tylko się stąd wydostaniemy, mam zamiar strzelić sobie piwo – dodał Phipps, próbując zmienić temat. Nie udało się.

W tym samym pomieszczeniu znajdował się specjalista Nick Struzik z raną postrzałową prawego ramienia. Phipps widział go wcześniej, niedługo przed tym, jak sam został ranny, krwawiącego, opartego o kamienną ścianę na ulicy i przypomniał sobie, jak go ten widok zszokował. To było takie uczucie, jakby ktoś dał mu w twarz. Struzik był jednym z pierwszych kumpli, których zobaczył rannych. W naprawdę złym stanie był sierżant sztabowy Mike Collins. Kula trafiła go w prawą nogę tuż pod kolanem i wypadła z tyłu, miażdżąc kości strzałkową i piszczelową. Collins krwawił obficie i zwijał się z bólu. Phipps pomyślał ze smutkiem, że stary Collins prawdopodobnie tego nie przeżyje. Wciąż nie mógł uwierzyć, że nie wzięli ze sobą noktowizorów. Podczas poprzednich misji urządzenia te dawały im poczucie przewagi i pewności siebie; mogli

z łatwością skopać tylki skurwielom, ponieważ ci wcale ich nie widzieli. Dzisiejsza akcja będzie dla nich nauczką. Żołnierze czuli tak nieznośne pragnienie, że małymi łyczkami podpijali płyn infuzyjny z plastikowych torebek, żeby choć zmoczyć czymś usta. Płyn był obrzydliwy, ale przede wszystkim mokry. Po tym, jak śmigłowiec dostarczył im zapasy, każdy dostał kilka łyków wody[253].

Kiedy stało się jasne, że spędzą tu trochę czasu, sierżant Lamb razem z sierżantem Ronem Gallietteem sprawdzili wszystkie pomieszczenia przylegające do wewnętrznego dziedzińca. W jednym z nich, po wykopaniu drzwi, znaleźli dwie kobiety oraz troje dzieci. Jedna z kobiet była w podeszłym wieku, natomiast druga – jeszcze nastolatka – mogła mieć jakieś szesnaście lat. Młodsza z kobiet chciała uciec. Dziewczyna była szczupła i drobna. Trudno było uwierzyć, że urodziła przyciskane mocno do piersi niemowlę. Miała na sobie niebieską, lśniącą suknię ze złotą lamówką. Dziecko było owinięte w materiał w tym samym kolorze. Kobieta powoli przesuwała się coraz bliżej drzwi, więc Lamb polecił sierżantowi Yurkowi, by miał na nią oko. Za każdym razem, gdy Yurek spuszczał z niej wzrok, dziewczyna podchodziła bliżej wyjścia. W końcu podniósł karabin i skłonił ją, by siadła z powrotem na swoim miejscu.

– Posłuchaj, gdybyśmy chcieli zrobić wam krzywdę, już byśmy to zrobili, więc uspokój się – mówił, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że go nie rozumie.

Tak czy inaczej, kontynuował. Powiedział, że w budynku jest o wiele bezpieczniej niż na ulicy. Wystarczy, że będzie spokojnie siedziała. Żołnierze opuszczą to miejsce, jak tylko będzie to możliwe. Kiedy po raz kolejny podeszła w kierunku drzwi, odepchnął ją w kąt, używając karabinu.

– Nie, nie, nie! Musisz tu zostać! – krzyknął, starając się ją wystraszyć, aby w końcu siadła spokojnie w miejscu. Kobieta nakrzyczała na niego we własnym języku.

Na ścianie znajdował się uszkodzony kran, z którego cały czas kapała woda. Yurek nabrał jej trochę do pustej manierki, którą podał dziewczynie. Odwróciła głowę, odmawiając przyjęcia wody.

– Niech i tak będzie – zgodził się.

Lamb naliczył piętnastu rannych, w tym ciało drugiego pilota Super Six One, Donovana Brileya. Potrzebowali więcej miejsca, więc podłożył niewielki ładunek wybuchowy przy ścianie z tyłu. Kamienie i zaprawa murarska były tak liche, że nieraz wystarczyło pchnąć mocno ścianę, by się rozpadła, mały wybuch przebił więc sporą dziurę, szeroką na mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów i wysoką nieco ponad metr. Eksplozja wystraszyła wszystkich, zwłaszcza pilnowaną przez Yurka Somalijkę. Dziewczyna zdenerwowała się jeszcze bardziej. Wybuch przeraził nawet Twombly'ego, który podkładał ten ładunek. Sądził, że zapalnik jest nastawiony na pół minuty, tymczasem eksplozja nastąpiła już po dwudziestu sekundach, więc żołnierz aż podskoczył z zaskoczenia. Powstały otwór prowadził do pomieszczenia przylegającego do centralnego dziedzińca kwartału, gdzie przebywał już Perino, więc oddziały Perina i DiTomassa w końcu się połączyły. Wstrząs eksplozji sprawił, że odpadły kolejne kawałki muru przy wraku śmigłowca, tam gdzie znajdowali się Waddell i Barton.

Nelson natomiast ogłuchł tak bardzo, że w ogóle nie słyszał wybuchu. Od momentu, kiedy Twombly wystrzelił z M249 tuż przy jego twarzy, nieustannie dzwoniło mu w uszach. Kiedy Nelson zobaczył leżących dokoła rannych, poczuł, że ma nieprawdopodobne, szalone szczęście. Jak to możliwe, że jeszcze go nie ranili? Trudno było opisać, co czuł... jakby doznał nagłego objawienia. Nigdy nie czuł się tak żywy, jak teraz, kiedy groziła mu śmierć. Co prawda bywały w jego życiu momenty, kiedy otarł się o śmierć, na przykład wówczas, gdy rozpędzony, jadący z naprzeciwka samochód wpadł w poślizg na ostrym zakręcie i mało co nie zderzył się czołowo z jego pojazdem. Dziś, już od ponad trzech godzin, ustawicznie czuł na twarzy oddech śmierci, gorący jak podmuch powietrza przy wybuchu granatu. Uczucie to mógł porównać jedynie z doznaniem, z jakim miał do czynienia, kiedy pływał na desce surfingowej i czasem znalazł się wewnątrz wielkiej fali, otoczony energią i ruchem, niesiony przez ogromną siłę, kiedy jedyne, co mu pozostawało, to starania, by utrzymać równowagę i przetrwać. Surferzy nazywają wnętrze fali „zielonym pokojem". Udział w bitwie był kolejnym sposobem na wejście do zielonego pokoju, na osiągnięcie stanu fizycznego i psychicznego pobudzenia. Podczas godzin spędzonych na ulicy nie był już Shawnem Nelsonem, niewiele łączyło go ze światem zewnętrznym; nie myślał o rachunkach do zapłacenia, więziach emocjonalnych ani niczym innym. Był tylko ludzką istotą, która usiłowała pozostać przy życiu jeszcze jedną nanosekundę, wziąć jeszcze jeden oddech, całkowicie świadomą, że każde tchnienie może być tym ostatnim. Czuł, że nigdy już nie będzie taki sam. Zawsze zdawał sobie sprawę, jak każdy zresztą, że pewnego dnia umrze, jednak dziś spojrzał w oczy okrutnej prawdzie. Przy czym bliskość śmierci nie wydawała mu się przerażająca czy makabryczna. Przeciwnie, dawała mu pocieszenie i sprawiała, że był jeszcze bardziej ożywiony. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu ludzi, których zastrzelił na ulicy. To oni próbowali go zabić. Cieszył się, że wciąż żyje, podczas gdy oni umarli.

Kiedy przenosili rannych do większego pomieszczenia, do którego drogę otworzył podłożony przez Twombly'ego ładunek, sierżant Collins musiał zostać przeniesiony przez dziurę na noszach. W tym celu trzeba było przypiąć go, a następnie przechylić nosze na bok. Collins protestował, kiedy przygotowywali go na ten manewr:

– Chłopaki, mam złamaną nogę!

– Przykro mi – odparł Lamb. – Musimy cię przenieść.

Collins zawył z bólu, kiedy żołnierze podali nosze ludziom po drugiej stronie otworu.

Położyli z powrotem na noszach zwłoki Bulla Brileya. Nelson widział dziś Brileya grającego w karty i śmiejącego się. Teraz patrzył na jego przeciętą podczas uderzenia śmigłowca o ziemię głowę, na rozcięcie sięgające od ucha do ucha i przechodzące pod brodą. Ciało nadal było ciepłe i spocone, ale powoli robiło się szare. Szerokie na ponad dwa centymetry rozcięcie na głowie przestało już krwawić. Kiedy podnieśli na noszach krótkie i szerokie ciało, górna część głowy Brileya groteskowo opadła do tyłu. Lamb przywołał w pamięci widok biegającego w kolarkach, wysportowanego kumpla. „Jezu, co za smutny dzień". Kiedy przenosili go przez dziurę, Lamb wszedł pierwszy przez otwór i ściągnął ciało Brileya z noszy, po czym oparł je o ścianę. Głowa pilota uderzyła o ścianę z głuchym łoskotem, który przyprawił Lamba o mdłości. Rozłożył

zmarłego na ziemi z myślą o tym, że kiedy nastąpi pośmiertne stężenie, ciało nie pozostanie zgięte w pasie[254].

Abdiaziz Ali Aden siedział w ciemnościach, słuchając, jak rangersi chodzą po jego domu. Przez niewielki otwór, który przebił w dachu spadający helikopter, widział gwiazdy. Rangersi powiesili czerwone lampy na drzewach na zewnątrz, a także u szczytów budynków. Nigdy wcześniej nie widział takich lamp. Z różnych stron wciąż dochodziły odgłosy wystrzałów. Helikoptery nurkowały nad ulicą, a o dach uderzały łuski wystrzeliwanych przez nie pocisków. Słyszał rozmawiających przez radio Amerykanów, którzy naprowadzali śmigłowce na pozycje Somalijczyków.

Nie był pewien, co będzie bardziej niebezpieczne; pozostanie w domu, gdzie za ścianą znajdowali się rangersi, czy wyjście na ulicę, gdzie mógł zostać postrzelony podczas ucieczki. Zastanawiał się nad tym, dopóki nie usłyszał, że strzelanina ucichła. Wówczas postanowił opuścić budynek.

Wszedł na szczyt zewnętrznego muru i zeskoczył na ulicę. Znajdowało się tam czterech martwych ludzi; dwóch mężczyzn, kobieta i dziecko. Pobiegł przed siebie. Nim zdążył gdziekolwiek dotrzeć, nad ulicą z rykiem przeleciał helikopter, wyrzucając pociski, które wzbiły w powietrze piasek z ulicy i uderzyły o ściany. Biegł dalej z głową w dole, zaskoczony, że nie trafiła go żadna z kul[255].

Ratownik medyczny sił powietrznych Tim Wilkinson pilnował rannych na podwórzu kapitana Millera po drugiej stronie Marehan Road. Wilkinson siedział w wejściu na dziedziniec z pistoletem w dłoni. Tylko raz na jakiś czas rozlegały się sporadyczne wystrzały. Któryś ze śmigłowców Little Bird okazjonalnie obniżał z rykiem lot nad ulicą i rozświetlał niebo za oknem.

Stebbins zapalił zapałkę, by podpalić papierosa, a przestraszony Wilkinson odwrócił się w jego stronę z pistoletem w dłoni.

– Tylko podpalałem papierosa, sierżancie.

Nastąpił moment ciszy, po którym obaj mężczyźni uśmiechnęli się. Przyszła im do głowy ta sama myśl.

– Wiem, wiem – przyznał Stebbins. – Palenie zagraża życiu, prawda[256]?

12

Późną nocą Norm Hooten i inni operatorzy Delty z oddziałów dowodzonych przez sierżantów Johna Boswella i Jona Hale'a, razem z oddziałem rangersów sierżanta Watsona wyszli z podwórza zajętego przez oddział Steele'a. Stanowiło ono najbardziej wysuniętą na południe pozycję Amerykanów. Następnie pochyleni weszli w wąską uliczkę przy północnej ścianie, gdzie jeszcze późnym popołudniem schowano ciało Fillmore'a. Doszli do wniosku, że zrobiło się na tyle cicho, aby przenieść się, jak chciał tego wcześniej kapitan Miller, do budynku na północnym narożniku ich kwartału. Stamtąd będą mogli osłaniać szeroką, prowadzącą ze wschodu

na zachód drogę, która dzieliła na pół przygwożdżone przez wroga amerykańskie siły. Na skutek tego manewru Steele miał zostać na dziedzińcu z rannymi oraz tylko czterema czy pięcioma zdolnymi do walki żołnierzami. Niemniej jednak Hooten i pozostali nie wybierali się za daleko.

Nikt z rangersów nie był chętny, by z nimi iść. Jeden z sierżantów kategorycznie odmówił opuszczenia dziedzińca, nawet po rozkazie Steele'a. Żołnierz wymigał się, twierdząc, że ma skaleczone oko. Powiedzieli mu, żeby pomógł przy rannych.

Sierżanci Thomas i Watson poszli w noc za chłopakami z Delty, za nimi podążyli Floyd, Kurth, Collett i kilku innych. Zaraz przy wyjściu, na boku drogi, Floyd znalazł martwego osła. Operatorzy poszli w górę ulicy i weszli do budynku na rogu przez okno znajdujące się jedynie metr nad ulicą. Zanim Floyd dotarł do ulicy, zdążyli wnieść już przez okno ciało Fillmore'a.

Floyd potknął się o coś. Pomacał dookoła i znalazł należący do Fillmore'a karabin CAR-15. Kiedy go podniósł, poczuł wyschniętą krew, która przykleiła mu się do dłoni. Znalazł też kask Fillmore'a z zestawem słuchawkowym i resztę sprzętu. Zaczął to wszystko zbierać, kiedy z okna wychylił się Watson.

– Floyd, co u diabła ty tam robisz? Przestań się bawić. Pakuj dupę przez okno!

Floydowi nie było łatwo wejść ze sprzętem. Watson wciągnął go do środka. Wylądował na przestrzeni o wiele większej niż ta, gdzie byli kapitan Steele i reszta oddziału. Na ciało Fillmore'a padało światło księżyca. Operatorzy Delty przypięli plastikowymi kajdankami ręce zmarłego do jego boków i spięli mu razem stopy, aby łatwiej można było nieść ciało. Po drugiej stronie ulicy, na ścianie, która oddzielała ich od rannych za następnymi drzwiami, znajdowało się kolejne okno. Roztrzaskali okiennice, aby łatwiej móc się porozumiewać.

Operatorzy Delty ustawili wokół nowo zajętej przestrzeni lampy ze światłem stroboskopowym, aby oznaczyć swoją pozycję dla helikopterów. Floyd przeszukał podwórze i pod kapiącym kranem znalazł pełną, dwustulitrową beczkę. Najpierw powąchał ciecz, aby sprawdzić, czy to przypadkiem nie jest benzyna, po czym włożył palec do beczki i polizał go. To była woda. Kurth i pozostali mężczyźni byli surowo przestrzegani przed piciem miejscowej wody. Lekarze mówili, że nie ma szybszego sposobu na rozchorowanie się. „Do diabła z lekarzami", pomyślał Kurth. Nawet jeśli się rozchoruje, to będzie się z tym zmagał później. Napełnił manierkę wodą i przełknął tylko tyle, aby zmoczyć gardło.

Następnie razem z sierżantem Ramaglią, który znajdował się w pomieszczeniu po drugiej stronie ulicy, zaczęli podawać sobie manierki. Ramaglia zgromadził wszelkie puste manierki, jakie udało mu się znaleźć, i zawiesił na kiju od miotły, korzystając z zawleczek przy plastikowych korkach. Floyd napełniał jedną manierkę po drugiej wodą z wielkiej beczki.

Następnie razem z Collettem siedzieli przez dłuższy czas, szepcząc do siebie. Operatorzy Delty zajęli pozycje przy wszystkich oknach i drzwiach, więc oni nie mieli nic do roboty. Księżyc był wysoko na niebie i rzucał łagodne światło na leżące pośrodku dziedzińca ciało Fillmore'a. Collett co chwilę spoglądał na zegarek.

Floyd myszkował po dziedzińcu, a rozerwane spodnie powiewały na boki, więc na dobrą sprawę szeregowy był nagi. W pewnym momencie na ziemi zauważył nowy pokrowiec na M16.

– Collett, zobacz, co znalazłem.

Mówiono im, że „chuchraki" mają tylko zdezelowaną broń. Tymczasem karabin, który wyciągnięto z tego pokrowca, musiał pochodzić prosto z fabryki.

Collettowi zaczęło się nudzić. Nie mógł tego pojąć; nuda w strefie walk? Jak to możliwe? Cała sytuacja była tak dziwna, że trudno było uwierzyć w jej realność. Nikt nie da wiary, w jakie gówno się wpakowali, kiedy wrócą do domu. Słuchali wystrzałów nad głową oraz zbliżającego się do nich ryku eksplozji, w miarę, jak ogromny konwój z siłami ratunkowymi przedzierał się w ich stronę.

– Hej, Floyd.

– No?

– Mam pomysł.

– Jaki?

– Co powiesz na „wacka na polu bitwy"?

Floyd nie wierzył własnym uszom. Collett sugerował, że mają sobie obaj zwalić konia. Wśród rangersów krążył żart o „waleniu" w egzotycznych miejscach. Chłopaki przechwalały się „wackiem w Tajlandii", „wackiem w Egipcie" lub „wackiem w C-5".

Roześmiali się.

– Collett, jesteś czubkiem. Masz normalnie nasrane – odparł Floyd.

– Nie. Zastanów się. Byłbyś pierwszym facetem w swojej jednostce. Ilu chłopaków może powiedzieć, że to zrobiło[257]?

13

Dowódcy mogli obserwować niespokojną okolicę z lotu ptaka, dzięki kamerom termowizyjnym na podczerwień, które wysyłały im czarno-biały obraz przedstawiający interesującą ich część miasta. Widzieli tłumy Somalijczyków krążące w kilkuosobowych grupach wokół zajętego przez Amerykanów obszaru. Na rozkaz dowódców śmigłowce regularnie ostrzeliwały czającego się wroga. Ponadto w ciężarówkach jadących z innych części miasta nadciągała milicja Aidida. W ciemnościach nocy pociski z helikopterów Little Bird uderzały z grzechotem o mury budynków. Jeden ze śmigłowców strzelił w kierunku niosącego granatnik przeciwpancerny Somalijczyka. Człowiek zapewne taszczył na plecach kilka dodatkowych pocisków, bo kiedy

uderzyła w niego siedmiokilogramowa rakieta, która zabiła go na miejscu, ciało mężczyzny podskoczyło do góry razem z iskrami pochodzącymi ze zdetonowanych na jego plecach pocisków. Wyglądało to jak niecodzienne rzymskie ognie. Później, gdy śmigłowiec poleciał do bazy po nowy zapas paliwa, okazało się, że na jego przedniej szybie znajdują się przylepione fragmenty ciała mężczyzny.

Sierżant Goodale, wciąż leżąc na podwórzu zajętym przez oddział Steele'a, trzymał ranny pośladek z dala od podłoża i kontynuował kierowanie ruchem śmigłowców ostrzeliwujących pozycje wroga. Z miejsca, w którym się znajdował, nie widział za wiele, ale pełnił funkcję pośrednika pomiędzy innymi radiooperatorami, którzy zgłaszali potrzebę ostrzału w danych miejscach w okolicy. Goodale decydował, gdzie sytuacja jest najgroźniejsza, i przekazywał prośbę o pomoc do śmigłowca dowodzenia.

Późnym wieczorem otrzymał informację, że dwie pokaźne grupy Somalijczyków podążają w ich kierunku z południa.

Po raz pierwszy Steele poczuł przypływ paniki. „Być może wcale się stąd nie wydostaniemy" – pomyślał. Gdyby Somalijczycy zaatakowali zaciekle wejście na podwórze, żołnierze zdołaliby zabić wielu z nich, ale prawdopodobnie nie daliby rady ich powstrzymać. Obszedł wszystko dookoła, sprawdzając, czy nikt nie śpi i czy wszyscy czekają w pogotowiu. Nie mógł sobie darować, że pozwolił żołnierzom desantować się bez bagnetów – kolejnego sprzętu, który był wymagany przez obowiązujące procedury operacyjne, a który pozostawili, aby zmniejszyć ciężar niesionych przez siebie rzeczy. Kto mógł przypuszczać, że będą potrzebowali bagnetów? Steele wsunął głowę do pomieszczenia na tyłach dziedzińca, gdzie znajdowali się Goodale i reszta rannych, po czym poinformował sierżanta w przypływie czarnego humoru:

– Jeśli zobaczysz, że ktoś wchodzi przez te drzwi i nie usłyszysz, że krzyczy „Rangers! Rangers!", strzelaj bez zastanawiania się, bo będzie to oznaczało, że my już nie żyjemy.

Goodale był wstrząśnięty. Cisza zwiodła go i dała mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Przekonywał samego siebie. „Dobra, możliwe że tu zginę. Nie chcę umierać, ale tak właśnie może się stać, a ja nie mam zielonego pojęcia, jak temu zapobiec". Myślał o tym, jak głupio zrobił, powierzając odpowiedzialność za swoje życie rządowi Stanów Zjednoczonych. Kto wie, może wkrótce wyda ostatnie tchnienie tu, na podłodze wstrętnej nory na tyłach domu w Mogadiszu, w pieprzonej Somalii. Przypomniał sobie, jak bardzo chciał jechać na wojnę i zobaczyć prawdziwą bitwę. Przyszły mu też na myśl wszystkie wspaniałe filmy wojenne i dokumentalne na temat różnych konfliktów zbrojnych oraz co czuł, kiedy je oglądał. „Ludzie ginęli tam naprawdę". Doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem na zaakceptowanie trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł, będzie założenie, że już nie żyje. Zginął. Teraz pozostało mu tylko robić dalej to, co trzeba[258].

O jedną przecznicę dalej sierżant Yurek zajmował pozycję przy oknie, z którego spoglądał w dół, na ulicę, gdzie leżał rozbity helikopter. Patrzył na zarys leżącego na jasnej drodze wraku, na którym kładły się niebieskawe cienie. Dokoła rosły kępy kaktusów, a z tyłu stał ponaddwumetrowy mur. Bezpośrednio za murem, nie więcej niż dwie długości samochodu dalej, znajdował się płot. Yurek starał się zachowywać jak najciszej, aby usłyszeć skradającego się nieprzyjaciela, zanim on zdąży zobaczyć go pierwszy. Nagle zauważył,

że płot się trzęsie. Oparł na ramieniu M16 i wziął na muszkę górną krawędź płotu, gdzie jeden po drugim wgramoliło się dwóch „chuchraków", którzy następnie przykucnęli na przylegającym do płotu murze i najwyraźniej rozglądali się, gdzie mogliby zeskoczyć. „To się robi zbyt proste". Jeden z mężczyzn zauważył Yurka na moment, zanim ten nacisnął spust. Zdążył tylko krzyknąć i sięgnąć po broń, zanim siła wystrzału zmiotła go z muru razem z drugim Somalijczykiem. Karabin jednego z nich spadł na ziemię po stronie Yurka. Po drugiej stronie rozległ się tumult, a potem wszystko ucichło.

Spoglądający na główną drogę sierżant Howe wciąż czuł, że jest w potrzasku; utknął na złej pozycji, a teraz po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że być może nie wydostanie się stąd żywy.

Somalijczycy wysyłali niewielkie grupy zwiadowcze liczące od trzech do sześciu osób, które zbliżały się do pozycji Amerykanów, starając się określić ich dokładne położenie. Howe widział tych mężczyzn i doskonale zdawał sobie sprawę, co robią. Jeden z nich wystawił lufę za róg budynku i wystrzelił w stronę pozycji Millera po drugiej stronie ulicy. Następnie czekali, licząc na to, że zobaczą błyski z luf, które pokażą im, w którym kierunku mają strzelać. Kiedy mężczyzna zobaczył, że nikt nie zareagował na jego wystrzał, wyszedł zza rogu. Howe zadecydował, że pozwoli mu przejść dłuższy odcinek ulicy, a kiedy człowiek zrówna się z jego pozycją, dopiero go zastrzeli. Nie chciał otworzyć ognia za wcześnie, ponieważ gdyby strzał okazał się niecelny, Somalijczyk mógł tu później wrócić, aby zdradzić miejsce pobytu Howe'a. Tymczasem grupa Howe'a stanowiłaby duży, łatwy cel dla granatu przeciwpancernego. Właśnie miał nacisnąć spust, kiedy strzały dwóch operatorów Delty z przeciwnej strony drogi powaliły mężczyznę na ziemię. Nie podniósł się. Od razu wypalili też do grupy pięciu Somalijczyków, którzy właśnie mieli schować się za rogiem. Ranni mężczyźni zdołali oddalić się w górę ulicy.

Cisza była pod pewnymi względami bardziej denerwująca niż początkowa bitewna wrzawa. Trudno było nie wyobrażać sobie dużych grup Somalijczyków zbierających się za zakrętem. Howe podejrzewał, że jeśli pokaźna liczba nieprzyjaciół natrze na ich pozycję, możliwe że uda im się pokonać Amerykanów. W myślach przygotowywał sobie własny plan działań na tę decydującą walkę. Zamierzał położyć trupem tak wielu wrogów, jak tylko było to możliwe dla zwykłej istoty ludzkiej. Nadal posiadał sześć czy siedem magazynków do CAR-15 oraz colt 1911 i naboje do strzelby gładkolufowej. Mógł więc strzelać z karabinu, dopóki nie skończy się amunicja, następnie użyć kolejno strzelby i pistoletu, a na koniec zostanie mu jeszcze nóż. Jeśli dobrze pójdzie, będzie mógł też wykorzystać broń któregoś z zabitych wrogów.

Howe zwołał ludzi ze swojego oddziału i polecił im za jego przykładem wstrzymać ogień do momentu, aż jeden lub więcej Somalijczyków podejdzie naprawdę blisko. Każdy miał oszczędzać amunicję i starannie wybierać sobie cele. Inni operatorzy mieli informować ich przez radio za każdym razem, gdy oddadzą strzał, aby przekazać, gdzie i do kogo strzelali oraz czy trafili w cel. Dzięki temu będzie można łatwiej zorientować się, które rejony robią się najbardziej niebezpieczne. Zbliżał się krytyczny moment ich nocnych zmagań.

Śmigłowce Little Bird zajęły się dwoma dużymi grupami Somalijczyków, które zbliżały się do Amerykanów. Goodale usłyszał, jak jeden z helikopterów z rykiem obniżył lot nad Marehan Road, po czym

rozległo się terkotanie działek pokładowych i radujące serce „bum!” – dźwięk odpalonej rakiety. Krzyknął: „Rozwalcie tamtą dużą grupę!”.

Little bird zaatakował jeszcze raz i zlikwidował drugie zagrożenie.

Sierżant Bray, członek zespołu kontroli bojowej sił powietrznych, który znajdował się na pozycji Millera, zgłosił potrzebę ostrzelania przylegającego do podwórza jednopiętrowego domu. Okna budynku posiadającego osobne wejście za rogiem ulicy wychodziły na dziedziniec, gdzie byli Amerykanie. Jeśli w środku znajdowali się Somalijczycy, mogli ich ostrzelać bezpośrednio z okien. Budynek ten przylegał też do podwórza, na którym znajdowało się stanowisko dowodzenia Delty. Przód domu znajdował się nie dalej jak 20 metrów od pozycji Howe’a. Oznaczało to, że ostrzelanie go z powietrza tak, aby nie zranić żadnego z Amerykanów, będzie cholernie trudne. Ludzie Howe’a oznaczyli budynek laserami dla pilota, który połączył się z nimi przez radio, pytając, czy na pewno chcą, aby działka pokładowe otworzyły ogień tak blisko ich pozycji. Z powietrza wyglądało to tak, jakby miał namalować cienką linię pomiędzy dwoma rejonami zajętymi przez swoich.

– Trzymajcie nisko głowy – ostrzegł pilot.

Pociski trafiły dokładnie w oznaczone miejsce. Patrząc, jak działka dewastują dom, Howe odwrócił się w stronę żołnierza ze swojego oddziału i powiedział: „Nie próbuj tego w domu!”.

Nieco później zauważono dwóch Somalijczyków, którzy szli w dół środkiem ulicy, jak gdyby wybrali się na spacer. Księżyc, który był teraz wysoko na niebie, oświetlał okolicę, więc było prawie tak jasno, jak w pochmurne popołudnie. Mężczyźni szli w odległości około czterdziestu metrów od siebie. Howe obserwował, jak pierwszy z nich mija jego pozycję. Próbował założyć filtr podczerwony na światło promieniujące z karabinu i na chwilę niechcący wypuścił na ulicę snop białego światła. Widział, jak pierwszy mężczyzna zawraca, aby sprawdzić, skąd pochodził błysk. Howe wyjął colta 1911. Nie chciał strzelać do Somalijczyka z karabinu, ponieważ w budynku po przeciwnej stronie ulicy znajdowali się inni operatorzy Delty, więc było bardzo prawdopodobne, że pociski przebiją ciało mężczyzny i polecą w ich stronę. Poza tym wiedział, że drugi mężczyzna zauważy błysk zarówno z lufy karabinu, jak i z pistoletu. Howe połączył się przez radio z jednym ze swoich ludzi i polecił im go zabić, jak tylko minie ich pozycję. Mężczyzna zrobił jeszcze kilka kroków, a wówczas jeden z żołnierzy po drugiej stronie ulicy trafił go w okolicach prawej nerki. Somalijczyk obrócił się i rozejrzał dokoła z przestrachem. Od razu wystrzelono w jego stronę jeszcze cztery pociski, które powaliły go na ziemię. Howe był zniesmaczony, że potrzeba było tak wielu kul, aby zabić człowieka. Drugi Somalijczyk, który przechodził w tym samym miejscu kilka minut później, także został zabity.

Około północy konwój zaczął się zbliżać do ich pozycji. Osaczeni żołnierze słuchali niskiego warkotu prawie stu pojazdów; czołgów, transporterów opancerzonych i hummerów. Grzmiący odgłos sugerował, że są coraz bliżej. Wkrótce miarowy, zbliżający się rytm wystrzałów zaczął przypominać solówkę perkusji rockowej czy heavymetalowej kapeli. Nadchodził uosobiony gniew Stanów Zjednoczonych Ameryki, słychać było kroki wielkiego, czerwono-biało-niebieskiego boga.

To był najlepszy, pieprzony dźwięk na świecie[259].

NOCNI ŁOWCY NIE PODDAJĄ SIĘ

Porucznik marines Harold Clawson na tle meczetu w Mogadiszu, 1993

fot. Reuters/Forum

1

Michael Durant usłyszał odgłos wystrzałów dobiegający od strony potężnego, spieszącego z odsieczą konwoju, który z rykiem przedzierał się przez miasto. Ranny, skrępowany łańcuchem pilot śmigłowca black hawk leżał na zimnej, ceramicznej podłodze w małym, ośmiokątnym pokoju bez okien. Przez otwory w kształcie krzyży wycięte w górnej części betonowych ścian przenikały dźwięki z zewnątrz, światło księżyca i powietrze, w którym czuł pył oraz zapach prochu, potu i krwi. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli, a drzwi były zamknięte.

Kiedy dopadł go tłum rozwścieczonych ludzi, pomyślał, że wkrótce umrze. Nadal nie wiedział, co się stało z trzema pozostałymi członkami załogi – drugim pilotem Rayem Frankiem, mechanikami Tommym Fieldem i Billem Clevelandem – oraz dwoma operatorami, którzy usiłowali ich bronić. Durant nie pamiętał ich nazwisk.

Gdy wzburzeni Somalijczycy podnieśli go z ziemi, pilot zemdlał. Opuścił ciało i już za chwilę oglądał scenę z zewnątrz. Wśród panującego wokół chaosu, mimo przerażenia, zdołał się na chwilę uspokoić. Nie

trwało jednak długo. Oprzytomniał, kiedy rzucono go na platformę ciężarówki. Głowę miał obwiązaną szmatą. Zdziwił się, że jeszcze żyje, spodziewając się zarazem, że zabiją go lada chwila. Jeździli z nim w kółko, ciężarówka na przemian ruszała i stawała. Ocenił, że kiedy przynieśli go w to miejsce, musiały minąć już jakieś trzy godziny od czasu upadku śmigłowca. Zdjęli mu szmatę z głowy, a nadgarstki skrępowali łańcuchem[260].

Durant nie wiedział, że przeszedł w ręce innej grupy Somalijczyków niż ta, która go schwytała. Yousef Dahir Mo'alim, okoliczny przywódca milicji, ocalił go z rąk atakującego motłochu, który obezwładnił i zabił pozostałych członków załogi, i zamierzał przekazać pilota przywódcom klanu Habr Gidr. Kiedy jednak wyruszyli z miejsca katastrofy, zostali zatrzymani przez lepiej uzbrojoną, niezależną bandę mooryan, którzy dysponowali wozem technicznym wyposażonym w duży, zamontowany z tyłu karabin. Członkowie bandy uznali, że ranny pilot nie jest jeńcem wojennym, którego można wymienić na aresztowanych przez Amerykanów członków klanu, lecz zakładnikiem. Wiedzieli, że ktoś za niego zapłaci.[261] Gorzej uzbrojeni ludzie Mo'alima zostali zdziesiątkowani, więc, choć niechętnie, oddali Duranta[262]. Tak właśnie załatwiało się sprawy w Mogadiszu. Jeśli Aidid chciał pilota z powrotem, będzie musiał go odbić albo za niego zapłacić[263].

Duranta męczył ból w prawej nodze, w miejscu złamania kości udowej. Czuł krew sączącą się z niewidocznej pod spodniami rany, powstałej w miejscu, gdzie koniec złamanej kości przebił skórę, kiedy tłum najpierw szarpał pilotem, a potem go niósł. Nie bolało bardzo mocno. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Skoro nadal żył, kość najwyraźniej nie przebiła tętnicy. Martwiły go natomiast plecy – zdał sobie sprawę, że w momencie upadku śmigłowca doznał uszkodzenia kręgosłupa.

Zdołał uwolnić z łańcucha jedną dłoń. Ponieważ był spocony, ręka łatwo wyśliznęła się z łańcucha, kiedy ją rozluźnił. Poczuł, że odniósł pierwsze małe zwycięstwo. Udało mu się coś osiągnąć. Mógł teraz zetrzeć kurz z oczu i nosa oraz ułożyć w miarę prosto złamaną nogę, dzięki czemu było mu nieco mniej niewygodnie. Następnie włożył dłoń z powrotem do łańcucha, aby wydawało się, że nadal jest skrępowany.

W pewnym momencie usłyszał na zewnątrz kilka opancerzonych pojazdów. Rozległy się odgłosy strzelaniny, więc pomyślał, że zaraz albo odzyska wolność, albo straci życie. Wybuchła zaciekła walka. Słyszał niski grzmot automatycznego granatnika Mk 19 oraz wybuchy, które brzmiały jak eksplozje pocisków TOW. Wcześniej nigdy nie znalazł się po tej stronie ognia zaporowego, więc był pod wrażeniem jego przerażającej siły. Wybuchy następowały coraz bliżej i bliżej. Przetrzymujący go Somalijczycy robili się coraz bardziej nerwowi. Młodzi mężczyźni z zaniedbanymi, pokrytymi rdzą karabinami kłócili się między sobą, krzycząc jeden na drugiego. Co jakiś czas któryś wchodził do pomieszczenia, gdzie leżał pilot, i groził mu. Jeden z nich znał trochę angielski. Powiedział: „Zabijasz Somalijczycy. Ty umrzeć w Somalia, rangers".

Durant nie rozumiał reszty ich słów, ale wywnioskował, że zamierzają go zabić, zanim zostanie odbity przez zbliżających się Amerykanów.

Wsłuchiwał się w dźwięki coraz bardziej zaciekłej bitwy z nadzieją i strachem. W końcu hałas ucichł. Pomimo niebezpieczeństwa poczuł rozczarowanie. Byli tak blisko!

Nagle ktoś wsunął przez drzwi lufę karabinu. Nic więcej, tylko czarną lufę. Durant spostrzegł ten ruch kątem oka i odwrócił się akurat wtedy, gdy w jego kierunku padł strzał. Poczuł uderzenie na lewym ramieniu i lewej nodze. Spojrzał na ramię i zobaczył krew oraz wystający z rany koniec pocisku. Najwyraźniej kula najpierw trafiła w podłogę, a potem rykoszetem zraniła go w ramię, dzięki czemu prędkość kuli nie była na tyle duża, by ta wbiła się w ciało. Odłamek pocisku ranił go w nogę.

Wysunął dłoń z łańcucha, by wyrwać pocisk z ramienia. Zadziałał automatycznie, odruchowo. Kiedy dotknął palcami kulę, usłyszał skwierczenie i skrzywił się z bólu. Pocisk nadal był gorący i sparzył mu koniuszki palców.

Pomyślał: „Mam nauczkę: poczekać, aż ostygnie”[264].

2

Wiadomość o bitwie w Mogadiszu dotarła do Waszyngtonu w niedzielę rano. Walki trwały już od kilku godzin, kiedy Garrison odebrał telefon od generała Wayne’a Downinga, starego przyjaciela, który był głównodowodzącym w Dowództwie Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych. Downing przyszedł do biura w Bazie Sił Powietrznych MacDill w Tampa niedługo po porannym joggingu, po czym postanowił zadzwonić do przyjaciela w Mogadiszu, aby sprawdzić, jak sobie radzi. W tym momencie walki trwały juz od dwóch godzin. Garrison zdał szybką relację z dotychczasowych wydarzeń; misja powiodła się, schwytano dwóch adiutantów Aidida oraz kilku mniej ważnych członków klanu, ale nieprzyjaciel zdołał zestrzelić dwa helikoptery, w mieście trwała zaciekła strzelanina, a większość żołnierzy wciąż znajdowała się pośrodku walki. Downing zapytał Garrisona, czy może w tej chwili jakoś pomóc, a potem rozłączył się. Wiedział, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje teraz jego przyjaciel, jest, aby jakiś urzędas przebywający ponad 25 tysięcy mil dalej, śledził jego ruchy.

Downing przekazał wiadomość innym. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Tony Lake otrzymał tego ranka krótkie sprawozdanie w Białym Domu; pojmano dwóch adiutantów Aidida, wróg zestrzelił dwa śmigłowce, akcja ratunkowa w toku. Lake był tego dnia zaabsorbowany wydarzeniami w Moskwie, gdzie rosyjski prezydent Borys Jelcyn zmagał się z podjętą przez prawicę próbą zamachu stanu. Prezydent Clinton nie wspomniał o sytuacji w Mogadiszu na konferencji prasowej tego ranka, która odbyła się mniej więcej w tym samym czasie, gdy siły zadaniowe rangersów zostały przygwożdżone przez wroga na miejscu pierwszej katastrofy. Clinton wraz z resztą Ameryki pozostawał nieświadomy dramatu, który rozrywał się w odległej Somalii. Po konferencji prasowej prezydent poleciał do San Francisco na zaplanowany wcześniej dwudniowy objazd z odczytami[265].

Odsiecz przysłana przez Garrisona wkroczyła do miasta z miażdżącą siłą. Jeśli Aidid chciał się zabawić, armia Stanów Zjednoczonych przyniosła swoje zabawki. Konwój, który liczył prawie sto pojazdów, w tym przede wszystkim dwadzieścia osiem malezyjskich transporterów i cztery pakistańskie czołgi, był długi na 4

kilometry i dysponował tak ogromną siłą ognia, że w razie potrzeby mógłby wytyczyć własne drogi[266], burząc przeszkadzające mu budynki. Podpułkownik Bill David był odpowiedzialny za szybkie zebranie tych sił w New Port położonym mniej więcej 4 kilometry na północ od bazy rangersów.

Kiedy David otrzymał to zadanie, jego pierwszą reakcją były słowa: „Chyba żartujecie". Jego żołnierze, dwie kompanie strzelców 10. Dywizji Górskiej (łącznie trzystu żołnierzy), zgromadzili się na lotnisku. Kilku ludzi z dowodzonej przez Davida kompanii Charlie („Tygrysów") zostało dziś rannych w starciu z Somalijczykami na rondzie K-4, kiedy to usiłowali się przedostać do śmigłowca Duranta. Niemniej żołnierze byli wypoczęci i chętni do walki. Dołączyła do nich kompania Alpha pod dowództwem kapitana Drewa Meyerowicha. Wojska pancerne bardzo by im się przydały, ale David zastanawiał się, co ma zrobić z Malezyjczykami i Palestyńczykami. Naradził się z generałem Gile'em, zastępcą dowódcy 10. Dywizji. Uzgodnili, że kiedy ich ludzie połączą się z obcymi siłami na terenie New Port, Malezyjczykom powie się, aby zabrali swoją piechotę z transporterów, a następnie zastąpi ją Amerykanami. Wykonają manewr pod tytułem: „Bierzemy wasze wozy i kierowców, ale za żołnierzy serdecznie dziękujemy". David potrafił sobie wyobrazić, jaką to wywoła reakcję.

– Czy oni mówią po angielsku?

Gile odpowiedział, że większość oficerów zna trochę angielski, poza tym na miejscu będą oficerowie łącznikowi, których zadaniem będzie ułatwienie całego procesu.

Kiedy David wyszedł z centrum operacyjnego, czuł się skołowany. Ten czterdziestoletni żołnierz zawodowy (West Point, rocznik '75), oficer z St. Louis w stanie Missouri, otrzymał właśnie najtrudniejsze zadanie w życiu. Wcześniej był już w Mogadiszu przez dwa miesiące, kiedy to dowodził wspierającym ONZ batalionem sił pokojowych. Obecność sił zadaniowych rangersów nieszczególnie przypadła mu do gustu. Rangersi wtrącili się nieproszeni i rozpoczęli tajne misje, nie zważając na obecny już na miejscu rozkład sił. Członkowie regularnej armii podziwiają elitarne jednostki specjalne, a zarazem czują też do nich urazę. Tradycyjne jednostki nie dostają takiego dofinansowania na treningi ani nie wykonują tak zróżnicowanych zadań. Dla dumnych oficerów i innych żołnierzy z 10. Dywizji, która miała własną godną uwagi historię bitewną, przyglądanie się, jak siły zadaniowe rangersów ubiegają ich, wkraczając do Mogadiszu, nie było łatwe. Zatem kiedy okazało się, że podczas ryzykownej misji rangersi napotkali trudności, łatwo było nazwać ich działania lekkomyślnymi. Co im przyszło do głowy, żeby wybrać się do cieszącej się złą sławą dzielnicy Aidida nazywanej „Morzem Czarnym" w biały dzień? Gdzie były ich rezerwy? A teraz David i jego żołnierze, którzy nie raz byli traktowani z pogardą przez elitarne jednostki, otrzymali zadanie wyciągnięcia z bitewnego ognia tyłków Delty i rangersów.

David musiał zabrać swoich żołnierzy na północ razem z grupą ochrzczoną „plutonem kucharzy", składającą się zarówno z ochotników z bazy, jak i niedobitków pierwszej grupy szturmowej. Po dotarciu do New Port miał dogadać się z Malezyjczykami i Palestyńczykami, opracować plan, a następnie nakazać

podwładnym utworzenie wielkiego konwoju, który należało poprowadzić do miasta i dopilnować, aby przedzierające się w ciemnościach pojazdy nie rozproszyły się[267].

Podczas gdy dowódcy opracowywali plan, rangersi przydzieleni do konwoju ratunkowego chodzili zdenerwowani tam i z powrotem. Ich kumple nadal byli w mieście! Ci z nich, którzy wcześniej brali udział w walce, wiedzieli, jak zacięta toczy się tam bitwa. Kto nie został ranny, ten pomagał przy przenoszeniu do szpitala polowego poszkodowanych oraz zabitych żołnierzy z zagubionego konwoju. Marsh i pozostali lekarze, a także pielęgniarki, próbowali uratować życie rannym. Prawie każdy już wiedział, że nie żyją Pilla, Cavaco i Joyce oraz że Blackburn, Ruiz, Adalberto Rodriguez i operator Delty Griz Martin są w bardzo złym stanie. Poza nimi rany odniosło wielu innych żołnierzy. Widok był koszmarny. Nawet ci, którzy nie mieli żadnych obrażeń, byli zbryzgani krwią kolegów, przez co także wyglądali na rannych.

Do sierżanta Eversmanna, który dziś dowodził grupą desantową Chalk Four, a następnie razem ze swoimi żołnierzami dotarł tu z zagubionym konwojem, podeszło dwóch sanitariuszy. Eversmann nie był ranny, ale większość ludzi z jego grupy nosiła rany postrzałowe. Kiedy ściśnięty razem z rannymi jechał ulicami Mogadiszu w tylnej części hummera, jego mundur przesiąkł krwią. Po wyjściu z samochodu pomagał wyjmować zakrwawionych mężczyzn. Nagle chwyciło go dwóch sanitariuszy, którzy zaczęli rozcinać mu spodnie.

– Zostawcie mnie! – krzyczał. – Nic mi nie jest!

Nie zwracali na niego uwagi. Niektórzy z żołnierzy, którzy faktycznie byli ranni, reagowali w ten sam sposób.

– Słuchajcie, nic mi nie jest. Zajmijcie się nimi! – krzyczał, wskazując na czekających na pomoc żołnierzy.

Eversmann zaczynał fiksować. Wiele dziś przeszedł, a widząc krew i okaleczonych ludzi – jego ludzi! – przeraził się. Zachowanie spokoju nie było łatwe. Kiedy wyładowywał frustrację na sanitariuszach, jeden z nich, starszy mężczyzna, odciągnął go na bok:

– Sierżancie, jak się nazywacie?

– Matt Eversmann.

– Świetnie, Matt. Słuchaj, musisz się uspokoić.

– Jasne.

– Zajmiemy się wszystkimi. Będzie dobrze, ale teraz postaraj się uspokoić.

– Jestem spokojny – krzyczał Eversmann, który oczywiście spokojny nie był. – Po prostu chcę, żebyście się nimi zajęli!

– Najważniejsze jest teraz, abyś im pokazał, że jesteś silny. Nie okazuj zdenerwowania, inaczej oni też zaczną się denerwować.

Eversmann zdał sobie sprawę, że zrobił z siebie idiotę.

– W porządku – odpowiedział.

Stał bezradnie jeszcze przez kilka minut, po czym odwrócił się i powoli odszedł w stronę hangaru. Nie było łatwo pozbyć się emocji związanych z walką. Miał wrażenie, że przeżył wstrząs. Identyfikacja ciał to przerażające doświadczenie. Casey Joyce był jednym z jego żołnierzy. Po raz ostatni widział go, kiedy biegł w kierunku konwoju z Blackburnem na noszach. Potem stracił go z oczu. A teraz zobaczył jego bladą, spuchniętą twarz, z której uciekło życie. W trakcie bitwy nie było czasu na przestrach czy obrzydzenie, nawet w przypadku najbardziej makabrycznych scen. Dopiero teraz wszystko zaczynało do niego docierać.

Poczuł się lepiej, kiedy podpułkownik McKnight polecił mu wzmocnić zewnętrzną ochronę lotniska. Pojawiły się obawy, że w związku z trwającymi walkami Aidid może zdecydować się przypuścić szturm na bazę. Zatem Eversmann odsunął od siebie przygnębiające myśli i zabrał się do pracy. Sześciu żołnierzy z jego grupy desantowej nadal było zdolnych do walki.

Zespolona szwami rana na łokciu specjalisty Sizemore'a otworzyła się i zaczęła krwawić. Żołnierz pozbył się wcześniej gipsu, aby wziąć udział w walce. Teraz zbył gestem ręki pielęgniarki, które podeszły, aby go opatrzyć – nie chciał być znowu wykluczony z akcji. Prześladowały go obrazy czekających na niego w mieście, otoczonych przez wroga kumpli. Był wściekły i podobnie jak wielu innych rangersów pragnął zemsty. Pomyślał o Stebbinsie, który zajął jego miejsce w śmigłowcu – był naprawdę zły, że gryzipiórek kompanii poleciał na akcję za niego. Koniecznie musiał się tam dostać. „Co tak opóźniało akcję ratunkową?" Sizemore chodził niecierpliwie wokół oczekujących hummerów, kiedy pojawił się jeden z operatorów Delty i zapytał: „Czy któryś z was zna Alfabeta?".

Sizemore odpowiedział, że zna. Przeszli razem przez bramę, minęli namiot szpitala i zbliżyli się do budynku ze sprzętem przeciwpożarowym. Z tyłu znajdował się mały, prowizoryczny bunkier z worków piasku zbudowany przez sierżanta Rymesa, przykryty teraz białym prześcieradłem. Sierżant podniósł materiał i odsłonił leżące w środku ciało Kowalewskiego – w tułowiu zmarłego nadal tkwił granat przeciwpancerny.

– Czy to jest Kowalewski? – zapytał.

Sizemore skinął głową, a przynajmniej wydawało mu się, że to zrobił. Był oszołomiony. Sierżant zapytał go jeszcze raz.

– Czy to jest Kowalewski?

– Tak, to on.

Tyczkowaty Steve Anderson starał się znaleźć w sobie chęci, by wrócić na pole walki. Już za pierwszym razem wyruszał do miasta z mieszanymi uczuciami. Wydarzenia dnia wywołały w nim silne emocje, wśród których przeważał gniew. Do dzisiejszego dnia Anderson palił się do walki tak samo jak reszta chłopaków, ale teraz, widząc zabitych i rannych, czuł się głupio. Ryzykował życie, wykorzystano go i zmuszono, aby strzelał do ludzi. Chcąc przetrwać, musiał zabijać... ciężko było zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego politycy z Waszyngtonu stawiali ludzi takich jak on w podobnej sytuacji? Dlaczego wykorzystywali młodych, naiwnych patriotów, którzy chcieli zrobić coś dobrego?

Usłyszał jednego z kumpli, szeregowego Kevina Matthewsa, który najpierw jechał w tej samej niedużej kolumnie hummerów, w której zabito Pillę, a później wrócił do miasta w pierwszym spieszącym z odsieczą konwoju. Matthews opowiadał o tym, jak kilka godzin wcześniej zabił mężczyznę, wystrzeliwszy w jego kierunku kolejno pięć, dziesięć, piętnaście pocisków. Anderson miał wrażenie, że Matthews się przechwala, jednak kiedy przyjrzał mu się uważnie, zauważył, że młody szeregowy jest zdenerwowany i gada w kółko tylko po to, aby wyrzucić z siebie to, co się stało. Matthews drżał. Chciał się upewnić, że to, co zrobił, było słuszne.

– Co innego mógłbyś zrobić? – pocieszył go Anderson.

Anderson rozmawiał wieczór wcześniej z rodzicami w Illinois i powiedział im, że wszystko jest w porządku, nic się nie dzieje i prawdopodobnie tak już pozostanie. Tymczasem dziś wszystko się zmieniło.

* * *

Poszukiwano żołnierzy, którzy mogliby poprowadzić pięciotonowe ciężarówki, jadąc z noktowizorami na oczach. Gogle noktowizyjne uniemożliwiały widzenie obwodowe i znacząco zniekształcały obraz. Przyzwyczajenie się do prowadzenia pojazdu z goglami na twarzy wymagało czasu. Specjalista Peter Squeglia, rusznikarz rangersów, posiadał pewne doświadczenie w jeździe motocyklem z noktowizorem, więc jeden z poruczników polecił mu, by siadł za kierownicą ciężarówki.

– Poruczniku, jeśli to rozkaz, to go wykonam. Ale uprzedzam, że nigdy wcześniej nie prowadziłem ciężarówki.

Myśl o tym, jak będzie ze zgrzytem zmieniał biegi, zatrzymując się co chwila pośrodku strzelaniny, kiedy to jeden stojący pojazd może zablokować całą kolumnę, lub, co gorsza, pozostać w tyle, przerażała Squeglię. Porucznik skrzywił się i poszedł poszukać innego kierowcy. Squeglia na nowo zabrał się do zbierania karabinów należących do zabitych i rannych. Później będzie je czyścił i naprawiał. Teraz tylko zgromadził je na łóżku – tworzyły stertę wybrudzonej krwią stali. Mina porucznika sprawiła, że Squeglia poczuł się winny i przybity. Każdy się bał. Niektórzy gorączkowo palili się do walki, inni szukali sposobu, aby uniknąć wyjazdu do miasta. Squeglia nie należał ani do jednych, ani do drugich. Po tym, jak zobaczył żołnierzy z zaginionego konwoju, wewnętrzny głos mówił mu, że powrót do miasta byłby szaleństwem, samobójczym wybrykiem. Niemniej musiał tam pojechać. Rangersi mieli zająć miejsca na platformach ciężarówek wyłożonych workami z piaskiem, które nie były w stanie zatrzymać ani jednej cholernej kuli, a następnie wyjechać na ulice miasta,

gdzie każdy wychudzony, somalijski skurwysyn będzie próbował ich zabić. I po co im to? Malezyjczycy mieli przynajmniej opancerzone pojazdy. Squeglia był gotów na wyjazd do miasta. Zrobi, co do niego należy, ale nauka jazdy ciężarówką w strefie ostrzału byłaby głupotą.

Kiedy nadszedł czas, by wsiadać do samochodów, Squeglia wziął pistolet, a także karabin CAR-15, do którego doczepił granatnik M203. Dopilnował, aby wejść do ciężarówki, kiedy będzie już prawie zapełniona. Wykalkulował, że najbezpieczniejszym miejscem, o ile takie w ogóle istniało, była przestrzeń z tyłu, tam, gdzie znajdowało się zapasowe koło i tłumik. Skulił się za kołem. Być może gumowa opona zatrzyma jakiś pocisk. Worki z piaskiem z pewnością tego nie zrobią.

Zanim konwój zdążył wyjechać z bazy, specjalista Chris Schleif pobiegł do hangaru, przeszukał stertę broni na łóżku Squeglii i wyciągnął M60 Dominica Pilli. Broń wraz z amunicją wciąż były zabrudzone krwią i kawałkami mózgu zabitego. Schleif zostawił własny karabin i wsiadł do hummera z M60 Pilli.

– Nie miał okazji nikogo z niego zabić – wyjaśnił Schleif specjaliście Bradowi Thomasowi, który, podobnie jak Schleif, jechał do miasta po raz trzeci. – Zrobię to dla niego[268].

Była dwudziesta pierwsza trzydzieści, kiedy siły ratownicze wyruszyły z lotniska i pojechały na północ, do New Port, aby tam połączyć się z Malezyjczykami i Pakistańczykami. Większość rangersów, wszyscy operatorzy Delty, komandosi SEAL i ludzie z zespołu kontroli bojowej, którzy nie zostali jeszcze zabici bądź ranni, a także dwie kompanie 10. Dywizji Górskiej, tworzyli ogromną grupę składającą się z blisko pięciuset żołnierzy. Dodatkowo czekały na nich transportery Malezyjczyków – niemieckie pojazdy opancerzone Condor UR-425. Były to pomalowane śnieżnobiałą farbą, stalowe „kontenery" na kółkach z kierowcą z przodu i okienkiem dla strzelca z tyłu. W każdym transporterze mieściło się sześciu żołnierzy. Pakistańczycy korzystali z amerykańskich czołgów M48 Patton. Wojska pancerne ustawiły się w szeregu i były gotowe do wyjazdu, kiedy pojawił się długi konwój złożony z ciężarówek i hummerów, ale skoordynowanie tego dziwnego zbiorowiska pojazdów – podpułkownik David nazwał je „burdelem" – miało zająć trochę czasu.

Podpułkownik od razu przystąpił do działania. Zaczął opracowywać plan, patrząc na rozłożoną na dachu hummera mapę oświetlaną latarkami przez stojących dokoła żołnierzy. Odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że większość malezyjskich i pakistańskich oficerów mówi po angielsku. Kłótnia, a raczej dyskusja pomiędzy nim a malezyjskimi oficerami trwała jakiś czas. Z początku nie chcieli zabrać swojej piechoty z transporterów, ale ustąpili, kiedy David zgodził się, żeby w każdym z pojazdów zostali malezyjscy strzelcy i kierowcy. Ponieważ radia poszczególnych jednostek nie były kompatybilne, w pojazdach trzeba było umieścić radia Amerykanów. Przećwiczono procedury przeciwpożarowe, kroki mające zapobiec przypadkowemu ostrzelaniu własnych wojsk, sygnały wywoławcze, prześledzono przebieg trasy i omówiono szereg innych istotnych zagadnień.

David zdawał sobie sprawę, że pośpiech jest ważny, ale uważał, iż nie jest on rzeczą nadrzędną. Wiedział, że na miejscu pierwszej katastrofy czekają poważnie ranni żołnierze, dla których liczy się każda minuta. Z drugiej strony dowodzony przez niego konwój to wszystko, co mieli. Jeśli spieprzą sprawę i nie dotrą

do wraku, a potem zostaną rozdzieleni lub ugrzęzną na terenie miasta, kto ich ocali? Jeżeli jeden lub dwóch żołnierzy umrze, czekając na pomoc, będzie można mówić o tragedii, ale wyciągnięcie z opresji dziewięćdziesięciu siedmiu pozostałych żołnierzy i bezpieczne poprowadzenie konwoju do miasta, a następnie wyprowadzenie go stamtąd było sprawą nadrzędną[269].

Dla rangersów i żołnierzy z 10. Dywizji, którzy widzieli condory po raz pierwszy, pojazdy wyglądały jak trumny na kółkach. Wybór pomiędzy transporterami opancerzonymi a pięciotonowymi, obłożonymi workami piasku ciężarówkami, był jak wybieranie spomiędzy dwóch rodzajów trucizn: żołnierze mieli zdecydować, czy wolą zostać podziurawieni kulami na platformie ciężarówki czy usmażeni przez granat, który przebije poszycie transportera lub zostanie wrzucony do wieży strzelniczej. Z ociąganiem zaczęli wsiadać do condorów godzinę czy nawet więcej po przybyciu do New Port. Po bokach pojazdów znajdowały się jedynie niewielkie otwory, co oznaczało, że większość siedzących w transporterach żołnierzy nie będzie nic widziała podczas jazdy. Myśl o tym, że zawiozą ich tam Malezyjczycy, tym bardziej nie poprawiała im nastroju.

Mijały godziny bezczynnego czekania, a rangersi gotowali się z niecierpliwości. Uważali, że powolna, ściśle trzymająca się przepisów regularna armia opóźnia akcję ratunkową, która powinna zostać przeprowadzona bezzwłocznie. Patrząc na tył kolumny, można było odnieść wrażenie, że nikt nic nie robi. Niektórzy żołnierze z 10. Dywizji drzemali w pojazdach. Spali! Sierżant rangersów Raleigh Cash nie posiadał się ze złości. Jego kumple umierali w mieście, a ci kolesie ucinali sobie drzemkę w samochodach? Dlaczego, do cholery, jeszcze nie wyruszyli? Pogodził się z samym sobą, już kiedy jechał w stronę miasta w „konwoju kucharzy", który musiał porzucić wysiłki uratowania Duranta i jego załogi. Jeśli ma dziś umrzeć, niech tak będzie. Poczucie lojalności było silniejsze niż wola przetrwania. Przemyślał wszystko skrupulatnie. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, więc jeśli otrzyma postrzał, to prawdopodobnie w rękę lub nogę, a na miejscu będą sanitariusze, którzy się nim zajmą. Będzie bolało, ale to nie pierwsza rana w jego życiu. Jeżeli pocisk trafi w głowę, umrze na miejscu i nie będzie czuł bólu. Jego życie zwyczajnie się skończy. Tak po prostu. Koniec. Przyjaciele zajmą się jego rodziną. Jeśli zginie, to znaczy, że tak miało być.

Kiedy nadeszła wieść o śmierci Smitha, który wykrwawił się, czekając na pomoc, Cash stracił panowanie nad sobą. Zniecierpliwiony wyładował złość na oficerze 10. Dywizji. Powiedział mu, że zanim rangersi nie musieli działać razem z ich jednostką, nikt nie miał problemu z dotarciem na pole walki.

– Słuchaj, to nie my opóźniamy porę wyjazdu – zaprotestował oficer. – Jesteśmy gotowi tak samo jak i wy. Musisz mieć trochę zaufania do dowódców.

– To trwa za długo – odpowiedział Cash podniesionym z gniewu głosem. – Moi przyjaciele tam umierają! Musimy natychmiast wyruszać!

Pojawił się dowódca plutonu Casha, aby go uciszyć.

– Zapewniam cię, że każdy z nas chce już wyruszać.

Nim wybiła dwudziesta trzecia, David przygotował „burdel" do drogi i był z siebie dumny. Organizacja tej kolumny to jedno z najpoważniejszych zadań, jakie otrzymał w życiu. Czołgi Pakistańczyków miały wprowadzić konwój do miasta. Każdy z jadących za nimi plutonów miałby do dyspozycji cztery transportery, pomiędzy którymi jechałyby również hummery i ciężarówki. Helikoptery Cobra należące do sił szybkiego reagowania miały zapewnić wsparcie z powietrza. Wszyscy podjadą do punktu przegrupowania na National Street, po czym połowa sił uda się w kierunku wraku Super Six Four, śmigłowca Duranta, a druga część na północ, gdzie leżał Super Six One Wolcotta oraz gdzie utknęła duża część wojsk. Utworzyli łącza telekomunikacyjne, wyznaczyli oficerów łącznikowych – w końcu byli gotowi do drogi.

Nagle nadbiegła grupa pakistańskich oficerów. Ich dowódca sprzeciwił się, by czołgi jechały na czele konwoju. To komplikowało sprawy, ponieważ czołgi były potrzebne do sforsowania robiących wrażenie barykad ulicznych (wykopane rowy, porzucone karoserie samochodów i ciężarówek, stosy kamieni, płonące opony i śmieci) wzniesionych przez Somalijczyków w celu zablokowania dróg prowadzących z obiektów ONZ. Ponieważ New Port stanowiło bazę Pakistańczyków i to oni wytyczyli trasę do punktu przegrupowania, zdecydowano się na kompromis. Czołgi poprowadzą konwój do ronda K-4, następnie wycofają się, by zająć miejsce pośrodku kolumny.

Wówczas pojawiły się kolejne problemy, które dowodziły tego, że obecność dużej liczby dowódców może stać się przyczyną przegranej bitwy. Po porozumieniu się ze zwierzchnikami Malezyjczycy orzekli, że kazano im trzymać transportery na głównych drogach. Podali ten sam powód, dla którego Garrison ocenił wcześniej, iż Mogadiszu nie jest dobrym miejscem do walki z wykorzystaniem wojsk pancernych. Czołgi i transportery miały problem z manewrowaniem w zawiłej sieci wąskich uliczek. Duże, powolne pojazdy były narażone na atak – nieprzyjaciel mógł rzucić granatem z dachu lub drzewa, a nawet podkraść się blisko i wypalić z karabinu, przebijając powłokę opancerzonego pojazdu.

David wrócił do swojego hummera i po raz kolejny naradził się z oficerami. Powiedział do kapitana Meyerowicha:

– Słuchaj, Drew. Twoja kompania musi nas poprowadzić.

Pakistańczycy zgodzili się pojechać na czele konwoju do ronda K-4, które stanowiło granicę terenu Aidida. Tam mieli przejąć prowadzenie przemieszczający się głównie w condorach żołnierze z kompanii Meyerowicha.

Była dwudziesta trzecia dwadzieścia trzy[270].

3

Kiedy kapitan Steele usłyszał wystrzały działek i karabinów zbliżającego się do nich ogromnego konwoju, zdał sobie sprawę, że najniebezpieczniejsza część nocy jest dopiero przed nimi. Księżyc był już

wysoko na niebie. Strzelanina w okolicy, gdzie leżał pierwszy rozbity śmigłowiec, prawie ustała, tylko od czasu do czasu rozlegały się pojedyncze wystrzały. Dym opadł, a zapach prochu ulotnił się. Czuli tylko piżmową woń Somalii i pustynny pył w powietrzu oraz lekki posmak po tabletkach jodowych w manierkach. Co jakiś czas któryś ze „zdechlaków" szedł w górę ulicy, gdzie wchodził w sam środek zajmowanego przez Amerykanów obszaru. Operatorzy Delty pozwalali mu dojść do miejsca, w którym mogli wziąć go w krzyżowy ogień i zabić kilkoma strzałami. Co jakiś czas któryś ze śmigłowców Little Bird przetaczał się z łoskotem nad ulicą, aby wystrzelić rakietę lub wypuścić serię z działka pokładowego. Jedynym jednak dźwiękiem, jaki obchodził teraz Steele'a, było narastające dudnienie wystrzałów dochodzące od strony spieszących do nich z pomocą pojazdów. Biorąc pod uwagę intensywność strzałów padających od strony konwoju, podenerwowanie żołnierzy oraz panującą dokoła ciemność, największym zagrożeniem dla uwięzionych w mieście żołnierzy byli ich wybawcy.

– „Romeo Six Four [Harrell], tu Juliet Six Four [Steele]. Co zrobić, żeby konwój nie postrzelił naszych?".

– „Żołnierze w kolumnie wiedzą, że wasza pozycja jest oznaczona promiennikiem podczerwieni i będą go wyglądać. Jeśli masz jakieś wątpliwości, poświeć w ich kierunku czerwoną latarką diodową".

Kapitan Miller, który znajdował się trochę dalej w górę ulicy, także miał obawy:

– „W zbliżającej się grupie są Malezyjczycy i kto jeszcze, odbiór?".

– „Malezyjczycy i Amerykanie, również rangersi, odbiór".

Miller dodał z nadzieją w głosie:

– „W takim razie w każdym pojeździe znajduje się noktowizor, dzięki któremu będą mogli zobaczyć promiennik podczerwieni, odbiór?".

– „Takie dostali instrukcje, odbiór".

Za kilka minut śmigłowiec dowodzenia poinformował Millera:

– „Zbliżają się. Jednostka prowadząca posiada urządzenia noktowizyjne, zatem powinni zauważyć wasz promiennik, Scotty, odbiór".

Dowiedziawszy się, że żołnierze Delty, włączając w to majora Jamesa Nixona, Johna Macejunasa, Matta Riersona i Chucka Essweina będą na czele kolumny, Miller i pozostali dowódcy poczuli niesamowitą ulgę.

Konwój ratunkowy nadjeżdżał od południa. Sądząc po odgłosie, jechali tą samą trasą, którą za dnia podążali rangersi i operatorzy Delty, kiedy biegli tu od strony hotelu Olympic. Oznaczało to, że kolumna najpierw dotrze do pozycji Steele'a. Pomoc zbliżała się powoli, a hałas sugerował, że strzelają do wszystkiego,

co się rusza. Było za dziesięć druga nad ranem. Nie mając noktowizorów, nie widzieli zbliżających się pojazdów. Pozostawało tylko przykucnąć i czekać, mając nadzieję, że konwój nie ostrzela ich pozycji.

– „Romeo Six Four, tu Juliet Six Four. Umieścimy promienniki podczerwieni bezpośrednio przy frontowych ścianach budynków. Mamy zamiar wyrzucić też czerwony świetlik, aby oznaczyć miejsce, gdzie znajdują się ranni. Czy któryś z transporterów mógłby podjechać jak najbliżej czerwonych świetlików? To ułatwiłoby ewakuację rannych, odbiór".

– „Zrozumiałem. Ale uważajcie z czerwonymi świetlikami, bo te somalijskie gnojki mogą zacząć strzelać w ich stronę, odbiór".

– „Mówisz, że chłopaki będą mieli noktowizory?".

– „W prowadzącej jednostce mamy ludzi z noktowizorami, którzy będą wypatrywali waszych promienników podczerwieni, odbiór".

Sytuacja była napięta. Minęła już prawie godzina od momentu, kiedy powiedziano Steele'owi, że konwój dotrze do niego za 20 minut.

– „Romeo, tu Juliet. Wydaje mi się, że skręcili na północ. Naziemne siły reagowania skręciły na północ. Czy otrzymali szacunkowy czas przybycia na miejsce?".

– „Nie, jadą powoli, nie spieszą się, Trochę im to zajmie, Mike. Biorąc pod uwagę to, gdzie są teraz, potrzebują jeszcze 15, 20 minut".

– „W porządku. Jesteśmy tu w miarę bezpieczni. Wydaje mi się, że ostrzał śmigłowców Little Bird ostudził zapały buntowników".

Około drugiej nad ranem nadeszła wiadomość ze śmigłowca dowodzenia.

– „Dobra, przygotujcie się do wyniesienia się stamtąd, ale trzymacie głowy nisko. Teraz będzie naprawdę gorąco".

– „Odebrałem i zrozumiałem. Pozycje są oznaczone. Jesteśmy gotowi do drogi" – odparł Steele.

– „Zrozumiałem, przypuścili naprawdę gwałtowny szturm, więc bądźcie ostrożni".

– „Z pewnością będziemy".

Steele połączył się przez radio z Perinem:

– Wkrótce dołączy do nas konwój. Chcę, żeby wszyscy opuścili dziedziniec oraz aby nikt się nie zbliżał do drzwi i okien.

Rangersi schowali się więc w budynkach jak żółwie w skorupach i nasłuchiwali. Bali się żołnierzy z 10. Dywizji. Uważali ich za kiepsko wyszkolonych debili, których niewiele różniło od całkowicie niekompetentnych cywilów.

Minęło pięć minut. Dziesięć minut. Piętnaście. Kolejne połączenie ze śmigłowca dowodzenia:

– „Podaję aktualne informacje. Nadal są na zakręcie, zawracają. Mieli mały problem z ustaleniem kierunku jazdy. Wkrótce ruszą z miejsca. Dam wam znać, jak tylko zaczną się przemieszczać na północ".

Perino połączył się z kapitanem Steele'em:

– Gdzie oni są? – zapytał.

Steele odparł:

– Zaraz będą.

Obaj parsknęli śmiechem[271].

4

Kapitan Drew Meyerowich przebywał razem z operatorami, którzy prowadzili jego część konwoju ratunkowego w stronę pozycji Steele'a i Millera. Po drodze brali udział w zaciekłej strzelaninie. Dwóch malezyjskich kierowców skręciło nie w tę ulicę, co trzeba, i wywiozło trzydziestu żołnierzy Meyerowicha w złym kierunku. Po drodze czekały na nich zasadzki Somalijczyków, znaleźli się pod ciężkim ostrzałem, a jeden z ludzi kapitana, sierżant Cornell Houston, został śmiertelnie ranny[272].

Specjalista Squeglia, mimo wcześniejszych, starannie przemyślanych planów, ostatecznie znalazł się w jednym z hummerów. Nieprzerwany huk wystrzałów dobiegał głównie od strony konwoju, który był tak rozciągnięty, że z pojazdu pośrodku kolumny Squeglia nie widział ani jej początku, ani końca. Żaden pojazd nie miał włączonych świateł, ale błyski luf i eksplozje oświetlały całą długą linię samochodów. W pewnej chwili zobaczył dwa martwe, nadal przypięte do wozów osły, które leżały na boku drogi. W powietrzu unosił się smród spalin, a przez otwarte boczne okno hummera do Squeglii docierał zapach prochu z jego broni zmieszany ze smrodem palonych opon oraz właściwą dla Somalii ostrą wonią zgnilizny. A on znalazł się w samym centrum tego syfu.

Kiedy nieprzyjaciel wypuścił nagle w ich kierunku całą serię pocisków, od maski samochodu odbił się granat przeciwpancerny. Uderzył kilka metrów dalej, a dźwięk eksplozji zabrzmiał, jak odgłos kontenera zrzuconego z dachu na ziemię. Squeglia poczuł wstrząs wywołany eksplozją – miał wrażenie, że silny podmuch chce rozsadzić mu piersi, po czym do płuc wdarł się wszechobecny dym. W momencie wybuchu wszyscy padli na podłogę.

– Jasna cholera, co to było? – krzyknął specjalista David Eastabrooks, który siedział za kierownicą.

– Jezu – jęknął sierżant Richard Lamb siedzący na przednim miejscu dla pasażera. – Chyba dostałem.

– Gdzie? – zapytał Squeglia.

– W głowę.

– O Boże.

Jeden z siedzących w samochodzie mężczyzn wyciągnął latarkę z czerwonym światłem i skierował ją na czoło Lamba. Po jego twarzy płynęła strużka krwi, a dokładnie pośrodku czoła znajdował się niewielki, równy otwór.

– Chyba nic mi nie jest – odezwał się Lamb. – Inaczej już bym z wami nie rozmawiał.

Owinął sobie wokół głowy bandaż. Później lekarze stwierdzą, że odłamek pocisku wbił się dokładnie pomiędzy dwoma przednimi płatami mózgu, zaledwie w odległości około dwóch centymetrów od niezbędnych do życia tkanek. Czuł się dobrze. To było takie uczucie, jakby uderzył w coś głową. O wiele bardziej bolało, kiedy kilka minut później kula uderzyła go w mały palec prawej dłoni, odrywając koniuszek, który teraz wisiał na pasku skóry. Squeglia zobaczył kość wystającą ze zmiażdżonego palca kumpla. Lamb tylko zaklął i nałożył koniuszek palca z powrotem, przykleił go srebrną taśmą klejącą i wrócił do obsługi radia[273].

Od wyjazdu z bazy specjalista Dale Sizemore nie przestawał strzelać. Przed wyjazdem przeciął gips, by zdjąć go z ręki i wziąć udział w walce. Nareszcie mu się udało. Dzięki noktowizorom on i pozostali żołnierze w długiej kolumnie pojazdów mieli ogromną przewagę nad Somalijczykami. Sizemore położył się na brzuchu w tylnej części hummera i wypatrywał ludzi, do których mógłby strzelić. Kiedy nie widział ani śladu wroga, strzelał w stronę okien i drzwi. Przeważnie nie mógł dostrzec, czy kogoś trafił czy nie. Urządzenie noktowizyjne znacząco ograniczało widzenie obwodowe. Tak naprawdę nie chciał widzieć, czy kogoś trafił, ani się teraz nad tym zastanawiać.

W pewnym momencie w kierunku jego twarzy poleciał snop iskier. Odwrócił się i zobaczył dziurę wielkości pięści zaledwie kilkanaście centymetrów od swojej głowy. Nie obeszło go to. Kiedy jeden z granatów przeciwpancernych uderzył w którąś z ciężarówek z przodu, wybiegli z niej żołnierze, którzy zbliżyli się do ich samochodu, szukając schronienia przed pociskami. Specjalista Erik James, sanitariusz, podbiegł do otwartego włazu w tylnej części samochodu Sizemore'a. W rękach trzymał kewlarowy koc.

– Macie miejsce? – zapytał. Wyglądał na oszołomionego i przestraszonego.

Sizemore wraz z szeregowym Brianem Connerem posunęli się trochę, aby zrobić mu miejsce.

– Wsiadaj, przykryj głowę kocem, a nic ci nie będzie – odparł Sizemore. Wykalkulował, że zawsze dobrze mieć obok siebie sanitariusza. James pomyślał, że Sizemore właśnie uratował mu życie.

Specjalista Steve Anderson znajdował się w hummerze jadącym blisko pojazdu Sizemore'a. Siedział z tyłu, za kierowcą, wpatrując się w celownik noktowizyjny M249. Za każdym razem, kiedy kolumna stawała, a zdarzało się to dość często, wszyscy mieli wysiąść z wozów i osłaniać konwój. Za pierwszym razem, kiedy się zatrzymali, Anderson zawahał się. Nie chciał wystawiać nóg z samochodu. Niedawno, podczas pobytu w domu przed przybyciem do Somalii, rozpoczął naukę akrobacji powietrznych. Teraz więc nagle sparaliżował go strach. Bał się, że otrzyma postrzał w nogę. Już podczas wcześniejszej misji został lekko ranny w nogi. Kiedy jeszcze był w domu, po raz pierwszy ćwiczył swobodne spadanie przy zamkniętym spadochronie. To dopiero było przeżycie! A co jeśli odstrzelą mu stopę i już nigdy nie będzie mógł skakać? Anderson z niechęcią wyszedł z samochodu.

Podczas jednego z takich postojów razem z Sizemore'em stali na zewnątrz bardzo długo, wydawało się, że bez końca, wypatrując jakiegokolwiek śladu snajpera w oknach dwupiętrowego budynku. Po jakimś czasie Anderson zauważył, że w dachu hummera, tuż obok nich, znajduje się rysa i wgniecenie. W tym miejscu musiał odbić się pocisk.

– Widziałeś to wcześniej? – zapytał Sizemore'a.

Nie, kumpel nic nie widział. Wgniecenia nie było też jeszcze, kiedy wysiadali z wozu. Oznaczało to, że kula przeleciała pomiędzy nimi, zaledwie o kilka centymetrów obok, a oni nawet tego nie zauważyli.

Przez większość czasu Anderson czuł się otępiały, ślepy na niektóre wydarzenia. Widział ślady pocisków smugowych, słyszał strzały tak głośne, że wydawało się, iż lada chwila noc pęknie w szwach, ale nie wiedział, skąd dochodzą, ani nie mógł dostrzec nikogo, do kogo mógłby wystrzelić. Za to Sizemore pozbywał się amunicji tak szybko, jak tylko był w stanie ładować broń. Anderson patrzył z podziwem na pewność siebie przyjaciela, który nie zważał na grożące mu niebezpieczeństwo – jego zachowanie onieśmielało, a równocześnie mobilizowało Andersona do walki.

Sizemore wystrzelił prawie pełen magazynek amunicji w kierunku stojącego około piętnastu metrów dalej budynku. Kiedy skończył, Anderson zobaczył wystrzelone pociski, które żarzyły się blisko ziemi – zatem Sizemore musiał kogoś trafić. Kule, które uderzały w ziemię lub budynek, odbijały się od nich i odskakiwały w różne strony. Jeśli natomiast uderzyły w ciało, jeszcze przez kilka chwil żarzyły się.

– Nie widziałeś ich? – spytał Sizemore Andersona. – Stała tam cała banda. Strzelali do nas.

Anderson nikogo nie zauważył. Czuł się zupełnie nieobecny. Kilka minut później zobaczył, że na dachu hummera pojawiło się kolejne wgniecenie, tuż obok pierwszego. Miał nadzieję, że jego kumpel uciszył już karabin, który zostawił nową rysę.

Podczas jednego z postojów Anderson i pozostali żołnierze z hummera znaleźli się blisko jednopiętrowego budynku, do którego otworzył ogień Malezyjczyk z transportera stojącego jakieś sześć metrów od nich. Pociski leciały w stronę budynku, zostawiając czerwone smugi pośród ciemności, dzięki czemu Anderson mógł śledzić ich trajektorię. Wszystkie odbijały się od budynku tuż obok niego. Zbudowane z

kamieni ściany domu były nierówne, więc istniało prawdopodobieństwo, że któryś z pocisków odbije się w jego stronę. Nie pozostało mu jednak nic innego, jak przyglądać się im. Jedna z kul odskoczyła od ściany budynku i przeleciała nad ulicą, zakreślając ostry łuk, jak piłka podkręcona przez baseballistę.

Szeregowy Ed Kallman znajdował się w innej części długiego konwoju. Znów siedział za kierownicą i podobnie jak pozostali był zdumiony grą świateł za szybą pojazdu. Lewe ramię i ręka Kallmana były mocno posiniaczone po tym, jak w drzwi prowadzonego przez niego hummera uderzył granat przeciwpancerny. Pocisk wybuchł, ale tylko ogłuszył Kallmana. Szeregowy czuł się całkiem nieźle; znów podekscytowany i dość bezpieczny wśród tak potężnej armii. Po dłuższych okresach względnej ciszy noc nagle ożywała tysiącem świateł i eksplozji. Jeden lub dwa strzały z domów znajdujących się po obu stronach ulicy wystarczały, aby kolumna odpowiedziała zmasowanym ogniem. Widać było pociski smugowe wystrzeliwane z długiej linii, jaką tworzył konwój; dosłownie tysiące kul na sekundę leciało w stronę całego szeregu domów. Przez noktowizor Kallman widział podobnie jak przez lunetę – oglądany obraz był ograniczony i miał kształt koła. Niejako zmieniało to sposób postrzegania sceny przez szeregowego. Poza tym noktowizor, który znajdował się w odległości niespełna 2 centymetrów od twarzy Kallmana, promieniował ciepłem. Zaczęły go przez to boleć oczy, więc co chwila spoglądał w dół lub na boki, aby dać im trochę odpocząć.

Potem zatrzymali się w miejscu, w którym będą później czekać przez kilka godzin. Kallmanowi polecono, aby wycofał pojazd w dół ulicy i zatrzymał się w połowie drogi do następnego skrzyżowania. Kiedy tylko ruszył, w miejscu, w którym przed chwilą stali, eksplodował granat przeciwpancerny. Kallman i reszta ludzi w hummerze roześmiała się. Spadł na nich grad odłamków, ale na szczęście nikt nie odniósł obrażeń. Kallman podjechał kilka metrów do przodu, chcąc upewnić się, że samochód nie został uszkodzony.

Przez resztę nocy przysłuchiwał się prowadzonym przez radio rozmowom, starając się wyłowić z nieustającej paplaniny istotne informacje i zorientować się w sytuacji.

Jadący bliżej przodu kolumny sierżant Jeff Struecker był wstrząśnięty intensywnością strzałów. Słyszał, jak przed wyjazdem starszy sierżant sztabowy 10. Dywizji Górskiej mówi do żołnierzy: „Żarty się skończyły. Strzelajcie do wszystkiego, co się rusza". Najwyraźniej chłopaki potraktowały jego słowa poważnie.

Struecker polecił strzelcowi ze swojego pojazdu, aby starannie dobierał cele.

– Kiedy strzelasz z M2, pocisk leci naprawdę daleko – wyjaśnił sierżant. Najwyraźniej reszta konwoju nie podjęła takich środków zapobiegawczych. Razili pociskami całą okolicę[274].

5

Wcześniej, za dnia, helikoptery Amerykanów zaatakowały warsztat samochodowy Kassima Sheika Mohameda – wysokiego, muskularnego przedsiębiorcy o okrągłej twarzy, dumnym kroku i uśmiechu mąciwody. Warsztat został zbombardowany, ponieważ Kassim, będąc bogatym człowiekiem, wynajął

uzbrojonych ludzi do pilnowania budynku. Podczas bitwy nawet najmniejsza grupka Somalijczyków z karabinami znajdująca się nieopodal miejsca, gdzie toczyły się walki, stanowiła cel dla strzelców. Atak ten zresztą nie do końca był pomyłką, gdyż Kassim był zamożnym członkiem klanu Habr Gidr i poplecznikiem Mohameda Faraha Aidida.

Kiedy zaczął się ostrzał warsztatu, Kassim pobiegł do pobliskiego szpitala. Zakładał, że Amerykanie nie zaatakują tego miejsca. Pozostał tam przez dwie godziny. Kiedy wrócił, w miejscu warsztatu zastał tlące się ruiny. Siła wybuchu wyrzuciła zakupiony przez Kassima biały land-rover należący wcześniej do ONZ cztery metry w górę, po czym samochód spadł prosto na stertę stalowych skrzyń. Wyglądał, jakby ktoś go tam celowo zaparkował. Część kosztownego sprzętu do robót ziemnych została zniszczona. Jego przyjaciel, a zarazem księgowy, czterdziestodwuletni Ahmad Sheik, a także jeden z mechaników, trzydziestodwuletni Ismael Ahmed, nie żyli.

Wkrótce miał zapaść zmierzch, a zmarli, zgodnie z prawem islamskim, powinni zostać pochowani przed zachodem słońca. Kassim razem z pozostałymi przy życiu pracownikami zabrali zwłoki na pobliski cmentarz Trabuna. Po drodze napotkali helikopter, który przeleciał nisko nad nimi i wystrzelił serię pocisków. Na szczęście nie trafił w samochód.

Na cmentarzu było pełno zawodzących ludzi. Zrobiło się już ciemno, a z oddali wciąż dobiegały wystrzały. Każde wolne miejsce na cmentarzu zajęły tłumy kopiących groby Somalijczyków. Kassim wraz z pozostałymi podjechał do jednego z nielicznych niezajętych jeszcze miejsc. Chwycili łopaty, wyciągnęli dwa ciała z tylnej części samochodu i zaczęli nieść je w stronę miejsca pochówku. Wówczas pojawił się jeszcze jeden helikopter, który przestraszył ich tak, że rzucili ciała i łopaty na ziemię, po czym uciekli.

Ukryli się za murem, czekając, aż śmigłowiec odleci. Następnie podnieśli zawinięte w prześcieradła zwłoki z ziemi i ponieśli je dalej. Nagle zbliżył się do nich kolejny helikopter. Ponownie rzucili zwłoki i łopaty, a potem pobiegli do muru. Tym razem zostawili ciała Ahmada Sheika oraz Ismaela Ahmeda i odjechali, uzgodniwszy, że pojawią się tu w nocy, aby ich pochować.

Czterech ludzi Kassima wróciło na cmentarz około północy. Od strony miasta nadal dobiegał huk wystrzałów. Zanieśli ciała w stronę niewielkiego wzniesienia i zaczęli kopać groby. Jednak znów nadlecieli Amerykanie w helikopterze, który zawisł nisko nad ziemią, rzucając na ziemię snop światła. Pracownicy Kassima uciekli, zostawiając zwłoki na ziemi.

Wrócili o trzeciej w nocy, kiedy to nareszcie udało im się pogrzebać Ahmada Sheika i Ismaela Ahmeda[275].

Połowa konwoju ratunkowego pojechała na południe, w stronę śmigłowca Duranta. Pojazdy stanęły na obrzeżach przypominającej getto wioski, wśród skleconych z blachy i szmat domostw, między którymi runął Super Six Four. W ciemnościach nieoznaczony na żadnej mapie, prowadzący w stronę wioski labirynt ścieżek wyglądał wyjątkowo niebezpiecznie – jechać tam to jakby pchać się prosto do gniazda szerszeni. Sierżant John „Mace" Macejunas, nieustraszony operator Delty, który jechał do miasta już po raz trzeci, wyszedł z hummera, po czym osobiście poprowadził niewielki oddział pieszy; żołnierze mieli na oczach noktowizory i rękoma pomagali sobie w znalezieniu drogi w miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej kumple Mace'a, Randy Shughart i Gary Gordon, po raz ostatni w życiu desantowali się z helikoptera.

Dokoła wraku znaleźli kałuże i ślady krwi, fragmenty podartego ubrania i pełno łusek po pociskach, ale nie było tu karabinów. Nie pozostał też żaden inny ślad po ich kumplach z oddziału, Shugharcie i Gordonie ani po Durancie i trzech pozostałych członkach załogi śmigłowca. Żołnierze przeszukali chaty wokół wraku, dopytując się o Amerykanów z rozbitego helikoptera przy pomocy tłumacza, ale nikt nie chciał nic powiedzieć. Ryzykując, że ściągną na siebie strzały, wykrzykiwali kolejno imiona i nazwiska zaginionych: „Michael Durant!", „Ray Frank!", „Bill Cleveland!", „Tommie Field!", „Randy Shughart!", „Gary Gordon!". Odpowiedziała im cisza.

Następnie żołnierze, pod nadzorem Macejunasa, podłożyli pod helikopter granaty termiczne. Poczekali, aż nastąpi eksplozja, podczas której Super Six Four zmienił się w białą kulę ognia, a potem wrócili do konwoju[276].

Prowadzona przez Meyerowicha północna połowa konwoju miała poważne opóźnienie z powodu dużej barykady ulicznej wzniesionej na Hawlwadig Road, w pobliżu hotelu Olympic. Malezyjscy kierowcy odmówili przejazdu przez barykadę, ponieważ w przeszłości zdarzało się, że takie przeszkody były mocno zaminowane.

Meyerowich przekazał oficerowi łącznikowemu:

– Powiedz im, że miny przeciwpiechotne nic im nie zrobił – powiedział.

Jeden czy dwa razy wysiadł z hummera, podszedł do transportera na przodzie i krzyczał. Machając rękoma, nakłaniał kierowcę, by ruszył przed siebie. Prowadzący condory Malezyjczycy nie chcieli jednak jechać dalej. Konwój utknął na jakiś czas w miejscu, a żołnierze musieli wysiąść z pojazdów i rozebrać blokadę rękami.

Meyerowich i operatorzy Delty postanowili nie zwlekać i wziąć problem związany z barykadą w swoje ręce. Biegli wzdłuż kolumny pojazdów, uderzając o drzwi i krzycząc, aby wszyscy żołnierze wysiedli z samochodów. Wiedzieli, że od przygwożdżonych przez nieprzyjaciela żołnierzy dzieli ich już tylko kilka przecznic.

– Wysiadajcie! Wysiadajcie! Amerykanie, wysiadajcie[277]!

Jednym z tych, którzy ostrożnie wyszli na ulicę, był specjalista Phil Lepre. Wcześniej, kiedy podczas zaciekłej strzelaniny wjeżdżali do miasta, pociski wroga głośno uderzały o boki transportera. Lepre wyjął wówczas noszone w hełmie zdjęcie nie tak dawno narodzonej córki i pocałował je na do widzenia:

– Kochanie, mam nadzieję, że będziesz miała wspaniałe życie – powiedział i wysiadł z pojazdu na ulicę pogrążonego w ciemności Mogadiszu, a następnie razem z dwoma innymi żołnierzami podbiegł do muru i skierował M16 w stronę drogi. Kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności, kilka przecznic dalej zobaczył zbliżającą się grupę Somalijczyków.

– Widzę „chuchraków", którzy biegną w moim kierunku.

Jeden z operatorów polecił mu strzelać, więc Lepre wypuścił serię w kierunku tłumu. Najpierw strzelił nad głowami, ale ponieważ ludzie nie zaczęli uciekać, wycelował bezpośrednio w nich. Kilku upadło, a ich pozostali przy życiu towarzysze ściągnęli rannych z ulicy.

Tymczasem na skrzyżowaniu żołnierze rozbierali rękoma barykadę, pozostając pod ciężkim ostrzałem. Lepre pobiegł ulicą przed siebie, a inni podążyli za nim. Rozdzielili się i zajęli miejsca po obu stronach drogi, kilka przecznic przed transporterami. Na zmianę biegli, przystawali, czekali moment, po czym biegli dalej – żywe części składającej się z ludzi, rozciągającej się w północnym kierunku harmonii. Podczas któregoś z postojów znaleźli się pod silnym ostrzałem z pobliskiego budynku. Zaczęli szukać osłony oraz punktu obserwacyjnego, z którego mogliby odpowiedzieć ogniem.

– Chodź tutaj, zajmij moją pozycję! – krzyknął Lepre do dwudziestotrzyletniego szeregowego Jamesa Martina.

Martin podbiegł i schował się za murem. Lepre przesunął się zaledwie dwa kroki w prawo, kiedy Martin otrzymał postrzał w głowę. Pocisk uderzył tak mocno, że szeregowy poleciał do tyłu. Lepre zobaczył małą dziurę w czole Martina.

Rozległy się głosy Leprego i pozostałych:

– Sanitariusz! Potrzebujemy sanitariusza!

Sanitariusz czym prędzej skoczył do postrzelonego i zaczął poluźniać jego ubranie, aby zapobiec wstrząsowi. Przez kilka minut zajmował się Martinem, po czym odwrócił się do Leprego i powiedział:

– Nie żyje.

Razem z innym żołnierzem chcieli zanieść ciało Martina w bezpieczne miejsce, ale rozdzieliły ich kolejne wystrzały. Lepre pobiegł z powrotem, jedną ręką strzelając z karabinu, a drugą ciągnąc zwłoki. Kiedy zbliżył się do miejsca, gdzie czekali pozostali żołnierze, kilku z nich pomogło mu wciągnąć ciało w uliczkę.

Osłonięty już teraz Lepre przyglądał się leżącym kilka metrów dalej zwłokom. Czuł się okropnie. Polecił szeregowemu zająć jego pozycję i ten od razu otrzymał śmiertelny postrzał. Kiedy ciągnął ciało po

ziemi, spodnie Martina zsunęły się do wysokości kolan. Ze względu na tropikalne gorąco, niewielu chłopaków nosiło bieliznę. Lepre nie mógł znieść widoku Martina, który leżał półnagi na ziemi. Zatem pomimo strzałów wyszedł na ulicę i starał się nałożyć zmarłemu spodnie, aby pozostawić mu resztki godności. Dwa pociski uderzyły o ziemię obok schylonego Leprego, który z wahaniem schował się z powrotem.

– Przepraszam, stary – powiedział[278].

7

Dowódcy w krążącym nad miastem śmigłowcu nadal dążyli do połączenia wszystkich jednostek przy miejscu pierwszej katastrofy:

– „Siły spieszone prowadzą siły zmotoryzowane. Siły zmotoryzowane i siły spieszone czekają na południe od hotelu Olympic...".

Następnie, zwracając się do konwoju, który właśnie miał skręcić w lewo:

– „Jesteście trzydzieści metrów na południe od swoich, którzy znajdują się o jedną przecznicę na północ od waszej obecnej pozycji. Transporter prowadzący konwój musi pojechać prosto, skręcić w pierwszą ulicę w lewo i jechać aż do następnego skrzyżowania, odbiór".

Steele słyszał skręcające pojazdy. Jego ludzie zobaczyli za drzwiami niewyraźne sylwetki żołnierzy. Steele i pozostali krzyknęli:

– Rangers! Rangers!

– Dziesiąta Dywizja Górska – usłyszeli w odpowiedzi.

– „Konwój połączył się z jednostkami Kilo i Juliet, odbiór".

Steele wychylił głowę przez drzwi.

– Kapitan Steele. Jestem dowódcą rangersów.

– Zrozumiałem, kapitanie. Jesteśmy z 10. Dywizji Górskiej – odpowiedział żołnierz.

– Gdzie jest wasz dowódca? – zapytał Steele[279].

8

Wyciągnięcie z wraku Elvisa trwało kilka godzin. Kolumna ratunkowa przywiozła pilarkę tarczową, aby przeciąć kadłub helikoptera i uwolnić ciało pilota, ale kokpit posiadał kewlarową warstwę, która zniszczyła ostrze piły. Następnie próbowali rozgiąć kadłub przy użyciu łańcuchów przymocowanych do jego przedniej i

tylnej części. Kilku rangersów, którzy obserwowali starania z pewnej odległości, myślało, że operatorzy Delty chcą za pomocą samochodów wyrwać ciało pilota z wraku. Niektórzy odwrócili wzrok z niesmakiem.

Zabitych ułożono na dachach transporterów, a rannych żołnierzy umieszczono w środku. Goodale z wysiłkiem dokuśtykał do pojazdu, który stanął tuż przed dziedzińcem, a inni pomogli mu wejść do środka. Przeturlał się na bok.

– Musisz usiąść – usłyszał.

– Mam postrzał w tyłku. Nie mogę siedzieć.

– To oprzyj się jakoś.

Z zajmowanego przez Millera dziedzińca najpierw wyniesiono Carlosa Rodrigueza, który nadal miał na sobie nadmuchane, gumowe spodnie. Następnie ewakuowano pozostałych rannych. Stebbins czuł się całkiem dobrze. Za oknem widział chłopaków z 10. Dywizji Górskiej, którzy chodzili po ulicy w obu kierunkach – było ich mnóstwo. Kiedy przyszli po niego z noszami, zaprotestował:

– Nic mi nie jest – powiedział. – Mogę stać na jednej nodze. Pomóżcie mi tylko dojść do samochodu. Nadal mam przy sobie broń.

Podtrzymywany, skacząc na nieuszkodzonej nodze, dotarł do opancerzonego samochodu.

Wilkinson wszedł na tył tego samego transportera. Spodziewali się, że kolumna wkrótce ruszy, tymczasem pojazdy stały w miejscu. W zamkniętym, przypominającym blaszany kontener transporterze było gorąco jak w saunie i śmierdziało krwią, potem i uryną. Niewiarygodne wydawało się, że misja zamieniła się w taki koszmar. Za każdym razem, kiedy myśleli, że już po wszystkim, pojawiały się kolejne problemy. Ranni żołnierze zamknięci w pojazdach nie widzieli, co dzieje się na zewnątrz, więc nie mieli pojęcia, jaka jest przyczyna opóźnienia. Każdy z nich sądził wcześniej, że kiedy nadjedzie konwój, wszyscy szybko pojadą do bazy. Od lotniska dzieliło ich tylko pięć minut drogi. Minęła już trzecia nad ranem. Wkrótce miało wzejść słońce. Pociski co chwila uderzały o boki samochodu. A co, jeśli trafi w nich granat przeciwpancerny?

W transporterze Goodale'a wybuchł mały bunt.

– Czy nie powinniśmy ruszać? – zapytał Goodale.

– Tak, też tak myślę – odpowiedział jeden z żołnierzy, którzy gnietli się razem z nim.

Goodale był najbliżej malezyjskiego kierowcy, więc nachylił się do niego i powiedział:

– Człowieku, ruszaj przed siebie.

– Nie, nie – zaprotestował kierowca. – My stać.

– Do diabła, nie możemy tu stać! Ruszajmy się stąd!

– Nie, nie. My stać.

– Nic nie rozumiesz. Strzelają do nas. Wypierdzielą nas w powietrze razem z tym pudłem!

Dowódcy także się niecierpliwili.

– „Scotty [Miller], podaj mi aktualne informacje” – domagał się podpułkownik Harrell.

Nie licząc krótkich pobytów w bazie w celu zatankowania śmigłowca, Harrell i Tom Matthews krążyli nad miastem w black hawku dowodzenia i nadzoru przez całą noc.

Miller odpowiedział:

– „Zrozumiałem. Próbują rozgiąć śmigłowiec. Na razie bez powodzenia”.

– „Zrozumiałem. Macie tylko godzinę, zanim zrobi się widno”.

Na terenie trzech kwartałów miasta znajdowało się teraz ponad trzystu Amerykanów stanowiących awangardę długiej na kilometr kolumny pojazdów, która ciągnęła się aż do National Street. Dzięki temu dopiero co przybyłe na miejsce wojska 10. Dywizji Górskiej miały poczucie bezpieczeństwa, jakiego nie dzielili z nimi rangersi i operatorzy Delty, którzy walczyli tu przez całą noc. Zmęczeni żołnierze sił szturmowych ze zdumieniem patrzyli na członków regularnej armii, którzy oparci o ściany palili papierosy i gawędzili sobie beztrosko na tej samej ulicy, gdzie na nich samych spadał wcześniej grad pocisków. Howe, rozczarowany rangersami dowódca oddziału Delty, uważał, że żołnierze 10. Dywizji zupełnie do niczego się nie nadają. Czekanie, aż wydostaną ze śmigłowca ciało Elvisa, zaczynało stawać się nieznośne dla wszystkich.

Kiedy siła eksplozji zatrzęsła transporterem, w którym był Stebbins, mężczyźni w środku krzyknęli ze złością. – Zabierz nas stąd, do cholery! – wrzasnął jeden z nich. Rodriguez jęczał z bólu. Stebbins i Heard na zmianę trzymali podłączony do jego ręki worek z płynem infuzyjnym. Wszyscy byli ściśnięci na bardzo niewielkiej przestrzeni, niczym przylegające do siebie elementy układanki. Niedługo po wybuchu wielkie metalowe drzwi pojazdu otworzyły się, a do środka wniesiono leżącego na noszach żołnierza 10. Dywizji, który miał ranę postrzałową łokcia. Uderzywszy o ziemię, krzyknął z bólu.

– Nie mogę w to uwierzyć! – krzyczał.

Malezyjski kierowca co chwila odwracał się, starając się ich uspokoić:

– Już niedługo, szpital – powtarzał.

Po opatrzeniu nowo przybyłego rannego Wilkinson usiadł, opierając się o ścianę i przez otwór w poszyciu pojazdu wyjrzał na zewnątrz, gdzie po wschodniej stronie nieba powoli rozwidniało się. Częstotliwość wystrzałów zaczęła wzrastać. Od boku transportera odbijało się coraz więcej pocisków.

Ranni, którzy wcześniej nie mogli się doczekać, kiedy znajdą się w wielkich opancerzonych pojazdach, teraz modlili się, by jak najszybciej się z nich wydostać. Czuli się jak powieszone na strzelnicy zabawki w

wesołym miasteczku. Goodale mógł wyjrzeć na zewnątrz tylko przez niewielki otwór. W środku było tak gorąco, że zaczęło mu się kręcić w głowie. Zdjął hełm i poluzował zapięcie kamizelki kuloodpornej, jednak nie na wiele to się zdało. Siedzieli na niewielkiej, słabo oświetlonej przestrzeni, wpatrując się w ciszy w pozostałych kolegów.

– Wiecie, co powinniśmy zrobić? – zasugerował jeden z rannych operatorów Delty. – Powinniśmy uchylić trochę drzwi. Jeśli wpadnie tu granat przeciwpancerny, będziemy mieli jak wylecieć w powietrze.

Mniej więcej godzinę przed wschodem słońca śmigłowiec dowodzenia i nadzoru przekazał do centrum operacyjnego bieżące informacje:

– „W tej chwili przede wszystkim trwają starania, aby oderwać od kadłuba tablicę przyrządów śmigłowca. Nadal nie wiadomo, kiedy operacja wydobywania ciała pilota zostanie zakończona".

– „Dobrze, czy jest szansa na to, że uda im się wydobyć ciało? – dopytywał się Garrison. – Potrzebuję uczciwej, realistycznej oceny sytuacji od dowódcy plutonu lub obecnego na miejscu starszego oficera. Odbiór".

Odezwał się Miller:

– „Przyjąłem. Sądzę, że do wyciągnięcia ciała potrzebne im jest jeszcze 20 minut".

Garrison odpowiedział:

– „Zrozumiałem. Wiem, że robią, co w ich mocy. Trzymamy się planu dopóty, dopóki nie skończą. Odbiór".

Kiedy niebo na wschodzie zrobiło się jaśniejsze, sierżant Yurek przeraził się na widok pobojowiska w pomieszczeniu, w którym spędzili noc. Światło padało na wszechobecne kałuże i plamy krwi. Kiedy wychylił głowę przez bramę prowadzącą z dziedzińca na ulicę, dojrzał leżące po obu stronach drogi ciała Somalijczyków. Jeden z zabitych, młody mężczyzna, wyglądał, jakby kilkakrotnie przejechał po nim jeden z pojazdów, przy pomocy których żołnierze usiłowali teraz rozgiąć helikopter. Yurka szczególnie przygnębił widok martwego osła, tego samego, który dzień wcześniej w cudowny sposób unikał pocisków, biegając to w jedną, to w drugą stronę i przecinając znajdujące się pod ostrzałem skrzyżowanie. Wciąż przypięte do wozu ścierwo osła leżało na rogu Marehan Road.

Pośród ciał ułożonych na dachach transporterów Howe zauważył podeszwy dwóch małych butów szturmowych. Tylko jeden facet w oddziale nosił tak małe buty – to musiał być Earl Fillmore.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że kończą się chwile wytchnienia, jakimi mogli się cieszyć w nocy. Światło słoneczne wygoni z domów „chuchraków". Kapitan Steele czekał przed wejściem na dziedziniec i ze zdenerwowaniem co chwilę zerkał na zegarek. Spojrzał na niego już chyba ze sto razy. Nie mógł uwierzyć w to, że dotąd nie ruszyli w kierunku bazy. Niebo na horyzoncie zrobiło się różowe. Ryzykowali życie trzystu

mężczyzn, aby wydobyć jednego trupa. To był szlachetny gest, ale zarazem dość lekkomyślny. W końcu, kiedy słońce zaczęło już wschodzić, makabryczne prace zostały zakończone.

– „Adam Six Four [Garrison], tu Romeo Six Four [Harrell]. W tym momencie wojska ruszają z miejsca, odbiór. Żołnierze podkładają ładunki i są gotowi do drogi".

Rangersów i żołnierzy Delty, którzy uczestniczyli w walkach już od czternastu godzin, czekała jeszcze jedna niespodzianka. W pojazdach nie było dla nich miejsca. Kiedy żołnierze z 10. Dywizji Górskiej wsiedli z powrotem do samochodów, wystraszeni malezyjscy kierowcy odjechali czym prędzej, zostawiając z tyłu resztę wojsk. Mieli jeszcze raz pokonać pieszo te same ulice, którymi dotarli tu podczas wczorajszych walk.

Była piąta czterdzieści pięć w poniedziałek rano, czwartego października. Słońce znalazło się już nad dachami domów[280].

9

Ruszyli przed siebie. Pierwotny plan zakładał, że będą biegli pomiędzy samochodami, które zapewnią im osłonę, ale Malezyjczycy jechali zbyt szybko.

Steele, który nadal dźwigał na plecach radio, biegł obok Perina. Za nimi podążało jeden za drugim ośmiu rangersów, pozostali członkowie oddziału Delta Force, oddział poszukiwawczo-ratowniczy – praktycznie wszyscy. Wszystko działo się bardzo szybko; kiedy żołnierze z końca szeregu skręcili w prawo na szczycie wzgórza, zdziwili się zobaczywszy, że pozostali już odjechali.

Yurek biegł ze sprzętem Jamiego Smitha, którego rzeczy nikt nie chciał nawet dotknąć. Dla kumpli zmarłego byłoby to równoznaczne z pogodzeniem się z jego śmiercią. Wszyscy biegli tą samą trasą, jaką wcześniej przebyła główna część sił. Na skrzyżowaniach zatrzymywali się, aby oddać kilka strzałów i zapewnić sobie osłonę ogniową, podczas gdy żołnierze jeden po drugim przebiegali na drugą stronę. Kiedy tylko wojska wyruszyły, na nowo rozgorzała strzelanina prawie tak silna, jak dzień wcześniej. Rangersi strzelali w stronę każdego okna i drzwi oraz w kierunku wylotu każdej z ulic. Steele czuł, że jego nogi są jak z ołowiu i że porusza się o wiele wolniej niż zwykle, jednak starał się utrzymać możliwie jak najszybsze tempo.

Kiedy dobiegli do miejsca, w którym znajdowała się ich pierwotna pozycja blokująca, na szerokim skrzyżowaniu przed hotelem Olympic trwała silna wymiana ognia. Sierżant Randy Ramaglia zobaczył, że kule uderzają o boki opancerzonych samochodów znajdujących się już kilka przecznic dalej. „Mamy pokonać ten odcinek pieszo?". Znów znaleźli się w takim samym gównie, co wczoraj. Kiedy dotarł do skrzyżowania, poczuł silne uderzenie w bark – jakby ktoś zadał mu cios młotem dwuręcznym. Nie przewrócił się na ziemię, tylko zamarł na chwilę. Dopiero po kilku sekundach doszedł do siebie. Początkowo myślał, że coś na niego spadło. Spojrzał w górę.

– Sierżancie, trafili was! – krzyknął specjalista Collett, który biegł obok.

Ramaglia spojrzał na niego. Collett miał szeroko otwarte oczy.

– Wiem – odparł.

Wziął kilka głębokich oddechów i spróbował ruszyć ręką. Udało się. Nie czuł bólu.

Pocisk uderzył Ramaglię w tylną część prawego barku, wyrywając z ciała kawał mięsa wielkości piłki golfowej. Następnie kula musnęła łopatkę i przebiła rękaw Colletta, zdzierając naszytą na nim amerykańską flagę.

– Wszystko w porządku? – krzyknął z przeciwnej strony ulicy sanitariusz Delty.

– Tak – odparł Ramaglia, po czym znów zaczął biec. Cała scena wydała mu się wielce surrealistyczna. Sierżant nie mógł uwierzyć, że jakiś pieprzony, somalijski kutafon postrzelił jego: sierżanta Randala J. Ramaglię ze Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zaczął strzelać do wszystkiego, co widział. Biegł, krwawił, przeklinał i strzelał. W okna, drzwi, w kierunku bocznych uliczek... a przede wszystkim w ludzi, którzy padali jak muchy. Zniknęły wszelkie pozory zorganizowanego odwrotu – to była prawdziwa wolnoamerykanka. Każdy przedzierał się w swoim tempie.

* * *

Wciąż ogłuszony sierżant Nelson biegł obok szeregowego Neathery'ego, który dzień wcześniej otrzymał postrzał w prawą rękę. Nelson trzymał swój M60, a na plecach miał przewieszony M16 Neathery'ego. Starali się biec jak najszybciej. Nelson strzelał do każdego człowieka, którego zobaczył. Po raz pierwszy w życiu czuł taki strach, był nawet bardziej przerażony niż podczas najbardziej zaciekłego momentu walki poprzedniego dnia. Razem z Neatherym byli na tyłach kolumny i bali się, że, jeśli podczas tego szaleńczego biegu pozostaną w tyle, zostaną zastrzeleni przez wroga. Neathery biegł powoli i ciężko, co dodatkowo ich opóźniało. Kiedy dołączyli do grupy, która zapewniała osłonę ogniową żołnierzom kolejno przebiegającym przez duże skrzyżowanie, powinni byli przystanąć, czekać na swoją kolej i strzelać, aby pomóc innym w przedostaniu się na drugą stronę. Zamiast tego po prostu pobiegli przed siebie.

Howe wykopał drzwi jednego z domów i cała grupa zebrała się w środku, aby przeładować broń i złapać oddech. Zadyszany kapitan Miller wszedł do środka i kazał im ruszać dalej. Howe obszedł jeszcze całe pomieszczenie, sprawdzając, kto jest ranny i czy każdy z nich ma amunicję, po czym wybiegli z powrotem na ulicę. Howe strzelał z karabinu CAR-15 i strzelby gładkolufowej. Żołnierze w transporterach przed nimi strzelali do wszystkiego w zasięgu wzroku.

Szeregowy Floyd biegł w podartych spodniach, których resztki plątały się między nogami. Nagi od pasa w dół czuł się szczególnie bezbronny, a przy tym śmieszny. Nagle nastąpiła głośna eksplozja, która powaliła Floyda na ziemię. W tej samej chwili biegnący obok Strous zniknął w ogromnym słupie światła. Kiedy szeregowy doszedł do siebie, rozejrzał się za Strousem, ale nie widział nic oprócz rzednącej chmury dymu. Ani śladu sanitariusza.

Sierżant Watson chwycił Floyda za ramię. Szeregowy miał przekrzywiony hełm, czuł, że oczy latają mu na wszystkie strony.

– Gdzie, do cholery, jest Strous?

– Wyleciał w powietrze, sierżancie.

– Wyleciał w powietrze? O czym ty mówisz, do diabła?

– Po prostu wyleciał w powietrze.

Floyd wskazał na miejsce, gdzie przed chwilą biegł sanitariusz. Niespodziewanie pojawił się Strous, który wyszedł z plątaniny zarośli, otrzepując ubranie. Spojrzał na Floyda spod przekrzywionego hełmu i po prostu pobiegł dalej. Jeden z pocisków musiał uderzyć w granat hukowo-błyskowy w kamizelce Strousa, który wybuchł, przewracając go na ziemię prosto w krzaki. Był cały i zdrowy.

– Ruszaj dalej, Floyd! – wrzasnął Watson.

Wszyscy pobiegli przed siebie. Biegli i strzelali, podczas gdy świt różowił niebo. Towarzyszyły im: huk wystrzałów, odpryskujące w ich stronę kawałki murów, w które non stop uderzały pociski, nagłe podmuchy gorącego powietrza pochodzącego z wybuchów, które nieraz przewracały ich na ziemię i wysysały im powietrze z płuc, łoskot przelatujących nad głowami helikopterów, a także nieprzyjemny, przypominający rozdzieranie grubego płótna odgłos strzelających karabinów. Przedzierali się przez ciężki odór miasta, który mieszał się z zapachem ich ciał. W wyschniętych ustach czuli kurz, mundury pokrywały zaschnięte plamy krwi, a w umysłach tkwiło wspomnienie zabitych lub potwornie okaleczonych przyjaciół. Koszmarna bitwa wydawała im się teraz nieznośnie długa. Nie mogli uwierzyć, że potężna i budząca grozę armia Stanów Zjednoczonych Ameryki pozwoliła, by wzięli udział w tej chaotycznej walce, a następnie utknęli tu na noc, po czym pozostawiła ich, aby skazani na własne siły musieli po raz drugi biec przez zasypywane śmiercionośnymi pociskami ulice. „Jak to możliwe, że do tego doszło?”.

Ramaglia desperacko biegł dalej, niesiony przez przypływ ostatnich rezerw adrenaliny. Biegł, strzelał i przeklinał, dopóki nie poczuł zapachu własnej krwi, który przyprawił go o zawrót głowy. Po raz pierwszy poczuł ból. Biegł dalej. Kiedy dotarł do skrzyżowania Hawlwadig Road i National Street, znajdującego się mniej więcej pięć przecznic od hotelu Olympic, zobaczył czołg oraz szereg transporterów opancerzonych i hummerów, przy których stała gromada żołnierzy w kamuflażach pustynnych. Biegł dalej, dopóki, przepełniony radością, nie upadł na ziemię[281].

10

Cały poplamiony krwią chirurg szpitala w Mogadiszu Abdi Mohamed Elmi był wykończony. Jego rannych i zabitych rodaków zaczęto przynosić do szpitala poprzedniego wieczoru. Z początku, mimo

trwających w mieście zaciekłych walk, było ich niewielu. Ponieważ ulicami nie mógł przejechać żaden samochód, pacjentów przynoszono na rękach lub przywożono w wózkach ręcznych. W całym mieście płonęły barykady, a helikoptery Amerykanów przelatywały nisko nad ulicami, strzelając dokoła. Większość ludzi bała się więc wyjść na zewnątrz.

Zanim rozpoczęła się bitwa, szpital, który znajdował się blisko bazy Amerykanów przy lotnisku, był na dobrą sprawę pusty. Od kiedy rozpoczął się konflikt z Amerykanami, większość Somalijczyków bała się tu przychodzić. Jeszcze przed końcem dnia czwartego października wszystkich pięćset łóżek w szpitalu miało być zajętych. Kolejnych stu rannych będzie czekało na pomoc na korytarzach. Tymczasem Mogadiszu Volunteer Hospital wcale nie był największym szpitalem w mieście. W Digfer liczba rannych była jeszcze większa. Większość ludzi z ranami brzucha miała wkrótce umrzeć. Ponieważ docierali do szpitala z opóźnieniem (drugiego dnia pojawiło się dużo więcej pacjentów niż pierwszego), wywiązały się infekcje, wobec których posiadane przez szpital antybiotyki były bezsilne.

W trzyłóżkowej sali operacyjnej przez całą noc przeprowadzano zabiegi. Elmi należał do zespołu składającego się z siedmiu chirurgów, którzy pracowali bez przerwy. Jeszcze przed wschodem słońca asystował przy osiemnastu poważnych operacjach, tymczasem korytarze szpitala gwałtownie zapełniały się dziesiątkami, tuzinami i setkami kolejnych pacjentów. Prawdziwa fala krwawego przypływu.

Kiedy w końcu wyszedł z sali operacyjnej około ósmej rano, usiadł na chwilę, by odpocząć. W szpitalu rozlegały się rozdzierające krzyki i jęki krwawiących ludzi. Pacjenci z połamanymi kośćmi i rozdartymi ciałami cierpieli z powodu potwornego bólu. Większość z nich umierała. Lekarze i pielęgniarki biegali od łóżka do łóżka, chcąc pomóc każdemu potrzebującemu. Elmi usiadł na ławce i w ciszy palił papierosa. Zobaczyła go pewna Francuzka, która podeszła i zapytała z poirytowaniem:

– Dlaczego nie pomożesz tym wszystkim ludziom? – krzyknęła.

– Nie mogę – odparł.

Odeszła wzburzona. Siedział tak, dopóki nie wypalił całego papierosa. Potem wstał i wrócił do pracy. Miał nie spać jeszcze przez kolejne dwadzieścia cztery godziny[282].

11

Abdi Karim Mohamud opuścił rankiem dom przyjaciela po tym, jak z ulic zniknęli Amerykanie. Dzień wcześniej wysłano go do domu ze znajdującego się na terenie amerykańskiej ambasady miejsca pracy. Po drodze stał się świadkiem walk wokół targowiska w dzielnicy Bakara. Bitwa była tak zacięta, że spędził bezsenną noc na podłodze w domu przyjaciela, słuchając odgłosu wystrzałów i patrząc na rozświetlone eksplozjami niebo.

Zaciekła strzelanina rozgorzała na nowo zaraz po wschodzie słońca, kiedy to rangersi opuszczali miasto. Następnie wszystko ucichło.

Abdi odważył się wyjść z budynku mniej więcej godzinę później. Na środku ulicy zobaczył martwą kobietę, którą trafiły pociski z helikoptera. Ludzi zabitych z pokładowego działka można było poznać po rozerwanych ciałach. Wnętrzności kobiety leżały obok niej na ulicy. Zobaczył też sztywne, sine ciała trójki małych dzieci i starego człowieka leżącego na ulicy twarzą do dołu, w kałuży krwi. Obok spoczywał jego martwy osioł. Abdi policzył ślady po kulach na ciele starca – dwa pociski trafiły w tułów, a jeden w nogę.

Prawnik Bashir Haji Yusuf usłyszał o brzasku, że strzelanina rozpętała się na nowo. Kilka godzin wcześniej udało mu się w końcu zasnąć, ale teraz znów obudziły go wystrzały. Gdy ustał hałas, Bashir powiedział żonie, że pójdzie zobaczyć, co się dzieje. Wziął ze sobą aparat fotograficzny. Chciał wszystko udokumentować.

Najpierw zauważył martwe osły. Budynki wokół hotelu Olympic oraz dalej, w kierunku wschodnim, były poważnie zniszczone. Na domach i na ulicy widniały plamy krwi; wyglądało to tak, jakby przez miasto przeszła jakaś rozjuszona bestia. Większość ciał została już usunięta z drogi. Robiąc zdjęcia, szedł w dół jednej z ulic, którymi przebiegli wcześniej żołnierze. W pewnym momencie zobaczył wciąż tlące się pozostałości po wraku podpalonego przez rangersów pierwszego rozbitego śmigłowca. Idąc przed siebie, ujrzał zwęglone szczątki hummerów (jeden z nich nadal się palił) i kilka transporterów Malezyjczyków.

Następnie Bashir usłyszał podekscytowane głosy ludzi, którzy skandowali i wznosili radosne okrzyki. Pobiegł zobaczyć, co się dzieje.

Tłum woził na taczce ubrane tylko w czarne bokserki ciało martwego Amerykanina. Jego ręce zwisały z taczki, wlokąc się po ziemi. Zwłoki oblepiała wyschnięta krew, twarz żołnierza była spokojna i nieobecna. W klatce piersiowej i na ręce znajdowały się ślady po pociskach. Owinięte sznurami zwłoki były przykryte kawałkiem blachy falistej. Tłum, który robił się coraz większy, ciągnął taczkę ulicami miasta. Somalijczycy pluli na zwłoki, szturchali je i kopali.

– Po co tu przyjechałeś? – krzyknęła jakaś kobieta.

Przerażony Bashir ruszył w ślad za rozszalałym tłumem. „To okropne” – pomyślał. Według prawa islamskiego ciała zmarłych należało traktować z szacunkiem i niezwłocznie je pochować – ten groteskowy obraz z pewnością nie pozostawał w zgodzie z naukami islamu. Bashir chciał ich powstrzymać, ale jak miał sobie poradzić z nieokiełznanym tłumem? Dzicy ludzie z gett świętowali. Gdyby Bashir wystąpił naprzód i zapytał „Co robicie?”, próbując ich zawstydzić – a taki właśnie miał zamiar – gniew tłumu mógłby zwrócić się przeciw niemu. Zrobił kilka zdjęć i poszedł w ślad za motłochem. Poprzedniej nocy zginęło mnóstwo ludzi, wielu było rannych. Ulice wypełniały się wściekłymi, coraz bardziej spragnionymi zemsty Somalijczykami, którzy urządzili sobie święto krwi.

* * *

Hassan Adan Hassan szedł razem z tłumem, który ciągnął ciało kolejnego martwego Amerykanina. Hassan nieraz pracował w charakterze tłumacza dla Amerykanów lub dla brytyjskich dziennikarzy. Sam też pragnął zostać dziennikarzem. Podążył za innymi aż do ronda K-4, gdzie składająca się z kilkunastu ludzi grupka rozrosła się do pokaźnych rozmiarów. Somalijczycy ciągnęli zwłoki po ulicy, kiedy nadjechał oddział żołnierzy z Arabii Saudyjskiej. Tłum przewyższał ich liczebnie, dysponował też większą liczbą broni. Mimo że żołnierze ci także należeli do sił ONZ, Somalijczycy nie uważali ich za wrogów. Nikt więc nie zaatakował pojazdów, nawet w tak burzliwym dniu jak dzisiejszy. Saudyjczyków rozgniewało to, co zobaczyli.

– Co robicie? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Mamy tu zwierzę Howe – odpowiedział młody, uzbrojony Somalijczyk, jeden z prowodyrów.

– To jest amerykański żołnierz – dodał inny.

– Jeśli jest martwy, dlaczego to robicie? Czy nie jesteście istotami ludzkimi? – odrzekł Saudyjczyk, tym samym obrażając go.

Jeden z Somalijczyków wymierzył karabin w saudyjskiego żołnierza.

– Ciebie też zabijemy – zagroził.

Ludzie stojący z tyłu krzyczeli do Saudyjczyków:

– Dajcie spokój. Zostawcie ich w spokoju! Ci ludzie są wściekli. Mogą was zabić.

– Ale dlaczego to robicie? – nalegał Saudyjczyk. – Możecie walczyć i Amerykanie mogą walczyć, ale ten człowiek jest martwy. Po co go za sobą ciągniecie?

Więcej uzbrojonych ludzi skierowało lufy w stronę żołnierzy. Zniesmaczeni Saudyjczycy oddalili się.

Abdi Karim znajdował się pośród tłumu ciągnącego zwłoki Amerykanina. Szedł z pozostałymi tak długo, dopóki nie zaniepokoił się, że może nadlecieć któryś ze śmigłowców, który zabije ich wszystkich. Opuścił więc motłoch i poszedł do domu. Rodzice poczuli ogromną ulgę, kiedy zobaczyli go żywego[283].

12

Malezyjczycy zawieźli wszystkich na stadion piłkarski po północnej stronie miasta, który stanowił pakistańską bazę operacyjną. Cała scena wydawała im się groteskowa. Wykończeni rangersi wjechali przez wielką bramę wjazdową, mijając cienie rzucane przez betonowe kolumny. Czuli się, jakby jechali na mecz piłki nożnej lub baseballu u siebie w kraju. Z cienia wyjechali na rozległy, oświetlony przez słońce stadion. Mrużąc oczy, patrzyli na sięgające aż do nieba rzędy ławek. Na niższych trybunach wylegiwały się rzesze żołnierzy 10. Dywizji Górskiej, którzy rozmawiali, palili papierosy, jedli i śmiali się, podczas gdy lekarze polowi zajmowali się rannymi.

Doktor Marsh przyleciał na stadion razem z dwoma innymi lekarzami, aby nadzorować udzielanie pomocy poszkodowanym. Inaczej niż w przypadku pierwszej grupy rannych, którzy przyjechali w zagubionym konwoju, większość ran została opatrzona już przez sanitariuszy na polu walki. Mimo tego dla doktora Bruce'a Adamsa widok był makabryczny. Przyzwyczajony do opatrywania jednego, maksimum dwóch rannych w tym samym czasie lekarz ujrzał całe boisko piłkarskie wypełnione zakrwawionymi ludźmi. Mechanik Super Six One, Ray Dowdy, podszedł do Adamsa i podniósł dłoń – brakowało mu końców dwóch palców. Lekarz objął go ramieniem i powiedział: – Przykro mi.

Dla rangersów nawet jazda od miejsca spotkania na National Street do stadionu była traumatycznym przeżyciem. Wokół nich nadal padały strzały, a w hummerach ledwie starczyło miejsca dla wszystkich, więc żołnierze leżeli jeden na drugim, czasem tworząc nawet trzy warstwy. Jeden z operatorów Delty podniósł szeregowego Jeffa Younga, który podczas biegu przez miasto zwichnął kostkę, i posadził go na tylnym siedzeniu hummera, po czym bezceremonialnie usiadł mu na kolanach. Szeregowy George Siegler z nadzieją dobiegł do włazu transportera, kiedy ze środka dobiegł krzyk:

– Możemy wziąć tylko jednego!

Porucznik Perino, który zdążył już postawić w środku nogę, zobaczył kątem oka desperację młodego człowieka. Wyciągnął nogę z powrotem i, skrywając życzliwość pod maską oficerskiego zniecierpliwienia, zawołał:

– Szeregowy, chodźcie tutaj.

Porucznik mógł po prostu udać, że go nie widział, ale nie zrobił tego. Siegler był tak poruszony tym gestem, że w tej właśnie chwili zdecydował zaciągnąć się na kolejny kontrakt.

Nelson znalazł się w hummerze, w którym jechały cztery pełne skrzynki amunicji do M60, wyjeżdżając więc z miasta, przez cały czas strzelał ze „świni" do każdej dostrzeżonej osoby. Jeśli zobaczył kogoś idącego ulicą, od razu otwierał w jego kierunku ogień. Szanse na to, że opuści miasto żywy, były coraz większe, robił więc wszystko, aby żaden z nieprzyjaciół nie trafił go w ostatniej chwili.

W drodze powrotnej Dan Schilling, członek zespołu kontroli bojowej, któremu udało się przeżyć jazdę przez miasto w zagubionym konwoju, a następnie wrócił tu z konwojem ratunkowym, zobaczył starego Somalijczyka z białą brodą, który szedł w górę ulicy, trzymając w ramionach małego chłopca. Dziecko, które wyglądało na jakieś pięć lat, było zakrwawione i najwyraźniej martwe. Stary człowiek zdawał się być nieświadomy rozgrywającej się na ulicy strzelaniny. Skręcił w prowadzącą na północ drogę i zniknął za rogiem.

Dla Steele'a najgorszy moment bitwy rozpoczął się, kiedy ruszyli z National Street. Kapitan patrzył w tył, na szereg stojących transporterów, do których wsiadali żołnierze. Widział, jak Perino, który miał wejść do jednego z pojazdów na końcu, ustąpił miejsca Sieglerowi. Nagle samochody ruszyły przed siebie. Na ulicy zostali żołnierze – Perino i reszta! Steele gorączkowo tłukł plecy kierowcy transportera, krzycząc: „Moi ludzie

tam zostali!", ale Malezyjczyk, który miał na głowie hełm czołgisty, jechał cały czas przed siebie i zachowywał się, jakby wcale nie słyszał Steele'a. Kapitan połączył się z siecią dowodzenia. Wewnątrz pojazdu sygnał był tak słaby, że ledwie słyszał, czy ktoś mu odpowiada, ale zaalarmował dowództwo, wyrzucając z siebie urywane zdania:

– „Na National zostali nasi. Pakistańcy mieli osłaniać pieszych... ale udało nam się załadować do samochodów... ale piętnastu czy dwudziestu naszych zostało na ulicy. Pojechali i zostawili ich. Ktoś musi tam wrócić".

– „Zrozumiałem – odparł Harrell. – Wydaje mi się, że już są w pojazdach. Odebrałem jakieś trzy połączenia. Każdy mówił, że wszyscy wsiedli do samochodów. Gdzie dokładnie pozostali nasi na National?".

– „Romeo, tu Juliet. Teraz ich nie widzę. Trzeba zabrać żołnierzy z National, natychmiast!".

W rzeczywistości Perino wraz z pozostałymi dostał się do jednego z samochodów, ale nie bez pewnych komplikacji. Porucznik i około sześciu innych żołnierzy, w tym zarówno rangersów, jak i operatorów Delty, byli ostatnimi na ulicy. Wówczas pojawił się pojazd, który wydawał się ostatnim z kolumny. Zmęczeni żołnierze krzyczeli i machali w kierunku malezyjskiego kierowcy, ale ten nie zwracał na nich uwagi. W końcu jeden z operatorów zagrodził mu drogę i wymierzył w jego kierunku z CAR-15. Samochód zatrzymał się. Wbili się do środka, kładąc się na innych stłoczonych już w środku żołnierzach.

Steele nie wiedział o tym, dopóki nie znalazł się na stadionie. Niektóre hummery pojechały prosto do hangaru, więc próba policzenia żołnierzy zajęła kolejne, nerwowe pół godziny. W końcu ktoś z centrum operacyjnego odczytał mu listę wszystkich rangersów, którzy dotarli do bazy. Dopiero wtedy kapitan rozejrzał się i zdał sobie sprawę z ogromu klęski.

* * *

Podpułkownik Matthews, który razem z Harrellem przebywał w powietrzu w śmigłowcu dowodzenia przez ostatnich piętnaście godzin, nie licząc krótkich przerw na uzupełnienie zapasu paliwa, wyszedł z helikoptera, by rozprostować nogi. Zdążył już na tyle przyzwyczaić się do dźwięku pracujących wirników, że był w stanie kontemplować scenę, która rozgrywała się przed jego oczami, nie zważając na dobiegające zewsząd dźwięki. Połowę boiska zajmowali leżący na noszach, podłączeni do kroplówek, owinięci bandażami, zakrwawieni ranni. Lekarze i pielęgniarki tłoczyli się wokół najbardziej potrzebujących, gorączkowo starając się udzielić im pomocy. Matthews zobaczył kapitana Steele'a, który siedział sam na workach piasku w gnieździe moździerza, trzymając twarz w dłoniach. Za Steele'em leżały ułożone w równe rzędy, zapięte na zamek worki z ciałami zabitych. Jeden z pakistańskich żołnierzy chodził po boisku z tacą, na której stały szklanki z wodą, i podawał je rannym. Na jego przedramieniu wisiał biały ręcznik.

Ci, którzy nie zostali ranni, chodzili pomiędzy noszami, patrząc na leżących na boisku kolegów ze łzami w oczach lub z nieobecnym, zmęczonym wyrazem twarzy. Cały czas przylatywały i odlatywały różne helikoptery (pamiętające czasy wojny wietnamskiej śmigłowce UH-1) ze znakiem Czerwonego Krzyża, które

transportowały opatrzonych żołnierzy do szpitala przy hangarze. Szeregowy Ed Kallman, ten sam, który wcześniej był tak podekscytowany perspektywą wzięcia udziału w walce, przyglądał się sanitariuszowi. Lekarz sprawnie dzielił wynoszonych z pojazdów rannych żołnierzy, niczym brygadzista w hurtowni, który dyryguje rozładowaniem przywiezionego towaru: „Co tam macie? W porządku. Zmarłych zanosimy tam. Żywi leżą tutaj". Sierżant Watson niespiesznie spacerował pomiędzy rannymi, oceniając rozmiar tragedii. Po tym, jak lekarze i sanitariusze odcięli zasłaniające rany brudne i zakrwawione kawałki ubrań, wszystko wyglądało jeszcze bardziej przerażająco; ziejące, sine rany, zmiażdżone kończyny, nieszczęsny Carlos Rodriguez z przestrzeloną przez pocisk moszną, Goodale i Gould z gołymi pośladkami w górze, podziurawiony odłamkami Stebbins, Lechner ze zmiażdżoną nogą, Ramaglia, Phipps, Boorn, Neathery... cała długa lista rannych.

Specjalista Anderson, pomimo poważnych obaw, jakie odczuwał przed wyruszeniem w drogę z głównym konwojem, wrócił z akcji bez szwanku. Ucieszył się, kiedy zobaczył, że jego kumpel z kursu akrobacji powietrznych, sierżant Keni Thomas, jest cały i zdrowy. Niemniej jednak czuł się emocjonalnie wypruty. Z przerażeniem patrzył na okropny widok; na rany, na krew. Kiedy przyjechał transporter z drugim pilotem Super Six One, Brileyem, który leżał martwy na dachu samochodu, Anderson musiał się odwrócić. Ciało zmieniło już kolor – było żółtopomarańczowe, a z głębokiego rozcięcia w głowie wypadły fragmenty mózgu, które obryzgały bok samochodu. Kiedy sanitariusze zaczęli rozglądać się za kimś, kto mógłby pomóc im w zdjęciu zwłok, Anderson ulotnił się. Nie byłby w stanie tego zrobić.

Goodale'a ułożono na środku wielkiego stadionu, pod czystym, błękitnym niebem. Jego spodnie zostały rozcięte w miejscu rany. Nad nim stał pochylony sanitariusz, który podłączał rannemu kroplówkę, równocześnie strzepując popiół z papierosa. Mimo że było słonecznie i temperatura znów sięgała trzydziestu stopni, Goodale szczękał zębami. Czuł się zmarznięty na kość. Lekarze podali mu gorącą herbatę.

W takim stanie znalazł go sierżant Cash, który właśnie dotarł na stadion razem z ostatnimi należącymi do konwoju pojazdami, a teraz z szeroko otwartymi oczami chodził po boisku, szukając przyjaciół. Kiedy zobaczył bladego i trzęsącego się silnie Goodale'a, w pierwszej chwili pomyślał, że ten jest w agonii, bliski śmierci.

– Wszystko w porządku? – zapytał Cash.

– Nic mi nie będzie. Po prostu jest mi zimno.

Cash przywołał pielęgniarkę, która nakryła i otuliła Goodale'a kocem. Następnie podzielili się informacjami na temat kumpli. Goodale powiedział Cashowi o śmierci Smitha i wymienił wszystkich rannych. Cash opisał przyjacielowi, co widział, kiedy do bazy dotarł zagubiony konwój. Powiedział mu o Ruizie, Cavace, Joysie i Kowalewskim.

– Mac oberwał – oznajmił Cash, mając na myśli sierżanta Jeffa McLaughlina. – Nie wiem, gdzie jest Carlson, ale słyszałem, że nie żyje.

Rob Phipps wypadł przez właz transportera, kiedy tylko zatrzymali się na stadionie. Przez kilka godzin siedział razem z innymi rannymi w śmierdzącym „kontenerze". Kiedy tylko otworzono właz, wszyscy szybko zapragnęli wyjść na świeże powietrze. Phipps uderzył ciężko o ziemię, ale powietrze, którego nabrał w płuca, miało tak wspaniały, słodki zapach, że nie zwrócił uwagi na upadek. Nie był w stanie stanąć na nogi, więc jeden z żołnierzy wziął go na ręce i zaniósł do lekarzy. Gdy Phipps był już podłączony do kroplówki, przyszedł jeden z żołnierzy z jego jednostki i powiedział mu o Cavace i Alfabecie.

Floyd przeszedł przez barierkę, wspiął się na trybuny, gdzie na ławkach siedziała grupa żołnierzy z 10. Dywizji Górskiej, i wycyganił od nich papierosa. Kiedy schodził w dół, sierżant Watson przywołał go dłonią, po czym grobowym głosem odczytał listę zabitych. Floydem najbardziej wstrząsnęła śmierć Pilli, jego najlepszego przyjaciela.

Stebbins nabrał pełne płuca świeżego powietrza, kiedy tylko właz transportera w końcu się otworzył. Pomógł wyjąć kilku rannych, aż w końcu pojawiły się nosze przeznaczone dla niego. Zaczął wlec się w ich stronę, kiedy jeden z sierżantów 10. Dywizji krzyknął:

– Chłopaki, nie pozwólcie, żeby musiał się czołgać.

Nagle wokół Stebbinsa pojawiło się kilka osób, które uniosły go delikatnie w powietrze.

Umieszczono go pośród grupki kilku kumpli. Nagi od pasa w dół sierżant Aaron Weaver przyniósł mu kubek gorącej kawy.

– Dziękuję synu, niech cię Bóg błogosławi – zażartował Stebbins. – Masz papierosy?

Weaver zaprzeczył. Stebbins pytał więc każdego z przechodzących, jednak bez powodzenia. W końcu złapał za rękę żołnierza z 10. Dywizji, mówiąc mu:

– Człowieku, znajdź dla mnie jednego cholernego papierosa.

Malezyjski kierowca, ten sam, na którego przed godziną wszyscy (włączając w to Stebbinsa) darli się wewnątrz transportera, podszedł i wręczył mu papierosa. Pochylił się, aby go podpalić, a potem dał Stebbinsowi resztę paczki. Kiedy Stebbins próbował mu ją oddać, kierowca wziął paczkę i wepchnął mu ją do kieszeni koszuli.

Pojawił się Watson.

– Stebby, słyszałem, że nieźle sobie radziłeś. Dobra robota – pochwalił, a następnie schylił się, oderwał pięciocentymetrowej szerokości skrawek podartych spodni Stebbinsa i położył mu go na genitaliach. Obaj roześmiali się.

Dale Sizemore chciał jak najszybciej znaleźć kumpli ze swojego oddziału. Nie mógł się doczekać, kiedy powie im, że nie przesiedział bitwy w hangarze, ale wziął udział w walce i to dwukrotnie. Chciał, aby wiedzieli, że pojechał ich ratować.

Pierwszą osobą, którą znalazł, był sierżant Chuck Elliot. Kiedy się spotkali, obaj wybuchli płaczem, szczęśliwi, że żyją i znów mogą się widzieć. Potem Sizemore zaczął opowiadać Elliotowi o zabitych i rannych rangersach, którzy przyjechali w zagubionym konwoju. Płakali, rozmawiali i przyglądali się ładowanym do helikopterów ciałom zabitych.

– To Smitty – odezwał się Elliot.

– Kto?

– To Smith.

Sizemore zobaczył dwie wystające spod prześcieradła stopy. Jedna z nich była obuta, druga bosa. Elliot opowiedział mu o tym, jak on, Perino i sanitariusz na zmianę trzymali palce w ranie Smitha, uciskając miednicę i starając się dotrzeć do tętnicy udowej. Wówczas odcięli mu jedną nogawkę i zdjęli but z nogi, stąd Elliot wiedział, że pod prześcieradłem znajduje się Smith. Wydał z siebie zdławiony szloch, potem rozpłakał się.

Wkrótce Sizemore znalazł Goodale'a leżącego z tyłkiem w górze:

– Postrzelili mnie w dupę – poinformował go Goodale.

– Masz za swoje, nie trzeba było uciekać – odpowiedział Sizemore.

Steele był wstrząśnięty, gdy dowiedział się, że więcej jego żołnierzy nie żyje. Sierżant, który mu o tym powiedział, nie podał dokładnej liczby, ale przypuszczał, że zginęło trzech lub czterech rangersów. „Czterech?". Dopóki nie dotarł do stadionu, Steele wiedział tylko o śmierci Smitha. Odszedł na chwilę, chciał zostać sam. Usiadł z butelką wody w ręku i, pijąc, zatopił się w myślach. Czuł wszechogarniający smutek, a nie śmiał okazać słabości przy żołnierzach. W pobliżu nie było nikogo równego mu rangą, więc nie miał komu się zwierzyć. Niektórzy żołnierze płakali, inni rozmawiali, pospiesznie wyrzucając z siebie wyrazy, jak gdyby chcieli jak najszybciej podzielić się przeżyciami. Kapitan czuł się dziwnie pobudzony. Po raz pierwszy tego dnia mógł usiąść na chwilę i odpocząć. Rejestrował ze szczegółami każdy widziany obraz i każdy dźwięk, który dobiegał do niego od strony kłębiących się na stadionie ludzi – wydawało się, że jego zmysły tak długo działały na pełnych obrotach, że teraz nie sposób było ich wyciszyć. Znalazł sobie miejsce na skraju moździerzowego gniazda, gdzie usiadł, kładąc karabin na kolanach. Oddychał głęboko, sączył zimną wodę i jeszcze raz prześledził w myślach wydarzenia ostatnich dwóch dni. Czy wszystkie podjęte przez niego decyzje były słuszne? Czy zrobił wszystko, co w jego mocy?

Sierżant Atwater, radiooperator kapitana, chciał do niego podejść i coś powiedzieć, pocieszyć go. Czuł jednak, że nie byłoby to właściwe.

Rannych jednego po drugim pakowano do helikopterów, które następnie leciały w kierunku szpitala wojskowego przy ambasadzie Stanów Zjednoczonych lub do bazy.

Powrotny lot śmigłowcem uspokoił Sizemore'a; przywrócił wspomnienia z dni przed bitwą, kiedy to wykonywali loty profilowe nad Mogadiszu i przeprowadzili sześć pierwszych podniecających misji, podczas których wszystko szło jak po maśle. Wpadający przez otwarte drzwi wiatr i znajomy już teraz obraz nędzy poniżej przywróciły go do normalności. Przypomniało mu się, jak czuli się zaledwie dzień wcześniej – rozbawieni i rozpierani ochotą do walki. Od tego czasu minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny. Nic już nigdy nie będzie dla nich takie samo. Tym razem nikt nie paplał beztrosko podczas powrotu do bazy na pokładzie black hawka. Żołnierze lecieli w milczeniu.

Nelson popatrzył na błękitną wodę i majaczący w oddali okręt marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Miał wrażenie, jakby patrzył na wszystko oczami innej osoby. Kolory wydawały się jaśniejsze, a zapachy bardziej intensywne. Doświadczenie ostatnich godzin znacząco go zmieniło. Zastanawiał się, czy inni też to czują, ale wrażenie było tak dziwne, że nawet nie wiedziałby, jak im je opisać ani jak zapytać ich, czy też czegoś podobnego doznali.

Kiedy śmigłowiec ze Steele'em wzbił się w powietrze, kapitan zerknął na zwartą sieć uliczek, pośród których utknęli wczoraj po południu. Dziś znów mógł patrzeć na nie z szerszej perspektywy. Uderzyło go, jak mała była przestrzeń, na której walczyli. Równocześnie przypomniał sobie, jak odległe i małe było Mogadiszu w porównaniu z resztą świata.

Kiedy ładowano do helikoptera sierżanta Ramaglię, jeden z sanitariuszy pochylił się nad nim i powiedział:

– Stary, strasznie mi przykro z powodu was wszystkich.

– To ich powinieneś żałować – odparł sierżant. – Skopaliśmy im tyłki[284].

13

Po przekazaniu lekarzom zabitych i rannych operatorzy Delty prędko wsiedli do helikopterów, które zabrały ich z powrotem do hangaru. Sierżant Howe i jego ludzie uroczyście wrócili do swoich obowiązków, przygotowując się do powrotu do miasta. Podczas treningu szkolono ich, jak można przez jakiś czas prawidłowo funkcjonować bez snu, więc doświadczenie to nie było dla nich niczym nowym. Niektórzy nazywali ten stan „strefą autopilota" – osiągali moment, w którym ciało przestaje odczuwać ból (o ile nie jest on zbyt silny) i staje się obojętne na gorąco i zimno. Znajdowali się na wyższym poziomie postrzegania, ich ruchy były mechaniczne, działali jak automaty. Howe nie lubił tego uczucia, ale zdążył się już do niego przyzwyczaić.

Niektórzy rangersi, a nawet kilku przyjaciół z jego jednostki, zachowywali się, jakby ich pokonano, co wkurzyło postawnego sierżanta. Zdawał sobie sprawę, że on i jego żołnierze zranili dużo więcej ludzi i zadali więcej szkód niż nieprzyjaciel. Znaleźli się w wyjątkowo paskudnym miejscu, a mimo to nie tylko udało im się

przeżyć, ale jeszcze zdołali poturbować wrogów. Nie wiedział, jaka jest szacunkowa liczba zabitych, jednak nawet nie mając żadnych danych, był przekonany, że właśnie stoczyli jedną z najbardziej jednostronnych bitew w historii Stanów Zjednoczonych.

Zdjął z siebie przesiąkniętą potem kewlarową kamizelkę i resztę sprzętu, po czym rozłożył wszystko na łóżku. Uzupełnił amunicję w kieszeniach, następnie zajął się bronią palną; po kolei otwierał każdy karabin, strzelbę czy pistolet, potem wyczyścił je i nasmarował, nie zapominając sprawdzić, czy wszystko działa, jak należy. Kiedy sprzęt był już gotowy, Howe wstał i spojrzał na niego z silnym poczuciem satysfakcji. Leżący przed nim skrupulatnie zapakowany zestaw służył mu jak dotąd wyjątkowo dobrze. Chciał zachować w pamięci ten widok. Jedyną rzeczą, której żałował, było niezabranie na akcję noktowizora. Tym razem wcisnął go do plecaka. Nigdy więcej nie wybierze się bez niego na misję, obojętnie, czy będzie środek nocy, czy biały dzień.

Howe nie mógł uwierzyć, że wciąż żyje. Myśl o natychmiastowym powrocie na pole bitwy przerażała go, jednak strach był mniej istotny od poczucia lojalności wobec uwięzionych w mieście żołnierzy. Zostało tam kilku chłopaków z jego oddziału – Gary Gordon, Randy Shughart, Michael Durant – a także załoga Super Six Four. Żywi lub martwi, musieli wrócić do domu. Bitwa nie była skończona, dopóki nie wrócił każdy żołnierz. „Pieprzyć to, chodźmy tam i zabijmy kilku drani" – tak właśnie myślał.

A jeśli wrócą do miasta, zgotują tam niezłe piekło[285].

14

Sizemore dowiedział się o tym, że jego kumpel Lorenzo Ruiz nie żyje, dopiero po powrocie do hangaru.

– Słyszałeś już o Ruizie, prawda? – zapytał specjalista Kevin Snodgrass.

Sizemore od razu zrozumiał, co się stało, i nie mógł powstrzymać łez. Ruiz nadal żył, kiedy godzinę wcześniej samolot zabrał go do szpitala na terenie Niemiec. Niedługo po starcie nadeszła jednak wiadomość, że ranny zmarł. Przed misją Ruiz próbował wręczyć Sizemore'owi plik listów do rodziców i innych bliskich, ale Sizemore nie chciał go wziąć. A teraz Ruiz był martwy. Sizemore nie mógł uwierzyć, że to Ruiz nie żyje, a nie on. Przyjaciel miał żonę i dziecko. Dlaczego śmierć zabrała Ruiza, a nie jego? Wydawało mu się to wyjątkowo niesprawiedliwe. Sierżant Watson przesiedział z nim całe godziny, podczas których pocieszał go i rozmawiał z nim. Co jednak można było w takiej chwili powiedzieć?

Sierżant Cash widział Ruiza niedługo przed tym, jak zabrał go samolot.

– Wykaraskasz się z tego – rzekł.

– Nie, nie sądzę – odparł Ruiz, który z trudem wymawiał słowa. – Wiem, że to już koniec. Nie martwcie się o mnie.

Kapitan Steele otrzymał dokładną listę zabitych i rannych, kiedy wrócił do hangaru. Sierżant Glenn Harris czekał na niego przy drzwiach. Zasalutował.

– Rangersi zawsze na czele, kapitanie.

– Zawsze – odparł Steele i zasalutował w odpowiedzi.

– Kapitanie, tak to wygląda – powiedział Harris, wręczając mu zieloną kartkę.

Steele przeraził się. Pierwszy rząd nazwisk zajmował całą długość listy. Nie było tylko czterech zabitych. Na spisie, który trzymał w ręku, było ich trzynastu. Poza tym sześciu żołnierzy, którzy zaginęli w pobliżu drugiego miejsca katastrofy, przypuszczalnie też nie żyło. Z trzech śmiertelnie rannych żołnierzy, których przetransportowano do szpitala w Niemczech (byli to Griz Martin, Lorenzo Ruiz i Adalberto Rodriguez), jeden już zmarł – Ruiz. Siedemdziesięciu trzech mężczyzn zostało rannych. Pośród zabitych było sześciu ludzi Steele'a: Smith, Cavaco, Pilla, Joyce, Kowalewski i Ruiz. Zginęło trzydziestu rangersów. Harris zaczął już zapisywać drugą kolumnę listy, która także zajmowała prawie całą długość strony. Trzydzieści procent żołnierzy z kompanii Steele'a albo nie żyło, albo odniosło rany.

– Gdzie oni są? – zapytał Steele.

– Większość w szpitalu, kapitanie.

Steele zdjął z siebie sprzęt i poszedł do szpitala polowego. Z całej siły starał się przynajmniej zachować pozory emocjonalnego opanowania, ale to, co zastał w szpitalu, załamało go. Panował tu kompletny chaos. Żołnierze, dla których nie starczyło miejsca na łóżkach, leżeli na podłodze. Niektórzy nadal mieli pospiesznie założone na polu walki opatrunki. Zduszonym głosem wykrztusił kilka słów otuchy do każdego z nich, z trudem tłumiąc ściskający mu serce żal. Ostatnim żołnierzem, do którego podszedł, był Phipps, najmłodszy rangers w śmigłowcu oddziału poszukiwawczo-ratowniczego. Phipps wyglądał, jakby uderzono go kijem baseballowym. Spuchnięta twarz była dwa razy większa niż zwykle i przybrała siny odcień. Miał zabandażowane plecy i nogi, a na opatrunkach pojawiła się krew wyciekająca z ziejących ran. Steele położył na nim dłoń.

– Phipps?

Żołnierz poruszył się. Kiedy podniósł powieki, okazało się, że białka oczu są zupełnie czerwone.

– Wyjdziesz z tego – pocieszył go Steele.

Phipps chwycił rękę kapitana.

– Za kilka dni dojdę do siebie. Nie wybierajcie się tam z powrotem beze mnie.

Steele skinął głową i czym prędzej wyszedł na zewnątrz.

Szeregowego Davida Floyda uderzyło, jak pusty wydawał się hangar. Powlókł się w stronę swojego łóżka, gdzie zdjął z siebie sprzęt. Zamiast ulgi poczuł jednak wielki smutek i ciężar. Żołnierze wokół niego gadali jak najęci, tak jakby chcieli wszystko dokładnie wyjaśnić i zrozumieć. Rozprawiali o tym, gdzie, jak i dlaczego zginął każdy z zabitych dziś mężczyzn oraz jak doszło do zranienia każdego z nich. Czasem relacje różnych osób były nieco inne. Jeden z chłopaków sądził, że Joyce jeszcze przez jakiś czas żył, kiedy wieziono go na platformie ciężarówki, tymczasem inny upierał się, że zginął na miejscu. Ktoś myślał, że to Diemer wyciągnął Joyce'a z linii ognia, inny był pewien, że zrobił to Telscher. Stebbins upadł na ziemię cztery razy. Nie – zaprzeczył któryś – tylko trzy. Opowiadali o długich i daremnych staraniach o to, aby Jamie Smith pozostał przy życiu. Płakali, nie skrywając łez.

Nelson, który pojawił się w hangarze jako jeden z ostatnich, po drodze spotkał płaczącego sierżanta Eversmanna.

– Co się stało – zapytał Nelson, a następnie, przypomniawszy sobie, że jego przyjaciel Casey Joyce należał do grupy desantowej Eversmanna, zapytał:

– Gdzie Joyce?

Eversmann spojrzał na niego ze zdziwieniem, ale słowa nie chciały przejść mu przez gardło. Nelson wbiegł do hangaru, gdzie znalazł porucznika Perina, który przekazał mu złą wiadomość. Powiedział też, że Pilla, kumpel, z którym wystawiał skecze, nie żyje. Nelson załamał się.

Śmierć Joyce'a dotknęła go szczególnie mocno. Był mu winny przeprosiny. Kilka dni wcześniej Nelson poirytowany rozkazem, by stać na warcie w pełnym umundurowaniu, powiedział żołnierzom ze swojego oddziału, że mogą zignorować ten wymóg i nałożyć kamizelki i hełmy, mając pod spodem tylko koszulki i szorty. Jeśli będą z tego powodu jakieś kłopoty, przyjmie na siebie cięgi. Niemniej nie przemyślał tego za dobrze; kiedy zrobiła się afera, gniew przełożonych nie skupił się na nim, lecz na Joysie, który formalnie był jego dowódcą. Joyce został surowo zganiony za to, że nie potrafi kontrolować podwładnych.

Nelson zaczynał wartę wczesnym rankiem w niedzielę. Miał stać tam od trzeciej do siódmej, a Joyce specjalnie wstał z łóżka, aby z nim porozmawiać. Trzymali się razem od czasu szkolenia podstawowego, poza tym łączyły ich więzy prawie rodzinne. Tak naprawdę spotkali się na wiele lat przed wstąpieniem do wojska, a ich drogi połączył czysty zbieg okoliczności. Przyrodni brat Nelsona wynajmował mieszkanie w Atlancie razem ze starszym bratem Joyce'a, więc raz czy dwa spotkali się jeszcze jako dzieci. Nelson podziwiał Joyce'a. Nigdy nie widział, aby przyjaciel zrobił albo powiedział cokolwiek niestosownego. Prawie każdy z jednostki schlał się kiedyś w miejscowym barze lub po kryjomu popalał trawkę. Żołnierze czasem wycierali sobie kimś gębę lub robili coś niezgodnego z regulaminem. Ale nie Casey Joyce. Zdaniem Nelsona był to najbardziej przyzwoity facet, jakiego zdarzyło mu się spotkać, autentyczny w każdym calu. Joyce pierwszy otrzymał belki sierżanta, ale obaj wiedzieli, że Nelson też niedługo awansuje na wyższy stopień. Joyce czuł się nieswojo jako przełożony Nelsona. Byli przyjaciółmi. Pilla, Nelson i Joyce mieli wspólne plany; razem z kilkoma innymi chłopakami mieli pojechać do Austin, aby tam zatrzymać się na kilka dni u siostry Joyce'a. Nelsona

przygnębiło to, że wpakował przyjaciela w kłopoty. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej siedzieli nieopodal obłożonego workami piasku karabinu maszynowego. Zbliżała się pełnia księżyca. Stanowisko wartownicze znajdowało się na dwóch ułożonych jeden na drugim kontenerach, dzięki czemu powstał dogodny punkt obserwacyjny. Było cicho. Przed nimi rozpościerał się widok na dachy niskich domów, których szereg zaczynał się tuż za bazą i ciągnął aż na wzgórze na północy. Z oddali dobiegało jednostajne burczenie niewielkich agregatów, które zapewniały energię elektryczną dla jednej czy dwóch żarówek. W blasku księżyca miasto miało bladoniebieski kolor.

– Słuchaj, ja też mam dosyć tej zasranej służbowej hierarchii – powiedział Joyce do Nelsona. – Ale zrób mi przysługę. Cokolwiek by się działo, nie sprowadzaj mi na głowę sierżanta Harrisa i sierżanta sztabowego Eversmanna. Róbmy to, co musimy, aby wkrótce się stąd wydostać. Nie pozwól, żeby coś stanęło między nami.

Joyce nie zrugał go, choć miał do tego pełne prawo. Tak zapewne postąpiłaby na jego miejscu większość innych żołnierzy. Po prostu porozmawiał z nim jak facet z facetem, przyjaciel z przyjacielem. Nelson powinien był go wówczas przeprosić, ale słowa uwięzły mu w gardle. Wciąż czuł gniew z powodu zarządzenia, które wydało mu się bezsensowne i głupie. Ciężko było przełknąć dumę, nawet dla przyjaciela. Kiedy wczoraj po południu pomagał Joyce'owi założyć sprzęt (jako dowódca oddziału Joyce musiał być gotowy do wejścia do śmigłowca jako pierwszy, więc Nelson zawsze mu pomagał), miał przeprosiny na końcu języka, ale ostatecznie nic nie powiedział. W milczeniu patrzył, jak przyjaciel wychodzi z hangaru. Już nigdy więcej nie będzie miał okazji go przeprosić.

Nelsonowi polecono skompletować i zanieść do magazynu sprzęt przyjaciela. Znalazł więc kewlarową kamizelkę Joyce'a, tę samą, którą pomagał mu założyć dzień wcześniej. W górnej części pleców, dokładnie na środku, znajdowała się dziura. Zabrał się do przeszukania kieszeni – żołnierze zazwyczaj wkładali do nich zdjęcia, listy miłosne i tym podobne rzeczy. W przedniej części kamizelki Joyce'a znajdował się pocisk, który prawdopodobnie przebił ciało przyjaciela, a następnie został zatrzymany przez kewlarową warstwę. Nelson wrzucił kulę do blaszanej puszki. Wśród rzeczy Pilli znalazł torebkę z minipetardami, które przyjaciel umieszczał w papierosach kumpli.

Sierżant Watson poszedł do kostnicy, aby po raz ostatni zobaczyć Smitha. Odpiął worek ze zwłokami i spojrzał na ściągniętą, bladą, pozbawioną życia twarz przyjaciela. Następnie pochylił się i pocałował go w czoło[286].

15

W poniedziałek rano (w Mogadiszu było już późne popołudnie) Amerykę obudziła wiadomość o ciężkiej walce w Somalii, miejscu, które większość ludzi musiała najpierw znaleźć na mapie. Nie była to najważniejsza wiadomość dnia. Prezydent Rosji Borys Jelcyn wciąż zmagał się z zamachem stanu, więc urzędnicy z Waszyngtonu obserwowali rozwój sytuacji w Moskwie.

Dramatyczne doniesienia z Rosji coraz częściej przerywano niepokojącymi relacjami z Somalii. Wedle najwcześniejszych informacji co najmniej pięciu żołnierzy zabito, a „kilku" zostało rannych. Nawet te nieduże jeszcze liczby wskazywały na to, że niedziela była najgorszym dniem w Mogadiszu od czasu, gdy dziesięć miesięcy temu Stany Zjednoczone wysłały tam wojska. Później tego samego dnia pokazano groteskowe nagrania, na których tłum wściekłych Somalijczyków ciągnął brudnymi ulicami miasta zwłoki amerykańskich żołnierzy[287].

Prezydent Clinton zobaczył makabryczne sceny, kiedy przebywał w pokoju hotelowym w San Francisco. Nieco wcześniej otrzymał informację, że w Mogadiszu przeprowadzono akcję, którą można było uznać za udaną, mimo że kilku rangersów wpadło w tarapaty. Według informacji zawartych w książce Elizabeth Drew „Na krawędzi" (ang. On the Edge), po obejrzeniu relacji w CNN Clinton zdenerwował się:

– Jak mogło do tego dość? – pytał rozgniewany i zaniepokojony prezydent[288].

Krótka wzmianka w mediach była szczególnie wyrafinowaną, nowoczesną formą tortur dla rodzin przybywających w Somalii żołnierzy. W domu Stephanie Shughart, żony sierżanta Delty Randy'ego Shugharta, o godzinie dwudziestej drugiej w niedzielę zadzwonił telefon. Była sama. Ona i Randy nie mieli dzieci. Dzwoniła żona innego żołnierza z Fort Bragg, która przekazała jej niepokojąco enigmatyczną, złą wiadomość:

– Jeden z naszych chłopaków nie żyje – powiedziała.

„Jeden z naszych".

Stephanie rozmawiała z Randym przez telefon w piątek wieczorem. Jak zwykle nie zdradził jej, co dzieje się w bazie, poza tym, że jest upalnie, jedzenie jest w porządku, a on ma wspaniałą opaleniznę. Powiedział też, że ją kocha. Randy był tak delikatnym mężczyzną, że wydawało się absurdalnym, że zarabia na życie jako żołnierz oddziałów specjalnych. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, nie mówił nic o swojej pracy. Lepiej poinformowani przyjaciele szepnęli jej, że Randy jest „operatorem". Pomyślała, że pewnie pracuje w telekomunikacji.

„Jeden z naszych"[289].

W swoim domu w Tennessee położonym zaraz przy granicy stanowej, która dzieliła go od bazy Nocnych Łowców w Fort Cambell w stanie Kentucky, Becky Yacone siedziała w sypialni razem z Willi Frank. Ich mężowie, Jim Yacone i Ray Frank, byli pilotami śmigłowców black hawk. Kobiety wiedziały, że dwa takie helikoptery zostały zestrzelone nad Mogadiszu. Willy została obudzona o szóstej rano przez kapelana oraz jednego z dowódców z bazy. Od razu zrozumiała, dlaczego do niej przyszli. W podobnej sytuacji znalazła się dokładnie przed trzema laty, kiedy śmigłowiec Raya rozbił się podczas misji szkoleniowej. Spotkała go dwadzieścia dwa lata wcześniej, kiedy była kierowniczką baru w Newport News. Tego dnia przypadały jej urodziny, więc pracownicy zrobili niespodziankę i przygotowali tort, którym poczęstowano wszystkich klientów. Jedli wszyscy oprócz Raya. Kiedy zapytała go, dlaczego nie ruszył tortu, odpowiedział tonem, który sugerował, że jest to oczywiste dla każdego człowieka na całym świecie:

– Piwo nie pasuje do ciasta.

Pobrali się jeszcze tego samego roku w Las Vegas.

– Ray zaginął w akcji – oznajmili dwaj mężczyźni.

– Kiedy będzie wiadomo coś więcej? – zapytała.

Zmieszali się.

– Ostatnio zajęło to dwie godziny – wyjaśniła Willi.

Tym razem miało to potrwać dłużej. Pojawiła się „jednostka wsparcia", czyli żony dwóch innych żołnierzy z oddziału, a potem także Becky, która sama była pilotem. Poznała męża, gdy razem kształcili się w West Point. Nie otrzymała jeszcze żadnych wieści o Jimie. Obie zgodziły się, że jeśli ktokolwiek z załóg zestrzelonych śmigłowców miał wydostać się żywy z chaosu panującego we wrogim, afrykańskim mieście, mogli to być tylko ich mężowie.

Wkrótce pojawiły się doniesienia w mediach. W pierwszej z relacji, która została nadana niedługo po dwunastej, pokazano martwych Amerykanów. Ujęcia zrobiono z daleka, pod dziwnymi kątami, więc nie można było stwierdzić, kim byli zabici.

– Ten ma brudne paznokcie – zauważyła jedna z kobiet. – To musi być mechanik.

Przez chwilę snuły domysły na ten temat. Ciała ciągnięto po ziemi.

– Wszyscy są brudni – powiedziała inna.

Żadna z zebranych w domu Willi kobiet nie wpadła na to, aby nagrać fragment programu i puścić potem od początku. Być może wydawało im się to zbyt makabryczne, poza tym nagrywanie nie było konieczne – CNN pokazywało ten sam materiał co pół godziny. Wówczas rozmowa cichła, a kobiety nerwowo wpatrywały się w ekran.

– To Ray – stwierdziła Willi. Zauważyła coś znajomego w sposobie ułożenia ciała, w pozycji ramion i rąk...

– Nie, jest za niski – odparła Becky. Wiedziały, że Randy Shughart i Gary Gordon także zaginęli. Obaj był niżsi od Raya.

– Nie – zaprzeczyła Willi. – Wiem, że to Ray.

Nie była jednak pewna. Miała złe przeczucie, ale nadal nie opuściła jej nadzieja[290].

Żołnierze zebrani w hangarze w Mogadiszu także oglądali sceny przedstawiające ich martwych kolegów wystawionych na widok publiczny przez tłum szydzących Somalijczyków. Koszmarne nagranie puszczano w pokoju telewizyjnym kilkakrotnie. Nikt nie powiedział ani słowa. Niektórzy odwrócili się i wyszli z

pomieszczenia. Kapitanowie Jim Yacone i Scott Miller siedzieli razem tuż przy ekranie, starając się dociec, czy są to zwłoki Randy'ego Shugharta lub Raya Franka. Obaj mężczyźni mieli podobną budowę ciała i siwe włosy. Ray osiwiał niemalże w ciągu jednej nocy. Niedługo po ukończeniu trzydziestego roku życia zaraził się pewną rzadką chorobą, przez którą jego organizm zareagował alergicznie na zawarty we włosach pigment. Wkrótce wyłysiał, a włosy, które odrosły, były śnieżnobiałe. Ray miał też na tułowiu blizny po poważnej operacji, którą przeszedł po tym, jak jego black hawk rozbił się podczas szkolenia. Operatorzy byli przekonani, że ciało należy do Randy'ego. Patrząc na to, jak Somalijczycy gromadzą się wokół ciał, szturchają je karabinami i ciągną po ziemi, czuli, jak krew burzy im się w żyłach. Jakie zwierzęta mogłyby coś takiego[291]...?

Piloci chcieli podlecieć do tłumu i położyć trupem tych wszystkich ludzi, skosić ich seriami z działek pokładowych. Załatwić każdego gnoja. A potem wylądować i zabrać ciała kolegów. To byli amerykańscy żołnierze, ich bracia.

Garrison i Montgomery nie zgodzili się. Wokół zwłok zgromadził się potężny tłum. Doszłoby do masakry[292].

Jasnowłosy sierżant Macejunas po raz kolejny udał się do miasta. Od wczoraj był tam już trzykrotnie. Jego odwaga stała się niemal legendarna po tym, jak poprowadził pieszy oddział do miejsca, gdzie leżał śmigłowiec Duranta, kiedy okazało się, że nie może dotrzeć tam żaden pojazd. Teraz szedł tam sam ubrany jak cywil, ponieważ chciał uchodzić za dziennikarza. Siły Delty skontaktowały się z zaprzyjaźnioną, miejscową organizacją pozarządową, która miała pomóc w znalezieniu sześciu mężczyzn zaginionych przy drugim wraku: Duranta, Franka, Fielda, Clevelanda, Shugharta i Gordona.

Każdy żołnierz sił zadaniowych z przerażeniem myślał o perspektywie powrotu do miasta, ale byli na to przygotowani – posiadali kamizelki kuloodporne i tyle broni oraz amunicji, ile tylko byli w stanie unieść. Tymczasem Mace wracał do Mogadiszu bez żadnego sprzętu. Miał zamiar znaleźć swoich braci, żywych lub martwych. Rangersi, którzy go zobaczyli, byli pod wrażeniem odwagi i opanowania żołnierza[293].

16

Porywacze Duranta zapytali, czy zgodzi się na nagranie wideo.

– Nie – odparł Durant.

Zdziwił się, że w ogóle zapytali. Jeśli chcieli nagrać film, to i tak to zrobią. No, ale skoro pytali...

Duranta szkolono, jak należy postępować w niewoli; jak nie pomóc wrogowi, a zarazem nie dopuścić do konfrontacji. Pilot wiedział, że jeśli wyjdzie z tego żywy, jego postępowanie zostanie dokładnie przeanalizowane. Lepiej by było dla niego, żeby nie musiał przemawiać do świata jako jeniec.

Tak czy inaczej tego wieczoru pojawiła się ekipa ludzi, którzy mieli go sfilmować. Minęły już dwadzieścia cztery godziny od czasu, kiedy wlokła go ze sobą chmara rozjuszonych Somalijczyków. Dokuczały mu głód i pragnienie, wciąż był przerażony. Miał skomplikowane złamanie prawej nogi, zmiażdżone kręgi, rany postrzałowe ramienia i biodra oraz pokaleczone odłamkami ciało. Zakrwawiona twarz spuchła tam, gdzie uderzyły w nią kolby karabinów. Ciemne, oblepione potem, kurzem i krwią włosy sterczały do góry, jak u przestraszonych bohaterów kreskówek.

Ekipa nagraniowa składała się z około dziesięciu młodych mężczyzn. Ustawili oświetlenie. Tylko jeden z nich rozmawiał z Durantem – młody człowiek posługujący się dobrym angielskim. Pilot zdawał sobie sprawę, że kluczem do wybrnięcia z tej sytuacji jest ujawnienie im jak najmniejszej ilości informacji, udzielanie wymijających odpowiedzi, a zarazem nieokazywanie otwartego sprzeciwu. Istniał pewien kodeks etyczny określający, co mu wolno powiedzieć, a czego nie i Durant był zdecydowany wedle niego postępować. Przesłuchujący go Somalijczycy nie byli profesjonalistami. Co jakiś czas zadawali mu różne pytania, starając się wyciągnąć z niego, kim jest i co jego oddział robi w Somalii. Po włączeniu kamery przesłuchujący go człowiek znów zadał mu te same pytania. Somalijczycy uważali, że wszyscy Amerykanie z grupy zadaniowej to rangersi.

– Nie, nie jestem rangersem – zaprzeczył Durant. Wytłumaczył, że jest pilotem.

– Ty zabijasz niewinne ludzi – upierał się rozmówca.

– To źle, że giną niewinni ludzie – przyznał Durant.

Więcej z niego nie wyciągnęli. Słowa pilota usłyszeli następnego dnia w telewizji ludzie na całym świecie. Przez wiele tygodni poprzedzających bitwę wiadomości z Somalii były nadawane na końcu. Żadna z ważniejszych gazet amerykańskich czy sieci telewizyjnych nie miała nawet swojego korespondenta w Mogadiszu. Teraz nadbrzeżne afrykańskie miasto znalazło się w centrum uwagi. Zamach stanu w Moskwie zakończył się fiaskiem, a widok tłumów bezczeszczących ciała Amerykanów przyciągnął uwagę świata i wzbudził oburzenie Stanów Zjednoczonych. Obraz zarejestrowany przez kamerę wideo, ukazujący spuchniętą, zakrwawioną twarz i dziki przestraszony wzrok Duranta, wkrótce pojawił się w gazetach i na okładkach magazynów na całym świecie. Zdjęcie to było symbolem bezsilności Stanów Zjednoczonych. Wielu Amerykanów zadawało sobie to samo pytanie, które wcześniej postawił prezydent Clinton: „Jak mogło do tego dojść? Czy nie pojechaliśmy do Somalii, aby nakarmić głodnych ludzi?”[294].

Willi Frank uklękła przy telewizorze, oparła się na rękach i pilnie wpatrywała się w ekran. Starała się zobaczyć, co kryje się w rogach ekranu. Jeśli mieli Duranta, to na pewno więzili też innych członków załogi. Prawdopodobnie Ray też tam był i siedział blisko Mike’a, tylko nie objął go kadr[295]!

Durant uważał, że przesłuchanie przebiegło dobrze. Kiedy ludzie z kamerą wyszli z pomieszczenia, pojawił się lekarz. Mówił dobrze po angielsku i był uprzejmy. Powiedział Durantowi, że studiował na Uniwersytecie Kalifornii Południowej. Przeprosił za ograniczone środki; miał przy sobie tylko aspirynę, płyn

antyseptyczny i gazę. Przy użyciu kleszczy i nasączonej płynem dezynfekcyjnym gazy delikatnie zbadał ranę w nodze, w miejscu, gdzie złamana kość udowa przebiła skórę, a następnie oczyścił koniec kości oraz tkanki dokoła.

Bolało bardzo, ale pilot był wdzięczny. Wiedział wystarczająco dużo o ranach, by mieć świadomość, że infekcja kości udowej zdarzała się dość często i zwykle prowadziła do śmierci, nawet w przypadku prostych złamań. Tymczasem on miał skomplikowane złamanie, a na dodatek leżał na brudnej podłodze prawie przez całą dobę. Durant zapytał o załogę śmigłowca i o operatorów Delty, ale lekarz odparł, że nic o nich nie wie.

Kiedy wyszedł, pilota wyniesiono z pomieszczenia, w którym obudziły go dziś rano głosy dzieci i śpiew ptaków. Wepchnięto go na tył samochodu i nakryto szczelnie kocem, po czym do środka wsiadło dwóch mężczyzn, którzy usiedli na Durancie. Bolało strasznie. Złamana noga latała na wszystkie strony. Zdążyła już mocno spuchnąć, więc nawet najmniejszy ruch był torturą.

Zabrali go do niewielkiego mieszkania, gdzie miał zająć się nim szczapowaty, krótkowzroczny mężczyzna. Przez następnych dziesięć dni pilot pozna go dość dobrze. Abdullahi Hassan, nazywany przez innych „Firimbi", był ministrem propagandy przywódcy klanu, Mohameda Farraha Aidida.

Pilot nie wiedział, że Aidid zapłacił za niego okup.

Teraz, jeśli Amerykanie będą chcieli go z powrotem, muszą negocjować z Aididem[296].

17

Garrison i jego siły zadaniowe były gotowe do walki[297], ale urzędnicy z Waszyngtonu przestali już popierać misję.

We wtorek piątego października poprzedni ambasador Stanów Zjednoczonych w Somalii, Robert Oakley, przebywał na przyjęciu w syryjskiej ambasadzie w Waszyngtonie, kiedy zadzwonili do niego z Białego Domu – to był Anthony Lake, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta Clintona.

– Rano muszę z tobą porozmawiać – poinformował go Lake.

– Dlaczego, Tony? – zapytał Oakley. – Jestem w domu od sześciu miesięcy.

Oakley, surowy i prostolinijny intelektualista, który zrobił zawrotną karierę w dyplomacji, był najważniejszym cywilem, wysłannikiem prezydenta George'a Busha w Mogadiszu podczas rozpoczętej w grudniu zeszłego roku misji humanitarnej. Kiedy minęła największa fala głodu, a w Waszyngtonie nastąpiły zmiany w rządzie, Oakley opuścił miasto w marcu 1993 roku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jego stary przyjaciel admirał Jonathan Howe objął najważniejsze stanowisko przy ONZ w Somalii.

Od powrotu do Stanów Oakley z niepokojem śledził przebieg wydarzeń w Mogadiszu. Często rozmawiał z byłymi współpracownikami z Departamentu Stanu, ale pomimo jego długiego stażu żaden z najważniejszych urzędników państwowych nie zasięgnął u niego porady. Nie czuł się z tego powodu urażony, ale martwiło go, jaka przyszłość czeka zapoczątkowany przez niego proces tworzenia rządu. Z rosnącym niepokojem obserwował, jak decyzje ONZ odsuwają Aidida od procesu pokojowego. Czuł, że plan wyśledzenia przywódcy klanu musi spalić na panewce. Uważał, że potraktowanie watażki jak wyjętego spod prawa przestępcy to nie jest dobry pomysł. Nikt jednak nie zapytał go o zdanie.

– Czy możesz przyjść jutro na śniadanie o siódmej trzydzieści? – zapytał Lake[298].

Wpakowali się w kłopoty. Następnego dnia po bitwie, czwartego października, sekretarz obrony Les Aspin i sekretarz stanu Warren Christopher zostali przemaglowani przez wściekłych członków Kongresu. Jak do tego doszło? Dlaczego amerykańscy żołnierze ginęli w odległej Somalii, skoro trwająca tam misja humanitarna powinna była skończyć się kilka miesięcy wcześniej? Aż pięciuset Somalijczyków zabito, a ponad tysiąc zostało rannych. Durant przebywał w niewoli. Opinia publiczna była wzburzona, a Kongres domagał się wycofania sił z Somalii.

Senator Robert C. Byrd, demokrata i przewodniczący Komisji Prac Ustawodawczych, nawoływał do natychmiastowego zakończenia tej „zabawy w policjantów i złodziei".

– Clinton musi sprowadzić ich do domu – oznajmił senator John McCain, republikanin i członek Komisji Sił Zbrojnych, były jeniec wojenny w Wietnamie.

Zauważono poważne błędy w pracy wywiadu. Incydenty świadczące o narastającej fali przemocy i konflikcie pomiędzy klanem HabrGidr oraz siłami ONZ zostały wcześniej uznane za pojedyncze zajścia, a nie działania wrogich sił mające na celu rozpoznanie możliwości Amerykanów. Cały Waszyngton – urzędnicy w Pentagonie, Biały Dom i Kongres – był oszołomiony rozmiarem, zasięgiem i zaciekłością kontrataku Aidida 3 października. Z perspektywy czasu brak reakcji Aspina na prośbę generała Montgomery'ego, który we wrześniu prosił o czołgi i wozy bojowe M2 Bradley, wskazywał na to, że rząd stracił czujność – republikańscy ustawodawcy mieli teraz argument przeciwko administracji Clintona.

Rząd Clintona nie był zbyt popularny wśród przedstawicieli sił zbrojnych, więc wynik bitwy był dla niego dodatkowym ciosem. Teraz wszyscy mieli wrażenie, że Clinton nie interesuje się losem amerykańskich żołnierzy. Wcześniej prezydent był informowany z wyprzedzeniem o misjach sił zadaniowych rangersów. Tym razem decyzja o wyruszeniu na akcję zapadła tak szybko, że Clinton nie otrzymał żadnych informacji. Prezydent miał o to ogromny żal, na co skarżył się Lake'owi. Zaskoczono go. Był wściekły i domagał się odpowiedzi na wiele pytań, poczynając od spraw politycznych, a kończąc na zagadnieniach związanych z taktyką wojskową.

W środę na śniadaniu w lewym skrzydle Białego Domu byli obecni: Lake, jego zastępca, Samuel R. Berger i ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ Madeleine K. Albright. Przeprowadzili nieformalną

rozmowę na temat wydarzeń w Somalii, po czym Oakleya odprowadzono do Gabinetu Owalnego, gdzie spotkał się z prezydentem, wiceprezydentem, Christopherem, Aspinem oraz przewodniczącym Kolegium Szefów Połączonych Sztabów i kilkoma innymi doradcami.

Spotkanie trwało sześć godzin. Meritum dyskusji było znalezienie odpowiedzi na pytanie: co należy teraz zrobić? Pozostawanie w Mogadiszu i ściganie kacyka nie wchodziło w rachubę, mimo że admirał Howe i generał Garrison popierali ten pomysł przekonani, iż Aidid otrzymał już śmiertelny cios, więc pokonanie go nie zajmie zbyt wiele czasu. Jeśli doniesienia miejscowych szpiegów były prawdziwe, niektórzy z najsilniejszych sprzymierzeńców klanowych Aidida uciekli z miasta w obawie przed nieuniknionym kontratakiem Amerykanów. Zapasy granatów przeciwpancernych zostały znacząco uszczuplone. Pojawiali się zwolennicy rozmów pokojowych, gotowi pozbyć się Aidida, aby zapobiec dalszemu rozlewowi krwi. Niemniej podczas dyskusji w Białym Domu tego ranka okazało się, że Stany Zjednoczone nie mają zamiaru podejmować kolejnej akcji zbrojnej w Somalii.

Ameryka wycofywała się. Spotkanie skończyło się decyzją o wzmocnieniu sił zadaniowych rangersów. Armia miała popisać się siłą i zdecydowaniem, ale zrezygnowano ze wszelkich starań prowadzących do aresztowania Aidida i jego najważniejszych pomocników. Po tym, jak do Mogadiszu dotrze liczba żołnierzy, czołgów, samolotów i statków wystarczająca, by zrównać z ziemią miasto, wojska miały pozostać na miejscu przez jakiś czas. Podjęte zostaną nowe kroki i negocjacje zmierzające do utworzenia stabilnego rządu, do których zostanie włączony też Aidid, ale do marca 1994 roku Stany Zjednoczone z godnością wycofają się z kraju. Somalijski watażka jeszcze o tym nie wiedział, ale jego klan odniósł duży sukces. Bez udziału Stanów Zjednoczonych i bez podjęcia współpracy z Aididem siły ONZ nie będą w stanie utworzyć rządu w Somalii.

Oakleya wysłano do Mogadiszu, aby przekazał tę wiadomość i zajął się uwolnieniem Duranta.

Nikt nie będzie negocjował z Aididem w sprawie Duranta. Oakley otrzymał polecenie, by przekazać następującą wiadomość: „Prezydent Stanów Zjednoczonych żąda uwolnienia pilota. Natychmiast”[299].

18

Firimbi był dość wyrośnięty jak na Somalijczyka; wysoki, z długimi rękoma i dużymi dłońmi. Miał wydęty brzuch, lekkiego zeza, a na nosie grube pomazane okulary w czarnych oprawkach. Czuł się niezwykle dumny ze swej pozycji w Somalijskim Przymierzu Narodowym. Kiedy Aidid wykupił Duranta od bandytów, którzy go porwali, Firimbi usłyszał:

– Jeśli coś stanie się pilotowi, tobie przytrafi się to samo.

Duranta przywieziono tej samej nocy. Firimbi zastał wściekłego, a zarazem przerażonego człowieka, któremu dokuczał ból. Pilot był w ponurym nastroju, podobnie jak Firimbi, który odczuwał wrogość w

stosunku do jeńca. Amerykanie przelali morze krwi, zabijając ludzi z jego klanu, a żołnierze tacy jak ten pilot byli za to odpowiedzialni. Trudno mu było powstrzymać gniew.

Durant nie miał pojęcia, dokąd go zabrano. Podczas jazdy przez miasto leżał pod kocem na tylnym siedzeniu. Nie wiedział, czy nie wiozą go na miejsce egzekucji. Po wyjściu z samochodu mężczyźni wnieśli go po schodach, a potem przeszli przez korytarz do pomieszczenia, w którym znajdował się teraz.

Firmibi przywitał się, ale pilot mu nie odpowiedział. Durant znał trochę hiszpański, a Firimbi, podobnie jak większość wykształconych Somalijczyków, mówił po włosku. Te dwa języki są na tyle do siebie podobne, że mężczyźni mogli się ze sobą komunikować. Po tym, jak spędzili razem trochę czasu, mogli przeprowadzić krótką rozmowę. Durant poskarżył się na ból, pokazując obrażenia. Pomimo starań lekarza, który odwiedził go w poprzednim miejscu, do ran wdało się zakażenie, a ich okolice były wrażliwe i spuchnięte. Firimbi z ponurą miną pomógł mu je obmyć i ponownie zabandażować. Przekazał innym, że Durant potrzebuje lekarza.

Tej nocy, w poniedziałek czwartego października, Durant i Firimbi usłyszeli w górze amerykańskie helikoptery, z których głośników wydobywało się zapadające w pamięć wołanie:

– Mike'u Durancie, nie zostawimy cię tu.

– Mike'u Durancie, jesteśmy z tobą.

– Nie myśl, że o tobie zapomnieliśmy, Mike.

– Co oni krzyczą? – zapytał Firimbi.

Durant odpowiedział, że przyjaciele się o niego martwią i będą go szukać.

– A my traktujemy cię dobrze – odparł porywacz. – Wedle somalijskiego zwyczaju, nie wolno krzywdzić więźniów.

Na potłuczonej spuchniętej twarzy Duranta pojawił się uśmiech[300].

19

Dla Jima Smitha, ojca kaprala Jamiego Smitha, koszmar zaczął się w poniedziałek po południu podczas spotkania w sali konferencyjnej banku, w którym pracował, znajdującym się w Long Valley w stanie New Jersey. Spotkanie przerwała żona szefa, która otworzyła drzwi i weszła do środka.

Przeprosiła za zamieszanie, po czym zwróciła się do Smitha:

– Właśnie dzwoniła Carol – powiedziała. – Zadzwoń do domu.

Najwyraźniej żona Smitha, Carol, miała mu do przekazania coś pilnego. Podczas spotkania nie odbierali telefonów w biurze, więc Carol zadzwoniła na domowy numer szefa, aby w ten sposób skontaktować się z mężem.

Smith zadzwonił do niej z biura obok.

– Co się stało? – zapytał.

Nigdy nie zapomniał słów, które wtedy wypowiedziała.

– Przyszło dwóch oficerów. Mówią, że Jamie nie żyje. Przyjedź do domu.

Kiedy tylko przestąpił próg domu, Carol powiedziała:

– To może być pomyłka, Jim. Być może Jamie po prostu zaginął.

Smith jednak wiedział, że to nie pomyłka. Podczas wojny wietnamskiej był kapitanem rangersów. Tam stracił nogę podczas walki. Miał świadomość, że w jednostce o tak surowych zasadach zawiadomienie o śmierci nie przychodziło, dopóki nie znaleziono ciała.

– Nie – zwrócił się cicho do żony, czekając, aż wiadomość dotrze do jej świadomości. – Jeśli mówią, że nie żyje, to znaczy, że są tego pewni.

Wkrótce, w ciągu kilku następnych godzin, zaczęły zjeżdżać się ekipy telewizyjne. Kiedy każdy z najbliższej rodziny wiedział już, co się stało, Smith wyszedł przed dom, aby odpowiedzieć na pytania.

Postawa reporterów i zadawane przez nich pytania zniesmaczyły go. Jak się czuł? „A jak według nich powinien się czuć?". Powiedział im, że jest dumny z syna, a równocześnie pogrążony w smutku. Czy uważa, że jego syna odpowiednio wyszkolono, a dowódcy byli kompetentni? Tak, jego syn był świetnie wyszkolony i miał wspaniałych dowódców. Kto według niego ponosi winę za to, co się stało? „Co miał im niby powiedzieć? Że wini amerykańską armię? A może Somalijczyków? Albo siebie samego za to, że rozbudził w synu zainteresowanie rangersami? Boga?".

Smith odparł, że na razie za mało wie na temat okoliczności śmierci syna, by winić kogokolwiek. Syn był żołnierzem i zginął, służąc krajowi.

Dwa dni później nadszedł telegram z tragiczną wiadomością podpisany przez pułkownika, którego Smith nie znał. Mimo iż znał zawartość depeszy, jej nadejście mocno nim wstrząsnęło. Czytanie zawiadomienia było dla niego smutnym, a zarazem starym jak sama wojna rytuałem, poprzez który połączył się w bólu z każdym człowiekiem, którego bliski zginął na wojnie:

„CELEM NINIEJSZEJ WIADOMOŚCI JEST POTWIERDZENIE INFORMACJI PRZEKAZANEJ PAŃSTWU OSOBIŚCIE PRZEZ PRZEDSTAWICIELA SEKRETARZA ARMII DOTYCZĄCEJ ŚMIERCI WASZEGO SYNA, SPECJALISTY JAMESA E. SMITHA, KTÓRY ZMARŁ W MOGADISZU W SOMALII

3 PAŹDZIERNIKA 1993 ROKU. JEŚLI MAJĄ PAŃSTWO JAKIEKOLWIEK PYTANIA, NALEŻY ZGŁOSIĆ SIĘ DO ODPOWIEDNIEGO CENTRUM POMOCY RODZINOM ŻOŁNIERZY. ŁĄCZĘ NAJSZCZERSZE WYRAZY WSPÓŁCZUCIA."[301]

20

Stephanie Shughart otrzymała wiadomość o śmierci męża, Randy'ego, w ten sam poniedziałkowy ranek. Nie spała przez całą noc po tym, jak dowiedziała się, że „jeden z naszych" został zabity. Spodziewając się nadejścia kolejnych informacji, zadzwoniła do szefowej i poinformowała, że nie będzie jej w pracy z powodu nagłej sprawy rodzinnej. Rodziny w Bragg zbierały siły w oczekiwaniu na złą wiadomość. Co najmniej jedna z nich miała wkrótce otrzymać tragiczne wieści.

Szefowa Stephanie słyszała o tym, że Randy służy w wojsku i czasem wykonuje niebezpieczne zadania. Wiedziała też, że Stephanie nigdy nie wymigiwała się od pracy. Dlatego pojechała prosto do domu Shughartów.

Obie kobiety piły kawę i oglądały CNN. Słuchając pierwszych doniesień, Stephanie cierpiała męki z powodu niepewności, co stało się z jej mężem. Kiedy razem z szefową snuły domysły, za drzwiami pojawiły się dwa cienie.

Stephanie otworzyła drzwi i zobaczyła dwóch żołnierzy z jednostki jej męża. Jeden z nich był bliskim przyjacielem Randy'ego. „A więc nie żyje", pomyślała.

– Randy zaginął w akcji – odezwał się mężczyzna.

Zatem mieli jej do przekazania lepszą wiadomość, niż się spodziewała. Postanowiła nie wpadać w panikę, wszystko będzie dobrze. Randy był najbardziej kompetentnym człowiekiem, jakiego znała. O Somalii myślała, jak o zarośniętym dżunglą kraju. Wyobraziła sobie męża, który stoi na jakiejś polanie i stara się przywołać śmigłowiec. Kiedy przyjaciel powiedział jej, że Randy zaginął razem z Garym Gordonem, wstąpiła w nią nadzieja. „Na pewno się gdzieś ukryli". Jeśli ktokolwiek miał wyjść z tego żywy, byli to oni dwaj.

Przez następnych kilka dni wiadomości przychodziły jedna za drugą – każda z nich była zła. Rodziny dowiedziały się o śmierci Earla Fillmore'a i „Griza" Martina. Następnie pojawiły się przerażające nagrania, na których martwego żołnierza ciągnięto ulicami miasta. Potem nadeszła wieść, że znaleziono ciało Gary'ego. Stephanie wpadła w rozpacz. Kiedy pojawił się dowód na to, że Durant żyje i pozostaje w niewoli, znów zaczęła mieć nadzieję – na pewno Randy jest przetrzymywany w tym samym miejscu. Po prostu nie pokazali go na nagraniu. Modliła się nieustannie. Najpierw o to, aby Randy przeżył. Kiedy po kilku dniach zaczęła tracić nadzieję na powrót męża, modliła się o to, aby przypadkiem nie cierpiał, a jeśli zginął, chciała wierzyć w to, że umarł szybko. W ciągu następnego tygodnia poszła na kilka pogrzebów, gdzie rozpaczała razem z innymi

żonami. W końcu znaleźli się wszyscy zaginieni żołnierze poza Shughartem. Niestety nikt nie przeżył, a zwłoki zostały okropnie okaleczone.

Stephanie poprosiła ojca, aby się u niej na jakiś czas zatrzymał. Przyjaciele na zmianę dotrzymywali jej towarzystwa. Koszmar trwał przez kilka dni.

Kiedy zobaczyła, że przed jej domem zaparkował samochód z kilkoma oficerami i księdzem w środku, domyśliła się, co to może oznaczać.

– Przyjechali, tato.

– Somalijczycy oddali ciało. Zidentyfikowano je. To Randy – oznajmił jeden z oficerów.

– Jesteście pewni? – zapytała.

– Tak – odparł. – Jesteśmy pewni.

Odwodzono ją od oglądania ciała Randy'ego, a ona, jako pielęgniarka, lepiej niż inni rozumiała dlaczego. Ciało przyleciało do Dover w stanie Delaware, Stephanie wysłała tam przyjaciela. Kiedy wrócił, zapytała go:

– Udało ci się go rozpoznać?

Potrząsnął smutno głową. Nie, nie rozpoznał go[302].

21

DeAnna Joyce czuła, że ma szczęście. W piątek wieczorem, dwa dni wcześniej, w domu porucznika w bazie w Fort Benning przeprowadzono losowanie, w które dni żony przebywających w Somalii mężczyzn będą mogły porozmawiać z mężami. Nie widziały ich od kilku miesięcy, od czasu, kiedy pojechali na trening do Fort Bliss tego lata. Osiemnaście kobiet miało zadzwonić w sobotę wieczorem, osiemnaście w niedzielę, a dwie w poniedziałek. DeAnna wylosowała poniedziałek, ale ponieważ jedna z kobiet chciała się zamienić, udało jej się porozmawiać z Caseyem w sobotę wieczorem. Potem wszystkie niedzielne i poniedziałkowe rozmowy zostały odwołane.

W uśmiechu Caseya zawsze była jakaś zapowiedź szczęścia. Poznali się w centrum handlowym w Teksasie. DeAnna była sprzedawczynią w sieci odzieżowej The Limited. Pewnego razu zaczepił ją znajomy, który pytał o jakąś dziewczynę. Następnie przedstawił DeAnnę Caseyowi. Najprawdopodobniej zamienili ze sobą zaledwie kilka słów:

– Cześć.

– Cześć, co słychać?

Coś w tym rodzaju. Później jednak dowiedziała się, że wychodząc ze sklepu, Casey powiedział do kumpla:

– Ożenię się z tą dziewczyną.

Zaczęli się spotykać, a potem Casey przeniósł się z University of Texas do North Texas University, aby chodzić na ten sam uniwersytet, co DeAnna. Studiował dziennikarstwo, ale nie chodził na zajęcia i nie szło mu za dobrze. Pewnego dnia powiedział jej, że chciałby wstąpić do wojska. Zapytał ją, co o tym myśli. Odpowiedziała: „Zrób, co uważasz". Zatem przeszedł szkolenie podstawowe, a następnie ukończył szkołę sił powietrznych, gdzie dorobił się okropnego tatuażu wielkości pięści na tylnej części ramienia, który miał przedstawiać rottweilera, ale bardziej przypominał dzikiego kota. Pies miał na głowie rdzawoczerwony beret jednostki powietrznej. Wkrótce Casey postanowił kształcić się dalej i wziął udział w programie indoktrynacyjnym rangersów.

Ojciec Caseya, emerytowany podpułkownik, nigdy nie nosił naszywki rangersów, dlatego Casey zdecydował się ją zdobyć. Nie było to łatwe. Razem z przyjacielem Domem Pillą zastanawiali się, czy nie zrezygnować (Casey zresztą zadzwonił do DeAnny, żeby upewnić się, czy z tego powodu nie uzna go za dupka), ale ostatecznie postanowili zostać. Wrócił do domu jako rangers i planował zmianę koloru beretu na swoim tatuażu z czerwonego na czarny. Pobrali się dwudziestego piątego maja 1991 roku.

DeAnna rozpłakała się, kiedy usłyszała jego głos w słuchawce w sobotę wieczorem. Casey także posmutniał. Oboje szlochali w słuchawkę, wyznając sobie miłość. Rozpaczliwie chciała, aby wrócił do domu.

W niedzielę do domu porucznika zaproszono wszystkie żony, gdzie poinformowano je, że żołnierze kompanii wzięli udział w starciu. Każdy z nich, nawet kucharze. Kobiety wpadły w panikę, ale DeAnna była dobrej myśli. Bardziej doświadczone tłumaczyły innym, że rodziny żołnierzy rannych w bitwie zostaną poinformowane telefonicznie. Jeśli któryś z ich mężów poległ w walce, ktoś przyjdzie, aby przekazać im tę wiadomość osobiście. DeAnna rozmyślała o tym przez całą noc.

O szóstej trzydzieści rano ktoś zapukał do drzwi. DeAnna narzuciła na siebie szlafrok i zbiegła na dół, aby otworzyć drzwi. „Nie żyje. Casey nie żyje". Kiedy otworzyła, okazało się, że to nie żołnierze, lecz dzieci sąsiadów.

– Tata naszej mamy umarł zeszłej nocy. Musimy wyjechać. Zajmie się pani naszym psem?

Kiedy DeAnna ubierała się, aby pójść do sąsiadów zza ściany, w duchu ganiła samą siebie za to, że przyszła jej do głowy straszna myśl o śmierci Caseya. „Jak mogłam tak pomyśleć?". Gdy przebywała u sąsiadów i słuchała wskazówek dotyczących powierzanego jej psa, równocześnie pocieszając przyjaciółkę, której ojciec zmarł w innym stanie, jeden z sąsiadów wspomniał, że słyszał o jedenastu zabitych w Somalii rangersach.

Gdy DeAnna wróciła do domu, na sekretarce znalazła nagranie od Larry'ego Joyce'a, ojca Caseya, który prosił ją o oddzwonienie. Larry wiedział, że jeśli cokolwiek złego się stanie, DeAnna otrzyma wiadomość pierwsza, więc po obejrzeniu wiadomości w telewizji próbował się z nią skontaktować. Oddzwoniła.

– Przed chwilą w telewizji był Clinton i składał kondolencje rodzinom zabitych – odezwał się teść. Prezydent użył określenia „nieodżałowana strata", a potem zadeklarował dalsze, zdecydowane poparcie dla misji.

DeAnna odparła, że o niczym nie słyszała. Zgodnie stwierdzili, że to dobrze wróży. Właśnie miała wykonać kolejną rozmowę telefoniczną, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Znów zeszła po schodach w dół. Sądziła, że to dzieci sąsiadów, ale tym razem za drzwiami stało trzech mężczyzn w mundurach.

– Jesteś Dina?

– Nie – odparła i zatrzasnęła drzwi.

Mężczyźni delikatnie otworzyli je.

– Pani Joyce?

Mniej więcej w pierwszym tygodniu od otrzymania tragicznej wiadomości nadeszły rzeczy osobiste Caseya. Razem z nimi był list, który napisał do niej tuż przed wyruszeniem na feralną misję. DeAnna wiedziała, że doświadczenia w Somalii wstrząsnęły Caseyem i że podczas miesięcy, które spędził z dala od niej, rozmyślał o drobnych problemach, które zakłócały ich związek.

„Bardzo za Tobą tęsknię", pisał do niej, teraz już zza grobu. „Pewnie mówiłem to już tysiące razy, ale chcę, żeby wszystko było inaczej. Wiem, że nam się uda. Tak bardzo Cię kocham! Nie potrafię lepiej tego wyrazić. Chcę, żebyś kochała mnie całym sercem. Wiem, że tak jest, ale piszę, abyś wiedziała, że jestem tego wart. Nie myśl, że stałem się jakimś ckliwym durniem. Po powrocie będę taki jak zawsze, ale chcę uczynić Cię najważniejszą osobą w moim życiu. Nigdy więcej o tym nie zapomnę. Chcę się z Tobą zestarzeć. Musisz o tym wiedzieć. Sam wszystkiego nie naprawię. Wiem, że sam ponoszę największą winę za nasze problemy i zamierzam się zmienić. Będę chodził do kościoła. Zrobię wszystko, byśmy byli szczęśliwi. Chociaż nie potrafię tego należycie wyrazić, chcę jak najszybciej zacząć wszystko naprawiać. Nic nie mogę jednak zrobić, dopóki nie znajdę się w domu... Zanim otrzymasz ten list, pewnie będę już blisko"[303].

22

Strach przed egzekucją lub torturami, jaki czuł Durant, osłabł po kilku dniach przebywania w niewoli. Po tym, jak w dniu katastrofy znalazł się w środku rozwścieczonego tłumu, najbardziej bał się, że odnajdą go mieszkańcy Mogadiszu. Tego samego obawiał się Firimbi.

Minister propagandy polubił pilota. W przeszłości, podczas szkolenia związanego w umiejętnością przetrwania w niewoli Duranta uczono, jak zaskarbić sobie względy wroga. Starał się być miły. Nauczył się mówić po somalijsku „proszę" (pil les an) oraz „dziękuję" (ma bat san-e). Obaj mężczyźni przez cały tydzień spędzali razem noce i dnie. Przebywali w małym mieszkaniu, do którego wchodziło się z niewielkiej galerii. Durantowi kojarzyło się to z amerykańskim motelem.

Właścicielka domu nalegała, aby zgodnie z somalijską tradycją podać pilotowi specjalny posiłek dla gości. Zabiła kozę, a następnie przygotowała danie z koźlęciny i makaronu. Posiłek był naprawdę pokaźny, a przy tym smaczny. Durant pomyślał, że kawał mięsa i kości, który miał w misce, starczyłby do nakarmienia pięciu ludzi. Następnego dnia jednak zarówno pilot, jak i pilnujący go człowiek dostali biegunki. Firimbi pomagał w utrzymaniu higieny przykutemu do łóżka pilotowi, co było niewygodne i kłopotliwe dla obu mężczyzn.

Firimbi starał się poprawić humor Durantowi.

– Co ci podać? – zapytał kilkakrotnie.

– Chcę bilet na samolot do Stanów Zjednoczonych.

– Chcesz radio?

– Pewnie – odparł pilot, po czym otrzymał małe, czarne, plastikowe radio z tak kiepskim głośnikiem, że musiał przyciskać do niego ucho. Radio stało się jego jedynym sposobem na kontakt z cywilizacją. Mógł słuchać wiadomości ze świata w BBC, w którym pojawiały się doniesienia o jego porwaniu. Wspaniale było usłyszeć te mówiące po angielsku głosy pochodzące z jego części globu.

Przez kilka następnych dni śmiali się jeden z drugiego i dokuczali sobie nawzajem z powodu męczącego ich wzdęcia. Nastrój przebywającego w niewoli Duranta poprawił się. Jego noga została unieruchomiona, ale nadal była spuchnięta i bolesna. Zarówno w dzień, jak i w nocy leżał na małym łóżku. Czasami nikt nie odzywał się godzinami. Czasem on i Firimbi rozmawiali ze sobą. Ich łamany „włosański" robił się coraz lepszy.

Durant zapytał Firimbiego, ile ma żon.

– Cztery.

– A dzieci?

– Dwadzieścioro siedmioro – skłamał Firimbi.

– Jak udaje ci się je wszystkie utrzymać? – zapytał pilot.

– Jestem człowiekiem interesu – odrzekł Firimbi. – Kiedyś miałem fabrykę makaronu. – To akurat była prawda. Powiedział też, że ma dorosłych synów, którzy wyjechali z kraju i regularnie przysyłają pieniądze.

(Firimbi tak naprawdę miał dziewięcioro dzieci).

Durant powiedział mu, że ma żonę i syna.

Firimbi próbował wytłumaczyć pilotowi, dlaczego Somalijczycy są wściekli na niego i innych rangersów. Opowiedział mu o ataku na dom Abdiego, o tym, jak śmigłowce zabiły tuziny jego przyjaciół i innych członków klanu. Firimbi skarżył się, że Amerykanie zabili wielu niewinnych ludzi, w tym kobiety i dzieci. Było ich setki, a może nawet tysiące, mówił. Wyjaśnił, że Aidid to doskonały przywódca, bardzo ważny w swoim kraju, ktoś, komu ONZ lub Amerykanie nie mogą przypiąć plakietki wyjętego spod prawa i usunąć ze sceny. Przynajmniej nie bez walki. Firimbi uważał Duranta za jeńca wojennego. Wierzył, że jeśli będzie traktował go właściwie, po jego uwolnieniu wizerunek Somalijczyków w Stanach poprawi się. Durant starał się być miły dla strażnika, zadawał mu pytania, spełniał jego kaprysy. Firimbi na przykład lubił khat. Pewnego dnia wręczył pieniądze jednemu ze strażników, aby poszedł kupić więcej narkotyku. Po powrocie mężczyzna zaczął dzielić khat na trzy części; dla siebie, Firimbiego i kolejnego strażnika.

– Nie – odezwał się Firimbi. – Podziel na cztery.

Strażnik spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem. Firimbi wskazał dłonią na Duranta, który szybko zorientował się, o co mu chodzi. Skinął głową w kierunku strażnika, pokazując, że także chce dostać przydział.

Kiedy strażnik wyszedł, Firimbi zgarnął dwie porcje, puszczając oko do Duranta i rzucając mu szeroki uśmiech.

Firimbi tak bardzo zżył się z pilotem, że kiedy Durant nie chciał jeść, on także nic nie jadł. Jeśli Durant nie mógł spać z powodu bólu, Firimbi także nie mógł zasnąć. Wymusił na pilocie obietnicę, że kiedy odzyska wolność, opowie o tym, jak dobrze go traktowano. Durant przyrzekł, że powie prawdę.

Po pięciu koszmarnych dniach w niewoli Durant miał gości. Niespodziewanie pokój wysprzątano, a pościel została zmieniona. Firimbi pomógł pilotowi umyć się, zmienił opatrunki, dał czystą koszulę, a następnie zawinął mu talię i nogi luźną, somalijską spódnicą noszoną tu przez mężczyzn. W pokoju rozpylono perfumy.

Durant myślał, że mają go uwolnić. Zamiast tego Firimbi przyprowadził gościa, Suzanne Hofstadter, Norweżkę pracującą dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Durant chwycił jej dłoń i trzymał mocno. Pozwolono jej przynieść tylko kilka kartek, na których mógł napisać list. Napisał, jakie odniósł obrażenia, i zaznaczył, że zapewniono mu pomoc lekarską. Poinformował rodzinę, że czuje się dobrze, poprosił ich, aby się modlili za niego i pozostałych. Nadal nie wiedział, co stało się z resztą załogi oraz Shughartem i Gordonem.

Napisał, że ma straszną ochotę na pizzę. Potem zapytał Firimbiego czy może wysłać następny list, do kumpli z hangaru. Strażnik zgodził się. Durant dał im znać, że wszystko w porządku i zabronił dotykać butelki Jacka Danielsa w jego plecaku. Durant nie miał wiele czasu na zastanawianie się. Starał się w możliwie

beztroski sposób przekazać, że nic mu nie jest, aby się nie zamartwiali za bardzo. Na samym dole napisał: „NSDQ”[304].

Później urzędnicy z Czerwonego Krzyża zmazali akronim, obawiając się, że zaszkodzą neutralności organizacji poprzez przekazanie czegoś, co może okazać się zakodowaną informacją[305].

Kiedy Hofstadter opuściła pomieszczenie, wpuszczono do środka dwóch reporterów: Brytyjczyka Marka Hubanda z „Guardiana” i Stephena Smitha z francuskiej gazety „Liberation”. Huband zastał rannego pilota leżącego na plecach z odsłoniętą klatką piersiową. Jeńcowi najwyraźniej doskwierał ból. Durant wciąż jeszcze był oszołomiony po spotkaniu z Hofstadter. Trzymał ją za rękę do ostatniej chwili, nie chcąc, by odeszła.

Huband i Smith przynieśli dyktafon. Powiedzieli mu, że nie musi nic mówić, jeśli nie chce. Było im żal pilota, więc starali się dodać mu otuchy. Huband powiedział, że od dawna pracuje jako korespondent w Somalii, więc orientuje się, kiedy sytuacja jest beznadziejna, a kiedy nie. Według niego ludzie przetrzymujący Duranta nie mieli zamiaru zrobić mu krzywdy.

Durant zastanawiał się, czy zgodzić się na nagranie. W końcu zdecydował, że lepiej będzie nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym, niż milczeć. Uzgodnił, iż będą rozmawiać tylko o sprawach dotyczących wydarzeń, które nastąpiły już po katastrofie śmigłowca. Dziennikarze rozpoczęli nagrywanie, a Durant krótko opisał moment upadku helikoptera oraz to, jak dostał się do niewoli. Następnie Huband zapytał, dlaczego doszło do bitwy i czemu zginęło tylu ludzi. Pilot powiedział coś, czego później żałował:

– Ginie zbyt wielu niewinnych ludzi. Somalijczycy są źli, ponieważ widzą zabijanych cywilów. Nie wierzę, by ktokolwiek, kto tu nie mieszka, mógł zrozumieć tutejszą sytuację. Amerykanie mają dobre intencje. Chcieliśmy pomóc. Jednak sprawy przybrały zły obrót.

Słowa „sprawy przybrały zły obrót” prześladowały go po odejściu reporterów. Kim był, żeby wydawać sądy na temat amerykańskiej misji? Powinien był powiedzieć: „Jestem żołnierzem, więc wykonuję otrzymywane rozkazy”.

Poczuł przygnębienie. Naprawdę wierzył w to, że sprawy potoczyły się źle, ale mówiąc to głośno, posunął się za daleko.

Durant czuł się przybity aż do następnego dnia, kiedy to usłyszał w BBC głos żony. Lorrie wygłaszała oświadczenie dla mediów. Uważnie słuchał jej głosu. Pod koniec Lorrie powiedziała słowa, które sprawiły, że łzy stanęły mu w oczach – było to zdanie ukryte w akronimie pod listem. Litery pozostały widoczne, mimo że urzędnicy Czerwonego Krzyża usiłowali je zmazać. To była myśl przewodnia jednostki Duranta, 160. Pułku Lotnictwa Operacji Specjalnych.

Lorrie powiedziała:

– Pamiętaj, co zawsze mówiłeś Mike: „Nocni Łowcy nie poddają się”.

Zatem otrzymała jego wiadomość[306].

23

Tydzień po bitwie żołnierze z grupy zadaniowej rangersów musieli stawić czoło wielu emocjom. Przygotowywali się do następnej walki. Czuli wściekłość w stosunku do Somalijczyków, a zarazem głęboki żal z powodu śmierci kolegów. Czuli też wstręt do mediów za pokazanie, jak zwłoki zabitych żołnierzy są bezczeszczone zaledwie 2 czy 3 kilometry od miejsca ich pobytu. Zirytowani przyglądali się przyjazdowi nowego oddziału Delty i kolejnej kompanii rangersów. Niechętnie pozwolili, by usunięto ich w cień, mimo że każdy z nich był gotowy na powrót do miasta, co więcej, spodziewali się, że wkrótce tam wrócą. Znużonymi oczyma ludzi doświadczonych przez los patrzyli na zadzierających nosa i przechwalających się nowo przybyłych żołnierzy. Wszyscy wiedzieli, że jeśli wywiad namierzy Duranta, wejdą do Mogadiszu z tak wielką armią, jakiej mieszkańcy miasta dotąd nie widzieli. Perspektywa walki była przerażająca, ale interwencja była konieczna. Na myśl o niej czuli strach, a zarazem nie mogli się jej doczekać. Równoczesne odczuwanie tych dwóch emocji wydawało się dziwne. Żołnierze, którzy wyszli z poprzedniej bitwy bez szwanku, szykowali broń, pojazdy, umysły i serca na kolejną.

Dwa dni po bitwie pocisk z moździerza Somalijczyków uderzył tuż przed hangarem i zabił sierżanta Matta Riersona, dowódcę oddziału Delty, który pierwszy wpadł do domu stanowiącego cel ataku podczas akcji trzeciego października. Żołnierze z oddziału Riersona aresztowali wówczas grupę Somalijczyków, a następnie, dzięki doświadczeniu i determinacji, pomogli ochronić zagubiony konwój podczas najtrudniejszego etapu walki. Wyjątkowo niesprawiedliwym wydawało się, że sierżant przetrwał bitwę tylko po to, by zginąć dwa dni później podczas beztroskiej pogawędki przed hangarem. Ranny został też doktor Rob Marsh, lekarz Delty, który pomimo silnego bólu i gwałtownego krwawienia dawał sanitariuszom wskazówki, jak mają udzielić mu pierwszej pomocy.

Rangersi starali się pogodzić z dotkliwą stratą. Nie można było powiedzieć, by ponieśli porażkę. Dziewięćdziesięciu dziewięciu rangersów otoczonych przez uzbrojonych i wściekłych mieszkańców ponadmilionowego miasta zdołało utrzymać pozycję przez całe długie popołudnie i noc. Kto inny zdołałby oprzeć się takiej sile? Niemniej wspominając każdego z zabitych, wstydzili się na myśl o tym, jak nie mogli doczekać się bitwy i jak pewni siebie się przed nią czuli. Całe poprzednie pokolenie amerykańskich żołnierzy odbyło służbę wojskową, nie doświadczywszy nigdy okropieństw prawdziwej bitwy. Na twarzach ocalałych malowała się mądrość opłacona cierpieniem.

Sierżant Eversmann analizował każdy swój ruch podczas walki. Przez następne lata robił to jeszcze wielokrotnie. Odtwarzał w pamięci wszystko jeszcze raz: moment, kiedy przez przypadek wyrwał słuchawki, wyskakując z wiszącego nad ziemią śmigłowca, znalezienie połamanego i nieprzytomnego szeregowego Blackburna, żołnierzy ze swojej grupy desantowej, których kolejno trafiała jedna kula za drugą, oraz przedłużającą się i krwawą jazdę w zagubionym konwoju. Dlaczego tak długo trzymał ich na ulicy, kiedy

ostrzał nasilił się? Czy nie powinien był polecić im, aby wyważyli któreś z drzwi i schowali się w budynku? Jak to możliwe, że zabłądzili, jadąc z powrotem do bazy? Podczas drogi powrotnej stracił Caseya Joyce'a. Na to jednak nie miał wpływu. Nadeszły wieści, że być może uda się uratować kciuk Scotty'ego Galentinea. Lekarze przyszyli kciuk do dłoni, którą następnie wszyli częściowo w powłoki brzuszne sierżanta. Mieli nadzieję, że umożliwi to regenerację naczyń krwionośnych niezbędnych do połączenia palca z dłonią. Dotarły też do nich informacje, że Blackburn przeżyje. Odzyskał przytomność, jednak nie pamiętał, co się stało w momencie jego upadku, ani nic z tego, co wydarzyło się potem na ulicy. Szeregowy w końcu wyzdrowiał, ale nigdy nie był już tym samym człowiekiem, co przed wypadkiem. Reszta obrażeń, jakie odnieśli żołnierze Eversmanna, nie była poważna. Niemniej zostało mu już tylko sześciu sprawnych ludzi.

Dowodzona przez kapitana Steele'a i porucznika Perina grupa desantowa Chalk One straciła Jamiego Smitha. Jego powolna śmierć w pobliżu wraku pierwszego śmigłowca miała prześladować w przyszłości Perina oraz sierżanta Schmida, sanitariusza Delty, który otworzył ranę Smitha, próbując go ratować. Śmierć Smitha stała się najbardziej kontrowersyjnym wydarzeniem podczas bitwy, ponieważ Jamie miałby szanse na przeżycie, gdyby wcześniej nadeszła odsiecz dla żołnierzy przy wraku helikoptera Wolcotta. Carlos Rodriguez, rangers z raną postrzałową krocza, miał zostać wyleczony. Dale Sizemore zbył lekarzy, którzy nalegali, aby wrócił do domu z powodu uszkodzonego łokcia. Kręcił się po hangarze, czekając na okazję, by pomścić śmierć przyjaciół. Steve Anderson borykał się z poczuciem winy. Kilku żołnierzy zginęło, wielu zostało rannych. Dlaczego jemu nie spadł nawet włos z głowy? Nie wiedział, co bardziej go złości; czy to, że wcale nie chciał walczyć, czy politycy w Waszyngtonie, przez których wielu jego przyjaciół zginęło lub zostało rannych, goniąc za głupim kacykiem z Mogadiszu. Myśląc o tym, czuł coraz większy gniew, a z czasem stracił wiarę w system, którego wcześniej zadeklarował się bronić. Ranny w biodro i pośladek zabandażowany Mike Goodale jeszcze przed końcem tygodnia miał dotrzeć do domu w Illinois, gdzie czekała jego dziewczyna Kira. Goodale poprosił Kirę o rękę podczas pierwszej rozmowy przez telefon ze szpitala w Niemczech. Dotarło do niego, jak krótkie jest czasem życie i zdecydował się nie odkładać na później tego, co najważniejsze. Porucznika Lechnera czekał długi okres rehabilitacji, ale lekarze w Walter Reed Army Hospital z uporem stymulowali rozrost kości w miejscu, gdzie pocisk z AK-47 przebił dziurę w piszczeli żołnierza. Podobną metodę leczenia zastosowano w przypadku leżącego obok sierżanta Johna Burnsa z rozszarpanym przez kulę podudziem. Pocisk trafił go, kiedy Burns jechał w zagubionym konwoju. Stebbins wrócił do żony w ciągu tygodnia. Gadatliwy urzędnik kompanii otrzymał później Srebrną Gwiazdę za udział w walce. Był żywym przykładem na to, że nawet żołnierze wykonujący najmniej poważane zadania nie są gorsi od innych rangersów.

Konwój został zdziesiątkowany. W hangarze zostało tylko około połowy z pięćdziesięciu dwóch mężczyzn, którzy wyjechali do miasta trzeciego października. Ich pojazdy były zniszczone. Prawie połowa przywódców konwoju została ranna, więc wysłano ich do domów, włączając w to podpułkownika Danny'ego McKnighta. Clay Othic i jego kumpel Eric Spalding po kilku dniach spędzonych w szpitalu w Niemczech wrócili do domu. Podczas długiego lotu do Stanów Othic, którego zabandażowana ręka była jeszcze niesprawna, dokonał ostatniego wpisu w dzienniku drżącą lewą dłonią: „Czasem zjadasz niedźwiedzia, a czasem niedźwiedź zjada ciebie". Za kilka dni razem ze Spaldingiem, obaj z wciąż zabandażowanymi, jeszcze

niezagojonymi ranami, pojechali do Missouri, aby, tak jak planowali, załapać się na końcówkę sezonu myśliwskiego. Jadąc drogą międzystanową w pikapie Spaldinga, słuchali nadawanych co jakiś czas serwisów informacyjnych, w których podawano nowiny dotyczące niezakończonej akcji w odległym Mogadiszu.

Największe straty poniósł oddział Delty, który stracił religijnego Dana Buscha, małego Earla Fillmore'a, Randy'ego Shugharta, Gary'ego Gordona, „Griza", a na koniec jeszcze Riersona. Brad Hallings, strzelec wyborowy Delty, który stracił nogę na pokładzie Super Six Eight, z czasem nauczył się poruszać na sztucznej kończynie tak dobrze, że mógł wrócić do jednostki. Paul Leonard, którego lewa łydka została odstrzelona, kiedy obsługiwał Mk19 w zagubionym konwoju, miał przejść długi okres rehabilitacji w Walter Reed razem z Burnsem, Lechnerem, Galentine'em i kilkoma innymi ciężko rannymi żołnierzami. Prezydent Clinton odwiedził ich któregoś dnia, mniej więcej dwa tygodnie po bitwie. Jego przyjazdowi nie towarzyszył niepotrzebny rozgłos. Kiedy stanął w obliczu namacalnych konsekwencji walki, wydawał się wstrząśnięty i wyjątkowo małomówny. Żołnierzy pouczono wcześniej oschle, aby podczas wizyty prezydenta wszelkie krytyczne uwagi zachowali dla siebie. Zrobiono zdjęcie Clintona z Galentine'em. Wszytą pomiędzy powłoki brzuszne dłoń sierżanta zakrywała luźna koszulka. Na fotografii obaj mężczyźni wyglądają na tak samo speszonych[307].

Wojna w Mogadiszu jednak nie skończyła się jeszcze. Żołnierze, którzy wyszli z walki bez szwanku, spodziewali się, że zanim sytuacja się unormuje, czeka ich jeszcze wiele trudności. Zrobili, co było w ich mocy, aby uczcić śmierć zmarłych kolegów, a potem wrócili do codziennej rutyny. Kilka dni po walce Nocni Łowcy wznieśli przed centrum operacyjnym prowizoryczny pomnik ku czci poległych. Generał Garrison zebrał wszystkich na uroczystościach żałobnych. Wygłosił mowę, której treść była odzwierciedleniem smutku, a zarazem strachu żołnierzy, odwołując się do słynnej przemowy ze sztuki Szekspira „Król Henryk Piąty"[308]:

„Komu do walki odwagi zabrakło, niech odejdzie. Dajcie mu pieniądze, by odszedł pospiesznie, nie chcemy umierać w jego obecności. A kto przeżyje dzisiejszy dzień i do domu dotrze bezpiecznie, co roku na pamiątkę bitwy będzie opowiadał sąsiadom barwne historie o walecznych czynach. Opowie o nich synowi, aby zapamiętano nas do końca dziejów. My nieliczni, my garstka braci – bratem mi jest ten, kto razem ze mną krew przelewał. A ci, którzy bali się z nami walczyć, poczują wstyd, słysząc o tym, jak walczyliśmy i ginęliśmy ramię w ramię"[309].

24

Willi Frank otrzymała wiadomość o śmierci męża tydzień po jego zaginięciu. To był okropny tydzień. Rodziny, które otrzymały informację o losie poległych żołnierzy, nadal analizowały pokazywane w mediach zdjęcia i nagrania z ciałami zabitych.

Okazało się, że na nagraniu przedstawiającym wleczone ulicami zwłoki z nienaturalnie wygiętą nogą, znajduje się Tommie Field. Na filmie, który był najczęściej pokazywany w telewizji, był Randy Shughart.

Natomiast fotografia ciała częściowo zwisającego z ręcznego wózka przedstawiała Billa Clevelanda. Nie było żadnego oficjalnego potwierdzenia ze strony armii, ale rodzina rozpoznała bliskich.

Willi brała udział w pogrzebie Cliffa Wolcotta, kiedy usłyszała, że w kilku miejscach wokół kościoła rozbrzmiewają pagery. Dwa z nich należały do osób z centrum pomocy rodzinom zaginionych żołnierzy.

Po nabożeństwie wzięli ją na chwilę na stronę. Willi myślała, że chcą ją odprowadzić, aby porozmawiała kilka minut z Chrisem Wolcottem. Zamiast tego powiedzieli, że zidentyfikowano ciało Raya.

– Skąd wiecie, że to Ray? – zapytała. – Czy ma siwe włosy?

Odparli, że na głowie nie było już włosów, ale opisali znalezione szczątki. Ciało było ubrane. Zapytała, jakie miał na sobie spodnie, bieliznę. Ray wyjeżdżał w takim pośpiechu, że Willi nie zdążyła wysuszyć jego służbowej bielizny, spakowała mu więc cywilne rzeczy. Kiedy powiedzieli jej, jakie miał na sobie bokserki, wiedziała już, że to on[310].

25

Podczas drugiego tygodnia niewoli Durant został przeniesiony po raz drugi. Tym razem trafił do miejsca, które wyglądało, jak otoczona płotem prywatna rezydencja. Otrzymał od Czerwonego Krzyża pudło z różnymi rzeczami. Jedną z nich była kieszonkowa Biblia.

Mierzenie czasu było jedną z umiejętności zdobytych przez Duranta podczas szkolenia przygotowującego go do pobytu w niewoli. Jeńcy wojenni w Wietnamie odkryli, że liczenie upływającego czasu oraz porządkowanie codziennych wydarzeń, bez względu na monotonię, pomaga zachować zdrowe zmysły. Prowadzenie dziennika było aktem wiary; piszący miał nadzieję na uwolnienie i opowiedzenie kiedyś swojej historii.

Pilot nie był szczególnie religijny, wyjął jednak Biblię, aby wykorzystać ją do innych celów. Notował wydarzenia, które nastąpiły od czasu zestrzelenia śmigłowca, pisząc na marginesach różne zakodowane informacje:

„Łup” – słowo przypominające mu uderzenie granatu przeciwpancernego o kadłub helikoptera.

„Obrót”.

„Horyzont” – zamiast opisu zlewających się ze sobą nieba i ziemi w szybie spadającego śmigłowca.

I tak dalej. Kontynuował historię, odtwarzając cały okres pobytu w niewoli niemal godzina po godzinie. Marginesy Biblii zapełniły się notatkami.

Firimbi, który patrzył, jak pilot czyta Biblię, robiąc różne zapiski, pomyślał, że Durant musi być bardzo religijnym człowiekiem.

– Gdybyś przeszedł na islam, byłbyś wolny – odezwał się.

– Módl się do swojego boga, a ja będę modlił się do swojego. Może wtedy obaj będziemy wolni – zażartował Durant.

W radiu grali ulubione utwory pilota.

Którejś nocy śniło mu się, że jest rangersem, który powinien wejść do śmigłowca razem z grupą desantową Chalk Four. Zgubił się jednak i chodził w kółko, pytając: „Gdzie jest Chalk Four? Gdzie Chalk Four?" Nie poznawał twarzy pytanych ludzi. Nagle wszyscy zniknęli. Zobaczył w górze helikopter, który odleciał, zostawiając go samego[311].

26

Kiedy Robert Oakley przybył do Mogadiszu ósmego października, Aidid nadal przebywał w ukryciu. Zorganizowanie spotkania z klanem Habr Gidr zajęło kilka dni, ale ostatecznie udało się. Przywódcy ugrupowania usłyszeli, że amerykańska operacja wymierzona przeciwko Aididowi została zakończona, podobnie jak pierwotna misja grupy zadaniowej rangersów. Somalijczycy byli sceptyczni.

– Z czasem sami zobaczycie, że mówię prawdę – powiedział Oakley. Następnie orzekł, że prezydent Clinton żąda natychmiastowego uwolnienia Duranta, bez stawiania żadnych warunków. Somalijczycy nie mogli w to uwierzyć. Rangersi aresztowali dotąd około sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu ważniejszych członków klanu. Najcenniejszych z nich, włączając w to schwytanych trzeciego października Omara Salada i Mohameda Hassana Awalego, przetrzymywano w prowizorycznym obozie jenieckim na wyspie w pobliżu położonego na wybrzeżu miasta Kismaju. Ewentualne uwolnienie Duranta musiało odbyć się na zasadach wymiany. Tak rozumieli to Somalijczycy.

– Zrobię, co w mojej mocy, aby wypuszczono więźniów, ale nie mogę wam nic obiecać – oznajmił Oakley, zwracając uwagę na to, że kraj był oficjalnie pod kuratelą ONZ. – Porozmawiam o tym z prezydentem, jednak dopiero po uwolnieniu Duranta.

Następnie były ambasador powiedział coś, co ich przestraszyło. Dopilnował, by zaznaczyć, że „to nie jest groźba", ale sens wypowiedzi był oczywisty.

– Nie wiem nic o planach dotyczących kolejnego ataku i zrobię wszystko, by mu zapobiec, ale co się stanie, jeśli minie kilka tygodni, a wy dalej nie wypuścicie pilota Duranta? Nie tylko stracicie to, co możecie dziś zyskać, ale być może zdecydujemy się też na odbicie go siłą. Zapewniam was, że nie zamierzamy za niego płacić ani targować się w żaden sposób... Zatem najprawdopodobniej zdecydujemy się go odbić i bez względu

na to, czy będzie to słuszne, czy nie, dojdzie do walki z waszymi ludźmi. Kiedy tylko rozlegną się znowu strzały, Amerykanie pozbędą się wszelkich hamulców. Popatrzcie tylko na posiłki, które wciąż do nas napływają: lotniskowce, czołgi, śmigłowce bojowe, i wiele innych. Gdy rozpocznie się bitwa, walczący dadzą upust tłumionej dotąd wściekłości. Ta część miasta zostanie cała zniszczona, zginą mężczyźni, kobiety, dzieci, wielbłądy, koty, psy, kozy, osły, wszystko... Choć będzie to tragedią dla nas wszystkich, nie pozostawicie nam innego wyjścia.

Somalijczycy przekazali tę wiadomość ukrytemu Aididowi, a watażka docenił słuszność rady Oakleya. Zaproponował, że wypuści pilota natychmiast.

Ponieważ Oakley nie chciał zepchnąć w cień przyjaciela admirała Howe'a, poprosił o kilka godzin zwłoki. Polecił, aby przekazali Duranta Howe'owi, a następnie odleciał z powrotem do Waszyngtonu[312].

27

Firimbi poinformował Duranta, że zostanie wypuszczony następnego dnia. Minister propagandy z radością przekazał mu tę wiadomość, jednocześnie jednak był bardzo nerwowy. Cieszył się ze względu zarówno na przyjaciela, jak i siebie. Żartował, że tak naprawdę obaj odzyskają wolność. Firimbi będzie mógł wrócić do normalnego życia. Uważał, że uwolnienie pilota bez żądania niczego w zamian dowodziło wspaniałomyślności Aidida i jego klanu. Nie posiadał się z zachwytu. Gest ten, mówił, wymaże częściowo z pamięci ludzi okropny widok tłumu bezczeszczącego zwłoki amerykańskich żołnierzy. Firimbi i inni wykształceni członkowie klanu wstydzili się, że do tego doszło. Wielokrotnie przypominał Durantowi, aby po wyjściu na wolność powiedział światu, jak dobrze traktowano go w niewoli.

Decyzja o uwolnieniu jeńca tak ucieszyła Firimbiego, że zaczął się obawiać, czy wszystko pójdzie, jak trzeba. A co jeśli wroga frakcja Somalijczyków dowie się o umowie, znajdzie Duranta i zabije go? A może Amerykanie chcą ich wrobić? Przyślą kogoś, kto zabije pilota, a świat uwierzy, że to Aidid jest za to odpowiedzialny. Firimbi zażądał lepszej ochrony, więc należący do klanu uzbrojeni mężczyźni otoczyli budynek, gdzie przebywał pilot.

Tego ranka Firimbi pomógł Durantowi się umyć. Tym razem, zamiast wrzucić go na tył samochodu, a potem na nim usiąść, mężczyźni przyszli z noszami i delikatnie zanieśli go na platformę ciężarówki. Durant wiedział, że wkrótce będzie po wszystkim, ale i tak czuł zdenerwowanie. Firimbi był jednak tak szczęśliwy i podekscytowany, że wiadomość o mającym nastąpić uwolnieniu musiała być prawdziwa.

Zawieźli go na otoczony murem teren i czekali. Wkrótce pojawili się przedstawiciele Czerwonego Krzyża, a razem z nimi lekarz wojskowy, który zbadał Duranta. Chciał dać pilotowi zastrzyk przeciwbólowy, ale Firimbi nie zgodził się. Bał się, że lekarz chce otruć Duranta[313].

Przekazanie pilota odbyło się bez zbędnych ceremonii. Pracownicy Czerwonego Krzyża dali mu list od Lorrie i rodziców, którego nie mogli doręczyć wcześniej. Lekarz, który go zbadał, wyszedł za ogrodzenie i oznajmił reporterom, że Durant ma złamaną nogę, roztrzaskaną kość policzkową, uszkodzony kręgosłup i stosunkowo niegroźne rany postrzałowe na nodze i ramieniu oraz że był dobrze traktowany przez porywaczy.

– Noga została unieruchomiona, jednak nie nastawiono jej, a ranny czuje ból – powiedział lekarz.

Przedstawiciele Czerwonego Krzyża wynieśli ściskającego list Duranta. Z oczu pilota płynęły łzy. Przeszli obok reporterów, a następnie zawieźli go do bazy lotniczej rangersów, z której wyleciał jedenaście dni wcześniej.

Każdy Amerykanin, który przeżył bitwę, znalazł się w domu nie później niż miesiąc po walkach. Większość z nich ogarnęło rozgoryczenie na wieść, że misja została odwołana. Jeśli jej cel był na tyle ważny, że zginęło osiemnastu żołnierzy, a siedemdziesięciu trzech zostało rannych, nie licząc nawet wszystkich zabitych i rannych Somalijczyków, dlaczego odwołano ją dzień po walce? Kilka tygodni po uwolnieniu Duranta marines (dowodzeni przez Oakleya) eskortowali Aidida na miejsce wznowionych negocjacji pokojowych. Za pośrednictwem Oakleya Clinton wysłuchał prośby somalijskich przywódców. Kilka miesięcy później Omar Salad, Mohamed Hassan Awale i inni aresztowani przez grupę zadaniową rangersów mężczyźni odzyskali wolność.

Kiedy do bazy przybył konwój Czerwonego Krzyża, na Duranta czekali żołnierze ze wzmocnionej grupy zadaniowej. Ponad tysiąc żołnierzy z kapeluszami w kamuflażu pustynnym na głowach, ubranych w mundury w kolorze khaki cieszyło się, że nareszcie mają powód do radości. Stanęli w dwóch rzędach, tworząc szpaler prowadzący od wyjazdu z bazy do wejścia do samolotu transportowego, który miał zawieźć Duranta do Niemiec, gdzie już czekała na niego Lorrie. Wszyscy trzymali w dłoniach papierowe kubki z burbonem rzekomo pochodzącym z butelki Jacka Danielsa, którego pilot schował wcześniej w plecaku, a pisząc list w niewoli, ostrzegł kumpli, aby trzymali od niego ręce z daleka.

Tego dnia poczuli radość i ogromną ulgę, ale zarazem też smutek. Durant właśnie dowiedział się, że jest jedynym ocalałym członkiem załogi Super Six Four i że jego dwóch dzielnych obrońców z oddziału Delty także nie żyje. Durant uśmiechał się, tłumiąc łzy, kiedy podłączonego do kroplówki, z czerwonym beretem w ręku niesiono go na noszach pomiędzy dwoma rzędami żołnierzy.

Wszyscy wiwatowali, a kiedy nosze dotarły do schodków prowadzących do samolotu, zaczęli śpiewać. Najpierw rozległy się pojedyncze głosy, a już wkrótce śpiewał każdy żołnierz.

Śpiewali: „God Bless America”[314].

EPILOG

Kobieta i dziecko, 1992

fot. Paul Watson/Toronto Star, Nagroda na World Press Photo

„Bitwa o Morze Czarne” nazywana przez Somalijczyków Ma-alinti Rangers (dniem rangersów) to epizod, o którym Stany Zjednoczone wolałyby nie pamiętać. Obrazy wleczonych ulicami Mogadiszu ciał zabitych żołnierzy to jedne z najbardziej niepokojących scen naszych czasów, które wydają się tym bardziej przerażające, kiedy weźmie się pod uwagę dobre intencje, które leżały u podstaw interwencji. W Mogadiszu 3–4 października nie było ani jednego amerykańskiego reportera, tymczasem po tygodniu wzmożonego zainteresowania świata tą częścią Afryki wydarzenia przyciągnęły dziennikarzy, którzy teraz byli praktycznie wszędzie. Decyzja podjęta przez Clintona zaledwie kilka dni po walce, dotycząca zakończenia misji sił zadaniowych rangersów, tak jak przewidywano, położyła kres wszelkim działaniom w Somalii. Urzędnikom w Waszyngtonie wystarczy lekki posmak porażki, aby całkowicie zapomnieli o całej sprawie. W Senacie co prawda przeprowadzono dochodzenie, a w Kongresie odbyły się dwudniowe przesłuchania, po których sporządzono stronniczy raport. Winą obarczono w nim prezydenta, a także sekretarza obrony Lesa Aspina, który odszedł ze stanowiska dwa miesiące wcześniej, ale to było wszystko.

Nawet w armii, gdzie można by się spodziewać większego zainteresowania najpoważniejszą walką zbrojną z udziałem amerykańskich żołnierzy od czasu wojny wietnamskiej, nie zastanawiano się za bardzo nad przyczynami porażki. Złożono należyty hołd zmarłym i nagrodzono bohaterstwo wielu żołnierzy, jednak, o ile wierzyć odznaczonym weteranom, bitwa była niechlubnym, zamkniętym już rozdziałem.

Kiedy w 1996 roku zacząłem pracę nad tym projektem, moim celem było napisanie poruszającej relacji z bitwy. Uderzyło mnie, jak zacięta była ta walka, i prześladowała mnie myśl o dziewięćdziesięciu dziewięciu otoczonych przez wroga żołnierzach, którzy utknęli w pamiętającym starożytne czasy afrykańskim mieście, gdzie musieli walczyć o przetrwanie. Mój wkład polegał na tym, by ubrać w słowa to, co podczas bitwy widzieli i czuli żołnierze. Chciałem połączyć punkt widzenia zwykłych, pochłoniętych walką ludzi z politycznym i militarnym aspektem sytuacji, w jakiej się znaleźli. Z wyjątkiem wspaniałych utworów beletrystycznych i kilku naprawdę dobrze napisanych dzienników, literatura traktująca o nowoczesnej wojnie, z którą miałem tu do czynienia, ograniczała się do głównie do prac historyków. Pragnąłem wykorzystać zarówno autorytet, jakim może cieszyć się relacja historyczna, jak i emocje zawarte we wspomnieniach, a połączywszy je napisać książkę, którą czytałoby się jak fikcję literacką, mimo że wszystkie wydarzenia byłyby prawdziwe. Ponieważ przygotowania do pisania powieści rozpoczynałem trzy lata po bitwie, spodziewałem się, że część pracy związana z gromadzeniem faktów została już wykonana. Na pewno gdzieś w Pentagonie czy w Białym Domu znajdował się gruby plik sporządzonych po akcji raportów, a także dowody rzeczowe dotyczące szczegółów walki i analizy krytyczne postępowania dowódców oraz żołnierzy. Wyzwaniem dla mnie miało być, jak sądziłem, wybrać z tego to, co nie było tajne. Byłem jednak w błędzie.

Nie istniał żaden gruby plik. Mimo że „bitwa o Morze Czarne” mogła stać się najlepiej udokumentowanym wydarzeniem w militarnej historii Ameryki, ku mojemu zaskoczeniu nikt nigdy nawet nie zaczął nawet sporządzać ostatecznej, pisemnej wersji posiadanych, a nieuporządkowanych jeszcze informacji. Zatem zamiast po prostu stworzyć bardziej obrazową wersję spisanej już historii, miałem szczęście otrzymać ekscytujące zadanie przetarcia nowych szlaków.

Przez kilka miesięcy po tym, jak fragmenty książki zostały opublikowane po raz pierwszy (w formie powieści w odcinkach) na łamach „The Philadelphia Inquirer", rozmawiałem z setkami aktywnych oficerów armii amerykańskiej. Spotykałem się z nimi podczas konferencji i seminariów, niektórzy kontaktowali się ze mną, chcąc zdobyć egzemplarz zamieszczonego w prasie tekstu lub uzyskać dokładne informacje dotyczące określonych aspektów walki. Byli wśród nich nauczyciele wykładający na akademiach wojskowych oraz w Army War College w Carlisle w stanie Pensylwania, National Defence Analysis Institute, Military Operations Research Society, oficerowie z bazy szkoleniowej marines w Parris Island i Security Studies Program w MIT. Odezwali się nawet z CENTCOM-u. Generał Anthony Zinni zaprosił mnie, abym wystąpił przed sztabem w bazie sił powietrznych MacDill w Tampa na Florydzie. Pochlebiło mi to, lecz zarazem średnio spodobał mi się fakt, że przedstawiciele naszych sił zbrojnych chcą, aby dziennikarz bez jakiejkolwiek wojskowej przeszłości opowiedział im o bitwie, podczas gdy wielu uczestniczących w niej mężczyzn nadal służyło w wojsku. Kiedy o kolejnym z otrzymanych przeze mnie zaproszeń usłyszał jeden z byłych dowódców Delty, zapytał: „Dlaczego nie chcą rozmawiać z nami?".

Jednym z powodów, dla których fakty związane z bitwą nie zostały poddane należytej analizie, był tajny charakter operacji Delta Force oraz rangersów. Duża ilość informacji została utajniona. Wygląda na to, że armia potrafi doskonale utrzymać w sekrecie fakty przed własnymi ludźmi. Jeszcze bardziej istotny był ten sam fakt, który kazał politykom schować głowy w piasek – wśród ludzi z sił specjalnych „bitwa o Morze Czarne" została uznana za przegraną.

Oczywiście z militarnego punktu widzenia Amerykanie nie przegrali bitwy. Grupa zadaniowa rangersów wpadła do dzielnicy Mogadiszu nieopodal tętniącego życiem targowiska w niedzielę po południu, kiedy to na ulicach było pełno ludzi, i zdołała zaskoczyć, a następnie aresztować dwóch adiutantów watażki Mohameda Farraha Aidida. Zadanie było skomplikowane, trudne i niebezpieczne, ale pomimo poważnych strat i licznych trudności misja została ukończona.

Bez wątpienia było to pyrrusowe zwycięstwo. Misja miała zająć około godziny, tymczasem duża część sił szturmowych utknęła we wrogim mieście. Otoczeni przez wroga żołnierze musieli spędzić tam noc, walcząc o życie. Dwa nowoczesne śmigłowce MH-60 black hawk zostały zestrzelone nad miastem, a kolejne dwa musiały lądować awaryjnie na terenie bazy. Kiedy następnego ranka żołnierze zostali wyswobodzeni przez pokaźny, międzynarodowy konwój ratunkowy, osiemnastu Amerykanów nie żyło, a wielu było poważnie rannych. Pilot jednego ze śmigłowców black hawk, Michael Durant, został porwany przez tłum wściekłych Somalijczyków, po czym przez jedenaście dni trzymano go w niewoli. Widząc wiadomości o ofiarach oraz relacje telewizyjne, podczas których pokazywano triumfujących Somalijczyków, którzy bezcześcili ciała Amerykanów, rodziny zabitych czuły odrazę i złość, Biały Dom zażenowanie, a członkowie Kongresu wnieśli tak żarliwy sprzeciw wobec misji, że wszelkie działania mające na celu schwytanie Aidida natychmiast odwołano. Zgodnie z przewidywaniami generała dywizji Williama F. Garrisona Amerykanie wygrali bitwę, ale przegrali wojnę.

Jeszcze większą porażkę ponieśli Somalijczycy, chociaż nawet pięć lat po bitwie nie było jasne, jak wielu ludzi to zrozumiało. Walka była niewyobrażalnie nierówna. Liczba zabitych po stronie somalijskiej była porażająca. Szacunkowe dane mówiły o pięciuset zabitych i ponad tysiącu rannych. Aidid chełpił się, że jego klan zdołał odeprzeć największą światową potęgę militarną. Habr Gidr udaremnił wysiłki ONZ, która chciała zmusić go, by dzielił z nią władzę. Od tego czasu klan świętował 3 października. Rocznica bitwy stała się świętem narodowym – o ile można było użyć takiego terminu w sytuacji, kiedy formalnie nie istniał żaden naród. Kilka miesięcy po bitwie amerykańskie siły opuściły kraj, udaremniając tym samym wysiłki ONZ dążącej do stworzenia w Somalii stabilnego rządu koalicyjnego. W roku 1996 Aidid zginął w wyniku jednego ze sporów (którym chciała zapobiec ONZ) pomiędzy frakcjami, nie zdoławszy zjednoczyć kraju. Jego klan nadal walczy w Mogadiszu z rywalizującymi ugrupowaniami, pogrążony w krwawych zmaganiach i anarchii, tkwiąc wciąż w tym samym martwym punkcie. Przywódcy klanowi, z którymi udało mi się porozmawiać w zniszczonym mieście latem 1997 roku, sądzili, że świat wciąż z zaciekawieniem śledzi ich zmagania. Razem z fotografem Peterem Tobią przez większość pobytu byliśmy jedynymi gośćmi w hotelu Sahafi. Byliśmy pierwszymi i jedynymi Amerykanami, którzy pojechali do Mogadiszu, aby dociec, co dokładnie stało się w dniu bitwy. Powiedziałem przywódcom Habr Gidr, którzy byli raczej negatywnie nastawieni do naszego projektu, że to może być ich jedyna okazja do przedstawienia własnej wersji wydarzeń, ponieważ na razie na granicy nie ustawiła się kolejka dziennikarzy i naukowców. Wielki świat zapomniał o Somalii, a statek międzynarodowej dobrej woli odpłynął w siną dal. Krwawe przewroty i zamieszki klanowe nikogo już nie interesowały. Nie mając żadnych zasobów naturalnych ani strategicznej przewagi, czy nawet nie prowadząc potencjalnie lukratywnych interesów na światowych rynkach, Somalia miała niewielkie szanse na szybkie odzyskanie pokoju oraz odbudowę, jaką dawał jej UNOSOM[315]. Słusznie czy nie, Somalia stała się trwałym symbolem niewdzięczności i nieustępliwości Trzeciego Świata oraz daremności wszelkich prób przywrócenia porozumienia wśród miejscowych frakcji za pomocą międzynarodowych sił. Somalijczycy skutecznie zmazali swój kraj z mapy świata.

Nikt nie wygrał „bitwy o Morze Czarne", ale, jak to bywa w przypadku znaczących bitew, zmieniła ona świat. Cena, jaką przyszło zapłacić za aresztowanie dwóch mało znaczących członków klanu – Omara Salada i Mohameda Hassana Awalego – okazała się wysoka. Prezydent Clinton przeżył wstrząs i czuł się niemalże zdradzony przez doradców wojskowych oraz cały sztab, prawie tak samo, jak niedoświadczony prezydent Kennedy czuł się w 1961 roku po inwazji w Zatoce Świń. Wydarzenia w Mogadiszu doprowadziły do rezygnacji sekretarza obrony Lesa Aspina i zniszczyły obiecującą karierę generała dywizji Garrisona, dowódcy grupy zadaniowej rangersów. Przerwały też obiecujące i bezprecedensowe wysiłki ONZ, aby pomóc pogrążonemu w anarchii i wojnie domowej krajowi, w którym miliony ludzi umierały z głodu. Zakończyły krótki, niewinny i podniecający okres, jaki nastąpił po zimnej wojnie, kiedy to Stany Zjednoczone i ich sprzymierzeńcy trwali w przekonaniu, że są w stanie zmieść z powierzchni ziemi skorumpowanych dyktatorów i zaradzić brutalnej przemocy międzyklanowej w tak samo prosty i bezkrwawy sposób, w jaki wygonili z Kuwejtu Saddama Husajna. Bitwa w Mogadiszu wywarła silny wpływ na amerykańską politykę militarną, równocześnie niosąc ze sobą przestrogę.

– To było przełomowe wydarzenie – powiedział jeden z urzędników Departamentu Stanu, który prosił mnie, aby nie podawać jego nazwiska, ponieważ jego spostrzeżenie jest tak sprzeczne z bieżącym programem polityki zagranicznej. – Na początku uważano, że sytuacja w niektórych jest krajach jest koszmarna, ponieważ dobrzy, przyzwoici, niewinni ludzie są uciskani przez oprawców i niegodziwców. Wydarzenia w Somalii rzuciły nowe światło na to przekonanie. Somalia okazała się krajem, gdzie nienawiść rządzi wszystkimi. Zatrzymana na ulicy starsza kobieta, zapytana, czy pragnie pokoju, odpowie: „Tak, codziennie się o niego modlę". Powie nam to, czego byśmy po niej oczekiwali. Kiedy jednak za chwilę zapytamy ją, czy zgodziłaby się, żeby jej klan podzielił się władzą z inną frakcją, aby w kraju zapanował upragniony pokój, odpowie: „Z tymi mordercami i złodziejami? Wolałabym zginąć". W takich miejscach – bardziej współczesnym przykładem może być Bośnia – ludzie nie marzą o pokoju. Pragną zwycięstwa. I władzy. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Wydarzenia w Somalii nauczyły nas, że to mieszkańcy wspomnianych krajów ponoszą główną odpowiedzialność za obecny stan rzeczy. Nienawiść i zabijanie trwają, gdyż taka jest wola obywateli, którzy nie pragną pokoju na tyle mocno, aby doprowadzić do zmian.

Zatem, dobrze czy nie, okręt USS Harlan County został zawrócony z doku w Port-au-Prince tydzień po bitwie w Mogadiszu przez zaaranżowane „zamieszki" mniej niż dwustu Haitańczyków. Rząd Stanów Zjednoczonych (a także ONZ) przyglądał się biernie ludobójczym praktykom w Rwandzie i Zairze, gdzie zabito milion ludzi, a także potwornościom wojny w Bośni. Było coś cynicznego w pozie, jaką przybrały Biały Dom i Kongres po „bitwie o Morze Czarne", decydując się nie oddawać amerykańskich wojsk do dyspozycji ONZ, podczas gdy każdy zainteresowany doskonale zdawał sobie sprawę, że podczas wydarzeń w Mogadiszu siły zadaniowe rangersów, a nawet siły szybkiego reagowania i tak przez cały czas pozostawały pod dowództwem Stanów Zjednoczonych. Nawet decyzja o schwytaniu Aidida i ludzi z jego klanu była inicjatywą Departamentu Stanu USA. Jedną z najbardziej wpływowych jednostek, jakie opowiadały się za misją rangersów w Mogadiszu, był admirał marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych Jonathan Howe, były zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta Busha, który w Mogadiszu występował w roli najważniejszego urzędnika ONZ na miejscu. Akcja sił zadaniowych rangersów była produktem całkowicie amerykańskim.

Wkrótce Kongres odnalazł kilku winnych. Czy to nie Aspin odrzucił początkową prośbę sił zadaniowych rangersów o samolot AC-130, a później, zaledwie kilka tygodni przed brzemienną w skutki walką, odmówił przysłania czołgów M1 Abrams oraz bojowych wozów piechoty M2 Bradley generałowi Thomasowi Montgomery'emu, dowódcy sił szybkiego reagowania? Wydawało się dość oczywiste, że lekka piechota, która wpadła w pułapkę na terenie wrogiego miasta, łatwiej wydostałaby się z opresji, gdyby miała do dyspozycji opancerzone pojazdy, którymi żołnierze mogliby opuścić niebezpieczny teren, a także kilka sterowanych przez system nawigacyjny, śmiertelnie skutecznych działek, którymi dysponują samoloty AC-130 Spectre. Wielu weteranów bitwy w Mogadiszu wierzy, że przynajmniej kilku ich przyjaciół, a być może nawet wszyscy, nie zginęłoby, gdyby rządowi Clintona bardziej zależało na bezpieczeństwie wojska niż na przyjęciu poprawnej postawy politycznej. Sam Aspin jeszcze przed wycofaniem się przyznał, że jego decyzja o sprowadzeniu wojsk była pomyłką. W 1994 roku dochodzenie przeprowadzone przez Komisję Sił Zbrojnych

Senatu Stanów Zjednoczonych doprowadziło do podobnych wniosków. Podczas początkowej analizy przyczyn bitwy emerytowany podpułkownik Larry Joyce, ojciec Caseya Joyce'a (jednego z zabitych rangersów), wygłosił przed komisją przejmującą i krytyczną przemowę.

„Dlaczego odmówiono im przysłania pojazdów opancerzonych? Gdyby mieli wozy bojowe, gdyby mieli pojazdy M2 Bradley, myślę, że mój syn prawdopodobnie by dziś żył. Podobnie jak wielu innych żołnierzy, którzy odnieśli obrażenia we wczesnej fazie bitwy, został zabity w drodze od celu ataku do miejsca, gdzie leżał pierwszy zestrzelony helikopter. Jestem przekonany, że wojska od samego początku nie dysponowały wystarczającą siłą".

Zdanie to wykorzystał David Hackworth, emerytowany pułkownik armii Stanów Zjednoczonych, który na emeryturze zajął się pisaniem o armii. Hackworth poświęcił bitwie rozdział książki zatytułowanej „Hazardous Duty", w którym, aby dać upust rozczarowaniu, że nie było mu dane zobaczyć akcji z udziałem rangersów, nazywa Garrisona „nieudolnym" i oskarża Biały Dom oraz dowódców wojskowych, że przyjęli „pozę bohaterów", nie wykorzystując „posiadanych systemów uzbrojenia tam, gdzie rzeczywiście były potrzebne". Hackworth wyliczył, że dzięki czołgom można było uratować życie sześciu osób i zapobiec zranieniu kolejnych trzydziestu. W obliczeniach Hackwortha można zauważyć poważne nieścisłości i trudno znaleźć w nich choć cień sprawiedliwej, obiektywnej oceny, jednak krytyka wygłoszona przez pułkownika miała wpływ na opinie o bitwie zarówno wśród wojskowych, jak i ludzi z zewnątrz. Garrison stał się celem jego ataku. Hackworth niesłusznie sugeruje, że generał kierował bitwą, siedząc w krążącym nad miastem helikopterze, przy czym nawet przytacza słowa jednego z sierżantów, który stojąc na ziemi mówi, że chciałby mieć „Stingera"[316], żeby zestrzelić go na ziemię (każdy, kto tego dnia walczył w Mogadiszu, wiedział, że Garrison nie przebywał w śmigłowcu dowodzenia). Hackworth wyciąga wnioski, że Garrrison powinien był odmówić przeprowadzenia operacji po tym, jak nie dostarczono całego zamówionego sprzętu. Przytacza tu następujące słowa Joyce'a: „Na początku wierzyłem, że Garrison robił, co trzeba, ale im więcej rozmawiałem z różnymi rangersami, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że nic nie usprawiedliwia sposobu, w jaki pokierowano akcją. Jego taktyka była zupełną porażką. Garrison to kowboj, który chciał zdobyć trzecią gwiazdę kosztem swoich żołnierzy".

Biorąc pod uwagę, że słowa te padły z ust człowieka, który w walce stracił syna, było to naprawdę poważne oskarżenie.

Nie mam kwalifikacji, które pozwalałyby mi krytykować strategiczne decyzje powzięte w dniu bitwy przez Garrisona i jego żołnierzy, jednak informacje zebrane podczas przygotowań do napisania „Helikoptera w ogniu" upoważniają mnie do zdania szczegółowych relacji dotyczących wspomnień, uczuć i opinii żołnierzy, którzy wzięli udział w bitwie. Rozmawiałem z większą liczbą walczących w Mogadiszu rangersów, operatorów Delty i pilotów śmigłowców niż jakakolwiek inna osoba i jak dotąd nie spotkałem się z potwierdzającą opinię Hackwortha krytyką dotyczącą misji czy samego Garrisona. Żołnierze, którzy uczestniczyli w ataku 3 października, wierzyli, że dowództwo obrało odpowiednią taktykę, a oni byli zaangażowani w walkę i czuli się do niej odpowiednio przygotowani. Chociaż wielu z nich kategorycznie krytykowało mniej lub bardziej ważne

decyzje podjęte przed bitwą lub w jej trakcie i w pewnych kwestiach miało zupełne inne zdanie niż ich dowódcy, wszyscy zgodnie uważali, że udało im się wypełnić misję. Uderzyło mnie, jak niewiele goryczy było w tych ludziach, mimo faktu, że każdy z nich przeszedł przez piekło. Jeśli czuli złość, to tylko dlatego, że misję odwołano już w dzień po bitwie, a nie z powodu wydarzeń, jakie miały miejsce w jej trakcie. Według zgromadzonej dokumentacji podczas kilku tygodni przed walką Garrison zbierał cięgi za to, że jest zbyt ostrożny przy podejmowaniu decyzji o kolejnych misjach. Nikt nie zarzucał mu lekkomyślności. Garrison przeszedł na emeryturę w 1996 roku po krótkim okresie zarządzania JFK School of Special Warfare w Fort Bragg, a dziś cieszy się szacunkiem wśród żołnierzy, którymi dowodził.

W liście, który napisał do prezydenta Clintona w dzień po bitwie, wziął na siebie pełną odpowiedzialność za jej wynik. Krytykujące Garrisona osoby uznały ten list za wybieg, chociaż trudno sobie wyobrazić, jaką miałby uzyskać korzyść z napisania go. Jest to dokument, który mówi sam za siebie, honorowy czyn honorowego człowieka, który wyraźnie nie wstydzi się tego, jak on i jego żołnierze pokierowali walką:

I. Nadzór nad operacją i odpowiedzialność za nią spoczywały w rękach dowódcy przebywających w Mogadiszu sił zadaniowych rangersów, a nie urzędników z Waszyngtonu.

II. Podczas przygotowań do akcji mieliśmy do dyspozycji znakomitą siatkę szpiegowską.

III. Żołnierze znali okolicę dzięki doświadczeniu wyniesionemu z sześciu poprzednich akcji.

IV. Sytuacja wroga była dobrze znana: bliskość targowiska w dzielnicy Bakara (co dawało przewagę SNA); znaliśmy też wcześniejszy czas reakcji wroga.

V. Operację zaplanowano od podstaw, oddolnie, a nie odgórnie. Siły szturmowe były przekonane, że przeprowadzenie operacji jest możliwe, a dowódca sił zadaniowych rangersów zatwierdził plan.

VI. Wykorzystane techniki, taktyka i procedury były odpowiednie dla misji/celu.

VII. Przewidziano konieczność wykorzystania sił szybkiego reagowania: A.) oddział poszukiwawczo-ratowniczy czekał w pogotowiu (UH60 z sanitariuszami oraz zabezpieczeniem).

VIII. Strata pierwszego śmigłowca była wydarzeniem dopuszczalnym. Pojawił się jednak problem z wydobyciem z wraku ciała pilota.

IX. Po katastrofie drugiego śmigłowca konieczna była reakcja sił szybkiego reagowania 10. Dywizji Górskiej. Wrak znalazł się w miejscu, gdzie członkowie SNA dotarli prawie w trybie natychmiastowym, więc nie udało nam się dotrzeć do miejsca katastrofy w odpowiednim czasie.

X. Rangersi w okolicach pierwszego wraku nie byli w sytuacji bez wyjścia. Mogli przedostać się przez linię wroga. Nasze przekonania nie pozwoliły nam jednak zostawić uwięzionego we wraku ciała pilota.

XI. Opancerzone siły reagowania byłyby pomocne, lecz liczba rannych prawdopodobnie okazałaby się taka sama. Siły zadaniowe składały się z żołnierzy, którym nie można było zabronić prób dotarcia do poległych towarzyszy.

XII. Misja zakończyła się pomyślnie. Aresztowano ludzi, którzy byli celem ataku i zabrano ich z miejsca akcji.

XIII. W tym szczególnym przypadku prezydent Clinton i sekretarz obrony Aspin nie powinni być obarczani odpowiedzialnością.

William Garrison gen. dyw. dowodzący

Podczas gdy fakty ogólnie przemawiały za sprawozdaniem Garrisona, wydaje mi się, że w kilku punktach tego listu nie ma on racji. Tylko punkty IV i VII zostały częściowo poparte dowodami. Taktyka Aidida była dobrze znana, a planowanie sił zadaniowych skuteczne, ale tylko do pewnego stopnia. Granaty przeciwpancerne okazały się groźniejsze dla śmigłowców black hawk, niż przypuszczano. Kiedy zestrzelono już dwa helikoptery (a trzy inne zostały uszkodzone, ale zdołały dotrzeć na teren bazy), „techniki, taktyka i procedury" sił zadaniowych zostały już wykorzystane do granic możliwości. Oczywistym było, że brakowało odpowiedniej ilości oczekujących w pogotowiu sił szybkiego reagowania, które mogłyby pomóc pilotom i załodze śmigłowca Duranta, Super Six Two. Helikopter oddziału poszukiwawczo-ratowniczego stanowił podstawową jednostkę do wykorzystania w sytuacji, gdyby rozbił się któryś ze śmigłowców. Była to świetnie wyposażona, doskonale wytrenowana grupa profesjonalnych ratowników i żołnierzy wojsk lądowych. Już kilka minut po zestrzeleniu Super Six One Wolcotta znaleźli się przy rozbitym śmigłowcu, dzięki czemu odegrali kluczową rolę w uratowaniu części załogi oraz wydobyciu z wraku ciał Wolcotta i drugiego pilota Donovana Brileya. Kiedy jednak 20 minut później rozbił się black hawk Duranta, dowódcy nie mieli do dyspozycji drugiej jednostki tego typu. Durant i reszta załogi musieli czekać (co okazało się tragiczne w skutkach) na przyjazd sił lądowych.

Przed wysłaniem wojska na misję Garrison postawił w stan gotowości 10. Dywizję Górską, siły szybkiego reagowania, ale zdecydował, że pozostaną one na terenie bazy ONZ na północ od miasta zamiast sprowadzić je do bazy lotniczej grupy sił zadaniowych. Wezwano je natychmiast po zestrzeleniu śmigłowca Wolcotta, ale wsparcie jechało do bazy rangersów okrężną drogą (unikając przejazdu przez miasto), więc dotarli do niej dopiero 50 minut po tym, jak rozbił się pierwszy śmigłowiec (i prawie pół godziny po zestrzeleniu drugiego). Zatem przez pierwsze pół godziny od upadku Duranta i jego załogi na ziemię jedyną pomocą, jaką mógł im posłać Garrison, był pospiesznie zorganizowany konwój składający się głównie z personelu wsparcia. Owszem, każdy z nich był dobrze wyszkolonym żołnierzem, ale żaden nie spodziewał się, że wkrótce weźmie udział w bitwie. Ostatecznie ani ten konwój, ani siły szybkiego reagowania nie były w stanie przedostać się do miasta. Drogę zagradzały im barykady, których przygotowanie zajęło milicji Aidida

sporo czasu. Dowódcy byli świadomi, że jeśli dotarcie do miejsca stanowiącego cel ataku i opuszczenie go zajmie więcej niż pół godziny, należy spodziewać się kłopotów, niewielu jednak zdawało sobie sprawę, iloma granatami przeciwpancernymi będą podczas walki dysponować ludzie Aidida. Ceną za błąd były zestrzelone śmigłowce.

Punkt X listu Garrisona także jest dyskusyjny. Kiedy rozmawiałem z żołnierzami, którzy spędzili noc w okolicy pierwszego rozbitego śmigłowca, wszyscy twierdzili, że zostali osaczeni przez nieprzyjaciela. Z militarnego punktu widzenia osaczone siły nie są w stanie nic zrobić. Gdyby dowódcy sił zadaniowych rangersów spróbowali wydostać swoje oddziały z miasta, być może by im się to udało. Z powietrza zapewniono im intensywne wsparcie należących do sił szybkiego reagowania śmigłowców szturmowych Cobra. Nikt jednak nie podjął takiej decyzji, a żołnierze otoczeni na ulicach miasta czuli się przygwożdżeni. Takie zdanie miał każdy, z kim rozmawiałem, poczynając od oficerów wysokich rangą, a kończąc na zwykłych szeregowych. Mimo że dotarcie pieszo do bazy mogło się udać, każdy z nich wierzył, że ponieśliby wówczas ogromne straty. Ponad 50 procent żołnierzy z zagubionego konwoju zostało rannych, mimo że jechali ulicami w samochodach. Żołnierze znajdujący się w okolicach pierwszego rozbitego śmigłowca musieliby poruszać się pieszo, niosąc zabitych i rannych. Tymczasem ci, którzy razem z kapitanem Steele'em utknęli na południowym skraju obszaru zajmowanego przez Amerykanów, wzdragali się przed pokonaniem pieszo nawet jednej przecznicy, kiedy na ulicy trwała zażarta walka. Gdyby żołnierze Garrisona otrzymali rozkaz przedostania się przez linię wroga, wykonaliby go, jednak pozostali na miejscu, i to nie tylko z powodu lojalności wobec nieżyjącego starszego chorążego sztabowego Cliffa Wolcotta. Utrzymywanie, że było inaczej, czyni co prawda z żołnierzy, którzy znaleźli się w tej trudnej sytuacji, ludzi niezwykle szlachetnych, ale mija się z prawdą.

Pozostała część oświadczenia Garrisona pokrywa się z faktami. Oczywiście prezydent oraz sekretarz obrony pierwsi ponoszą odpowiedzialność za wszystkie akcje armii Stanów Zjednoczonych, jednak biorąc pod uwagę, że podejmując decyzje dotyczące rozlokowania sił zadaniowych rangersów, nie byli w stanie przewidzieć przyszłych wydarzeń, ich działania można uzasadnić. Rezygnacja z użycia samolotu AC-130, zwłaszcza w obliczu narastającej presji Kongresu na wycofanie wojsk z Somalii, także wydaje się zrozumiała. Garrison sam czuł, że samolot jest nie tylko niepotrzebny, ale mógłby okazać się mniej skuteczny niż śmigłowce AH-6 Little Bird podczas walki w gęsto zabudowanej dzielnicy miasta. Gdyby w powietrzu znalazły się zarówno śmigłowce, jak i AC-130, działanie wszystkich jednostek byłoby poważnie ograniczone. Małe helikoptery musiałyby zrobić miejsce dla podchodzącego do ataku samolotu, aby nie znaleźć się na linii jego ognia. Tymczasem śmigłowce Little Bird niezwykle skutecznie wspierały żołnierzy z powietrza. Każdy z uwięzionych w okolicy pierwszego wraku Amerykanów wyraził swoje uznanie dla odważnych i zdolnych pilotów, którym udało się utrzymać na dystans tłum Somalijczyków. Potwierdzili to walczący tego dnia Somalijczycy, z którymi później rozmawiałem. Uważali, że tylko helikoptery powstrzymały ich przed ostatecznym rozgromieniem otoczonych żołnierzy. Zrozumiałym jednak jest, że uwięzionym w okolicach pierwszego rozbitego helikoptera żołnierzom brakowało porażającej siły ognia AC-130, który mógłby utorować im drogę, ostrzeliwując wszystko dokoła. Mógłby stworzyć swoisty korytarz, burząc stojące im na drodze budynki. Jednak obawy dowództwa, iż mogłoby to spowodować zbyt duże straty wśród ludności cywilnej, były

jak najbardziej uzasadnione. Aby stworzyć przejście dla żołnierzy, samolot musiałby zetrzeć w proch sporą część Mogadiszu, prawdopodobnie zabijając więcej cywilów niż członków bojówek Aidida. Pomysłu wysłania samolotu nie popierali wyżsi oficerowie, łącznie ze stojącym na samym szczycie generałem Colinem Powellem, który przez ostatnie tygodnie na stanowisku przewodniczącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów bez wahania przychylił się do ich decyzji. Podczas wywiadu, który przeprowadziłem z myślą o tej książce, Powell powiedział, że chociaż oficjalnie zatwierdził przesłanie całej zamówionej broni, nawet patrząc na przebieg akcji z perspektywy czasu, nie uważał, aby mógł mieć pretensję do Aspina o niewysłanie do Somalii AC-130.

Siły zadaniowe Garrisona nigdy nie przewidywały potrzeby użycia wozów opancerzonych ani nie zgłaszały konieczności dołączenia ich do zestawu broni wymaganej do przeprowadzenia operacji. Stosowana przez nich taktyka polegała na szybkim ataku z zaskoczenia i aż do 3 października sprawdzała się doskonale. Eksperci wojskowi mają prawo krytykować Garrisona w kwestii oceny sytuacji, ale nie powinni mieć pretensji do Aspina za odrzucenie żądania, które tak naprawdę nigdy nie wyszło od sił zadaniowych. Generał Montgomery poprosił o czołgi M1 Abrams i wozy bojowe M2 Bradley dla swoich sił szybkiego reagowania pod koniec września, ale odmówiono mu, ponieważ ludzie z Waszyngtonu naciskali, aby zmniejszyć, a nie zwiększyć ilość przebywającego w Mogadiszu wojska. Może się wydawać, że łatwo zlekceważyć naciski ostrożnego Kongresu, jednak jego silne poparcie było kluczowe dla podtrzymania jakiegokolwiek militarnego przedsięwzięcia. W naszym rządzie każde działanie musi być zbalansowane. Na tym etapie każdy ruch, który wydawał się pogłębiać zaangażowanie Amerykanów w zbrojną interwencję w Mogadiszu, nie mógł liczyć na poparcie. Nawet gdyby Montgomery otrzymał wspomniane bradleye, pozostaje kwestią sporną, czy miałyby one jakikolwiek wpływ na przebieg bitwy. Nie wiadomo też, czy byłyby na miejscu 3 października, ponieważ formalnie stanowiłyby część sił 10. Dywizji Górskiej, a nie grupy zadaniowej rangersów. Podpułkownik Joyce dowodził, że Bradleye mogłyby ocalić życie jego syna, jednak prawdopodobnie wozy bojowe należałyby do jednostki po drugiej stronie miasta. Odsiecz, która ostatecznie pomogła otoczonym żołnierzom wydostać się z miasta, przybyła w wozach opancerzonych – nadjechały czołgi Pakistańczyków i transportery Malezyjczyków. Być może pomoc pojawiłaby się szybciej, gdyby siły szybkiego reagowania wyposażono w osławione Bradleye, ale i tak jedynym żołnierzem, który umarł, czekając na pomoc, był kapral Jamie Smith, który wykrwawił się wczesnym wieczorem. Kolumna spieszących z pomocą pojazdów musiałaby wyruszyć cztery lub pięć godzin wcześniej, aby ocalić jego życie i to przy założeniu, że chirurdzy zdołaliby mu pomóc – a co do tego nikt nie mógł mieć pewności. Spór ten dotyczy znów Garrisona, a nie bojaźliwych polityków z Waszyngtonu, którzy doprowadzili do osłabienia sił na miejscu. Być może Garrison, generał Wayne Downing, generał Joseph Hoar, generał Powell i pozostali dowódcy powinni byli od początku upierać się przy przysłaniu AC-130. Nie zrobili tego. Myślę, że są to sprawy, na temat których różnią się opiniami eksperci wojskowi o najlepszych intencjach. Niemniej wedle tego, co napisał w liście generał, to on ponosi odpowiedzialność.

Sugestia, iż Garrison i jego żołnierze powinni byli odmówić udziału w walce, dopóki nie otrzymają całego sprzętu, jaki zamawiali, przywodzi mi na myśl dowodzoną generała George'a McClellana armię Unii, która całymi latami obozowała bezpiecznie, i, aby opóźnić udział w bitwie, domagała się wciąż nowego

sprzętu. Prezydent Lincoln w końcu pozbył się McClellana, twierdząc, że ów cierpi na nieuleczalny przypadek „powolniactwa". Rangersi byli śmiałymi i ambitnymi żołnierzami, którzy woleli radzić sobie z tym, co im dano, niż odmawiać walki, dopóki nie otrzymają wszystkiego, co zamówili.

W porównaniu z innymi bitwami walka w Mogadiszu była tylko niewielką potyczką. Generał Powell zauważył, że śmierć osiemnastu amerykańskich żołnierzy w Wietnamie nie stałaby się nawet powodem do zwołania konferencji prasowej. Starsi żołnierze mogą dziwić się zamieszaniu, do jakiego doprowadziła ta walka, zarazem jednak dowodzi ono, że znacznie obniżyła się tolerancja Ameryki, jeśli chodzi o liczbę rannych i zabitych żołnierzy. Nie znaczy to, że żadna akcja zbrojna nie jest warta podjętego ryzyka czy ceny, jaką trzeba za nią zapłacić. Nasze siły zbrojne na pewno znów zostaną wezwane w odległe rejony świata (tak jak wysłano je do Bośni). Na pewno jest jeszcze kilka przypadków innych walk, które warto przeanalizować, przygotowując się do misji XXI wieku.

Przyczyną błędów popełnionych w Mogadiszu nie była beztroska czy niewiedza dowodzących. Zbyt łatwo jest lekceważyć błędy, zrzucając winę na dowódców. Taka postawa zakłada, że istnieje korpus oficerski składający się z ludzi, którzy znają odpowiedzi na wszelkie pytania, zanim jeszcze ktokolwiek im je zada. Ile powinno być na miejscu oddziałów poszukiwawczo-ratowniczych? Po jednej na każdy znajdujący się w powietrzu śmigłowiec black hawk i Little Bird? Niektórym z popełnionych błędów należy przyjrzeć się uważniej. Podczas bitwy wysiłki poczynione, by sterować z powietrza zagubionym konwojem, zakrawały na czarną komedię. Ryzykując, że powiem banał, zapytam: Jak to możliwe, że naród, który jest w stanie wysłać na Marsa malutki, bezzałogowy wózek, nie potrafi pokierować konwojem, który krąży po obszarze pięciu kwartałów na ulicach Mogadiszu? Dlaczego siły szybkiego reagowania potrzebowały aż 50 minut na przyjazd do bazy sił zadaniowych, kiedy w mieście zrobiło się gorąco? Czy od samego początku nie powinni byli czekać w pogotowiu na bardziej dogodnej pozycji? Jednak wszystkie te pytania wydają się oczywiste dopiero, gdy patrzymy na przebieg wydarzeń z perspektywy czasu. Prawdą jest, że przez pierwszych kilkanaście minut misja rangersów 3 października przebiegała sprawnie. Gdyby nie zestrzelono black hawka Super Six One, „złe" wybory dokonane przez Garrisona zostałyby określone jako śmiałe. Nigdy się nie dowiemy, czy admirał Jonathan Howe miał rację, wierząc, że trwały pokój może nastąpić w Somalii dopiero po aresztowaniu Aidida bądź rozwiązaniu jego klanu. Prawdopodobnie był w błędzie. W latach, które nastąpiły po śmierci watażki, w Mogadiszu nie zaszły większe zmiany. Habr Gidr jest dużym i wpływowym klanem, którego historia jest zakorzeniona głęboko w przeszłości Somalii oraz współczesnej kulturze politycznej. Jeśli ktoś wierzył, że 450 najlepszych amerykańskich żołnierzy może go unicestwić przy użyciu siły i tym samym otworzyć drogę dla, jak to ujął generał Powell, „demokracji jeffersońskiej", musi być naprawdę naiwny. Ostatecznie „bitwa o Morze Czarne" jest kolejną lekcją uczącą, że istnieją granice tego, co można osiągnąć siłą.

Zacząłem pracę nad tą książką mniej więcej dwa i pół roku po bitwie. Byłem zaintrygowany pierwszymi doniesieniami o niej, zarówno jako obywatel, jak i pisarz. Niewątpliwie było to ważne, fascynujące wydarzenie, którego skutki okazały się tragiczne dla wielu i które miało konsekwencje w amerykańskiej polityce zagranicznej. Ponieważ w tej zaciekłej walce nie brało udziału wielu Amerykanów – niewielka liczba

amerykańskich żołnierzy została osaczona przez nieprzyjaciela w afrykańskim mieście i spędziła tam noc – zdałem sobie sprawę, że mogę być w stanie opowiedzieć całą historię tego wydarzenia. Niemniej przedsięwzięcie to przerażało mnie. Nie miałem odpowiedniego przygotowania, wiedzy ani źródeł i przypuszczałem, że osoba je posiadająca mogłaby zrelacjonować całe wydarzenie lepiej ode mnie.

Tak czy inaczej ciekawość kazała mi zapoznać się z wszelkimi dostępnymi informacjami na temat incydentu. Szczególnie zaintrygowało mnie późniejsze zainteresowanie Clintona. Wyjątkowo wzruszające były przeczytane przeze mnie doniesienia prasowe o spotkaniach prezydenta z rodzinami żołnierzy, którzy zginęli podczas bitwy. Podobno podczas jednego z tych spotkań Larry Joyce i Jim Smith (ojciec kaprala Jamiego Smitha) szorstkim tonem zadawali szereg rzeczowych pytań. Rozmyślałem o nieformalnej wizycie, jaką prezydent złożył żołnierzom wracającym do zdrowia w Walter Reed Army Hospital. Co czuli ci żołnierze podczas spotkania z człowiekiem, który wysłał ich na misję, a potem niespodziewanie ją odwołał? Czytałem, że podczas uroczystości pośmiertnego nadania Medali Honoru dwóm operatorom Delty ojciec jednego z wyróżnionych, sierżanta Randy'ego Shugharta, obraził prezydenta, mówiąc mu, że nie nadaje się na głównodowodzącego sił zbrojnych.

Kiedy poproszono mnie, abym przedstawił sylwetkę Clintona w „The Philadelphia Inquirer", kiedy to prezydent startował do kolejnych wyborów, starałem się odpowiedzieć sobie na niektóre z powyższych pytań. Rozmawiałem z osobami (członkami rodzin poległych bądź rannych żołnierzy), które były na rozmowie w Białym Domu. Dlatego pojechałem do Long Valley w stanie New Jersey, aby spotkać się z Jimem Smithem, emerytowanym kapitanem armii amerykańskiej i zarazem byłym rangersem, który stracił nogę podczas wojny wietnamskiej. Jim i ja siedzieliśmy w jego pokoju przez kilka godzin. Opowiadał mi o spotkaniu z Clintonem, a następnie długo mówił o synu Jamiem i swoich uczuciach, gdy go stracił. Skarżył się, że tak mało wie o bitwie oraz o tym, jak zginął jego syn. Kiedy wychodziłem z jego domu, byłem już zdecydowany, że dowiem się czegoś więcej.

Moje początkowe starania, aby dostać się do biura prasowego Pentagonu, były naiwne i nie doprowadziły mnie do niczego. Wypełniłem wniosek o udzielenie dostępu do informacji, jednak jeszcze w dwa lata później nadal ich nie otrzymałem. Powiedziano mi, że osoby, z którymi chciałem przeprowadzić wywiady, należały do jednostek, których członkowie mają zakaz rozmowy z prasą. Moją jedyną nadzieją na znalezienie zwyczajnych żołnierzy, z którymi chciałem porozmawiać, było podanie ich nazwisk. Znałem ich jednak tylko kilka. Przejrzałem tę garstkę tekstów, które jak dotąd napisano na temat bitwy, i podałem znalezione w nich nazwiska. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Któregoś dnia dostałem zaproszenie od Jima Smitha. Wojsko miało uczcić pamięć Jamiego, dedykując mu jeden z budynków w Picatinny Arsenal niedaleko domu Smitha. Zastanawiałem się, czy tam jechać. Zajęłoby mi to cały dzień, a ponieważ nie dopisywało mi szczęście, pisanie tej historii powoli przestawało być dla mnie ważne. Z drugiej strony rozmowa, którą odbyłem z Jimem, naprawdę mnie poruszyła. Sam mam synów niewiele młodszych od Jamiego i nie mógłbym sobie wyobrazić, że któryś z nich ginie, zwłaszcza podczas walki w takim miejscu, jak Mogadiszu. Pojechałem tam.

Na uroczystości pojawiło się kilkunastu rangersów, którzy walczyli w Mogadiszu razem z Jamiem. Jim przedstawił mnie im, więc łatwiej mi było pokonać dystans, jaki z reguły żołnierze czują względem reporterów. Podali mi nazwiska i powiedzieli, jak mogę umówić się na rozmowy z nimi. Tej samej jesieni przez trzy dni przeprowadziłem w Fort Benning pierwszych dwanaście wywiadów. Każdy z mężczyzn podał mi nazwiska i numery telefonów kolejnych żołnierzy, którzy razem z nimi walczyli w Somalii. Wielu z nich opuściło już wojsko. Od tego czasu moja sieć kontaktów powiększała się. Prawie każda osoba, z którą udało mi się skontaktować, zgadzała się na rozmowę. Latem 1997 roku „The Inquirer" wysłał Petera Tobię i mnie do Mogadiszu. Polecieliśmy do Nairobi, gdzie za przelot do Somalii zapłaciliśmy khatem, po czym wdrapaliśmy się do niewielkiego samolotu, ciągnąc za sobą worki z narkotykiem. Samolot wylądował na niewielkim, gruntowym lądowisku poza granicami miasta. Przez siedem dni towarzyszył nam Ibrahim Roble Farah, biznesmen z Nairobi, a zarazem członek klanu. Czas spędzony w mieście wystarczył nam, aby obejść wszystkie ulice, na których toczyły się walki, i porozmawiać z kilkoma ludźmi, którzy tamtego dnia walczyli z amerykańskimi żołnierzami. Dowiedzieliśmy się, jak Somalijczycy postrzegali brutalne nieraz praktyki, jakie stosowano latem 1993. Kiedy wojska ONZ rozpoczęły nieudolne polowanie na Aidida, ogólne poparcie dla interwencji humanitarnej zmieniło się w nienawiść. Razem z Peterem wyjechaliśmy przepełnieni współczuciem dla tego miejsca, bogaci w wiedzę o bezsensie prowadzonej tu polityki i o przyczynach, dla których Somalijczycy tak zaciekle walczyli z Amerykanami tego dnia.

Podczas kilku miesięcy po moim powrocie udało mi się odnaleźć oficerów, którzy bardzo chcieli usłyszeć, co mogę im powiedzieć o tym, co Somalijczycy sądzą o bitwie. Badając wszystko od podstaw, w końcu zdobyłem skarb w postaci oficjalnych dowodów. Cała piętnastogodzinna walka została zarejestrowana przez kamery wideo z różnych samolotów, więc, obejrzawszy film i przeprowadziwszy liczne wywiady, mogłem teraz sprawdzić skrupulatnie ułożony w mojej głowie przebieg bitwy. Nagrane i spisane zostały też przeprowadzone podczas bitwy rozmowy radiowe, które okazały się bezcenne podczas prób odtworzenia prawdziwego rozwoju wypadków. Poza tym mówiły wiele o strachu, jaki czuli żołnierze usiłujący nie poddać się panice, robiący wszystko, by pozostać przy życiu. Pozostałe dokumenty dotyczyły pracy wywiadu i stanowiły tło wydarzeń tego dnia, rzucając światło na informacje posiadane przez siły zadaniowe rangersów oraz na cele misji. Żaden z żołnierzy, którzy tego dnia otoczeni przez wroga bronili niewielkiego skrawka ziemi, nie wiedzieli za bardzo, jak prezentował się całościowy obraz bitwy. Jednak ich wspomnienia pozwoliły mi zrekonstruować przebieg walki. Pomogły mi też: otrzymane materiały, dokładna chronologia zdarzeń, spisane relacje operatorów Delty i żołnierzy z oddziału SEAL. Wierzę, że byłem pierwszym pisarzem, któremu udało się zebrać tak szczegółowy materiał. Dzięki temu dostałem szansę dokładnego zrelacjonowania przebiegu bitwy.

Każda bitwa to dramat, który rozgrywa się niezależnie od przyczyn walki. Żołnierze nie zawracają sobie głowy sprawami, przez które musieli wziąć udział w bitwie, ani też jej następstwami. Ufają, że dowódcy nie będą niepotrzebnie ryzykować ich życia. Znalazłszy się na polu bitwy, walczą zarówno o zwycięstwo, jak i o przeżycie. Zabijają, zanim ktoś inny zdoła ich zabić. Historia walki jest ponadczasowa i stawia na równi takie miejsca jak Troja, Gettysburg, Normandia czy Ia Drang. Jest to historia żołnierzy, zazwyczaj młodych ludzi,

którzy giną w pułapce wojny, podczas gdy jej przerażająca natura ukazuje im nieodłączne cechy ludzkiej natury. Uczy ich rzeczy, o których żołnierze często woleliby nie wiedzieć. Tym, którzy przeżyli, zwycięzcom i przegranym, bitwa zapisała się we wspomnieniach – wciąż powracają do nich koszmarne obrazy i tępy ból odczuwany w dawno już zagojonych ranach. Niezliczone palące wspomnienia, wspomnienia o porażce i triumfie, wstydzie i dumie, codziennie gnębią każdego z weteranów.

Nieważne, jak krytycznie zapisały się w historii decyzje polityczne, które doprowadziły do tej walki; bez względu na wszystko rangersi i jednostki sił specjalnych, które brały w niej udział, dowiodły tego dnia swojego profesjonalizmu. Walczące w Mogadiszu siły specjalne pokazały, jak istotne jest dla armii posiadanie doskonale wytrenowanych, zmotywowanych, utalentowanych i doświadczonych żołnierzy. Kiedy na ulicach rozpętało się piekło, żołnierze, którzy najlepiej panowali nad sytuacją i znacząco przyczynili się do uratowania większości kolegów, należeli do oddziałów Delta i SEAL.

Wielu młodych Amerykanów, którzy walczyli w bitwie w Mogadiszu, teraz ponownie jest cywilami. Założyli rodziny i rozpoczęli nową pracę, więc z pozoru nie różnią się od miliona innych dwudziestokilkulatków swojego pokolenia. Są produktami pop kultury; wyrośli, śpiewając piosenki z „Ulicy Sezamkowej", chodząc do przedszkola, a w wieku dojrzewania brali narkotyki i uprawiali seks bez zabezpieczenia. Inaczej niż w przypadku innych pokoleń amerykańskich żołnierzy, idąc na bitwę, mieli w pamięci krwawą jatkę z hollywoodzkich filmów akcji. Kiedy rozmawiałem z osobami, które znalazły się w samym centrum walk, wielokrotnie słyszałem, że często zdawało im się, że biorą udział w filmie. Musieli przypominać sobie, że krew, śmierć i wszelkie okropieństwa są prawdziwe. Opisywali, że czasem czuli się oderwani od rzeczywistości, mieli wrażenie, że tak naprawdę ich tam nie ma i musieli zmagać się z niedowierzaniem, złością i bliżej nieokreślonym uczuciem zawodu. Wielu z nich nosi czarne metalowe bransolety, na których wygrawerowano nazwiska zabitych przyjaciół, tak jakby codziennie musieli sobie przypominać, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Po niewielu z nich widać, że są mężczyznami, którzy nie tak dawno ryzykowali życie w starożytnym afrykańskim mieście, gdzie zabijali ludzi w imieniu swojego kraju, patrząc na śmierć kolegów, przy czym sami być może też otrzymali postrzał. Wrócili do kraju, który nie przejmował się nimi ani o nich nie pamiętał. Bitwa, w której brali udział, nie okazała się ani zwycięstwem, ani porażką – po prostu nikogo nie obchodziła. Wydawało się, że walka była tylko dziwnego rodzaju survivalową eskapadą, podczas której sprawy wymknęły się spod kontroli, więc kilku chłopaków straciło życie.

Napisałem tę książkę dla nich.

POSŁOWIE

Mark Bowden

STYCZEŃ 2010 ROKU

Somalijskie dzieci na wraku straconego helikoptera

fot. Paul Watson

Autor nie powinien nigdy komentować recenzji napisanej przez siebie książki, niemniej odstąpię nieco od tej reguły i odpowiem na jeden z najbardziej znaczących tekstów, jakie pojawiły się po wydaniu L „Helikoptera w ogniu" w 1990 roku. Zaznaczam przy tym, że choć moja wypowiedź może brzmieć jak krytyka, to nią nie jest.

No może troszkę.

Wspomniana recenzja została napisana przez świetnego reportera i pisarza Williama Finnegana, którego teksty często pojawiają się w tygodniku „The New Yorker". Co więcej, pojawiła się na okładce „The New York Times Book Review", co jest najlepszym z możliwych sposobów zareklamowania książki, nie licząc ogromnego rozgłosu, jaki zapewnił jej wielokrotnie nagradzany film Jerry'ego Bruckheimera i Ridleya Scotta.

Niemniej hollywoodzka wersja książki pojawiła się kilka lat po jej publikacji. Mój wydawca, Morgan Entrekin, a także ja byliśmy zachwyceni zainteresowaniem, jakie wzbudziła powieść. Wcześniej odrzucili ją wszyscy ważniejsi wydawcy w Nowym Jorku. Morgan ryzykował, zgadzając się na jej wydanie, więc, choć obaj byliśmy dumni z jej ostatecznego kształtu, mieliśmy też wiele powodów, by wątpić w jej komercyjny sukces.

Autorzy marzą o tym, aby zobaczyć swoją książkę na okładce „The New York Times Book Review". Przy tytule mojej powieści znalazł się wyjątkowo udany rysunek przedstawiający malutkich Somalijczyków, którzy przywiązują śmigłowiec black hawk tak jak Liliputy krępowały Guliwera. Recenzja nie była zła. Finnegan miał prawie same pozytywne spostrzeżenia na temat książki. Niemniej po przeczytaniu recenzji poczułem się rozczarowany. Po kilku latach zbierania informacji i pisania autor liczy na to, że owoc jego pracy w pewien sposób olśni krytyków. Chciałem zobaczyć zdanie lub nawet – proszę Cię Boże – akapit, w którym znajdzie się coś w rodzaju: „To nadzwyczajne dzieło łączące cechy reportażu i powieści wytyczyło nowe standardy w naszej historii... Nie... stało się historią literatury wojennej i wyróżnia Bowdena spośród współczesnych pisarzy amerykańskich". Na pewno wiecie, o co mi chodzi. Nie musiałyby to być dokładnie te same słowa. Mogłem się dostosować. Finnegan jednak nie doznał olśnienia. Istotę jego recenzji zawiera fragment: „Reporter prasowy Bowden wykonał benedyktyńską pracę, opowiadając dzieje bitwy, która w innym wypadku zostałaby zapomniana". We wnioskach napisał: „Bowden wykonał bardzo ważne zadanie".

Ważne zadanie?

Najbardziej interesujący w recenzji Finnegana był skomplikowany fragment dotyczący stylu mojego pisania:

Ta plebejska, reportażowa proza brak literackiej finezji – w „Helikopterze w ogniu" nie ma śladu wysokiego stylu oraz ironii obecnych u najlepszych współczesnych pisarzy literatury wojennej, takich jak A.J. Liebling czy Michael Herr – nadrabia wartkim tempem narracji.

W porządku. Moja proza była zdecydowanie „plebejska", a więc „zwyczajna, przepełniona wyrażeniami z języka potocznego". Niewątpliwie była też „reportażowa", przez co wydawało się, że jest łatwiejsza do napisania, niż była w istocie. Nie podlega też wątpliwości, że w „Helikopterze w ogniu" czytelnik nie znajdzie „wysokiego stylu" i „ironii", chociaż wydaje mi się, że niektóre fragmenty są całkiem dobre. Pojawia się kąśliwa uwaga: wyżej wspomniane zalety, to jest „ironia" i „wysoki styl", są charakterystycznymi cechami „najlepszego współczesnego pisarstwa wojennego". Finnegan zaznaczył, że „brak literackiej finezji" rekompensuje „wartkie tempo narracji", jednak nie sposób zauważyć w tym zdaniu ukrytej krytyki. Napisał, że książka „Helikopter w ogniu" – moja książka – jest prosta i zwyczajna, a także, że chociaż jest na tyle ciekawa, że nie można się od niej oderwać, zdecydowanie brakuje jej wysublimowanego, ironicznego czy wysokiego stylu, w przeciwieństwie do książki Dispatches Michaela Herra i traktujących o wojnie utworów A.J. Lieblinga. Co gorsza, zwyczajność ta na zawsze wykluczyła „Helikopter w ogniu" z „najlepszego współczesnego pisarstwa wojennego".

Zwyczajny, potoczny styl „Helikoptera w ogniu" był moim celowym zabiegiem. Starałem się nie ingerować w przedstawianą historię. Pracując jako dziennikarz w serwisach informacyjnych, uczyłem się, że należy przedstawić jak najwięcej faktów dotyczących dobrej historii, a następnie „zejść jej z drogi" zgodnie z tradycją zapoczątkowaną przez George'a Orwella, który twierdził, iż „dobra proza jest jak szyba". Niemniej taki stosunek do pisanego tekstu nie leży w zgodzie z nowoczesnym „literackim" dziennikarstwem, w którym najważniejszy staje się głos narratora. Teksty Toma Wolfe'a, Normana Mailera, Huntera S. Thompsona i Michaela Herra zainspirowały pokolenia pisarzy literatury faktu, w tym również mnie. Narrator znalazł się w centrum wydarzeń, a nawet można powiedzieć, że stał się głównym bohaterem książki. Metoda ta była istotna dla twórców, którzy pół wieku temu chcieli przełamać obowiązujące nakazy stylu dziennikarskiego. Jednak od tego czasu zalał nas ocean przeciętnej i nieobiektywnej literatury faktu. Pojawiły się niezliczone autobiografie, których autorzy, prześcigając się w tworzeniu coraz bardziej ekstrawaganckich treści, zaczęli balansować na granicy prawdy i fikcji. Wszystkie z tych historii opisywane są oczywiście z perspektywy autora. W pewnych kręgach, jeśli chce się uchodzić za pisarza, należy pisać o sobie.

„Helikopter w ogniu" bez wątpienia nie jest powieścią o mnie. Bardziej wyszukany charakter mają moje dwie wcześniejsze książki, zwłaszcza Bringing the Heat. Tymczasem w „Helikopterze w ogniu" chciałem jak najwierniej przekazać głosy żołnierzy, którzy tak szczegółowo opowiedzieli mi o wydarzeniach podczas bitwy, o krwi, o traumatycznym doświadczeniu, które zapisało się na stałe w ich sercach i umysłach. Dla większości z nich był to najważniejszy moment w ich życiu. Przeprowadzając jeden wywiad za drugim, czułem, że wspomnienie bitwy nie jest dla nich brzemieniem, lecz swojego rodzaju niepowtarzalnym, zapisanym na zawsze w pamięci, powierzonym im doświadczeniem. Fakt ten znacząco wpłynął na formę powieści.

Żołnierze chcieli, aby inni dowiedzieli się i zrozumieli to, co stało się podczas bitwy. Dokładnie to, co się stało. Co istotne, żołnierze – jak zauważyłem – nie próbowali dodać sobie blasku i koloryzować na temat swojego udziału w bitwie; często opowiadali o porażkach, popełnionych błędach, chwilach, w których stracili nad sobą panowanie lub wątpili we własne możliwości.

W książce opisałem krytyczny moment, kiedy to rangers Brad Thomas traci ducha walki. Wyruszył na bitwę tak samo pełen zapału jak reszta jego kolegów, ale podczas walk, jadąc z tyłu jednego z hummerów, widział z bliska, jak jego przyjaciel, Dominic Pilla, zginął na miejscu od postrzału w głowę. Pilla zsunął się z wieżyczki, prosto na kolana Thomasa, który był potem cały w jego krwi. Podczas gorączkowej jazdy z powrotem do bazy, kiedy to żołnierze mieli jeszcze próżną nadzieję na uratowanie życia Pilli, niewielki konwój, w którym jechał Thomas, znalazł się pod silnym ostrzałem. Kiedy dobrnęli do bezpiecznej bazy, ich pojazdy były całe podziurawione. Choć inni nie odnieśli ran, przeżyli poważny wstrząs. Można sobie wyobrazić ulgę, jaką odczuwa człowiek, kiedy wydostanie się z bitewnej zawieruchy, gdzie co rusz ktoś ginie lub zostaje ranny. Kiedy w końcu dotarli w bezpieczne miejsce, powiedziano im, że muszą natychmiast wracać na miejsce walki, gdyż ponad setka ich kolegów utknęła w mieście i rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Jak najszybciej.

Brad Thomas zawahał się. Powiedział sierżantowi, że nie może tego zrobić. Za bardzo się bał. Odwaga to trudne pojęcie. To prawda, ponowne wejście do samochodów i powrót na pole bitwy wymagały niecodziennej odwagi. Niemniej, aby w tym decydującym momencie stanąć przed innymi rangersami i przyznać się do przerażenia, do tego, że strach nie pozwala mu spełnić powinności, Thomas także musiał być na swój sposób odważny.

Ostatecznie Brad wrócił do hummera, a potem na pole walki. Dla mnie jest to jeden z najbardziej wzruszających momentów w całej książce, a także w filmie. Z początku Bradowi ciężko było opowiedzieć mi swoją wersję wydarzeń. Nigdy nie poprosił, abym pominął ten epizod, ale zapytał, czy uważam, że jest ważny. Czuł się zakłopotany. Odparłem, że właśnie ten moment powiedział mi więcej o makabryczności bitwy i o każdym biorącym w niej udział żołnierzu niż inne opowiedziane mi historie. Dla młodego, niedoświadczonego żołnierza co innego znaczy pomaszerować na bitwę z poczuciem, że jest wśród swoich kolegów, w szeregach niezwyciężonego wojska, a co innego wziąć w niej udział ponownie, już z bagażem doświadczenia człowieka, który widział jej okrucieństwo i trzymał na kolanach umierającego przyjaciela. Brad Thomas mógł czuć się zawstydzony, że emocje wzięły nad nim górę, ale najważniejsze, że wykazał się innym, nawet lepszym rodzajem odwagi. Przekonałem go, aby mi o tym opowiedział.

Z powodów wymienionych powyżej byłem przekonany, że ja sam nie jestem jednym z bohaterów „Helikoptera w ogniu". Była to opowieść o żołnierzach, a nie o mnie. Powierzono mi ją, tak jak żołnierzom „powierzono" zdobyte w niej doświadczenie. Nie byłem żadną z przedstawionych w książce postaci, więc celowo usunąłem się w cień, przyjmując rolę pośrednika, który słuchał relacji żołnierzy. Po kilkuset godzinach wywiadów przyswoiłem ich słownictwo, żargon, poczucie humoru, fatalizm, sposób mówienia. Narrator powieści przemawia ich głosami przepuszczonymi przez filtr autora. Jak już wspominałem, była to z mojej strony jak najbardziej świadoma decyzja i, jak uważam, słuszna. Po dziś dzień jedną z najbardziej pochlebnych ocen tej książki jest przekonanie czytelników, zwłaszcza jeśli są to wojskowi, że ja sam także jestem żołnierzem. Uważają, że głos narratora jest autentyczny. Jestem z tego powodu naprawdę dumny i uważam, że było to moje literackie osiągnięcie.

William Finnegan z „The New Yorker" nie mylił się, twierdząc, że powieść nie jest tym, co większość ludzi uważa za utwór literacki, z pewnością nie w kręgach, gdzie „finezja", „ironia" i „wysoki styl" są najbardziej cenionymi elementami. Co więcej, książka niewątpliwie nie nawiązuje do tradycji, której reprezentantami są Michael Herr i A.J. Liebling. Zarówno Herr, jak i Liebling pisali teksty zbliżone przede wszystkim do reportażu, zatem sami byli uczestnikami akcji, brali w niej udział razem z opisywanymi przez siebie żołnierzami, przy czym pisali przede wszystkim o sobie, o tym, jak obserwowali walczących i poznawali wojnę. Nie ma w tym nic złego. Zwłaszcza w przypadku Lieblinga, który jest autorem wielu z najlepszych utworów wojennych i należy do najbardziej poważanych przeze mnie korespondentów, których być może jest mniej niż na liście Finnegana, ale na pewno nie ma wśród nich Herra.

Herr jest świetnym pisarzem, ale zarazem też nie budzi zaufania jako reporter. W Dispatches tam, gdzie nie wprowadzał elementów fikcyjnych (przykładem może tu być generał – perski uczony/miłośnik

dziwek/wielbiciel Beethovena, którego w rozmowie z redaktorem Haroldem Hayesem autor określił jako „połączenie"), to robił z wojny wietnamskiej metaforę własnego uzależnienia od narkotyków. Proza Herra jest elektryzująca, niecodzienna, a chwilami także poruszająca i przejmująca, a jego opisy walk w Wietnamie zapadały w pamięć i były tak dobre, że autor zasłużył sobie na znalezienie się wśród najlepszych, gustujących w ironii i wyszukanym stylu twórców. Herr zasłużył na to, by zasiąść na rokokowym krześle, jednak prawdą jest, że pisał o sobie tak samo dużo, co o Wietnamie. Jego proza przepełniona była uczuciami przeciwnego wojnie i urzeczonego narkotykami pokolenia, więc dziś jest swojego rodzaju dziełem. Bardzo lubię tę książkę, jednak moim zdaniem wybory dokonane przez Herra wykluczają go z klubu najlepszych reporterów wojennych. Powiedziałbym nawet, że nie jest on autorem reportaży. Dlaczego? Dlatego że pierwszym sprawdzianem jakości reportażu jest to, czy mówi prawdę.

Tak się składa, że czterdzieści lat temu książka Herra znalazła się w nurcie najważniejszej literatury wojennej swoich czasów. Przez większość drugiej połowy XX wieku nasz kraj zapomniał, że wojna i biorący w niej udział żołnierze mogą zostać potraktowani przez pisarzy poważnie. Nie zapomnieliśmy o tym zupełnie, lecz jedynym dopuszczalnym sposobem pisania o wojnie było potępienie lub wyśmianie jej. Poczynając od wyśmienitej, satyrycznej powieści „Paragraf 22" twórcy nie pisali bezpośrednio o bitwie czy żołnierzach, tak jak robił to na przykład Hemingway, Norman Mailer w „Nagich i martwych", Stephen Brane czy John Hersey.

Podczas zimnej wojny, kiedy to świat żył w cieniu potężnych arsenałów broni nuklearnej, kiedy nasze życie zależało od strategicznej doktryny określanej diabolicznie zjadliwym akronimem M.A.D.[317] (okrutna ironia na miarę Swifta), jedynym uznawanym sposobem przedstawiania wojny przez artystów było zilustrowanie jej jako obłędu. Nic dziwnego zatem, że pisarze, a do pewnego stopnia także dziennikarze, tworzyli teksty zdecydowanie antywojenne. W „Paragrafie 22" Josepha Hellera, „Rzeźni numer pięć" Kurta Vonneguta i „Tęczy grawitacji" Thomasa Pynchona – trzech najwybitniejszych współczesnych powieściach wojennych, z których każda jest satyrą na II wojnę światową – za kulisami wielkiego triumfu demokracji i wolności nad systemami totalitarnymi kryją się złe, egoistyczne pobudki. Żołnierze nie liczyli się, a nowoczesna wojna była tak zła i niosła ze sobą tyle ofiar, że nic nie mogło jej usprawiedliwić – żadne zwycięstwo czy najszlachetniejsze pobudki.

Skoro wojna była przejawem obłędu, żołnierze mogli być jedynie pachołkami, ofiarami, sadystami lub szaleńcami. Bohaterów Dispatches można często przypisać do co najmniej trzech z czterech powyższych grup, przy czym z reguły są naćpani. Wystarczy sobie przypomnieć rewelacyjne filmy wojenne, które powstały po wojnie wietnamskiej: „Full Metal Jacket" Stanleya Kubricka, „Łowca jeleni" Michaela Ciminy, „Czas Apokalipsy" Francisa Forda Coppoli (Herr napisał część scenariusza ostatniego z nich[318]) oraz film i serial telewizyjny „M.A.S.H.". W kręgach, gdzie ceniono finezję literacką, ironię i wysublimowany styl, ukazanie wojny w inny sposób stało się niedopuszczalne.

Tymczasem jest to tylko jeden z wielu sposobów sportretowania wojny, która była ważnym tematem w literaturze wszystkich kultur w historii ludzkości, poczynając od Homera, a kończąc na popularnym w latach sześćdziesiątych serialu „Combat". Nie da się zaprzeczyć, że każda wojna to pewnego rodzaju szaleństwo

polegające na tym, że jedna grupa ludzi gorączkowo stara się zabić lub zranić drugą. Istnieje jednak inny aspekt wojny. Tak długo, jak pewna grupa ludzi na tej planecie będzie zabierać innym siłą to, czego zapragnie, cywilizowani przedstawiciele ludzkości będą się łączyć w grupy w celu obrony przed napastnikami. Innymi słowami – zło po prostu istnieje. Dopóki człowiekiem kieruje zarówno dobro, jak i zło, które ścierają się nie tylko w jego wnętrzu, ale też wpływają na jego czyny, na świecie będą trwały konflikty. A kiedy źli ludzie zagrażają światu, to znaczy (uciekając się do mniej poważnych porównań), kiedy pokojowi i stabilizacji jednej społeczności, jednego plemienia lub narodu zagraża inna grupa ludzi, dobrzy mężczyźni i kobiety stają do walki. Wspaniałym rozwiązaniem byłoby, gdyby narody i jednostki, których interesy są sprzeczne, ograniczyły się do pokojowego rozwiązania problemu (co nieraz się zdarzało na przestrzeni wieków), ale państwa i plemiona niestety nadal sięgają po broń. Możemy, a nawet powinniśmy, piętnować wojnę. Powinniśmy robić, co w naszej mocy, aby jej uniknąć. Jednak nawet jeśli w przyszłości ma być nam dane zamieszkać w takim idealnym, utopijnym świecie, jak dotąd nie wypatrzyliśmy jego brzegów. John Updike stwierdził kiedyś, że samo słowo „antywojenny" wprowadza go w konsternację, gdyż równie dobrze można mówić (tu parafrazuję autora) o „antyjedzeniu" i „antyseksie". Wojna jest nieodłącznym elementem doświadczenia ludzkości. Na początku „Helikoptera w ogniu" posłużyłem się cytatem z powieści Cormaca McCarthy'ego pod tytułem „Krwawy południk". Oto jego fragment:

„Wojna przetrwa. Równie dobrze możecie zapytać ludzi, co myślą o kamieniu. Wojna była zawsze. Zanim nastał człowiek, już czekała na niego. Wojna to rzemiosło najwyższej rangi, czekające na swojego najznamienitszego rzemieślnika"[319].

Jako pisarz i dziennikarz, którego celem jest opowiedzenie prawdziwej historii z jednoczesnym posłużeniem się emocjami i intymnością charakterystycznymi dla dobrej beletrystyki, podejrzewałem, że walka to doskonały temat. Nietrudno tu o przejmująco dramatyczne sceny, poza tym, co również ważne, historia opowiada o życiu i śmierci. Bitwa z reguły ma wpływ na wielu ludzi, nie tylko tych, którzy wzięli w niej bezpośredni udział. Zarówno w przypadku zwycięstwa, jak i porażki, niesie ze sobą daleko idące konsekwencje. Większość relacji wojennych należących do literatury faktu charakteryzuje formalny język, typowy dla tekstów historycznych oraz tradycyjnego dziennikarstwa. Mam tu na myśli wyczerpujące relacje Corneliusa Ryana w książkach „Najdłuższy dzień" i „O jeden most za daleko". Najlepszymi niefabularnymi, widzianymi z perspektywy żołnierzy relacjami bitwy są pamiętniki, w których jednak czytelnik poznaje tylko punkt widzenia autora. Przyszło mi do głowy: co by było, gdyby autor to odwrócił, opisując przebieg bitwy z perspektywy jej uczestników, przedstawiając równocześnie szerszy kontekst i wykorzystując wiedzę historyka lub powieściopisarza?

Pomysł ten kiełkował mi w głowie, jednak moja praca dziennikarska nie dawała mi zbyt wielu możliwości. Nasze państwo nie brało udziału w żadnej wojnie przez dziesiątki lat od czasu Wietnamu, co prawdopodobnie przyczyniło się do faktu, że twórcy trwali przy ironicznym charakterze obrazów wojennych. W 1991 roku siły Stanów Zjednoczonych wkroczyły do Kuwejtu, aby wyrzucić stamtąd wojska Saddama Husajna, ale ich misja nie zmieniła za bardzo sposobu, w jaki artyści patrzyli na sztukę wojenną. Akcja w

Kuwejcie została ukazana przez twórców wyjątkowo cynicznie – do głowy przychodzi mi tu wspaniały film „Złoto pustyni".

Aż nagle, w październiku 1993 roku doszło do bitwy w Mogadiszu.

Odnalazłem żołnierzy, którzy brali w niej udział, i większość z nich zgodziła się ze mną porozmawiać. Pojechałem do Mogadiszu, gdzie starałem się jak najlepiej poznać punkt widzenia Somalijczyków. Czytelnicy, którzy sięgnęli po moją książkę, nie mieli być pod wrażeniem mojej mądrości, lecz docenić niesamowitą odwagę i ludzkie uczucia młodych żołnierzy. Popełniali błędy. Bali się. Czasem strzelali do osób, do których nie powinni strzelać. Czasem strzelali do swoich. Byli zdezorientowani. Wielu ich kolegów zginęło, a inni doznali okropnych obrażeń. Opowieść prowokowała wiele pytań dotyczących mądrości ich dowódców, tego, czy i kiedy należy wysłać młodych żołnierzy na bitwę, na której być może czeka ich śmierć, i co ta decyzja znaczy dla reszty świata. Ale powieść nie tylko stawia pytania i ukazuje błędy. Mówi też o godności i honorze, o których napisałem, aby wyrazić swój szacunek dla tych młodych żołnierzy, którzy podzielili się nim ze mną swoimi wspomnieniami.

Zatem po raz pierwszy od dziesiątek lat historia wojenna była całkowicie wolna od „literackiej finezji". Z pewnością brakowało w niej też ironii czy wysublimowanego stylu. Innymi słowami, nie była to książka o twórcy piszącym o wojnie (coś w stylu Herra czy Lieblinga), tylko prostsza książka o żołnierzach na wojnie. Powieść, która miała ukazać okrucieństwo wojny, ale nie czyniła z niej przejawu czystego szaleństwa i w której żołnierze nie byli sadystami, pachołkami, ofiarami czy szaleńcami – lub ich połączeniem. Był to powrót do pradawnej formy, do historii odważnych ludzi, którzy wzięli udział w walce.

Książka nie spodobała się wydawcom ani redaktorom. Alfred A. Knopf, który wydał moją poprzednią powieść, a tę miał okazję odrzucić lub zaakceptować jako pierwszy, nie zgodził się jej wydać. Na początku nawet pracujący ze mną redaktorzy z „The Philadelphia Inquirer" nie chcieli jej przyjąć. Niemniej udało mi się ich przekonać, więc w 1997 roku pojawiła się wczesna, podzielona na dwadzieścia dziewięć części wersja książki. Morgan wziął powieść prawie za darmo, proponując mi tak niską zaliczkę, jakiej nigdy wcześniej nie dostałem, nawet w przypadku pierwszych moich książek, które w zasadzie przeczytała tylko moja rodzina. Mimo wszystko byłem mu wdzięczny.

Czytelnicy od razu ją polubili. Myślę, że zareagowali na nią tak entuzjastycznie, z uwagi na sposób, w jaki ją napisałem. Żołnierze byli nią zachwyceni, podobnie członkowie ich rodzin, którzy polecali książkę przyjaciołom. Sięgając po stare środki, tak stare jak „Iliada" i „Odyseja", stworzyłem utwór, który czytelnicy uznali za nowatorski. Książka sprzedawała się coraz lepiej, a wkrótce powstał wspaniały film, dzięki któremu sprzedano jeszcze więcej egzemplarzy. Ludzie nadal ją kupują. Istnieje szansa na to, że będzie to utwór, który przetrwa.

Nikt nie wie na pewno, dlaczego jedna książka się sprzedaje, a inna nie. Morgan przypisuje to „książkowym bogom". Moje przeczucie dotyczące „Helikoptera w ogniu" mówi mi, że powieść zawdzięcza sukces temu, iż przedstawia prawdziwe rozmowy i uczucia uczestniczących w bitwie żołnierzy. Jest to książka

o nich, a nie o mnie. Czytelnicy zainteresowali się nią, ponieważ była zupełnym przeciwieństwem tego, czego brak zauważył w mojej książce Finnegan; była tu szczerość zamiast ironii, realizm zamiast stylistycznej finezji. Chcę wierzyć, że „Helikopter w ogniu" przyczynił się do znaczących zmian w postrzeganiu wojny i żołnierzy przez Amerykanów. Niemniej ataki z 11 września doprowadziły do jeszcze bardziej dramatycznych zmian. Amerykanie nagle przypomnieli sobie, dlaczego potrzebują wojska. Od tego czasu w książkach, filmach i telewizji dało się zauważyć stałą tendencję do zmian; żołnierze nie byli już postrzegani jedynie jako chłopcy na posyłki, ofiary, sadyści czy szaleńcy. Dziś nawet te osoby, które pozostają przeciwne wojnie w Iraku i Afganistanie, dokładają starań, aby wyrazić swój szacunek względem naszych żołnierzy. Młodzi mężczyźni i młode kobiety w kamuflażach bojowych są oklaskiwani na stojąco na lotniskach. Za każdym razem, gdy to widzę, w moim oku kręci się łza.

Od czasu publikacji „Helikoptera w ogniu" moje notowania w literackich i dziennikarskich kręgach znacząco wzrosły. Czasopisma, które przedtem odrzucały moje pomysły dotyczące tej książki, teraz zabiegają o to, bym dla nich pisał. Można powiedzieć, że przed napisaniem „Helikoptera w ogniu" zdaniem większości redaktorów i wydawców nigdy nie miałem dobrych pomysłów – włączając w to pomysł napisania „Helikoptera w ogniu". Teraz okazuje się, dla odmiany, że żaden z moich pomysłów nie może być zły. Myślę, że obecny stan rzeczy jest o wiele bardziej niebezpieczny.

Dawno już przeszło mi zakłopotanie, jakie czułem po tym, jak William Finnegan z „The New Yorker" wykluczył mnie z klubu najlepszych korespondentów wojennych. Zakłuło mnie to wtedy, ale rana zagoiła się już dziesięć lat temu, kiedy Morgan odnalazł mnie w pokoju hotelowym w Portland w Oregonie, aby powiedzieć mi, że „Helikopter w ogniu" znalazł się wśród finalistów do National Book Award, nagrody zarezerwowanej dla pisarstwa najwyższych lotów. Zaniemówiłem. Czułem się tak, jak prawdopodobnie czuł się Abraham Lincoln, kiedy w 1856 roku, cztery lata przed uzyskaniem prezydentury, wysunięto jego kandydaturę na wiceprezydenta podczas konwencji przedwyborczej Partii Republikańskiej. „W Massachusetts mieszka znany Lincoln", powiedział wtedy, „pewnie myśleli, że to na niego głosują".

Nie wygrałem National Book Award, ale to nic nie szkodzi. Zbyt silny wstrząs może człowieka zwalić z nóg. Jednak uczucie, że zostało się w ten sposób wyróżnionym, pozostaje na zawsze. Od tego czasu zajmowałem też miejsce w komisji, która decyduje o nadaniu National Book Award. Choć uważam, że ta przyznawana co roku nagroda jest bardzo ważna i pożyteczna, zdaję sobie sprawę, jak nieprzewidywalny i subiektywny bywa wybór laureata. Prawdziwe, wartościowe dzieło literackie nie potrzebuje nagród, pochwał ani kasowego sukcesu.

Ostatecznie jestem niezwykle dumny z siebie, że udało mi się dobrze opowiedzieć historię tych żołnierzy, dzięki czemu ludzie pamiętają o nich i o ich zabitych przyjaciołach oraz tym, co czego dokonali. Jestem dumny, ponieważ książka ta zarezerwowała bitwie należne jej miejsce w historii Stanów Zjednoczonych.

Nikt nie jest w stanie przewidzieć, które współczesne utwory przetrwają próbę czasu, które książki i pisarze zostaną zakwalifikowani do klubu najlepszych twórców literatury wojennej. Nad rozterkami tego typu nie warto łamać sobie głowy. Pisarz pilnuje terminów, wykonuje pracę najlepiej, jak potrafi, mając nadzieję, że ktoś ją kupi i przeczyta, że ktoś ją polubi i doceni, a może nawet będzie nią zachwycony... a na koniec autor odkłada pióro i idzie skosić trawnik przed domem.

ŹRÓDŁA

Tak wielu żołnierzy, którzy brali udział w bitwie, zgodziło się opowiedzieć mi swoje historie, że większość wydarzeń przedstawionych w książce została opisana przez więcej niż jedną osobę. W przypadku, gdy pojawiały się rozbieżności, oparłem się na wersji jednego ze świadków, przy czym porównanie kilku historii skutkowało udoskonaleniem tekstu. Większość osób, z którymi przeprowadziłem wywiady, wyróżniała się niezwykłą szczerością. Chętnie dzielili się swoimi doświadczeniami, opowiadając bez skrępowania o tym, co zaszło, o ile przedstawiane fakty nie dotyczyły krępujących czy kłopotliwych szczegółów związanych z samymi rozmówcami. Raz czy dwa zdarzyło się, że nie znalazłem dowodów potwierdzających historię opowiedzianą mi przez któregoś z żołnierzy. Jeden z nich, przyciśnięty przeze mnie, przyznał się, że powtórzył relację innej osoby, podczas gdy sam nie był świadkiem danego zdarzenia. Nie brałem pod uwagę opowieści z drugiej ręki.

Poza małymi wyjątkami dialogi w niniejszej książce pochodzą albo z zapisów radiowych, albo są to słowa faktycznie wypowiedziane przez któregoś z żołnierzy. Przez cały czas moim celem było odtworzenie bitwy widzianej oczyma biorących w niej udział ludzi, co byłoby niemożliwe, gdybym nie posłużył się oryginalnymi dialogami. Nikt oczywiście nie zapamiętał dokładnie tego, co mówił. Moim celem było jednak przytoczenie wypowiedzi żołnierzy takimi, jakimi udało im się zapamiętać. Jakiekolwiek rozbieżności związane z dialogami były zazwyczaj niewielkie, poza tym mogłem ustalić najlepszą wersję, poprzez wielokrotną analizę wypowiedzi kilku żołnierzy. W kilku przypadkach przytoczyłem wypowiedzi lub rozmowy osób, których tożsamości nie udało mi się ustalić. Użyłem ich jednak dlatego, że daną rozmowę czy zdanie słyszał więcej niż jeden świadek lub na przykład były to słowa spisane przez kogoś już po bitwie.

Ze zrozumiałych przyczyn niewielu operatorów Delty, którzy odegrali znaczącą rolę w bitwie, zgodziło się o niej opowiedzieć. O profesjonalizmie jednostki decyduje jej tajny charakter. Starszy sierżant Paul Howe, który odszedł z Delty, otrzymał formalne pozwolenie na wywiad ze mną, jednak ryzykował, że jego byli współtowarzysze walki potępią go za zbytnią otwartość. Skontaktowało się też ze mną kilku innych obecnych członków jednostki, za co jestem im wdzięczny. Poza tym otrzymałem spisane relacje wydarzeń od kilku kluczowych członków sił szturmowych Delty. Dzięki nim udało mi się przedstawić tych twardych żołnierzy z ich punktu widzenia. Niemniej tylko niewielka część operatorów włożyła swój wkład w stworzenie tej historii, dlatego fragmenty poświęcone Delcie są w dużej mierze oparte na relacji Howe'a i kilku pozostałych – bardziej, niż sobie tego życzyłem.

WYWIADÓW UDZIELILI:

Hassan Yassin Abokoi, Abdiaziz Ali Aden, Aaron Ahlfinger (w chwili udzielania wywiadu był funkcjonariuszem policji stanowej w Kolorado), Abdikadir Dahir Ali, Steve Anderson, Chris Atwater, W.F. „Jack" Atwater, Abdi „Qeybdid" Hassan Awale, Mohamed Hassan Awale, Abdullahi Ossoble Barre, Alan Barton (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu pracował na poczcie w Phoenix), DeAnna Joyce Beck, generał dywizji E.R. „Buck" Bedard z Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, John Belman (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu pracował w wydawnictwie prasowym w Cincinnati), Anton Berendsen (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu uczęszczał do college'u w stanie Georgia), Matthew Bryden, John Burns (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu uczęszczał do college'u w stanie Georgia), emerytowany podpułkownik armii amerykańskiej L.H. „Bucky" Burruss, Tory Carlson (otrzymał Purpurowe Serce, w chwili udzielania wywiadu pracował jako elektryk na Florydzie), sierżant sztabowy Raleigh Cash (w chwili udzielania wywiadu nadal służył w pułku rangersów), John Collett, pułkownik Bill David (w chwili udzielania wywiadu był dowódcą garnizonu w Fort Bragg), David Diemer (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu pracował w budownictwie razem z ojcem w Newburgh w stanie Nowy Jork), kapitan Tom DiTomasso (otrzymał Srebrną Gwiazdę, w chwili udzielania wywiadu nadal służył w pułku rangersów), pułkownik Peter Dotto, emerytowany generał Wayne Downing, starszy chorąży Michael Durant (w chwili udzielania wywiadu nadal służył w 160. Pułku Lotnictwa Operacji Specjalnych, otrzymał Zaszczytny Krzyż Lotniczy i Brązową Gwiazdę), Abdullahi Haji Elia, Abdi Mohamed Elmi, Mohamed Mahamud Elmi, sierżant sztabowy Matt Eversmann (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, nadal służy w pułku rangersów), Abdi Farah, David Floyd (uczęszcza do college'u w Karolinie Południowej), Willi Frank, Scott Galentine (otrzymał Purpurowe Serce, w chwili udzielania wywiadu uczęszczał do publicznej szkoły wyższej w Auburn w stanie Georgia; chirurdzy zdołali przyszyć mu z powrotem kciuk, Galentine odzyskał częściową władzę w palcu), Hobdurahman Yusef Galle, John Gay (w chwili udzielania wywiadu nadal służył w oddziale SEAL), starszy chorąży Mike Goffena (otrzymał Srebrną Gwiazdę, a w lutym 1998 roku zginął w katastrofie śmigłowca), Kira Goodale, Mike Goodale (otrzymał Purpurowe Serce i Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo; w chwili udzielania wywiadu mieszkał z żoną Kirą w Illinois i kształcił się na nauczyciela nauki o społeczeństwie, równocześnie służąc w Gwardii Narodowej), Gregg Gould (w chwili udzielania wywiadu był policjantem w Charleston w Karolinie Południowej), Jim Guelzow, Ali Gulaid, sierżant pierwszej klasy Aaron Hand, Abdullahi „Firimbi" Hassan, Bint Abraham Hassan, Hassan Adan Hassan, Mohamed Ali Herse, emerytowany admirał armii Stanów Zjednoczonych Jonathan Howe, starszy sierżant Paul Howe (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo), Mark Huband, Abdullahi Mohamed Hussein, Ali Hussein, Mark Jackson, Omar Jess, starszy chorąży Keith Jones (otrzymał Srebrną Gwiazdę, w chwili udzielania wywiadu nadal służył w 160. Pułku Lotnictwa Operacji Specjalnych), emerytowany porucznik Larry Joyce, sierżant Ed Kallman, Jim Keller, Michael Kurth (w chwili udzielania wywiadu pracował jako kelner w Houston w Teksasie), Abdizirak Hassan

Kutun, sierżant pierwszej klasy Al Lamb (otrzymał Srebrną Gwiazdę, w chwili udzielania wywiadu nadal służył w siłach specjalnych w Tampa na Florydzie), Anthony Lake (w chwili udzielania wywiadu wykładał na Uniwersytecie Georgetown), kapitan James Lechner (otrzymał Purpurowe Serce, lekarze zdołali uratować jego nogę, a w chwili udzielania wywiadu służył na Hawajach), Phil Lepre (w chwili udzielania wywiadu pracował w agencji reklamowej blisko Filadelfii), sierżant pierwszej klasy Steven Lycopolus (w chwili udzielania wywiadu pracował jako starszy instruktor w Fort Lewis w Waszyngtonie), sierżant pierwszej klasy Bob Mamry, emerytowany major i doktor medycyny Rob Marsh, pułkownik Thomas Matthews, podpułkownik Dave McKnight, sierżant Jeffrey McLaughlin, emerytowany porucznik James McMahon, kapitan Drew Meyerowich (otrzymał Srebrną Gwiazdę), Yousuf Dahir Mo'alim, Elmi Aden Mohamed, Kassim Sheik Mohamed, Nur Sheik Mohamed, Sharif Ali Mohamed, Abdi Karim Mohamud, Jason Moore (w chwili udzielania wywiadu pracował w firmie inwestycyjnej w New Jersey), sierżant zbrojmistrz Chad D. Moyer, Shawn Nelson (nim ożenił się i przeprowadził do Atlanty, pracował jako przewodnik terenowy w Parku Narodowym Grand Teton), ambasador Robert Oakley, Clay Othic (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo i Purpurowe Serce, w chwili udzielania wywiadu pracował jako agent specjalny w Służbie Imigracji i Naturalizacji w Wichicie w stanie Kansas), kapitan Larry Perino (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu nadal służył w pułku rangersów), Rob Phipps (otrzymał Purpurowe Serce, w chwili udzielania wywiadu mieszkał w Auguście w stanie Georgia), Benjamin Pilla, emerytowany generał armii Stanów Zjednoczonych Colin Powell, Randy Ramaglia (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu był członkiem grupy rockowej w Columbus w stanie Georgia), sierżant sztabowy Carlos Rodriguez (Fort Lewis, Waszyngton), Omar Salad, Daniel Schilling (w chwili udzielania wywiadu był pracownikiem administracji na University of Phoenix w Provo w stanie Utah i kończył pisanie pracy magisterskiej), sierżant pierwszej klasy Kurt Schmid (w chwili udzielania wywiadu stacjonował w Japonii), emerytowany podpułkownik Mike Sheehan, Stephanie Shughart, sierżant sztabowy Georgie Siegler (w chwili udzielania wywiadu nadal służył w pułku rangersów), Dale Sizemore, emerytowany kapitan Jim Smith, Eric Spalding (w chwili udzielania wywiadu pracował jako agent specjalny w Służbie Imigracji i Naturalizacji w stanie Arizona), porucznik Scott Spellmeyer, Peter Squeglia (w chwili udzielania wywiadu pracował w firmie inwestycyjnej w Bostonie w stanie Massachusetts), sierżant John Stebbins (otrzymał Srebrną Gwiazdę), major Mike Steele (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu służył w 82. Dywizji Powietrznodesantowej), major David Stockwell, sierżant Jeff Struecker (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu służył w pułku rangersów; w 1997 roku Struecker otrzymał upragnioną „nagrodę dla najlepszego rangersa"), Osman Mohamud Sudi, Abdi Tahalil, Jim Telscher, sierżant sztabowy Brad Thomas (w chwili udzielania wywiadu służył w pułku rangersów), Keni Thomas (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo, w chwili udzielania wywiadu pracował z trudną młodzieżą i grał w zespole rockowym w Columbus w stanie Georgia), Lance Twombly, specjalista John Waddell (w chwili udzielania wywiadu szkolił się na sanitariusza sił specjalnych i zamierzał rozpocząć naukę w szkole medycznej), sierżant pierwszej klasy Sean Watson (otrzymał Brązową Gwiazdę z okuciem „V" – za męstwo), sierżant lotnictwa Tim Wilkinson (otrzymał Krzyż Lotniczy, w chwili udzielania wywiadu służył jako ratownik medyczny sił powietrznych w Hurlburt Field na

Florydzie), Jason Wind, porucznik Damon Wright, emerytowany kapitan Becky Yacone, emerytowany kapitan Jim Yacon (otrzymał Srebrną Gwiazdę, w chwili udzielania wywiadu pracował dla FBI), Jeff Young, sierżant sztabowy Ed Yurek (w chwili udzielania wywiadu służył w pułku rangersów w Fort Benning), Bashir Haji Yusuf, generał brygady piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych Anthony Zinni (w chwili udzielania wywiadu był głównodowodzącym CENTCOM-u).

KSIĄŻKI

Bolger D.P., Savage Peace: Americans at War in the 1990s, Presidio, 1995. Książkę uznałem za sugestywną i dokładną, a poświęcony Somalii rozdział czwarty pt. Down and Among the Dead jest najlepszą z czytanych przeze mnie prac opisujących bitwę i całą interwencję w Somalii z militarnego punktu widzenia. Bolger przedstawia wydarzenia w dogłębny i obiektywny sposób.

Delong K., Tuckey S., Mogadishu. Heroism and Tragedy!, Bergin & Garvey, 1994.

Pospiesznie nakreślona, szczera próba odtworzenia wydarzeń podczas bitwy, oparta na wywiadach z kilkoma z uczestników, głównie pilotów. Dużo tu błędów, zdarzają się literówki w nazwiskach żołnierzy, autorzy mylą chronologię zdarzeń.

Niemniej tekst odzwierciedla zaangażowanie walczących i nawiązuje do starej szkoły przepełnionych entuzjazmem raportów wojskowych.

Drew E., On the Edge, Simon & Schuster, 1994. Książka opisuje dwa pierwsze lata urzędowania Clintona, dogłębnie badając decyzje (lub ich brak), które doprowadziły do bitwy, a także późniejszą reakcję rządu na wydarzenia w Mogadiszu.

Hackworth D.H., Hazardous Duty, Avon Books, 1997. W niniejszej książce pułkownik kontynuuje bój przeciwko obecnemu stanowi rzeczy w armii amerykańskiej. W rozdziale szóstym zatytułowanym Unfortunate Casualties krótko, a zarazem trafnie analizuje przebieg bitwy. W tekście pojawiły się pewne nieścisłości (o czym wspomniano poniżej oraz w Epilogu) i nie do końca celne wnioski, ale ogólnie rzecz biorąc relacja jest rzeczowa, a tekst czyta się z zainteresowaniem.

Hirsch J.L., Oakley R.B, Somalia and Operation Restore Hope, United States Institute of Peace Press, 1995. Zdecydowanie fabularna relacja dotycząca interwencji ONZ i Stanów Zjednoczonych w Somalii. Większość wydarzeń została przedstawiona z punktu widzenia Oakleya (byłego ambasadora USA w Somalii, który po bitwie udał się do Mogadiszu jako wysłannik Clintona).

Maren M., The Road to Hell, The Free Press, 1997. Richburg K., Out of America, A New Republic Book, Basic Books, 1997. Dobrze napisana książka dotycząca polityki międzynarodowej, która doprowadziła do katastrofalnej sytuacji w Somalii, a w końcu także do interwencji państw ONZ i ich udziału w bitwie. Maren

rzuca świeże spojrzenie na niszczycielski nieraz wpływ państw, których działania wynikają z najlepszych pobudek.

Stevenson J., Losing Mogadishu, Naval Institute Press, 1995. Klasyczny, akademicki tekst będący krytyczną analizą całokształtu działań ONZ/Stanów Zjednoczonych w Somalii. Klasyczna retrospekcja błędów w polityce międzynarodowej, pełna „rażących pomyłek w interpretacji" i z „niewłaściwym podejściem do zagadnienia".

The United Nations and Somalia 1992–1996, The United Nations Blue Books series, Tom III, Department of Public Information UN, 1996. Klasyczna publikacja encyklopedyczna dotycząca interwencji ONZ w Somalii.

ARTYKUŁY

Atkinson R., The Raid That Went Wrong, „The Washington Post", 30 stycznia 1994. Doskonała i zadziwiająco dokładna relacja bitwy widzianej oczami zarówno Amerykanów, jak i Somalijczyków.

Cooper D.B., Fast Rope into Hell, „Soldier of Fortune", lipiec 1994. Żywa relacja części bitwy w prawdziwie patetycznym stylu, głównie oparta na wywiadach z ratownikami medycznymi sił powietrznych Falesem i Wilkinsonem.

Ferry Ch.P, kpt., Mogadishu, October 1993: A Personal Account of a Rifle Company XO, „Infantry", październik 1994. Dość sucha relacja z akcji 10. Dywizji Górskiej.

Oliveri F., Heroes at Mogadishu, „Air Force Magazine", lipiec 1994. Relacja z akcji żołnierzy sił powietrznych: Wilkinsona, Falesa i Braya.

Perkins E., Rescue of the Rangers, „Waterdown Daily Times", 2 października 1994. Bardzo ambitna, przejrzysta i szczegółowa relacja interwencji 10. Dywizji Górskiej.

Rhodes P.F., A Soldier's Nightmare, „Night Flyer", pierwszy kwartał 1994. Kolejna relacja dotycząca doświadczeń Falesa, opublikowana też jako Courage Under Fire w „Airman", maj 1994.

Rysewyk L.A., kpt., Experiences of Executive Officer from Bravo Company, 3rd Battalion, 75th Ranger Regiment and Task Force Ranger Turing the Battle of the Black Sea on 3–4 October, 1993 in Mogadishu, Somalia, opublikowany na miejscu w Combined Arms and Tactics Division, U.S. Army Infantry School, Fort Benning, Georgia. Ciekawy zarys przebiegu bitwy, wraz z oficjalnym podziałem czasowym operacji.

Sloyan P.J., Mission to Somalia, „Newsday", 5–9 grudnia 1993. Bardzo dobra analiza przyczyn bitwy i sposobu, w jaki ją poprowadzono, razem z kilkoma świetnymi fragmentami samej walki.

Task Force Ranger Operations in Somalia 3–4 October 1993, U.S. Special Operations Command i U.S. Army Special Operations Command History Office, 1 czerwca 1994 (nieopublikowany). Oficjalne dwunastostronicowe streszczenie przebiegu bitwy razem z pięćdziesięcioma sześcioma stronami krótkich relacji dotyczących bohaterskiej postawy niektórych żołnierzy.

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować moim przyjaciołom Maxowi Kingowi i Bobowi Rosenthalowi z „The Philadelphia Inquirer" za ich wyjątkowe wsparcie. „Helikopter w ogniu" na początku był projektem prasowym, historią, jakiej nie było jeszcze w żadnym z amerykańskich dzienników. Max i Rosey od początku widzieli w niej potencjał, więc dzięki nim moje plany związane z opowieścią stały się jeszcze bardziej ambitne. David Zucchino był pierwszym redaktorem książki, który pomógł mi zmienić pierwszy szkic historii w ukazującą się w prasie powieść w odcinkach, a następnie znacząco przyczynił się do ostatecznego kształtu, jaki nadałem książce. Wiele zawdzięczam fotografowi Peterowi Tobii, który w 1997 roku razem ze mną wybrał się w ciężką podróż do Mogadiszu, skąd wrócił z oszałamiającą kolekcją zdjęć dokumentujących zniszczone miasto.

Podczas pisania powieści zawarłem kilka trwałych przyjaźni. Ponieważ sam nie posiadałem doświadczenia jako żołnierz, przez ostatnie dwa lata przeszedłem przyspieszony kurs w zakresie terminologii, taktyki i etyki wojskowej. W nauce bardzo pomógł mi emerytowany podpułkownik L.H. „Bucky" Burrus, wspaniały żołnierz, a zarazem świetny pisarz, który zechciał odszukać mnie, a następnie stał się moim pierwszym czytelnikiem i doradcą. Sierżant Paul Howe i Dan Schilling, były członek zespołu kontroli bojowej, także przeczytali powieść jako jedni z pierwszych i udzielili mi kilku rozsądnych, cennych rad. Nie zacząłbym tej książki bez pomocy Jima Smitha, byłego kapitana rangersów, którego syn, Jamie, zginął w Mogadiszu. Jim przedstawił mnie kilku kolegom zmarłego syna, także rangersom. Walt Sokalski i Andy Lucas z biura public relations dowództwa sił specjalnych Stanów Zjednoczonych zorganizowali pierwsze wywiady z rangersami oraz pilotami ze 160. Pułku Lotnictwa Operacji Specjalnych. Po tych wywiadach ruszył niniejszy projekt. Dziękuję również Jackowi Atwaterowi z muzeum uzbrojenia armii amerykańskiej za szybkie przeszkolenie mnie w zakresie uzbrojenia. Powyżej wymieniłem tylko garstkę z kilkuset wojskowych, którzy poświęcili mi czas, dzieląc się wiedzą i doświadczeniem. Niektórzy z nich poprosili mnie o niepodawanie ich nazwisk. Jestem wdzięczny Ibrahimowi Roblesowi Farahowi, który pomógł Peterowi i mnie dotrzeć do Somalii, a następnie bezpiecznie się z niej wydostać.

Jeszcze raz dziękuję mojej cierpliwej żonie, Gail, oraz naszym dzieciom, Aaronowi, Anyi, B.J., Danny'emu i Benowi, którzy pozwalają mi na styl życia, który często bywa dla nich kłopotliwy. Moja agentka, Rhoda Weyr, po raz kolejny dowiodła celności swoich wyborów, kierując mnie do Morgana Entrekina (oraz jego asystentki Amy Hundley), który okazał się doskonałym redaktorem, wydawcą, a także przyjacielem. Entrekin i pozostali, równie kompetentni członkowie odnoszącej sukcesy grupy wydawniczej Grove/Atlantic, zapewniają pisarzom najlepszą opiekę pośród istniejących obecnie wydawnictw.

Przypisy

[1] Cormac McCarthy „Krwawy południk” (tłum. Robert Sudół), Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 329.

[2] Za: Eversmann, Diemer, Sizemore, Nelson, McLaughlin, Galentine. We wczesnych latach ataków z powietrza helikoptery oznaczano numerem wypisanym kredą na boku kadłuba. Stąd nazwa „chalk”. Jedną z charakterystycznych cech dzisiejszej armii, zwłaszcza w przypadku jednostek specjalnych takich jak rangersi, jest to, że żołnierze z jednej grupy desantowej („chalk”) trenują razem czasem przez całe lata. Opis organizacji misji pochodzi z tekstu Task Force Ranger Operations in Somalia 3–4 October 1993 napisanego przy udziale U.S. Special Operations Command (USSOC) i USSOC History Office z datą 1 czerwca 1994 (dalej nazywanym raportem USSOC) (przyp. aut.).

[3] CSAR (ang. Combat Search and Rescue) – ratownictwo w warunkach bojowych, jednostki CSAR nazywane są oddziałami poszukiwawczo-ratowniczymi (przyp. tłum.).

[4] Alternatywnie: „Humvee”. Samochód terenowy, którego nazwa wywodzi się od skrótu HMMWV (ang. High Mobility Multi-Purpose Wheeled Vehicle – wielozadaniowy pojazd kołowy o wysokiej mobilności). Pojazd ten, początkowo produkowano tylko dla armii Stanów Zjednoczonych, z czasem zaczęto produkować także w wersji cywilnej (przyp. tłum.).

[5] Oddziały SEAL (ang. sea-air-land team) to elitarne oddziały Sił Operacji Specjalnych Marynarki Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

[6] Szczegóły związane z wykorzystanymi w akcji śmigłowcami, pojazdami i sprzętem pochodzą z raportu USSOC oraz od Matthewsa, McMahona, Duranta. P. Howe’a Jonesa (przyp. aut.).

[7] Za: Dave McKnight, Struecker, Eversmann, Schilling. Opis Garrisona także na podstawie fotografii (przyp. aut.).

[8] Stopień wojskowy w armii amerykańskiej, specjalista to stopień między starszym szeregowym a kapralem, brak polskiego odpowiednika. Skrót oficjalny: SPC (przyp. tłum.).

[9] Za: Eversmann i inni oraz raport USSOC. Liczba żołnierzy przyjętych do Delty spośród kandydatów zakwalifikowanych na szkolenie zmienia się, ale zgodnie z informacjami pochodzącymi od Howe’a i Burrussa jest to średnio 10 procent. Burruss był zastępcą Garrisona, kiedy ten dowodził jednostką. Niektóre z bardziej ogólnych opisów charakteru rangersów pochodzą z rozmów z M. Goodale’em, Nelsonem, Sizemore’em, Squeglią, Floydem, Andersonem, Waddellem, Perinem, Othikiem i Spaldingiem, dzięki którym przyszła mi do głowy analogia do „drużyny futbolowej”. Rozmawiałem z pilotem P-3, Jimem McMahonem, który krążył nad miastem aż do zmierzchu, kiedy to jego rolę przejęły śmigłowce OH-58D (przyp. aut.).

[10] Dialogi w cudzysłowach pochodzą z oryginalnego zapisu radiowego, z którego korzystał autor (przyp. tłum.).

[11] Za: Eversmann, Matthews, P. Howe, raport USSOC. W cudzysłowie ujęto autentyczne rozmowy radiowe. Większość z nich pochodzi z zapisu radiowego połączeń z siecią dowodzenia, które zostały nagrane podczas bitwy. Niektóre rozmowy z połączeń radiowych rangersów i operatorów Delty uzyskałem podczas wywiadów. Wszelkie odniesienia do czasu pochodzą z podziału czasowego bitwy z wyszczególnionymi godzinami każdego istotnego wydarzenia. Harmonogram ten, który opracowała komórka operacyjna grupy zadaniowej rangersów, rozpoczyna się tekstem: „3 października 1993, 13.50 – przypuszczalna godzina spotkania Salada/Qeydida w pobliżu hotelu Olympic", a kończy: „4 października 1993, godz. 9.16 – dowódcy zdają raport dotyczący podlegających im żołnierzy, miejsce pobytu czterech członków załogi śmigłowca i dwóch snajperów przetransportowanych na drugie miejsce katastrofy pozostaje nieznane" (przyp. aut.).

[12] Zapis radiowy, raport USSOC, materiał filmowy (przyp. aut.).

[13] Za: P. Howe, raport USSOC, materiał filmowy, Jones, a także liczne relacje spisane przez członków Delta Force. Opisy akcji, w których brali udział Howe i Rierson, oparto na wywiadzie przeprowadzonym z Howe'em, który omówił szczegółowo przebieg zdarzeń z Riersonem niedługo po walce. Rierson został zabity 6 października pociskiem z moździerza na terenie lotniska. Fragmenty dotyczące Hootena pochodzą ze spisanych przez niego wspomnień (przyp. aut.).

[14] Delta używa kasków ochronnych firmy Pro-Tec, które budową i wyglądem przypominają kaski hokeistów. Są lekkie, mają otwory wentylacyjne i chronią głowę przed urazami (przyp. tłum.).

[15] Inaczej „metoda szybkiej liny" lub „fast-rope" – technika zjazdu na linie bez użycia sprzętu wspinaczkowego. Żołnierz opuszczający śmigłowiec podczas desantu ześlizguje się po linie trzymanej dłońmi i stopami (przyp. tłum.).

[16] Za: Thomas (przyp. aut.).

[17] Za: Eversmann, Diemer (przyp. aut.).

[18] Za: Eversmann, dane dotyczące Gooda spisane przez historyków z USSOC, którzy rozmawiali z kilkunastoma uczestnikami bitwy. Eversmann pamiętał, że coś gwałtownie szarpnęło śmigłowcem akurat, kiedy wyskakiwał z niego Blackburn, jednak na nagraniu wideo nie widać żadnego ruchu. Widać na nim za to, jak młody rangers wypada przez drzwi. Blackburn odzyskał podobno dawną sprawność fizyczną. Nie przeprowadzałem z nim wywiadu, ale z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że nie pamięta ani upadku, ani tego, co nastąpiło po nim 3 października (przyp. aut.).

[19] Za: Eversmann, Moore (przyp. aut.).

[20] Za: Eversmann, Perino (przyp. aut.).

[21] Za: Schmid, relacja dotycząca Bullocka sporządzona przez historyka z USSOC (przyp. aut.).

[22] Za: Eversmann, Diemer, McLaughlin. Doskonała rekonstrukcja bitwy sporządzona przez Ricka Atkinsona, która pojawiła się w „The Washington Post" (30 stycznia 1994 roku) zawiera wypowiedzi przywódców somalijskiej milicji, którzy opisywali, jak początkowo starali się dowieźć swoich ludzi w okolice targowiska od strony północnej. To tłumaczyłoby fakt, że wokół grupy Chalk Four pojawiło się tak wielu nieprzyjaciół (przyp. aut.).

[23] Za: Schmid, Eversmann (przyp. aut.).

[24] Za: Eversmann, Perino, McLaughlin, Schmid (przyp. aut.).

[25] Za: Dave McKnight, Marsh. Informacje dotyczące pogorszenia sytuacji po wyjeździe marines pochodzą od Howe'a (przyp. aut.).

[26] Prorocza notatka Garrisona została przytoczona w książce Samuela Bolgera Savage Peace oraz w serwisach informacyjnych, które pojawiły się niedługo po bitwie (przyp. aut.).

[27] Nocni Łowcy (ang. Night Stalkers) to potoczna nazwa 160. Pułku Lotnictwa Operacji Specjalnych (ang. 160th Special Operations Aviation Regiment), jednostki wykorzystywanej jako wsparcie dla sił specjalnych wojsk lądowych (przyp. tłum.).

[28] Za: Matthews, Goffena, Durant, Jones, Yacone (przyp. aut.).

[29] Wozy techniczne (ang. technicals) to półciężarówki lub pikapy z bronią prowizorycznie zamontowaną na platformach. Pojazdy zawdzięczają nazwę temu, że agencje pomocy humanitarnej w Somalii były zmuszone do wynajęcia miejscowych gangów (dysponujących takimi właśnie pojazdami) do ochrony i kwalifikowały to jako wydatki na „pomoc techniczną" (przyp. tłum.).

[30] Za: Dave McKnight, Burruss, Bryden oraz moje obserwacje z czasu pobytu w Mogadiszu (przyp. aut.).

[31] Za: Matthews, Dave McKnight, Departament Stanu USA i notatki sił zadaniowych rangersów. Wypowiedzi Smitha pochodzą z jego listu do rodziców z 17 października (przyp. aut.).

[32] Potoczna nazwa granatu typu hukowo-błyskowego (ang. flashbang). Jest to ręczny granat, którego głównym zadaniem jest przestraszenie bądź zdezorientowanie przeciwnika (przyp. tłum.).

[33] Podczas wojny wietnamskiej CIA powołała program o nazwie Feniks (ang. Phoenix), którego celem było zlikwidowanie struktury dywersyjnej Wietkongu w Wietnamie Południowym, Laosie i Kambodży. Program okazał się skuteczny, jednak w wyniku działań agentów zamordowano tysiące ludzi, co później wywołało międzynarodowy skandal (przyp. tłum.).

[34] Sztab główny USA usytuowany w bazie sił powietrznych MacDill w Tampa na Florydzie (przyp. tłum.).

[35] Charakterystykę Garrisona przedstawili: Dave McKnight, Marsh, Burruss i rangersi. Szczegóły związane z frustracją generała pochodzą z trzystronicowej notatki do generała Hoara zatytułowanej Bieżąca ocena sytuacji. Notatka Gosendego została napisana 15 września (przyp. aut.).

[36] Za: Raport USSOC, Steele, Matthews, relacje rangersów (przyp. aut.).

[37] Za: Lechner (przyp. aut.).

[38] Podrozdział ten powstał przede wszystkim na podstawie wywiadu, który przeprowadziłem w Mogadiszu z Alim Hassanem Mohamedem. Kilku Somalijczyków, z którymi rozmawiałem, podawało nieprawdziwe szczegóły dotyczące tego, co widzieli oraz gdzie się znajdowali 3 października, ale dzięki szczegółowym relacjom amerykańskich żołnierzy z łatwością oddzieliłem fikcję od faktów. „Rangersi" widziani przez Alego to najprawdopodobniej operatorzy Delty, którzy opuścili się na linach ze śmigłowca dowodzenia przecznicę od budynku stanowiącego cel ataku i oczyścili z nieprzyjaciół podwórze przecznicę na zachód, po czym wrócili na ulicę. Pociski, które zabiły brata Alego, prawdopodobnie pochodziły z osłaniającego operatorów działka pokładowego (przyp. aut.).

[39] Podrozdział ten powstał przede wszystkim na podstawie wywiadu z P. Howe'em, chociaż na ogólną charakterystykę oddziałów Delty wpłynęły też opinie innych (zarówno obecnych, jak i byłych) członków jednostki oraz rangersów, którzy spotkali operatorów w Somalii. Tarcia pomiędzy Steele'em a członkami Delty rozpoczęły się już podczas pierwszego dnia treningu w Fort Bragg. Steele twierdził, że operatorzy chcieli, aby jego ludzie wzięli udział w ćwiczeniach już w dniu przyjazdu. Steele powiedział im, że organizacja jego jednostki potrwa trochę czasu, a on potrzebuje dokładniejszego planu działania niż ten, który mogli mu przedstawić operatorzy. Widziałem nagranie przedstawiające sytuację, kiedy znajdujący się na dachu zespół Howe'a został przypadkowo ostrzelany przez Amerykanów. Na filmie widać, jak żołnierze przykucnęli na dachu za niskim, betonowym murem, a wokół nich fruwają odrywane przez pociski fragmenty ściany. Na nagraniu nie widać, skąd dokładnie padają strzały, ale relacje kilku rangersów i członków zespołu Delty potwierdzają, że pochodziły od rangersa z grupy desantowej Chalk Two. Sierżant Steven Lycopolus wziął na siebie winę za strzały, mówiąc, że żołnierzem, który wówczas otworzył ogień, był jeden z jego młodszych podwładnych. Lycopolus twierdził, że kiedy odmówił podania nazwiska winowajcy Steele'owi, ten powiedział mu: „Zatem sam będziesz musiał ponieść odpowiedzialność". Inni rangersi zadają kłam tej historii, obwiniając Lycopolusa, który i tak nie cieszył się poparciem na skutek innego przypisywanego mu przypadku ostrzelania swoich, który opisałem w części trzeciej. Źródło wcześniejszych strzałów nie zostało ustalone (przyp. aut.).

[40] Pomoc finansowa na czas nauki w zamian za wzięcie udziału w szkoleniu oficerów rezerwy (ang. Reserve Officers Training Corps), a następnie dwuletnia służba w armii, rezerwie lub Gwardii Narodowej (przyp. tłum.).

[41] Za: Stebbins, Galentine (przyp. aut.).

[42] Za: Steele (przyp. aut.).

[43] Za: M. Goodale, K. Goodale. Kiedy Kira Goodale czytała przez telefon list od Mike'a, głos na chwilę uwiązł jej w gardle. Jedyną fotografią zrobioną podczas akcji przez osobę znajdującą się na ziemi jest zdjęcie Lechnera ukazujące ulicę po zachodniej stronie od pozycji grupy Chalk One, na południowo-wschodnim narożniku. Widać na niej Goodale'a i Williamsona ukrytych za wrakiem samochodu, nieco niewyraźnych przez unoszący się w powietrzu pył oraz Stebbinsa, który leży na ziemi, pilnując ulicy po południowej stronie. W oddali można dostrzec żołnierzy z Chalk Three ustawionych przy południowym murze otaczającym atakowany dom, który widać w tle. Na ulicy leży jedna z lin użytych do opuszczenia się z helikoptera (przyp. aut.).

[44] Karabin maszynowy M60 jest nazywany „świnią" ze względu na charakterystyczny odgłos, a także ciężar. Miano to nadali mu żołnierze armii amerykańskiej podczas wojny wietnamskiej (przyp. tłum.).

[45] Za: Perino. Somalijczycy, z którymi rozmawiałem, żarliwie zapewniali, że nie użyto kobiet ani dzieci jako żywych tarcz. Przyznali jednak, że kobiety i dzieci pomagały im w znalezieniu żołnierzy. Prawie każdy biorący udział w bitwie rangers powiedział mi, że widział, jak kobiety i dzieci wyszukiwały Amerykanów, by pokazać ich pozycje Somalijczykom, a także osłaniały ich, zwłaszcza w początkowej fazie walki (przyp. aut.).

[46] Za: Waddell (przyp. aut.).

[47] Za: Nelson, Waddell, Yurek. Rozterki i działania DiTomassa zostały przez niego szczegółowo opisane (przyp. aut.).

[48] Za: Yurek (przyp. aut.).

[49] W tym wypadku chodzi o M134 Minigun – sześciolufowy karabin maszynowy skonstruowany w systemie Gatlinga o bardzo dużej szybkostrzelności (przyp. tłum.).

[50] Nelson, Waddell, Yurek, Twombly (przyp. aut.).

[51] Nelson, Waddell, Yurek, Twombly (przyp. aut.).

[52] Za: Struecker, Burns, Othic, Spalding i Schilling (przyp. aut.).

[53] Za: Nelson. To Diemer był żołnierzem zapytanym przez Steele'a, czy chodzi do kościoła (przyp. aut.).

[54] Za: Struecker, B. Thomas (przyp. aut.).

[55] Rodzaj noża wojskowego używanego przez oddziały SEAL (przyp. tłum.).

[56] Gay opowiedział mi o tym podczas wywiadu, a dodatkowo szczegółowo i barwnie opisał, co robił oraz co widział podczas bitwy, w tekście Post-Op Report/Strong Point Assault/10-3-93. Informacje te znajdują się też w spisanej relacji członka oddziału SEAL, Homera Nearpassa. Po powrocie do Stanów Gay miał nadzieję na zarobienie pieniędzy na promocji noży Randalla. Fakt, że nóż zatrzymał kulę, mógł być dobrym chwytem reklamowym, jednak producent nie był zainteresowany współpracą (przyp. aut.).

[57] Za: Struecker, B. Thomas i spisana relacja żołnierza z SEAL, Richarda Kaisera (przyp. aut.).

[58] Za: Ali Husajn (przyp. aut.).

[59] Za: Struecker, B. Thomas (przyp. aut.).

[60] Za: Othic, Spalding, P. Howe (przyp. aut.).

[61] Za: Spalding (przyp. aut.).

[62] Za: Burns (przyp. aut.).

[63] Za: Kallman (przyp. aut.).

[64] Za: Othic (przyp. aut.).

[65] Za: Galentine, Eversmann, Diemer, Berendsen (przyp. aut.).

[66] Klan Habr Gidr nie jest formacją wojskową, jednak Aidid był nazywany przez członków klanu „generałem" w nawiązaniu do tytułu, jaki otrzymał, służąc w wojsku za rządów Mohameda Siada Barre'a (przyp. tłum.).

[67] Szczegóły dotyczące ataku na dom Abdiego z 12 lipca uzyskałem po przeprowadzeniu w Mogadiszu wywiadów z Mohamedem Hassnem Farahem i Abdullahim Ossoble'em Barre'em. Obaj mężczyźni zostali wówczas ranni. Świadkiem niespodziewanego ataku przy użyciu pocisków TOW był też były oficer armii kanadyjskiej Matthew Bryden, który pracował wówczas w Mogadiszu na rzecz międzynarodowej organizacji pomocy humanitarnej. Wywiad z Brydenem przeprowadziłem w Nairobi, kiedy pracował tam dla organizacji o nazwie Wartorn Societies Project. Słyszał, jak cobry obniżają lot nad miastem, a kiedy wyszedł na zewnątrz, zobaczył, że helikoptery otaczają budynek półkolem, a następnie ostrzeliwują go. Bryden dobrze znał miasto i jego mieszkańców, ale za namową somalijskiego przyjaciela postanowił wyjechać. Tymczasem czterech zachodnich dziennikarzy – Dan Eldon, Hos Maina i Anthony Macharia z Reutersa oraz niemiecki fotograf Hansi Kraus, który pracował dla Associated Press, po akcji pospieszyli w stronę zaatakowanego domu, gdzie zostali zlinczowani przez wściekły tłum. O wydarzeniu z 12 lipca było głośno w mediach, więcej jednak mówiono o śmierci czterech dziennikarzy niż o ofiarach ataku na dom Abdiego. W istocie atak ten stanowił bezprzykładny krok ONZ określony przez reportera „The Washington Post" w jego książce Out of America jako „pierwsze oficjalnie zatwierdzone morderstwo dokonane przez kraje ONZ" (s. 79). Doszło do niego w wyniku eskalacji przemocy ze strony klanu Aidida. Wataźka posunął się do wydania wyroku śmierci na zatrudnionych przez ONZ Somalijczyków. Akcja przeprowadzona 12 lipca bardziej niż jakiekolwiek inne wydarzenie przyczyniła się do zwiększenia poparcia dla Aidida oraz klanu Habr Gidr. Zwróciła wielu Somalijczyków o umiarkowanych poglądach, którzy dotychczas opowiadali się za interwencją ONZ, przeciwko międzynarodowej misji. J. Howe powiedział mi, że według niego tego samego dnia w okolicy odbyło się oddzielne spotkanie starszyzny Habr Gidr, ale – ponieważ celowo wprowadzono ich w błąd – przedstawiciele ONZ pomylili je ze spotkaniem w domu Abdiego. Myślę, że Howe się mylił. Wersje naocznych świadków Faraha i Barre'a są spójne, a ponadto są spójne z oficjalną wersją wydarzeń zawartą w Niebieskiej Księdze

ONZ w tomie III „Narody Zjednoczone i Somalia 1992–1996” (UN Blue Book Series, s. 404). Początkowe doniesienia o liczbie zabitych i rannych różniły się. Przedstawiciele UNOSOM-u mówili o 20 zabitych mężczyznach, podczas gdy na filmie nagranym w miejscu tragedii było również widać ciała kobiet (Richburg, s. 79–80). Międzynarodowa Komisja Czerwonego Krzyża podała liczbę 215 rannych Somalijczyków, w tym 54 zabitych. Tymczasem poplecznicy Aidida sporządzili listę 73 zabitych, wśród których znalazły się kobiety i dzieci. Według Richburga amerykańscy urzędnicy przebywający wówczas w Somalii przyznali, iż dane Czerwonego Krzyża są prawdopodobnie prawdziwe (s. 80), a każdy świadek, z którym przeprowadziłem wywiad, mówił o 70 lub większej liczbie ofiar. Oakley brał pod uwagę to, że liczba ta mogła być większa. Bryden, Farah i Barre podawali, że wielu zabitych Somalijczyków to cieszący się szacunkiem ludzie o umiarkowanych poglądach politycznych, którzy sprzeciwiali się krwawym aktom przemocy klanu Aidida względem ONZ. Do dziś na wspomnienie o tym bestiaskim wydarzeniu każdego mieszkańca Somalii ogarniają gniew i gorycz. Po śmierci czterech dziennikarzy większość serwisów informacyjnych wycofała korespondentów z Mogadiszu. Amerykańska agencja prasowa wstrzymała się do września, kiedy to Aidid zapowiedział porwania amerykańskich dziennikarzy. Kiedy 3 października rozpoczęła się bitwa, w Mogadiszu nie było ani jednego amerykańskiego dziennikarza. Nagranie filmowe oraz większość fotografii, które pokazano w telewizji oraz zamieszczono w gazetach na całym świecie, zrobili Somalijczycy, którzy udokumentowali wydarzenie na własną rękę. Wyjątek stanowią zdjęcia wykonane przez fotografa „Toronto Star”, Paula Watsona (przyp. aut.).

[68] Za: Yusuf. Do historii o niemowlęciu podszedłem ze sceptycyzmem, jednak potwierdził ją Burns. Powiedział, że podczas jednej z misji, po znalezieniu się na ziemi on i jego żołnierze szukali niemowlęcia, które wypadło z rąk matki, kiedy lądował helikopter. Skrępowana kajdankami kobieta krzyczała histerycznie, dopóki nie pojawił się tłumacz. Burns powiedział, że znalazł niemowlę, które wpadło do jednej z prowizorycznych chałup. Na szczęście nic się mu nie stało. Dziennik żołnierza z 160. Pułku, który prosił, aby nie ujawniać jego tożsamości, także mówi o tym niesamowitym zdarzeniu: „Podmuch black hawka wyrwał jej dziecko z ramion, niemowlę spadło na ulicę” (przyp. aut.).

[69] Yusuf. Wydarzenie z 9 września zostało odnotowane w Niebieskiej Księdze ONZ (s. 407), w której podano oficjalne dane o jednym zabitym pakistańskim żołnierzu, dwóch rannych Pakistańczykach oraz trzech amerykańskich żołnierzach, którzy także odnieśli obrażenia. W oficjalnych relacjach jest mowa o użyciu pocisków TOW oraz działek przez helikoptery Cobra, jednak nie podano liczby zabitych Somalijczyków. Napisano: „Po tym wydarzeniu w mediach pojawiły się oskarżenia o to, że siły UNOSOM-u masowo ostrzelały tłum Somalijczyków. UNOSOM przyznał, że wielu uzbrojonych Somalijczyków zostało rannych lub zabitych, ale zaprzeczał, jakoby otworzono ogień w kierunku dużej grupy cywilów. Zarzuty nie zostały potwierdzone”. Dziennik żołnierza z 160. Pułku zawiera sprzeczne informacje dotyczące liczby rannych, a także śmierci Pakistańczyków. Donosi, oczywiście są to informacje z drugiej ręki: „Wkrótce rejon oznaczono jako strefę bezwzględnego ostrzału. Pojawiły się cobry, które dwoma pociskami TOW rozwaliły buldożer, aby tutejsi mieszkańcy nie mogli z niego skorzystać, a następnie z działka kaliber 20 milimetrów ostrzelano 30 do 40 nieprzyjaciół”. Wpis z następnego dnia: „Okazało się, że »zdechlaki« naprawdę się wściekły. Cobry zabiły 100

osób, strzelano do tłumu cywilów, ponieważ niektórzy z nich strzelali do Amerykanów. W końcu była to strefa bezwzględnego ostrzału, a ci Somalijczycy zachowywali się naprawdę dziwnie (a może całkiem sprytnie – zależy, jak na to patrzeć). Chowali się za kobietami i strzelali do nas z ukrycia, trudno nam więc było zorientować się, kto tak naprawdę strzela. Potem powiedzieli, że mordujemy kobiety i dzieci. Tymczasem my tylko otworzyliśmy ogień w stronę ludzi, którzy do nas strzelali, przy okazji zabijając kilka osób, za którymi się schowali" (przyp. aut.).

[70] Waddell, Nelson, DiTomasso (przyp. aut.).

[71] Postać Elvisa Presleya (ang. Velvet Elvis – Aksamitny Elvis) namalowana na aksamicie (przyp. tłum.).

[72] Za: Dowdy, Frank, J. Yacone, B. Yacone, zapis radiowy (przyp. aut.).

[73] Nelson, DiTomasso, Diemer, Eversmann, Twombly i zapis radiowy (przyp. aut.).

[74] Za: Aden. Jego opowieść o spadającym Super Six One i o późniejszych zdarzeniach zgadzają się z materiałem filmowym oraz relacjami żołnierzy, którzy przeżyli upadek. Tylko nieliczne z niebrukowanych ulic Mogadiszu mają oficjalne nazwy, więc w kwestii nazw zaufałem Adenowi oraz Bushirowi Sudiemu (urodzonemu w Mogadiszu Somalijczykowi, który teraz mieszka w St Louis Park w stanie Minnesota). Bushir zapewnił mnie, że ulica przy miejscu pierwszej katastrofy nazywana jest Marehan Road, a droga oddalona o przecznicę na zachód – Wadigley (przyp. aut.).

[75] Za: Materiał filmowy. Informacje dotyczące trudnej sytuacji Garrisona pochodzą z wywiadów z Dave'em McKnightem, P. Howe'em, Marshem i kilkoma innymi żołnierzami (przyp. aut.).

[76] Za: Nelson, DiTomasso, Waddell, Steele, Yurek (przyp. aut.).

[77] Za: Jones, materiał filmowy, Goffena, J. Yacone (przyp. aut.).

[78] Za: DiTomasso, Nelson (przyp. aut.).

[79] Za: Jones, zapis radiowy. Słowa Buscha pochodzą z pamiątkowego wydania „The Army Times" z 30 maja 1994 roku (przyp. aut.).

[80] Za: Durant, Goffena, Jones, Frank i B. Yacone. Niektóre informacje dotyczące Duranta pochodzą z doniesień prasowych „The Philadelphia Inquirer" i „The New York Times" z okresu pobytu pilota w niewoli (przyp. aut.).

[81] W nawiązaniu do kapitana Ahaba, bohatera powieści „Moby Dick" Melville'a (przyp. tłum.).

[82] Somalijskie Przymierze Narodowe (ang. Somali National Alliance) zostało zawarte w 1992 roku, skupiając różne frakcje polityczne, na jego czele stał Mohamed Farah Aidid (przyp. tłum.).

[83] Za: J. Howe, Oakley, Lake, Powell. Dodatkowe informacje dotyczące Aidida pochodzą z Out of Africa Richburga i Michaela Marena Road to Hell. Maren dowodzi, że kiedy ONZ i USA zaczęły polowanie na Aidida, jego notowania w Mogadiszu znacząco wzrosły (przyp. aut.).

[84] Opowieść o tym, jak Aidid przedostał się przez kordon ONZ, wydaje się wątpliwa, ale wiele mówi o rosnącym poparciu dla watażki. Opowiedział mi ją Mohamed Hassan Farah (przyp. aut.).

[85] J. Howe później nadal był przekonany, że zginęło tyko kilku Somalijczyków i to nie cywilów, lecz kluczowych członków milicji (przyp. aut.).

[86] Za: J. Howe, Lake, Powell, książka Elisabeth Drew On the Edge będąca relacją z kilku pierwszych lat Clintona w Białym Domu. Książka zawiera jeden z najlepszych opisów wydarzeń w Somalii z perspektywy Białego Domu. Odrzucono moje prośby o przeprowadzenie wywiadu z Clintonem (przyp. aut.).

[87] Notatka z 5 stycznia 1994 roku napisana przez Garrisona do przewodniczącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów (dalej nazywana „notatką Garrisona z 5 stycznia") (przyp. aut.).

[88] Atto opowiadał później w wywiadzie udzielonym BBC, że w momencie zatrzymania go przez Amerykanów jechał fiatem 124, któremu nie towarzyszyły inne pojazdy (przyp. tłum.).

[89] Za: J. Howe, notatka Garrisona z 5 stycznia (przyp. aut.).

[90] Spisane przesłuchanie klanowego „pułkownika" z dnia 26 września. Tego dnia zestrzelono black hawka 10. Dywizji Górskiej. „Pułkownik" powiedział przesłuchującym go żołnierzom: „Dzięki temu [zestrzeleniu śmigłowca] Aidid zyskał poparcie. Do tej pory ludzie nie wierzyli, że można zniszczyć helikopter, ale teraz to się zmieniło. Nie boją się ich tak jak przedtem". Ostrzegł też, że Aidid zamierza zebrać pięciuset ludzi, przy pomocy których przeprowadzi atak na bazę lotniczą sił zadaniowych rangersów (przyp. aut.).

[91] Za: J. Howe, Oakley, Lake, On the Edge (przyp. aut.).

[92] Za: J. Howe (przyp. aut.).

[93] Przymiotnik nawiązujący do fikcyjnej rasy Klingonów, cywilizacji wojowników, która pojawiła się w serialu science fiction „Star Trek" (przyp. tłum.).

[94] Abdi Karim Mohamud, który kilkakrotnie służył mi i Peterowi Tobii jako przewodnik po Mogadiszu. Abdi Karim i jego przyjaciel Abdi Tahalil odwiedzili nas kilka razy. Siedzieli wówczas do późna, opowiadając swoją historię. Dzięki nim mieliśmy więcej naocznych świadków walk. Żonę Abdiego Tahalila postrzelono podczas jednej z wcześniejszych misji rangersów. Rana się zagoiła, ale kobieta nie mogła mieć dzieci. Brat Abdiego zginął podczas strzelaniny 3 października w pobliżu domu, w którym aresztowano więźniów. Zgodnie z tym, co mówił Abdi Tahalil, jego brat prowadził taksówkę, kiedy przypadkiem trafił w okolice walk. Później znaleziono jego zwęglone szczątki we wraku spalonego samochodu. Kilku amerykańskich żołnierzy, z którymi rozmawiałem, było zdziwionych tym, że Somalijczyków zatrudniano w placówkach ONZ. Abdi Karim

pracował w starym budynku ambasady amerykańskiej, ale byli też Somalijczycy, którzy otrzymywali zlecenia w bazie rangersów: elektrycy i osoby zajmujące się obsługą przenośnych toalet. Biorąc pod uwagę, że pewne elementy w bazie były tajne, w związku z czym konfiskowano zdjęcia osobom, które fotografowały bazę z zewnątrz, fakt, że wpuszczono do środka somalijskich pracowników, wydawał się dziwny. Każdy pracownik wiedział więc, ilu jest żołnierzy, jaką bronią dysponują, gdzie znajdują się poszczególne pomieszczenia. Informacje te mogły przydać się choćby bandom, które w nocy ostrzeliwały bazę z moździerzy (przyp. aut.).

[95] Za: Schilling, raport USSOC, materiał filmowy, zapis radiowy (przyp. aut.).

[96] Za: Durant, Matthews, zapis radiowy, materiał filmowy, Goffena, J. Yacone (przyp. aut.).

[97] Za: McLaughlin, Carlson (przyp. aut.).

[98] Za: Eversmann, Steele. W książce Fight with Intrepidity major John D. Lock zauważył, że Eversmann popełnił tu znaczący błąd: „Eversmann poinformował dowódcę kompanii, że ruszył z miejsca, kiedy tak naprawdę tego nie zrobił. On i jego podwładni przez szczęśliwy zbieg okoliczności spotkali się z pułkownikiem McKnightem, który przejeżdżał obok nich z resztą konwoju. Gdyby nie ten przypadek, liczba zabitych w akcji żołnierzy mogłaby być o 12 większa". Uważam jednak, że major trochę przesadza. Eversmann nie miał zamiaru wykonać rozkazu Steele'a, który kazał im zmienić pozycję pieszo, mimo że nie zgłosił kapitanowi, że może to być niemal niewykonalne. Gdyby konwój nie zabrał żołnierzy z Chalk Four, możliwe że, odseparowani od reszty, zostaliby zabici. Możliwe też, że dostrzeżono by ich z powietrza lub udałoby im się dotrzeć do miejsca katastrofy śmigłowca pieszo (przyp. aut.).

[99] Za: Schilling, Eversmann, Gay (przyp. aut.).

[100] Za: Spalding, Gay, Burns, Othic, P. Howe, Schilling, McLaughlin i inni (przyp. aut.).

[101] Za: Goffena, J. Yacone, zapis radiowy, Durant (przyp. aut.).

[102] Gra słów: w języku angielskim revenger oznacza „mściciel" (przyp. tłum.).

[103] Za: Mo'alim. Opis milicji Aidida powstał na podstawie rozmowy z Mo'alimem, przywódcą Sharifem Alim Mohamedem, a także z Oackleyem i Brydenem; 26 września przesłuchiwany, chętny do współpracy „pułkownik" Habr Gidr wyjaśnił: „Najpierw trzeba zdać sobie sprawę, że istnieją tu dwie odrębne grupy. Do pierwszej należą mściciele Aidida, którzy dostają przed każdą akcją pieniądze i khat. Jeśli dobrze wykonają zadanie, otrzymują resztę zapłaty. Ci ludzie nie zrezygnują z walki dopóty, dopóki Aidid będzie im płacił. Druga grupa to niewinni ludzie, którzy mieszkają w dzielnicach, gdzie ludzie Aidida przeprowadzają ataki. Kiedy siły Stanów Zjednoczonych/UNOSOM-u decydują się przypuścić kontratak, domy tych niewinnych ludzi są niszczone, a oni sami często giną lub odnoszą obrażenia. Po takich wydarzeniach Aidid posługuje się propagandą, twierdząc: »Najpierw zabiją wasze rodziny, potem was zniewolą, a na koniec każą wam wyrzec się waszej religii«. Większość rodzin nie rozumie, co się dzieje, ale wiedzą, że ludzie Aidida zabiją ich, jeśli odważą się zabrać głos. Aidid nie posiada stabilnego, zorganizowanego wojska, lecz niewielkie grupy

bojówkarzy, w tym nie więcej jak 50 czy 60 stałych członków. Ich metoda walki polega na chowaniu się w tłumie – Aidid wie, że broniąc się, zranicie ludzi, prowokując zaciekły opór". Radiowe ostrzeżenia dotyczące zbliżających się bojówkarzy Aidida potwierdzają wersję Mo'alima i jego ludzi dotyczącą czasu, sposobu i kierunku przemieszczania się milicji. W tym samym czasie wiele innych grup ściągało w tę okolicę miasta (przyp. aut.).

[104] Za: Ali Husajn (przyp. aut.).

[105] Za: Matthews, materiał filmowy, Burns, Schilling, Gay, P. Howe (przyp. aut.).

[106] Za: McMahon (przyp. aut.).

[107] Za: Eversmann, Schilling. Schilling zadał sobie wiele trudu, aby pomóc mi w pisaniu tego rozdziału. Jego przyjaciel sierżant lotnictwa Tim Wilkinson usilnie namawiał mnie, abym zadzwonił do Dana już kilka miesięcy wcześniej, jednak skontaktowałem się z nim dopiero po tym, jak początkowa wersja rozdziału pojawiła się w „The Philadelphia Inquirer". Tu popełniłem błąd. Dan opowiedział mi o krętej drodze konwoju, pomógł mi zrozumieć, jak i dlaczego pomylili drogę (chociaż temat ten powinien zostać omówiony bardziej szczegółowo, niż zrobiłem to na łamach tej książki). Kilkakrotnie rozmawialiśmy przez telefon, a dodatkowo Dan spisał swoje wspomnienia, dostarczając mi szesnastostronicową relację, która stanowi trzon tego rozdziału. Dzięki niej mogłem ustalić odpowiednią chronologię zdarzeń, a nawet sporządzić dokładną mapę zawiłej trasy konwoju. Dotąd krytykowano przede wszystkim decyzje polityków odnośnie do sprzętu posiadanego przez wojsko oraz decyzję Garrisona, który zdecydował się na akcję za dnia (mimo że trzy poprzednie z sześciu zakończonych sukcesem misji także przeprowadzono w dzień). Moim zdaniem największym potknięciem były nieporozumienia podczas komunikacji radiowej, przez które zginęło pięciu żołnierzy, a wielu zostało rannych (przyp. aut.).

[108] Za: Zapis radiowy. Schilling (przyp. aut.).

[109] Za: Eversmann, P. Howe. Podczas kilku dni po walce Howe dużo rozmawiał z Riersonem, a potem spisał w dzienniku wspomnienia kumpla dotyczące jazdy w zagubionym konwoju. Spacerowałem ulicami w pobliżu miejsca, gdzie rozbił się pierwszy śmigłowiec. Zauważyłem, jak łatwo tam zabłądzić. Ulice zdają się tworzyć równą siatkę, jednak w rzeczywistości przecinają się pod różnymi kątami. Na pierwszy rzut oka, dla osoby spoza miasta wszystkie ulice wyglądają tak samo (przyp. aut.).

[110] Za: McLaughlin, Carlson, Spalding, relacja A. Rodrigueza spisana przez historyka armii (przyp. aut.).

[111] Za: Burns, Spalding (przyp. aut.).

[112] Za: Schilling, Burns, Spalding (przyp. aut.).

[113] Za: Schilling (przyp. aut.).

[114] Za: Zapis radiowy (przyp. aut.).

[115] Za: Burns (przyp. aut.).

[116] Za: Schilling, Moore (przyp. aut.).

[117] Za: Carlson (przyp. aut.).

[118] Za: Kallman (przyp. aut.).

[119] Za: Schilling, zapis radiowy, Matthews. To Schilling miał wrażenie, że McKnight jest „oszołomiony". Rierson miał podobne odczucia, kiedy rozmawiał z Howe'em po bitwie. Żołnierze, z którymi przeprowadzałem wywiady, w tym głównie rangersi, mieli wrażenie, że pojazdy trzymały się blisko siebie i parły do przodu tylko dzięki doświadczeniu operatorów Delty. Głosy dowódców słyszane w nagranych połączeniach radiowych odzwierciedlają zdenerwowanie i rosnącą frustrację lepiej niż jakikolwiek opis. Słychać w nich złość, zmieszanie i niedowierzanie (przyp. aut.).

[120] Za: Spalding (przyp. aut.).

[121] Za: Othic, Hand (przyp. aut.).

[122] Za: Schilling, Gay (przyp. aut.).

[123] Za: Schilling, zapis radiowy (przyp. aut.).

[124] Za: Gay, Spalding, Diemer, Eversmann, Burns, Moore (przyp. aut.).

[125] Za: Raport USSOC, Dave McKnight, podział czasowy bitwy. David (przyp. aut.).

[126] Za: Wilkinson, Lamb, Barton, Belman, Phipps, Mabry, Marsh. Doktor Marsh opowiedział mi, jakie trudności musiał pokonać, aby pozwolono mu zabrać wszędzie wspomniane skrzynie. Określenie „PJ" nadal fukcjonuje, choć ostatnio zaczęto używać określenia „paramedycy". Tim zapytał mnie, czy w książce nie mógłbym nazwać ich „paramedykami", ale odmówiłem. Teraz czuję się z tego powodu winny, stąd to wyznanie (przyp. aut.).

[127] Za: Wilkinson, materiał filmowy, przebieg czasowy bitwy, zapis radiowy, „Mogadiszu: Heroism and Tragedy!", Phipps twierdził, że wykopywał torby, jednak trzymałem się wersji Wilkinsona, który wyjaśnił, że helikopter pozostał w zawisie za długo właśnie ze względu na torby ze sprzętem medycznym. Na nagraniu filmowym widać, że Super Six Eight unosi się w górę, przesuwa na bok, po czym ponownie zawisa nad ziemią (przyp. aut.).

[128] W języku angielskim bull oznacza „byk" (przyp. tłum.).

[129] Za: Wilkinson, Belman, Barton, Lamb, Phipps, Mabry. Zgodnie z tym, co powiedział mi John Burns, sierżant Delty John Macejunas był jedynym żołnierzem w jednostce, który nadal trzymał się przepisów i nosił hełm kewlarowy. Opis okolicy, gdzie rozbił się Super Six One, napisałem na podstawie obejrzanego filmu,

wrażeń z pobytu w mieście i fotografii zrobionych przez szpiegów dzień po katastrofie, na których widać rozrzucone w różnych miejscach fragmenty łopat wirnika (przyp. aut.).

[130] Mabry, Wilkinson, „Air Force Magazine", czerwiec 1994, „Night Flyer" (pierwszy kwartał 1994) i „Airman" (maj 1994) (przyp. tłum.).

[131] Wilkinson (przyp. tłum.).

[132] Za: Abdiaziz Ali Aden (przyp. aut.).

[133] Za: Lamb, Gould (przyp. aut.).

[134] Za: Phipps, Lamb, Belman, Gould, Lycopolus. Zarówno Phipps, jak i Gould, twierdzili, że Lycopolus ponosi winę za ich obrażenia. Lycopolus natomiast uważa, że został niesłusznie posądzony. „Wyrzuciłem łącznie sześć granatów", mówił. „Pierwszych pięć wybuchło, zatem oczywiste jest, że pomimo zdenerwowania pamiętałem, aby prawidłowo wyjąć zawleczkę. W przypadku szóstego postąpiłem podobnie". Lycopolus jest przekonany, że Somalijczycy zza muru posiadali własny amerykański granat. Przypuszcza, że inni obwiniają go między innymi dlatego, że był nowy w jednostce. Łatwiej im było zrzucić winę na kogoś, kogo nie znali. Phipps i Gould w związku z doznanymi obrażeniami zostali przetransportowani do szpitala zaraz po bitwie, zatem Lycopolus nie miał wówczas okazji stawić czoła ich oskarżeniom. Zanim kompania Bravo wróciła do Stanów, rozniosła się już wieść o tym, jak spieprzył sprawę. Z powodu tego incydentu, a także przez niewyjaśnioną do końca historię z otwarciem ognia do swoich w początkowej fazie bitwy musiał opuścić pułk rangersów. Nadal służy w wojsku (przyp. aut.).

[135] Za: Goffena, J. Yacone, Matthews, zapis czasu operacyjnego, raport USSOC, kasety z nagraniem połączeń przez sieć dowodzenia. Pułkowik David wyjaśnił, że siły szybkiego reagowania musiały wybrać okrężną drogę, ponieważ na terenie miasta znajdowały się pułapki i miny. Jego żołnierze przekonali się o tym już w przeszłości. Biorąc pod uwagę siłę ostrzału (o którym jednak David wówczas nie wiedział), pod jakim znajdował się wówczas konwój McKnighta, ostrożność ta wydaje się przejawem rozwagi (przyp. aut.).

[136] Opis zawarty w tym podrozdziale, dotyczący głównie doświadczeń Sizemore'a, powstał w oparciu o kilkanaście wywiadów z rangersami, komandosami Delty i żołnierzami sił powietrznych. Każdego z nich poprosiłem o opisanie mi warunków mieszkalnych panujących w hangarze, przy okazji usłyszałem różne anegdoty. Wykorzystałem przesłane mi przez żołnierzy zdjęcia hangaru (przyp. aut.).

[137] Wygląda na to, że na nabrzeżu znajdowała się duża, zbudowana przez Somalijczyków rzeźnia. Przez wiele lat resztki padliny wrzucano do oceanu, dostarczając w ten sposób pożywienia ławicom żarłocznych rekinów. Żołnierze umieścili przy plaży dużą sieć, dzięki której miała powstać bezpieczna dla pływaków strefa, jednak co najmniej jeden amerykański żołnierz został ciężko ranny na skutek ataku rekina. Niemniej nie zniechęciło to rangersów do wchodzenia do wody. Kilku żołnierzy w samochodach obserwowało wodę i plażę (wypatrując zarówno rekinów, jak i oficerów), podczas gdy inni pluskali się w oceanie (przyp. aut.).

[138] Za: P. Howe (przyp. aut.).

[139] Skrócona forma od „grizzly". Przezwisko prawdopodobnie nawiązywało do „niedźwiedziej" postury żołnierza (przyp. tłum.).

[140] Pisząc charakterystykę operatorów Delty, oparłem się na licznych wywiadach z ranger sami. Podczas pierwszych rozmów na terenie Fort Benning, które odbyły się w obecności rzecznika prasowego USSOC, nikt nie wspomniał o żołnierzach Delty, którzy pełnili kluczową rolę podczas misji. Rangersi starali się jak najlepiej opowiedzieć własną historię, nie wspominając, kto tak naprawdę przeprowadził atak na budynek, jednak czasem byli zmuszeni powiedzieć coś w rodzaju „żołnierz z innej jednostki". Nawet kiedy zacząłem szukać rangersów na własną rękę, korzystając z kontaktów, które otrzymałem od pierwszych z nich, nie byli oni chętni, by mówić o Delta Force, jednostce, która – przynajmniej oficjalnie – pozostaje tajna. W końcu udało mi się znaleźć kilku, którzy byli skłonni porozmawiać o nieżyjących już członkach Delty, a także o pozostałych, ale bez podawania żadnych nazwisk. Ogólnie swobodniej można było porozmawiać z mężczyznami, którzy wystąpili już z wojska. Macejunas zrobił na wszystkich tak wielkie wrażenie, że prawie każdy rangers, z którym przeprowadzałem wywiad, miał coś do powiedzenia o tym „nieprzeciętnym blondynie". Połączyłem ten opis z nazwiskiem, kiedy otrzymałem spisane relacje z bitwy od żołnierzy Delty i SEAL (przyp. aut.).

[141] Za: Floyd, Collett (przyp. aut.).

[142] To był żart – przysłały ją żona Schillinga i dziewczyna innego ratownika medycznego. Lalkę umieszczono na krześle w hangarze, przed wejściem do niewielkiego sektora, gdzie były łóżka żołnierzy sił powietrznych. Przyczepiono do niej tekturową tabliczkę z cenami (przyp. aut.).

[143] Nie należy pomylić wspomnianych tu żołnierzy z Schillingiem, Falesem, Wilkinsonem, Brayem i innymi ratownikami medycznymi oraz członkami zespołu kontroli bojowej, którzy mieszkali w hangarze. Mowa tu o gorzej przygotowanych do udziału w bitwie kobietach i mężczyznach, którzy z reguły stanowili część jednostek medycznych (przyp. aut.).

[144] Nie tylko rangersi oglądali CNN. W książce Late Breaking Foreign Policy Warren Strobel wspomniał, że Aidid także regularnie oglądał CNN, za pomocą którego komunikował się zarówno z własnymi ludźmi, jak i z resztą świata, nawet wówczas, gdy już go poszukiwano (przyp. aut.).

[145] Cytat z radia pochodzi z pamiętnika Othica. Pośród rangersów, z którymi rozmawiałem, nie spostrzegłem przejawów rasizmu, ale zdziwiłem się, że sierżant Dave Wilson i specjalista Mike Kurth byli jedynymi czarnoskórymi żołnierzami w grupie operacyjnej. Wydawało się, że w całym pułku rangersów, a także w oddziałach Delta Force (przynajmniej nie w 1993 roku) nie doszło do tak szumnie zapowiadanej integracji armii. Nieliczni żołnnierze Delty, z którymi rozmawiałem, mówili, że zadecydowały tu wymagania związane z umiejętnością pływania. „Stosunkowo niewielu czarnych potrafi pływać", wyjaśnił jeden z nich. Zapytałem o to Colina Powella, który powiedział, że według niego segregacja rasowa wciąż widoczna w przypadku tych dwóch elitarnych jednostek była „doskonałym przykładem braku zdecydowanego działania prowadzącego do

równouprawnienia”. Biorąc pod uwagę fakt, że, aby dostać się do którejś z obu formacji, należało sprostać wyjątkowo trudnym wymaganiom (zwłaszcza w przypadku Delty, gdzie mniej niż jedna na dziesięć osób zakwalifikowanych do szkolenia przechodziła proces selekcji), o zintegrowanie rasowe oddziałów byłoby trudno. Kilku rangersów i komandosów Delty, z którymi rozmawiałem, sugerowało, że być może Afroamerykanie nie palą się tak bardzo do niebezpiecznej służby dla kraju, w którym rządzą głównie biali. Niemniej, co zauważył Powell, w innych jednostkach można zauważyć całkiem wysoki odsetek Afroamerykanów. Przykładem może tu być 82. Dywizja Powietrznodesantowa. Mała liczba Afroamerykanów wśród rangersów i operatorów sugeruje, że nie są tam witani z otwartymi ramionami albo nawet świadomie się ich do tych jednostek nie przyjmuje. Kurth powiedział mi, że nigdy nie miał problemów z powodu koloru skóry podczas pobytu w Somalii, ale za to z Wilsona drwiono, że jest zdrajcą (przyp. aut.).

[146] Jednym z filmów, które najchętniej oglądano w hangarze, był „Dzień świstaka”, kultowa komedia z Billem Murrayem. Główny bohater filmu znalazł się w Puxatawney w Pensylwanii, z którego nie może się wydostać i musi przeżywać wciąż na nowo ten sam dzień, dopóki nie zmieni się na lepsze. Wielu sfrustrowanych długimi przerwami pomiędzy akcjami i znudzonych monotonią długimi słonecznymi dniami w Mogadiszu żołnierzy uważało, że film może stanowić metaforę ich przedłużającej się misji (przyp. aut.).

[147] Technika ta (w języku angielskim rappelling lub abseiling) polega na opuszczeniu się na linie przy pionowej ścianie z wykorzystaniem sprzętu wspinaczkowego, m. in. uprzęży, karabinka, przyrządu zjazdowego. Zjazd przebiega w sposób kontrolowany, w każdym momencie można zablokować przyrząd zjazdowy i zatrzymać się na dowolnej wysokości (przyp. tłum.).

[148] Za: Anderson, Sizemore (przyp. aut.).

[149] Za: Struecker, B. Thomas (przyp. aut.).

[150] Za: Sizemore, Cash, Anderson (przyp. aut.).

[151] Za: Struecker, Sizemore, Anderson, Cash, B. Thomas. Celem dodania sceny z Bradem Thomasem nie było poniżenie go. Chciałem pokazać, jak trudno było wrócić do miasta żołnierzom, którzy dopiero co wydostali się z miejsca, gdzie trwała zaciekła strzelanina. Ważnym elementem tej historii jest fakt, że Thomas, podobnie jak Anderson, pomimo strachu zrobił, co do niego należało. Podczas bitwy w Mogadiszu wielu żołnierzy, włączając w to Thomasa i Andersona, wracało do miasta kilkakrotnie (przyp. aut.).

[152] Za: Struecker (przyp. aut.).

[153] Za: Squeglia (przyp. aut.).

[154] Za: Struecker (przyp. aut.).

[155] Za: Cash (przyp. aut.).

[156] Za: Anderson (przyp. aut.).

[157] Za: Struecker, zapis radiowy (przyp. aut.).

[158] Za: Struecker, Cash, Anderson, Sizemore (przyp. aut.).

[159] Za: Squeglia, Struecker, Sizemore, Anderson, Cash (przyp. aut.).

[160] Za: Goffena, J. Yacone (przyp. aut.).

[161] Za: Matthews. Matthews nie zdradził mi nazwiska Harrella. Nazwisko dowódcy Delty poznałem podczas wywiadów z rangersami oraz czytając dokumenty dotyczące bitwy (przyp. aut.).

[162] Za: Doniesienia prasowe dotyczące Halla (przyp. aut.).

[163] Za: Goffena, J. Yacone, materiał filmowy (przyp. aut.).

[164] Za: Yurek, P. Howe, Twombly, DiTomasso (przyp. aut.).

[165] Za: Twombly (przyp. aut.).

[166] Za: Yurek, Nelson, Barton, Waddell, DiTomasso (przyp. aut.).

[167] Za: Nelson, Barton, Twombly (przyp. aut.).

[168] Za: P. Howe (przyp. aut.).

[169] Za: Steele (przyp. aut.).

[170] Perino, M. Goodale, P. Howe, Steele (przyp. tłum.).

[171] Za: Stebbins (przyp. aut.).

[172] Za: Steele. Poproszony o to, aby wyjaśnić, na czym polegał problem z Deltą, opowiedział mi długą historię o trudnościach, z jakimi spotkał się na jednej z poprzednich misji. Pewien żołnierz o dużym stażu kilkakrotnie zignorował jego rozkazy i przez to – zdaniem Steele'a – naraził na niebezpieczeństwo całą grupę desantową. Wkrótce odesłano go za to do Stanów. W rzeczywistości wspomniany żołnierz został wyrzucony z Delty na długo przed misją w Mogadiszu i był teraz sanitariuszem sił specjalnych przy grupie zadaniowej rangersów. Zatem przynajmniej jedna z opinii Steele'a o operatorach Delty opierała się na nieporozumieniu (przyp. aut.).

[173] Za: Nelson, Diemer, Sizemore, Phipps, M. Goodale, Moore, Burns, Lamb, Watson i inni. Relacja dotycząca siłowania się na rękę pochodzi z rozmowy z Diemerem, a ogólne wrażenia dotyczące Steele'a uzyskałem, przeprowadzając wywiady z kilkunastoma rangersami (przyp. aut.).

[174] Za: Steele. Paul Howe uważa, że opinia Steele'a dotycząca sesji planowania Delty jest niesprawiedliwa. Podejrzewam, że jest to po prostu odmienny punkt widzenia. Widać różnice w mentalności rangersów i żołnierzy Delty. Nic dziwnego, że Steele uważał nieformalną wymianę opinii i informacji Delty za chaotyczną (przyp. aut.).

[175] Za: Nelson, P. Howe, Steele (przyp. aut.).

[176] Za: P. Howe (przyp. aut.).

[177] Stebbins (przyp. aut.).

[178] Za: Goodale, P. Howe, Perino, Stebbins, Lechner, Watson, zapis radiowy (przyp. aut.).

[179] Za: Mohamed Sheik Ali (przyp. aut.).

[180] Za: Floyd (przyp. aut.).

[181] Za: Floyd, Siegler, Ramaglia, Young, K. Thomas, Kurth, Collett (przyp. aut.).

[182] Za: Floyd, Ramaglia, Young, K. Thomas, Kurth, Collett (przyp. aut.).

[183] Za: K. Thomas, Watson (przyp. aut.).

[184] Za: Collett, Siegler (przyp. aut.).

[185] Za: Floyd, K. Thomas (przyp. aut.).

[186] Za: Kurth, Collett, Young (przyp. aut.).

[187] Za: Steele, Floyd, Hooten (przyp. aut.).

[188] Za: Hooten (przyp. aut.).

[189] Za: Steele. Informację o geście Steele'a zdobyłem podczas wywiadu z Floydem, a opis jego zachowania z rozmowy z samym kapitanem. Steele nie pamiętał, żeby widział Hootena przywołującego go gestem w stronę wejścia wcześniej, niż kiedy wokół nich zaczęły uderzać pociski (przyp. aut.).

[190] Za: Steele, Floyd, Lechner, C. Atwater, K. Thomas, Collett (przyp. aut.).

[191] Za: Steele, Atwater, Lechner, Hooten. Okoliczności dotyczące zranienia Lechnera stały się po bitwie kwestią kontrowersyjną. Żołnierze Delty oskarżali Steele'a, że zostawił Lechnera na ulicy. Było to bardzo poważne oskarżenie, szczególnie dla rangersa, którego kodeks przede wszystkim nakazywał nie opuścić nigdy towarzysza walki w potrzebie. Moim zdaniem oskarżenie to jest bezpodstawne. Lechner twierdził, że Steele zachował się prawidłowo – każdy pobiegłby w kierunku osłony, gdyby pociski uderzyły tak blisko niego. Powiedział też, że tylko sekundy dzieliły te trzy wydarzenia: postrzelenie go, schowanie się Steele'a z Atwaterem i ściągnięcie go w bezpieczne miejsce przez Bullocka, nim Steele czy ktokolwiek inny zdążył się zorientować, że Lechner jest ranny i potrzebuje pomocy. Atwater, który leżał przy nich obu, potwierdził każdy szczegół relacji Lechnera i Steele'a. Żadna z tych relacji bynajmniej nie przeczyła bohaterstwu Bullocka, który opuścił bezpieczny dziedziniec i wyskoczył na ostrzeliwaną ulicę, aby przeciągnąć porucznika do środka (przyp. aut.).

[192] Za: Steele, zapis radiowy. Na nagraniu Steele krzyczy, z trudem łapiąc oddech, co oddaje grozę sytuacji (przyp. aut.).

[193] Za: Goodale. Według Lechnera, który w trakcie przeprowadzania wywiadu był kapitanem stacjonującym na Hawajach, pocisk zmiażdżył kilkucentymetrowy odcinek kości piszczelowej. Lekarzom udało się jednak pobudzić odrastanie tkanki kostnej i po długim okresie rehabilitacji Lechner odzyskał pełną sprawność w nodze (przyp. aut.).

[194] Za: Durant (przyp. aut.).

[195] Za: Howa i Bint Abraham Hassan. Kiedy z nimi rozmawiałem, nadal mieszkali w szopie niedaleko tego, co pozostało po wraku Super Six Four (przyp. aut.).

[196] Za: Durant (przyp. aut.).

[197] Za: Mo'alim (przyp. aut.).

[198] Za: Goffena, J. Yacone, zapis radiowy. Hallings stracił część nogi, ale podobno nauczył się chodzić z protezą tak dobrze, że mógł wrócić do jednostki (przyp. aut.).

[199] Za: Durant, P. Howe. Według wspomnień Duranta i oficjalnej relacji (włączając w to słowa wypowiedziane przy nadawaniu Medali Honoru) Randy Shughart zginął pierwszy, po czym Gary Gordon obszedł śmigłowiec, dał Durantowi broń i próbował wezwać pomoc przez radio. Paul Howe, który znał obu bardzo dobrze, przekonał mnie, że musiało być dokładnie odwrotnie. Dwukrotnie słyszał przed radio charakterystyczny głos Randy'ego (a nie Gordona). Poza tym Shughart i Gordon mieli inne, specjalnie dostosowane karabiny. Broń, którą dostał Durant, według wszelkiego prawdopodobieństwa należała do Gordona, a nie do Shugharta. Shughart miał przy sobie M14, a Durant twierdził, że najprawdopodobniej dostał CAR-15, a przynajmniej z pewnością nie był to M14. Gordon nie wręczyłby Durantowi własnej broni dopóty, dopóki byłby w stanie z niej korzystać. Poza tym Durant opowiadał, że rozpoznał Gordona, ponieważ kilkakrotnie widział go podczas odpraw lotniczych. Tymczasem według Howe'a to Shughart regularnie brał udział w odprawach. Durant przyznał mi się, że, choć nie chciałby, aby zmieniono jego oficjalną relację, nie jest pewien, kto był kim. Nie znał także imienia żadnego z mężczyzn (przyp. aut.).

[200] Abokoi pojawił się w hotelu Sahafi z dwoma przyjaciółmi, którzy mieli ze sobą hełmy Duranta i Clevelanda (ich nazwiska widniały na wąskich, czarnych paskach z tyłu). Chcieli, żebym je od nich kupił w cenie 300 dolarów za sztukę. Podobała mi się myśl, że mógłbym przywieźć do kraju ich hełmy i przekazać je 160. Pułkowi, ale nie miałem zamiaru płacić Abokoiowi i pozostałym za ich wojenne trofea. Powiedziałem, że nie jestem zainteresowany. Protestowali, za pośrednictwem tłumacza próbując mi wyjaśnić, że odmawiając im, nawet nie spróbowawszy się targować, zachowałem się niegrzecznie. Powiedziałem więc, że zapłacę im 25 dolarów za oddanie każdego z hełmów. Odeszli zniesmaczeni, zabierając je ze sobą. Jednak najpierw pozwolili Peterowi Tobii zrobić sobie zdjęcia z hełmami na głowach (przyp. aut.).

[201] Za: Mo’alim, Durant (przyp. aut.).

[202] Za: Durant (przyp. aut.).

[203] Za: Wilkinson, Mabry, Dowdy (przyp. aut.).

[204] Za: Nelson, Barton, Yurek, Twombly, Wilkinson (przyp. aut.).

[205] Za: P. Howe, Miller, Lamb, Watson, Steele, Perino, DiTomasso, Nelson, Twombly. Incydent związany z przypadkowym ostrzelaniem własnych wojsk przedstawili mi Nelson i Howe. Kiedy rozmawiałem z Twomblym, ten nadal był zły z powodu uderzenia granatnikiem (przyp. aut.).

[206] Za: Perino (przyp. aut.).

[207] Za: Nelson, Perino (przyp. aut.).

[208] Za: Perino, Stebbins, Nelson, Schmid (przyp. aut.).

[209] Za: Steele, Perino, Schmid (przyp. aut.).

[210] Za: Schmid (przyp. aut.).

[211] Za: Perino, Steele, nagrania połaczeń z siecią dowodzenia (przyp. aut.).

[212] Za: Stebbins, inni rangersi. Steele powiedział, że nigdy nie pozwolił żołnierzom, aby wyruszyli na akcję bez noktowizorów. Najwyraźniej tę decyzję jego podwładni podjęli w pośpiechu sami. Rangersi prawdopodobnie naśladowali operatorów Delty, którzy mieli większą swobodę odnośnie do decydowania o tym, co jest im potrzebne. Mógłby to być kolejny dowód na to, że Steele miał ograniczony posłuch u żołnierzy, kiedy w pobliżu znajdowali się operatorzy Delty. Z drugiej strony tym razem Steele także nie zabrał noktowizora. Urządzenie było nieporęczne; ponieważ wisiało na szyi, przeszkadzało podczas opuszczania się na linie z helikoptera, biegania, a ponadto łatwo można było je uszkodzić. Kiedy komuś zepsuł się noktowizor, bardzo trudno było o zdobycie nowego (przyp. aut.).

[213] Za: Twombly, Barton, Nelson (przyp. aut.).

[214] Za: Nelson, Yurek, Floyd, Twombly (przyp. aut.).

[215] Za: Belman. Dowdy. Nie ma nic o tym w spisanej relacji kapitana Coultropa (przyp. aut.).

[216] Za: Yurek, Stebbins, Twombly, Nelson, P. Howe (przyp. aut.).

[217] Za: Stebbins, Nelson, Twombly, Yurek, Barton, P. Howe (przyp. aut.).

[218] Za: Wilkinson, „Air Force Magazine”, „Airman”, „Night Flyer” (przyp. aut.).

[219] Torba (w jęz. ang. butt pack) dopinana do pasa, noszona z tyłu, na biodrach (przyp. tłum.).

[220] Lek przeciwbólowy zawierający oksykodon i paracetamol (przyp. tłum.).

[221] Za: Stebbins, Wilkinson (przyp. aut.).

[222] Za: Floyd, Siegler, Collett (przyp. aut.).

[223] Marsh, Adams. Według spisanej relacji Adamsa liczba rannych i doznane przez nich obrażenia zaskoczyły, a w pewien sposób wręcz przytłoczyły lekarzy, jednak Marsh, który stał na czele zespołu, ma inne zdanie na ten temat. Według niego zespół medyczny był dobrze przygotowany i zareagował prawidłowo. W książce Hazardous Duty znany z krytycznych opinii na temat armii były pułkownik Hackworth pisze o tym, jak niedługo po bitwie odwiedził rannych żołnierzy Delty oraz rangersów w Walter Reed Hospital: „Nosili liczne rany postrzałowe. Wielu z nich amputowano ręce i nogi. Bezpośrednio po bitwie wielu rannych godzinami leżało na ziemi, czekając na pomoc. »Dlaczego amputowano tak wiele kończyn?« zapytałem któregoś z lekarzy. »Zakażenia«, odparł. Somalia jest jednym z najbrudniejszych miejsc na świecie, a ci żołnierze czekali na opatrzenie poważnych ran przez wiele godzin". W rzeczywistości tylko jeden człowiek stracił kończynę podczas bitwy w Mogadiszu – sierżant Brad Hallings. Jego noga została oderwana podczas eksplozji granatu przeciwpancernego, który uszkodził Super Six Four. Piloci Goffena i Yacone zdołali wylądować na terenie należącym do Amerykanów, a Hallingsowi udzielono natychmiastowej pomocy lekarskiej. Żaden z żołnierzy, którzy spędzili noc uwięzieni w mieście nieopodal miejsca katastrofy Super Six One, nie stracił kończyny. Ray Dowdy, mechanik, który przeżył upadek Super Six One, miał tylko odstrzelone końce dwóch palców. Sanitariusze obecni na miejscu mieli ze sobą antybiotyki, które aplikowali rannym przez całą noc. Dzięki temu właśnie, według tego, co mówił Marsh, liczba zakażonych ran była „niższa niż zazwyczaj" (przyp. tłum.).

[224] Za: Goffena, J. Yacone, Matthews, Jones, Dave McKnight, Marsh, zapis radiowy, materiał filmowy, Mo'alim (przyp. aut.).

[225] Za: Zapis radiowy, Dave McKnight (przyp. aut.).

[226] Za: P. Howe, kilku rangersów, Matthews, zapis radiowy (przyp. aut.).

[227] Za: Zapis radiowy, Steele (przyp. aut.).

[228] Za: P. Howe (przyp. aut.).

[229] Za: Steele, Watson, M. Goodale, Lechner, Floyd, Ramaglia, Collett, Kurth, K. Thomas, Siegler (przyp. aut.).

[230] Za: Steele, Collett (przyp. aut.).

[231] Za: Steele, Watson (przyp. aut.).

[232] Za: Steele, Perino (przyp. aut.).

[233] Zespołowa gra na trawiastym boisku. Zawodnicy muszą umieścić piłkę w bramce przeciwnika za pomocą specjalnej trójkątnej rakiety (przyp. tłum.).

[234] Za: Perino, Schmid, Jim Smith, Jamie Smith (listy) (przyp. aut.).

[235] Za: Steele (przyp. aut.).

[236] Za: M. Goodale, Young (przyp. aut.).

[237] Za: Steele (przyp. aut.).

[238] Za: P. Howe (przyp. aut.).

[239] Za: Steele, Perino, Watson, zapis radiowy. Fakt, że Steele nie chciał zmienić pozycji, o co prosił go Miller, był jednym z powodów, dla którego żołnierze Delty krytykowali go po bitwie. Według mnie krok kapitana był bardzo rozważny. Wszyscy rangersi, którzy byli wówczas ze Steele'em, uważali, że podjął słuszną decyzję, podczas gdy wszyscy operatorzy Delty, z którymi udało mi się porozmawiać, wyrażali uznanie dla sierżanta Watsona, któremu udało się przekonać Steele'a, aby został na miejscu. Większym problemem być może jest fakt, że kapitan nie chciał rozmawiać z Millerem. Paul Howe wyjaśniał, że pozostawanie w ciągłej łączności było najważniejsze, choćby po to, aby przekazać innym, skąd padają pociski, a tym samym umocnić ich pozycje na zajmowanym obszarze w kształcie litery „L". Wydaje mi się, że problemy, jakie Steele miał z Deltą przez kilka poprzedzających bitwę tygodni, i pogarda, jaką względem niego wyrażali niektórzy z tej jednostki, stały się najbardziej widoczne, kiedy żołnierze działali w stresie. Na polu walki nie było jednej siatki dowódczej, ponieważ wcześniej nikt nie spodziewał się, że rangersi i operatorzy Delty mogą być zmuszeni działać razem. Wydaje się, że było to znaczące przeoczenie, które mogłoby doprowadzić do jeszcze większych problemów, gdyby bitwa potoczyła się inaczej. W rzeczywistości nie miało to większego wpływu na jej przebieg. Helikoptery Little Bird utrzymywały Somalijczyków na dystans, a obie jednostki starały się o to, by ich kapitanowie ze sobą współdziałali (przyp. aut.).

[240] Za: Steele, Collett, Floyd, zapis radiowy, Hooten. Millerowi zależało, aby jego żołnierze przenieśli się dalej na północ, bliżej jego pozycji, ponieważ chciał zabezpieczyć południowo-zachodnie skrzyżowanie kwartału, na którym utknęła większość żołnierzy. Z pozycji, na której się znajdował, nie było widać, co się dzieje po biegnącej ze wschodu na zachód ulicy, która oddzielała od niego siły Steele'a. Steele wraz z żołnierzami przebywali na dziedzińcu w połowie drogi do następnej przecznicy, więc sami najprawdopodobniej także nie mogli obserwować wspomnianej ulicy (przyp. aut.).

[241] Za: Steele, Perino, zapis radiowy (przyp. aut.).

[242] Za: Dave McKnight, David (przyp. aut.).

[243] Za: McKnight, Matthews (przyp. aut.).

[244] Za: Zapis radiowy, Steele, P. Howe, Perino (przyp. aut.).

[245] Za: Schmid, Perino (przyp. aut.).

[246] Za: Zapis radiowy, Steele (przyp. aut.).

[247] Za: Schmid (przyp. aut.).

[248] Za: Steele, Watson (przyp. aut.).

[249] Za: Goodale, Ramaglia, Lechner, Atwater, Watson (przyp. aut.).

[250] Za: Siegler (przyp. aut.).

[251] Za: Kurth (przyp. aut.).

[252] Za: Waddell (przyp. aut.).

[253] Za: Phipps (przyp. aut.).

[254] Za: Lamb, Aden (przyp. aut.).

[255] Za: Aden (przyp. aut.).

[256] Za: Wilkinson, Stebbins (przyp. aut.).

[257] Za: Hooten, Floyd, Ramaglia, K. Thomas, Steele, Collett, Watson (przyp. aut.).

[258] Za: Materiał filmowy, P. Howe. J. Yacone, Goodale, Steele (przyp. aut.).

[259] Za: Yurek, P. Howe, Bray (z „Air Force Magazine"), Waddell (przyp. aut.).

[260] Za: Durant (przyp. aut.).

[261] Za: Sharif Ali Mohamed, Firimbi (przyp. aut.).

[262] Za: Mo'alim (przyp. aut.).

[263] Za: Sharif Ali Mohamed, Firimbi (przyp. aut.).

[264] Za: Durant (przyp. aut.).

[265] Za: Downing, Lake, On the Edge (przyp. aut.).

[266] Za: Raport USSOC (s. 10), „Experiences of Executive Officer..." Rysewyka (patrz źródła), zeznania Garrisona i Montgomery'ego przed Komisją Sił Zbrojnych Senatu Stanów Zjednoczonych (12 maja 1994 roku), Dave McKnight, Matthews, Marsh (przyp. aut.).

[267] Za: David (przyp. aut.).

[268] Za: Marsh, Eversmann, Sizemore, Anderson, Squeglia, B. Thomas (przyp. aut.).

[269] Za: Podział czasowy operacji, raport USSOC, David (przyp. aut.).

[270] Za: Podział czasowy operacji, Cash, Ahlfinger, Guelzow, Keller, Lepre, David, Meyerowich (przyp. aut.).

[271] Za: Steele, Perino, zapis radiowy (przyp. aut.).

[272] Za: Meyerowich, Rysewski (przyp. aut.).

[273] Za: Squeglia, szczegóły dotyczące rany Lamba pochodzą od Marsha (przyp. aut.).

[274] Za: Sizemore, Anderson, Kallman, Struecker (przyp. aut.).

[275] Za: Kassim Sheik Mohamed. Po tym, jak przez całe rano oglądałem jego zniszczone budynki w Mogadiszu, Kassim oskarżył mnie o to, że jestem oficerem amerykańskiej armii (nigdy nie służyłem w wojsku). Zaprzeczyłem, ale nie uwierzył mi. Powiedział, że zaobserwował, jak ostrożnie stawiam stopy, chodząc po zniszczonych rejonach miasta. „Widać, że masz doświadczenie w unikaniu min", powiedział. „Czy tylko eksperci uważają, gdzie stawiają stopy, chodząc po terenie, gdzie można spodziewać się min?", zapytałem. Dodałem, że nie spędziłem w wojsku ani jednego dnia, na co Kassim odparł, że moja odpowiedź potwierdza tylko, że kłamię, ponieważ „wszyscy Amerykanie muszą odbyć dwuletnią służbę wojskową po ukończeniu szkoły". Odparłem, że nie widzę sensu dalej się spierać z człowiekiem, który tyle wie o moim kraju. Kassim i inni Somalijczycy z zapałem pokazywali mi groby, blizny i swoją zniszczoną własność, najwyraźniej mając nadzieję, że zbierane przeze mnie informacje pomogą w zebraniu dokumentacji do ewentualnej sprawy roszczeniowej o odszkodowanie od ONZ (przyp. aut.).

[276] Za: Raport USSOC, Vega, Dave McKnight (przyp. aut.).

[277] Za: Meyerowich, Kaiser, Nearpass, Gay (przyp. aut.).

[278] Za: Lepre (przyp. aut.).

[279] Za: Zapis radiowy, Steele (przyp. aut.).

[280] Za: Raport USSOC, Goodale, Rodriguez, Stebbins, Wilkinson, zapis radiowy, Yurek, P. Howe, Steele, podział czasowy operacji. Wiele mówiono o tym, że siły zadaniowe zostały na noc w mieście, ponieważ nikt nie chciał zostawić ciała Wolcotta. To prawda, że amerykańscy żołnierze zrobiliby wszystko, aby odzyskać ciała poległych braci. Dowodzi tego ich długie oczekiwanie na wydostanie ciała Wolcotta oraz poczynione w tym celu wysiłki. Niemniej jednak dziewięćdziesięciu dziewięciu żołnierzy, którzy walczyli całą noc na ulicach Mogadiszu, znalazło się tam nie z wyboru, lecz dlatego, że nie mieli innego wyjścia. Kilku dowódców potwierdziło, że gdyby istniała taka możliwość, co prawda z żalem, ale zostawili-by Wolcotta, aby ewakuować rannych (przyp. aut.).

[281] Za: Steele, Perino, Yurek, Ramaglia, Collett, Nelson, P. Howe, Floyd, Watson (przyp. aut.).

[282] Za: Abdi Mohamed Elmi (przyp. aut.).

[283] Za: Abdi Karim Mohamed, Bashir Haji Yusuf, Hassan Aden Hassan (przyp. aut.).

[284] Za: Raport USSOC, Marsh, Adams, Dowdy, Young, Siegler, Perino, Nelson, Schilling, Steele, zapis radiowy, Matthews, Kallman, Goodale, Gould, Rodriguez, Anderson, K. Thomas, Cash, Phipps, Floyd, Stebbins, Watson, Sizemore, Atwater, Ramaglia (przyp. aut.).

[285] Za: P. Howe (przyp. aut.).

[286] Za: Sizemore, Cash, Steele, Floyd, Diemer, Telscher, Nelson, Eversmann, Perino, Watson (przyp. aut.).

[287] Za: „The New York Times" (5 października 1993), „The Philadelphia Inquirer", CNN (przyp. aut.).

[288] Za: Drew, On the Edge, Lake (przyp. aut.).

[289] Za: S. Shughart (przyp. aut.).

[290] Za: W. Frank, B. Yacone (przyp. aut.).

[291] Za: J. Yacone (przyp. aut.).

[292] Za: P. Howe, Goffena, Matthews, McKnight (przyp. aut.).

[293] Za: Nelson, Sizemore, Goodale, Floyd (przyp. aut.).

[294] Za: Durant, archiwa CNN (przyp. aut.).

[295] Za: W. Frank (przyp. aut.).

[296] Za: Durant, Firimbi, Sharif Ali Mohamed (przyp. aut.).

[297] Za: McKnight, P. Howe, J. Howe, Matthews (przyp. aut.).

[298] Za: Oakley, Lake (przyp. aut.).

[299] Za: „The New York Times", „The Philadelphia Inquirer" (5 października 1993), On the Edge (s. 325–326), Lake, Oakley (przyp. aut.).

[300] Za: Durant, Firimbi (przyp. aut.).

[301] Za: Jim Smith, telegram armii amerykańskiej (przyp. aut.).

[302] Za: Shughart (przyp. aut.).

[303] Za: D. Beck. DeAnna Joyce wyszła ponownie za mąż i teraz nazywa się DeAnna Joyce Beck (przyp. aut.).

[304] Nocni Łowcy nie poddają się (ang. Night Stalkers Don't Quit) – dewiza członków 160. Pułku Lotnictwa Operacji Specjalnych (przyp. tłum.).

[305] Za: Durant, Firimbi. Pospiesznie nagryzmolona przez Duranta notatka była skrupulatnie analizowana przez oficerów wywiadu, którzy szukali ukrytych wiadomości lub wskazówek co do miejsca jego pobytu.

Uznano, że wzmianka o pizzy może sugerować, że pilot jest przetrzymywany w pobliżu obszaru zajmowanego przez Włochów. Prośba o modlitwę mogła znaczyć, że więziono go nieopodal meczetu. Trzy informacje dotyczące pomocy lekarskiej mogły natomiast wskazywać na bliskość szpitala. Ostatecznie pracownicy wywiadu doszli do wniosku, słusznie zresztą, że list nie zawiera żadnych ukrytych wskazówek (przyp. aut.).

[306] Za: Durant, Huband. Podczas gdy niektórzy krytykowali Duranta za jego komentarze, dowódcy, z którymi rozmawiałem, zarówno oficjalnie, jak i nieoficjalnie, jednogłośnie chwalili zachowanie pilota w niewoli. „Mike Durant zachował się odpowiednio", powiedział generał Wayne A. Downing, który był wówczas dowodcą sił specjalnych armii amerykańskiej (przyp. aut.).

[307] Za: Raport USSOC, P. Howe, Marsh, Eversmann, Steele, Perino, Schmid, Rodriguez, Sizemore, Anderson, M. Goodale, K. Goodale, Lechner, Stebbins, Othic, Spalding, Galentine, Burns. Kiedy poważne obrażenia Marsha zagoiły się, lekarz otworzył prywatną praktykę w stanie Wirginia, nadzorował klinikę uniwersytecką przy Virginia Hospital oraz zajmował się (razem z żoną) wciąż powiększającą się rodziną i dużym ranczem, równocześnie udzielając się jako wolontariusz w charakterze strażaka i lekarza w pobliskim więzieniu o zaostrzonym rygorze. Poświęciłem cały dzień, starając się spotkać z tym człowiekiem o zadziwiającej energii i pasji życia. Kciuk Galentine'a został przyszyty na miejsce, jednak żołnierz nigdy nie odzyskał nad nim pełnej władzy. „W zasadzie jest bezużyteczny", stwierdził (przyp. aut.).

[308] W swojej przemowie Garrison sparafrazował tekst Szekspira. Więcej na ten temat w książce Richarda E. Millera In Words and Deeds (przyp. tłum.).

[309] Parafraza przemowy Henryka V wygłoszonej przed bitwą pod Azincourt. W tekście Szekspira (scena III, akt IV) cały fragment brzmi następująco:

„Że kto do boju tego nie ma serca, / Niechaj odejdzie. Dostanie papiery, / A do sakiewki pieniądze na drogę. / Nie chcemy bowiem umierać tu z nikim, / Kto by się bał na towarzyszyć w śmierci. / Dzisiaj jest święto świętego Kryspina / Kto dziś przeżyje i wróci do domu, / Na samą nazwę dnia tego się zerwie, / Na dźwięk imienia Kryspina powstanie / Co roku w wilię goszcząc swych sąsiadów / Będzie powtarzał: „Jutro jest Kryspina." / Ściągnąwszy rękaw pokaże im blizny / Mówiąc: „Tu byłem ranny w dzień Kryspina." / Historii dnia tego syna swojego nauczy. / I nigdy święto Kryspina nie zginie / Od dziś do końca świata, bo nas będą / W ten dzień wspominać. My, choć nas niewielu, / Ale szczęśliwi, my gromadka braci, / Bo ten, kto dzisiaj ze mną krew przeleje, / Będzie mym bratem. Choć najniższy stanem / Ten dzień stan jego podniesie. A szlachta, / Co teraz w Anglii wysypia się w łożu, / Jako przekleństwo poczyta, że dzisiaj / Tu jej nie było. Stanieje jej męstwo / Wobec każdego, kto powie, że z nami / W sam dzień świętego Kryspina tu walczył." [Shakespeare W. „Król Henryk Piąty", tłum. Zofia Siwicka, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1978, s. 97.] (przyp. tłum.).

[310] Za: W. Frank (przyp. aut.).

[311] Za: Durant, Firimbi (przyp. aut.).

[312] Za: Oakley, Zinni (przyp. aut.).

[313] Za: Firimbi, Durant, „The New York Times” (15 października 1993). W 1996 roku Durant spotkał się z wysłannikiem Aidida w holu hotelowym w Tennessee. W pobliżu stał żołnierz sił specjalnych, który miał obserwować, czy wszystko w porządku. Spotkanie było całkowicie niewinne. Somalijczyk prowadził wówczas sierociniec w Baidoa. Przyniósł różne przedmioty (między innymi koszulki z białą dłonią Amerykanina, ściskającą czarną dłoń Somalijczyka), które miały być przejawem dobrej woli, i list od Firmibiego, który wyrażał nadzieję, że Durant nie czuje do nikogo urazy. Pilot dostał zaproszenie do Somalii na przyjacielską wizytę. Durant odpisał Firimbiemu, ale odrzucił propozycję ponownego przyjazdu do jego kraju (przyp. aut.).

[314] Amerykańska popularna pieśń patriotyczna, czasem uważana za nieoficjalny hymn państwowy USA (przyp. tłum.).

[315] Misja pokojowa ONZ w Somalii (ang. United Nations Operation in Somalia) – (przyp. tłum.).

[316] Przenośny, ręcznie odpalany, naprowadzany na podczerwień pocisk ziemia-powietrze używany do zestrzeliwania samolotów i helikopterów (przyp. tłum.).

[317] Z ang. Mutual Assured Destruction (Wzajemne Zagwarantowane Zniszczenie), mad znaczy również „szalony” (przyp. tłum.).

[318] Uczestniczył też w tworzeniu scenariusza do „Full Metal Jacket” (przyp. tłum.).

[319] Cormac McCarthy „Krwawy południk” (tłum. Robert Sudół), Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 329.